

Kto zdradził i wystawił na śmierć laureata Pulitzera
we wstrząsającej powieści najsłynniejszego korespondenta wojennego BBC?

Złodzieje piasku



BEN BROWN


AMBER

Złodzieje piasku

BEN BROWN

Przekład
SŁAWOMIR KĘDZIERSKI



Geraldine

*Przeżywamy więcej przez rok niż większość ludzi
przez całe życie.*

Daniel L. Lowenstein, korespondent wojenny

Część 1

1

Irak po wyzwoleniu, sierpień 2004

Danny Lowenstein miał przeczucie, że dziś umrze.

Przewidywanie własnej śmierci nie było dla niego niczym nowym: takie myśli idą w parze z pracą w terenie. Najważniejsze to nie brać ich zbyt poważnie. W przeciwnym razie nigdy rano nie wstałby z łóżka.

Przeklinał słońce, które ledwie się pojawiło na porannym niebie Iraku. Z asfaltu już unosił się męczący żar i wkrótce temperatura osiągnie absurdalne pięćdziesiąt stopni Celsjusza. Nie ośmielał się przeliczyć ich na Fahrenheita. Kiedy stanął na stacji benzynowej i spojrzął na drogę do Iskandariji, powietrze nad nią drgało. Zastanawiał się przez chwilę, czy nawierzchnia może mu wyparować przed nosem.

Na razie był jeszcze świeży. Wysprejował się taką ilością dezodorantu, że niemal się nim udusił, ale skóra czuła się dobrze pod kupioną na Heathrow lnianą koszulą i ukochanymi drelichowymi spodniami. Były w pseudowojskowym stylu, z dodatkowymi kieszeniami na udach, wypchanymi notesem, kolekcją długopisów, małym dyktafonem – kolejny nabytek z lotniska – amerykańskim paszportem i akredytacją prasową, kilkoma zgniecionymi dolarami i gumą do żucia niezbędną, kiedy dzień zacznie go dołować.

Wiedział, że skóra – teraz tak przyjemnie czysta i sucha – wkrótce będzie mokra od potu. Małe strumyczki pełzną dolin ką między łopatkami w kierunku talii, gdzie napotkają mocno zaciśnięty pasek i utworzą irytujące jeziorko. Świeże ubranie zacznie się kleić do ciała jak lepka ścierka. Porządny poranny prysznic w hotelu okaże się zbędny i Danny będzie się zastanawiał, po co w ogóle się wysiłał – równie dobrze mógłby włożyć to, co miał na sobie poprzedniego dnia. O zmierzchu nie zostanie w nim już ani odrobina energii, z jaką się obudził.

– Boże, czasami nienawidzę tego kraju – powiedział do Mohammeda, który słuchał go jednym uchem.

– Nie mów takich rzeczy, panie Danny. Myślę, że będzie ci nas brakowało.

– Będzie mi brakowało ciebie, Mohammedzie, ale niczego więcej.

– Nie znajdziesz takiego tematu. Nigdzie na świecie. Sam mi to mówiłeś.

– Tak, wiem, nasz Wietnam i to wszystko, ale niech niebiosy mają wasz kraj w opiece, jeżeli staliście się tylko tym... tematem. Jestem już taki...

– Zmęczony?

– Nie, nie zmęczony. Wykończony. Przepraszam, jeśli zrzędzę.

– Kłopot z kobietą?

– Można tak powiedzieć. I ten upał, ta wojna i to... Rozejrzyj się tylko.

Machnął ręką w stronę długiego szeregu smętnych sklepików tuż za ich plecami. W wielu sprzedawano anteny satelitarne, lodówki i cały inny sprzęt elektryczny, który napłynął tu po wyzwoleniu. Pozrywane przewody energetyczne wisiały wokół nich szyderczo. Na drodze z przodu samochody przepychały się między sobą wśród kakofonii klaksonów, na które najczęściej nikt nie zwracał uwagi. Danny'emu wydawało się, że ruch uliczny, jak wszystko, staje się coraz gorszy.

– Pamiętam dzień, w którym dostałem pierwszą iracką wizę. Dziewiętnasty kwietnia 1990. Nigdy na niczym mi bardziej nie zależało. A teraz? Po dwóch wojnach w Zatoce i spięrzonych okupacji nie sądzę, żebym się zmartwił, gdybym tu nie wrócił.

Mohammed stał obok niego i obserwował otoczenie – bez zniechęcenia Danny’ego, ale czujnym wzrokiem oficera wywiadu. Patrzył badawczo na twarze, sprawdzał samochody, oceniał młodych policjantów za workami z piaskiem – czy to rzeczywiście policjanci, czy idealnie przebrani powstańcy? Nic nie było takie, jak się wydawało.

Chłopak ze stacji wetknął wylot węża do baku.

– Nie mogę uwierzyć, że wieczorem zapomniałeś zatankować – powiedział Danny.

– Już mówiłem, były urodziny Farrah.

Danny poczuł się paskudnie. Powinien wysłać jej prezent. O innych dzieciakach Mohammeda pamiętał.

– Mimo wszystko, do jasnej cholery.

Nie cierpiał, kiedy coś się nie układało. Miał wtedy poczucie, jakby ktoś przeklął cały materiał, cały dzień. Spojrzał na zegarek. Już się spóźniali na randkę z Abu Mukhtarem.

– Jak długo będziemy tam jechać?

– Dwadzieścia minut, może dwadzieścia pięć.

– Mam nadzieję, że zdołasz znaleźć to całe Al-Talha czy jak to nazywają. Tego nawet nie ma na mapie.

– Co za problem? Spytaamy ludzi.

Z reguły Danny lubił mieć „samochód pościgowy”, drugi wóz jadący z tyłu – takie zabezpieczenie w razie awarii na wertepach. Dzisiaj Saad, który zawsze go prowadził, dostał rozstroju żołądka, a przynajmniej tak twierdził. W każdym razie musieli jechać sami.

Najpierw samochód pościgowy, a teraz benzyna. Złe znaki, pomyślał Danny.

Czujne oczy Mohammeda wciąż poszukiwały czegoś, co byłoby odmienne albo tu nie pasowało. Tak właśnie teraz żył, nawet na swojej ulicy w Karadzie, zawsze obserwując.

– Pewny, że chce tam jechać? – zapytał Danny’ego po raz trzeci tego ranka. – Ryzykuje pan życie.

– Pewnie, że pewny. Ryzykuję za każdym razem, kiedy opuszczam Bagdad albo nawet hotel. Czasem czuję się jak uwięziony.

– Nie, nie, panie Danny! Wyzwolony!

Mohammed był zagorzałym zwolennikiem interwencji, ujmującym w swoim optymizmie. Po prostu spójrz na to z tej strony, nalegał: jesteśmy maltretowanym dzieckiem, a maltretowane dzieci mogą być niewdzięczne. Potrzebują tylko czasu i miłości przybranych rodziców. Wy, Amerykanie, musicie zostać tu, jak długo chcecie! Danny odpowiadał, że wcale nie uważa tych tutaj za „swoich” Amerykanów.

– Kiedy stary był u władzy, mogłem przynajmniej chodzić ulicami, w dzień i w nocy, i nikt nie wrzuciłby mnie do samochodu, a potem nie obciął mi głowy w Internecie – oznajmił.

– No to dlaczego tam jedziemy?

– Bo przypuszczam, że to jest warte ryzyka. Mam murewane gwarancje.

Teraz Mohammed zareagował cynicznie.

– Wiesz, panie Danny, co w moim kraju mówią o takich gwarancjach? Mur jest zawsze pełen dziur po pociskach. Nie chcę umierać.

– Ja też, idioto. – Serdecznie objął go ramieniem.

– Pan nie ma rodziny – odparł Mohammed. – A ja... żona, pięcioro dzieci. Nic nie może mi się stać. – Mimo to, gdy wychodził z domu, już zwyczajowo całował wszystkich, na wypadek gdyby nie wrócił.

– I nic się nie stanie, przyjacielu, nic się nie stanie.

– Może sam powinieneś mieć kilkoro własnych dzieci, panie Danielu.

Danny pomyślał o wszystkich szczęśliwych chwilach, które spędził z rodziną Mohammeda. Ostatnia wizyta była rzadką wyprawą do Iraku, który desperacko starał się zachować pozory normalności. Mohammed piekł na ruszcie *masgoufa* i smakowicie pachnący rybą dym rozchodził się dookoła, kiedy jego żona Sabeen skrapiała potrawę sokiem cytrynowym. Wkrótce stół uginał się pod nieustannie pojawiającymi się jej ulubionymi daniami: zupą fasolada, *baba ghanoush*, sałatą z bakłażana, falafelem, pitą i humusem, zapijanymi po kolei morderczym arakiem. Zanim zaczęli jeść, Mohammed usiadł na czerwonym, plastikowym krześle ogrodowym, a pociechy włączyły na niego do momentu, kiedy nogi krzesła załamały się i wszyscy zwalili się na trawę w jednym wielkim, rozchilotanym stosie. Potem Danny zabawiał całą piątkę dzieci, a zwłaszcza Farrah – sześciolletnią, najmłodszą i najbardziej uroczą. Pod drzewem cytrynowym trzymał ją za ręce i obracał się z nią tak, że fruwała jak samolot, zataczając oszałamiające kręgi. Piszcziała z zachwyty, a wszyscy bili brawo.

A teraz, niepokojąc się wyjazdem do Al-Talhy, zapomniał o jej urodzinach. Powinien zdobyć dla niej coś naprawdę szczególnego.

Za każdym razem, kiedy Danny przylatywał do Bagdadu, nie tylko zasypywał prezentami Mohammeda, Sabeen i dzieci, ale przywoził też stare numery „Lancetu” i „British Medical Journal”. Mohammed dosłownie je pochłaniał. Nieprawdopodobne, ale dawniej był pediatrą; odbywał staż na Great Ormond Street. Zrezygnował z medycyny tylko dlatego, że prasa zagraniczna płaciła mu dziesięć razy więcej niż szpital, a jego rodzina bardzo potrzebowała pieniędzy. Kolejny triumf okupacji, powtarzał Danny każdemu, kto chciał go słuchać.

Pierwszą rzeczą, jaką ludzie zauważali w Mohammedzie, to jego pechowe podobieństwo do obalonego dyktatora – był starszy i tęższy, ale miał takie same rozbiegane oczy i charakterystyczne wąsy. Kiedy wyznaczono nagrodę za głowę

Saddama, obcy podchodzili do niego i śmiali się: „Amerykanie, znaleźliśmy go, chcemy nagrodę! Śmierć despotcie!” Mohammed uśmiechał się, ale żart stał się męczący; poza tym uważał, że zasługuje na więcej szacunku.

Teraz odszedł od dystrybutora, jego duży brzuch kołysał się pogodnie. Pogawędził trochę z paroma kupcami i próżnymi, bezrobotnymi mężczyznami, którzy rozmawiając, przesuwali palcami paciorki różańców. Usiłował wczuć się w czekające na nich miejsce i wyciągnąć jakiegokolwiek informacje o Abu Muchtarze i jego chłopcach. Oczywiście, mogło to narazić ich tylko na jeszcze większe niebezpieczeństwo, sygnalizując głodnym wilkom, że smaczne mięso kieruje się w ich stronę. W Iraku z każdym wykonywanym ruchem wiązały się różne za i przeciw, a śmierć czaiła się za każdym rogiem.

Kilkoro brudnych dzieci ulicy sprzedawało z tac papierosy i napoje gazowane. Wiadomo było, że takie dzieciaki przekazują słowo o pojawieniu się „obcokrajowców”, dlatego Mohammed miał na nie oko. Obok koza obwąchiwała stertę gnijących odpadków. Słupy latarni leżały połamane, a w ogrodzenie wczepiło się trochę plastikowych worków; przypominały zbiegłych więźniów zaplątanych w drut kolczasty. W pobliżu leżał spalony pojazd, osmalony i wypatroszony; na całej szerokości ulicy stała wielka kałuża. Cuchnęła tak, jakby przy bliższym spojrzeniu miała okazać się otwartym ściekiem.

Danny wspiął się z powrotem do pajero i zerknął na swoje odbicie w lusterku. Wyglądał na tak zmarnowanego, jak się czuł. Na skroniach siwizna szybko postępowała, wokół oczu mnożyły się zmarszczki. Niemal słyszał pytania szepta-
ne przez dwudziestu z hakiem dziennikarzy akredytowanych w Bagdadzie, ludzi o połowę od niego młodszych, z innego pokolenia – czy Lowenstein rzeczywiście nadal jest takim „pistoletem” jak dawniej, czy po prostu kolejnym „weteranem” po terminie przydatności do użycia? Jasne, zdobył Pulitzera, ale to było lata temu, prawda? Bośnia – kto w ogóle pamięta,

o co chodziło w tamtej wojnie? Ciążyły mu wątpliwości. Wciąż czuł rekrucki brak pewności siebie, wykańczającą potrzebę wykazania się jak wtedy, kiedy przed ćwierćwieczem po raz pierwszy wyruszył w drogę.

Mógłby podzielić się wywiadem przeprowadzonym z Abu Muchtarem ze swoimi kumplami – ćpunami wojny, ale miał żelazną zasadę: trzymać się z dala od tłumy, aby się od niego odróżniać, nawet jeżeli „tłum” składał się z najstarszych przyjaciół. Oczywiście, mogła to być pułapka i dlatego w Iraku konsekwentnie nie umawiał się z nieznanymi ludźmi. Z drugiej strony, pomyślał, by w tym okresie spotkać się z jakimkolwiek przywódcą powstańców – nawet średnio ważnym – wprost odurzał. Abu Muchtar nie był gwiazdą terrorystów jak Al-Zarkawi – prawdę mówiąc, nie słyszał o nim prawie nikt poza specami z amerykańskiego wywiadu wojskowego. Mimo to jednak, według Asmata Mahmouda, Muchtar miał żarliwe przekonania, którymi chciałby się podzielić ze światem. Danny mógłby zapisać je na ostro, podkreślając napięcie tak, żeby tekst spodobał się nawet najbardziej zblazowanemu czytelnikowi, znudzonemu ciągłymi walkami i ogłupionemu wojną. Mój Boże, pomyślał, skoro ja mam tego powyżej uszu, to co dopiero oni. Poglądy Muchtara, bez względu na to jak nieciekawe, ostatecznie znajdą się na pierwszych stronach. Ułożył już sobie w głowie najważniejszy fragment tekstu „...powiedział mi w czasie tajnego, niebezpiecznego spotkania w samym sercu bandyckiego rejonu Iskandariji, na południe od Bagdadu...” Teraz chodziło o dopisanie reszty. Bez trudu mógłby sprzedać wywiad swojej starej gazecie „New York Timesowi” albo przerobić go na bardziej ogólny, rozwlekły tekst dla magazynu „Rolling Stone” czy „Vanity Fair”. I doda przynajmniej parę stron wspomnień, które usiłował skończyć.

Ale mimo wszystko złe przeczucia wróciły. Mohammed rozbudził je na nowo.

– No więc jak, panie Danny, jedziemy?

Czemu wciąż musi pytać? I bez tego niezdecydowanie przyprawiało Danny'ego o mdłości. Nawet w tej chwili mógłby wszystko odwołać, wystarczyło jedno słowo. Pamiętał wszystkie momenty w swojej karierze, kiedy stawał w obliczu podobnego dylematu i za każdym razem wybierał trudniejszą drogę. Było ich dwadzieścia z hakiem. Nie mógł się rozluźnić, a już na pewno pozwolić sobie na zapuszczenie korzeni czy posiadanie dzieci. Wziął głęboki wdech.

– Oczywiście, jedziemy!

– W porządku! – Mohammed uśmiechnął się nieszczercze szerokim saddamopodobnym uśmiechem.

Mężczyźni w stojącej kilkaset metrów dalej przerdzewiałej biało-pomarańczowej taksówce przyglądali się im przez lornetki z całkowicie zdecydowaną nienawiścią, nieskazoną niczym tak błahym jak wątpliwości.

Trzy kilometry dalej skręcają na węższą drogę. Danny zastanawia się, czy to jeden ze „szczurzych szlaków”, jak lubili określać je Amerykanie. W najnowszym materiale zasugerował, że nieprzyjaciel zostanie zniszczony, gdy tylko ktoś opracuje dobrą metodę tępienia szkodników.

Koła wzbijają chmury kurzu.

Spokojne drogi. Danny'emu wydaje się, że podróżuje nimi od początku swojej dziennikarskiej kariery i zastanawia się, co go na nich czeka – życiowy materiał czy koniec życia.

Mały, wyliniały pies wyłania się nie wiadomo skąd i zaczyna przebiegać drogę. Paskudnie kuleje.

– Uważaj! – Danny wrzeszczy na Mohammeda, który prowadzi ostro, szybko i zauważa kundla w ostatniej chwili. Próba ominięcia nieszczęsnego zwierzaka jest mało zdecydowana. Łupnięcie, słaby chrząst i jadą dalej. – Musiałeś to zrobić? – Danny nie może zmusić się, by spojrzeć do tyłu na ciało, na kolejne zwłoki w kraju pełnym zwłok. Czy życie stało się tak tanie, że jego ratowanie nie jest warte lekkiego ruchu nad-

garstka? Jeszcze więcej złej karmy, kolejny pech w tym dniu. Najpierw samochód pościgowy, potem benzyna, teraz pies. – Kurwa mać! – mruczy pod nosem.

Samochód ociera podwoziem o kamienie. Tym razem Mohammed klnie głośno; wyrzuca z siebie niezrozumiałe arabskie przekleństwa.

Danny dostrzega przed nimi samochód. Toyota z charakterystycznym białym dachem. Wstrząs, jakby ktoś walnął go mocno w twarz. Wie, co to za auto, poznałby je na kilometr. Dwóch mężczyzn – dziennikarz w środku, ktoś jeszcze – kierowca – klęczy na ziemi i zmienia koło. Bardzo mało czasu, by pomyśleć. Czy Asmat Mahmoud dwa razy puścił w obieg tę historię? Czy zagadkowy Abu Muchtar w rzeczywistości jest medialną dziwką?

– Nie wierzę! Władowali się w nasz pierdolony wywiad!

W pierwszym odruchu Danny chce przejechać bez zatrzymania, ale nie może ich zignorować. Wychyla się przez okno i rozmawia. Jadowite słowa, wzajemna złość. Paskudny nastrój robi się o wiele, wiele gorszy, ale kiedy Danny powiedział już swoje, udaje mu się uspokoić.

– W każdym razie jadę dalej – kończy dyskusję. – A co z wami? Okej?

Pytanie jest starannie przemyślane. Rzucając zdawkowe zdanie, Danny wyraźnie daje znać, że nie interesuje go żaden zawierany w ostatniej chwili układ w sprawie materiału i chce tylko się upewnić, co czeka go dalej.

Ćpun wojny nic nie mówi, odpowiada... właściwie jak? Jakiś niejasny gest: potwierdzenie czy jedynie brak czegoś – powstrzymującej go dłoni, przenikliwego okrzyku: „Jezu Chryste, Danny, nie! Właśnie nas ostrzelano! Nie jedź tam, ani metra dalej!”

Cokolwiek to było, największym błędem, jaki Danny popełnia w czasie swojej wspaniałej kariery, jest uznanie, że to oznacza „tak”. Zanim jakieś dalsze komplikacje zdołają popsuć mu materiał, odwraca się do Mohammeda:

– *Jala! Jala!* – I Mohammed posłusznie dodaje gazu.

Mimo wszystko wątpliwości przyprawiają Danny'ego o zawrót głowy. W młodości nigdy nie dotknęła go klątwa niezdecydowania. Jego ówczesne życie było jak zaczarowane – kulo odporne, niewrażliwe na wybuchy, niepoddające się śmierci. Niektórzy mogli mieć przerąbane, ale nie on. Przyjaciele ginęli – jak żołnierze polegli na polu walki – aż w końcu odnosił wrażenie, że częściej uczestniczył w pogrzebach niż w ślubach. Ale to oni ginęli i zawsze to on przy mównicy kościoła w ich rodzinnym mieście czytał fragmenty Biblii i wygłaszał wzruszające przemówienia, przemyślane słowa pociechy dla rodziców, partnera lub partnerki, ocierał ostatnią łzę, kiedy opuszczano trumnę do grobu. Danny zdawał się przyjemnie odporny na śmierć, zupełnie jakby stanowiła dla niego rytuał, który obserwuje, ale w nim nie uczestniczy. Udowodniła mu to Czeczenia. Wbrew wszelkim przeciwnościom ocalał, choć nie bez szwanku. Poczł tam dotyk śmierci, jej zimne palce na swojej twarzy, kiedy stał i patrzył, jak z dobrego przyjaciela wypływa życie. Zawsze spodziewał się, że pewnego dnia bogowie go ukarzą. Może jakaś jego część uważała, że powinni.

Ale teraz, kiedy ponownie się rozpędzają, czuje na twarzy podmuch gorącego powietrza wdzierającego się przez otwarte okno, zapach drzew eukaliptusowych, i znowu to samo: odjazd, czad, narkotyk. Równie dobrze mógłby dać sobie w żyłę. Nie, nie jestem zmęczony, wyczerpany, nie zamierzam się ustatkować. I tak na marginesie, jeszcze wcale nie jestem skończony.

Nieopodal młody iracki pastuch wędruje bez celu ze swoimi chudymi, brudnymi owcami. Kilka z nich odłączyło się od stada i teraz biegną spłoszone wzdłuż drogi. Jak niektórzy dziennikarze, myśli Danny, przerażeni samą myślą, że oderwali się od grupy.

A potem na tej najbardziej pustej z dróg są tylko oni. Nie ma już owiec ani pastuchów. Przypominają mu się słowa instruktorów na kursie Wrogiego Środowiska w Walsingham Manor, gdzie falujące wzgórza Norfolk przekształcono w sy-

mulowaną strefę walk: „Po prostu zadaj sobie pytanie: gdzie są ci wszyscy ludzie? Jeżeli zwęszyli niebezpieczeństwo, ty też powinienes. A jeżeli nic nie jedzie z przeciwnej strony, powinienes się zastanowić dlaczego”.

Ale materiał go wciąga, zresztą jak zawsze. Trzeba pojechać tylko trochę dalej drogą, za most. Zawsze jest to tylko trochę dalej.

Już niecały kilometr. Przełknij ślinę, Danny, odetchnij głęboko. Wyluzuj! Baw się dobrze!

Kiedy wyjeżdżają z za zakrętu, widzi kilkaset metrów przed sobą zardzewiałe beczki po benzynie przegradzające wąską drogę. Wokół nich kręcą się powstańcy, w sumie sześciu, z twarzami przesłoniętymi różnokolorowymi kefijami – pomarańczowymi, czerwonymi i czarnymi. Wielkie okulary przeciwsłoneczne zasłaniają im oczy. Są uzbrojeni w groźnie wyglądający zbiór pistoletów i AK47.

Mohammed wdepnął hamulec.

– Kim oni są?

– Nie przejmuj się. Po prostu zaszła blokada drogowa. – Danny stara się, by obaj czuli się lepiej. Jest znawcą blokad drogowych: od Sarajewa przez Somalię do Sierra Leone, dobrze zorganizowanych, uprzejmych, a także zachlanych, pełnych chaosu czy też wręcz cholernie niebezpiecznych, obsadzonych jedenastoletnimi afrykańskimi dziećmi nawalonymi trawką, z oczami szaleńców, które mówią: zabicie białasa może być niezłym ubawem, kiedy wariujesz z nudów.

– Blokady, mógłbym napisać o nich książkę – wzdycha.

Gdy pada pierwszy strzał, oczywiście uświadamia sobie, że nie mógłby. Pocisk dziurawi przednią oponę i pajero opada gwałtownie z jednej strony, jak okulały koń. Danny ma desperacką nadzieję, że ludzie w kefijach tylko usiłują ich nastraszyć.

– Cholera! Nie rozumieją, że jesteśmy tu wyłącznie dlatego, że ich przywódca chce z nami rozmawiać?

Widzi, jak inny mężczyzna unosi kałasznikowa, celując teraz trochę wyżej, prosto w nich. Wszystko dzieje się tak szybko, zbyt szybko, a jednocześnie w zwolnionym tempie.

– O kurwa! Do tyłu, Mohammed! Zwiewajmy. Do tyłu, już!

Korpulentna postać kierowcy ani drgnie. Sparaliżowało go przerażenie i nie słucha głosu swojego pana.

– Mohammed, do tyłu! Zrobisz wreszcie, co ci mówię, i ruszysz, kurwa, do tyłu?!

Gdy Danny krzyczy, w przednią szybę trafia seria. Odruchowo kuli się, tak jak robił wcześniej – za każdym razem, kiedy śmierć, według własnego uznania, zwróciła uwagę na co innego.

Ma właśnie wrzasnąć kolejne rozkazy, ale widzi, że Mohammed został odrzucony na oparcie fotela, krew rozprzestrzenia się równomiernie dwoma wyraźnymi plamami na idealnie czystej białej diszdaszy – jedna pośrodku mostka, druga nieco bardziej w lewo. Oczy – oczy Saddama, jak wszyscy żartowali – są szeroko otwarte, szerzej niż Danny u kogokolwiek widział, zwrócone ku górze i oskarżycielskie; usta uchylone, jakby chciały wypowiedzieć ostatnie słowo.

– O kurwa, nie, dobry Boże, nie! Ja pierdolę, nie, pierdolę, nie! – Wypowiedź Daniela L. Lowensteina, mistrza reportażu, zredukowana do monotonnego rytmu przekleństw.

Zsuwa się z fotela w miejsce na nogi, zwijając się jak płód w macicy. Wie, że to zła strategia. W Walshingam wbijano mu do głowy jako jedną z survivalowych mądrości, że pociski przebijają nadwozie równie łatwo jak ludzką skórę. Między seriami ognia z broni maszynowej słyszy mrozące krew w żyłach krzyki powstańców: *Allah akbar!*

Gdyby tylko było trochę spokoju i ciszy, myśli Danny. Gdyby zatrzymał się, żeby porozmawiać z tymi z toyoty, a nie wdawał się w rozważania. Gdyby w ogóle nie jechał tą drogą. Gdyby go ostrzeżono, co ich czeka. Gdyby wsłuchał się w swoje złe przeczucia i niewypowiedziane lęki Mohammeda. Gdy-

by nie zwrócił uwagi na bezwartościowe zapewnienia Asmata Mahmouda w Bagdadzie. Gdyby tylko „ustatkował się”, jak go namawiano, miał dzieci i został z nimi w domu – szczęśliwą gromadką małych Danielów i Danieli. Gdyby nigdy nie został korespondentem wojennym. Gdyby tylko nigdy nie został jakimkolwiek dziennikarzem...

Strzały i krzyki milkną na chwilę – minutę, może zaledwie trzydzieści sekund – ale dla Danny’ego to wieczność. Nie może jej wykorzystać, bo jest obezwładniony strachem i niezdecydowaniem jak Mohammed. Biedny Mohammed. Pięcioro dzieci bez ojca, żona bez męża, dziennikarz bez przyjaciela. „Nic nie może mi się stać”. Farrah wiruje pod drzewem cytrynowym, Sabeen dekoruje masgoufa. Danny nie potrafi się zmusić, by spojrzeć na Mohammeda.

Patrzy na podrapany plastik i ślady błota na dole drzwi pasażera. Błoto z jego szczęśliwych butów kupionych w Silvermans przy Mile End Road przed pierwszą wojną w Zatoce w 1991 roku. Przeżył to i każde następne piekło, w jakim się znalazł, jak więc mógłby je zmienić na inną parę, mimo że podszwy chodziły po masowych grobach, przez pełne chorób obozy dla uchodźców, nie wspominając o obrzydliwych szpitalach Trzeciego Świata? Bóg jeden wie, jakie niebezpieczne bakterie zamieszkiwały te znoszone, gumowe protektory, ale za każdym razem kiedy taksówka dostarczała go bezpiecznie z powrotem do mieszkania, czule odkładał je z powrotem do pudełka, by czekały na następny raz, przekonany, że to one zachowały go przy życiu. Niektórzy czczą krzyż, Danny czcił swoje szczęśliwe buty. Wciąż będzie je miał na nogach, kiedy znajdą jego zwłoki – chociaż jeżeli zginie, z całą pewnością dadzą świadectwo, że katastrofalnie zawiodły. Koledzy pożartują sobie gruboskórnie: „Nie takie znowu szczęśliwe”, kiedy staną nad ciałem, by je zidentyfikować.

Drzwi samochodu otwierają się i oparty o nie Danny wypada na zewnątrz. Znowu rozlega się chór pełnych wdzięczności

okrzyków *Allah akbar!*, tak dobrze znanych z taśm śmierci Al-Kaidy, wznoszonych tuż przed straceniem zakładnika. Nie może zmusić się, by spojrzeć, ale w końcu jego wzrok trafia na dwóch krzyczących najgłośniej uzbrojonych napastników. Jeden z nich odwija kefiję, nie przejmując się, że odsłania twarz, i sam ten gest przytłacza Danny'ego kolejnym brzemieniem strachu.

W twarzy młodego człowieka nie ma nic szczególnego. Przypomina tak wielu Irakijczyków, z którymi Danny spotykał się przez wiele lat – brodaty, ponury, z palcami jak przyspawanymi do broni. Jest niezwykle wysoki, ze szpecącą szramą na czole. Przez ten paskudny ślad po oparzeniu wygląda, jakby go napiętnowano. Wciska lufę kałasznikowa pod nos Danny'ego, dotyka jego skóry gorącym pierścieniem szarego metalu.

– Proszę, nie rozumiecie... Abu Muchtar, wasz przywódca, Muchtar... Jadę się z nim spotkać. *Al-sahaf*. Wywiad? Zażądał go Asmat Mahmoud... wiecie, wielki polityk, Bagdad?

Kolejne „gdyby tylko”. Gdyby tylko lepiej nauczył się arabskiego. Spędził tu wystarczająco dużo lat życia, ale z lenistwa polegał na Mohammedzie, a teraz jego lekarz-kierowca-tłumacz-przyjaciel gapi się tępo w górę i do niczego mu się nie przyda.

Nagle – dar niebios. Ten z blizną, który wciska lufę w twarz Danny'ego, mamrocze coś po angielsku.

– Wy ludzie. Tacy głupi. Przyjeżdżać jednym samochodem i my strzelać. Przyjeżdżać innym samochodem i my strzelać znowu.

– Wspaniale! Mówi pan po angielsku. Och dziękuję, bardzo dziękuję. Proszę posłuchać, muszę wyjaśnić. Nie rozumiecie...

– Nie mówić.

– Ale proszę zrozumieć, jestem dziennikarzem i...

– Wiemy, kim jesteś...

– Dobrze. To naprawdę dobrze. A więc jestem dziennikarzem i mam się spotkać...

– Nie mówić!

Danny uznaje, że najlepiej współpracować. Przyływ optymizmu. Znają go. Znają angielski. Są względnie inteligentni. Zastrzelenie Mohammeda to pomyłka – będą musieli ukarać tego idiotę skorego do pociągnięcia za spust. Drugi raz nie popełnią takiego błędu, bo inaczej zdrowo bekną przed Abu Muchtarem, nie wspominając nawet o Asmacie Mahmoudzie, wspaniałym, miedzianodupym kontakcie Danny'ego.

Poza tym Danny już wcześniej był w opresjach i za każdym razem przynosiło mu to nagrody, a nie drewnianą skrzynkę i grób, którego nikt nie miałby czasu odwiedzić. Przypominał sobie takie sytuacje o włos od śmierci – pozorowaną egzekucję urządzoną mu przez Serbów na drodze do Vukovaru; tłum, który chciał go spalić na rogu ulicy w Kigali, zupełnie jak heretyka zasługującego na stos. No i o oczywiście Czeczenia. Zawsze Czeczenia.

Teraz, jak i wtedy, jest przerażony, ale okazałby brak szacunku dla śmierci, gdyby nie był. Całkowity, wszechogarniający strach to cena, jaką się płaci, jeżeli chcesz sięgnąć po nagrodę. Oczywiście czekają go godziny albo nawet dni niewoli, ale w odpowiednim czasie zostanie wynegocjowane zwolnienie. Potężny Abu Muchtar, postawiony w niezręcznej sytuacji przez swoich nadgorliwych żołnierzy, będzie żarliwie przeproszał i prosił o wybaczenie.

Cios kolbą w głowę wyrywa go z zamyślenia. Znowu mamrocze o Abu Muchtarze, ale teraz jest to bardziej jęk niż zdanie. Albo nie zrozumieli, co mówił, albo się tym nie przejęli.

Przywódca porusza kałasznikowem, podrywając lufę do góry. Daje do zrozumienia, że niewierny ma wstać i odejść od samochodu. Jest coś obcego w oczekiwaniach ludzi, abym klarownie postrzegał świat, myśli Danny.

Kiedy wykonuje polecenie, znów spogląda na małą wypukłość brzucha Mohammeda, na plamy krwi na nieskazitelnie białej szacie, które już się połączyły. Zdaniem porywaczy, nie porusza się wystarczająco szybko. Wysoki z blizną i drugi

uzbrojony chwytają go za ręce z taką siłą, że obawia się, iż wyrwą mu je ze stawów. Powinien wrzeszczeć z bólu, ale strach odbiera mu głos. Milczący bohater. Przeszukują kieszenie jego bojówek; znajdują paszport, oglądają go przez chwilę, potem ciskają na bok. Wiruje w powietrzu i pada pod kątem w piasek. Danny ma wrażenie, jakby odrzucili jego tożsamość. W tym momencie Daniel Leon Lowenstein, urodzony 17 czerwca 1955 roku, przestał istnieć.

Zarzucają mu kaptur na głowę, wyłączając oślepiające irackie słońce. Danny domyśla się, że to jutowy worek, szorstki, drapiący w skórę, cuchnący stęchlizną drażniącą nozdrza. Kojarzy mu się z wiejskim podwórkiem. Jutowy materiał ociera się o dolną wargę, potem o język i teraz Danny czuje też jego smak.

Napastnicy prowadzą go, wrzeszcząc cały czas i kopiać, kiedy nie reaguje na ich niezrozumiałe rozkazy. Danny potyka się jak pijany w ciemności; stracił poczucie równowagi i kierunku, sterowany szturchańcami i pchnięciami luf karabinów.

Wygodnie płaska droga pod stopami staje się coraz bardziej nieprzewidywalna, zmienia się w nierówno poszarpaną skałę. Zabierają go coraz dalej od samochodu, od otuchy zapewnianej przez wszystko, co znał.

Kaptur potęguje strach. Danny'emu kręci się w głowie, raz jest mu straszliwie gorąco, a za chwilę śmiertelnie zimno. Czuje ucisk w piersi, przygniatający ciężar jak przy zatrzymaniu akcji serca. W brzuchu jest tylko papkowata breja, curry Edwina z poprzedniego wieczoru. Stracił panowanie nad wnętrznościami. Zwieracz otwiera się, cofając go do niemowlęctwa albo przenosząc w przyszłość, w głęboką starość. Danny próbuje zacisnąć pośladki, ale się poddaje; pierwszy strumyczek gówna zaczyna sączyć się do bokserek. Nie czuje zażenowania. Nasilają się mdłości, chce zwymiotować, ale nic z tego, ma w ustach tylko przedsmak torsji. Przypomina sobie ubikacje z czasów wojska – te oznakowane literami

„B i W” – ustawione z boku, jak dla trędowatych i przeznaczono dla żołnierzy z biegunką i wymiotami.

Ciało odmawia mu posłuszeństwa, umysł też. Zaprzysięgły ateista, który całe życie gardził religią, teraz modli się żarliwie: Proszę Cię, Boże, obiecuję, że zawsze będę Cię wielbił. Grzeszyłem, ale jestem gotów żałować za swoje grzechy. Och, miłosierny Boże, uratuj mnie. Natychmiast, do kurwy nędzy, już! Nigdy więcej nie postawię stopy w strefie wojny, nie wsiądę do kolejnego samolotu, nie napiszę artykułu, tak mi dopomóż Bóg. Amen.

Ale wie, że tym razem nie będzie ratunku w ostatniej chwili ani materiału, ani sukcesu. Zamiast wręczenia nagrody – pogrzeb. Kusił los o jeden artykuł za dużo, zaryzykował o jeden raz za wiele, a teraz pragnął bardziej niż czegokolwiek na świecie wrócić pod odświeżający, pieniący się hotelowy prysznic i zacząć dzień od nowa.

Pozbawiony widoków mógł jedynie wyobrazić sobie rozmaite warianty swoich losów. Czy zakończą się zaledwie w kilku następnych sekundach pociskiem wpakowanym od niechcienia w potylicę jego zakapturzonej, bezosobowej głowy? I nastąpi jeszcze jedna spośród tak wielu śmierci w irańskiej katastrofie? Albo będzie się to ciągnęło tygodniami, z nieustanną grozą zamknięcia w klatce, przerywaną tylko sesjami wideo, na których zgarbiony i załamany błaga o życie? A na koniec wrzeszczący szalenię zarejestrowany w technicolorze porąbie jego kark? Przypomniawszy sobie różne obrazy – Nicka Berga zamordowanego osobiście przez Al-Zarkawiego; czterech amerykańskich podwykonawców zastrzelonych, spalonych, zmasakrowanych, których szczątki powieszono na moście w Faludży.

Tym razem nie zbiera materiałów, sam jest materiałem. Inni dziennikarze będą krążyć wokół jego trupa. Wyobrażał sobie zimne, niebieskie i zwiotczone ciało leżące na stole w kostnicy pełnej much. Znał dobrze kostnice, był w nich

niezliczoną ilość razy: w Bagdadzie, Grozonym, Gazie, Moga-diszu – wszystkie te wizyty zwały się w jedną. Widział więcej trupów, niż ktokolwiek powinien – setki, może tysiące, a teraz on stanie się kolejnym. W ubraniu, które włożył dziś rano, kiedy ubierał się na śmierć, nawet w tych swoich szczęśliwych butach.

Widzi też pogrzeb. Kto przyjdzie? Oczywiście ópuny wojny, jego przybrana rodzina, uzależnieni od swojej pracy, swoich narkotyków i od siebie nawzajem. Niepocieszona, ale wciąż tak bardzo warta bzyknięcia Rachel w czarnej, obcistej sukni. Becky, tym razem nieroześmiana. Edwin i Kaps, towarzysze broni. Będą też inni – medialni celebryci i paru Wielkich i Dobrych, którzy podziwiali jego pracę: politycy, wydawcy, pisarze. Pojawią się wspaniałe nekrologi, minihagiografie. Niepowodzenia i ekscesy zostaną dyskretnie przemilczane, nikt nie wspomni o wielu grzechach zmarłego. Ostatecznie śmierć stanie się ukoronowaniem jego miłości własnej. Szkoda, że nie będzie w stanie się tym cieszyć.

Brutalne dłonie rzucają go na kolana. Kolba karabinu uderza w usta. Szok przypomina mu dzieciństwo – Lukas go bije, Camille obserwuje. Czuje smak własnej krwi, kwaśny i mdlący. Język odnajduje kilka dziur po wybitych zębach i przez chwilę sonduje szczyrby.

Ostatni akt. Jeszcze jeden zbiorowy okrzyk: *Allah akbâr!*, chóralny zaśpiew dający znać, że nadeszła pora. Kaptur zostaje zerwany z jego głowy, ale Danny nic nie widzi – powieki ma mocno zaciśnięte.

W kark wbija mu się wylot lufy. Strużka kału zmienia się w strumień spływający mu po nogach. Danny dygoce tak mocno, że wygląda to prawie perwersyjnie, jakby się śmiał. Nie ma już wspomnień, przewidywań, żadnych więcej myśli – racjonalnych lub nie. Nie ma pełnych hipokryzji modlitw. Klęczy, kołysze się w tył i w przód tak spazmatycznie, że ledwie słyszy szcęknięcie spustu.

Dżamail, dobroduszny kierownik hotelu, przydzielił im apartament prezydencki. Wyjaśnił, że przekonał właściciela, aby mogli skorzystać z tego pomieszczenia za darmo, chociaż i tak zazwyczaj stało puste. Apartament, podobnie jak kraj, pamiętał lepsze czasy i żaden choć trochę szanujący się prezydent nawet by do niego nie zajrzał. Znajdował się na szczycie wyższej z dwóch wież hotelu Hamra i było widać z niego panoramę miasta, ale wytarty dywan miał plamy po winie i kawie, a na obu sofach widniały ślady przypaleń papierosami. Rachel i Becky siedziały na jednej z nich, patrząc na ponury obraz na ścianie – otoczony lasem wodospad na jakimś innym kontynencie. Początkowo płakały aż do bólu gardła, ale teraz po prostu siedziały zszokowane. Para moskitów atakowała ich uszy, szydząc z żałoby.

Edwin i Kaps tkwili przy kuchennym stole, badając mapę Faludży i usiłując ustalić miejsce, w którym Danny wpadł w zasadzkę. Edwin, dowódca czołgu przekwalifikowany na korespondenta wojennego, był w swoim żywiole i z wojskową precyzją posługiwał się różnymi koordynatami przekazanymi im przez amerykańskie wojska. Palił marlboro, aż niedopałki parzyły go w palce, i sprawnie operował linijką i ołówkiem na amerykańskiej mapie, którą ukradł w Zielonej Strefie.

– Popatrzcie, to musiało być tutaj, koło tego mostu. – Automatycznie przypalił kolejnego papierosa od poprzedniego peta.

– Ale po co miałby tam jechać? – powątpiewa Kaps. – Było tam coś, co mogłoby zainteresować kogokolwiek, a zwłaszcza Danny’ego?

– Och, dajcie już spokój! – krzyknęła Rachel. – Co za różnica, gdzie się to cholerstwo zdarzyło? To go nam nie przywróci, prawda? Nie żyje, tak? A nawet jeżeli został porwany,

to go ubiorą w pomarańczowy kombinezon, wpakują do klatki i...

Wiedzieli, że ma rację. Wszystkich dręczyły myśli o śmierci, nie tylko Danny'ego, ale potencjalnie ich własnej. Tak łatwo mogło to się zdarzyć każdemu z nich i stąd brała się skrywana, przepojona poczuciem winy euforia. Oni wciąż żyją.

Pierwsza dowiedziała się Becky. Właśnie skończyła lunch, kiedy komórka zagrała *Dancing Queen*. Dzwonił Adi, dyplomata. Od kiedy poznała go na koktajlu w ambasadzie, nękał ją telefonami: „chciałbym... może poznać panią lepiej”. Z lekkim obrzydzeniem przypominała sobie jego obwisłe fałdy tłuszczu i fale nieświeżego oddechu. Obrączka na pulchnym palcu informowała, że jest też i wierna żona – nieszczęsna, naiwna kobieta – czekająca na niego w domu na przedmieściach Waszyngtonu. Becky obiecała sobie, że bez względu na poziom desperacji, chęci obudzenia się obok jakiegoś ciepłego ciała, nigdy, przenigdy się z nim nie prześpi. Czy nie mógłby jej złożyć propozycji któryś z jego kolegów? Z tych schludnych dyplomatów z idealnym przedziałkiem i lśniącymi białymi zębami, jeden z klonów Paula Bremera zawsze wyglądających jak gwiazdorzycy reklam środków na porost włosów lub płynów do czyszczenia sztucznych szczęk.

– Hej, Becky, tu Adi.

Słyszając jego głos, poczuła, jak zamarło jej serce. Zaczęła wyszukiwać kategorię argumenty, dlaczego przez następne trzy tygodnie będzie miała zajęte wszystkie wieczory.

– Och, ja... Adi, właśnie miałam...

– Posłuchaj uważnie. Była paskudna strzelanina na którejś drodze na południe od Bagdadu. Niedaleko Iskandariji. Powiem krótko: chodzi o Daniela Lowensteina. To wasz przyjaciel, jak sądzę?

– Tak, oczywiście. O mój Boże.

– Słuchaj, naprawdę mi przykro, ale parę godzin temu jego samochód wpadł w zasadzkę. Według naszych jednostek

tam na miejscu, został ostrzelany. Kierowca nie żyje, a Lowenstein zaginął. Nie ma zwłok, ale to nie wygląda dobrze.

Mimo parnego upału Becky zaczęła dygotać. Wspomnienie przyszło jak zawsze nieoczekiwanie, jak napad w mrocznym zaułku. On znowu umierał, a ona nie mogła się zdecydować. Po tylu latach wciąż słyszała, jak Danny błaga o pomoc, a krew wypływa z niego i wsiąka w śnieg; coraz słabszym głosem woła jej imię – woła, woła, woła – a ona biegnie do niego, podążając donikąd. I teraz, i wtedy był tylko jeden logiczny wniosek – zabiła go.

Dopiero po trzech, czterech minutach uspokoїła się na tyle, by zadzwonić do innych, ale wybierała ich numery wciąż drżącym palcem. Najpierw Rachel, potem Kaps, w końcu Edwin.

Wkrótce zgromadzili się w apartamencie prezydenckim i aż do zmroku, bezustannie i gorączkowo, wykorzystywali dwa hotelowe telefony stacjonarne i własne komórki.

Rozmawiali z „New York Timesem”. Chociaż Danny został wolnym strzelcem, zastępca naczelnego powiedział, że złapie pierwszy samolot i przywiezie ze sobą „śledczego” – faceta, który służył w Siłach Specjalnych. Mógłby działać poza biurem. Starsza siostra Danny’ego miała przylecieć z Dubaju – była tam grubą rybą w jakimś banku inwestycyjnym. Firma podejmowała wszelkie kroki, by dostarczyć ją do Kuwejtu, gdzie wsiądzie do C-130 amerykańskiego lotnictwa wojskowego.

Rozmawiali z leciwymi rodzicami Danny’ego w Pittsburghu. Lukas i Eliza Lowensteinowie pochodzili z Niemiec i kiedy Eliza powtarzała raz za razem „mój chłopczyk”, wciąż słychać było cień niemieckiej wymowy. Uświadomili sobie, że nie zapamiętała go tak jak oni, ale jako małe dziecko, które tuliła w ramionach.

Rozmawiali z Sabeen, wdową po Mohammedzie. „Co stanie się z dziećmi – pytała, posługując się angielskim całkiem dobrze, jak jej zmarły mąż. – Jak je utrzymam?” Becky bardzo chciała ją zapewnić: „Proszę się nie martwić, dobrze się

wami zaopiekują, niczego wam nie zabraknie”, ale nie mogła składać żadnych obietnic, bo Danny nie pracował już dla żadnej organizacji.

Kontaktowali się z iracką policją, amerykańskimi wojskowymi dyplomatami oraz politykami – i co było dla nich nowym doświadczeniem – z prasą. Grupa kryzysowa z ambasady zaleciła blokadę mediów i teraz to ćpuny wojny musiały przekonać swoich kolegów, by ukryli przed światem wiadomość, że jeden z ich grona zniknął.

Większość ludzi z korpusu prasowego też mieszkała w Hamrze. Hotel zasłynął hałaśliwymi imprezami przy basenie, w czasie których dziennikarze, pracownicy pomocniczy, dyplomaci dyskutowali i tańczyli całą noc, a wśród nich brylował Danny. Zaprzestano spotkań na znak szacunku dla niego, ich zaginionego wojownika. Bagdadzkie imprezy ustały. Nikt nawet nie korzystał z basenu. Jakby nagle został skażony.

Dziennikarze zgodzili się na blokadę – a gdyby to któremuś z nich się przytrafiło? Ale mimo wszystko chcieli znać odpowiedzi – później przydadzą się w artykułach. Co on tam robił? Dlaczego nikomu nie powiedział, że jedzie? Czy jego przyjaciele uważają, że został zabity czy porwany? A jeżeli to drugie, to jak oceniają szanse Danny’ego? Teraz same ćpuny wojny poznały, co znaczy próbować odgonić wygłodniałe drapieżne ptactwo.

– W tej chwili naprawdę niewiele mamy do powiedzenia – powtarzali bez końca Edwin i Kaps. Przyjęli taką linię postępowania i zdecydowanie się jej trzymali. – Ambasada i wojskowi oświadczyli nam, że najlepiej nie wdawać się w żadne spekulacje. – Unikali odpowiedzi; dawny Danny buntowałby się przeciwko temu.

Słońce, które przeklinał tego ranka, gasło powoli i nieopłakiwane przez nikogo znikało za wyższymi budynkami Bagdadu. Cienie ludzi wciąż znajdujących się na ulicach wydłużały się; zbliżała się godzina policyjna. Rankiem minie dokładnie jeden dzień od chwili zniknięcia Lowensteina. Jego przyjacie-

le zastanawiali się, czy potem minie tydzień, miesiąc czy rok, aż w końcu wszystkie te rocznice zaczną spływać do oceanu czasu, w którym Danny Lowenstein będzie istniał jedynie jako zacierające się wspomnienie.

W chwili, gdy Camille Lowenstein wyszła nerwowo z herculesa, którym przyleciała z Kuwejtu, zaroilo się wokół niej od ochroniarzy z ambasady obwieszonych M-16 i z berettami przypiętymi na udach. Mieli panoramiczne okulary przeciwsłoneczne, obciste podkoszulki uwydatniające potężne mięśnie i tatuaże opiewające dawne miłości lub jednostki. Nigdy wcześniej nie znalazła się w otoczeniu takiego mnóstwa wielkich mężczyzn i wielkich karabinów. To świat jej brata, uświadomiła sobie. Tu przemoc i strach są normą, a pokój i spokój zostały wygnane do odległej galaktyki.

Obok niej stał Tommy Harper, chudy członek kierownictwa wysłany przez „New York Timesa”, mimo że Danny nie był już na ich liście płac. Harper miał na nosie małe, okrągłe okulary i mocno przyciskał do siebie teczkę. Camille od razu odniosła wrażenie, że jeżeli ona jest tu zupełnie obca, to on też. Obok Harpera stał Munro, mały, muskularny Szkot wynajęty przez gazetę, by dowiedział się czegoś więcej o tym, co stało się z ich wybitnym, byłym korespondentem. Harper powiedział jej pełnym szacunku tonem, że Munro służył kiedyś w SAS: „Wie pani, brytyjskich siłach specjalnych”. I co zamierza zrobić? – miała ochotę zapytać. Wskrzесиć mojego brata, jeżeli go zastrzelono, czy uwolnić go w pojedynkę, jeśli został porwany?

Przy Munrze czuła się dziwnie nieswojo. Zdawało się, że facet nie rozumie, co Camille chce osiągnąć. Nawet ona sama tego nie wiedziała. Postrzegąa Bagdad jako niebezpieczne miasto dla osób, które nie do końca się orientują, co robią; bo tu trzeba mieć pewność, a nie wątpliwości.

Głos matki drżał, kiedy przekonywała córkę, aby pojechała. „Proszę, kochanie. Potrzebujemy cię tam ze względu na

nas, na rodzinę – błagała Eliza Lowenstein. – Bądź co bądź, to twój brat. Kto wie, może zdołasz mu pomóc”. Innymi słowy: zrobisz to, czego nie robiłaś wcześniej. A może Camille wolała to tak interpretować, spoglądając na sprawę przez pryzmat wyrzutów sumienia? Poza tym, nie było wymówki. Camille przebywała w Dubaju, który – jeżeli spoglądało się w Pittsburghu na mapę – leżał tuż obok Iraku.

Camille wywołano z konferencji, by przekazać jej tę wiadomość. Stała w szklanym pałacu, gdzie pracowała, wpatrując się w panoramiczny widok niczego. Chyba powinna płakać, ale łzy nie płynęły. Może to szok, pomyślała; pojawią się później. Poszła do domu, wrzuciła trochę ubrań do walizki i upewniła się, że sekretarka odwołała wszystkie zaplanowane spotkania. Z wyjątkiem obiadu, na który umówiła się z mężczyzną poznanym przed dwoma tygodniami. Camille chciała sama do niego zadzwonić. Nie okazał jakiegoś szczególnego współczucia. Nie wydawał się też specjalnie zmartwiony tym, że jej nie będzie. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat nie mogła pozbyć się myśli, że i tak jest za stara na randki. Kiedy limuzyna z banku wiozła ją obok eleganckich drapaczy chmur Dubaju, Camille zastanawiała się, czy zobaczy swojego brata żywego czy martwego. W każdym razie postanowiła, że nie wróci, dopóki nie zyska całkowitej pewności. Przynajmniej tyle była mu winna. Włożyła słuchawki iPoda i włączyła piosenkę Janis Joplin – zawsze przypominała jej o Dannym. Ale zadała sobie pytanie: czy to niestosowne słuchać muzyki, kiedy ciało jej jedyne brata być może leży gdzieś w rowie?

Na międzynarodowym lotnisku w Bagdadzie pracownik urzędu imigracyjnego w sfatygowanym mundurze nawet nie zajrzał do jej paszportu, tylko machnął ręką, by szła dalej. Spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć: „Jeżeli jesteś aż tak szalona, żeby przyjeżdżać do mojego kraju, to słowo daję, nie zamierzam cię powstrzymywać”. Potem, kiedy Harper i Munro prowadzili ją do czekającej kolumny samochodów, pod-

szedł pulchny dyplomata w białej koszuli i krawacie, żeby ich powitać.

– Cześć, jestem Adi... Adi Duval. – Z lekkim obrzydzeniem Camille spostrzegła dwa ciemne owale potu pod jego pachami. – Robimy wszystko, naprawdę wszystko, żeby znaleźć pani brata. – Adi zapewnił ją, że wywiad wojskowy został włączony do akcji, a satelity szpiegowskie i samoloty bezzałogowe przez dwadzieścia cztery godziny prowadzą poszukiwania. Jeszcze nie ustalono, jakie ugrupowanie jest odpowiedzialne za uprowadzenie Danny'ego, ale mają listę podejrzanych. Analitycy CIA nadali sprawie najwyższy priorytet i wkrótce na pewno to rozgryzą. Danny był „wybitnym amerykańskim obywatelem”, który zasługuje na zaangażowanie wszystkich naszych „najlepszych sił i środków”, ciągnął dalej tonem sugerującym, że w przypadku mniej znaczących właścicieli amerykańskich paszportów poziom usług świadczonych przez rząd mógłby być nieco niższy.

Podał jej kamizelkę kuloodporną i hełm.

– Musi to pani tutaj nosić, panno Lowenstein, choćby w czasie jazdy po mieście.

Camille, Harpera i Munra powieziono z nieprawdopodobną prędkością do hotelu Hamra. Lśniący biały GMC suburban – oczywiście kuloodporny – wił się z piskiem opon pomiędzy piekielnymi szykanami, spowalniającymi ruch na drodze. Na sporadycznych punktach kontrolnych zwykłym śmiertelnikom sprawdzano dokumenty i przekopywano bagażniki, ale konwój Camille przejeżdżał przez nie, jakby była Pierwszą Damą. Gdyby tylko jej brat miał taką ochronę.

Przypomniała sobie scenę – zupełnie nie wiedzieć czemu – jak ośmioletni Danny bawił się w chowanego w ogrodzie ich domu w East Allegheny w Pittsburghu, dzielnicy nazywanej „Deushtown”. Ona, trzy lata starsza, szukała go nadal, mimo że zobaczyła jego stopę wystającą zza ogrodowej szopy. Tak bardzo cieszył się zabawą, że nie chciała mu jej popsuć. Kiedy

wreszcie skoczyła na niego, Danny wrzasnął. Głupio udaje zaskoczenie, pomyślała. Ale nagle dostrzegła to, co zwinęło się w trawie zaledwie kilkanaście centymetrów od niego. Wąż mokasyn obserwował Danny'ego z ponurą dezaprobatą. Przez cały czas, kiedy ona przedłużała poszukiwania, biedny Danny tkwił skamieniały ze strachu. Czując łomotanie w skroniach, złapała kij i odrzuciła węża daleko, między drzewa. Danny patrzył na nią z podziwem. Teraz przypomniała sobie to spojrzenie. Była jego siostrą, większą niż on i o wiele dzielniejszą. Miał absolutną pewność, że nigdy go nie zawiedzie.

Dlaczego więc czuje się, jakby tak się stało? Nie raz, ale znowu i znowu.

Czarne zasłony na bocznych szybach zasłaniały Bagdad, ale przypadkowe migawki wystarczyły; z trudem przełknęła ślinę – a więc tak wygląda miejsce, które widziała w niezliczonych dziennikach telewizyjnych, gdzie Saddam pokazywał, co potrafi, gdzie szok i trwoga rozświetlały niebo, gdzie wyzwolénce wojska wkraczały wśród krótkotrwałego entuzjazmu. Nigdy nie wyobrażała sobie, że zobaczy je na własne oczy.

– Później będziemy mogli zawieźć panią tam, gdzie zniknął Danny. – Adi siedział obok Camille, odór jego stęchłego potu atakował jej nozdrza. – Pierwsza Dywizja Kawalerii wciąż zabezpiecza ten rejon, ale kiedy już skończą, wyślemy tam panią pod zbrojną eskortą. Oczywiście, jeśli tylko pani zechce.

– Koniecznie – odparła Camille.

– Zdajemy sobie sprawę, co pani i rodzina teraz przeżywa, i że oczekuje pani definitywnych rozstrzygnięć. – Dobrał słowa starannie, dając do zrozumienia, bardzo delikatnie, ale od samego początku, że być może będą szukali zwłok.

– Dziękuję. Nie zamierzam wyjechać stąd, dopóki nie znajdę brata, żywego czy martwego.

– Jest naprawdę niezwykłym dziennikarzem. Musi być pani bardzo z niego dumna.

– Tak, dziękuję.

– Znam paru jego przyjaciół. Też mieszkają w Hamrze. Może życzy pani sobie spotkać się z nimi?

Później, już po wszystkim, pomyślała, jak inaczej ułożyłyby się jej sprawy, gdyby powiedziała: „Nie, dziękuję, panie Duval”.

– Tak, to dobry pomysł.

Łagodne światło poranka spłynęło na jatki minionej nocy – nową partię zmasakrowanych zwłok, porzuconych w całym Bagdadzie jak śmiecie czekające na zabranie. Niektóre leżały w zaułkach, inne wśród sitowia nad Tygrysem. Przyjaciele Lowensteina wiedzieli, że tam są trupy, i nie potrafili pozbyć się myśli, że Danny może być wśród nich.

Ćpuny wojny najczęściej cierpiały na bezsenność, ale teraz spanie wydawało się wręcz fizyczną niemożliwością. Ich czujność oznaczała, że mają mnóstwo czasu do wykorzystania, ale praca była obecnie nie do pomyślenia: po co iść opisywać jakąś nową iracką tragedię, kiedy mają własną?

– Kto chce smażone jajka z pomidorami? – Edwin krzątał się w kuchence apartamentu i właśnie nalewał oliwę z oliwek na starą, obdrapaną patelnię. – Robię śniadanie.

– Zawsze coś robisz – odezwała się Becky.

Zmieszał się, więc dała mu spokój.

– Och, no dobrze, czemu nie. Dla mnie dwa sadzone.

Nikt nie miał apetytu, ale jedli, żeby uszczęśliwić Edwina. Uwielbiał gotować dla nich w terenie, a im trudniejsze sytuacje, tym lepiej: Bośnia, Afryka, Czeczenia, nieważne gdzie. To jedna z terapii, która na niego działała.

Kiedy niepotrzebne śniadanie dobiegło końca, zapadła długa cisza. Wszyscy siedzieli pogrążeni we wspomnieniach o Dannym. Nagłe stukanie do drzwi odbiło się echem w pokoju i wyrwało ich z zamyślenia. Becky podskoczyła, jakby usłyszała wystrzał.

W progu stanął Adi z trzema nieznanymi osobami.

– Cześć. Przedstawiam wam Tommy’ego Harpera z „Time-sa” i Jima Munra, który jest tu jako doradca do spraw ochrony. A to Camille Lowenstein, siostra Danny’ego.

Popatrzyli tylko na nią. Wyglądała zupełnie jak Danny; trochę wyższa i starsza, ale z jego rysami i prezencją. Przez chwilę mieli wrażenie, że on jest znowu z nimi, że powstał z martwych. Takie same wyraziste oczy spoglądały na nich przez szkła czarnych, owalnych okularów Dolce & Gabbana, nadających jej surowy, poważny wygląd profesora, którego uwielbia się na uniwersytecie i nie chce mu się podpaść.

Rachel zerwała się z sofy i uścisnęła Camille. Pozostali zachowali się bardziej powściągliwie i po kolei podawali jej rękę i się przedstawiali.

– Dotarła tu pani bardzo szybko – stwierdziła Rachel.

– Mój bank bardzo się postarał, ale jestem trochę oszołomiona. Siedzę w Dubaju, a chwilę później ląduję w Bagdadzie, zupełnie niespodziewanie.

Jej starannie zbudowane zdania z wyraźnym akcentem ze Wschodniego Wybrzeża łatwo wpadały w ucho, dokładnie tak samo jak w przypadku Danny’ego.

Kaps podprowadził kobietę do sfatygowanego fotela, w którym do tej pory siedział, i zrobił jej kawę. Camille przyglądała się twarzom zebranych, szczególnie zwracając uwagę na podpuchnięte, zaczerwienione oczy Rachel i Becky.

– Jak minął lot? – Rachel jak skrępowany gość na koktajlu była wyraźnie zdecydowana prowadzić rozmowę towarzyską. Skulona obok niej Becky milczała.

W ciągu pół godziny, w przerwach między łąkami a zapadającą co jakiś czas ciszą, ćpuny wojny opowiedziały im, co wiedzą o okolicy, w której zniknął Danny, o działających tam ugrupowaniach powstańców i o tym, w jakim stopniu i czy w ogóle Amerykanie kontrolują sytuację w tym rejonie. Pod koniec Harper i Munro podziękowali i powiedzieli, że muszą wykonać parę telefonów.

– Ja też powinnam iść – oznajmiła Camille.

Dlaczego? – można było wyczytać z twarzy Rachel. Co, u diabła, masz tu jeszcze do roboty?

– Proszę zostać – zaproponowała. – To miło porozmawiać o Danny.

Kiedy Harper i Munro wyszli, Camille znów zapytała ópowników wojny, czy się orientują, po co Danny pojechał do Al-Talhy.

– To cała rozkosz i przekleństwo bycia wolnym strzelcem – odparł Kaps. – Nie musisz się spowiadać ze swoich planów, ale kiedy coś się walnie, nikt nie wie, czym się zajmowałeś. Potrafił być dość tajemniczy.

– Naprawdę?

– Przede wszystkim dlatego odszedł z „Timesa”; żeby być wolny duchem. Mówił, że przez tych wszystkich konsultantów do spraw bezpieczeństwa i ochroniarzy z bronią, których trzeba tu mieć, delegatura stała się twierdzą. Przez żołnierzyków takich jak pani przyjaciel Munro.

– Bardzo ryzykował?

Kaps roześmiał się cicho.

– Wszyscy ryzykujemy. Sam pobyt w tym mieście, w tym kraju, to już ryzyko. Ale Danny? Tak, chyba bardziej niż inni.

Podał Camille zaparzoną kawę. Ujęła kubek w obie dłonie, nie zważając na gorąco. Twarda sztuka, pomyślał Kaps i coś mu szepnęło, żeby trochę uważał, co mówi.

– A jak ocenia pan jego szanse? Znacie Irak bardzo dobrze, a ja wcale.

– Okej, bez wciskania kitu – stwierdził Kaps. – Gdyby zdarzyło się to na południu, u szyitów, powiedziałbym, że są duże. Ale tu możemy mieć do czynienia z Al-Kaidą, a zwłaszcza z Al-Zarkawim. A on nie słynie z wyjątkowego miłosierdzia.

Camille wolno pokiwała głową. Była przerażona, że mogliby uznać Danny’ego za Żyda – ludzie często tak sądzili z powodu nazwiska, ale w rzeczywistości Lowenstein to miasto w Niemczech, skąd pochodzili ich rodzice.

– Byliście blisko z Dannym? – zapytał Kaps. Nie przypomniał sobie, by Danny kiedykolwiek wspominał o siostrze.

– Niestety niezbyt. Inne światy; ja w Dubaju, on w tych wszystkich strefach wojny.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– To zabrzmiało głupio, ale chyba kilka lat temu.

Wstydziła się przyznać, że w rzeczywistości to dwanaście lat. I nie chciała być zmuszona do odpowiedzi na pytania, które takie stwierdzenie mogłoby wywołać. I tak wyczuła falę zdziwienia, która przetoczyła się przez pokój.

Konkretnie to było dwudziestego drugiego czerwca 1992 roku. Zapamiętała nie tylko datę, ale też jego ostatnie słowa, zanim odłożył słuchawkę: „Nie sądzę, żebyśmy mieli sobie cokolwiek więcej do powiedzenia. Wiem, że powinienem cię kochać, ale prawdę mówiąc, nawet niezbyt cię lubię. Lepiej już więcej nie dzwoń”.

Przez resztę tygodnia Camille była zajęta w ambasadzie. Adi zameldował, że Pierwsza Dywizja Kawalerii zgarnęła w pobliżu Al-Talhy bandę miejscowych oprychów i wywiad wojskowy przesłuchuje ich ostro, ale jak dotąd bez rezultatów. Blokada informacji została zniesiona i chciał, aby Camille nagrała apel, który zostałby nadany w telewizji Al-Arabija, ale jeszcze nie potrafili ustalić, o co miałyby prosić: o oddanie zakładnika czy ciała? I jak to powinno brzmieć? W czasie telekonferencji z Waszyngtonem FBI radziło, by była twarda, natomiast człowiek z Departamentu Stanu namawiał do przyjęcia pojednawczej postawy. „Proszę pamiętać, że może pani mieć jego życie w swoich rękach”, oznajmił głos z DC.

Po spotkaniach w ambasadzie Harper wracał do delegatury „New York Timesa”, gdzie się zatrzymał, a Munro z radością spotykał się z dawnymi kumplami z SAS, zatrudnionymi w rodzącym się w Bagdadzie przemyśle ochroniarskim. Camille jadła obiad w Hamrze i spędzała czas z przyjaciółmi

Danny'ego. Poznawanie ich było dobrym sposobem poznawania jego. Fascynowali ją, jak rzadkie okazy w zoo, tak niepodobni do wszystkich żyjących na obczyźnie ludzi z jej świata, którzy nic nie robili i nic nie widzieli. Z kolei ci ludzie – wyczytywała to z ich oczu – widzieli wiele. Może za wiele.

– Był w dobrych rękach, od kiedy... no... od kiedy po raz ostatni się z nim widziałaś – powiedziała pewnego wieczoru Rachel. – Był... to znaczy jest... naszym dobrym przyjacielem.

Nikt inny się nie odezwał. Camille zaczęła się przyzwyczajać do tych ziejących dziur w konwersacji.

– Czytałam od czasu do czasu jego rzeczy – oznajmiła po jakiejś minucie. – To znaczy... wiem, że dobrze pisze.

– Wyjątkowo dobrze – podkreśliła Rachel. – I był nieźle nakręcony. Nie uwierzyłybyś.

– Sądzę, że mogłabym. Determinacja to cecha Lowensteinów i nie zawsze najzdrowsza. Ale proszę, mów dalej. Dobrze być z ludźmi, którzy najlepiej go znali. Jak się ze sobą zetknęliście?

– Chyba los nas połączył – odparła Rachel ze smutkiem, ale i z uśmiechem. – Przypuszczam, że mieliśmy wspólne upodobania, wspólnego ducha.

– Ducha?

– Cóż, powiem ci, jak kiedyś przestawił to Danny. Pamiętam doskonale, leżeliśmy na dachu w Mogadiszu. Hotel Al-Sahafi, jak zawsze oświetlony księżycem i pociskami. Danny mówi: „Przeżywamy więcej przez rok niż większość ludzi przez całe życie”. Brzmiała w tym pewna arogancja, którą uwielbiałam; jakbyśmy byli lepsi od zwykłych śmiertelników.

Przez jakiś czas ciszę w apartamencie prezydenckim przeływały tylko pokastywania i chlipania; przez okna próbował się wcisnąć odległy hałas ruchu ulicznego w Bagdadzie.

– A kiedy Danny to powiedział, przypomniałam sobie, jak miałam z dziesięć lat, spędzałam z rodzicami wakacje na zachodnim wybrzeżu Irlandii. Siedzieliśmy na plaży, nad jeziorem. Miejscowi budowlańcy przyjeżdżali wielkim traktorem

z przyczepą i kopali piasek. Potrzebowali go do robienia betonu i nie rozumieli, dlaczego mieliby z niego nie skorzystać. Poszłam do nich i powiedziałam: „Ale nie możecie kraść plaży, nie możecie kraść piasku”. Uśmieli się jak norki z głupiej amerykańskiej dziewczynki i odwrócili do mnie plecami. Powtarzałam Danny’emu, że zachowujemy się nie lepiej od tych facetów, że też jesteśmy złodziejami piasku. Wyobrażałam sobie klepsydrę; gdzie przesypujesz piasek z jednej części do drugiej, żeby odmierzyć czas. Tak to widziałam: kradniemy piasek i czas, bo każdy dzień w naszym życiu jest cholernie bogaty, a każdy rok trwa bardzo długo. Danny kochał to, absolutnie uwielbiał. Od tego momentu zawsze nazywał nas złodziejami piasku.

– Kiedy spotkaliście się pierwszy raz?

W oczach Rachel pojawił się błysk. Łzy wyschły, kiedy wróciła pamięcią do dnia, kiedy wszystko się zaczęło.

– W 1994 roku. Przynajmniej w moim przypadku. Inny wiek, inne tysiąclecie. Prawdę mówiąc, twój brat mnie zainspirował. Nie jestem pewna, czy gdyby nie on, zostałamby dziennikarką. Miałam zaledwie szesnaście lat, kiedy zaczęłam czytać jego rzeczy. I już pragnęłam robić tylko to co on, widzieć to co on. Pojechałam tam, gdzie wiedziałam, że jest, ot tak, po prostu. Pewnego dnia wstałam i wyruszyłam do Bośni.

Jej przyjaciele poruszyli się z zakłopotaniem, zastanawiając się, czy nie powinni przerwać tych wspomnień, ale było już za późno.

3

Bałkany, styczeń 1994

Rachel Kelly miała zaledwie dwadzieścia trzy lata, kiedy przyjechała przez Budapeszt do Splitu. Chorwacki port był

położoną na tyłach przechowalnią tych wszystkich korespondentów wojennych, którzy marzyli o występie w Sarajewie, teatrze ich marzeń, ale nie mogła pozbyć się uczucia lekkiego rozczarowania. Przyjechała obserwować wojnę, a jak dotąd zetknęła się tylko z monotonną, pokojową codziennością. Na zatłoczonych ulicach Splitu słychać było dzwony i handlarzy, ale co ze świetlistym trzaskiem broni strzeleckiej i grzmotem artylerii? Rześkimi porankami Rachel wdychała czyste, świeże powietrze zamiast kordytowego dymu materiałów wybuchowych i nie pachniało to dobrze.

Mieszkańcy Splitu wciąż ledwo mogli uwierzyć w swoje szczęście. Ominęło ich bałkańskie piekło i każdego dnia cieszyli się, że żyją. Byli pięknymi ludźmi w pięknym mieście. Rachel wyobrażała sobie, jak musiało wyglądać kiedyś Sarajevo – wspaniały obraz, rozdarty teraz przez wojnę. Przyglądała się młodej parze migdalącej się bez skrępowania przed jej hotelem. Całowali się w sposób, który świadczył, że doceniają pokój i są zdecydowani wykorzystać go jak najlepiej. Gdyby urodzili się parę kilometrów dalej na wschód, walczyliby teraz – albo zabijaliby, kaleczyli, gwałcili, albo byliby zabijani, kaleczeni i gwałceni. Uliczne pieszczoty w zimowym słońcu wydawały się nieskończenie lepsze.

W porze lunchu Rachel z radością przechodziła odprawę przed lotem z oenzetowską pomocą dla Sarajewa i wrzucała na wagę torbę i plecak.

– To waży za dużo – oświadczył żołnierz z Norweskiej Kontroli Ruchu, czyli NorKoRu w oenzetowskim żargonie. Superblondyn o nieco kobiecej twarzy bardziej pasowałby do lśniącego skandynawskiego lotniska z wypolerowanymi podłogami, drogimi sklepami i barami. – Pani limit to dwadzieścia kilogramów. Przykro mi, ale jest dwadzieścia trzy. – Rachel uznała go za uosobienie precyzyjnej europejskiej skuteczności, której żadna ilość nie była w stanie ocalić tego zakątka

kontynentu od pogrążenia się w wojnie domowej. – Proszę pozbyć się trzech kilo. Dziękuję.

Posłała spojrzenie, które miało go zmiękczyć, tak jak zmiękczało innych żołnierzy w późniejszych wielu latach wojen, które dopiero czekały Rachel Kelly, młodą wojowniczkę z Arlingtonu. Norwegowie, pomyślała. Mili, nawet kiedy usiłują być wredni.

– No dobrze, ale tylko dzisiaj – zaznaczył, przybijając na jednej z wielu czystych stron paszportu wielką niebieską pieczęć z intrygującym napisem: „Linie Lotnicze Być Może, Sarajewo”. – Nie ma jednak gwarancji, że znajdzie się dla pani miejsce. P3 mają najniższy priorytet.

– P3?

– Dziennikarze. Ludzie tacy jak pani – oznajmił z jawną rozkoszą, zadowolony z aluzji, że dziennikarze nie są godni czyścić butów niektórym innym bohaterom z dzisiejszego rejsu: rozjemcom, lekarzom i działaczom organizacji humanitarnych. – Damy znać, jeżeli coś będzie.

Ale Rachel musiała lecieć do Sarajewa. Czuła, że już i tak strasznie się spóźniła na tę wojnę szalejącą od dwóch lat. Nie mogła sobie pozwolić na stratę kolejnego dnia.

Znalazła połamane plastikowe krzesło koło grupki gawędzących ze sobą fotoreporterów. Aparaty wisiały im na karkach niczym dojrzałe owoce, inne leżały u stóp, jakby właśnie spadły z drzewa. Mieli ogorzałe twarze zahartowanych w walce wojowników i sposób bycia ludzi, którzy widzieli wszystko, co jest do zobaczenia na tym świecie. Rachel nie widziała niczego, więc czuła się onieśmielona. Byli wysocy, z kilkudniowym zarostem, z oryginalnymi szalami i kolczykami tu i ówdzie, ale siedziała z nimi też kobieta, dlatego Rachel odważyła się do nich podejść.

– Hej, posłuchajcie. Przepraszam, że zawracam wam głowę, ale czy przypadkiem wybieracie się do Boz?

Boz? Nikt, kto kiedykolwiek był w Bośni, nie wpadłby na pomysł, by tak ją nazywać, a brzmiało to jeszcze gorzej wypo-

wiedziane z niefrasobliwym amerykańskim akcentem. Boz, na litość boską! Przez chwilę mierzyli wzrokiem tę nową dziewczynę, tak oszłamiająco pełną entuzjazmu: ładna, z prostymi kasztanowymi włosami do ramion, z przedziałkiem z lewej strony, z mnóstwem piegów na zadartym nosie. Piegów powinny zniknąć dawno temu, ale uparcie tkwiły na swoich miejscach.

– Boz? – zapytała kobieta. Nieumalowana, w czarnej, wełnianej czapce i podartej niebieskiej kurtce z goreteksu. Próbowała ukryć swoją figurę, o wiele masywniejszą niż u Rachel i niekorzystnie wypadającą przy porównaniu. – Aha, rozumiem. Chodzi ci o Bośnię?

W głowie Rachel kłębiło się zbyt wiele myśli, by zdołała wykryć ironię.

– Tak, chcę załapać się na rejs, ale chłopaki z ONZ-etą mówią, że mamy niski priorytet.

– No jasne! – Wymowa kobiety była barbarzyńsko australijska, wyszlifowana gdzieś w buszu. – Jesteśmy pasożytami, najgorszymi mętami. Z drugiej strony, niewielu szaleńców zamierza dostać się do Sarajewa. To znaczy, jeżeli samolot w ogóle tam doleci. Nie przypadkiem nazywają to „Liniami Lotniczymi Być Może”.

– Taką pieczętkę wstawili mi w paszporcie.

– Może dadzą ci miejsce, może nie. Może wystartuje, może go zestrzelą...

– Zaryzykuję – oświadczyła Rachel. Ta zimna determinacja nawet spodobała się Australijce. Pamiętała, jak dwa lata temu leciała pierwszy raz do Sarajewa.

– Jestem Becky. Becky Cooper. Właśnie szłam do tej gównianej kawiarenki. Wziąć ci coś? Cokolwiek wlewają do kubka, dodają mniej więcej pół worka cukru. Jeżeli to cię nie załatwi, to pewnie już jesteś martwa.

Roześmiała się krótko, co – jak zorientowała się później Rachel – było punktem kulminacyjnym każdej jej wypowiedzi.

Używała śmiechu jak złej interpunkcji – przypadkowo, nawet jeżeli nie czuła się szczęśliwa albo nie powiedziała niczego zabawnego. Twarz miała okrągłą i rozświetloną wielkim, białym uśmiechem, który chyba nigdy jej nie opuszczał. Po jakimś czasie Rachel zaczęła dostrzegać kryjący się za nim smutek.

Becky odeszła od grupy, która już przestała interesować się Rachel – albo przynajmniej udawała – i obie kobiety uściśniły sobie dłonie. Mocno, jak mężczyźni.

– Świetnie, dziękuję. A przy okazji, jestem Rachel Kelly. Dla kogo pracujesz?

– Dla Sigmy. Sprzedają dalej moje kawałki. Zazwyczaj „Newsweekowi” w Ameryce albo „Sternowi” w Niemczech. Zasadniczo każdemu, kto zapłaci.

Rachel była pod wrażeniem. „Newsweek” od lat traktowała jak swoją cotygodniową biblię. Brała go do łóżka, kiedy jej przyjaciółki czytały czasopisma dla nastolatek o muzyce pop, szczeniackiej miłości i pierwszym seksie.

Becky zapłaciła za dwie małe kawy plikiem wilgotnych, wymiętych banknotów. Kiedy znalazły stolik, zerwała z głowy wełnianą czapkę. Od tyłu oświetlało ją bałkańskie słońce, przedzierające się przez brudne okna lotniska. W dół opadła masa skłębionych loków, ogniście czerwonych i mocno kontrastujących z bardzo białą skórą. Rachel natychmiast pomyślała o królowej Elżbiecie Pierwszej, Królowej-Wojownicze. Kiedy kilka dni później użyła tego porównania, Becky nagle posmutniała. „Raczej Królowa-Dziewica”, powiedziała.

– W każdym razie miło cię poznać, Rachel Kelly. A ty u kogo jesteś?

– Szczerze? U nikogo. To moje pierwsze zagraniczne zadanie. I tak naprawdę sama je sobie wyznaczyłam.

– Mój Boże, odważnie.

– To coś, co chciałam robić... – przerwała, a potem wymamrotała, trochę z nadzieją, że Becky nie usłyszy: – ...od tak dawna.

Becky była rozbrojona. Coraz bardziej lubiła tę młodą Amerykankę. To właśnie podobało jej się na wojnie – możesz spotkać kogoś i zaprzyjaźnić się w kilka dni, a nawet godzin. Spinoza, jeden z siedzących w holu fotoreporterów, nazywał to fastfoodową przyjaźnią.

– Cóż, trzymaj się mnie, a pokażę ci co i jak.

Rachel powoli opuściło napięcie. Popijając gęstą, przeraźliwie słodką kawę po turecku, wyjaśniła, jak rzuciła lokalną gazetę w Arlingtonie – „nudną szmatę” – i wzięła teczkę z kontaktami do kilku większych i jednym zamiarem do mało znanego miesięcznika zajmującego się sprawami zagranicznymi. Na razie powinno wystarczyć.

– A teraz Sarajewo? Niezłe miejsce na praktykę.

– Prawdę mówiąc, jestem leniwa. Nie cierpię myśli o wdrapywaniu się na kolejne szczeble... o tych wszystkich szkoleniach, podaniach o pracę i rozmowach kwalifikacyjnych. Po prostu to mi nie leży. Nie chcę być bezczelna, ale dlaczego mam czekać dziesięć czy dwadzieścia lat, żeby faceci z „Newsweeka” albo „Posta” zrobili ze mnie korespondenta zagranicznego, kiedy mogę sama dać sobie przydział. Właśnie tu i teraz.

– Uhm. I nie chcesz być bezczelna! Cóż, wszystko wydaje się śmiesznie proste. – Becky ze sceptyczną miną zamieszała kawę, ale dostrzegła w oczach Rachel takie pragnienie, by zobaczyć Sarajewo, jakie sama kiedyś czuła. – Tak naprawdę sądzę, że to jest dość proste. – Becky dała upust australijskiemu entuzjazmowi „da się zrobić”. – W tej branży człowiek sam wykuwa swoje szczęście. Jeżeli masz odrobinę talentu, Sarajewo pomoże ci zabłysnąć. Bądź co bądź, cały świat na nie patrzy. Widzi miasto, ale za naszym pośrednictwem.

Usta Rachel rozciągnęły się w uśmiechu. Od tak dawna w nią wątpiono. A teraz wierzy w nią profesjonalistka i do tego z Bośni. Być może jej marzenia nie były aż tak szalone.

Becky zauważyła przezroczystą, plastikową teczkę Rachel wypchaną plikiem skserowanych wycinków, wyświechtanych

od nieustannego czytania i przeglądania. Kiedy zaczęła je kartkować, Rachel poczuła się nie tylko jak nowa, ale co gorsza jak frajerski kujon przyłapany z pracą domową.

– Masz tu tylko dzieła zebrane Danny’ego Lowensteina!

– Lubię jego teksty. Są takie... no wiesz... emocjonalne.

– Taa, emocjonalne. I niekiedy wymyślone.

– Naprawdę?

– Nie, nie naprawdę. Po prostu jestem zazdrosną suką.

Czasami coś takiego łapie się w Sarajewie!

– Znasz? To znaczy Daniela Lowensteina?

– Danny’ego, nie Daniela. Oczywiście. Wszystkie dziewczyny go uwielbiają.

Obie z samozaparciem wypiły ostatni łyk. „Wszystkie dziewczyny go uwielbiają”. W ciągu przyszłych długich lat bólu i przyjemności Rachel przekonała się, że to nie wyrażenie opinii, ale stwierdzenie faktu.

Kiedy wywołano rejs, Becky i Rachel były jedynymi z grupy dziennikarzy, którym pozwolono wejść na pokład – ku konsternacji pozostałych fotoreporterów. Damy mają pierwszeństwo! Uśmiechnęła się do nich Becky.

Rachel przeszła przez pas startowy do samolotu jak stara garbata kobieta. Uginała się pod ciężarem plecaka, do którego wepchnęła nie tylko dzieło Danny’ego – liczącą czterysta trzydzieści dwie strony relację z rozpadu Bałkanów – ale też możliwie dużo ubrań, w tym pokaźny zapas bielizny na wypadek, gdyby okazało się, że nie może robić prania. Były tam też przemysłowe ilości mydła, dezodorantów, kosmetyków, perfum i tamponów, a także – przeznaczona na łapówki – papierosy i czekolada, nawet jeżeli pokusa, aby ją zjeść sama, okazała się nie do pokonania. Miała również sześć notesów, laptop z wszelkimi niezbędnymi kablami, latarkę, baterijki i krótkofalowe radio – jej kontakt ze światem.

Becky objęła ją ramieniem, kiedy szef pokładu pomagał im wcisnąć się przez wąskie drzwi maszyny. Silniki ryczały coraz głośniej i Rachel nie mogła ich przekrzyczeć, ale obdarzyła Becky jednym ze swoich niebiańskich uśmiechów, oznaczających zarazem „dziękuję” i „będzie świetna zabawa”.

– Następny przystanek: Sarajewo! – zawołał głośno szef pokładu, kiedy samolot kołował na start. Następny przystanek w twoim nowym życiu, Rachel Kelly. Dał jej wymiętoszone żółte zatyczki do uszu i pomógł zapiąć skomplikowane czteropunktowe pasy.

Hercules oderwał się od ziemi, widowiskowo rzucając wyzwanie prawu ciężkości. Becky niemal natychmiast zasnęła jak zmęczony człowiek jadący do pracy.

Pasażerowie siedzieli stłoczeni na wąskich, brezentowych siedzeniach ustawionych w długim rzędzie. Przeważnie byli to działacze organizacji humanitarnych lub urzędnicy z UNPROFOR, UNHRC* i innych, oszałamiająco licznych agencji ONZ, ukrywających się pod różnymi skrótami. Większość wkrótce miała już zamknięte oczy, natomiast Rachel od chwili wejścia na pokład nigdy nie czuła się bardziej pobudzona. Próbowwała wyglądać przez maleńki iluminator za plecami, ale tylko od czasu do czasu dostrzegła w dole bałkańskie wzgórza i doliny i cały czas zastanawiała się, co dla niej szykują. Kiedy hercules osiągnął wysokość przelotu, wzdrygnęła się i pozazdrościła Becky jej nieeleganckiej wełnianej czapki.

Pod koniec trasy samolot nagle runął w dół samobójczym lotem nurkowym. Żołądek Rachel wykonał gwałtowną ewolucję. Od początku podejrzewała, że ta maszyna jest po prostu za duża i nie wyniknie z tego nic dobrego.

* UNPROFOR – United Nations Protection Force. Siły Ochronne Narodów Zjednoczonych – misja pokojowa na terenie byłej Jugosławii działająca od 21 lutego 1992 do 31 marca 1995 roku. UNHCR – United Nations High Commissioner for Refugees, Wysoki Komisarz ONZ ds. Uchodźców (przyp. tłum.).

Becky poruszyła się wolno.

– Nie przejmuj się! – ryknęła do ucha Rachel. – To na wypadek, gdyby ktoś chciał do nas postrzelać. „Linie Lotnicze Być Może”, rozumiesz?

Samolot wyrównał w ostatnim momencie i Rachel po raz kolejny spojrzała przez ramię – w samą porę, by zobaczyć migające w dole poczerńiałe domy bez dachów i poszarpane ruiny zmasakrowanych wieżowców.

– Witaj, wojno – mruknęła pod nosem przy akompaniamencie ryku silników.

Na Sarajewo spokojnie padał śnieg, próbując ukryć przed światem koszmarnie widoki.

– Dokąd teraz? – spytała Rachel.

– Och, zawiozą mnie do miasta – oznajmiła Becky. – Nas zawiozą.

Minęło nużące dwadzieścia pięć minut oczekiwania, zanim w końcu się zjawił.

– No, nareszcie. – Becky objęła go na krótko. – Oto Rachel, twoja rodaczka. Musisz być dla niej bardzo miły, to jej pierwszy raz... że tak powiem. Rachel, poznaj Daniela L. Lowensteina, dziennikarza, laureata wielu nagród, a dziś naszego kierowcę.

Rachel podała mu rękę zaskoczona, bo Becky nie wspomniała, że się z nim spotkają. Nie mogła się powstrzymać, by nie porównać twarzy stojącego przed nią człowieka z doskonale oświetlonym, starannie upozowanym zdjęciem na okładce. W rzeczywistości wyglądał bardziej grubiańsko, nieogolony i nieuczesany, z charakterystycznym dołeczkiem na brodzie, prawie całkowicie ukrytym pod szczecinę zarostu. Oczy miał w głębokim, niemal czekoladowym odcieniu brązu. Ładne, ale nie zatrzymały się na niej długo. Sprawiały wrażenie mało zainteresowanych nową dziewczyną i rozglądały się dookoła.

Wzbudzał w niej strach, ale stanowczo postanowiła, że nie da się zmiażdżyć. To byłoby szczeniackie, a przede wszystkim

chciała, by traktowano ją poważnie. Miała nadzieję, że zostanie przyjaciółmi, chociaż całkiem możliwe, że jako arystokrata dziennikarstwa nie będzie tracił czasu na żadną praktykantkę.

– Cześć – rzucił niedbale.

Nie wiadomo skąd nadleciał pocisk mózdzierzowy – eksplodował niedaleko, ale według rygorystycznych standardów Sarajewa, również niezbyt blisko, w odległości jakichś dwustu metrów. Rachel wzdrygnęła się mimowolnie. Nikt inny nawet się nie poruszył.

– Będą spadały o wiele bliżej – oznajmił Danny. – Mówią, że zabija ten pocisk, którego nie słyszysz.

– Nie przejmuj się – dodała Becky. – To takie serbskie powitanie. Po prostu cieszą się, że tu wpadłaś. W kilka miesięcy nauczysz się rozpoznawać, czy nadlatuje, czy odlatuje, czy to pocisk artyleryjski, czy mózdzierzowy, produkcji rosyjskiej czy chińskiej.

Rachel skinęła głową. Nawet jeżeli to był zabłąkany pocisk, dla niej stał się pierwszą dawką narkotyku wojny i natychmiast się uzależniła. Ochoczo wsiadła na miejsce obok kierowcy w opancerzonym land-roverze Danny'ego.

– Niewiarygodne – szepnęła, kiedy ostrożnie jechali między zdruzgotanymi budynkami w śródmieściu: poczerniałe kikuty mieszkalnych wieżowców; szczęśliwe domy, teraz nienadające się do zamieszkania, o ścianach pokrytych wysypką śladów po pociskach karabinowych, zwęglone krokwie zamiast dachów, zasłony pokojów dzieciennych powiewające w niesionym wiatrem śniegu niczym flagi kapitulacji. Kosmopolityczne miasto, które swego czasu promieniało dumą jako gospodarz zimowych igrzysk olimpijskich, zrujnowane niemal za jednym zamachem.

– Będzie gorzej – obiecał Danny. Siedział skulony nad kierownicą, wycieraczki gorączkowo usiłowały oczyścić szybę ze śniegu.

– Gorzej? To już wygląda jak Berlin w czterdziestym piątym.

– Minęło pół wieku i *plus ça change** – Głos miał chrapawy. Dla niej to był wyraźny sygnał: Nowy Jork, Yale, demokracja. – Zupełnie jakby dawne nienawiści zostały zamrożone, a teraz odtajały i ożyły na nowo.

Kiedy się rozejrzała, zrozumiała, o czym myślał: wszystko migotało w czerni i bieli, jak na drgającej, podrapanej taśmie kroniki filmowej. Twarze, które widziała, pochodziły z przeszłości, ale zostały przerzucone do współczesnej Europy końca XX wieku. Co ci ludzie mogą wiedzieć o telefonach komórkowych, U2 czy REM? To nie ich miejsce.

– To bardziej więzienie niż miasto – mówił dalej Danny, jakby cytował fragment swojego artykułu albo książki. – Trzysta tysięcy osadzonych bez szansy ucieczki; i kto wie, kiedy ich wyrok się skończy? Najlepsze, na co mogą tu liczyć, to przetrwanie. Obserwuj ich: po prostu wygrzebują wszystko z ruin. Wegetują.

Patrzyła na mijanych mieszkańców Sarajewa. Niektórzy pchali taczki z drewnem na opał pochodzącym z drzew ściętych nad rzeką Miljacką albo z porozbijanych mebli. Inni ciągnęli sanki załadowane butelkami i plastikowymi pojemnikami na wodę. Czytała historie o ludziach, którzy przetrwali, żywiąc się ślimakami, sosnowymi igłami i żywicą z jodeł. Miał rację: sygnalizowali sobie nawzajem, w milczeniu wzruszając ramionami: „wciąż jeszcze żyję”, jakby samo to było wielkim osiągnięciem.

– Wiesz, Rachel, na czym naprawdę polega różnica między nimi a nami? Możemy przyjeżdżać i wyjeżdżać, mamy oenozetowskie akredytacje i prawie zawsze kiedy zechcemy, polecimy Liniami Lotniczymi Być Może, a oni się stąd nie wydostaną, dopóki wojna się nie skończy.

* *Plus ça change, c'est la meme chose* (fr.) – Im bardziej rzeczy się zmieniają, tym bardziej pozostają takie same (przyp. tłum.).

Rachel pomyślała, że lepiej mu nie mówić, że ona wcale nie zamierza opuszczać Sarajewa.

– A teraz jedziemy aleją Snajperów. – Danny występował jako przewodnik jedynej w swoim rodzaju wycieczki po piekle. – Spójrz na te bloki mieszkalne. Siedzą tam Serbowie i strzelają do wszystkiego co się rusza; bezimiennie skurwysyny bez twarzy.

Widziała ludzi idących nerwowo pod osłoną budynków, a potem zbierających się w małe grupki i patrzących na drugi brzeg Miljacki, jakby mogli stąd dostrzec snajperów terroryzujących ich za każdym razem, gdy odważyli się pojawić. Nagle podejmowali ryzyko i biegli przez otwartą przestrzeń, aż docierali do tymczasowego schronienia za następnym domem. Stary mężczyzna zmuszał swoje zmęczone nogi, by poruszały się tak szybko, jak za młodu; matka, ciągnąc za sobą dziecko, usiłowała biec zygzakiem po odśloniętej ulicy.

Becky zaczęła zapinać pasek hełmu. Rachel zastanawiała się, czy też powinna założyć hełm i kamizelkę kuloodporną. Danny nie miał na sobie żadnego wyposażenia ochronnego. Później Rachel dowiedziała się, że była to jego zasada moralna – skoro zwykli ludzie w Sarajewie muszą obywać się bez kevlaru chroniącego głowę i serce, to on również.

– To miejsce, gdzie staję się królem kierowców wyścigowych.

Jak każdy praworządny obywatel, Rachel zapięła pasy, a Danny szybko przerzucił bieg i wdepnął pedał gazu. Skręcając, czasem poślizgiem omijał leje, przewrócone latarnie, zniszczone autobusy i tramwaje; wypalone, posiekane pociskami pojazdy tych wszystkich wyścigowych kierowców, którym nie udało się dotrzeć do flagi w biało-czarną szachownicę. Pod świeżym śniegiem leżał w zasadzce czarny lód, gotów załatwić ich tak samo jak Serbowie.

– Wiesz co?! – zawołał, przekrzykując wycie przekładni. – Najbardziej się boję, że tu głupio zginę.

– A wolałbyś jak? Bohatersko? – zapytała Becky z tylnego siedzenia.

– Tak, bohatersko. Pocisk snajpera albo z moździerza. Chcę, żebyście wysmażyli mi nekrolog i napisali, jakim byłem dzielnym reporterem, a nie jakim koszmarnym kierowcą.

Rachel wolałaby, żeby mniej gadał, a bardziej skupił się na drodze.

– A więc, Rachel, dlaczego tu przyjechałaś?

Pytanie ją zaskoczyło. Mogła mu podać bardzo wiele powodów, ale nie wiedziała, od czego zacząć. W końcu, co takiego powiedzieć o Jugosławii, co zainteresowałoby kogoś, kto napisał na ten temat czterysta dwadzieścia trzy strony? Łatwiej nic nie mówić.

– Och. Właściwie... właściwie nie wiem.

– Daj spokój. Wiozę cię najniebezpieczniejszą ulicą na całym pieprzonym świecie, a ty nie wiesz?

– Chodzi o to, że mogłabym ci podać mnóstwo powodów. Ale ostatecznie przypuszczam... cóż, pewnie pomyślisz, że to strasznie głupie, ale chyba po prostu byłam znudzona.

Rachel popatrzyła na kolejne poczerńiałe, pozbawione dachów domy, ale zamiast nich widziała małą różową sypialnię, w której ukrywała się przez zbyt dużą część swoich dwudziestu trzech lat. Nawet kiedy się pakowała przed wyjazdem do Bośni, spoglądała ze swojego domku dla lalek przy Lakeside Drive na trawnik – zapielegnowany na śmierć przez ojca, który na palcach chodził wokół zielonego placzyku z kawałkami sznurka, starając się wymierzyć długość i szerokość żywopłotu, by przyciąć go sekatorem z matematyczną precyzją. Świat drobiazgowej perfekcji, w którym dusiła ją miłość samotnego ojca. I o cały świat od Sarajewa.

– Nie sądzisz, że to zdumiewające? – zapytał Danny. – Po raz pierwszy w tym stuleciu jesteśmy pokoleniem, które nie musiało walczyć ani w I, ani II wojnie, ani w zimnej wojnie, a jednak pędzimy szmat drogi w poszukiwaniu, no właśnie... wojny. Mamy

pokój. Miliony umarły, żebyśmy się nim cieszyli. A my mówimy: Nie, dzięki, to trochę nużące. Nie uwierzyłabyś, jacy wariaci tu trafiają. Pokój jest nudny, mówią, wojna to frajda! Pragnę przeżyć to co tamci w 1914 czy 1939 roku. Ja też chcę trochę akcji, spełniać swoje marzenia, przeżywając koszmary innych.

Było to pierwsze z wielu przemówień, jakie usłyszała od Danny'ego, i odniosła wrażenie, że ją opieprza. Mimo zimna czuła, że twarz zaczyna się jej czerwienić. Czy nazwał ją wariatką? Pod pewnym względem zaatakował wszystkich korespondentów wojennych w mieście – pewnie nie wyłączając siebie samego – ale brzmiało to jak oskarżenie pod jej adresem.

W końcu pojawił się przed nimi Holiday Inn, jeden ze słynnych wojennych hoteli. Commodore w Bejrucie, Colony w Jerozolimie, Intercom w Kabulu, Al-Raszid w Bagdadzie – Rachel czytała o wszystkich, a teraz miała zatrzymać się w jednym z nich.

Paskudne żółte pudło było jedynym budynkiem w Sarajewie, którego starcie z mapy większość ludzi przyjęłaby z radością. Szkaradzieństwo niepasujące do dawnego, ottomańskiego miasta, ale raczej do ponurych przedmieść „Gdziekolwiek w Ameryce”. A mimo to w czasie paru lat zyskało mityczny status. Dziennikarze zjeżdżali tu gromadami. Podobnie jak oni, Holiday Inn cieszył się wojną – dobrze robiła biznesowi. Dzięki masakrze lub hotelowi Sarajewo mogło pomóc dziennikarzowi wyrobić sobie nazwisko.

Pokoje po południowej stronie, wychodzącej na serbskie przedmieście Grbavica, nie miały już okien, a niektóre nawet fragmentów ścian; mimo to kosztowały po dziewięćdziesiąt zielonych za noc, a popyt przewyższał podaż.

Opony piszczwały, gdy Danny zjeżdżał szybko do podziemnego garażu, umocnionego schronu, gdzie od czasu do czasu jakiś dziennikarz ukrywał się niczym żołnierz w okopie cierpiący na nerwicę frontową. Na parkingu stały jeden przy drugim białe opancerzone land-rovery, jak ten Danny'ego.

Becky wysiadła i trzy razy dotknęła ściany.

– Jeden z jej małych rytuałów – wyjaśnił Danny. – Podobnie jak noszenie niebieskich majtek.

Becky szturchnęła go żartobliwie.

– Tak? A co powiesz o swoich szczęśliwych butach? Wkłada je codziennie. Od lat. Oczywiście śmierdzą jak diabli. W każdym razie przesady, religia, to wszystko ma jednakowe znaczenie. Chcemy się upewnić, że przeżyjemy możliwie najdłużej.

Rachel założyła plecak, wzięła torbę i chwiejnym krokiem podążyła za innymi przez dudniącą echem otchłań parkingu i na górę, do holu. Danny miał rację – rzeczywiście dziwne, że pokolenie zrodzone w czasie pokoju marzyło, aby tu przyjechać. A już na miejscu klęczeć przed ołtarzem przetrwania, składając ofiary, dotykając ścian, nosząc taką, a nie inną bieliznę lub śmierdzące buty dla pewności, że się nie umrze.

Nagle przypomniała sobie strzępy ostatniej rozmowy z ojcem. Siedzieli w pretensjonalnym saloniku i czekali na taksówkę, która miała zawieźć ją na lotnisko.

– Mam tylko ciebie, kochanie – tłumaczył błagalnym tonem Billy Kelly. – Co innego mi zostało?

– Ale nie mogę żyć twoim życiem, tato. Ja tylko wyjeżdżam na jakiś czas. Przecież nie chciałbyś, żebym tkwiła tu w nieskończoność.

Jego milczenie świadczyło, że wcale by się nie sprzeciwił.

– W takim razie kiedy wrócisz? – zapytał w końcu.

Kiedy skończy się wojna, mogłaby odpowiedzieć. Chyba że wybuchnie następna. Ale oboje wiedzieli, że nie ma jednoznacznej odpowiedzi na jego pytanie i Billy płakał bardziej niż dziesięć lat wcześniej, kiedy powoli rozwijający się nowotwór zabił mu żonę. Odeszła, pozostawiając załamanego męża i oszołomioną córkę. Tak, to jego wina, przytłoczył Rachel swoją miłością, ale jaki ojciec by tego nie zrobił? Nie znosił, kiedy spotykała się z chłopakiem, jechała samochodem albo

wylatywała do innego miasta. Najchętniej by ją zamknął w czymś księżniczkę w wieży.

Podobnie jak wielu Amerykanów, Billy – przedstawiciel handlowy, golfista i niedzielny chrześcijanin – bardzo mało rozumiał z jugosłowiańskiej katastrofy. Nie wiedział, jaki to ma z nim związek, poza faktem, że jedyna osoba, która coś znaczyła w jego życiu, chciała tam uciec. Rachel cierpliwie jak nauczyciel historii siedziała z nim i wyjaśniała: od II wojny światowej komunistyczny dyktator marszałek Tito potrafił trzymać pod kontrolą wszystkie skonfliktowane części Jugosławii, ale jego śmierć w 1980 roku zniszczyła ten stan rzeczy. Potem doszedł do władzy Slobodan Milošević, nastąpił wzrost serbskiego nacjonalizmu, rywalizujące republiki zaczęły domagać się niepodległości, w 1992 roku zrobiła to Bośnia. Chociaż zachodnie państwa uznały jej niepodległość, to Serbowie nie. Starali się zdławić Bośnię, oblegając Sarajewo i otaczając je ciężką artylerią. Kiedy Billy wciąż sprawiał wrażenie zdezorientowanego, tłumaczyła mu jak przedszkolakowi: bośniaccy muzułmanie są tymi dobrymi facetami w białych kapeluszach, którzy tylko usiłują odtworzyć swoją ojczyznę w pozimnowojennym świecie. Złymi w czarnych kapeluszach są Serbowie. Chcą zniszczyć niepodległą, wieloetniczną, wielokulturową Bośnię w chwili jej narodzin. Ale kiedy dorzuciła dodatkową komplikację pod postacią bośniackich Chorwatów, dla Billy'ego to było już zbyt wiele.

– Jak, u diabła, można mieć naraz dwie wojny domowe między trzema stronami? W głowie mi się od tego mąci.

– Tato, to materiał, jaki się zdarza raz na pokolenie. O tym właśnie zamierzam pisać.

Złapał ją za ramiona.

– Obiecałem matce, że zadbam o ciebie. Przyrzekłem jej na łożu śmierci. Co by powiedziała, wiedząc, że pozwalam ci iść na wojnę? A co jeżeli znajdziesz się obok niej w grobie?

Ale kiedy Rachel wędrowała korytarzami Holiday Inn, coraz bardziej była przekonana, że postępuje właściwie. Gdy

Becky otworzyła przed nią drzwi do hotelowego holu, poczuła się, jakby ktoś podniósł kurtynę przed rozpoczęciem pierwszego aktu. Wreszcie wychodziła na wielką scenę Sarajewa.

– No, no, więc tutaj się wszystko zaczyna – powiedziała właściwie do samej siebie.

Danny szedł tuż przed nią; zastanawiała się, co o niej myśli. Czy pomimo jego krótkiej tyrady w samochodzie polubił jej pełen gotowości, młodzieńczy entuzjazm, czy uznał go za irytujący? Czy naprawdę uważa ją za wariatkę? Stwierdziła, że nie powinna się tym przejmować.

W hotelu wydawało się zimniej niż na dworze. W ogromnym atrium holu Rachel widziała swój oddech unoszący się białymi obłoczkami. Usłyszała echo dziwnego odgłosu rozrywania czegoś. Kiedy się obejrzała, zobaczyła kolejną grupę dziennikarzy rozpinających rzepy kamizelek kuloodpornych. Ekipy telewizyjne przychodziły i wychodziły, mówiąc w najrozmaitszych językach, niosąc ze sobą srebrne skrzynki, kamery i kosmate mikrofony. W recepcji siedziało kilka siwiejących kobiet w płaszczach i szalikach. Wyglądały, jakby czekały na autobus.

– Pokój 311 – powiedziała jedna z nich, podając jej klucze.

– Dziękuję, jest na pewno uroczy.

Ale wcale nie była tego pewna. Wyciągnęła latarkę Megalite, która okazała się dla niej ratunkiem, i zaczęła wędrować przez ciemność klatki schodowej. Windy wyglądały zachęcająco nowocześnie, ale bez elektryczności stały nieruchome i zapomniane – jak wiele innych rzeczy w Sarajewie, mieście cofającym się w czasie. Śmierdziało starym dymem papierosowym, a pod stopami zgrzytało potłuczone szkło. Nawet świecąc sobie latarką, Rachel potykała się po drodze. Gdy dotarła do celu, jakoś udało jej się wetknąć klucz do zamka.

Jeżeli hotel był lodówką, to pokój Rachel zamrażarką. W oknach zamiast szyb tkwiły oenzetowskie polietylenowe

płachty. Odruchowo, bezsensownie, sprawdziła kaloryfery, modląc się o cud sączącego się z nich ciepła. Nic z tego. Zero elektryczności i ogrzewania; tylko od czasu do czasu woda. Mnóstwo niczego, za które płaci się nieźle pieniądze, pomyślała Rachel. Równie dobrze mogłabym spać na ulicy.

Z drugiej jednak strony, pokój mógł się poszczycić przynajmniej niektórymi symbolami prawdziwego hotelu. Płaski, żółty telefon z brązową słuchawką. Białe i czyste prześcieradła na łóżku. W łazience mała, ale nowiutka kostka mydła, a sedes zalepiony paskiem papieru na znak, że został zdezynfekowany. Brakowało natomiast ręczników. Oczywiście, nie przywiozła ich ze sobą. I być może z tego powodu albo dlatego, że miała wrażenie, jakby coś sobie odmrażała, albo że po rozmowie z Dannym poczuła się tak niedoskonała, lub też dlatego, że po raz pierwszy od przyjazdu znalazła się całkiem sama, zupełnie nieoczekiwanie zaczęła płakać.

Obudził ją zachrypnięty głos w korytarzu pod drzwiami. Rachel, na wpół przytomna, początkowo myślała, że znowu jest w swojej sypialni przy Lakeside Drive, ale to było zupełnie inne miejsce. Zaskoczyło ją, że tak długo musiała sobie przypominać – cztery, pięć pełnych konsternacji sekund. Głos brzmiał coraz donośniej, aż wreszcie ktoś zdecydowanie zapukał. Wciąż dezorientowana, opuściła nogi z łóżka i niepewnym krokiem podeszła do drzwi.

To Becky, właśnie zdołała umyć włosy.

– Cholerna woda ledwo się sączy i jest taka zimna, że chyba mi zamarzała na skórze.

Rachel nie wiedziała, czy warto było się męczyć. Becky wyglądała właściwie tak samo jak przedtem, z tą tylko różnicą, że teraz loki miała wilgotne i opadające.

– Przyniosłam ci mały prezent. No wiesz, witamy w Sarajewie. – Trzymała butelki whisky Ballantine, czerwonego wina Vranac i szwajcarski scyzoryk wojskowy. Z całego zestawu

akcesoriów wybrała mały korkociąg, zupełnie jak dobra harcerka przygotowana na wszystko.

Rachel zapisała sobie w pamięci, żeby następnym razem kupić sobie taki sam w sklepie wolnoctwowym.

Rozmawiały, popijając vranaca. Rachel opowiedziała Becky o swoim sennym życiu w Ameryce, a Becky o swoim, na owczej farmie niedaleko Piety – trzy godziny drogi od Perth albo, jak to określiła: „trzy godziny od Ziemi”.

– Zadupie wszechświata. Nie ma nic w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów, oczywiście poza owcami. Miesiącami marzyłam o wyjeździe do najbliższej osady, a tym bardziej do najbliższego miasta, a nawet najbliższego kraju.

Rachel poczuła wyrzuty sumienia, że uważała Arlington za nudne.

– Tata alkoholik, a mama na najlepszej drodze, by pójść w jego ślady. Szczerze mówiąc, nie mogę mieć o to do nich pretensji. Gdybym została, pewnie też bym się rozpiła. Zresztą tylko na mnie popatrz.

Właśnie w Piety zakochała się w fotografii. Na czternaste urodziny wujek podarował jej aparat fotograficzny. – Pamiętam dzień, w którym zrobiłam pierwsze zdjęcie. Zachód słońca. Widziałam taki miliony razy i nawet go nie zauważałam. I nagle stał się piękny. A kiedy robiłam odbitkę, połknęłam haczyk. Fotografowałam wszystko co się ruszało, a w Piety nie było tego za dużo. – Wyjechała do Anglii, kiedy tylko rodzice pozwolili, ale nawet Londyn jej nie wystarczał. Po latach spędzonych na farmie potrzebowała czegoś z większym biglem. Włóczyła się po kilku strefach wojennych, aż w końcu trafiła do Bośni. – Nigdy już nie byłam znudzona, ale zawsze samotna.

Becky przeszła na ballantine’a i Rachel, która prawie nie piła, zaczęła czuć się niezręcznie. Ledwo poznana kobieta otwierała przed nią serce. Weteranka w Sarajewie, arogancka i dominująca, najwyraźniej potrzebowała przyjaciółki. Niemal tak samo jak Rachel.

– Naprawdę? Ale przecież jesteś piękna.

– Niestety, niewielu mężczyzn tak uważa. Chyba onięśmięła ich moja praca. Twarda baba ze strefy wojennej, rozumiesz? Może się boją, że kopnę w kalendarz na ich rękach, a oni nie mogą zawracać sobie głowy jakimś pogrzebem.

Roześmiały się, ale Becky mówiła poważnie. Zbyt długo nie miała miłości, seksu, partnera. Jędyny mężczyzna, który liczył się w jej życiu – i do którego chciałyby należeć – znajdował się tu, ale nieosięgalny.

– A teraz o bardziej przyziemnych sprawach. Zapomniałam wspomnieć, że będziesz tu czegoś potrzebować... – Poszła do swojego pokoju i wróciła parę chwil później z torbą od Marksa i Spencera. – Nazywamy to wodne dziecko. Jeżeli chciałybyś wziąć gorącą kąpiel, a przynajmniej letnią, nie obejdiesz się bez tego... – Jak iluzjonista sięgnęła do torby i wyjęła duże, metalowe urządzenie, przypominające część silnika. – Dzięki tej grzałce przygotujesz sobie kąpiel, gdyby akurat włączyli elektryczność. Nagrzanie wody zazwyczaj trwa dwie godziny, ale najlepiej zostawić grzałkę na cały dzień. Tylko nie kąp się po pijaku, bo porazi cię prąd. A wtedy, jak powiedziałaby kochany Danny, zginęłyabyś kurewsko głupio.

– Bardzo dziękuję.

– Och, tylko ci ją pożyczam na dziś wieczór. Potem musisz na coś się wymienić. Wszyscy tak robią.

– Wymienić?

– No wiesz, lekarstwa, kosmetyki, baterie, kawa; rozmaite drobiazgi, które masz upchnięte w tym swoim wielkim plecaku.

– Co się robi, kiedy brakuje wody do podgrzania?

Becky pocięgnęła solidny łyk ballantine'a.

– Zbieraj ją, kiedy się pojawia. A to nieczęste. Napełnij wannę, zbiornik w sedesie, każde wiadro czy miednicę. Co-kolwiek wpadnie ci w ręce. Pamiętaj, że woda nie nadaje się do picia, chyba że w ostateczności. Jest brązowożółta jak siki.

– Rozumiem. Nawet nie wypłuczę nią zębów.

– Ja robię to coca-colą albo nawet whisky. Aha i jeszcze jedno...

Rachel zaczynała już być zmęczona tą niekończącą się listą porad i odnosiła wrażenie, że jest traktowana trochę protekcjonalnie. Przypuszczała, że mogą zostać przyjaciółkami – nawet dobrymi – ale Becky za bardzo się starała.

– Następnym razem przywieź ze sobą korki. W tym hotelu coś takiego nie istnieje. Duży do wanny i mały do umywalki. Łap, mam zapasowe. – Becky rzuciła jej korki, wychodząc. – Dobranoc. Miło było cię poznać.

Wzajemnie, pomyślała Rachel. Czuła ulgę, że spotkała Becky, ale też zniechęcenie.

Zadowolona, że znowu jest sama, wróciła do łóżka. Od wczesnej młodości zawsze spała nago, ale szybko się przekonała, że w zimowym Sarajewie to kiepski pomysł. Zebrała stertę zdjętych ubrań i ponownie włożyła je na siebie, a na to jeszcze duży, wełniany sweter. Sprężyna łóżka wbiła się jej mocno w plecy i Rachel od razu wiedziała, że to wróg.

W wąskim promieniu światła latarki otworzyła książkę Daniela Lowensteina na stronie sto ósmej. Dobrze było go spotkać, ale mimo wszystko – jeżeli traktować sprawę uczciwie – trochę się rozczarowała. Nie tak go sobie wyobrażała. Podobnie jak Becky sprawiał wrażenie dobrodusznego, ale wyczuwała w nim coś mrocznego. Była pewna, że jej nie polubił.

Zaczęła rozdział o czystkach etnicznych w Prijedorze w 1992 roku i po raz pierwszy mogła słyszeć, co napisał, zupełnie jakby czytał jej na głos.

„Kiedy czetnicy zjawili się w wiosce, mieli wilczą głowę przymocowaną do maski jednego z ich samochodów, a z tyłu jechała chłodnia do przewozu mięsa. Dwunastoletnia Nermina zobaczyła, jak nadjeżdżają. Była na tyle duża, by zrozumieć, co się dzieje. Krzyknęła do swojego ojca Kemala.

On też zrozumiał. Był wiejskim lekarzem. Sprowadził Nerminę i resztę rodziny do piwnicy – żonę Reimę i ich dwóch synów Emira i Senada. Wkrótce rozległy się krzyki i wybuchy. Czetnicy wrzucali do domów ręczne granaty i strzelali z karabinów maszynowych do ludzi, którzy stamtąd wybiegali. Kemal nie wiedział, czy mają zostać tam, gdzie są, wyjść i się poddać, czy próbować uciec. Słyszeli, jak mężczyźni wyłamyują ich drzwi frontowe i prawie natychmiast też drzwi do piwnicy. Nermina poznała tłustego faceta, który przyjechał z czetnikami. Miejscowy policjant Nilan Krstić, mieszkał zaledwie kilka domów dalej. Miał około pięćdziesiątki, rumianą twarz, zepsute zęby i wielki, pękaty brzuch. Niekiedy przyłapywała go, jak patrzył na nią pożądliwie, kiedy wracała ze szkoły.

Krstić zamienił uniform policjanta na mundur serbskich oddziałów nieregularnych. Wetknął pistolet do ust zaledwie dwuletniego braciszka Nerminy. Lufa wypchnęła maleńki policzek i chłopiec wyglądał, jakby miał w buzi lizaka.

– Witaj, Nermino – powiedział Krstić. – Chciałabyś pomóc rodzinie? Inaczej będzie z nimi kiepsko. – Wyciągnął nóż, przytknął go do jej policzka i kazał się rozebrać. – Jesteś dziewczyną? – zapytał. Bardzo lubił dziewczynki.

Nermina była dzielna, mogła to zrobić, musiała. Teraz też rozumiała. Jej matka krzyczała i błagała policjanta, żeby zgwałcił ją zamiast córki, ale nie zwracał na nią uwagi. Ściągnął spodnie, a czetnicy zagrzewali go do działania. Nermina leżała na podłodze i płakała, a on leżał na niej; miał rozczochraną brodę i psujące się zęby, z ust zwisał mu na wpół wypalony papieros. Dostał to, czego pragnął przez wszystkie popołudnia, kiedy przyglądał się dziewczynce w szkolnym mundurku. Ale teraz, choć tak jej pożądał, nie miał wzrodu. Im bardziej próbował, tym gorzej. Czetnicy śmiali się i odepchnęli go, żeby sami mogli spróbować.

Upokorzony Krstić był wściekły.

– Turecka kurwa! – wrzasnął, kiedy tamci skończyli. Najpierw powiedział, że ją zabije, ale potem wymyślił okrutniejszą

karę. Pozwoli jej przeżyć. Po kolei zastrzelił wszystkich członków rodziny. Pierwszy zginął jej mały braciszek, drugi – ośmioletni Emir. Potem, wciąż patrząc na Nerminę, zastrzelił matkę i na koniec ojca, którego uwielbiała.

Krstić rozkazał pozostałym, żeby zostawili dziewczynę, posiniaczoną i nagą między zwłokami najbliższych. Tak ją ukarał. Czelnicy wydawali się zdezorientowani, ale – jak zwykle – Nermina była wystarczająco duża, by zrozumieć”.

Rachel płakała. Czuła, że jej wątpliwości wobec Danny’ego są głupie i małostkowe – ujawnianie okrucieństw, ich relacjonowanie jest dziennikarstwem w najszlachetniejszej postaci. Pragnęła poznawać ludzi ocalałych z czystek etnicznych, takich jak Nermina. Chciała opowiadać ich historie całemu światu, żeby wszyscy wiedzieli. Danny Lowenstein nie tylko był tam i spisał straszliwe zeznania tej biednej dziewczyny, ale też przekazał je ze współczuciem.

Przeczytała jeszcze kilka stron, aż w końcu całodzienne przeżycia ją pokonały. Zgasła latarkę, wcisnęła dłonie między uda, żeby trochę je ogrzać, i zapadła w półsen, dziękując, że Bośnia, którą Danny Lowenstein opisywał z taką siłą, nie znajduje się już za oceanem, ale wokół niej, tutaj.

4

Bagdad po wyzwoleniu, 2004

W hotelu Hamra łoskot obwieścił, że na ten dzień klimatyzację szlag trafił. Bagdad skonsumował swój śmiesznie mały przydział energii. Elektryczności było mniej niż za czasów Saddama. Pomimo swoich programów liczonych w miliardach

dach dolarów okupanci nie potrafili sprawić, aby paliły się światła. Wkrótce resztki sztucznego chłodu znikną wypędzone z pokoju przez żar irackiego letniego dnia, równie przesadnie intensywny, jak chłód bośniackiej zimy. Termometr w kuchni pokazywał sto dwadzieścia dwa stopnie Fahrenheita* i ćpyny wojny wycierały rozpalone czoła.

– Chce ktoś pić? – zapytał Edwin. Jego łysina odbijała światło słoneczne wpadające kaskadą przez okno. Wyciągnął kilka wielkich butelek wody z lodówki, która solidarnie padła razem klimatyzacją.

– Wiesz co? Po tym jak wspomniałaś o vranacu, nabrałam ochoty na coś mocniejszego. – Becky nalała do szklanki trochę czerwonego wina, mimo że był dopiero późny ranek. – Rach, chcesz trochę?

– Nie, dzięki. Odpuszczę sobie.

– Fajkę?

Rachel znowu pokręciła głową.

– Rany, to mnie cofa w czasie. – Uśmiechnęła się z czułością. Przez chwilę wydawało się jej, że są w Bośni, nie w Bagdadzie.

– Wrażenie jak przed wiekami. – Do tej pory Becky prawie się nie odzywała, ale teraz zaczęła mówić. Wino pomagało. – Niemowlęce czasy, zwłaszcza dla ciebie. Zapomniałam, że przeszedłś wtedy chrzest bojowy.

– Nie pamiętam wielu rzeczy – dodała Rachel.

– Tak?

– Na przykład jaka byłaś dla mnie kochana. I jaką świnią potrafił być Danny. – Powiedziała to wprost, bez rozbawienia, patrząc twardo w przestrzeń.

Camille wzdrygnęła się i jeszcze uważniej popatrzyła na Rachel. Kim stała się ta dziewczyna, która tam w Sarajewie wydawała się taka urocza z tymi swoimi naiwnymi ambicjami? I kim się stanie za dziesięć lat?

* 50° Celsjusza (przyp. tłum.).

Przyszedł Munro i oświadczył, że Pierwsza Dywizja Kawalerii zabezpieczyła rejon wokół Al-Talhy. Wojsko zaproponowało, że zabiorą go na miejsce, gdzie zniknął Danny.

– Ja też pojedę – oświadczyła Camille.

– Nie wiem, czy do czegoś się to pani przyda, a może być dość przykre. Jego samochód wciąż tam jest. Najwyraźniej w dość paskudnym stanie.

Camille się zdenerwowała. Za kogo Munro się uważa, że próbuje ją powstrzymać? Danny jest jej bratem, nie jego. Spokojnie upierała się, że powinna pojechać, i nagle, po prostu żeby go jeszcze bardziej wkurzyć, postanowiła zaprosić również przyjaciół Danny'ego.

– Może chcielibyście się przyłączyć?

Becky wzdrygnęła się, zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy usłyszała wiadomość o porwaniu Danny'ego.

– Chyba nie. Jak mówił Danny, nie jestem pewna, czy wiele zdziałamy. Pewnie będziemy pętać się pod nogami.

– Och, a ja uważam, że powinniśmy – oświadczył Kaps.

– Może nie być drugiej takiej szansy.

– Słuchaj, nie mam na to ochoty, kapujesz? – warknęła Becky.

– Okej, Beck. W porządku. – Rachel pogładziła ją po ramieniu. – Nikt nie będzie cię do niczego zmuszał.

Pierwsza Dywizja Kawalerii nie podejmowała żadnego ryzyka. Pół tuzina humvees z granatnikami Mark-19 i karabinami maszynowymi kaliber 0.50 cala utworzyły wewnętrzny i zewnętrzny pierścień wokół samochodu Mohammeda, zupełnie jakby to było Alamo. Maszyna wciąż tkwiła martwa i bezużyteczna w miejscu, gdzie zabili ją chłopcy Abu Muchtara.

W końcu wszystkie ćpuny wojny, nawet Becky, zgodziły się przyłączyć do Camille. Zawsze się wspierali, trzymali razem. Zbici w gromadkę spoglądali na samochód przez okulary przeciwsłoneczne. Otaczał ich pododdział ubranych po cywilnemu ochroniarzy z ambasady – z nieodłącznymi M-16 przy biodrach,

sterczącymi z uszu ciasnymi zwojami plastikowych przewodów i walkie-talkie przyklejonymi do ust. Nieco dalej nerwowi żołnierze liniowi klęczeli na drodze albo leżeli plackiem w kurzu i piasku, kierując karabiny maszynowe w stronę wroga, który mógł uderzyć z każdego kierunku, w każdym momencie i pod każdą postacią – chłopca na rowerze, rolnika pchającego taczkę czy kobiety z kwiatami w ręku. Święci Wojownicy irackich powstańców pojawiali się we wszelkich możliwych postaciach, w różnym wieku i często owinięci w talii pasem śmierci.

Becky stała na słońcu; wyglądała na bardziej zmęczoną niż zwykle. Wiedziała, że nie powinna tu przyjeżdżać, że to źle na nią podziało. Całą drogę mocno trzymała rękę Rachel, a potem rozplakała się w jej ramionach, widząc rozbitą szybę i krew zaschniętą na fotelu Mohammeda.

Grupa żołnierzy rozpoczęła pracę. Badali łuski po pociskach, ślady opon i stóp; robili mnóstwo zdjęć oraz filmowali całą scenę. Munro wykonywał własne pomiary wzorów opon i odległości między dziurami po pociskach. Znajdował się w swoim świecie i nie próbował do niego wciągnąć Camille ani kogokolwiek innego.

Ćpuny wojny zaczęły błąkać się wokoło z oczami wbitymi w ziemię pokrytą pyłem. Sprawiali wrażenie, że też szukają. Kaps wydawał się szczególnie zaabsorbowany. Chodził tam i z powrotem po wymyślonych przez siebie trasach, metodycznie cofając się od czasu do czasu. W końcu podniósł jakąś rzecz. Chyba kartkę.

– Znalazłeś coś? – spytała Camille.

– Nie. Myślałem, że to mogło należeć do Danny'ego, ale to zwykły śmieć.

Zauważyła, że jednak włożył to coś do kieszeni.

Ćpuny wojny znowu zebrały się razem. Stali, lekko trochę się kołysząc i delikatnie kopiąc w piasek, zagłębieni w myślach i wspomnieniach. Kaps objął Becky długim, muskularnym ramieniem, a Edwin wyrzucił wypalonego do połowy papierosa,

przyciągnął do siebie Rachel i gładził ją po plecach małymi, kolistymi ruchami dłoni. Ale i tak nic nie czuła. Wszyscy mieli na sobie kamizelki kuloodporne i hełmy; byli mokrzy od potu.

– A jeśli nie dowiemy się, co z nim się stało? – odezwała się Rachel. – Wiecie, że czasami nawet nie znajdują ciała.

– Musimy myśleć pozytywnie – odparł Edwin, wciąż ją obejmując. Owinął kefiję wokół głowy, żeby nie spaliło mu jej słońce, i nałożył na twarz trochę kremu z mocnym filtrem. Miał białe plamy w miejscach, gdzie nie wtarł go do końca. – Założę się, że trzymają go gdzieś jako zakładnika i czuje się doskonale.

– Tak, jasne – zakpił Kaps. – W pięciogwiazdkowym hotelu. Iskandarija Hilton.

– Ale go zabiją, prawda? – powiedziała Rachel, nie zwracając uwagi na kolegów. – Kiedy ostatni raz wypuścili zakładnika?

Camille stała kilka metrów dalej, z drugiej strony samochodu, przyglądając się małym dziurom w karoserii. Czuła zrywający się nie wiadomo skąd wiatr; nadciągała letnia burza piaskowa. Żwir, śmiecie i kawałki roślin zaczęły wirować, a palmy gięły się i pochylały. Camille podniosła głowę i zobaczyła zbliżającego się młodego pastucha. Wyglądał na szesnaście lat, miał na sobie brudne łachmany, rozpadające się sandały i doglądał stadka owiec. Wyczuwało się w nim wyrażoną, choć niewykorzystaną inteligencję. Żołnierze założyli, że pojawił się raczej, by zabijać niż rozmawiać, więc go zrewidowali, trzymając na muszce. Bez protestu przyjął to poniżenie. Cóż, taka kolej rzeczy w wolnym Iraku.

Jeden z amerykańskich oficerów, major, zgodził się wysłuchać chłopaka, oczywiście za pośrednictwem tłumacza. Pastuch gadał przynajmniej dziesięć minut, pokazując ręką i gestykulując emocjonalnie. Mówił spokojnie, ale zdecydowanie – miał jakąś historię do przekazania. Na koniec major wyciągnął z bocznej kieszeni plik dolarów przeznaczonych na nagrody. Odliczył kilka dwudziestek i chłopak przyjął je bez uśmiechu. Nie zasługiwał na więcej.

- Co on powiedział? – zapytała Camille majora.
- Ten pastuch? Och, nic ważnego.
- Niech pan da spokój, cholernie długo z nim rozmawialiście.

Major się zawahał.

- Okej. Nie wiem, czy powinienem to pani powtarzać. Stwierdził, że kiedy to się zdarzyło, był tu, na tym wzgórzu za drogą. Obserwował, ale z oddali.

- I co?

- Proszę posłuchać, może to bzdura, ale powiedział, że pojawił się tu inny samochód, jeszcze przed przyjazdem Danny'ego. Uważa, że w środku siedziało dwóch mężczyzn, jeden w niebieskiej kamizelce kuloodpornej, pewnie z Zachodu. Widział, jak auto przejeżdża drogą, a potem usłyszał strzały od strony mostu. Domyślił się, że ich ostrzelano w jakiejś zasadzce, ale zdołali zwać. Wrócili drogą do miejsca, gdzie niedaleko siedział ukryty. Wtedy zobaczył, że mają przestreloną jedną oponę.

- Żartuje pan?

- Nic podobnego. Wydaje się, że wkrótce potem nadjechał drogą pan Lowenstein. Zwolnił, żeby porozmawiać z facetami z pierwszego samochodu. Ale co pani powie na to? Podobno nie próbowali go zatrzymać, po prostu pozwolili mu jechać dalej. W tę samą cholerną zasadzkę. Jak się to pani podoba? Chłopak nie wierzył własnym oczom.

- Niesamowite – przyznała Camille.,

Kiedy podszedł Munro, przekazała mu relację pastucha.

- Hm. Dziwne. – Skrzywił się. – Może się przydać. Ale nie dawałbym wiary wszystkiemu, co mówił. To tylko wieśniak.

- Na początku pomyślałem tak samo – przyznał major. – Ale wydaje się zupełnie pewny. Po co miałby zmyślać?

Munro wzruszył ramionami.

- Żeby łatwo zarobić parę zielonych? Ludzie z tych wiosek mogą opowiedzieć panu milion rzeczy.

- Może tak. Może nie.

– Podał jakieś rysopisy? – zapytał Munro majora.

– Stał za daleko. Ale pamięta, że samochód był czerwono-biały, chyba sedan.

Munro zapisał wszystko jakby z przymusu, a potem odszedł skończyć pomiary. Camille uznała, że jest opryskliwy i nieżyczliwy. Kiedy się oddalił, po cichu zapytała majora:

– Czy chłopak mógłby nas tam zaprowadzić? Do tego miejsca gdzie widział drugi samochód?

To było w odległości zaledwie kilku minut jazdy. Major wziął humvee i zawiózł tam Camille razem z pastuchem i tłumaczem.

Nie znaleźli nic szczególnego do oglądania, ale Camille patrzyła na asfalt, jakby usiłowała przedstawić sobie scenę opowiedzianą przez chłopca. Dalej na drodze ćpuny wojny nadal stały objęte, ale pomarańczowo-brunatna chmura napęczniała i zaczynała ogarniać krajobraz. Ze znużeniem, bo mieli już dość takich dni w pustyni, żołnierze nałożyli okulary przeciwpiaaskowe, a ćpuny wojny zakryły nosy i usta chusteczkami i przymrużyły powieki, by rzęsy zatrzymywały lecący pył. Wkrótce piasek pokrył wrak samochodu Mohammeda. Jakby Irak chciał pogrzebać szczątki.

– No dobra, zabieramy się – oświadczył major. – Gównu widać, a nie cierpię być ślepy w takich miejscach.

5

Sarajewo, 1994

Kiedy świt pojawił się w Sarajewie niczym niepożądany gość, Rachel zastanawiała się, od czego zacząć. Dotarła tu i co dalej?

Dokąd iść, co zobaczyć, z kim rozmawiać? To nie było takie łatwe, jak wyobrażała sobie w Arlingtonie. Śniadanie wydawało się najlepszym punktem wyjścia. Zeszła więc do jadalni, obskurnego widma dawnej restauracji. Kelnerzy w białych koszulach i czarnych muszkach też sprawiali wrażenie duchów. Ich stoicka postawa dawała do zrozumienia, że wbrew wszelkim widocznym dowodom firma działa jak zwykle. Równie dobrze mogli być personelem restauracji na „Titanicu”.

Goście mieli na sobie polary, puchówki i parki. Rachel siedziała samotnie, grzebiąc w zimnym omlecie, przekonana, że wszyscy ją obserwują.

Kątem oka zobaczyła zbliżającego się Danny’ego i serce jej zamarło. Zastanawiała się, czy facet zamierza znowu uraczyć ją kazaniem. Niósł w ręku hełm.

– Dzień dobry. Pomyślałem, że cię tu znajdę.

– Och. Cześć. – Udała, że nie widziała, jak nadchodzi.

– Prezent dla ciebie. Nigdy go nie używam. Oddasz przed wyjazdem.

– O Boże, to takie...

– Wiem, jesteś bezgranicznie wdzięczna.

Hełm miał srebrną, płócienną taśmę samoprzylepną z napisem nagryzmołonym markerem: „Lowenstein, A Rh+”.

– Oczywiście, zmień naklejkę.

– Oczywiście. – Roześmiała się.

– No dobra, do zobaczenia – zakończył rozmowę, zanim się rozkręciła.

Rachel jeszcze kilka minut bawiła się omletem. Poczowała ulgę, kiedy przyszła Becky. Jechała do Pale, kwatery głównej bośniackich Serbów. Chcieli przeprowadzić wywiad z Karadžiciem – „szalonym doktorem”, jak go nazywała. Powiedziała, że Rachel może się z nimi zabrać, jeśli będzie miała ochotę.

– Jasne, że ma – rozległ się głęboki głos tuż za jej plecami.

– Co innego będzie tu robić, pójdzie na plażę? Cześć, Edwin

Garland. „Daily Telegraph”. A ty pewnie jesteś Rachel Kelly, o której tak dużo słyszemy?

Zaczynała przyzwyczajać się do ściskania ludziom dłoni.

– Cóż, jeżeli znajdzie się miejsce...

– Nie widzę problemu – odparł Edwin. – Mamy Bessie.

– Bessie?

– Opancerzony samochód. Jeden z moich poprzedników nazwał go Bessie. Zupełnie nie wiem dlaczego.

Rachel nie mogła oderwać wzroku od łysej głowy Anglika. Początkowo myślała, że jego łysina jest wynikiem jakiejś pa-skudnej dziecięcej choroby powodującej wypadanie włosów, ale potem dostrzegła niebieską mgiełkę kiełkującej szczeciny i uznała, że sam ją goli. Ciekawe jak? Za pomocą pianki i ży-letki czy maszynki elektrycznej? Skrzywiła się na myśl o każ-dej z tych opcji, ale im dłużej przyglądała się tej ordynarnej łysinie, tym bardziej uświadamiała sobie, że dobrze do niego pasuje – podkreślała gęste brwi i ukryte pod nimi ciemne, za-myślane oczy. Dzięki temu wyglądał oryginalnie; na przykład jak ekscentryczny poszukiwacz przygód albo – mniej korzyst-ne porównanie – jak więzień.

Na parkingu we wnętrznościach hotelu Becky dotknęła tego samego miejsca na ścianie co po przyjeździe i walnęła pięścią w gruby pancerz Bessie.

– Dzięki niej człowiek odnosi wrażenie, że jest... nie-zniszczalny. W Sarajewie tylko ona daje ci poczucie bezpie-czeństwa.

Rachel z trudem otwierała drzwi od strony pasażera. Zaci-nały się, były podrdzewiałe i strasznie ciężkie.

– Ale nie macie mi za złe, że się z wami zabieram? Czuję się trochę jak pasożyt.

– Cóż, chyba wszyscy jesteśmy pasożytami karmiącymi się krwią innych. Zazwyczaj przelaną. W każdym razie fajnie, że nam towarzysysz.

W ostatniej chwili przyłączył się do nich ktoś z Reutersa. Nazywali go Kaps – Rachel nie zorientowała się, czy to jego imię, czy przydomek. Był przeciwieństwem Edwina. Miał długie, ciemnoblonde włosy sięgające ramion, związane w kucyk. Usiadł koło Becky z tyłu, bardzo blisko, chociaż długie, umieszczone naprzeciwko siebie siedzenia na całą szerokość pojazdu zapewniały mnóstwo miejsca. Miał na palcu obrączkę, ale Rachel wyczuwała, że między nim a Becky wszystko było możliwe. Albo niemożliwe.

Wyjechali na ulice Sarajewa pokryte świeżym śniegowym pyłem.

– Jest trochę nerwowym kierowcą. Co, Ed? – zawołała Becky. Nie zwrócił na nią uwagi, ale postanowiła to wyjaśnić Rachel. – Nie uwierzyłabyś, że swego czasu kierował czołgami w brytyjskiej armii. W ubiegłym roku skasował jeden z tych wozów. Wpadł w poślizg i wałnął w boczną ścianę domku staruszki. Biedaczka pomyślała, że to serbski pocisk. Zamknęła oczy i szykowała się na śmierć. A kiedy je otworzyła... Zgadnij, co było dalej? Z land-rovera wysiadł przystojny młody Anglik, w samym środku pieprzonego saloniku. Niemal go ucałowała, tak jej ulżyło.

Edwin słuchał cierpliwie, ale Rachel ta opowieść wprawiała w zakłopotanie. Historyjka była najwyraźniej popisowym numerem Becky, opowiadany często i zawsze jego kosztem.

– Dzięki za przypomnienie. Nie wątpię, że Rachel jest absolutnie zafascynowana.

– Oczywiście, że jest „absolutnie zafascynowana”. – Becky przedrzeźniała jego wymowę z prywatnej szkoły Ampleforth, ekskluzywnej i głęboko katolickiej.

– No dobra, wystarczy. Jeżeli ci nie odpowiadam jako kierowca, zawrócę.

Edwin mówił poważnie. Miał dosyć kpin na swój temat i Rachel po raz pierwszy dostrzegła, jak wrażliwy potrafi być ten były żołnierz. Jego łysina stanowiła symbol sprzeczności –

wyglądała bardzo męsko, ale delikatna skóra napięta na czaszce sygnalizowała bezbronność jej właściciela.

Kiedy jechali z Sarajewa, a potem przez wzgórza do matecznika Radowana Karadžicia, po podłodze Bessie toczyła się, grzechocząc irytująco, pusta puszka po coli. W środku samochodu walały się resztki po różnych wyprawach ćpunów wojny – opakowania po batonikach Mars, częściowo zjedzone racje żywnościowe, kasety po filmach i stronicie starych gazet kupionych dawno temu w Londynie, a teraz wyblakłych i pochłapanych błotem. Edwin grzebał przez chwilę w stercie kaset leżących pod przednią szybą i wybrał jedną z napisem „Pieśni Sarajewa”. Rachel, słuchając *Crazy* w wykonaniu Seala, wkrótce się dowiedziała, że to ich hymn – patrzyła na szalone miasto, które opuszczali. Z tej wysokości sprawiało wrażenie łatwego łupu: chudego dzieciaka na boisku, bystrego, ale żałośnie słabego, codziennie katowanego przez łobuzów. Serbowie z Jugosłowiańskiej Armii Ludowej – trzeciej pod względem wielkości maszyny wojennej w Europie – mieli na tych wzgórzach czołgi i haubice. W celownikach widzieli dzielne, wyrafinowane Sarajewo, którego stare ottomańskie serce wciąż biło. Najwspanialsze świadectwo wielokulturowości, żywy przykład dla świata. Meczety stały obok katolickich kościołów i prawosławnych cerkwi. Teraz je rozstrzelowano podczas realizacji szaleńczego marzenia, które nikomu nawet nie powinno odważyć się przyjść do głowy.

Kiedy jechali coraz wyżej w kierunku Pale, całun śniegu stawał się grubszy.

– Wiesz, co jest naprawdę przerażające? – zapytał Edwin.
– Że Europa tak łatwo potrafi zmienić maskę. Zupełnie jak w przypadku nazistów planujących holokaust w lasach Bawarii. Wszystko wygląda uroczo, ale za tą pocztówkową scenerią ludzie pracowicie sporządzają chytne plany eksterminacji innych ludzi. W piekle nie został już ani jeden diabeł, są tutaj,

w Pale, co do jednego. Widzisz te domki, Rachel? – Edwin wskazał je, prowadząc samochód. – Tu bogacze z Sarajewa przyjeżdżali na wypoczynek. Na weekendowe wypady, by pojeździć na nartach. A tam jest Panorama. Kiedyś jeden z głównych hoteli uzdrowiska. A teraz stamtąd Serbowie kierują wojną.

Wychwyciła zawartą w tym groźbę i wstrzymała oddech. Byli zaledwie kilka kilometrów na południe od Sarajewa, ale jakby znajdowali się w innym kraju.

W Panoramie trzęśli się z zimna ponad półtorej godziny. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, było tu jeszcze bardziej lodowato niż w Holiday Inn. Od zimna łamało ich w kościach. Powiedziano, że Karadžić jest na naradzie. Wokół kręcili się ponurzy czetnicy, niektórzy z długimi włosami i brodami niemytymi od wielu dni. Sprawiali wrażenie, że właśnie wrócili po kolejnym pracowitym dniu czystek etnicznych. Paru pogardliwie spojrzęło na gości: „Kto, do kurwy nędzy, wpuścił tu was, palantów z Zachodu, kochających mużłmanów i uszczęśliwiających innych na siłę? Co wy wiecie o nas, o dumnym serbskim narodzie? Co możecie zrozumieć z naszego wielowiekowego cierpienia?”

W końcu wkroczył on sam, uśmiechając się promiennie spod niesamowitej grzywy rozczochranych siwych włosów.

Rachel czytała wiele jego charakterystyk, często widywała w telewizji tego samozwańczego poetę i psychiatrę. A teraz zbliżał się do niej, wyciągając rękę na powitanie. Odwzajemniła gest i po krótkim wahaniu uścisnęła mu dłoń. W końcu poczuła się częścią wojny, której każdy zwrot pilnie śledziła. Pierwszy dzień, a ona wita się z człowiekiem, który zaplanował cały konflikt. Opowie to swoim dzieciom, a one powtórzą swoim – że spotkała się oko w oko z jedną z głównych postaci Europy końca XX wieku.

– Dzień dobry, jestem Rachel Kelly. Ze Stanów Zjednoczonych.

Inni też się przedstawiali, ale unikali podawania ręki i tylko kłaniali się niezgrabnie ze słabymi, niezobowiązującymi uśmiechami.

– Może przejdziemy dalej? – zaproponował Karadzić nie-naganną angielszczyzną, tak dobrze znaną z dzienników telewizyjnych. – Trochę tu chłodno. – Nie zadał sobie trudu, by przeprosić za spóźnienie. Nawet o nim nie wspomniał.

Przez następne pół godziny führer z Pale wyjaśniał przy stole zastawionym francuskimi koniakami i świetnymi serami, jak bardzo należy ubolewać nad każdym przerwany życiem, ale to przez muzułmanów wojna stała się nieunikniona. Chcieliśmy żyć w pokoju, oświadczył, ale musicie zrozumieć, oni próbowali rozpocząć tutaj, w sercu Europy, islamski dżihad. Dla dobra chrześcijaństwa, światowej cywilizacji, trzeba to powstrzymać. Zwyciężymy ich, nawet jeżeli jedynymi naszymi sprzymierzeńcami pozostaną Bóg i Grecy. Zapamiętajcie, powiedział, pykając kubańskim cygarem, wkrótce w Sarajewie nie będą liczyli zmarłych, będą liczyli żywych.

Rachel gorączkowo zapisywała każde słowo, aż zeszywniały jej palce.

Pod koniec zaproponował im kawę, a zaraz potem Rachel popełniła katastrofalny błąd – „zbrodnię”, jak określił Danny Lowenstein, gdy się o tym dowiedział. Kiedy Karadzić się z nimi żegnał, udało mu się pocałować ją szybko w oba policzki. Poczuli dotyk skóry, zimnej i trochę szorstkiej, zapach jego płynu po goleniu. Pomyślała, jakie to dziwne, że Karadzić zawraca sobie głowę takimi marnościami w czasie wojny domowej. Wszystko stało się, zanim do niej dotarło co on, a może ona sama, robi.

Tego wieczoru urządzono wspólną kolację w jadalni. Becky zsunęła trzy stoły, przy których zasiadło kilkunastu dziennikarzy. Rachel, zmęczona, ale uszczęśliwiona swoim debiutem w Pale, była strasznie głodna. Nie zwracała uwagi na menu, jadła co popadło.

Kiedy weszła, Danny przewodził u szczytu stołu – król na swoim bankiecie. Zdejmując płaszcz, zastanawiała się, czy zdoła usiąść blisko niego, ale był już wciśnięty między Edwinem, Kapsem, Spinową a fotoreporterem, którego widziała w Splicie. Cała czwórka pochylała się ku sobie i śmiała hałaśliwie. Danny, mistrz gawędziarzy o niewyczerpanym zasobie anegdot, potrafił tak ubarwić najzwyklejsze wydarzenie, żeby stało się jeszcze ciekawsze. Docierały do niej fragmenty opowieści: coś o tym, jak przed upadkiem komunizmu ukrywał się przed KGB w pokoju hotelowym. Chyba wymienił Litwę.

– No więc wiedziałem, że mnie szukają. Zaczęli walić w drzwi i wołać: „Mjistier Lowiensztejn, możemy mówić z panem?” – Komiczna rosyjska wymowa wywołała jeszcze większą wesołość. – Golutki wyskakuję z łóżka i z łomoczącym sercem chowam się w szafie w łazience. Słyszę szczęk zamka w drzwiach, a potem facet wielki jak niedźwiedź otwiera szafę. No, to przechlapane, myślę. Ale oczywiście to pieprzona służba hotelowa. Na śmierć zapomniałem, że zamówiłem jedzenie, a teraz kelner ogląda mnie w pełnej krasie i pyta: „Życzy pan sobie trochę majonezu?”

Potem komika zastępuje przenikliwy analityk polityczny – bez wysiłku zmieniał gatunki. Mówił szybko, emanując pewnością siebie. Nawet kiedy zagłębiał się w labirynt dygresji, jego zdania były tak kunsztowne, jakby wymyślił je już wcześniej. Głos Lowensteina górował nad pozostałymi, oszalałami, zmuszając, by go słuchano.

– Najwspanialszą sztuczką Miloševicia jest demonizowanie wszystkich pozostałych. Słoweńcy? Secesjoniści. Chorwaci? Faszyści. Bośniacy? Islamscy fundamentaliści. Albańczycy? Terroryci. A wiecie, kim jest on sam?

– Oczywiście, nacjonalistą – oznajmił Edwin.

– Nie, nawet nie to. Oportunistą. Dorwał się do władzy na fali tej całej idei Wielkiej Serbii. Kim był za czasów Tity? Po prostu jednym z szarych aparatczyków bez perspektyw

awansu. A jaka przyszłość czekałaby go w wolnej i demokratycznej Jugosławii? Absolutnie żadna.

Obserwując, jak działa na pełnych obrotach, Rachel uznała, że na tworzoną aurę ma wpływ także wiek Lowensteina. Większość zgromadzonych miała dwadzieścia parę lat, on był ponad dziesięć lat starszy. Siedział tu od samego początku, przeżywał bitwy w Bośni i Hercegowinie, a jeszcze wcześniej w Chorwacji. Przedstawiciele ONZ, generałowie NATO, dyplomaci z Unii Europejskiej – wszyscy przychodzili i odchodzili, ale Danny tkwił na posterunku i rzadko kiedy brał urlop czy wycofywał się do wygodniejszych stref. Napisał rewelacyjną książkę o wojnie, zanim jeszcze się skończyła, a w Białym Domu i na Downing Street żądano, żeby każdy czytał jego relację. Uosabiał wszystko, co Rachel uwielbiała w dziennikarzach – był bystry i zabawny, etyczny i gniewny. Postanowiła zapomnieć jego pogardliwą uwagę o wariatach – musiała źle ją zrozumieć.

– Wszystkie wojny... – grzmiał Danny, przeskakując z tematu na temat – to sprawa dobra i zła, a także religii.

Rachel odkryła później, że mówił takie rzeczy, aby sprowokować Edwina. Wiedziała, że temu lojalnemu angielskiemu katolikowi nie podoba się pomysł oskarżania jego Boga o wszelkie problemy świata.

Edwin jak zwykle stanął w obronie Pana.

– Jasne, to zawsze wina Boga, prawda, nigdy ludzi.

– Stanowią śmiercionośne połączenie. – Danny wzruszył ramionami.

– Wiesz, co mnie dziwi, Danny? Uważasz, że jesteś ateistą albo, jak sam się określasz, ateistycznym fundamentalistą. Ale nawet ty potrzebujesz, aby ktoś cię chronił.

– To znaczy?

– Mówię o twoich przesądach, cholernych magicznych butach. Na serio wierzysz, że zginiesz, jeżeli ich nie włożysz. Okej, przyznaję, czasami spędzam czas w kościołach, wśród kadzideł i relikwii, ale nie sądzę, by to było bardziej dziwaczne.

Dany najwyraźniej uznał, że znalazł się na niepewnym gruncie, i wybrał bezpieczniejszy temat.

– Rzecz w tym, że historia jest zaśmiecona wojnami religijnymi. Islamska ekspansja w VII wieku, krucjaty w XI, wojna trzydziestoletnia... spis ciągnie się w nieskończoność. A o co chodzi między Izraelczykami i Palestyńczykami, jeżeli nie o religię?

Edwin się poddał. Nie widział sensu dyskutować z Dannym, kiedy ten się nakręcił. Nie reprezentował nikogo na świecie poza swoją gazetą i kilkoma czytelnikami, ale zawsze musiał mieć rację. Kończył wymianę zdań tylko wtedy, kiedy ją wygrał. Gromił oponentów do momentu, aż całkowicie ich zmiażdżył.

Kiedy dyskusja wygasła, Danny podniósł głowę i uchwycił spojrzenie Rachel. Pomyślała, że może powinna podejść, jeszcze raz podziękować mu za hełm i dodać żartem, jak bardzo okazał się na nią za duży. Próbowwała pozdrowić Danny'ego lekkim uśmiechem, ale jeżeli go zauważył, to nie odwzajemnił. Na jego twarzy pojawił się za to gniewny grymas, zapowiedź burzy, która zakryje pogodne niebo. Pewnie się pomyliła, po prostu był zmęczony i poirytowany.

Przy jej części stołu toczyła się mniej wyrefinowana rozmowa. Zaczynała się i zamierała, aż w końcu z niewiadomych powodów zatrzymała się na Woodym Allenie i czy można go nazwać wybitnym reżyserem oraz na problemie, czy Madonna jest dobrą piosenkarką. Porównania i kontrasty. Ale Rachel chciała uciec od Ameryki i jej niedoskonałych celebrytów, a nie gadać o nich cały wieczór. Udawała, że słucha tych wszystkich plotek, ale koncentrowała się na słowach Danny'ego.

Po jakimś czasie wymknęła się do toalety, a kiedy już się wysusiała, długo patrzyła w lustro i gratulowała sobie osiągnięć. Nieźle, panno Kelly. Całkiem nieźle.

Kiedy wracała do jadalni, znów usłyszała górujący nad gwarem głos Danny'ego, równie namiętny jak wtedy, kiedy po raz pierwszy tu weszła. Uderzył ją jak nagły powiew wiatru.

– Ale Jezu, jak mogła? Ja pierdolę. Czy miała jakiegokolwiek pojęcie, ile sprawiła mu przyjemności? Nawet żona tak by facetowi nie dogodziła. Do diabła, przecież ona nie jest żadnym wybitnym politykiem. Po prostu pismakiem, na dodatek miernym, ale mimo wszystko bardzo mu się to podobało. A poza tym, jest Amerykanką. Założę się, że on to wykorzysta.

„I na dodatek miernym”. Słowa mknęły ze straszliwą prędkością jak kolejka górską, która wyrwała się spod kontroli.

– Och, nie bądź dla dziewczyny taki surowy – odezwał się ktoś. Chyba mężczyzna, pomyślała. Kaps z Reutersa. Tak, ta charakterystyczna afrykanerska wymowa. – Słuchaj, to jej pierwszy dzień. No i co z tego, że podała mu rękę, a on ją pocałował? Próbował, stary bysio. Trudno się dziwić, nie widuje w tym swoim mateczniku zbyt wielu ładnych dziewczyn. No więc popełniła błąd, nie zeszła mu w porę z drogi. Cóż, taka gafa raczej nie zmieni biegu wojny. Jest nowicjuską. Mleko pod nosem. Odpuść jej Dan, dobra?

– A gdyby pocałowała Hitlera? Albo Stalina? Nadal byś chciał jej odpuścić?

– Wątpię, by była entuzjastką nekrofilii.

– To wcale nie jest śmieszne.

– Owszem jest! Wyluzuj, świętoszkowaty sukinsynu! – wtrąciła się Becky. Dobra stara Becky, pomyślała Rachel sparaliżowana w swojej kryjówce. – Mnóstwo ludzi podaje mu rękę. Widziałam, jak któregoś dnia zrobił to facet z BBC.

– Ale nie my – oświadczył kategorycznie Danny. My, Brygada Coś Trzeba Z Tym Zrobić, która gardzi Serbami i żąda, by świat zaczął działać przeciwko nim. My, ekipa, do której Rachel chciała należeć. Ale nic z tego. Zasady klubu złamane. Odmowa członkostwa. I z całą pewnością nie będziemy całować Karadžicia.

– Ty całujący Karadžicia! – wrzasnął Kaps. – Cóż za piękny obrazek.

Kolejna bohaterska próba wykpienia świętego oburzenia Danny'ego. Rachel usłyszała, jak całe towarzystwo przy stole wybucha śmiechem. Podziękowała Kapsowi za obronę, z głębi obolałego serca.

Ale jednak popełniła błąd. Wszyscy to przyznali, zarówno jej obrońcy, jak i oskarżyciele. Kurwa, zaklęła Rachel prawie na głos. Ledwo przyjechałam i już spieprzyłam sprawę. Nie przekreśliłam faktu, nie przegapiłam bombowej sensacji, ale pomyliłam się w ocenie. A to mogło obrazić i odsunąć od niej tych, do których najbardziej pragnęła się zbliżyć. Powinna wrócić do swojego jedzenia, ale chciała tylko przemknąć z powrotem do toalety i zamknąć za sobą drzwi. Nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Po prostu gapiała się na wysuszony, poskręcany kawałek tapety; teraz przypominał jej własną karierę zawodową.

„I na dodatek miernym”.

Może i tak. Może Billy Kelly miał rację; lepiej gdyby została z nim tam, gdzie jej miejsce. Może powinna polecieć z powrotem do Arlingtonu i sypialni jak z pudełeczka. Myśli o domu sprawiły, że miała ochotę pójść na górę, zwinąć się w kłębek i zasnąć, ale musiała to ciągnąć. Nie było jej prawie pięć minut. Później uznała, że wracając do stołu, wykazała się większą odwagą niż na jakimkolwiek polu bitwy.

Kiedy tam dotarła, rozmawiano już na inny temat. Tylko Becky dostrzegła wilgotny błysk łez, które Rachel usiłowała powstrzymać.

Tej nocy w swoim pokoju Rachel nadal czytała książkę Danny'ego. Nie miała na to szczególnej ochoty, ale musiała potwierdzić swoją wiarę w niego. Fragment znajdował się na końcu rozdziału o Sarajewie.

„Tylko dlatego w ogóle zwróciłem uwagę na Ljubicę, że była małą dziewczynką bez przednich zębów, z kucykami. Przypuszczam, że miała sześć albo siedem lat, a kiedy mijałem

ją koło wież Uni, ślizgała się po śniegu i śmiała na całe gardło. W Sarajewie śmiech stał się czymś niezwykłym do tego stopnia, że od razu go wychwytywałeś. Uśmiechnąłem się do niej, a ona do mnie.

Właśnie skręciłem za róg, kiedy usłyszałem eksplozję granatu mózdzierzowego, i jakaś część mnie wiedziała, kto jest ofiarą. Pobiegłem z powrotem, a ona już leżała w ramionach bardzo brodatego mężczyzny – chyba ojca, ale nie ośmieliłem się zapytać. Krzyczał w niebo, oskarżając je o tę potworność. Wygrażał pięścią jakimś bogom tam w górze, którzy jego zdaniem to uczynili. Drobne ciało Ljubicy było poszarpane, kucyki ociekały krwią. Miałem wrażenie, że na jej umierającej twarzy nadal widzę ślad tego uśmiechu, którym mnie obdarowała, który wystarczył, by ją zauważyć”.

Typowa metoda Lowensteina. Rachel wątpiła, czy kiedykolwiek zdobędzie się na taką pewność, by pisać o śmiechu, który „stał się czymś niezwykłym”. Ale o ile wczoraj podziwiała tę zuchwałość, teraz pomyślała, że może to być wyłącznie ckliwy chwyt. Zadała sobie pytanie, czy to wszystko jest prawdziwe. Czy Ljubica rzeczywiście uśmiechnęła się do niego, czy to tylko licentia poetica? Czy ubarwił historię, tak jak swoje wyświechtane anegdoty przy stole? Jak nazwała Becky jego pisarstwo? „Fikcja”. Przez chwilę zastanawiała się, czy Ljubica w ogóle istniała. Albo Nermina, na ten przykład.

Becky po raz kolejny zapukała do drzwi Rachel z nową butelką vranaca.

- Przyniosłam coś, żeby poprawić ci nastrój.
- Ale jestem zupełnie...
- Wiem, że słyszałaś. Ten facet czasami za bardzo przejmuje się swoją rolą.

Rachel pociągnęła solidny łyk czerwonego wytrawnego wina i wkrótce podstępna magia trunku zaczęła działać. Becky

piła ze współczuciem. Rachel była jej wdzięczna za towarzystwo. Mogła mieć podejrzenia, czemu ta nieustannie radosna, obca kobieta uczepliła się jej tak szybko, ale w taką noc jak ta zdawała sobie sprawę, że jeżeli Becky potrzebuje przyjaciela w Sarajewie, to ona też. Becky broniła jej przed Dannym, a Rachel nie mogła prosić o nic więcej.

– Musisz nauczyć się go ignorować. W każdym razie to nasza wina. Powinniśmy cię ochronić przed całusami zwariowanego doktora.

– Cmoknął mnie tylko, nie całował – zaprotestowała Rachel.

– Tak czy owak, uważam go za całkiem atrakcyjnego starszego mężczyznę. Nie powtarzaj tego Danny'emu.

Wino pomogło Rachel zmienić wstyd na gniew. Jak on śmiał – Daniel Lowenstein czy Danny, czy jak tam, do cholery, się nazywa – oceniać ją i potępiać, i to przy pierwszym materiale w jej rozpoczynającej się karierze? Niech się wali, podpowiadało wino; do diabła z nim i jego świętoszkowatymi pierdołami.

– Był moim bohaterem, wiesz? – Rachel sprawiała wrażenie, że spowiada się z jakichś obrzydliwych fantazji.

– Kto? Karadzić czy Lowenstein?

– Lowenstein, idiotko.

– Zauważyliśmy. Słuchaj, nadal może nim być. Jest wspaniałym facetem i bajecznym dziennikarzem. Kochamy Danny'ego do grobowej deski. Znamy go od dawna.

Becky zaczęła opowiadać, jak spotkali się wszyscy trzy lata wcześniej, w czasie innej wojny Serbów, tym razem przeciwko Chorwatom. Edwin właśnie wystąpił z wojska w 1991 roku i wiedział mnóstwo o działaniach wojennych, ale nic o dziennikarstwie. Kaps na odwrót, był doświadczonym reporterem, a nowicjuszem na polu walki. Danny wziął obydwu pod swoje skrzydła. Becky przebywała tam z inną fotoreporterką, Frederique.

– Nazywaliśmy ją Freddie. Miała dopiero dwadzieścia lat i o wiele więcej talentu niż ja. Pewnego dnia jechaliśmy

w konwoju do Vukovaru, cała nasza piątka. Serbowie zrównali miasto z ziemią, tak jak tylko oni potrafią. Mieliśmy zwykłe samochody. Nagle przez okno wleciał pocisk. Urwał jej połowę twarzy, tej pięknej, uroczej twarzy. Ale najgorzej ucierpiały oczy. Agencja w Paryżu, dla której pracowała, zapłaciła za najlepszego chirurga okulistę na świecie. Nie powinna utracić wzroku, daru robienia zdjęć. Ale utraciła. Operacja się nie udała.

– Tak mi przykro. Co się z nią stało?

– Z Freddie? Och, żyje i jest w doskonałej formie, ale jej świat to ciemnia; inaczej byłaby tu z nami.

Rachel zastanawiała się, czy Becky ją tam zastąpiła, i aż się wzdrygnęła na tę myśl. Ale Australijka mówiła dalej, tak szybko, że Rachel z trudem za nią nadążała.

– Potraktuj to jako ostrzeżenie. A przy okazji, wiesz, jak można go naprawdę wkurzyć, to znaczy Danny'ego? Kiedy byliśmy w Pale, ten naprawdę paskudny facet zaproponował, że mogę zobaczyć Serbów w akcji. Powiedziałam, że nie zależy mi na zwykłych żołnierzach, ale na strzelcach wyborowych. Chcę znaleźć się po drugiej stronie karabinu; zrobić zdjęcie, jak snajper patrzy z góry na swoje ofiary, widzieć jego palec na spuście, oko spoglądające przez celownik optyczny. Cholerne zdjęcie roku. I zgadnij, co się stało? Gość się zgodził.

– Żartujesz?

– Nie. Obiecał, że dadzą nam najlepszego snajpera w Sarajewie.

– Nam?

– Oczywiście. Ja zrobię zdjęcia, a ty napiszesz tekst.

Becky wyjaśniła, jak przejdą linię frontu do Grbavicy – była o rzut kamieniem od Holiday Inn. Musiały jednak iść długą drogą okrężną, przez lotnisko, wrócić do miasta od serbskiej strony i zatrzymać się w koszarach Lukavica Republiki Srpskiej, aby tam wziąć dokumenty i ochroniarza.

– W czasie pokoju dotarłybyśmy w pięć minut, a tak może nam to zająć trzy godziny. Ale gwarantuję, że będzie materiał.

Podobno facet zabija kilku muzułmanów dziennie. Pewnie polowa z nich to niemowlaki w wózkach.

– Dlaczego chciałby z nami o tym rozmawiać?

– Bo przypuszczam, że jest małym, zarozumiałym sukinsynem. Zadowolony jak diabli, że znajduje się w czołówce ligi, i chce, żeby cały świat o nim przeczytał. To serbski propagandowy numer.

– I my im pomagamy? No nie wiem, czy chcę brać w tym udział.

– Och, a więc postanowiłyśmy nie pokazywać serbskiej strony tej wojny? Dopiero co w mieście, a już ustaliłyśmy, kto nosi biały, a kto czarny kapelusz?

– To nie jest jakaś wielka filozofia.

– Ani też obiektywizm. Sądzę, że jednak posłuchałaś pana Lowensteina. Rzecz w tym, że w ten sposób ukrzyżujemy tego snajperskiego kutasa. Pozwólmy mu samemu się powiesić. Cokolwiek powie, twoi czytelnicy ostatecznie go znienawidzą.

Perspektywa dobrego, staroświeckiego materiału na prawach wyłączności – jej pierwszego w Sarajewie – zaczęła do Rachel przemawiać. Nie chciała zawieść Becky, zwłaszcza po tym, jak ta okazała jej solidarność, a jeżeli jeszcze bardziej utraci szacunek Danny'ego, to cóż... i tak najwyraźniej nie cieszyła się zbyt wielkim. Zanim się zorientowała, jej wysokie normy moralne rozsypały się jak domek z kart.

– Okej, zgoda.

Z pijanym entuzjazmem przybiły piątkę, ledwie trafiając w dłoń, a potem zajęły się planowaniem dnia w serbskiej części miasta. Ten dzień miał je prześladować do końca życia.

Znalazły go na piętnastym piętrze zamkniętego na głucho mieszkalnego wieżowca. Ukrywał się w dzieciennym pokoju. Na dywanie leżał połamany domek dla lalek z wgniecionym dachem. Wokół niego małe plastikowe ludziki, martwe lub straszliwie poranione. Wszędzie poniewierały się szkolne

książki, tuż obok pusty tornister. Jakby dziecko w napadzie złości pozrzucało swoje rzeczy z półek. Ale dziecka nie było – oczywiście to Serbowie splądrowali pokój, szukając pieniędzy lub biżuterii, ale znaleźli tylko lalki, zabawki i bajeczki. I zamiast ładnej uczennicy, która kiedyś tu mieszkała, pomieszczenie miało nowego lokatora, mężczyznę z bandaną na głowie i wytatuowanym na lewym przedramieniu symbolem jedności Wielkiej Serbii – stykającymi się grzbietami czterema C; „ich wersja swastyki”, jak określał to Danny. Stała przy nim butelka śliwownicy – pędzonej w domu wódki. Pełna. Może nie pił, dopóki nie nadarzyła się okazja do świętowania.

Ma na imię Dragan i chowa się za disneyowskimi zastłonkami dziewczęcego pokoju, na których nie widać symboli serbskiej państwowości, ale sceny z *Królowny Śnieżki i siedmiu krasnoludków*. Obserwuje drugi brzeg Miljacki, wypatrując celów. Jest jak bóg, według uznania rozdający życie i śmierć.

Kiedy wchodzą, snajper mruczy pod nosem: *Zdravo*, cześć. Odwraca się na moment, by się im przyjrzeć, ale zaraz kieruje wzrok na ulice w dole – orzeł namierzający ofiary. Dzisiaj jak dotąd zaliczył tylko cztery trafienia, z tego dwa na pewno śmiertelne. Mizerne żniwo. Jego wodzowie w Pale będą rozczarowani. Trzeba zwiększyć wydajność. Marzenie o Wielkiej Serbii musi się spełnić.

– *Zdravo* – odpowiadają Becky i Rachel. Przyszły tu z tłumaczem Edwina Aliją. Niedawno skończył studia, ale małe okulary i idealnie wypielegnowana bródka sprawiają, że wygląda jak profesor z wiecznie zdziwioną miną. Jest na wpół Serbem – po ojcu – i kiedy znajduje się w tej części miasta, używa imienia Bosko. Fascynuje się swoim alter ego, jakby tworzył jedną z postaci ze swoich książek.

Ale co one tu robią, wymieniając uprzejmości z człowiekiem, który jest uosobieniem serbskiego okrucieństwa? Kiedy popijały vranaca, ciesząc się buntem przeciwko Danny’emu Lowensteinowi, spotkanie ze snajperem wydawało się świet-

nym pomysłem, ale teraz, gdy znalazły się w kryjówce mordery, z trudem mogły uwierzyć, że są tu razem z nim – to dziennikarski materiał, ale zarazem etyczne okropieństwo. Całowanie Karadžicia – nawet seks z nim – nie dawały się z tym porównać. Rachel nie odważa się wyobrazić sobie, co powiedziałby Danny, widząc je tutaj.

Teraz anonimowy strzelec wyborowy terroryzujący tę część Sarajewa nareszcie ma twarz. Odwraca się do nich na krótko. Jest młody, góra dwadzieścia pięć lat. Jaskrawozielone oczy. Becky przypuszcza, że facet używa ich tak samo jak ona w swojej pracy – jedno spogląda przez celownik karabinu, drugie przez soczewki aparatu. Snajper i fotoreporter – niewielka różnica. Obaj polują na swoje ofiary.

Przez większość czasu tkwi pochylony nad karabinem, odwrócony plecami. Nie chce oderwać się od pracy nawet na minutę. Rozmawiał przez chwilę z Aliją. Są dwoma tak różnymi produktami tego samego, idącego w rozsypkę kraju – wyszkolony zabójca i wyszkolony intelektualista. Na inteligentnej twarzy Aliji rozlewa się rumieniec. W oczach kręcą się łzy.

– O co chodzi? Co ci nagadał? – pyta Becky.

– Nic. Takie tam pogaduszki.

– Nie bujaj... w czym rzecz? Zdenerwowałaś się.

– Nie, słowo daję, ja...

– Masz tu tłumaczyć, a nie decydować, co wolno nam usłyszeć.

– Dobra, dobra. Powiedziałem mu, że jestem na wpół Serbem, a on zapytał mnie po kim. Po ojcu, mówię. A on na to: „W takim razie, chciałbym wyjechać twoją matkę, a potem wypatroszyć ją najostrzejszym nożem myśliwskim i pociąć, aż dotarłbym do gardła, a wtedy też wetknąć swojego fiuta”. Zadowolona?

– O kurwa, bardzo przepraszam.

Snajper znowu coś się odzywa i tym razem Alija tłumaczy symultanicznie, aby nikt nie mógł go oskarżyć, że coś przemilcza.

– Ma na imię Dragan. Nie bójcie się. Chce, żebyście podeszły do niego. To jego okno na świat.

Becky i Rachel nerwowo posuwają się do przodu, obawiając się, że snajper rządu bośniackiego może wziąć je na cel, i starają się dobrze przemyśleć swój potencjalny współdziałanie w działaniach zabójcy. Ale w końcu, czy nie po to tu przyszły? Aby wysłuchać relacji drugiej strony z Sarajewa. I żeby zrobić zdjęcie. Cholerne zdjęcie roku.

Stają po obu stronach mężczyzny i patrzą w dół na ulice muzułmańskiej części miasta, ich części. Zaledwie kilkaset metrów dalej znajduje się obrzydliwie żółty Holiday Inn. Nie mogą się powstrzymać przed obserwowaniem terenu oczami snajpera, przeszukiwaniem okolicy wzrokiem, wypatrywaniem znaków życia, potencjalnych celów. Od czasu do czasu małe postacie wybiegają z ukrycia, czekając na trzask, świst – i jeżeli tego zimnego ranka nie mają szczęścia – nagłą, katastrofalną eksplozję bólu.

Codziennie w każdej minucie ci ludzie muszą podejmować decyzje stanowiące o życiu i śmierci. Którą trasę wybrać, iść czy biec, kroczyć ulicą po prostej czy zygzakować, robić uniki, posuwać się skokami od jednego zaułka do drugiego? Im bardziej bezradna ofiara, tym chętniej snajper ją wybierze, bo daje tym samym dowód Bośniakom, że nie mogą oczekiwać od Serbów ani cienia litości, tylko nieustannego okrucieństwa. Tu leciwy emeryt stojący w kolejce po żywność, tam matka z maleńkim dzieckiem. Śmierć ma na nich oko. Śmierć, czyli przystojny młody człowiek o imieniu Dragan.

– Mówi, że warunki są idealne. Zimny, pogodny dzień jest najlepszy. Ludzie nakładają dużo ubrań.

– A dlaczego to takie dobre? – pyta Rachel, choć raczej nie chciałyby poznać odpowiedzi.

– Przez to stają się większymi celami. A jeżeli pola widzenia nie przesłania mgła albo deszcz... cóż, tym lepiej.

– Czy... to sprawia mu przyjemność?

Chwila ciszy. Snajper intensywnie wpatruje się w celownik optyczny. Napięcie dziesiątków drobnych mięśni twarzy świadczy o skupieniu. Celuje, by zabić, czy tylko obmyśla odpowiedź?

– Mówi, że to jego zadanie, takie samo jak każdego żołnierza. Jest w tym dobry i ma z tego pewną satysfakcję. Ale niczym się nie różni od artylerzysty czy piechura. W tej wojnie każdy Serb musi odegrać swoją rolę. W jedności siła.

To brzmi, jakby mu wbito w głowę propagandowe serbskie slogany, jakby nauczył się ich na pamięć, aby mógł je wyrecytować Rachel i Becky.

– Ilu ludzi zabił? – Becky uznała, że pora przejść do rzeczy.

– Pyta, czy dzisiaj, czy w ogóle?

– I to, i to.

– Dzisiaj dwoje, w sumie może kilkaset. Nie liczy. Poza tym nie zawsze strzela, aby zabić. Niekiedy trafia w kolana, żeby ich powalić. To wiąże siły i środki przeciwnika, zmuszając go do zajmowania się ofiarą; martwego muszą tylko pogrzebać. Szybko i łatwo. Za szybko.

Rachel zapisuje wszystko w notesie, bazgrze gorączkowo i przeklina sama siebie, że nie nauczyła się stenografii. Becky obmyśla następne pytanie, nie fotografuje. Jest przekonana, że trzeba kogoś zrozumieć, aby mu zrobić dobre zdjęcie.

– Ale czasami strzela, żeby zabić, prawda?

– Tak.

– W takim razie, jak decyduje? No wiesz, kogo okaleczyć, a kogo zabić?

Kiedy Dragan słyszy przetłumaczone pytanie, odkłada długi, niezgrabny karabin. Mówi teraz szeptem i Alija musi prosić o powtórzenie.

– Twierdzi, że to zależy od nastroju.

– A w jakim nastroju jest dzisiaj?

Długie milczenie, zanim wreszcie odpowiada.

– Proponuje, żebyś tu została jeszcze trochę, a się przekonasz.

– Nie ma nic przeciwko temu, żebym zrobiła mu zdjęcie?

– Oczywiście, że nie, ale chce zasłonić twarz. I nie możesz używać jego imienia.

Zastanawiają się, czemu jest tak nerwowy, skoro siedzi tu wysoko, bezpiecznie; kierując się kaprysem, okazuje miłosierdzie lub okrucieństwo, pozwala życiu toczyć się normalnie albo zabiera je w ułamku sekundy?

Dragan wyjmuje z tylnej kieszeni bordową chustkę do nosa i wiąże ją jak kowboj, żeby zasłaniała usta i nos. Chowa twarz, tak samo jak ukrywał swoje ciało ze zasłonami z Królewną Śnieżką. Kiedy Rachel i Becky przyglądają mu się, przychodzi im do głowy, że to bardzo osobisty sposób wojaczki. Moździerzyci wystrzeliwujący pociski nie mają pojęcia, kogo zabijają; podobnie jak skromny piechur, który z pistoletu maszynowego strzela seriami z biodra. Snajper natomiast wyszukuje ofiary z rozmysłem. Wie to, czego one nie wiedzą – że zostały wybrane na ubój, że za chwilę zginą.

Złóżcie hołd Bogu Sarajewa.

Bandana na głowie, chustka na połowie twarzy. Niewiele widać poza przenikliwymi zielonymi oczami drapieźnika. Becky, która przez parę chwil była jak w transie, zaczyna w końcu pracować. Nie używa zawieszzonego na ramieniu długogniskowego obiektywu; wybiera wiszący na szyi obiektyw z krótką ogniskową, bo to ma być wykonane z bliska studium zabójcy. W pomieszczeniu jest za dużo dziennego światła i początkowo zamiast twarzy dostrzega tylko ciemną plamę. W końcu ustawia wszystko jak trzeba, portret jest idealny. Nawet wymyśliła podpis: „Oczy snajpera”. Na pewno znajdzie się na okładce „Newsweeka”. Jest zaabsorbowana swoją pracą i nie zdaje sobie sprawy, że on przygotowuje się do swojej.

Potworny trzask, okna dygocą.

Migawka klika raz za razem.

Kolejny trzask, a potem prawie natychmiast następny. Czysty dźwięk odbijający się słabym echem między blokami zabitymi deskami.

Zanim Becky zdążyła się zorientować, kończy całą rolę filmu Fujicolor. Sięga do torby przy pasku po następną.

Snajper i fotograf pracują razem, zespołowo.

Patrzy w dół, na ulicę. Pusta. Z ulgą widzi, że nikt nie leży zabity, umierający. Musiał wystrzelić parę pocisków, żeby nie wyjść z wprawy. A może tylko na pokaz? Dla Becky pozowali ze swoimi karabinami faceci z całej byłej Jugosławii. Onaniści. Głupie chłopaczki z zabawkami. Pewnie fiuty też mają małe, myśli sobie. To właściwe miejsce dla takich jak on, dziecięca sypialnia, gdzie czai się za disneyowskimi zasłonami.

Dragan wskazuje na zaciemniony zaułek za odległym, prawnym rogiem ulicy. Robi to rzeczowo, bez chwalenia się. Palec specjalisty pomaga jej odszukać wzrokiem to coś. Nie, nie coś, kogoś. Już widzi. Jak mogła nie dostrzec? Kobieta w średnim wieku leży na chodniku w kałuży krwi koloru czerwonego wina. Cebule z niesionej torby rozsypały się wokoło. Czerwone wino i cebule, czerwone wino i...

Dłonie i palce Becky poruszają się szybko, odruchowo, wymieniając obiektyw na długiogniskowy, ustalając ostrość dalekiego zdjęcia leżącej w dole ofiary – czyjejś matki, żony, córki. Kolejne, statyczne ujęcie.

I nagle fala obrzydzenia. I wyrzuty sumienia. Panika. Zabił niewinnego człowieka, a ona działała z nim w zмовie. Nie „zabił”, poprawia się Becky, to sugerowałoby usankcjonowane wojną działanie. Zamordował z zimną krwią.

Przy oknie nie ma miejsca dla Rachel. I bardzo dobrze. Została jej oszczędzona trauma Becky, ale przecież i tak słyszała wystrzały. A kiedy rozlegały się echem po mieście, całe Sarajewo je słyszało i wszyscy zadają sobie to samo, brutalne pytanie: kto? Bo pocisk snajpera jest zupełnie inny od wszystkich pozostałych w strefie wojny. Ma wygrawerowane z miłością

jedno nazwisko. I niczyje inne się tu nie nadaje. Pojedynczy trzask i świst prześladują, ponieważ świadczą, że pocisk był przeznaczony dla jednego człowieka wybranego przez drugiego.

– Co się stało, Becky? On chyba nie...

– Tak, kurwa mać, zrobił to. Wziął i zabił...

– Kogo? – Jak całe Sarajewo, musiała znać odpowiedź.

– Kobietę. Cholera. Nie wierzę. W średnim wieku. Z torbą cebuli w ręku. Biedna baba. Biedna, pieprzona baba.

Rachel ma wrażenie, że słyszy łkanie w łamiącym się głosie Becky, ale nie jest pewna.

Chyba rozsądnie Alija nie tłumaczy snajperowi ich rozmowy.

Chwila ciszy. Dwadzieścia sekund albo dłużej. Becky nie potrafi się zmusić, by znów popatrzeć przez okno, ale chce wiedzieć, co się stało – musi. Czy kobieta naprawdę nie żyje? Może została tylko ciężko ranna, a inni już ją ratują, wiozą do szpitala Kosevo, gdzie nastąpi cudowne uzdrowienie? Jeszcze raz spogląda, przekonana, że wszystko skończy się szczęśliwie jak w bajce o Królownie Śnieżce i krasnoludkach. Ale kobieta, cebule i wino wciąż tam są. Samotne. Nikt nie ośmiela się zbliżyć. Aż za dobrze znają snajperskie gierki.

Dokładnie tego chce i Becky go obserwuje – palec tworzy harmonijną miłosną jedność z językiem spustowym. Dragan czeka, aby jakiś bohater spróbował się podkraść – wbrew zdrowemu rozsądkowi – żeby ocalić współmieszkanek Sarajewa.

To nie dzieje się naprawdę, tłumaczy sobie Becky. Czuje palący rumieniec. A czego się spodziewała? Że ten przystojniak-sadyista przestanie na chwilę zabijać tylko dlatego, żeby pozować do zdjęcia? Że tak po prostu pozwoli jej potem wyjść z nieskalanymi zasadami moralnymi i czystym sumieniem?

Rachel przepycha się do okna. Jak dziecko, które czuje się wykluczone, chce zobaczyć to samo co inni.

– Dobrze się czujesz Becky?

- Nigdy, kurwa, nie czułam się lepiej?
- Mogłabym popatrzeć?
- Bardzo proszę.

Teraz Dragan ma nową współpraczkę i uśmiecha się do Rachel – ten uśmiech niepokoi ją, jeszcze zanim dostrzega w dole, w zaułku, plon pracy snajpera.

Musi wydobyć od niego więcej cytatów albo nici z materiału towarzyszącego zdjęciom Becky. Skąd jest? Dlaczego to robi? Czy ma rodzinę? Matkę? Taką jak zabita kobieta? Czy w nocy śpi dobrze, czy dręczą go koszmary? Ale Rachel nijak nie może zacząć rozmowy, bo w przypadku człowieka, który właśnie zdmuchnął czyjeś życie, każde pytanie powstające w myślach brzmi zdecydowanie zbyt sterylne. I to Dragan postanawia ją przesłuchać.

- Chce wiedzieć, dlaczego nienawidzicie Serbów – tłumaczy Alija.

- Wcale nie nienawidzimy – odpowiada Rachel.
- Mówi, że kłamiecie. Dlaczego tu dziś przyszłyście?
- Aby poznać jego wersję, serbski punkt widzenia.

- Pierdoły – przekazuje tłumacz. – Mogłybyście się tego dowiedzieć od jakiegokolwiek serbskiego żołnierza, każdego spośród tysięcy. Uważa, że jesteście podglądaczkami, obie. Że fascynuje was ktoś taki jak on, kto zabija w taki sposób. Myślicie, że da wam... – Alija się waha.

- No mów – popędza go Rachel. – Że co nam da?
- Seksowny materiał.

I ma rację, chętnie powiedziałyby Rachel, ale on już wie. Wszyscy to wiedzą. A teraz Dragan wymyśla, jak uczynić ten materiał jeszcze bardziej seksownym.

- Pyta, czy chcesz popatrzeć przez celownik optyczny karabinu. Zobaczyć Sarajewo, tak jak on.

- Eee... nie. Nie, wielkie dzięki. – Ale Rachel mimo wszystko czuje pokusę.

- On nalega. Bardzo stanowczo.

Rachel doskonale zdaje sobie sprawę, że to nie tylko kwestia złego smaku, ale także coś moralnie odrażającego. Danny mógłby sprawić, że raz dwa wyleciałyby z tego kraju, bojkotowałyby je międzynarodowa prasa i do końca życia byłyby odtrącane niczym trędowate. Ale kto o tym powie? Nie ona ani nie Becky, bo tkwią w tym obie – na dobre i na złe, i na o wiele gorsze. W każdym razie Dragan wcale nie daje jej wyboru. Odsuwa się od karabinu i pokazuje, aby zbliżyła oko do lunety celowniczej. Rachel wykonuje polecenie i z ulgą widzi tylko rozmytą, nieostrą plamę. Cofa się.

– *Hvala*. Dziękuję.

– Nie. On chce, żebyś patrzyła dłużej. Aż zobaczysz kogoś innego.

– Podziękuj mu, ale już dość widziałam. Naprawdę.

– Nie, nie rozumiesz. Nie możesz odmówić.

Kolejne wzdrygnięcie i rodzące się przeświadczenie, że Dragan się nimi bawi. Bośniackie bełtanie w głowie dla początkujących. Niechętnie wraca do celownika i z przerażeniem uświadamia sobie, co widzi. Matka kryje się z małą córeczką za wiatą przystanku autobusowego, sparaliżowana niemożnością podjęcia decyzji. Czy została namierzona, czy nie?

Zabawa w chowanego. Czy nas widzi? Oczywiście, że tak, idiotki! Biegnijcie teraz! No już, dopóki to ja patrzę w celownik na lufie tego przeklętego karabinu, a nie on! Błagam w imię Boga, którego chcecie wyznawać, uciekajcie z za tego pieprzonego przystanku!

Ale nadal stoją. Kobieta leży niedaleko nich; czerwone wino i cebule to wystarczający dowód niebezpieczeństw związanych z wyjściem z osłony. Nie, będą tak tkwiły przekonane, że tam im nic nie grozi, choć w rzeczywistości są łatwymi celami.

– Pyta, czy kogoś widzisz.

– Nie. – Rachel ledwie mówi przez wyschnięte gardło. – Zupełnie nikogo.

– Nawet tej mamuśki z dzieckiem za przystankiem? – tłumaczy Alija. – Na pewno je widzisz.

Głos Aliji też drży. Chłopak przeczuwa coś złego w tym, jak rozwija się rozmowa, i dałby wszystko na świecie, żeby ją przerwać. Dlaczego w ogóle go tu ściągnęły te głupie dziewczyny, które tak mało wiedzą o Serbach?

Rachel nie odpowiada, ale milczenie wystarczy. Snajper wyczuwa jej strach, tak samo jak czuje przerażenie ludzi tam, na ulicy, oddalonych o kilkaset metrów. Ten zapach panicznego lęku dopływa do niego. Charakterystyczny. Nieodparty.

A potem Dragan dodaje coś jeszcze, ściągając chustkę z ust, żeby dotarło wyraźnie. Żeby nie było żadnych wątpliwości. Ale Alija nie przekłada jego słów, nie robi tego, nie może.

– Co on mówi? Tłumacz.

Ale tak naprawdę wcale nie chce tego usłyszeć, podobnie jak Becky, która grzebie w czarnych torebkach przymocowanych do paska aparatu fotograficznego, majstruje przy minifleszu, sprawdza zapas filmów, wynajduje sobie zajęcia, starając się skupić na nich tak, jak robiła to całe życie.

– Ja... chyba nie wiem, jak przetłumaczyć, to...

– Powiedz jej! – Dragan nagle odzywa się po angielsku, zaskakując ich całkowicie. To rozkaz, nie prośba i Alija go wykonuje.

Rachel wpatruje się w chłopaka, ale nawet nie odważa się spojrzeć na Dragana. Ogarniają ją fale paniki. Co robić? Dlaczego nie została w domu w Arlingtonie, w swojej sypialni – tak niewiele różniącej się od tej tutaj.

– Niech się odpierdoli. – Becky oderwała się od torby z akcesoriami, otrząsnęła z zadumy.

– Ale jeżeli Rachel nie wybierze którejś, matki lub dziecka, po prostu zabije obie. Wszystko zależy od niej. I powinna spojrzeć na to pozytywnie. Że dziś może ocalić komuś życie.

– Och nie! – Rachel ma ochotę się rozplakać.

– Nie zwracaj na niego uwagi – mówi Becky. Już się pozbierała, jest świadoma swojej odpowiedzialności, silniejsza, mądrzejsza, bardziej doświadczona. Udziela wskazówek na każdy temat: od grzałek do wody po dylematy etyczne. – Zabieramy się stąd natychmiast. Ten facet to pojob. Przekaż mu, że złożymy skargę ludziom w Pale, tym przez których zorganizowałyśmy spotkanie. Wyląduje po uszy w gównie. Mamy specjalny kontakt z samym Karadżiciem.

Alija tłumaczy pracowicie i czekają z łomoczącymi sercami.

– Mówi, że pierdoli ludzi w Pale i Karadżicia. To same cipy, tchórzliwe, nędzne cipy. Nie wyjdiesz z tego pokoju, dopóki nie wybierzesz.

Patrzą, jak Dragan wyciąga pistolet zza paska. Wszystko dzieje się jak w zwolnionym tempie. Macha nim mniej więcej w ich kierunku. Posyła im ponadczasowy uśmiech Serba, który chce dowieść swego. To on uważa się za ofiarę historii. Becky już wcześniej widziała tę minę u niezliczonych nieufnych czetników, ale ten facet jest inny – wręcz przystojny, kiedy się uśmiecha. Znowu zwraca się do nich po angielsku.

– Już!

Daje znak Rachel, by wróciła do okna i jeszcze raz spojrzała przez celownik. Żeby wybrała ofiarę. Chodź, chodź, zabaw się dziś w Boga! Rachel z rozpaczą widzi, że wciąż tam są, dygocą koło przystanku. Dlaczego, do cholery, nie uciekły, kiedy prowokowała Dragana do mówienia? Dlaczego nie wykorzystały szansy i nie przebiegły przez ulicę albo nie wróciły tam, skąd przyszły?

– No i? – Dragan jest nieubłagany.

– Powiedz mu... Po prostu nie mogę... on wie, że to dla mnie niemożliwe...

Snajper zaczyna wrzeszczeć i Alija z trudem nadaża za litanią drwin.

– Jesteś żałosna, jak zachodnie rządy, które nie są w stanie zdecydować, co robić i komu pomagać. Jak te wszystkie

czułe serduszka, co przyjeżdżają tam, gdzie nie ich miejsce. Powinnaś... ehem, spierdalać z powrotem do Ameryki i zostawić Serbię Serbom. Obie jesteście brudnymi małymi dziwkami. Zaslugujecie... naprawdę nie chcę tego tłumaczyć... żeby Arkan i jego chłopaki przerznąli wam zbiorowo dupy, a potem obcięli cycki i wepchnęli w mordy.

Ręce Rachel trzęsą się gwałtownie, całe ciało przeszywają elektryczne wstrząsy strachu.

– *Novinari!* – krzyczy Becky. – Jesteśmy pieprzeni *novinari!*

Dziennikarze. Zupełnie jakby to jedno słowo było całym wytłumaczeniem, przyczyną i alibi.

Dragan mocno odpycha Rachel na bok, odrzucona od okna pada na podłogę. Rozlega się wystrzał, tak jak przed kilkoma minutami. Pięć sekund później drugi.

Cisza. Żadnych krzyków, tylko milczenie trojga zszokowanych ludzi i jednego, który uważa, że udowodnił swoje.

– O mój Boże – wzdycha w końcu Alija.

– Powinniśmy już wyjść. – Becky starannie zamyka torby.

Snajper znowu na nie spogląda i uśmiecha się – to już inny uśmiech, tym razem pełen absolutnej pogardy.

– Chce, żebyś wróciła do okna i zrobiła ostatnie zdjęcie. Dla potomności. Dla historii.

– Ja...

– Becky, proszę. To właściwie rozkaz.

Cośmy narobiły? – zadaje sobie pytanie. Dlaczego Rachel po prostu nie wybrała? To było straszne i niesprawiedliwe, ale dlaczego nie mogłaby ocalić jednego życia, przyjmując układu proponowanego przez Dragana? Becky szykuje się na widok martwej matki i dziecka przy przystanku i ogarnia ją czarna chmura irracjonalnego gniewu.

– Och, Rachel, na litość boską. Czemu nie...

Ale kiedy wygląda na zewnątrz, widzi przy wiacie pusty chodnik. Nie ma żadnych ciał, martwej ręki rodzica wyciągniętej tragicznie w stronę dziecka. Żadnego czerwonego wina.

Dragan rechocze na całe gardło. Bośniackie bełtanie w głowie. Gardzę tobą, mówi jego śmiech. Tobą i wszystkimi w zadowolonym z siebie, nienawidzącym Serbów świecie, z którego jesteście.

Becky niepokoi fakt, że Dragan ma twarz mężczyzny, w którym – w innym czasie i miejscu – bez trudu mogłaby się zakochać. Twarz diabła. Wychwytuje zapach śliwownicy i ma straszną ochotę się jej napić.

Kiedy szykują się do wyjścia, Rachel prawie nie czuje nóg. Przeklina siebie, Becky i Dragana. Ale przede wszystkim Danny'ego Lowensteina. Gdyby nie jego okrutne drwiny, nigdy by się tu nie znalazła.

6

Bagdad po wyzwoleniu, sierpień 2004

Kiedy konwój dowiózł ich z powrotem do ogrodzonego murami sanktuarium hotelu Hamra, Rachel, Edwin i Kaps uzgodnili, że powinni opisać, co widzieli wśród kurzu i piasku w Al-Talhy: podziurawiony pociskami samochód, plamy krwi, nerwowi żołnierze, którzy dopiero co zabezpieczyli ten rejon. To najtrudniejszy materiał, jaki mieli przygotować. Czy powinna to być rozdzierająca serce opowieść o tym, co stało się z ich przyjacielem Dannym, czy emocjonalna relacja o zaginionym amerykańskim obywatelu Danielu L. Lowensteinie napisana tak, jakby nigdy nie widzieli go na oczy? Wiedzieli, co wybrałby Danny – wyeksploatowałby temat do końca.

Poszli do swoich biur i stukali na poobijanych laptopach. Słowa, które zazwyczaj spływały z czubków ich palców, nagle stały się nieuchwytnie. Mimo to dobrze znowu zająć się

dziennikarstwem. Tylko Becky nie mogła się zmusić do pracy. W Al-Talsze nie zrobiła ani jednego zdjęcia – nawet nie wzięła ze sobą aparatu – a teraz siedziała w apartamencie prezydenckim, czekając, by zadzwonił telefon. Po raz pierwszy została tu sama i nalała sobie do filiżanki trochę whisky. Alkohol ostry jak kiepska nafta zapiekł ją w gardle, ale przełknęła szybko.

Przywykła do myśli, że ktoś po prostu przyjdzie i postawi ją na nogi – psychoterapeuta, doradca, kochanek – ale teraz wątpiła, czy ktokolwiek pomoże. Usłyszała ledwo dający się rozpoznać głos gdzieś z głębi jej samej, łamiący się i ochryply.

– Och, słodki Jezu, jak do tego doszło?

Tommy Harper i Munro oświadczyli, że mają spotkanie z sunnickimi plemiennymi „kontaktami”. Camille zapytała, czy może się przyłączyć, ale Munro odparł, iż z doświadczenia wie, że obecność kobiety z Zachodu zwykle utrudnia sprawę. Był pewien, że Camille to rozumie. Zirytowała się: odniosła wrażenie, że Munro traktuje ją jak zbyteczny bagaż, który należy zostawić w hotelu.

Stała na tarasie, gdzie – jak słyszała – Danny i ćpuny wojny urządzali swoje imprezy przy basenie. Niemal go widziała między pnączami i treliazami, rozwalonego leniwie w tanim fotelu ogrodowym; jego odbicie w pomarszczonej wodzie. Wydawało się, że duch Danny’ego błądzi w tym miejscu. Zastanawiała się, co by zrobiła, co powiedziała, gdyby po tak wielu latach stanęła z bratem twarzą w twarz? Przez moment ze wstydem czuła ulgę, że jednak nie ma go przed sobą.

Pamiętała, kiedy wszystko się zaczęło albo przynajmniej zauważyła to po raz pierwszy. Miał czternaście lat, ona siedemnaście i właśnie dostali świadectwa. Jej było przeciętne, jego – oszałamiające: same najwyższe oceny, prymus roku bijący każdego na głowę. Kiedy pełen nadziei Danny podał cenzurkę ojcu, Lukas Lowenstein zerknął na nią, rzucił na stół i mruknął: „Nieźle”. Świadectwu Camille poświęcił dużo

więcej czasu, a potem przytulił córkę do piersi. „No, to fantastyczne, kochanie. Jestem z ciebie dumny”. Spojrzała w drugi koniec kuchni. Danny stał z wykrzywioną twarzą, w oczach lśniły mu łzy, podbródek dygotał. Jako starsza siostra miała się nim opiekować, ale teraz jeżeli nawet nie zadawała bólu, to również go nie łagodziła. Wytłumaczyła sobie, że ojciec po prostu próbował na swój niezręczny sposób ją pocieszyć, ale po latach zaczęła postrzegać to jako początek karania Danny’ego.

Camille nie wątpiła, że to nad wiek rozwinięta inteligencja stała się przyczyną upadku brata. Gdyby tylko nie był tak cholernie bystry! A więc sam sobie jest winien, inaczej mówiąc: nie ona.

Początkowo przypuszczała, że Danny stanie się ulubieńcem ojca. Bądź co bądź, to syn i dziedzic Lowenstein Steel, niedużej, ale kwitnącej rodzinnej firmy w Pittsburghu. Ale im więcej czytał i rozmyślał o świecie, tym bardziej kwestionował poglądy polityczne Lukasa Lowensteina – konserwatywnego republikanina; jego styl życia – korporacyjną Amerykę; i religię – luteranizm. Danny za bardzo interesował się wywrotową literaturą, by mu to wyszło na zdrowie – książkami, które sprzeciwiały się kapitalizmowi i rozszarpywały Biblię na strzępy. Zadawał zbyt wiele pytań, miał aż nadto wątpliwości. Dlaczego nie mógł po prostu, jak jego przyjaciele, czytać kryminałów?

Natomiast Camille robiła wszystko, o co prosił ojciec – chodziła do kościoła, czytała Biblię, śpiewała w chórze. Tymczasem Danny chciał jechać do Waszyngtonu i protestować przeciwko wojnie w Wietnamie.

Powoli, nieubłaganie, pomiędzy rodzeństwo wciskał się klin. Lukas coraz mniej czasu spędzał z Dannym, nie potrafił znaleźć żadnego wspólnego punktu z synem. Miał za to wrażenie, że Camille potrzebuje jego uwagi.

Jak zwykle na windzie wisiała kartka z angielskim napisem „nie działa” – bo nie działała elektryczność, bo nie działał cały

kraj. Camille już miała wejść po schodach, kiedy zauważyła Dżamaila, uprzejmego kierownika hotelu, który bardzo starał się jej pomagać. Siwowłosa, krępy mężczyzna, z przyplaszczonym nosem, wielkimi porami, lekko zgarbiony. Od dnia przybycia Camille dbał, żeby miała wszystko co trzeba: telefon, faksy i szybką obsługę. Był jedynym Irakijczykiem, który zwracał się do niej elegancko – choć łamaną angielszczyzną. Polubiła faceta, a jego obecność podnosiła ją na duchu. Wyjaśnił, że Dżamail znaczy „czarujący”. Pasowało do niego to imię. Z tego, co dowiedziała się o zamordowanym kierowcy Danny’ego, wynikało, że Dżamail i Mohammed byli bardzo do siebie podobni – delikatni i wielkoduszni. Prawdziwi Irakijczycy.

Kiedy go zobaczyła, przeglądał w recepcji jakieś dokumenty i od czasu do czasu wydawał albo odbierał klucze do pokoiów.

– Ach, panna Camille, *hello!* – Obdarzył ją pokrzepiającym uśmiechem. – Czy mogę w czymś pani pomóc?

– Nie, dziękuję bardzo.

Zorientowała się, że coś zaprzęta mu myśli. Zerkał na boki, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w holu. Pusto, ale mimo wszystko zaczął mówić cicho.

– Chcę powiedzieć pani. Mam przyjaciela... Saddouna.

– Tak?

– Byliśmy razem na wojnie, przeciwko Iranowi. Długa, bardzo długa wojna. Za długa. Słyszała pani o półwyspie Fao?

– Tak, oczywiście.

– Walczyliśmy tam w okopach. Wielu przyjaciół zginęło. Ja i Saddoun okej, dzięki Allahowi.

Camille zastanawiała się, po co facet o tym mówi, ale zaślugał na jej cierpliwość.

– Znalazłem mu pracę tu w hotelu. Z dziennikarzami. Wczoraj jego syn zadzwonił, że Saddoun zniknął. Przepadł. Ukrywa się, boi o swoje życie.

– Rozumiem. – Camille miała ochotę powiedzieć, że w Iraku jest mnóstwo przestraszonych ludzi. Prawdę mówiąc, nie bało się bardzo niewielu.

– „Czemu?“, pytam go. „Czemu zniknął?“ Bo wiozł dziennikarza. Przyjaciela pana Daniela, mówi. Bardzo dobrego przyjaciela. Tylko jeden dzień, duże pieniądze. Strzelali do nich, ale Saddoun świetny kierowca, jak wyścigowy. Jak Michael Schumacher! Uciekł. On... jak to mówicie? Poniżył ich. W Iraku to zła rzecz. Dlatego się przestraszył, okropnie przestraszył. Znaję jego twarz, samochód.

Camille słuchała oszołomiona.

– Bardzo ciekawe. A którego dziennikarza wiozł?

– Syn Saddouna nie powiedział.

– Cóż, w porządku. Gdzie w takim razie znajdę syna, żeby z nim porozmawiać?

– Jest problem. Teraz on też zniknął.

Kiedy już przekazali swoje materiały o Dannym i Al-Tal-sze, Edwin przygotował dla nich zielone curry. Mogło nie być elektryczności, ale przynajmniej mieli gaz. Edwin zdołał namówić kogoś z personelu hotelowego, żeby kupił mu na suku większość potrzebnych składników. W żylastej dłoni trzymał mały nóż i z kontrolowaną energią zawodowego szefa kuchni siekał składniki swojego dania – zielone papryczki chili, czosnek i trawę cytrynową. Później dorzucił trochę kminku, kolendry, wlał sosu rybnego i pokroił schłodzone mięso kurczaka na paski wielkości palca. Ból zaczął ustępować. Kuchnia była najlepszym przyjacielem Edwina, kościołem, gdzie odnajdował spokój. Kiedy pracował, nikt nie miał prawa do niego podejść. Smażył i mieszał, gotował i odcedzał, zmywał, z oszalałającą prędkością i szaleńczym zapalem manewrował rondlami między kuchenką a zlewem, aż w końcu któryś upadł mu z grzechotem. Becky podskoczyła.

– Tamtego wieczoru przed wyjazdem Danny też jadł tutaj curry.

– Tak, ostre jak diabli, z jagnięciny – powiedział Edwin.
– A on oświadczył, że mogłoby być więcej kolendry. Grymaśny palant.

Rachel popatrzyła ze swojego zwykłego miejsca na sofie.

– Pamiętasz curry, które robiłeś w Sarajewie? Z każdego mięsa, jakie znalazłeś. Przeważnie starego. Podejrzewam, że wrzucałeś kawałki kotów i psów, tylko nic nam o tym nie mówiłeś.

Po raz pierwszy od kiedy dowiedzieli się o Dannym, wszyscy roześmiali się, łącznie z Edwinem. Przypomniano Camille, że jest kimś z zewnątrz, pasażerem na gapę w nostalgicznej podróży do innej dekady. Wstała, żeby wyjść.

– Nie ma mowy, dopóki nie zjesz kolacji – oznajmił Edwin. – To mój nowy przepis, specjalnie dla ciebie. Na prawach wyłączności.

Odcedził ryż i nałożył curry na wyszczerbioną zastawę z apartamentu prezydenckiego – pięć talerzy, każdy za mały na przygotowaną ilość potrawy, więc istniało niebezpieczeństwo, że wilgotna, brązowa paciaja przeleje się przez brzegi.

– Szczerze mówiąc, wcale nie jestem głodna – mruknęła Becky.

– Och, daj spokój, dziewczyno. Poświęciłem temu tyle godzin. Poza tym musisz zachować siły. Dla Danny'ego. Jak my wszyscy.

Camille też odrzucało na myśl o gorącym daniu na koniec upalnego dnia, ale zmusiła się, by zacząć jeść.

– To najlepsze zielone curry, jakie kiedykolwiek próbowałam – powiedziała, zaskakując samą siebie tym niesamowitym kłamstwem. – Nie do wiary, że właśnie je przygotowałeś. – A potem, od niechcienia, choć jeszcze nie przełknęła do końca, rzuciła: – A przy okazji, mam do was jedno pytanie. Co robiliście po wyjeździe Danny'ego? Po prostu usiłuję zrozumieć, dlaczego pojechał na taką misję zupełnie sam.

Edwin znalazł w narożnej szafce, za serwisem, trochę chutneyu. Puścił go obiegiem. Doskonały szef kuchni, zręczny kelner.

– Jak już ci mówiliśmy, potrafił być skryty – wyjaśnił. – Przypuszczamy, że zbierał jakiś materiał albo miał umówione spotkanie, bo do Al-Talhy nie jedzie się na ryby.

– A czy lubił „łowić” sam?

– Tak i nie – odparł Kaps. – To skomplikowane. Można być członkiem zespołu, ale czasami człowiek pragnie zrobić coś swojego, zdobyć własny sensacyjny materiał. Szczególnie Danny. Jestem pewien, że tak samo bywa w bankowym światku, prawda? Masz kumpli, ale mimo wszystko chcesz...

– Ich wydymać?

Spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Cóż, niezupełnie – stwierdził Kaps. – Zamierzałem powiedzieć „rywalizować”.

– Rozumiem. A więc kiedy był tam, w tej dziczy łowiąc ryby, rywalizując, co wy robiliście? – Camille zauważyła, że musi powtórzyć pytanie.

– Och, jak zwykle gniliśmy z nudów w Zielonej Strefie. – Edwin dawał przykład, łapczywie pożerając swoje danie. – Danny z całą pewnością by tego nienawidził. To była jedna z tych odpraw z wciskaniem kitu. Rozumiesz, wojsko opowiada, jak wszystko świetnie się układa, nikt tak naprawdę nie ginie, że powinniśmy dla odmiany przekazać dobre wieści o programie rekonstrukcji i tym podobnych bzdetach. Nudne jak cholera, ale od czasu do czasu trzeba okazać dobre chęci. Oczywiście Danny nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Mówił: „Za kogo oni nas biorą, za »Prawdę«? Pokaż mi dobrą wiadomość w tym pieprzniku, a ja ci udowodnię, że jesteś kłamcą, neokonserwatystą, a może jednym i drugim. A jeżeli chodzi o tych ludzi w kraju, którzy skamlą, że przekazujemy tylko złe wiadomości, to cóż, siedzą na tłustych dupach na Manhattanie albo w DC, a my jesteśmy tutaj, gdzie się do nas

strzela. No to pozwól, że zgadnę, kto z nas ma rację”. Cały twój brat, Camille. Nigdy się nie hamował.

Przez jakiś czas jedli w ciszy. Oprócz Becky, która ich obserwowała. Kiedy skończyli, Edwin zebrał talerze i pozmywał. Nikt nie zaproponował, że mu pomoże. Wydawało się, że istnieje milcząca zgoda na to, że wszystko musi robić sam, a niska kuchenka z białymi kafelkami na ścianach jest jego prywatnym terenem.

Po wpół do ósmej zdali sobie sprawę, że mają przed sobą cały, gorący wieczór pełen niczego, tak długi jak piaszczysta droga, którą jechali tego ranka. Mogliby rozejść się do pokoi, ale nikt nie czuł się ani trochę zmęczony i żadne z nich nie chciało być samo. Siedzieli więc razem, czasem rozmawiając, czasem w milczeniu, i wracali myślą do przeszłości. Albo to przeszłość wracała do nich.

7

Sarajewo, styczeń 1994

Sarajewo powoli dusiło się w średniowiecznym serbskim oblężeniu, ale w urządzonej w suterenie dyskotece szykowano się do imprezy. Wkrótce głęboki łoskot bębnów zacznie dudnić jak bijące serce miasta, oznajmiając: „Jeszcze żyjemy”, a młodzi tancerze na parkiecie będą mieli nadzieję, że otaczający ich Serbowie to usłyszą.

Imprezę zorganizowano w imieniu CBS, amerykańskiej sieci telewizyjnej. Miały tu być nie tylko prasa, ale również personel oenzetowski, pracownicy organizacji charytatywnych i każdy młody mieszkaniec Sarajewa ze znajomościami wśród obcokrajowców. Żołnierze na przepustce z linii frontu

zmieniali mundury na skórzane kurtki, a dziewczyny malowały się czarnorynkowymi kosmetykami. Kredki do oczu, tusz do rzęs, szminki maskowały desperację na twarzach.

Becky cieszyła się na wieczorną imprezę CBS, być może za bardzo. Jak wszystkie dziewczyny, ciężko pracowała nad makijażem, dodając koloru swojej alabastrowej skórze i próbując trochę powiększyć wąskie wargi. Umyła i wyszczotkowała loki. Wełniana czapka wylądowała na podłodze, kurtkę z goreteksu zastąpiła jedyna suknia. Rachel ledwo poznała przyjaciółkę.

– O rany. Wyglądasz niesamowicie.

– Ty też – zrewanżowała się Becky, chociaż Rachel, nie wiedząc, jaka etykieta obowiązuje na przyjęciach w strefie wojny, jedynie lekko przypudrowała twarz, tylko tyle, żeby przykryć piegi.

Edwin stawiał się w holu zgodnie z umową punktualnie o siódmej trzydzieści. Danny przyszedł kilka minut później; Rachel starannie unikała jego wzroku. Ale Kaps się nie pojawił i Becky była przygnębiona.

– Dlaczego choć raz w życiu nie może być na czas?

Patrzyła, jak minuty przeskakują na jej masywnym cyfrowym zegarku. O siódmej czterdzieści pięć rozczarowanie zaczęło zupełnie ją dołować. Zbyt wiele nadziei wiązała z kruchym domkiem z kart. Zdarzało się to już wcześniej. Ich relacje „coś i nic” zazwyczaj kończyły się niczym.

– Pójdę go poszukać.

Kaps siedział w pokoju, zastanawiając się, komu sprawić zawód – po raz kolejny Becky czy swoim bliźniakom obchodzącym właśnie piąte urodziny, do których obiecał zadzwonić. Antena jego telefonu satelitarnego miała obłuzowaną wtyczkę, a kiedy wreszcie uruchomił sprzęt, słyszał nieustanny, irytujący sygnał „zajęte”. Wyobrażał sobie domowe niebo – podłogę sypialni zasłaną nowymi zabawkami, a w kuchni obwieszono-

nej girlandami, balonami i kartkami urodzinowymi unoszący się dym ze zdmuchniętych świeczek. Tylko jedno było nie tak – brakowało tatusia. Jak zawsze. Tatuś wolał przez wiele miesięcy przebywać z szalonymi ludźmi w szaleńczo niebezpiecznych miejscach. Na razie chłopcom niezbyt to przeszkadzało, ale wiedział, że już niedługo zaczną żywić do niego urazę za te wygodnicze nieobecności. Tatuś nawet nie zadzwonił. Ile jeszcze urodzin musi stracić – a także meczów, przedstawień szkolnych i tym podobnych rzeczy – zanim uznają, że jednak jest nie najlepszym ojcem i mogą się bez niego obejść?

Kiedy co najmniej dwudziesty raz wybrał numer, na wyświetlaczu pojawił się napis: „zbyt częste próby połączenia”. Cisnął słuchawkę na łóżko. Niech się pierdoli.

Wkrótce potem rozległo się niecierpliwe stukanie.

– Hej, Kaps! Idziesz na imprezę czy nie?

Otworzył drzwi i zobaczył Becky z uśmiechem pełnym oczekiwania.

– Och, cześć. Słuchaj, bardzo mi przykro, ale muszę wyśłać materiał. Spotkamy się później, dobra?

Wiedziała, co to oznacza: nie idzie.

– Och. Znowu psujesz zabawę. Nad czym tak pracujesz do późna? Przecież mamy dzień bez wiadomości. – Starą się być jeszcze weselsza niż zazwyczaj. – Chodź, to obowiązkowe.

– Wy tłumacz to mojemu naczelnemu. Niektórzy z nas mają terminy.

Wymówka przyszła mu łatwo. W sumie, dlaczego w ogóle zadaje sobie trud, by kłamać?

– Och. – Po raz pierwszy w głosie Becky dało się słyszeć rozczarowanie.

– Posłuchaj. Naprawdę spróbuję dotrzeć. Tam gdzie miło i duszno.

Wyszła na korytarz. Jak to się działo, że czasami cudownie akceptowała samą siebie, a kiedy indziej tak ją dołował? Zastanawiała się, czy w ogóle od razu nie zrezygnować z dyskoteki,

wrócić do pokoju i walnąć ballantine'a, vranaca albo czegoś, co jej jeszcze zostało.

Kaps zamknął drzwi i z poczuciem winy pomyślał o Judith zajętej w Brighton domową harówką. Wreszcie dostał połączenie. Odezwał się jeden z bliźniaków, ale ich głosy były równie identyczne jak wygląd, więc nie miał pojęcia, który to: Charlie czy Tom? Tom czy Charlie?

– Hej, mój wielki chłopcze! Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie!

– Dziękuję, tatusiu. Co dzisiaj robisz?

Co robi? Wybiera się na dyskotekę z kobietą, której właśnie skłamał, i pozostało mu jedynie skłamać też swojemu pięcioletniemu synowi.

– Nic szczególnego, słoneczko. Pracuję.

– Ciągłe do ciebie strzelają?

– Nie, skarbie, nie strzelają. – Kolejne kłamstwo, ale to łatwiej usprawiedliwić. – Nikt do mnie nie strzela; nie martw się, słyszysz?

– Ale ja widziałem w telewizji. Wszyscy żołnierze strzelali.

– Lepiej mi powiedz, jakie prezenty dostałeś?

Kiedy Charlie – jak sądził, a potem Tom wyliczali podarunki, Kaps prawie ich nie słuchał. Jak będą dawali sobie radę bez ojca, jeżeli kiedyś się rozwiedzie, zostanie zabity albo jedno i drugie?

W słuchawce zabrzmiał głos Judith. Ostry i spięty.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej?

– Telefon mi źle działał.

– A nie mogłeś od kogoś pożyczyć?

– Słuchaj, nie chcę się sprzeczać. Miałem trudny dzień.

– A ja lekki, co? Spróbuj poprowadzić przyjęcie dla szesnastu pięciolatek i słuchać dwóch małych chłopców, którzy bez przerwy pytają, kiedy ich tatuś zadzwoni.

– Powiedziałem, że mi przykro.

– Właściwie nie. Nie powiedziałeś.

– No dobrze, jest mi przykro i w przyszłym tygodniu znowu przyjadę do domu.

– Tak, na kilka dni, dopóki się nami nie znudzisz. A potem nie będziesz mógł się doczekać, kiedy tam wrócisz.

– Judith, czy moglibyśmy tego nie robić? Proszę.

– Czego nie robić?

– Dobrze wiesz. Kłócić się.

– Dlaczego? A co innego masz do roboty?

Chciał powiedzieć: Na przykład wskoczyć do Bessie i pojechać na całą noc na imprezę CBS. Być z pyskatą Australijką Becky Cooper, która ma wielki tyłek i pospolitą twarz, ale ogrzewa mnie swoim uśmiechem, aż jestem szczęśliwy.

Zamiast tego wypełzło kolejne kłamstwo.

– Za godzinę muszę wysłać osiemset słów.

– W takim razie lepiej weź się do roboty. Nie będę marnować twojego bezcennego czasu. – Przerwała połączenie, z takim trudem nawiązane.

Trzymał głowę w dłoniach, wspominając słowa Danny'ego, jakie usłyszał w Chorwacji wkrótce po narodzinach bliźniaków. „Możesz być świetnym mężem i ojcem albo świetnym dziennikarzem, ale wierz mi, nigdy nie będziesz jednym i drugim. Dlatego dobrze ci radzę, nawet nie próbuj. Dzieciaki umoczą ci karierę, a kariera spaskudzi ci dzieciaki. Wszyscy przegrają”. Wtedy uważał, że Danny nie wie, co mówi – wieczny kawaler, nigdy nawet nie rozważał małżeństwa albo ojcostwa i niewykluczone, że do końca swoich dni o nich nie pomyśli; człowiek, któremu ciągle czegoś brakowało w życiu. Teraz zastanawiał się, czy Danny nie miał jednak racji – jak zawsze i we wszystkim.

Tyłu rzeczy można mu zazdrościć – jego wyglądu, talentu, wspaniałej reputacji. Ale Kaps najbardziej zazdrościł – brzydząc się tym – wolności. Lowenstein mógł zająć się każdą sprawą, która go zainteresowała, zostać jak długo miał ochotę, podjąć dowolne ryzyko. Judith ukradła właśnie tę wolność.

Poznali się przed południowoafrykańską ambasadą na Trafalgar Square. Dwoje emigrantów skandowało hasła, chodziło z plakatami oskarżającymi ich ojczyznę o potworności, a potem poszło do kawiarni, aby o tym porozmawiać. Zakochali się w sobie upajającą, idealistyczną miłością i wszystko wydawało się możliwe. Jej – studentce LSE* i jemu – dekokownikowi, który w ostatnim momencie uciekł do Anglii przed powołaniem do wojska. Pobrali się za młodo, za prędko i za szybko też zostali rodzicami Charliego i Toma. W następnych latach zgadzali się, że władza białych jest złem, ale poza tym w niewielu innych kwestiach. Teraz apartheid konał, a razem z nim ich związek, chociaż żadne nie przyznałoby się do tego, choćby ze względu na bliźniaki.

Może, pomyślał Kaps, powinienem rzucić tę robotę, wrócić do Brighton i odbudować ze zgliszczy życie rodzinne. Tak, ale kiedy? Niemal słyszał poirytowany głos Judith zadającej mu to pytanie. Mógł tylko obiecać sobie i jej, że wkrótce. Kiedy tylko napiszę ten najważniejszy artykuł, dzięki któremu moje nazwisko stanie się tak sławne jak Danny'ego Lowensteina; który określi moją pozycję i potwierdzi, że wszystko było tego warte. A na razie muszę dbać o bezpieczeństwo i trzymać się z daleka od Becky Cooper. Wtedy wszystko się ułoży.

Ich karetą na bal była Bessie, a szoferem – Edwin. Tym razem z jego kasety *Pieśni Sarajewa* leciał Cat Stevens i wszyscy śpiewali razem z nim *Wild World*. Rachel miała wrażenie, że to mogło być napisane dla niej.

Kiedy Bessie sunęła z dudnieniem po bruku sarajewskiego starego miasta, przechodnie z lekkim zdziwieniem spoglądali na tę dziwną, białą bestię. W środku towarzystwo było tak popychane, że ledwie mogło się ruszać. Jak by było przewożone w barbarzyńskich warunkach. W małej plamie światła latarki

* London School of Economics (przyp. tłum.).

siedział Alija, zagłębiając się w *Opowieści kanterberyjskie*. Od traumatycznego spotkania z Draganem prawie się nie odzywał.

– Alija, czy istnieje jakieś miejsce na ziemi, gdzie byś nie czytał?! – zapytała Becky, przekrzykując muzykę.

– Żadne nie przychodzi mi do głowy, moja droga, w każdym razie nie od razu. – Jego wymowa była dziwną, bałkańską próbą naśladowania brytyjskich wyższych sfer.

– Naprawdę to rozumiesz? – zdziwiła się szczerze. – Wiesz, omawialiśmy Chaucera w szkole. Czytałam go w ciszy i spokoju, przy pełnym oświetleniu i nie zrozumiałam ani słowa. A cholera, angielski jest moim pierwszym językiem. To bełkot, prawda?

– Dla każdego coś innego, Becky. Świat byłby o wiele nudniejszy, gdyby ludzie niczym się nie różnili.

Alija najwyraźniej nie zamierzał tłumaczyć swoich gustów literackich ignorantom. Niecierpliwie chciał wrócić do fikcyjnych, średniowiecznych żywotów, które pozwalały mu się oderwać od rzeczywistości. Przekonał się, że im większego wysiłku wymagała od niego książka, tym dalej uciekał od Sarajewa. Nie potrzebował filmów ani telewizji, jedynie słów.

Bessie sunęła dalej. Chaucer dla Aliji, pop z lat siedemdziesiątych dla pozostałych.

– Nie uwierzysz, ale angielski to jego trzeci język! – krzyknęła Becky do Rachel.

– Czwarty – poprawił ją Alija. – Serbsko-chorwacki, rosyjski, francuski i oczywiście ukochany język Szekspira.

Wciąż czytał przy zdychającej latarce; importowane baterijki miały przed sobą zaledwie godzinę lub dwie życia. Rachel skorzystała z szansy zerknięcia na profil Edwina. Poza rzucającą się w oczy łysiną również nos nadawał mu wygląd rzymskiego patrycjusza. Przypominał jej co przystojniejszych cesarzy, których widziała w książkach historycznych. Edwin dostrzegł to spojrzenie.

– Wiesz, nie spodziewałam się imprezowania w Sarajewie – wybełkotała, gorączkowo usiłując coś wymyślić.

– Cóż, mam wrażenie, że nieźle się zaaklimatyzowałaś. I cieszę się, że Becky już sprowadza cię na złą drogę.

Sprowadza na złą drogę? Och nie, chyba że liczyć tę drobną wpadkę, kiedy o mały włos pomogłaby snajperowi wybrać ofiarę. Zrobione przez Becky zdjęcie Dragana trafiło – zgodnie z przewidywaniami autorki – na okładkę „Newsweeka”, natomiast artykuł Rachel wzięła tylko redakcja „Baltimore Sun”. Ale przynajmniej uprzejmie dali go na całą pierwszą stronę. Zadręczała się rozważaniem, czy włączyć do materiału osobisty tragiczny dylemat, wobec którego stanęła. Czy to było zbyt subiektywne, czy też stanowiło najpotężniejszy mechanizm, za pomocą którego mogła przekazać potworność Dragana i jego profesji? Po długich konsultacjach z Becky wybrała wersję „ja”. Wyszedł świetny artykuł, wiedziała o tym. Ale co powiedziałby Danny, gdyby dowiedział się o wszystkim? Całowanie zbrodniarza wojennego to jedno, ale współpraca z maszyną do zabijania to zupełnie coś innego.

– Ten kawałek o snajperze... bombowy – oznajmił Edwin.

– Naprawdę?

Po raz pierwszy ktoś pochwalił jej pióro; miała ochotę uściskać Edwina. Już pisząc artykuł, przypuszczała – bez zrozumiałstwa – że dziennikarstwo może okazać się jej darem i ambicją. Odnalazła też własny głos: chociaż materiał był zbyt osobisty, by mogła się czuć z tym całkowicie dobrze, to jednak odnosiła się do tematu mniej emocjonalnie i polemicznie niż Lowenstein. Pozwalała, aby całą historię przedstawiały nagie i proste fakty.

– Tak. Odnoszę niejasne wrażenie, że nawet kochanemu Danny’emu się spodobał. Co nie znaczy, że kiedykolwiek napisałby cokolwiek w taki sposób. Na dobrą sprawę, nie napisałby wcale.

– Nie wiem. Nie rozmawia ze mną. Od samego początku.

– Cóż, rzeczywiście się do ciebie nie odzywa. Daj mu trochę czasu, Rachel. Zacznie.

Zastanawiała się, skąd Edwin może mieć tę pewność i czy w ogóle jeszcze ją obchodzi opinia Danny'ego Lowensteina.

Na imprezie CBS było równie tłoczno jak w Bessie i mniej więcej tak samo ciemno. Muzyka też łomotała, ale o wiele głośniej i oczywiście Cata Stevensa zastąpił Seal. Dziennikarski oddział wysiadł z pojazdu pancernego, ustawił się w szyku i przygotował do zabawy.

– Drinka?! – wrzasnęła jej w ucho Becky. Przeciskały się przez tłum – zbitą, kosmopolityczną mieszaninę Bośniaków i cudzoziemców. Rachel przyglądała się, jak niektórzy tańczą na parkiecie już lepiącym się od rozlanego sarajevsko pivo, miejscowego browaru warzonego według wojennej receptury z ryżu i innych podejrzanych składników. Nieraz myślała, że rytualne wymachiwanie rękami i nogami w rytm muzyki jest ewidentnym absurdem, ale tutaj w samym środku wojny domowej wydawało się jeszcze bardziej surrealistyczne.

– Dziękuję, tak. Cokolwiek mają.

Becky wkrótce wróciła z kilkoma białymi, plastikowymi kubkami. Przez ich brzegi przelewało się ciepłe białe wino.

– Dobra – powiedziała, gdy wypity po łyku. – Chodźmy poskakać.

Pierzyć Kapsa, jeżeli nie ma ochoty przyjść. Niech ją diabli wezmą, jeżeli całą noc będzie snuć się z kąta w kąt, tęskniąc za żonatym facetem. Zaczęła szaleńczo tańczyć, starając się uwolnić od niego, a tym bardziej od sarajewskich koszmarów. Chciała zostawić je na parkiecie, jak stertę brudnych ubrań.

Wkrótce strasznie się spociła, co było sporym osiągnięciem w ujemnym Sarajewie, gdzie starsi ludzie zamierzali na śmierć. Światła wirowały i się rozmazywały. Wokół unosił się duszący zapach, połączenie nowego potu, starych perfum i kiepskiego alkoholu.

Rachel bardzo się starała dotrzymać kroku rozhasanej Becky. Czuła się skrępowana, niepewna, czy ma prawo tu być.

Dopiero po półgodzinie zrobiono przerwę. Mokra Rachel znalazła damską toaletę – bez papieru, ale za to z połamanym sedesem i cuchnącą strużką moczu na podłodze. Najwidoczniej mężczyźni też korzystali z tego przybytku. Mimo wszystko wysiusiała się; trzykrotnie próbowała spuścić wodę, ale w końcu się poddała. Wszedł Edwin.

– Cześć, Rachel! – zawołał nonszalancko.

– Och, cześć. Hm, wiesz, że to damska?

– Jasne. Ale używają jej przedstawiciele obojga płci. Rozumiesz? To taki uniseks – wyjaśnił. Bardziej jednak zaprzętało go badanie zawartości małego plastikowego woreczka, który właśnie wyciągnął z kieszeni kamizelki. – Chcesz trochę trawki? – spytał obojętnie, jakby proponował papierosa.

Odruchowo pokręciła głową. Edwin wyciągnął sporą szczyptę, wrzucił do ust i zaczął żuć zapamiętałe. Parę razy flirtowała z marihuaną, ale z całą pewnością nigdy jej nie jadła.

– Dobry towar, słowo daję. – Najwyraźniej nikt go nie nauczył, że się nie mówi z pełnymi ustami.

– Nie wątpię. Może trochę później.

Przecisnęła się obok Edwina, by wrócić do Becky, ale z rozczarowaniem stwierdziła, że jej partnerka do tańca zniknęła. Nagle zorientowała się, że dryfuje w morzu obcych ludzi. Nie chciała, by inni zobaczyli, że stoi sama – jeszcze by jej współczuli – więc zaczęła się przedzierać między nimi zdecydowanie.

Wreszcie dostrzegła przyjaciółkę. Becky siedziała we wnętrze, skulona na skórzanej sofie. Znalazła sobie idealną kryjówkę. Coś się w niej zmieniło – roześmianą, beztroską Becky zastąpiła całkowicie inna, mroczna, smutna kobieta. Rachel nie ośmieliła się jej przeszkadzać.

Obok Becky siedział Alija i wciąż zaczytany w *Opowieściach kanterberyjskich* nie zważał na pulsującą wokół muzykę. Jego sfatygowana latarka Megalite, zawsze wierna, rzucała

coraz słabsze światło na słowa sprzed sześciu wieków. Rachel spoglądała to na jedno, to na drugie. Becky cierpiała z powodu samotności, Alija wydawał się nią upajać.

Trochę później, przez kłęby tytoniowego dymu Rachel zauważyła w oddali twarz Kapsa. Jednak przyszedł. Zastanawiała się, czy Becky go widziała i czy powinna pójść jej o tym powiedzieć. Górował nad wszystkimi pozostałymi, wyróżniając się fryzurą wśród krótko ostrzyżonych głów. Jak bardzo często bywało, toczył ożywioną dyskusję z Lowensteinem.

„Nawet naszemu kochanemu Danny’emu się podobał”, zapewniał ją Edwin. Ale kochany Danny wciąż nie zechce ze mną rozmawiać, prawda? Czy czasami ją obserwuje, jak ona jego? Jeżeli tak, niewątpliwie już potępił jej groteskowe tańce.

Dotarła do baru i kupiła sobie kolejnego drinka.

– Wino? – zapytał barman.

– Tak.

– Czerwone? Białe?

– Jakie jest pod ręką.

Wkrótce kubek za kubkiem zbyt łatwo spływał przelętkiem Rachel. Sądziła, że ma już przyjaciół w Sarajewie, ale teraz zrozumiała, że to przedwczesne przekonanie. Nie mogła zbliżyć się do Kapsa i Danny’ego, Becky siedziała ponura, a Edwin zamierzał po cichutku się nawalić. Pozostało jej tylko pić i pić. Nie zauważyła, aby to miało na nią jakiś szczególny wpływ do momentu, kiedy przy siadaniu omal nie rozminęła się ze stołkiem.

– O rany – mruknęła z przepraszającym chichotem do tyczkowatego barmana. W innym życiu mógłby grać w koszykówkę w barwach Jugosławii. – Jak masz na imię?

– Budo.

– Cześć, jestem Rachel. Aż z Ameryki. Podoba mi się tutaj. Kocham twój kraj. Kocham twoje miasto.

– Dziękuję.

Ciekawiło ją, dlaczego chłopak nie jest gdzieś w okopach. Przecież tu nie mógł być CO*? Bądź co bądź, to nie Wietnam, nie wojna z wyboru, ale walka o przeżycie. Miał jednak coś w sobie – ładne bałkańskie rysy, kozią bródkę, a kolczyk w uchu tylko potwierdzał jego pacyfistyczne upodobania.

– Słuchaj, Budo, czy nie powinieneś walczyć?

– A czy to twój interes?

– Nie, właściwie nie, ale jestem dziennikarką, rozumiesz. Jedną z tych wścibskich, natrętnych osób.

– Cóż, jeżeli chcesz wiedzieć, walczę, ale w wolne dni staram się też zarobić trochę pieniędzy, żeby pomóc rodzinie. Ojciec został zabity, brat też. Zostaliśmy tylko ja, matka i siostra.

– Bardzo przepraszam, nie...

Ale Budo odwrócił się już do niej plecami, żeby obsłużyć innego klienta. To jest to. Pora dorosnąć, stwierdziła kategorycznie.

Muzyka zaczęła bębnić w jej mózg. Rachel musiała wrócić do hotelu. Marzyła jedynie o łóżku, nawet w tej lodówce, ale nie miała szansy opuścić imprezy, dopóki Bessie – autobus miłości – nie rozpocznie powrotnej podróży przez śnieg i kto wie przez co jeszcze.

Kiedy w głowie zaczęło jej wirować, poczuła stuknięcie w lewe ramię. Oby zjawiała się Becky. Cholera, Danny.

– Och, cześć. – Uśmiechnęła się słabo.

– Cześć. Chciałem ci powiedzieć, że według mnie ten kawałek o snajperze jest bardzo fajnie napisany. – A więc Edwin mówił prawdę, artykuł rzeczywiście spodobał się Danny’emu. – Ale wiesz co? Historia sama w sobie zdecydowanie śmierdzi. Co, na litość boską, w ciebie wstąpiło, żeby pójść i rozmawiać z mordercą?

Błagam, nie, pomyślała. Nie miała siły na dyskusję, nie w tym stanie. On jednak grzmiał dalej.

* Conscientious Objector – człowiek odmawiający pełnienia służby wojskowej ze względu na przekonania (przyp. tłum.).

– Właśnie taką propagandę uwielbiają w Pale: serbski bohater, taki sam jak jego praojcowie, obrońca wiary... i całe to gówno.

– Przecież nazwałam go wyrachowanym zabójcą.

– Nie rozumiesz? Na zdjęciu patrzy na Sarajewo, jakby los miasta zależał od niego. I te cytaty o jego poczuciu władzy... Serbowie będą zachwyceni. Przekazujesz światu komunikat, że wciąż są silni. Czy w ogóle nie przyszło ci do głowy, dlaczego zorganizowali ten wywiad? Co, uważałaś, że z dobroci serca w czasie twoich pierwszych kilku dni w Bośni zechcieli pomóc ci napisać fajną historyjkę i rozpocząć karierę?

Czuła się oszołomiona jak bokser przyciśnięty do lin i inkasujący zbyt wiele ciosów. W innej sytuacji mogłaby walczyć, przynajmniej próbować, ale teraz nie tylko nie przychodziły jej do głowy żadne argumenty, ale nawet słowa. Szykował się, by wyprowadzić ostatni prosty, nokautujący cios.

– To do nich podobne, Rachel. Musieli zwrócić na ciebie uwagę, kiedy pocałowałaś starego Karadžicia. Zobaczyli w tobie marionetkę, nową osobę w mieście i uznali, że pociągną za sznurki.

Później wspominał to jako moment, kiedy posunął się za daleko, i trochę się tego wstydził. Ale wtedy tak myślał. Kim była ta ładna neofitka z mlekiem pod nosem, żeby przyjeżdżać do Sarajewa i udzielać wsparcia Serbom? A jeżeli chodzi o Becky, powinna bardziej myśleć, co robi.

Rachel spojrzała ostro w oczy, które przy pierwszym spotkaniu uznała za takie dobre. Nie tańczyły teraz wokół niej jak tamtego dnia, ale wpatrywały się w nią i nie widziała w nich żadnej łagodności.

Z wysiłkiem odepchnęła się od lin i stawiała opór.

– Jesteś naprawdę zupełnie nie do zniesienia.

Był zszokowany, zupełnie jakby nie wiadomo skąd na jego szczękę spadł cios. Stał przez kilka sekund, potem odszedł pełen pogardy.

Kiedy Becky zobaczyła, że zniknął w tłumie, zbliżyła się i przykryła dłonią dłoń Rachel.

– Co ci powiedział tym razem? Znowu zachował się jak fiut?

– Po prostu tego nie rozumiem. – Rachel postanowiła, że absolutnie się nie rozpłacze, a jeśli już, to on nie będzie mógł tego zobaczyć. – Dlaczego mnie tak nienawidzi? Przecież nawet się nie znamy.

Becky sama nie wiedziała. Jedynym powodem, jaki przychodził jej do głowy, było poczucie niepewności Danny'ego. Powiedziała Rachel, że prześladowuje go paranoidalna myśl, że pewnego dnia pojawi się w Sarajewie ktoś lepszy od niego, nowy król dżungli. Kapssem czy Edwinem nie przejmował się zbytnio – wiedział, że nigdy mu nie dorównają, że nie mają jego zapału i talentu. Ale może dostrzegł w Rachel rywala – osobę z taką samą pasją, obsesją, potężną władzą nad słowami.

– Pewnie uważa, że najlepiej byłoby cię udusić zaraz po urodzeniu, jak Serbowie mówią o muzułmanach.

Pięć piosenek później podłoga lepiała się jeszcze bardziej, ale Becky w końcu wyciągnęła Kapsa. Podeszła do niego i złapała za przegub. Dała sobie spokój z introspekcją, a on z ostrożnością. W końcu mogli po prostu tańczyć, nie przejmując się wojną, nieskrępowani wątpliwościami. Za każdym razem, gdy cichła piosenka, niepokoiли się, że czar pryśnie. Żadne nie miało ochoty na rozmowę – za dużo w niej pułapek. Tańczenie było o wiele bezpieczniejsze.

Początkowo unikali patrzenia sobie w oczy. Przyglądali się innym tańczącym, didżejowi, barowi, aż po jakimś czasie pozwolili spojrzeniom się spotykać, a w miarę jak mijała noc, zatrzymywać się na dłużej.

Becky do bólu pragnęła, by ją obejmował. Zmarnowała niezliczone godziny niezliczonych dni, myśląc o nim, i niekiedy odnosiła wrażenie, że w niej zamieszkuje. Szła spać,

pragnąc go, i śniła o nim tak intensywnie, że ze smutkiem się budziła. Zawsze istniała szansa, że to tylko zauroczenie, zmysłowa potrzeba szybkiego seksu, ale miała nadzieję i obawiała się, że to coś głębszego. Tej nocy nic jej nie obchodziło, że jest żonaty. Musiała go zdobyć.

Muskularne, silne ciało Kapsa było nasycone takim samym pragnieniem, z tą jednak różnicą, że od czasu do czasu w stroboskopowych światłach dyskoteki widział inne twarze – Judith, a czasami też Charliego i Toma. Wydawało się, że tekst każdej piosenki, przy której tańczyli, roztrząsa sprawę niewierności. Mimo wszystko jednak, kiedy Becky wyciągnęła śliską od potu dłoń, ujął ją bez wahania, upojony żądzą. Wyglodniały.

Bessie wreszcie dostarczyła ich do domu niemal o piątą rano. W czasie kiedy tańczyli, padał gęsty śnieg. Opancerzony wóz ślizgał się i zataczał całą drogę do Holiday Inn równie pijany jak wszyscy. Edwin nawalony po uszy starał się zapanować nad samochodem. Jak zwykle, pozbawione elektryczności nocne Sarajewo było pogrążone w nieubłaganej ciemności. Włączał reflektory tylko od czasu do czasu i to na kilka sekund – inaczej mógłby ściągnąć na nich wrogi ostrzał ze wzgórz. Prawie nic nie widział. Raz skręcił w niewłaściwą stronę i prawie zaczął już jechać w kierunku linii frontu, ale trzeźwy jak prosię Alija z westchnieniem zwrócił mu uwagę.

Rachel wreszcie doszła chwiejnym krokiem do pokoju 311 i z ogromną ulgą runęła na niewygodne łóżko.

Ledwie trzy godziny później, z najgłębszego, najbardziej potrzebnego snu wyrwało ją barbarzyńskie walenie w drzwi. Po raz kolejny czuła się zdezorientowana. To dzień czy noc? Bośnia czy Ameryka? O rany, w Arlingtonie nigdy nie jest tak zimno. Znowu zwinęła się w kłębek

Łomotanie rozległo się znowu, jeszcze głośniejsze. Trudno było nie zwracać na nie uwagi.

– To ja, Becky. Wstawaj, jest wielki materiał do zrobienia, cholernie wielki. Nie słyszałaś huku?

Rachel zorientowała się, że nadal ma na sobie ubranie. Łącznie z paltem. Leżała na wąskim, hotelowym łóżku, ale nie pod pościelą. Kiedy opuściła protestujące nogi na podłogę, wstępne objawy kaca właśnie zaczęły dawać jej w kość.

– O cholera. – Tylko nie pierwszy wielki materiał właśnie teraz, błagam. Doczłapała do drzwi w chwili, gdy Becky zamierzała walnąć w nie po raz ostatni, zanim uzna ją za martwą.

– Cześć, Becky. Eee... która godzina? – zapytała, prawie nie rozchylając warg.

– Po ósmej. Słuchaj, wiem, że dopiero co poszliśmy spać, ale właśnie ostrzelali z moździerzy jakąś kolejkę. Wielka, pierdolona eksplozja, którą śpiąca królowna oczywiście przespała. Najwyraźniej mnóstwo zabitych. Całe stosy. Jadę tam z innymi. Dołączysz się? Naprawdę powinnaś.

– Jasne. Dzięki. Okej. – Ogarniały ją fale nudności i pierwsze ukłucia bólu w płatach czołowych odwodnionego mózgu. Wody. Potrzebowała mnóstwo wody. Kurwa mać, nie ma. Nic nie płynie z kranu. Jakim cudem Becky, która wlała w siebie tyle alkoholu i mało spała, może być tak nieprawdopodobnie rześka? I skąd wie o wszystkich wydarzeniach na świecie poza hotelem?

– Jedziemy, Rachel. Zabierasz się z nami czy nie?

– Eee, dasz mi parę minut?

– Nie. Nie dam. Teraz albo nigdy. Popatrz na siebie. Jesteś gotowa. Nawet już w płaszczu, frajerko.

– Ale ja...

– Wiem. Męczy cię upiorny kac. Mnie też. I wszystkich dziennikarzy w Sarajewie. I ostatnią rzeczą, której każde z nas potrzebuje, jest masakra po tym, jak mieliśmy za dużo gorzały, a za mało snu. Ale Serbowie nie robią rozwałek, aby dopasować się do naszych zegarów biologicznych albo alkoholowych przyzwyczajień.

Szukała pióra i notesu przez kilka sekund, zanim Becky złapała ją za rękę i pociągnęła korytarzem niczym opornego więźnia. W holu sprzątaczką wycierała mopem podłogę, a kamerzyści i fotograficy przebiegali obok niej podnieceni. Kaps, Edwin i Alija czekali przy recepcji. Wyglądali, jakby tkwili tu przez całą noc, wiedząc, że bez sensu zawracać sobie głowę spaniem.

– Ktoś widział Danny’ego? – zapytała Becky.

– Jest już na miejscu – odparł Edwin.

Później Rachel się przekonała, że z Dannym tak właśnie bywało. Docierał do materiału własnymi ścieżkami, najlepiej na długo przed pozostałymi. Był z nimi, ale przeciwko nim.

Energicznie zeszli do podziemnego parkingu, gdzie ociężałe stado białych samochodów opancerzonych rozpoczynało masową migrację.

– Wiadomo, ilu zabitych? – zapytała Becky Aliję.

Jak zawsze było to pytanie z podtekstem, pełne ponurych oczekiwań. Od odpowiedzi zależało czy powstanie notatka upchnięta gdzieś głęboko w zagranicznej części gazety, czy obszerny materiał na pierwszej stronie. Jest krew, jest nagłówek.

– Kto wie? Co najmniej dziesięciu, nie więcej niż czterdziestu.

– Jasny gwint. – Rachel przeklinała pecha, że to co ważne, być może superważne, wydarzyło się w dniu, w którym fizycznie nie da się rady tego opisać.

Bessie potoczyła się w kierunku miejsca wybuchu, ale rozkraczyła się w połowie drogi. Akumulator zdechł i Edwin nie był w stanie go reanimować, w każdym razie nie natychmiast.

– Pieprzyć wszystko, idźmy na piechotę. To za rogiem.

Ale nie szli, tylko oczywiście biegli nieregularnymi zygzakami w lewo i w prawo na wypadek, gdyby jacyś snajperzy pracowali na poranną zmianę. Rachel zastanawiała się, czy Dragan jest na służbie i czy też miał ciężką noc. Stanowiłaby żałośnie łatwy cel – wciąż pijana, rozkojarzona, ogarnięta

mdłościami. Połączenie dumy i wstydu pozwalało jej się powstrzymać od wymiotowania, ale płuca omal nie eksplodowały, a na wysokości pasa czuła przeszywającą kolkę. Bieg przypomniał jej cholerne zawody sportowe w liceum – tylko tam przynajmniej nie mogli cię zabić.

Pocisk mózdzierzowy trafił w kolejkę po chleb stojącą w odległości zaledwie kilku minut marszu od Holiday Inn. Często kiedy przybywała prasa, zwłoki były już usunięte, ale nie dzisiaj. Rachel, Beky, Edwin i Kaps przypuszczali, że dotrą za późno, ale w rzeczywistości zjawili się wcześniej. Wokół nich znajdowały się wiadomości w całej swej naturalistycznej postaci – krwawiące, krzyczące, umierające.

Rachel obróciła się o trzysta osiemdziesiąt stopni. Wszędzie ciała – na północ, południe, wschód i zachód. Jej obolałą głowę wypełniały nowe pieśni Sarajewa: wycie karetek, krzyki ocalałych, pełen rozpacz płacz najbliższych i jęki z pobliskiego meczetu. Niewyobrażalny, potworny hałas. Czy nie mogliby się uciszyć choć na chwilę, dopóki nie zdoła się pozbierać? Za dużo tego wszystkiego.

Stała nieruchomo jak artystka, która straciła mowę w czasie pierwszego występu. Sarajewo: największa scena, a ona nie mogła nawet przypomnieć sobie tekstu. Notes pospiesznie zabrany przed wyjściem nadal tkwił w tylnej kieszeni. Początkujący dziennikarz zmienił się w cikliwego podglądacza, gapia najgorszego rodzaju.

Zupełnie sparaliżowana patrzyła, jak przechodnie wkładają ofiary na tylne siedzenia samochodów, do furgonetek, ciężarówek. Zwróciła uwagę, z jak chłodną sprawnością działają – zupełnie jakby każdy z nich dorabiał jako sanitariusz. Przypuszczała, że w Sarajewie trzeba nim być. Pomysłowo improwizowano. Arkusze blachy falistej, nawet drzwi zmieniały się w prowizoryczne nosze. Szaliki, pończochy, skarpety stawały się bandażami. Ale często jako pierwsze otrzymywały pomoc te ofiary, które najbardziej histerycznie krzyczały, podczas

gdy umierający leżeli w szlachetnym milczeniu, a ich krew sączyła się na jezdnię i spływała rynsztokiem.

Jakiś młody człowiek wisiał przerzucony przez balustradę chodnika ze zgrabną okrągłą dziurą wyrwaną w środku korpusu, przez którą Rachel – jak na pokazie iluzjonisty – widziała wszystko po drugiej stronie. Obok leżało kilka ciał z urwanymi głowami. Jedna z nich znajdowała się przed Rachel, na przewróconym straganie i patrzyła przed siebie, jakby witając klientów.

Żywi biegali to tu, to tam, dotykali się, upewniając, że naprawdę jeszcze żyją. Ranni starali się ustalić, które fragmenty ich ciał zniknęły – ręce, nogi, dłonie, stopy, uszy, oczy. Nawet jeżeli ci ludzie przeżyją ten dzień i wojnę, będą musieli uporać się z dziesiątkami lat kalectwa. Może nawet zaczną się zastanawiać, czy nie lepiej gdyby zostali zabici na miejscu w ten śnieżny zimowy dzień, kiedy wybrali się zdobyć zwykły bochenek chleba.

Kątem oka dostrzegła Danny'ego. Zebrał już potrzebne mu wypowiedzi i szykował się do odejścia. Zaczęła przypominać sobie ich katastrofalną rozmowę sprzed kilku godzin. Naprawdę nazwał ją marionetką? Naprawdę powiedziała, że on jest nie do zniesienia?

Spojrzała na Becky pracownicę rejestrującą horror swoim aparatem. Brała krótkoogniskowy obiektyw, robiła kilka panoramicznych zdjęć, by potem zamienić go na długoogniskowy do zbliżeń. Stała, kucała, a nawet kładła się na przesiąkniętym krwią śniegu, aby utrwalić śmierć pod różnymi kątami. Wkładała kolejne kasety, zmieniała aparaty, żeby robić zarówno kolorowe slajdy, jak i czarno-białe zdjęcia – w ten sposób maksymalnie zwiększy liczbę sprzedanych fotografii. Jej twarz zastygła w skupieniu – nie miała już makijażu, dziwaczного odchylenia od normy; zniknął bez śladu – podobnie jak sama dyskoteka i głupi pomysł, że ktokolwiek w Sarajewie mógłby się bawić.

Ulicą biegła młoda kobieta. Z bólu miała tak szeroko rozchylone usta, że dziwnie przypominało to uśmiech. Unosiła

rękę, częściowo urwaną tuż pod łokciem. Ktoś – może nawet ona sama – owiązała ją kawałkiem brudnego materiału, żeby zatamować tryskającą krew. Skóra była niesamowicie przezroczysta. Rachel zastanawiała się, czy to skutek zimna, szoku, utraty krwi, czy też wszystkiego naraz. Z przerażeniem zorientowała się, że ta upiorna postać nadciąga w jej kierunku, bełkocząc coś szaleńczo po serbsko-chorwacku. Rachel prosiła kobietę, żeby poszła do kogoś innego, i zaczęła rozglądać się, szukając Aliji, żeby tłumaczył. Był zaledwie kilka metrów dalej, ale trzymał się jak wierny psiak swojego pana, Edwina, który chciał dokładnie poznać szczegóły masakry – kiedy nastąpił atak, gdzie dokładnie uderzył pocisk, ilu ludzi stało w kolejce, jak długo, dlaczego stali, skoro wiedzieli, że to niebezpieczne, czy znowu ustawią się w kolejkę... Przy tak wielu pytaniach spędzą tu pewnie cały dzień.

Rachel zamachała rękami: „Słuchaj, nie mówię twoim językiem i nie jestem lekarzem”.

„Więc co tu robisz?“, odpowiedziała niemym oskarżeniem kobieta.

„Co robię? Nic. Nawet nie notuję, kiedy wy wszyscy umieracie”.

Kobieta się nie poddawała. Chciała żyć i jak tonący, który chwytą się każdego w wodzie, uczepiła się Rachel. Uznała, że nie ma sensu rozmawiać z tą bezużyteczną cudzoziemką, więc tylko błagała spojrzeniem: „Na miłość boską, zrób coś, dziewczyno. Zobacz, jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku. W innym życiu mogłabym być tobą, a ty mną, i stałabyś, powoli wykrwawiając się na śmierć przy minus iluś tam stopniach. Chcę żyć tak samo jak ty. Pić, tańczyć, a potem mieć upiorne kace. Przecież jeszcze nie powinnam umierać”.

„Ale ja dopiero przyjechałam, nie znam miasta“, odpowiedziała Rachel w tym dialogu bez słów między błagającą i błaganą. Nawet nie mam bandaża, a co dopiero samochodu. Jestem tu, aby opisać twój los, a nie go zmieniać”.

„Jak dotąd nie wyjęłaś nawet pióra”.

W końcu obie ocalał Edwin, który wreszcie przestał zadawać pytania.

– Tej pani przydałaby się pomoc – odezwał się łagodnie do Rachel.

– Tak, ale...

– Zabandażujmy to trochę lepiej. – Ściągnął zawiązaną na szyi egzotyczną, płową paszminę kupioną okazyjnie w Peszarze po drodze na Przełęcz Chajberską i w ostępy Afganistanu. Rozerwał ją jak bezwartościową szmatę i jedną połowę owiązał zakrwawione, zmasakrowane przedramię; druga część posłużyła jako imponująca opaska uciskowa założona na pachę. Nie do wiary, że zaledwie przed paroma godzinami jak królik przeżuwał trawkę w damskiej toalecie.

– A teraz, młoda damo, trzymaj rękę uniesioną powyżej serca. O tak. – Alija tłumaczył bez wysiłku, a Edwin pokazał, jak zahamować upływ krwi: ręka w górze, pod kątem czterdziestu pięciu stopni. – I proszę przycisnąć w tym miejscu – powtórzył po serbsko-chorwacku Alija, gdy Edwin demonstrował ucisk tętnicy ramiennej.

– Dobra. A teraz trzeba zawieźć ją do szpitala, i to naprawdę bardzo szybko. – Rozejrzał się wokoło. Jedynym pojazdem w polu widzenia była ciężarówka załadowana zwłokami. Jej kierowca biegał, krzycząc, ale podobnie jak Rachel nie robił właściwie nic pożytecznego. Edwin wsadził kobietę do szoferki. Krople krwi już nasączały chustę. Rozerwana ręka przypominała rurę; zaizolowanie jej zmniejszyło przeciek, ale nie zatrzymało go całkowicie. – *Bolnica!* – rozkazał kierowcy głosem, jakim wydawał komendy żołnierzom. Rachel też chciała, żeby nią ktoś dyrygował. – Pojedziesz z nami? – spytał.

Rozejrzała się, na próżno szukając wzrokiem Becky. W czasie kiedy rozgrywał się dramat wykrwawiającej się kobiety, nowa towarzysza broni znowu zniknęła. Lekcja pierwsza korespondenta wojennego, pomyślała później: kiedy dzieje się

coś ważnego, wszyscy twoi przyjaciele zajmują się swoimi sprawami. Lekcja druga: mogą nawet cię wydymać.

Rachel nie bardzo miała ochotę jechać z Edwinem, Aliją i krwawiącą kobietą. W ciężarówce pełnej trupów najprawdopodobniej bardzo szybko zwymiotuje. Ale potrzebowała jakiegoś punktu zaczepienia do swojego artykułu i może najlepszym tematem byli poszkodowani i szpital, do którego ich zabierano.

– Wspaniale. Dzięki.

Prawie musiała siedzieć Edwinowi na kolanach. Pomyślała, że tak właśnie wygląda praca w strefie działań wojennych – decyzje są podejmowane pod wpływem nagłego impulsu i mogą zaprowadzić dokądkolwiek lub donikąd. Przynajmniej miała teraz cel. Już się trochę opanowała, chociaż kolory wciąż nie wracały na jej twarz i co dziwne, była bledsza niż kobieta obok, która straciła z pół litra krwi.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz paskudnie – powiedział Edwin, powoli odzyskując oddech. Ciężarówka ruszyła wolno na pierwszym biegu.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Słuchaj, wszystko w porządku. Naprawdę można... dostać szoku.

– To bardziej kac po wczorajszej nocy.

– No tak, oczywiście. Wszyscy jesteśmy trochę zmarnowani. Ale tkwię w tym mieście od samego początku i ta sprawa... gorszych chyba nie widziałem.

Sprawa! Jak wspaniale Anglicy opanowali sztukę postępowania się eufemizmami, pomyślała. Z tą tylko różnicą, że w przypadku Edwina pod spokojną powierzchnią słów kipiała wściekłość.

– Naprawdę popisali się tym razem, co? – dodał gwałtownie.

– Kto? Serbowie?

Roześmiał się.

– Tak, Serbowie. Oczywiście, cholerni Serbowie. Mam nadzieję, że trafią do najgorętszego zakątka piekła. Ale nie tylko

oni, Rachel: również świat, który drapie się w kosmatą dupę, kiedy naród wykrwawia się na śmierć. Clinton, Major, Mitterrand, Boutros-Ghali i cała reszta. Nieinterwencja? Zapytaj ludzi na pace tej ciężarówki, co myślą o pierdolonej nieinterwencji.

Przypuszczała, że facet ma rację. Była to lekcja według proroka Daniela, a bądź co bądź Edwin należał do grona z jego apostołów. Wielki Daniel. Szybko pojawił się i zniknął – pogodny, stąpający po wodzie, chodzący po trupach. Nieomylny Mesjasz, który tłumaczył światu, a świat go zignorował; a ona – pismak, w dodatku mierny – pocałowała diabła urządzającego masakry, a także pozwoliła manipulatorom w Pale pociągać za jej sznurki.

Kobieta znowu zaczęła jęczeć i zdrową ręką pocierać brzuch.

– Co ona mówi? – Rachel chciała skupić uwagę na czymkolwiek innym niż rzygi podchodzące jej do gardła.

– Och, tak się składa, że jest w ciąży i umiera, to wszystko.

Edwin wpatrywał się w brukowaną drogę, nie zdając sobie sprawy, że doprowadzi ona do szczęścia i do całkowitej ruiny, i że na jej końcu nigdy nie zdoła wybaczyć Danny'emu Lowensteinowi.

8

Bagdad po wyzwoleniu, sierpień 2004

Osiem dni po zniknięciu Danny'ego ambasada oraz rozmaici rozgrywający w Waszyngtonie – Biały Dom, Departament Stanu, Pentagon, FBI, CIA – uznali, że czas na apel w telewizji. Eksperci z FBI stwierdzili, że powinien zostać nagrany w pokoju Camille w hotelu Hamra przez ekipę telewizji Al-Arābija.

Camille była ubrana w hidżab, nie miała makijażu i czytała starannie przygotowany tekst, który kreślono i przepisywano tyle razy, że mógłby stać się rezolucją ONZ. Była straszliwie zdenerwowana; kiedy czytała, zasychało jej w gardle. Z trudem przetykała ślinę, przez co przepadały całe słowa. Musieli zrobić trzy podejścia, żeby skończyć nagranie.

– Nieco ponad tydzień temu mój brat Daniel Lowenstein zaginął we wsi Al-Talha. Ja, jego kochająca siostra, błagam każdego, kto ma informacje o jego zniknięciu, aby skontaktował się z iracką policją lub wojskiem. Proszę, proszę, proszę, powiadomcie nas, czy Danny żyje. Zawsze pisał o tym kraju uczciwie i obiektywnie. Kocha ten kraj. A my kochamy jego. Bardzo za nim tęsknimy i chcemy, by wrócił do domu. Proszę, pomóżcie nam.

Zastanawiała się, czy Danny kiedykolwiek zobaczy nagranie, a jeżeli tak, jak zareaguje na to, że nazwała się „kochającą siostrą”?

Uzgodniono, że po nadaniu apelu wystąpi na konferencji prasowej dla innych sieci i będzie opierała się na tym samym tekście. Ekipy telewizyjne ustawiły się półkolem na stopniach hotelu: ABC, NBC, CNN, CBS, BBC. Wybuchła niestosowna kłótnia między dwoma kamerzystami o miejsce na statywy. Camille obserwowała, jak popychają się nawzajem, i przez chwilę obawiała się, że dojdzie do bójki – może ci ludzie zawsze tak się zachowywali. Z kolei Rachel, Kaps i Edwin, jakby dla kontrastu, stali spokojnie wśród dziennikarzy. Becky nigdzie nie było widać.

Kamerzyści uparli się, by mieć słońce za plecami, więc świeciło Camille prosto w oczy. Musiała je mrużyć, by choć cokolwiek zobaczyć. Potem kamery ruszyły; pytania padały szybko, jedno za drugim. Czy zaczęła tracić nadzieję? Czy go dzi się z myślą, że brat prawdopodobnie nie żyje? Jeżeli żyje, to kto go przetrzymuje i dlaczego porywacze nie mają żadnych żądań? Czy amerykańskie wojsko i iracki rząd tymczasowy

robią wystarczająco dużo, żeby go znaleźć? Camille z Adim u boku wymigiwała się od odpowiedzi na większość pytań, posługując się uzgodnioną z nim formułką: „Bardzo mi przykro, ale jest za wcześnie, żebym wypowiadała się na ten temat”. Była uprzejma i chętna do pomocy, ale mało konkretna.

Dwa ostatnie okazały się trudniejsze. „Jaki jest Danny?”, interesował się kanadyjski dziennikarz. Proszę mnie nie pytać, miała ochotę odpowiedzieć. Znałam go tylko w innym życiu. A potem ładna dziewczyna z tylnych rzędów, Anne-Marie Lacroix z „Le Figaro”, zapytała z paryską wymową:

– Czy słyszała pani pogłoskę, że jacyś inni ludzie w drugim samochodzie zostali ostrzelani przez napastników, ale zdołali uciec?

Camille zamarła. A potem, bez zastanowienia, spojrzała na ćpunów wojny i szukała w ich zniszczonych twarzach odpowiedzi.

Podróż na drugą stronę Tygrysu była krótka, ale każdy kierowca samochodu wydawał się zagrożeniem, każdy młody człowiek na rogu ulicy potencjalnym zabójcą, czekającym w zasadzce albo z samobójczą bombą. Kiedy Camille wieziono przez Bagdad na spotkanie z ambasadorem, w jej umyśle powstawał film o zniknięciu Danny’ego: złowrodzy napastnicy, mrozące krew w żyłach krzyki, nieopisany strach; jej brat biegnie, aby uratować życie; ścigają go zamaskowani szaleńcy; Danny się potyka, a oni się zbliżają, by go zabić.

A gdyby to jej się przydarzyło? Gdyby parę lowensteinowskich genów zostało inaczej rozdanych i to ona stałaby się rodzinnym buntownikiem, który wyrzekł się życia dla pieniędzy i uciekł na wojnę? Popatrzyła na swoich dwóch ochroniarzy o stalowych spojrzeniach i sposobie bycia przeszkolonych zabójców. Munro, enigmatyczny Szkot, siedział z przodu z pistoletem na kolanach. Harper jechał za nimi w innym GMC z drugą grupą twardzieli. Przeciskali się przez ruch uliczny,

aż dotarli do Zielonej Strefy – kiedyś sanktuarium Saddama, w którym skrywał się przed prawdziwym Irakiem. Teraz schronili się tu Amerykanie.

Teren obrastał coraz grubszą skórą, warstwami betonu kładzionymi jedna na drugą. Camille straciła rachubę mijanych punktów kontrolnych, obsadzanych w różnych rejonach przez ludzi z peruwiańskiej firmy ochroniarskiej, iracką policję i amerykańskich żołnierzy w czołgach M1 Abrams, opancerzonych wozach bojowych Bradley i samochodach Humvee. Ten kokon, „Bańka”, jak go nazywano, chroniony murami wzniesionymi jeszcze przez Saddama; teraz został wzmocniony niezliczonymi torami przeszkód, składającymi się z barier przeciwwybuchowych, wałów ziemnych, spirali drutu żyłkowego i kolczatki. Nawet kiedy przejechali przez to wszystko, kilkakrotnie okazując przepustki, świta Camille nadal musiała przedostawać się przez wykrywacze metalu, skanery i zastępy psów policyjnych wyszukujących materiały wybuchowe. Rosyjska matrioszka kontroli w kontroli. Wreszcie dotarli do tabliczki z napisem „Nie wchodzić bez zezwolenia. Niestosujący się do nakazu zostanie zastrzelony”.

Gdy w końcu znaleźli się na miejscu, było to jak lądowanie na innej planecie – w spokojnej oazie o powierzchni kilkunastu hektarów z palmowymi szpalerami wzdłuż bulwarów.

Dawna twierdza Saddama stała się domem nowych królów Iraku. Wokół Pałacu Republiki żołnierze i ochroniarze biegali, grali w siatkówkę, bawili się przy basenie i śpiewali karaoke przy piwie.

Wewnątrz, w neobabilońskich kiczowatych pomieszczeniach rozciągnięto kable, poustawiano komputery, drukarki i kserokopiarki. Dyplomaci pracowali w salach z okazałymi kolumnadami, marmurowymi posadzkami, złożonymi drzwiami i kandelabrami. Camille przeszła obok jadalni, skąd dolatywały kuchenne zapachy. Kiedyś podawano tam posiłki Saddamowi. Zerknęła na menu: stek z polędwicy wołowej z pieczonymi kartoflami,

pizza margherita, cheesburger i oczywiście frytki wolności* albo zdrowsza opcja – sałatka z krewetek. Większość prowiantu wielkim kosztem przywożono aż z Ameryki. Krążyły żarty, że każdy stek miał własny fotel w samolocie. Amerykańskim wojskom w Iraku mogło brakować moralnego i politycznego wsparcia, ale niedostatek prowiantu nigdy im nie groził.

Spotkanie z ambasadorem okazało się – jak ponuro przepowiedział Munro – stratą czasu. Przyjął ich bardzo uprzejmie, zaproponował kawę, muffiny i czekoladowe ciastka z orzechami, ale choć wręcz ociekał troską o Danny’ego, było jasne, że wie tyle co oni.

Kiedy wychodzili, Adi odprowadził Camille na bok.

– Ambasador przeprasza, że nie spotkał się z panią wcześniej. Wyjechał do Basry. Przez Brytyjczyków wszystko się tam pochrzaniło. Co nie znaczy, że my tutaj też nie spieprzymy sprawy, ale przyjemnie jest dla odmiany móc zwalić winę na kogoś innego.

Z ambasady przejechali niedaleko, do KCIP – Koalicyjnego Centrum Informacji Prasowej. Ambasador zasugerował, że Camille powinna pomyśleć zorganizować pod koniec tygodnia drugą konferencję prasową, tym razem dla całego korpusu dziennikarzy. Nie była przekonana do tego pomysłu i Adi, licząc, że może poczuje się trochę swobodniej, zgodził się pokazać jej salę, w której miałaby wystąpić.

KCIP znajdowało się centrum konferencyjnym – nijakim, niskim współczesnym budynku, otoczonym kołyszącymi się palmami. Camille szła po zalanym słońcem atrium, przyglądając się monotonnej baasistowskiej architekturze i czytając

* W marcu 2003 roku na wniosek kongresmena Boba Ney’a w restauracjach Kongresu i w Białym Domu zmieniono nazwę frytek z „frytek francuskich” (*french fries*), na „frytki wolności” (*freedom fries*). Był to wyraz protestu przeciwko polityce Chiraca i braku poparcia Francji dla wkroczenia wojsk amerykańskich do Iraku (przyp. tłum.).

umieszczone na ścianach informacje. Wszędzie wokół Amerykanie – niektórzy w mundurach, inni po cywilnemu. Maszerowali zamaszyście, pracowicie zajmując się budowaniem lepszego świata. Zauważyła, że jeden z nich rozmawia z grupką chyba dziennikarzy, i próbowała wyobrazić sobie Danny'ego, jak w tym właśnie miejscu wypytuje swoich informatorów albo wygłasza im kazania.

Adi przedstawił Camille recepcjonistce KCIP i przekonał go, aby pokazał jej salę odpraw, sam zaś zniknął, żeby poszukać kolegi. Stała na podium, patrząc na rzędy pustych krzeseł. Tu właśnie musieli być wszyscy pozostali w dniu zniknięcia Danny'ego. Gdyby przyszedł razem z nimi, byłby bezpieczny i zdrowy, a ona nadal siedziałaby zamknięta w swojej szklanej klatce.

– Naprawdę zmartwiła nas wiadomość o pani bracie.
– Opiekujący się nią sierżant odczytał jej myśli. Był smagły, o latynoskim wyglądem, a na mundurze nosił naszywkę z nazwiskiem: „Ramirez”. Zastanawiała się, czy w ogóle widział Irak poza murami tej twierdzy i czy przeżyłby, gdyby musiał tam służyć. – Mam nadzieję, że wszystko z nim dobrze.

– Dziękuję. Próbujemy ustalić, co zdarzyło się tamtego dnia. Odbywała się tutaj odprawa dla prasy, prawda?

– Bardzo możliwe. Musiałbym sprawdzić.

Zaprowadził ją z powrotem do swojego biura.

– Proszę mi przypomnieć, kiedy dokładnie to było. – Wyciągnął teczkę.

– Drugiego.

– No tak, owszem. Generał Peters.

– Czy ma pan listę uczestników? Spis osób, które przyszły go wysłuchać?

– Z mediów? Już się robi, proszę pani. – Ramirez nie pytał, do czego to jej potrzebne. Zajmował się swobodą informacji, prawem do ich uzyskiwania i nie był zainteresowany ograniczaniem dostępu. Poza tym wszyscy dobrze wiedzieli,

że jeżeli ten biedak Lowenstein nie został już zabity, to jest żywym trupem. Ramirez zastanawiał się czasami, jak jego rodzina dawałaby sobie radę, gdyby to on znalazł się na miejscu dziennikarza: miał żonę, dwuletnie dziecko i następne w drodze. Czasami go korciło, by wziąć udział w akcji, ale w sumie cieszył się, że pracuje za biurkiem.

– Popatrzmy. – Wierny amerykańskiej maksymie „da się zrobić”, zaczął poszukiwania w swoim małym gabinecie. – Rzecz w tym, że czasami zapisujemy nazwiska, a czasami nie. Zależy, czy szefowie tego żądają.

– Jasne! – Camille zachichotała, dając do zrozumienia, że dobrze zna kapryśnie zachcianki kadry kierowniczej całego świata.

– Tego dnia nie byłem na służbie, nie jestem więc w pełni...

Grzebał w różnych stertach papierów i kartotekach. Sprawiało to wrażenie chaosu – żołnierze usiłują być sekretarkami i zupełnie im to nie wychodzi.

– Niech pan da sobie spokój. Naprawdę proszę się tym nie przejmować. To nic wielkiego. Zostawię numer swojej komórki; w razie czego pan zadzwoni.

Ramirez nadal przewracał papiery.

– Chwila, moment! Chyba znalazłem. Tak, to z całą pewnością ten spis.

Z tryumfem uniósł kartkę. Małe zwycięstwo w tym szczególnym teatrze działań wojennych. Nawet z daleka widziała, że to właściwie nie jest lista, tylko mętlik nazwisk. Anarchistyczne ciągi gryzmołów. Dziennikarze najwyraźniej nie lubili takiej nieistotnej biurokracji i nie bardzo chciało im się starać.

Z zapałem wzięła spis od Ramireza i przebiegła wzrokiem po nabazgranych długopisem nazwiskach, redakcjach i narodowościach. Sierżant przyglądał się, jak po kolei przebiegała wzrokiem nazwiska ćpunów wojny.

– Mógłby mi pan to skserować?

– Nie widzę problemu, proszę pani. Lista nie jest utajniona. Szuka pani czegoś konkretnego? – Wydawał się lekko zdziwiony, ale też chętny do dalszej pomocy.

Uniosła wzrok znad kartki i popatrzyła na niego nad okularami jak sędzia.

– Wie pan co, sierżancie? Właściwie sama nie jestem pewna.

Zanim opuścili Zieloną Strefę, przejechali obok placu defilad Saddama i pod spektakularnym bezguściem – łukiem ze skrzyżowanych szabli – czyli tak zwanymi Dłońmi Zwycięstwa. Podobno gigantyczne szable wykonano z przetopionych czołgów i dział z wojny iracko-irańskiej, a trzymające je dłonie ukształtowano na wzór dłoni Saddama – nawet zrobiono z nich gipsowy odlew, żeby mieć pewność, że zostaną dobrze odwzorowane. Jakby chcąc udowodnić, że dawny reżym naprawdę już nie istnieje, kierowca – dawny kumpel Munra z SAS-u – wywinął GMC zgrabną ósemkę na asfalcie w miejscu, gdzie dyktator dokonywał inspekcji swoich wojsk.

– Gdybyśmy wycięli taki numer za czasów Saddama, postawiliby nas pod ścianą i rozstrzelali.

Camille była zachwycona. Przypomniała sobie film: iracki przywódca stał właśnie tutaj – dumny, majestatyczny, w kapeluszu, z podniesionym sztucerem myśliwskim. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niej: zrozumiała emocje brata, gdy stykał się z historią w miejscach takich jak to. Danny nienawidziłby jej życia polegającego na wpatrywaniu się w monitor komputera, ale ona zaczynała mu zazdrościć. Myśli Camille znowu pogalopowały dziesięciolecia wstecz, do Pittsburgha i dokonanych przez Danny'ego wyborów.

Zaczęło się jak w zwykłą niedzielę. Kościelne dzwony biły, domagając się obecności Loewensteinów. Lukas był zdenerwowany – miał czytać Ewangelię według Mateusza, 26. Robił to

już wcześniej, ale zawsze ogarniała go trema. Ludzie patrzyli na niego z ławek, a echo odbijało się od kamiennych ścian i gdyby się pomylił, słyszałby to powtarzane znowu i znowu. Lukas nie cierpiał robić błędów w czytany tekście. Nowy garnitur, dostarczony w tym tygodniu z pracowni krawieckiej Egeltona, trochę pił pod pachami, ale Lukas czuł się w nim dobrze i co ważniejsze, świetnie wyglądał. Był – oficjalnie – podporą społeczności.

Stali w drzwiach, czekając na Danny'ego, który zawsze wychodził z domu ostatni. Taka małostkowa forma protestu, ale wszyscy już do tego przywykli. Dzisiaj jednak, słuchając cykającego w holu wielkiego zegara, czuli, że będzie inaczej. Zawołała go Eliza, potem Camille, i znowu Eliza. Kiedy odpowiedź nie nadeszła, ogarnęły ich złe przeczucia i ponura pewność, co zaraz się stanie. Oczywiście, Lukas stracił cierpliwość i ruszył, żeby przyprowadzić krnąbrnego syna. Wbiegał po schodach wielkimi susami, do pokoju Danny'ego dotarł zgrzany i zadyszany.

Danny siedział na łóżku i czytał. Nie zamierzał nigdzie iść.

- Bóg na ciebie czeka, Danielu.
- On nie jest moim Bogiem.
- Cóż, mimo to na ciebie czeka.
- Powiedziałem: On nie jest moim pierdolonym Bogiem.

Drugie uderzenie nastąpiło natychmiast po pierwszym, po jednym w każdy policzek. Tak kobieta mogłaby bić swojego kochanka – nie były mocne ani szczególnie bolesne, jedynie takie, aby skóra trochę zaszczypała i poczerwieniała. Danny wiedział jednak, że w tym momencie wszystko się zmieniło. Rzucił wyzwanie, ojciec je przyjął i teraz zaczęła się walka. Zbyt długo cackano się z jego buntem. Zdaniem Danny'ego, nadeszła pora, aby rodzina, a zwłaszcza siostra, opowiedziała się po czyjejś stronie. Stała w drzwiach, obok ojca, któremu oczy wyłaziły z wściekłości. Była wtedy piękną młodą

kobietą; właśnie wybierała się do Princeton i miała zbyt wiele do stracenia. Patrzyła na nich i nie odzywała się ani słowem.

Po wolnej podróży przez punkty kontrolne i korki wrócili do hotelu Hamra. Kiedy omijali slalomem szykany ochronne, ożyła komórka Camille.

– Dzień dobry. Tu znowu Ramirez. Z centrum konferencyjnego.

Telefon ją zaskoczył, ale uznała, że sierżant ma pytania o plany związane z jej wystąpieniem w KCIP.

– Och, witam sierżancie. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

– Bardzo proszę, żaden problem. Dzwonię w sprawie tamtego spotkania z dziennikarzami. Udało mi się dowiedzieć, kto pełnił wtedy służbę.

– Aha. Okej. – Właściwie nie rozumiała, jakie to ma znaczenie i dlaczego zawracał sobie głowę dzwonieniem do niej, ale Ramirez jak zawsze bardzo starał się być pomocny.

– Otóż sierżant Moore. W każdym razie właśnie go znalazłem i wspomniałem mu o pani i tej liście. Powiedział coś dziwnego. Że jakiś dziennikarz przyszedł tuż przed godziną policyjną i zapytał, czy mógłby się dopisać, bo zapomniał to zrobić przed odprawą. Moore zapamiętał ten fakt, bo wydał mu się dziwaczny. Po co komuś miałoby w ogóle na tym zależeć? Zwłaszcza facetowi z mediów. Zwykle nie bardzo przejmują się naszymi listami. Stwierdziłem, że powinienem pani to przekazać.

Camille wsłuchiwała się w każdą sylabę.

– Jestem bardzo wdzięczna, sierżancie. Kto to był? Może mi pan podać nazwisko?

– Moore nie przyglądał się, jak facet je wpisuje.

– Och, no cóż, w każdym razie...

– Ale zapamiętał, że Anglik, z wymową jak u królowej. Aha, i łysy. Głowa gładka niczym pupka niemowlęcia.

Sarajewo, 1994

Kiedy ciężarówka – częściowo karawan, częściowo karetka pogotowia, a częściowo samochód prasowy – dojechała do szpitala Kosevo, Edwin wyskoczył, wziął na ręce ranną kobietę i poniósł ją niczym krwawiącą pannę młodą. Swego czasu przeczytał cały traktat medioznawcy, profesora na Harvardzie: *Dylematy współczesnego reportera związane z interwencją*. Dotyczył on kwestii, kiedy i gdzie dopuszcza się, by dziennikarz „przekroczył granicę” i uczestniczył w wydarzeniach zamiast jedynie je obserwować. Niebezpieczeństwo polega na tym, twierdził profesor, że dziennikarze mogą zniekształcać opisywaną rzeczywistość, podobnie jak podróżnik w czasie, który ingerując w historię, może zmienić przyszłość.

Edwina nie dręczyły takie wątpliwości. Bądź co bądź kiedyś służył w armii i „zniekształcenie rzeczywistości”, jak to określał profesor, nie było mu obce – na przykład rzeź młodych irackich poborowych w Kuwejcie. Tego ranka w Sarajewie Edwin miał wrażenie, że w jakiś sposób zdołałby wpłynąć na proporcje między zabitymi a ocalonymi; dlatego jeżeli istniały tu granice do przekroczenia, zrobił to z radością. Dobry profesor z Harvardu prawdopodobnie nigdy nie znalazł się w samym środku masakry.

Szpital bardziej przypominał rzeźnię. Wszędzie krew – rozsmarowana na ścianach i podłogach. Surowe, czerwone mięso otwartych ran czekało cierpliwie, by je zaszyć i przykryć – jeżeli ktoś z przepracowanych ponad miarę lekarzy czy pielęgniarek znajdzie chwilę. Obrzydliwie śmierdziało krwią, gangreną i środkami odkażającymi. Edwin robił bardzo płytkie wdechy.

Nie słychać było oszalałych krzyków z bazaru. Sale i korytarze Koseva wypełniał przytłumiony, zbiorowy jęk, zupełnie jakby

pacjenci z uprzejmości nie chcieli niepotrzebnie hałasować. Krzyki cierpiących rozlegały się tylko wtedy, gdy przeprowadzano operację albo z niezbędnym minimum środków znieczulających, albo w ogóle bez nich. Elektryczność w Kosevie pojawiała się od czasu do czasu – zależała od prądnic, te zaś od paliwa. Dzisiaj zespoły medyczne musiały pracować w ponurym półmroku, przyświecając sobie latarkami, lampami, a nawet świecami. Lekarze pochylali się nad pacjentami i starali się po omacku ustalić, kogo jeszcze warto ratować, a kiedy pomoc będzie jedynie marnotrawieniem skromnych zasobów i nie ocali przed śmiercią. Bardzo często pracownicy kostnicy przychodzili, żeby zabrać martwych i zwolnić trochę przestrzeni dla żywych. Mimo to w korytarzach szpitala gęsto stały łóżka, a niektórzy pacjenci mogli znaleźć miejsce tylko na podłodze. Dygotali, czekając, aż ktoś się nimi zajmie. Było minus siedem stopni i tutaj chłód wydawał się okrutniejszy niż gdziekolwiek indziej w Sarajewie. Kosevo przypominało szpital z wcześniejszego stulecia.

– Nie wiem, czy może być gorzej – odezwał się Edwin do Rachel. – Ale podejrzewam, że Serbowie o to zadbają.

Rozbite okna, potłuczone szkło i znajoma ospa dziur po pociskach świadczyły, że w Bośni i Hercegowinie szpitale uznano za pełnoprawne cele wojskowe. Bądź co bądź stanowiły symbol życia i nadziei, a dowództwo bośniackich Serbów z determinacją niszczyło i jedno, i drugie.

Edwin zadbał, by zajęto się kobietą. Znalazł lekarzkę – z wyglądu niewiele starszą od studentki. Nie miała białego fartucha i stetoskopu na szyi, ale wyświechtaną dżinsową kurtkę włożoną na wiekową podkoszulkę z napisem „Dark Side of the Moon”, spłowiałe dżinsy i znoszone adidas. Mocno zaciągała się papierosem. Z bliska na jej ubraniu widać było kolekcję plamek i smug rozmazanej krwi. Przypominała podnieconego młodego artystę, który opryskał się farbą.

– Przepraszam, czy jest pani lekarką? – zapytał Edwin. – Zna pani angielski?

– Tak i jeszcze raz tak. – Mówiła dobrze, z zaatlantyckim akcentem wskazującym, że spędziła jakiś czas w Stanach.

– W porządku. Wspaniale. Proszę posłuchać, przywieźliśmy tu kobietę. Jest w ciąży. Potrzebuje pomocy.

Młoda lekarka spojrzała na Edwina jak na wariata. Z jakiego innego powodu ktoś przyjeżdżałby do szpitala w stanie klęski żywiołowej? Bez słowa zajęła się ręką pacjentki; odwinęła zakrwawioną chustę i zastąpiła ją właściwym opatrunkiem. Edwin przyglądał się tak bacznie, jakby ranna była jego krewną.

– Jak z nią?

– Nie wiem. Jest za wcześnie. – Szkoda czasu na bezsensowne domysły.

– Wyjdzie z tego? A dziecko?

– Powiedziałam, że nie wiem.

Edwin wciąż starał się nawiązać rozmowę.

– Macie tu koszmar.

– Oczywiście, że to koszmar. – Pracowała bez przerwy, nie patrząc na niego.

– Ale nie dla pani.

– Słucham?

Doktor Amra Ismić uważała dziennikarzy za sępy i prosiła innych lekarzy, by zakazali im wstępu do szpitala. Odmówili, tłumacząc, że świat musi poznać cierpienia Sarajewa. Bzdura, protestowała, dziennikarze nic nam nie pomogą. Nie walczą i nie ratują ludzi, więc powinni wynosić się do domu. Gardziła nimi.

Zostawiła ciężarną kobietę pod opieką paru pielęgniarek i przeszła do innych pacjentów, niczym jednoosobowe tornado wirujące po czerwonych od krwi salach i korytarzach. Coś w zapale lekarki skłoniło Edwina, by pójść za nią, obojętne czy tego chciała, czy nie. Myślał o historii kobiety, którą pomógł ratować, ale teraz natknął się na kolejną bohaterkę. Oczywiście! Fotogeniczna pani doktor – tak jak on przypalała papierosa od papierosa – z całym brzemieniem brutalnego

świata na swoich barkach, z twarzą zapadniętą ze zmęczenia. Jego śniadaniowi czytelnicy zakochaliby się w niej, smarując masłem tosty i łykając rozmoczone płatki śniadaniowe, zanim wypadną z domu, żeby złapać autobus albo odwieźć dzieci do szkoły.

Edwin pozwolił Rachel odejść i zająć się innymi sprawami. Zaczęła go irytować niewyraźna mina dziewczyny i nie mógł powstrzymać się przed porównaniem obu kobiet: jednej zniszczonej nadmiarem pracy, drugiej nadmiarem wina. W każdym razie, skoro Rachel tak bardzo chce zostać dziennikarką, powinna wziąć się w garść. Był zmęczony i znudzony niańczeniem Amerykanki. Toń albo pływaj, to jedyna rzecz, jakiej nauczyło go wojsko i z którą się zgadzał.

Przez jakiś czas trzymał się trochę z tyłu, obserwując gorączkowe tempo pracy Amry Ismić. Robiła wrażenie ostatniego medyka na ziemi zajmującego się wszystkimi pacjentami. Kontury jej rąk rozmazywały się od szybkich ruchów – rozwijała, przycinała, zawiązywała bandaże, badała tętno, przykładała stetoskop do słabo bijących serc, napełniała strzykawki i wbijała igły w jęczących, wijących się ludzi. Dopiero kiedy zaświeciła latarką w oczy nieprzytomnej uczennicy, obok której leżał plecak z podręcznikami, Edwin postanowił podejść bliżej i spróbować przeprowadzić wywiad.

– Kiedy pani zaczęła tu pracować?

– Znowu pan?

Łagodnie opuściła dłoń dziewczynki i przeszła do starszego mężczyzny – najprawdopodobniej stracił oko. Edwin spojrzał na wielki, wypełniony krwią oczodół i nie dostrzegł ani śladu gałki.

– To musi być męcząca praca. Ile godzin trwa pani dyżur?

– A jak pan myśli? Dokładnie od dziewiętej do siedemnastej? Próbuję uratować życie paru ludziom, więc niech pan idzie zawracać głowę komuś innemu, jeżeli nie ma pan nic do roboty. – Powiedziała to z większą dawką jadu, niż zamierzała,

Edwin zrobił urażoną minę. – Proszę wybaczyć. Nie chciałam być niegrzeczna. Mam złe doświadczenia z prasą.

– Nie, to ja przepraszam. Rzeczywiście nie powinienem marnować pani czasu. A przy okazji, jestem Edwin. Z londyńskiego „Daily Telegraph”.

– Amra Ismić.

Przedstawiła się niechętnie i tylko dlatego, że nawet w Bośni obowiązywały uniwersalne zasady uprzejmości. Potem znowu odwróciła się do niego plecami i ruszyła do sali operacyjnej – czyli po prostu do innego pokoju, z tą tylko różnicą, że na białych kafelkach podłogi stały większe niż gdzie indziej kałuże krwi. Po pięciu minutach podkraść się do podwójnych drzwi i uchylił je lekko.

Nie dostrzegł tu masek, kitlów ani instrumentariuszek podających gaziki i skalpele. Improvizacja w sarajewskim stylu. W rogu leżało kilka kamizelek kuloodpornych, na wypadek gdyby rozpoczął się ostrzał artyleryjski. Amra w końcu przestała palić. Nawet ona nie mogłaby grzebać w ranach z papierosem w ręku.

Tym razem pacjentem był chłopiec, ośmio-, dziewięcioletni. Z jego wnętrzości sterczał poszarpany odłamek. Edwin widział, jak pochyliła się nad rannym, i obserwował wystające krawędzie jej łopatek.

Nożycami odcięła grube zimowe ubranie przyklepione do rany. Narzędziem przypominającym trochę bardziej skomplikowane szczypce szarpnęła kawałek metalu. Kiedy wyszedł, niemal przewróciła się do tyłu, ale natychmiast rzuciła się, by powstrzymać tryskającą krew. W końcu, kiedy już – najlepiej jak mogła – oczyściła ranę, ściągnęła fałdy zakrwawionego ciała i zszyła je igłą z nitką. Wyglądała jak krawiec, który przez pomyłkę trafił do rzeźni.

Dopiero wtedy odwróciła się w stronę drzwi i zobaczyła Edwina kryjącego się w cieniu.

– Wynocha! Natychmiast!

– Ale...

– Już mówiłam. Nie potrzebujemy was tutaj. A teraz wy-
noś się pan albo pana wyrzucę.

Chciała wrzasnąć na niego, ale nie mogła denerwować pa-
cjentów.

– Dobrze, już dobrze. Przepraszam, jeżeli byłem natrętny.
A moglibyśmy... kiedy pani skończy, porozmawiać dwie mi-
nuty? Dosłownie dwie – skłamał. Żeby mieć materiał do arty-
kułu na całą kolumnę, potrzebowałby przynajmniej pół godzi-
ny. Ilu pacjentów mogłaby w tym czasie opatrzyć, ilu ocalić?
Ale mimo wszystko poprosił.

– Pomyślę – rzuciła na odczepnego. Na pewno nie wyj-
dzie z pracy aż do zmierzchu, a do tej pory dziennikarz sobie
pójdzie.

Minęło dziesięć godzin. Ciemność już dawno zamknęła
oczy temu morderczemu dniu. Doktor Amra Ismić doszła do
wniosku, że jeżeli dłużej zostanie w szpitalu, zaśnie na stoją-
co, bardzo możliwe że z nożem chirurgicznym w ręku. Włoży-
ła wyświechtany niebieski anorak i ruszyła do wyjścia. Wtedy
go zobaczyła: siedział, też prawie śpiąc i dygocąc z zimna.

– Nie poddaje się pan, co? – Zapaliła kolejnego papierosa
od prawie nieistniejącego niedopałka poprzedniego. Ze śmier-
ci nowe życie.

– Dwie minuty.

– Tak albo dwie godziny. Znam was. Nie jest pan pierw-
szym dziennikarzem, z którym mam do czynienia, panie...

– Edwin, po prostu Edwin. Już się przedstawiłem.

– Tak. Przepraszam, że krzyczałam. To dlatego...

– Że plątałem się pod nogami. Robisz tu wspaniałe rzeczy,
a ja tylko chciałem, żeby świat...

– Och, proszę tego nie mówić. Wszystko, tylko nie to.
– Usiadła blisko niego na jednym z sześciu niewygodnie po-
skręcanych razem plastikowych krzesełek. – Chcesz poznać
moje wykształcenie? Parę lat studiów, zaledwie połowa. Przed

wojną nikogo nie operowałam. A teraz popatrz na mnie. Cały czas tnę i szyję ludzi. Bóg raczy wiedzieć jak.

– Ale jednak dokonujesz tu cudów. – Edwin pragnął, żeby mówiła dalej. Przedtem odzywała się niechętnie, ale teraz udzielała wywiadu. Czytelnicy nie będą mogli się oderwać. Początkowo nie zapisywał niczego, żeby jej nie spłoszyć. Musi zapamiętać, a potem, korzystając z odrobiny swobody dziennikarskiej, uzupełnić brakujące fragmenty.

– Ha! Cuda! Żebym tylko w nie wierzyła. Chcesz o czymś napisać w swojej gazecie? Codziennie decyduję, kiedy ratować, a kiedy...

– Pozwolić odejść? – Kolejny eufemizm Edwina.

– Tak, pozwolić umrzeć. Dzień jak dzisiaj? Za mało nas w szpitalu. W rezultacie ja, studentka medycyny, mam władzę nad życiem i śmiercią. Jestem jak Serbowie: wybieram, kto powinien żyć, a kto nie. Bóg jeden wie, co to ze mną robi. Kiedy będzie już po wszystkim...

Edwin odważył się ukradkiem wyjąć notatnik, mniej więcej wielkości policyjnego. Starając się za nią nadążyć, jak najdyskretniej zaczął wypełniać go znaczkami stenograficznymi.

– Ale Amro, nie możesz pracować jeszcze ciężiej niż teraz. Zobacz, która godzina, a jesteś tu od...

– Szóstej rano. Wiesz dlaczego? Przyszedł mi do głowy zwariowany pomysł. Jeżeli ludzie umierają, bo nie mamy dość czasu się nimi zająć, to ja ten czas przedłużę. Im więcej godzin pracuję, tym więcej ludzi ocale.

– Wypalisz się.

– Spójrz mi w oczy. Czy nie jestem już wypalona?

Rzeczywiście. Wypalona nie do poznania.

– Papierosa? – Poczęstował ją marlboro, o wiele lepszym niż tanie driny.

Zaciągnęła się głęboko, do zawrotu głowy.

– Wiem, za dużo palę. Ale dzięki temu nie czuję głodu. Nawet gdybym znalazła czas na jedzenie, nie ma co jeść.

Edwin zaproponował, że zafunduje jej coś w Holiday Inn.

– Nie, nie. Nie tam. Już nawet nie zbliżam się do tego siedliska dziennikarzy.

Wciąż zastanawiał się, czym tak bardzo jej się narazili.

– W takim razie podrzucę cię do domu. Przynajmniej tyle dobrego zrobię.

– Zawsze idę. Dzięki temu mogę przewietrzyć sobie głowę.

– O ile snajper jej nie odstrzeli.

To nie było szczególnie zabawne, ale roześmiała się po raz pierwszy tego dnia i to tak, że zaraziła tym śmiechem Edwina.

Odwiózł ją mimo wszystko.

Jej dom znajdował się przy krętej, wąskiej ulicy koło Cmentarza Lwów i bardziej przypominał bunkier niż budynek mieszkalny. Rodzice Amry bali się, że serbski pocisk spadnie na nich z bezchmurnego sarajewskiego nieba, więc obstawili okna workami z piaskiem. Nic dziwnego, że kiedy ostrzał się kończył, miasto było takie spokojne – większość ludności zabarykadowała się w domach albo mieszkała w piwnicach. Jak w czasie Blitzu*, pomyślał Edwin. Codziennie żyło się z myślą o nagłej, gwałtownej śmierci, która może spotkać człowieka we własnym salonie, w kuchni, nawet kiedy się kąpie, śpi albo siedzi na sedesie, dumając nad szaleństwem świata. Przynajmniej mieli niedaleko do cmentarza.

– Chcą, żebyś został i coś zjadł – powiedziała bezradnie Amra po krótkiej, prowadzonej szeptem rozmowie z rodzicami stojącymi na progu. – Są wdzięczni, że odwiozłeś mnie do domu. Mówią, że prawdziwy z ciebie dżentelmen. Usiłowałam im wytłumaczyć, że jesteś dziennikarzem.

* Zmasowane naloty – najpierw dzienne, potem nocne – prowadzone przez Luftwaffe przeciwko brytyjskim miastom od 7 września 1940 do 10 maja 1941 roku (przyp. tłum.).

Jak przypuszczał, nie przekroczyli pięćdziesiątki, ale codzienne urazy psychiczne zmieniły ich w przedwczesnych emerytów – włosy siwiały z tygodnia na tydzień, twarze wysychały, pokrywały się zmarszczkami. Błądzili myślami gdzieś daleko, oczy mieli puste jakby w rzeczywistości – jak wielu innych w Sarajewie – już byli martwi.

– Och nie – oznajmił Edwin. – Przekaż im, proszę, że to niemożliwe.

– Już to zrobiłam, całkiem serio, ale oni nie chcą nawet o tym słyszeć. Bośniacka gościnność, co za głupota.

Mimo energicznych protestów Amry i trochę wymuszonych jego zdjął zaśnieżone buty i przeszedł w termicznych skarpetach ciemnym wąskim korytarzem do maleńkiego salonu. W stojącym w rogu piecu palił się słaby ogień – z braku opału zarzyło się zaledwie kilka węgla. Jedyne źródło ciepła w całym domu. Temperatura mniej więcej taka sama jak w szpitalu: sporo poniżej zera. Regały świeciły pustkami – rodzice Amry na pewno już dawno spalili książki, by choć trochę się ogrzać.

Pokój był kapliczką poświęconą córce gospodarzy, jedynym ich powodem dalszego istnienia. Edwin oglądał zdjęcia, które wypełniały niemal każdy centymetr ścian. Wszystkie przedstawiały Amrę: niemowlę, małe dziecko, uczennicę, pewną siebie, zbuntowaną nastolatkę, świetną studentkę medycyny, a teraz naczelnego chirurga Bośni.

Rozmawiali jakiś czas. Amra występowała dodatkowo jako tłumaczka, ułatwiając uprzejmą konwersację gościa i rodziców. Po jakimś czasie wyszli, żeby przygotować *cevapcici*. Edwin i Amra zostali sami.

– Posłuchaj, naprawdę chcę napisać o tobie do gazety. Jesteś inspiracją.

Równie dobrze mógłby powiedzieć dowcip. Zaciśnięte w smutku szczęki rozluźniły się lekko, potem kąciki ust się uniosły, aż w końcu wybuchnęła śmiechem. Zastanawiał się, jak często w tym domu, tym mieście słyszano śmiech Amry

Ismić. Spojrzał w stronę drzwi do maleńkiej kuchni wykończonej pomarańczową formiką. Stała w nich matka Amry i przysiągłby, że też na jej twarzy widział uśmiech. Co sobie myślała? Że ten młody Anglik przywrócił życiu jej córki nieco radości – albo w każdym razie mógł to zrobić.

– I właśnie dlatego nie będziesz o mnie pisał, bo wyjdą takie rzeczy. Sentymentalne pierdoły.

Oczywiście miała rację. Tak by było. Ale z drugiej strony, mówił prawdę.

Amra odwróciła się do okna i dostrzegł, jak drżą jej łopatki, które podziwiał w sali operacyjnej.

– Przepraszam. Nie chciałem, żebyś przeze mnie płakała.

– Proszę, nie mów mi nic miłego. Nie jestem inspiracją, ale nieudacznikiem. Przedstaw to w swojej gazecie.

– Amro, to absurd. Jesteś najbardziej...

– Zamknij się. Jeżeli chcesz pisać, musisz słuchać. „Nieudacznik”, nawet nie rozumiesz tego słowa. Nikt przez ciebie nie umiera. Kiedy tobie się nie uda, trudno. Powstał zły artykuł. Nie wydrukują go w gazecie albo czytelnicy nie zechcą przeczytać. Wielkie mi rzeczy. Kiedy ja zawiodę... co się dzieje? Kończy się czyjeś życie. Może młoda kobieta, taka jak ja, umrze, bo spieprzyłam sprawę. Bo nie przeczytałam wszystkich książek, nie miałam czasu, byłam leniwą studentką. Piękne dziecko, dzielny żołnierz, urocza stara dama... wszyscy są moimi klęskami.

Płakała cicho, żeby rodzice nie usłyszeli. Nawet we własnym domu starała się oszczędzić innym bólu.

Edwin już nie udawał przed samym sobą, że siedzi tu jako dziennikarz. Napisze ten artykuł, ale tak naprawdę chciał ją objąć i pocieszyć, otoczyć ramionami niedożywione ciało. Przez chwilę nie miał odwagi zbliżyć się do niej, ale znalazł inny sposób.

– Jeśli przez to poczujesz się lepiej, to ci powiem. Ja też zawiodłem.

– Wątpię.

– Nie, naprawdę. Byłem żołnierzem. W brytyjskim wojsku. Trzy lata temu wykopywałem Irakijczyków z Kuwejtu. Pustynna Burza, pamiętasz?

– Oczywiście.

– Tej nocy, kiedy zaatakowaliśmy, zabiliśmy ich dziesiątki, w większości poborowych. Dowodziłem czołgiem. Mieliśmy termowizję, więc widzieliśmy ludzi w nocy: małe, rozmazane zielone plamy, jak najeźdźcy z kosmosu. W rzeczywistości zobaczyłem ich dopiero, kiedy następnego dnia rano wyszedłem z czołgu. Młodzi faceci, tacy jak ja. Ich ciała, Amro, stały się czarnymi szkieletami ze zwisającymi kawałkami skóry i mundurów.

Edwin przerwał, widząc powracający obraz – zwęglone czaszki z zaciśniętymi zębami. A potem ten najbardziej koszmarny widok, który będzie prześladował go do końca życia. Na dnie okopu znalazł skulonego irackiego nastolatka w mundurze dorosłego mężczyzny, ze spaloną głową i ciałem, rozerwanym brzuchem, czekującego na zbliżającą się śmierć.

– Po prostu dzieciak, do kurwy nędzy; nieprawdopodobnie cierpiał. Szeptał coś. Ukląkłem, żeby go wysłuchać. Wiesz, co mówił? „Zabij. Proszę, zabij”.

Edwin pamiętał, jak patrzył na swoich ludzi, a oni spoglądali na niego. Dotknął pistoletu na biodrze. Czy mógłby zabić tego chłopaka, „zlikwidować go”, tak jak weterynarz psa? Czym to by było? Eutanazją na polu walki czy zbrodnią wojenną? Kapral podszedł i zapytał: „Skończyć jego cierpienia, sir?”

– I co zrobiłeś?

– Tylko trzymałem tego biednego dupka za rękę. Stchórzyłem. Płakałem i płakałem przy swoich ludziach, przy umierającym żołnierzu wroga.

– Wtedy odszedłeś z wojska?

– Jak mógłbym zostać? Już pierwsze zetknięcie z wojną wywołało mój sprzeciw, a to niedopuszczalna reakcja. Mój

ojciec służył w wojsku, a przedtem jego ojciec, ale rodzinny zawód Garlandów był nie dla mnie. Poza tym zawsze nienawidziłem rozkazów. Dlatego golę głowę. Wojsko zawsze mnie goniło, żebym nosił krótsze włosy. No to im się postawiłem: jeżeli nie mogę mieć dłuższych, to w ogóle ich się pozbędę.

– I dlatego zostałeś dziennikarzem? – Spojrzała na niego jak nigdy dotąd, kokieteryjnie przechylając głowę.

– Oświadczyłem pułkownikowi, że chcę pisać, nie walczyć. Pretensjonalne, co? Ale tak naprawdę nie byłem wyrotowcem. „Daily Telegraph”... nie znalazłbym gazety bardziej związanej z establishmentem, nawet gdybym próbował. I oczywiście od razu wysłali mnie z powrotem na wojnę. Tylko zmieniłem jedno pole bitwy na drugie. Czasami zastanawiam się, co jest bardziej niemoralne: dostawać pieniądze za przyglądanie się śmierci czy za jej zadawanie. – Spojrzał na stary zegar nad kominkiem. – O kurwa.

– Słucham?

– Przepraszam, ale właśnie zawałem swój pierwszy termin. Dałem się ponieść.

Od tygodni nie napisał ani słowa dużego artykułu o Sarajewie. Tak, to katastrofalne niepowodzenie, biorąc pod uwagę nieskalane standardy jego dotychczasowej kariery. Ale w porównaniu z dopuszczeniem do tego, by czyjeś życie przesączyło ci się przez palce, to nic nieznaczący szczegół. Zrozumiał, o czym mówiła. Dostrzegając, jak lekkie jest jego brzemię, zaczął widzieć, jak straszliwie przytłaczającym ciężarem są jej działania.

– Dziękuję – powiedziała i ku jego zaskoczeniu, pocałowała go w policzek.

Kiedy zbliżyła swoją twarz, poczuł słodki aromat, nie perfum, ale jakiś zapach typowy dla jej skóry i dla niej całej. Był upajający.

Kiedy tej nocy Edwin wrócił do Holiday Inn, wysłał materiał w drugim terminie i został ochrzany, że nie dotrzy-

mał pierwszego. Wyjaśnił redaktorom na nocnym dyżurze, że wydarzyło się coś, co może dać osobny artykuł, i usłyszał, że lepiej niech to będzie zajebiście dobry tekst.

Szedł czarnym jak smoła korytarzem, szukając ópunów wojny. Czuł przemożną potrzebę, by porozmawiać o Amrze. Tak bardzo się od niej różnił, a jednocześnie wydawali się podobni. Kiedy usiłował wychwycić, co ich łączy, uświadomił sobie – z lekkim zaskoczeniem – że jest to śmierć, która tak absorbuje oboje. Dziwny powód, żeby się zakochać.

Hałas wylewający się z pokoju Becky – zaledwie pięć drzwi dalej – świadczył, że cała reszta odreagowywała zdobycie wspaniałego materiału. Wszedł bez pukania. Zaledwie kilka migoczących świateł oświetlało całe pomieszczenie. Wosk spływał, tworząc białe kałuże na posępnym, ciemnym drewnie wschodnioeuropejskich mebli. Na ścianach wisiały mapy, napisane markerem numery telefonów i odbitki co ważniejszych zdjęć Becky. Pomiedzy nimi australijski zachód słońca, jej pierwsza fotografia.

Kaps przycupnął obok niej na łóżku. Danny leżał na szarej sofie – dralonowe pokrycie rozerwane na sporej długości odsłaniało tandetną piankę. Rachel uparła się, by siedzieć na podłodze, zupełnie jakby znała swoje miejsce w hierarchii sarajewskich dziennikarzy. Byli tam też Spinoza i dwóch australijskich kamerzystów o przezwiskach Shark i Hacker – wydawało się, że wszyscy kamerzyści w Sarajewie są Australijczykami. Wszyscy wciąż mieli na sobie ocieplacze, polary, płaszcze i puchówki, które nosili cały dzień, i puszczaali obiegiem nowego skręta. Resztki poprzednich leżały na talerzyku podwędzonym z restauracji, by służył jako popielniczka. W pokoju nieustannie kłębiła się szara chmura. Nawet Rachel, poszukując odprężenia, postanowiła palić i zaciągała się każdym podawanym jej jointem. Uśmiechnęła się sennie do Edwina. Poczł wyrzuty sumienia, że ją opuścił.

– Hej, Rachel. Jak ci poszło?

– Dzięki, wspaniale. Mam fajne wypowiedzi ze szpitala. Fajne? Fajne wypowiedzi umierających ludzi? Ciekawe, jak zareagowałyby na to Amra.

– Cieszę się, że dobrze ci poszło. Przepraszam, jakoś się... rozdzieliśmy.

Opowiedział im o młodej lekarce i co zamierza napisać. Nawet kiedy o niej mówił, ciepło powróciło.

– Gadasz jak zakochany. – Becky nigdy nie traktowała go poważnie, zwłaszcza kiedy sam się tak traktował.

– Jest wspaniała. To nie znaczy, że muszę...

– Ją przelecieć?

– Szaleć na jej punkcie – obruszył się. – Zawsze musisz być taka ordynarna, Becky? W każdym razie, jakimś cudem udało mi się spóźnić na pierwsze wydanie. Londyn powiedział, że wykorzystali materiał przesłany mailem. Chyba twój, Kaps. Pewnie i tak go woleli.

Becky zerwała się, wyraźnie nawalona jak stodoła.

– Oooo, świetny pomysł. Zobaczmy. Jaki nagłówek dałeś, Kaps?

Sprawiał wrażenie zakłopotanego. Był przekonany, że uznają tekst za sztamkowy.

– Och, nie pamiętam...

– Przestań!

– Po prostu coś takiego: „Jedenaście osób zginęło w Sarajewie, kiedy pocisk moździerzowy trafił w kolejkę po chleb”.

– Edwin?

– Nie wiem. Chyba podobnie. „Wczoraj Sarajewo było miejscem kolejnej masakry, kiedy jedenaście...” bla, bla, bla.

Rachel poczuła ulgę, że została pominięta. Becky już odwróciła się do Danny’ego.

– A teraz mistrz.

Pokręcił głową.

– To kretyńska zabawa.

– Sam wiesz, że chcesz!

– No już, gadaj, do kurwy nędzy, i ruszajmy dalej – wtrącił się Shark, który w ogóle nie rozumiał tekściarzy.

– Och, no dobra – poddał się Danny. – To szło tak: „Ejup Nezigović wcale nie potrzebował chleba, zajął miejsce w kolejce dla przyjaciela”. Proszę. Zadowoleni?

– Widzicie?! – zawołała Becky. – Geniusz. Zainteresować jednostką.

– I właśnie dlatego chcę napisać o tej lekarce. Dla odmiany coś innego, ktoś inny.

– Wzięło cię! – parsknęła szyderczo Becky.

– Nigdy nie pomyśleliście, czy taka kolejna masakra ma jakieś znaczenie dla naszych czytelników? Czemu choć raz nie powiedzieć im, jak tu jest naprawdę, pokazując kogoś, kto codziennie dociera do kresu wytrzymałości? To opowieść... no cóż, o szlachetności ludzkiego ducha.

– Zakładam, że mówimy o twojej nowej dziewczynie? – Becky upadła na łóżko, chichocząc jak szalona.

– Odwal się i skręć następnego pieprzonego jointa, co?

– Twój najlepszy pomysł tego dnia – stwierdził Kaps.

Ale tylko jeden narkotyk dawał im wszystkim prawdziwy odłot, kopa, szprycę: narkotyk zdobytego materiału, a wydarzenia tego dnia rzeczywiście zrobiły swoje. Sama marycha nie tyle ich nakręcała, ile pomagała im uwolnić się od haju, na którym już byli.

Kiedy przyjaciele pytali o Sarajewo, a oni próbowali im wyjaśnić sytuację, spotykali się ze spojrzeniami pełnymi niedowierzania. „Odłot”? Jak rzeź ludzi może dać komuś „odłot”? Właśnie dlatego ćpuny wojny wołały przede wszystkim nie zaczynać takiej rozmowy. Wiedziały, do czego doprowadzi.

Edwin sztachnął się głęboko petem starego skręta, mokrego od śliny kumpli.

– Co my tu w ogóle robimy, do cholery? Wszystko przez moich starych. Mój porąbany ojciec chciał, żebym został żołnierzem.

– A mój porąbany stary chciał, żebym pracował w jego pieprzonej firmie – oświadczył Danny.

– Mój porąbany ojciec chciał, żebym została w domu – powiedziała Rachel.

– Mój porąbany ojciec olewał, co robię. Był zbyt zajęty chlaniem i rzucaniem garnkami w moją porąbaną matkę – dodała Becky, żeby nie dać się zakasować.

Spojrzeli na Kapsa.

– A ja kocham swojego ojca. Matkę też. I oni się kochają.

– O mój Boże, to obrzydliwe – oburzyła się Becky. – Jesteś normalny!

– W takim razie, co tu robisz, Kaps? – Danny ześlizgnął się z sofy i leżał wyciągnięty na podłodze niedaleko Rachel. Zdziwiła się, że aż tak się naprał, i niczym bardziej nie mógł jej sobie zjednać. – Chodzi o to, że... no dobra, więc masz idealnych rodziców, idealną żonę i dwa aniołki, bombowe i urocze. Pierdolona domowa idylla.

Rachel przypomniała sobie, jak Danny przesłuchiwał ją na alei Snajperów. Czemu wciąż pytał ludzi, co robią w Sarajewie? Nawet marihuana nie mogła go ułagodzić.

Kaps zaciągnął się głębiej i dłużej, niż zamierzał. Skotłowało go i zostało mu zaledwie kilka chwil przytomności, zanim odjechał.

– Domowa idylla? Powiem wam, że nie ma niczego nudniejszego na świecie. – Podał skręta Becky, która leżała obok niego niemal całkowicie otumaniona. Pet wędrował między ich palcami, które splotły się na chwilę.

Nikt nie odzywał się przez jakiś czas, ale Becky wyraźnie chciała o czymś rozmawiać. O czymkolwiek.

– No to co jeszcze?

Kaps uwielbiał jej luz i spontaniczność. Pomyślał o tych niedzielnych proszonych obiadach w Brighton, kiedy czarna dziura w konwersacji wywoływała przerażenie i spanikowani goście chwyтали się najbliższego koła ratunkowego – bez-

piecznego, znajomego tematu: przestępczości, szkolnictwa i nieruchomości. Ale tutaj w Holiday Inn nikt nie martwił się, o czym będą rozmawiać. Najważniejsze to być razem.

Gadali jeszcze godzinę, dopóki nie pokonał ich sen, okrutnie przerwany rankiem tego dnia. Równie dobrze mogło to być tydzień temu.

– Sukinsyny, serbskie sukinsyny – mruzczała Becky, kiedy marycha przywoływała wspomnienia. Wtedy urwane kończyły i umierające dzieci nie mąciły jej spokoju, bo jak zawsze obiektyw był jej zbawcą, chroniący lepiej niż stara dobra Bessie. Ale teraz widziała konających ludzi, do których twarzy przysuwała aparat, napastując ich cichym zawodzeniem napędu. Narkotyki wrzuciły ją w sen o tym, że sytuacja się odwróciła i to ona stała się budzącą litość ofiarą. „Biedactwo, co za tragedia”, mówili tamci. „Nie potrafiła zdobyć odpowiedniego chłopca, ale zadowoliliby się żonatym facetem. Oczywiście, sama nigdy nie wyszłaby za mąż. Chyba że za swoje zdjęcia”. A kiedy skóra obłaziła im z twarzy, od ciała odpadały ręce i nogi, cykali jej zdjęcia, przygotowując na okładkę fotografię najkoszmarniejszej z ofiar Sarajewa.

Rachel też śniła, ale o tym, że była snajperem. Podnosi karabin wyborowy i wysuwa lufę przez okno swojej sypialni w Arlingtonie. Po drugiej stronie ulicy idzie kobieta w ciąży, niosąc torbę z zakupami, i podziwia mijane starannie wypielegnowane trawniki. Rachel uświadamia sobie, że to kobieta z masakry i że nadal kapie z niej krew. W siatce celownika optycznego widzi wydęty brzuch, a w nim płód, zupełnie jakby był częścią skanu. Delikatnie naciska spust zaskoczona, jak niewiele siły do tego potrzeba, i przyjmuje na ramię kopnięcie odrzutu. Płód eksploduje, zmieniając się w strzępy różowego ciała.

Gazeta wydrukowała wszystkie trzy tysiące słów artykułu Edwina o Amrze. Nazwali ją, ku jej sporemu niesmakowi, „Sarajewską Doktor Cud”. Prostackie, banalne określenie,

wydumane przez jakiegoś palanta redaktora, który zapewne dojeżdżał z Carshalton. Jednak artykuł najwyraźniej zwrócił powszechną uwagę – od czytelników po naczelnych. Każdy chciał lepiej poznać doktor Amrę Ismić. Edwin również.

Siedział w swoim pokoju w Holiday Inn sparaliżowany zimnem. Miał na sobie termiczną bieliznę, dwie koszule, dwa swetry i płaszcz – tyle warstw, że ledwo się ruszał. Zgubił wełnianą czapkę i całe ciepło ciała szybko ulatywało przez głowę. Żeby poprawić sobie humor, otworzył puszkę mielonki.

Przy fatalnym połączeniu przez telefon satelitarny z trudem rozmawiał z zastępcą kierownika działu zagranicznego. Jake – niezmiennie radosny facet z Yorkshire, tuż przed emeryturą – zawsze mówił konspiracyjnym szeptem, jakby się obawiał, że ktoś podsłuchuje.

– Naprawdę dobra historia. Nie uwierzyłbyś, jaka była reakcja! Cały czas dostajemy telefony i listy, ludzie chcą przekazać pieniądze, wysłać lekarstwa, przyjąć rekonwalescentów. Naprawdę, albo ty, albo ona trafiliście w czułe miejsce.

– Fajnie, że ci się spodobało.

– Kochamy twój tekst jak cholera. Masz specjalną pochwałę od samego naczelnego. Powiedział, że jego żona łkała. Wyróżnił cię na porannej naradzie. A teraz sprawa tak się przedstawia: chcielibyśmy ciąg dalszy, a nawet cały cykl o niej. Rozumiesz, *Wojna jednej kobiety*, coś w tym stylu. Tak, to dobre. Podoba mi się.

Edwin już sobie wyobrażał reakcję Amry.

– Nie jestem pewien, czy na to pójdzie.

– Posłuchaj. – Jake zaczął mówić jeszcze ciszej. Jakby przekazywał tajemnicę państwową. – Przypominam ci, że Bośnia już strasznie nudzi ludzi, mnie też. A podobno mogą na tym zarobić na chleb i masełko! Bośniacy, Serbowie, Chorwaci, bośniaccy Chorwaci... za dużo stron walczących w zbyt wielu miejscach o nazwach, których nie da się ani wymówić, ani zapisać. I wszystko trwa piekielnie długo. Za długo.

– Rany, bardzo mi przykro. Zaraz pójdę i powiem im, żeby natychmiast przestali.

– Wiesz, o co mi chodzi. Ludzie tacy jak ta twoja mała Florence Nightingale* ożywiają sprawę, uświadamiają ją ludziom.

– Nie jest żadną Florence Nightingale. Po pierwsze, to chirurg, nie pielęgniarka.

– W każdym razie idź i się z nią spotkaj, dobra? Proszę kolejne parę tysięcy słów na jutro. I zapytaj ją o cykl, dobra?

Wyłączył telefon. Nie najadł się mielonką, więc najdłuższym ostrzem szwajcarskiego scyzoryka wojskowego ukroił sobie plaster edamskiego sera. Potem zaczął golić głowę, używając zimnej, brązowawej wody ledwo cieknącej z kranu. To podziałało na niego dziwnie terapeutycznie. Jak gotowanie i modlitwy, i inne działania, które pozwalały mu jakoś dawać sobie radę. I jak nieoczekiwane zakochanie się.

Znowu ją zobaczyć. Edwin myślał tylko o tym, a teraz ktoś go poprosił – nie rozkazał – by to zrobił; dał mu znakomity powód, żeby wrócić do tej kobiety, która zaczęła pochłaniać go całkowicie.

Do tej pory traktował swoje życie niczym kawałki popsutego kalejdoskopu. Bez względu na to jak bardzo się starał, nigdy nie układały się w sensowny wzór. Co on najlepszego robił, niszcząc młode istnienia na pustyni? Kto dał mu takie prawo? A jeżeli tamte wydarzenia tak bardzo nim wstrząsnęły, dlaczego pojechał prosto do Sarajewa? Zobaczyć więcej? Chwilami ten przybrany zawód go brzydził. Bośniaccy bojownicy przynajmniej w coś wierzyli, jego natomiast nie obchodziło nic poza możliwością trafienia na pierwszą stronę. Nie mógł rozmawiać o tym z Kapsem czy Becky, a tym bardziej z Dannym, ale Amra słuchała i rozumiała, bo była taka sama.

* Angielska pielęgniarka i działaczka społeczna uważana za twórczynię nowoczesnego pielęgniarstwa; zm. w 1910 roku (przyp. tłum.).

Kiedyś, mijając ją na ulicy, mógłby nawet nie spojrzeć drugi raz na jej niezdrową, ziemistą twarz. Teraz jednak cenił jej urodę wyżej niż jakiegokolwiek modelki. Chciał tak wiele zrobić dla Amry, z Amrą. Musiał być z nią znowu natychmiast, w tej chwili, w szpitalu albo w domu rodziców, gdziekolwiek.

Brzytwa ślizgała się z gracją po jego głowie, tworząc ścieżkę w piance do golenia niczym pług w śniegu. Przesuwała się w dół po łagodnych zboczach czaszki, aż w końcu okazały się wystarczająco gładkie. Wytarł skórę do sucha małym ręcznikiem.

Kto opiekuje się opiekunami? – zadał sobie pytanie. Kto uzdrawia uzdrowicieli?

Początkowo nigdzie nie mógł znaleźć Amry. Przeszukiwał sale i zatłoczone korytarze, do chwili, kiedy usłyszał krzyk. Oczywiście, znowu była w „sali operacyjnej”.

Pielęgniarka przed drzwiami nie знаła dobrze angielskiego, ale dała do zrozumienia, że trwa amputacja – wykonała przy swojej nodze niezgrabny ruch, jakby coś piłowała. Edwin się wzdrygnął.

– Kto?

– Dziewczynka, mała dziewczynka. Nie mieć znieczulenia.

Kolejny wrzask, bardziej przerażający niż pierwszy. Przeszył go na wylot. Czterdzieści minut później drzwi otworzyły się i Amra wyszła, zrywając zielony czepek chirurgiczny. Włosy rozsypały się swobodnie. Potem zdjęła maskę. Zobaczyła Edwina i natychmiast zaczęła do niego mówić, gwałtownie wyrzucając słowa.

– Tak bardzo ją bolało. Za bardzo.

– Zrobiłaś co mogłaś.

– Czułam się, jakbym... ją torturowała.

– Ratowałam ją.

– Ma pięć lat. Nie wie, o co jest ta wojna. Dociera do niej tylko, że szalona kobieta obcina kawałek jej ciała.

Edwin widział, że nie przemawia przez nią fałszywa skromność; Amra sprawiała wrażenie kogoś na skraju załamania nerwowego. W każdym innym szpitalu na świecie zasugerowano by taktownie, żeby spędziła kilka dni w domu albo zorganizowano by jakieś konsultacje. Ale nie w Kosevie. Tutaj zawsze istniała sytuacja „wszystkie ręce na pokład”. Nieważne, jak bardzo ktoś jest wyczerpany psychicznie i że nawet zaczyna mu trochę odbijać. Jeżeli mógł posługiwać się nożem i nie drżały mu dłonie, na pewno nie pozwalano mu odpocząć.

Znaleźli na korytarzu kącik z dwoma częściowo uszkodzonymi krzesłami; zaryzykowali i siedli.

– „Po pierwsze nie szkodzić”. To z przysięgi Hipokratesa.

– Przecież nie szkodzisz; oczywiście że nie.

– Czasami myślę, że jednak tak.

– Uważasz, że ci ranni woleliby umrzeć? Czy na ich miejscu nie chciałabyś mieć kogoś takiego jak ty, jeżeli jedynym innym wyjściem jest śmierć?

– Może, ale ta dziewczynka przypomniała mi mnie samą w tym wieku. Widziałam w jej oczach siebie, mimo to myślałam przez chwilę, czy nie lepiej pozwolić jej umrzeć. Tak bardzo chciałam uwolnić to dziecko od bólu. Zrobiłabym wszystko, żeby powstrzymać te krzyki, nawet gdyby oznaczało to...

– Zabicie jej?

– Czy nie mówiłeś mi, że też to rozważałeś tam, na pustyni? W każdym razie przypuszczam, że wróciłeś, aby napisać o mnie coś więcej. Niech zgadnę, *Florence Nightingale z Sarajewa*.

– Coś w tym rodzaju – przyznał z zakłopotaniem.

Nie, przyszedłem, żeby cię lepiej poznać. Angielska natura i zażenowanie nie pozwalały mu jednak tego powiedzieć. Choć Amra właśnie obcięła nogę pięcioletniej dziewczynce bez odpowiedniego znieczulenia i oboje wiedzieli, że są na świecie gorsze rzeczy od zażenowania. Sarajewo nie pozwalało na

takie uprzejmości jak „randka” i „zdobywanie serca bez pośpiechu”. Nie było kin czy teatrów, do których można zaprosić dziewczynę, a przede wszystkim nie było czasu. W tym mieście potencjalni kochankowie mogli o zmierzchu już nie żyć.

Amra popatrzyła na niego zapadniętymi oczami. Zastanawiał się, czy jakiś chirurg zdoła kiedykolwiek usunąć z nich smutek.

– Posłuchaj, muszę wracać do pracy. Przyjedź później, kiedy już skończę.

– Ty nigdy nie skończysz.

– Dzisiaj tak. Obiecuję. Przysięgam. Niech padnę trupem, jeżeli kłamię.

Wreszcie pozwolił sobie okazać choć trochę emocji.

– Nie mów tak, Amro. Nigdy tak nie mów.

Kiedy szedł z nią od szpitala do Bessie, padało na nich światło księżyca, a sarajewskie ciemności dały zabłysnąć gwiazdom. Dygotała, więc ją zmusił, by włożyła jego gore-tex. Roześmiał, kiedy całkowicie zniknęła w wielkim okryciu.

– Dziękuję.

– Za kurtkę?

– Nie, za to że ze mną rozmawiasz. Nawet jeżeli jesteś dziennikarzem.

– Dlaczego tak bardzo nas nienawidzisz?

– Ich, nie ciebie – odparła. – Nienawidzę, bo nas wykorzystują. Jesteśmy dla nich tylko materiałem, chociaż powtarzają, że ich obchodzimy.

– Ale jest coś jeszcze?

– Okej. I dlatego, że mogą wyjechać.

– Ty też. Zabiorę cię stąd.

Wyobraził sobie, jak przewozi ukrytą w Bessie Amrę przez górę Igman, wyprowadza w pole Serbów, którzy z radością

zgwałciliby dziewczynę i zmasakrowali. Uśmiechnęła się i objęła dłonią jego dłoń zaciśniętą na dźwigni zmiany biegów.

– Wolałabym umrzeć niż opuścić swoje miasto.

– Nie umrzesz. Przejdiesz przez to wszystko i kiedy nastanie pokój, urodzisz dzieci, a one będą dumne z tego, co zrobiłaś.

Jej ulica okazała się lodowiskiem. Zwolnił, redukując biegi i delikatnie wciskając hamulec.

– Chyba chcesz z powrotem kurtkę?

– Zatrzymaj ją sobie. Mam drugą.

– Jesteś taki miły. Dajesz mi nadzieję.

Patrzyli sobie w oczy bez cienia wstydu, żadne z nich nie potrafiło wymyślić niczego, co nie mówiłoby zbyt mało lub zbyt wiele. Znowu poczuł ten zapach – jej, a nie jakichś taniach perfum – i pozwolił, by nim zawładnął. Nie mógł dłużej czekać. I tak czekał już długo. Przysunął twarz do twarzy Amry i musnął wargami jej usta. Początkowo były zamknięte, ale nie zaciśnięte, i poprzestawał tylko na tym delikatnym dotyku. Edwinowi by to wystarczyło, ale nagle, po kilku sekundach jej wargi rozchyliły się, łagodnie, magicznie.

– Ty też dajesz mi nadzieję – powiedział, gdy w końcu przestali się całować.

Następnych parę tygodni było dla Edwina najszcześniejsze w życiu. Kiedy nie pisał, wieczorami odbierał ją ze szpitala i odwoził albo odprowadzał do domu. Czasami rozmawiali do świtu, obejmując się, tuląc do siebie, całując, a każda noc wydawała się bardziej niezwykła od poprzedniej.

Amra bardzo lubiła Edwina. Był inny od pozostałych – dobry, troskliwy i umiał przemawiać wprost do jej duszy. A jednak nie mogła sobie pozwolić, by znowu oddać się całkowicie. Miała tyle pracy w szpitalu; nie wolno jej się rozpraszać. Ostatni kochanek zdominował ją i niemal zniszczył. A teraz postanowił wrócić, kiedy stanęła na nogi i znalazła sobie

angielskiego przyjaciela. To było nieuczciwe, a raczej okrutne. Biedny Edwin. Wiedziała, że powinna mu powiedzieć, ale jak w ogóle zacząć?

A tymczasem Edwin chciał jedynie zanurzyć się w miłość do Amry i nie obchodziło go, jak szybko opada na dno.

Szaleństwo zaczynało się zazwyczaj około dziesiątej rano każdego dnia. Mimo to nadal nazywali je „głupotami o piątej”, na cześć codziennych odpraw prasowych w Wietnamie, na których nieszczęśliwi amerykańscy rzecznicy usiłowali jakoś sobie radzić wbrew zdrowemu rozsądkowi: czarne było białe, śmierć – życiem, a upokarzająca klęska okazywała się krzepiącym zwycięstwem. W Sarajewie Danny zawsze powtarzał, że tym razem to nie Stany Zjednoczone, ale Narody Zjednoczone są wielkim hipokrytą.

– UNPROFOR dostarcza żywność wszystkim potrzebującym – szydził. – Strefy bezpieczeństwa są bezpieczne. Doktor Pannagloss właśnie został sekretarzem generalnym ONZ i wszystko jest najlepsze na tym najlepszym ze światów.

Pod koniec tygodnia, w którym doszło do masakry, Danny poprowadził sarajewskich dziennikarzy obok obłożonych workami z piaskiem stanowisk obronnych kwatery głównej ONZ i do schronu z salą konferencyjną. Na zewnątrz stały w rzędzie śnieżnobiałe transportery opancerzone, równie bezużyteczne w Sarajewie, jak eksponaty w muzeum wojskowym. W środku na pytania odpowiadał układny Włoch z oliwkową cerą i kozią bródką. Nazywał się Alessandro Mendini, ale Danny mówił o nim „Alessandro Mendacious”^{*}.

– No cóż, trudno precyzyjnie określić źródło detonacji – wyjaśnił Mendini po rozpoczęciu odprawy.

Dziennikarze siedzieli w ustawionych półkolem pięciu rzędach krzeseł. Danny zawsze wybierał miejsce w trzecim

^{*} Mendacious – kłamliwy (przyp. tłum.).

rzędzie, nieco z boku. Rzecznicy – a ONZ sprowadziło ich mnóstwo do Sarajewa – już się zorientowali, skąd grozi niebezpieczeństwo, i obawiali się ataków Lowensteina z Trzeciego Rzędu. Właściwie nie zadawał pytań, ale ciskał je jak ręczne granaty. Jako samozwańczy komendant Brygady Coś Trzeba z Tym Zrobić, był przywódcą partyzantki, gotowym wysadzić w powietrze wszystkie półprawdy i komunały. Jeżeli przy okazji mógł ustrzelić śliskiego rzecznika ONZ, tym lepiej.

– Przepraszam, ale czy pod słowem „detonacja” rozumie pan pocisk mózdzierzowy, który zabił dwadzieścia siedem osób?

– Pod słowem „detonacja” rozumiem detonację.

– I nie potrafi pan stwierdzić, czy to Serbowie go wystrzelili?

– Nasze badania leja są niejednoznaczne.

– Rozumiem – mruknął Danny. Czubek jego wskazującego palca wypełniał idealny dołek w zarośniętym podbródku.

– Czy mógłby pan więc rozważyć teoretycznie, kto by go wystrzelił, jeżeli nie Serbowie.

– W tej wojnie uczestniczą też inne strony.

– Czy uważa pan, że zrobiliby to Bośniacy? Sami sobie?

– Powiedzmy, że mogliby wyciągnąć z tego... korzyści.

– Hm. Korzyści. A jakie, jeśli pan łaskaw wyjaśnić? Takie, że mąż widzi żonę rozszarpaną pociskiem? Dziecko patrzy, jak jego mamie eksplozja urywa głowę?

– Doprawdy nie sędzę, by zbyt uleganie emocjom pomogło...

– Och nie, oczywiście, że nie. Zapomniałem. ONZ nie zajmuje się emocjami, prawda?

Rachel była najbardziej zapracowaną dziennikarką w sali; niczym sądowa stenografistka pilnie zapisywała każde słowo. Jako nowicjuszka w tej scenie sarajewskiego teatru nie potrafiła oddzielić ważnych rzeczy od retorycznych bzdur, więc notowała wszystko jak leci, po prostu na wszelki wypadek. Danny prawie nic nie zapisywał.

– Czy ma pan do mnie inne pytanie, panie Lowenstein? Związane z ustaleniem faktów?

– No dobrze, signor Mendini, jakich konkretnie korzyści dla Bośniaków pan się dopatruje?

– Propagandowych. Bądź co bądź usiłują doprowadzić do zniesienia embarga na broń.

– A dlaczego nie mieliby tego robić? Przez to oblężenie Sarajewo jest teraz najgorszym miejscem na ziemi.

– I tym razem pana stwierdzenie nie odpowiada stanowi faktycznemu. Według statystyk ONZ istnieje przynajmniej dziesięć gorszych miejsc pod względem poziomu niedożywienia, długości życia...

– Och, oczywiście, znaleźliśmy się w raju. Przecież Sarajewo zajmuje dopiero jedenaste miejsce.

– Przejdźmy dalej, panie Lowenstein, dobrze?

– Ostatnia sprawa. Proszę się nie obawiać, z całą pewnością chodzi o ustalenie faktu. Czy jest jakaś doza prawdy w doniesieniach, że część tutejszej misji ONZ ma zostać przemianowana na United Nations Strategic and High-Intensity Team, Sarajewo?

Mendini sprawiał wrażenie skonsternowanego, ale również zadowolonego, że tym razem z żarliwych ust Danny'ego Lowensteina padło pytanie o tak prozaiczny, biurokratyczny szczegół.

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo, panie Lowenstein, i nie brzmi to zbyt prawdopodobnie. Ale z całą pewnością dowiem się w Nowym Jorku.

– Tak, proszę. Będę bardzo wdzięczny.

W tym momencie połowa sali – ta wtajemniczona – zachichotała jak niegrzeczne dzieci, robiące kawał nauczycielowi. Dopiero później Rachel dowiedziała się, że Danny wykręcał takie numery, kiedy miał dosyć jakiegoś oenzetowskiego rzecznika: podrzucał mu dowolny wybuchowy skrót. W minionych miesiącach wymyślił UN COWARDS i nawet

UN WANKERS. W tym przypadku było to po prostu UN SHITS*.

– Cholernie fajne! – pogratulował Danny’emu Edwin. Gro-
madka ćpunów wojny wyszła ze schronu i wracała do Bessie
po skrzypiącym śniegu. Rachel przyglądała się, jak poklepują
Danny’ego po plecach, dworzanie wokół króla. Parę dni temu
nie pragnęłaby niczego bardziej niż się do nich przyłączyć.
Teraz trzymała się z dala i z pewną obojętnością słuchała ko-
lejnych propozycji nagłówków.

– Według ONZ Bośniacy mogli zmasakrować samych siebie.

– Bośniacy skorzystaliby z masakry, twierdzi ONZ.

– Nie poddawajcie się emocjom z powodu masakry, ostrze-
ga ONZ.

– Zasłużył na to – oznajmił zimno Danny, zupełnie jakby
właśnie zlikwidował przeciwnika.

Wilgotna, poranna mgła zasnęła Sarajewo jak arkusz bi-
bułki rozciągnięty między wzgórzami i drzewami. Bośniaccy
żołnierze, podobnie jak tamci, walczący nad Sommą, szyko-
wali się do nowej ofensywy, po raz kolejny skazanej na niepo-
wodzenie.

Wkrótce biegli już w górę zbocza, a kiedy mgła rozwiała
się wypalona wschodzącym słońcem, Becky zaczęła wyszu-
kiwać ich obiektywem. Zmusiła się, by wstać w środku nocy,
i oto była jej nagroda – jedno z najwspanialszych zdjęć woj-
ny. Wiedziała o tym, gdy tylko nacisnęła spust migawki. Może
znaleźć się na rozkładówce „Sterna” albo „New York Time-
sa”, a w przyszłości nawet trafić do opracowań historycznych.
Dla takich chwil żyła, kiedy na krótko stawała się jednym ze
swych bohaterów: Capą, Rodgerem, McCullinem** . Jej euforia

* ONZ tchórze, ONZ onaniści, ONZ gówna (przyp. tłum.).

** Robert Capa, George Rodger, Donald McCullin – jedni z najwybit-
niejszych fotoreporterów. Dużą część ich prac stanowiły fotoreportaże
wojenne (przyp. tłum.).

osłabła, gdy pomyślała o ludziach w tej epickiej kompozycji; oni mieli zginąć. Na dobrą sprawę, wręcz musieli, aby zdjęcia były rzeczywiście przejmujące.

Edwin obserwował natarcie przez lornetkę.

– To trochę jak my.

– Co takiego? – spytała Rachel.

– Te biedne dupki. Mnóstwo z nich oberwie, ale liczą na to, że ktoś inny zarobi kulkę.

– Ale dlaczego uważasz, że to tak jak my?

– Bo wiemy ze statystyki, że niektórzy z pismaków też nie przeżyją tej wojny, ale podobnie jak tamci faceci przekonujemy samych siebie, że jesteśmy gatunkiem chronionym. A jeżeli nie jesteśmy? A jeśli to tylko rosyjska ruletka?

Rachel wołałaby, żeby przestał tyle mówić o śmierci. Uwielbiała jego bezbronność – cóż za kontrast z Dannym – ale jednocześnie coś w nim budziło jej lęk. Był tak chorobliwie zafascynowany przeznaczeniem. Przypuszczała, że dawał o sobie znać tkwiący w nim katolik.

Kiedy wojska nacierały, w mieście zapadła nabożna cisza. Sprawiało to wrażenie, jakby popełniono straszliwy błąd – nie było żadnej wojny, hałasu, strzelaniny. Może wszyscy Serbowie wrócili do domu. Wkrótce jednak niebo rozerwał grzmot. Rakiety, pociski, odłamki cięły niczym ulewny deszcz. Rachel ukryła się obok Becky i Edwina. Kaps i Danny byli w pobliżu; razem z kamerzystą Sharkiem wysuwali głowy zza masarni, w której już dawno nie sprzedawano mięsa.

– Spójrz na nas – odezwał się Edwin. – Jesteśmy cholerycznymi lemingami trzymającymi się razem, podążającymi za sobą.

Obserwowali bitwę jak widownia filmu – zafascynowana, pożerająca popcorn. Odległe błyski i obłoczki dymu upstrzyły daleki horyzont, małe ludziki biegały tam i z powrotem. Potem eksplozje pocisków zaczęły być coraz głośniejsze, zbliżały się, aż pierwszy upadł wśród nich – rozerwał płótno wiel-

kiego ekranu i trafił w pierwszy rząd. Sami stali się aktorami albo przynajmniej statystami.

Zgrzytliwy świst. Rzucili się na ziemię. Rachel zareagowała nawet szybciej niż pierwszego dnia na lotnisku. Ciężko wylądowała w rowie, poznając smak gleby. Chyba uszkodziła sobie żebro i skręciła kostkę.

Potem nadleciał podmuch eksplozji. Uderzył w bębunki jej uszu i wypełnił płuca dymem i duszącym pyłem.

Rozejrzała się wokoło. Ktoś leżał obok, dzieląc z nią względną osłonę zapewnianą przez rów. Danny. Odezwał się do niej po raz pierwszy od imprezy CBS:

– W porządku, Rachel?

– Co? Eee... tak. W porządku. Dzięki. – Otrzeptała się poirytowana, że to jego hełm tkwi komicznie przekrzywiony na jej głowie.

Becky biegła w ich stronę.

– Ale blisko rąbnęło! Wszyscy okej?

Dym się rozwiął. Krótki rzut oka potwierdził, że nikt nie został ranny. W końcu nie powinien: byli niepokonani, nieśmiertelni. Becky znów przystąpiła do akcji: fotografowała nieszczęsną kobietę, która wzięła na siebie całą siłę podmuchu i teraz leżała na ziemi z rozrzuconymi nogami. Krew spływała z jej czoła, wypełniając szczeliny pomarszczonej skóry. Twarz zniszczona przez lata wczorajszego dnia, a potem rozszarpana na strzępy dzisiejszym szaleństwem. Kobieta mieszkała przy tej ulicy całe życie, na długo przed tym, zanim Serbowie, którzy ją zmasakrowali, przyszli na świat.

Becky zrobiła zbliżenie, umieszczając Bośniaczkę w kadrze. Nie żyje czy umiera? Początkowo nie mogła się zorientować. Nagle rozchyliły się zmęczone powieki, potem usta.

– *Tsigareta?* – zapytała cicho.

Becky zapaliła papierosa i wsunęła między drżące wargi kobiety. Wspaniałe zdjęcie właśnie stało się jeszcze lepsze – dwa jednego ranka. Shark przyłączył się do niej, filmując ofiarę.

– Więcej wojennego porno dla widzów w kraju – podsumował Edwin.

Shark odszedł, ale Becky została. Była zajęta. Sprawdzała poziom światła, ustawiała przesłonę, zmieniała aparaty, żeby na pewno mieć dużo czarno-białych ujęć. Tak właśnie fotografowali jej mistrzowie z legendarnej agencji fotograficznej Magnum i Becky miała nadzieję, że efekty jej jednego dnia pracy też mogą przebić się do historycznych opracowań i na wystawy fotograficzne.

– Becky, zejź z otwartej przestrzeni, dobra?! – wrzasnął Edwin. Doszedł w nim do głosu zawodowy oficer, najdoskonalniejszy angielski produkt. – Spierdalaj, ukryj się, ale już! – Jego zaprogramowany w Sandhurst mózg myślał tak samo jak serbskich artylerzystów: najpierw się wstrzelić, potem poprawić.

– Za chwilę – odpowiedziała, ale raczej do siebie. Zawsze podejmowała ryzyko, teraz jednak bardziej niż kiedykolwiek. Czasem zastanawiała się, czy dlatego, że ma tak mało do stracenia. Żadnych dzieci, bez męża, tylko potencjalny kochanek, z którym związek jest potencjalną katastrofą.

To ogarnęło Becky jak potworna fala; tym razem nie nadleciało gdzieś z bliska, ale od razu wciągnęło ją w swoje epicentrum, przewróciło, porwało i cisnęło, poszarpało nogę kawałkami paskudnego, brudnego, poskręcane metalu, oślepiło błyskiem, który tak jasno płonął na siatkówkach oczu, że sądziła, iż na zawsze pozbawił ją wzroku. Ale nawet teraz pomyślała przede wszystkim o swoich aparatach Eos. Już były poobijane i podrapane w czasie długich lat na wojnie, ale czy ocalały?

A potem piekący ból, najsilniejszy jaki kiedykolwiek czuła, wiertło dentystyczne w udzie. I powolne wyłączenie się świadomości, obiecujące, że ból zniknie.

Przez kilka sekund leżała rozciągnięta na ulicy, nieruchoma i poraniona jak tamta drobna, stara kobieta. Dopiero po chwili pozostali otworzyli oczy, odzyskali ostrość widzenia

i dostrzegli Becky. Rachel pierwsza krzyknęła jej imię, wybiegła i objęła zakrwawioną, zakurzoną głowę przyjaciółki.

– Och, Becky. Odezwij się do mnie. Błagam, powiedz coś.

Inni znajdujący się w pobliżu fotoreporterzy i kamerzyści też podbiegli; ukradkiem robili zdjęcia. Ranna Australijka warta była tyle co setka Bośniaczek. Rachel chciała na nich wrzasnąć, żeby nie kierowali obiektywów na brudną i zakrwawioną twarz, ale się powstrzymała. W końcu, co robiła Becky, tuż zanim została ranna?

Pojawił się Kaps. On nie miał takich oporów.

– Spierdalać stąd! Wypieprzajcie wszyscy!

Zanieśli ją do Bessie. Edwin prowadził. Już wiedział, co zrobi. Poprosi Amrę, żeby zajęła się ranną szczególnie troskliwie, bo Becky była... właśnie, kim? Kobieta z Zachodu? Dziennikarką? Kumpelką? Modlił się, żeby nie pytała o powód.

– Proszę, musisz pomóc.

Edwin znalazł ją, jak w dwóch plastikowych wiadrach niosła wodę z za szpitala. Jedno było dziurawe i przeciekało, nawet kiedy je napełniała. Dawna, skłonna do irytacji Amra odpowiedziałaby, że wszystkie ofiary są równe, ale zobaczyła w jego twarzy strach, który tak często widziała u szukających jej osób – że lada moment mogą stracić kogoś, kogo kochają.

W Kosevie panował wyjątkowy spokój: nieprawdopodobna cisza, żadnych krzyków, kałuż krwi. Lekarze i pielęgniarki chodzili, a nie biegali; mówili, a nie krzyczeli. Nawet Amra wyglądała inaczej – spała dobrze i odpoczynek stał z jej twarzy część problemów. Wkrótce jednak wszystko wróci do chorej normy – zaczną przywozić całe ciężarówki rannych z ostatniej, nieudanej ofensywy. Ale na razie Becky znalazła się w uprzywilejowanej sytuacji jednego z pierwszych pacjentów w tym dniu.

Kiedy Amra badała Australijkę, Edwin, Kaps, Danny i Rachel stali obok. Ich nadzieje i obawy spoczywały w delikatnych

dłoniach lekarki. Edwin zrobił znak krzyża na kamizelce kuloodpornej i złożył dłonie.

– Spokojnie. Będzie dobrze – pocieszyła Amra. – Kontuzja podmuchem, parę drobnych odłamków w twarzy i nodze. Dużo krwi, ale nie jest tak źle, jak wygląda.

Edwin poczuł przyływ dumy, widząc, jak pochłaniają każde słowo jej diagnozy. Podobnie jak on podziwiali szybkość i zręczność ruchów Amry, spokojny profesjonalizm kogoś tak młodego. Teraz może go rozumieją.

Tylko Danny sprawiał wrażenie zakłopotanego. Przesępował z nogi na nogę i wpatrywał się w podłogę, a nie w lekarkę.

– Dobrze się czujesz, Danny? – zapytał Edwin. -- Wyglądasz trochę blado.

– Tak, doskonale. To chyba ten szpitalny zapach. Zawsze mnie muli... środki odkażające, krew i inne rzeczy.

Edwin kiwnął, chociaż nigdy dotąd nie zauważył, by Danny miał jakąś awersję do kręcenia się po szpitalach.

Amra oczyściła i znów opatrzyła rany, a kiedy obmywała ciepłą wodą pokaleczoną twarz, pacjentka otworzyła jedno oko, potem drugie.

– Moje aparaty – wymamrotała. – Gdzie, do cholery, są moje pieprzone aparaty?

Wszyscy się roześmieli, nawet Amra i w końcu też Becky.

– Zobacz, są tutaj! – Rachel rzuciła je na koniec łóżka, powgniatane i porysowane, ale ocalone. Jak ich właścicielka, miały szczęście, że przetrwały.

– A to niezwykła doktor Ismić – oznajmił Edwin. – Mówi, że wyjdiesz z tego. Parę zadrapań i siniaków. Głupia dziewczyno, latałaś za blisko słońca. Trochę jak Ikar.

Zebrani obdarzali lekarkę ciepłymi, pełnymi wdzięczności uśmiechami. Danny oderwał wzrok od podłogi i przelotnie spojrzął Amrze w oczy. Oboje zbyt pośpiesznie, z zakłopotaniem odwrócili wzrok. Edwin dostrzegł ten moment i usiłował go zrozumieć.

– Bardzo pani dziękuję, doktor Ismić. – Becky przeżywała euforię, bo oszukała śmierć, ale podobnie jak kiepskie prochy kupione za zbyt wysoką cenę, odjazd wcale nie był tak dobry, jak mógł i powinien być. – Z drugiej strony, nie jestem pewna, czy komuś by mnie naprawdę brakowało.

Rachel przewróciła oczami.

– Och, cholera, przestań się rozckliwiać. Na przykład choćby mnie. I to jak diabli.

Ale Becky miała na myśli kogoś zupełnie innego, kto nie odważył się powiedzieć słowa, a co dopiero trzymać ją za rękę, chociaż tak bardzo tego pragnęła.

Wieczorem Kaps znów przyszedł odwiedzić Becky, tym razem sam. Twarz miała podrapaną, opuchniętą i posiniaczoną, jakby ktoś ją skatował. Zrobiła na nim wrażenie bardziej bezbronnej niż kiedykolwiek, ale zwariowana odwaga, niezmordowane poszukiwania „tego” zdjęcia nigdy nie czyniły jej bardziej atrakcyjną niż teraz. Wiedział, że Becky nie jest ideałem: mógłby krytykować jej nerwowy śmiech, którym reagowała na rzeczy zabawne albo i nie. Można by powiedzieć, że jest za duża. Można by twierdzić, że nie ma w niej nic pięknego. Ale mimo to skumulowany efekt Becky Cooper wystarczył, by zbić go z nóg, dokładnie tak jak przydarzyło się to jej dziś rano. Była lepsza i dzielniejsza niż jakikolwiek facet w przeważnie męskim świecie fotoreportażu wojennego. Nie tylko ją szanował, chylił przed nią czoło – chociaż skrupulatnie musiał to ukrywać.

– Omal nie zginęłaś, cholerna wariatko.

Uśmiechnęła się i oparła o zakrwawioną poduszkę.

– A więc jednak się troszczysz!

Popełnił błąd, przychodząc, zbyt dużo mogła z tego odczytać. W końcu był tu tylko w roli zaniepokojonego przyjaciela.

– Troszczę się o nas wszystkich. Nie chcę, żeby ktoś z naszej paczki został zabity za tę pieprzoną, kretyńską robotę.

Za bardzo ryzykujesz, Becky. Zostałaś na otwartej przestrzeni i łąziłaś tam o wiele za długo. Za żaden materiał nie warto oddać życia. Za parę lat wszyscy zapomną o Bośni, dlatego więc, u diabła, miałybyś w niej zginąć?

– Jestem najlepsza albo przynajmniej tak mi mówią, a nie robi się wybitnych zdjęć, siedząc w hotelu. Poza tym przypuszczam, że nie mam wiele do stracenia.

– Masz nas do stracenia. Masz... – zawahał się. Przekroczyć Rubikon czy trzymać się jak najdalej od tych zdradzieckich wód, wiedząc, że mogą go pochłonąć, a nawet jego rodzinę? Sekundy ciągnęły się jak minuty, kiedy patrzyli na siebie i czekali. W głowie ułożyło mu się zdanie, ale tkwiło w niej niewypowiedziane, czekając na dalsze polecenia. Dopiero, kiedy zobaczył pierwszą łzę pełznącą po jej policzku, powiedział: – Cóż, masz mnie do stracenia.

Szybko, zanim zwlekanie znów go sparaliżuje, położył dużą, silną dłoń na jej dłoniach – po raz pierwszy od czasu dyskoteki w suterenie. Becky nie zamierzała już jej puścić.

Początkowo palce delikatnie się dotykały, potem pocierały, zaciskały. Temperatura ciał rosła. Zdezorientowane umysły tętniły myślami o niewłaściwości i całkowitej słuszności tego wszystkiego.

Leżąc w zatęchłej, niepranej pościeli, nie dbała, czy w zatłoczonej sali ktoś może ich zobaczyć. W końcu przyciągnęła go do siebie, by przeżyć – była tego pewna – najcudowniejszy pocałunek w całym swoim życiu.

Tego wieczoru w restauracji Holiday Inn siedzieli razem z innymi dziennikarzami – znajomymi, takimi jak Shark i Spinoza, oraz nieznanymi – na przykład Luisem, dziarskim Hiszpanem z „La Stampy”, który właśnie przyjechał i priorytetową sprawą było dla niego zdobycie przyzwoitego drinka. Edwin kupił sześć butelek bordeaux od francuskich legionistów i opijali swoje ocalenie pod nieobecność Becky – musiała

zostać w szpitalu jeszcze kilka dni, a potem – jak dowiedziała się od Amry – prawdopodobnie przez jakiś czas będzie potrzebowała wózka inwalidzkiego. Rząd australijski chciał ją ewakuować samolotem i wszyscy się zgadzali, że tak powinno się stać – Amra, Bośniacy, a nawet Linie Lotnicze Być Może. Tylko Becky powiedziała: „Nie, zaryzykuję, tak jak ryzykują mieszkańcy Sarajewa”. Nikt się nie odważył z nią sprzeczać.

– Za nas, za Becky i za przetrwanie! – zawołał Edwin.

Każdy zapamiętał jego twarz z tego wieczoru: przystojną, beztroską, pełną życia.

– Za nas i Becky! – powtórzyli chórem jak rytualną modlitwę.

Edwin odnalazł Danny’ego i nalał mu do pełna.

– Dobrze się czujesz? Wyglądałeś kiepsko w szpitalu.

– Doskonale. Przepraszam.

– Za co?

– Nie. Nic.

– Człowieku, wykrztuś. Za co przepraszasz?

– Och, po prostu... szpitale wydobywają ze mnie wszystko co najgorsze. Przepraszam, że na niewiele się przydałem. – Znów zamilkł i wypił łyk wina.

– Czy mogę cię jeszcze o coś spytać? – odezwał się po chwili Edwin. – Ty i Amra. Widziałem, jak... spoglądacie na siebie. Spotkałeś ją już wcześniej?

Pamiętał jedno z pierwszych słów Amry – te o Holiday Inn. „Nawet nie zbliżam się do tego siedliska dziennikarzy”.

– Sądzę... Chodzi o to... – Danny zaczął się jąkać.

O wiele później Edwin przeklinał swoją ciekawość. Ciągłe powtarzał sobie, że lepiej byłoby, gdyby o niczym nie wiedział. Wtedy jednak musiał dostać odpowiedź, chociaż mogła go doprowadzić tylko do odległego, mroczniejszego brzegu.

Bagdad po wyzwoleniu, sierpień 2004

W Dubaju Camille codziennie pokonywała sto długości w klubie fitness. Pomagało jej to utrzymać w formie starzejące się mięśnie. Teraz, w klaustrofobicznych wnętrzach Hamry, z rozczarowaniem spoglądała na opuszczony basen hotelowy. Na tle wybielonych ścian woda wyglądała jak tańczący turkusowy błękit i była w Bagdadzie jedyną rzeczą, która choć trochę ją kusiała. Inni goście na pewno mieli ochotę z niego korzystać, ale trzymali się z daleka z szacunku dla Danny'ego, i o ironio, również dla niej.

Zanurkowała ze świętokradczym pluskiem. Pływała stylem grzbietowym, klasycznym, kraulem, rozcinając ciepłą jak w wannie wodę. Miała wrażenie, że zmywa z siebie wszystko. Szybko, zbyt szybko zbliżyła się do końca setnej długości i niewyraźnie uświadomiła sobie, że widzi jakiś cień. Ktoś ją obserwował, może dziennikarz, pełen dezaprobaty, że jej załoba okazała się tak krótka.

Kiedy wspięła się po stopniach i do sucha wytarła twarz ręcznikiem, zobaczyła, że to Munro.

– Och, cześć.

Była zażenowana, że stoi przed nim w kostiumie kąpielowym, i poirytowana, że facet jej przeszkadza.

– Przepraszam. Właśnie coś nam przyszło do głowy. To znaczy mnie i Harperowi, bo wiemy najlepiej. Zastanawialiśmy się, czy pani, jako najbliższa krewna, wyraziłaby zgodę na wejście do pokoju Danny'ego. Sądzymy, że pomogłoby nam to zrozumieć, po co pojechał do Al-Talhy.

Najbliższa krewna. To zabrzmiało tak, jakby ją informowano o śmierci brata. Może wkrótce tak się stanie.

– Cóż, nie jestem w pełni... – Dotąd nie przyszło jej do głowy, by wejść do pokoju Danny'ego. Czy chciałby, aby obcy

ludzie i ta równie obca mu siostra grzebali w jego rzeczach, usiłując go poznać? Byłoby to równoznaczne z włamaniem i wtargnięciem. – Tylko jeżeli mogę pójść z wami.

Pokój znajdował się na siódmym piętrze, na końcu korytarza. Camille zastanawiała się, czy Danny wybrał go celowo, żeby znaleźć się jak najdalej od innych. Wydawało się, że tak właśnie lubił: z nimi, ale oddzielnie, wspólnie, ale sam. Munro przekręcił zamek i powoli otworzył drzwi, jakby chciał maksymalnie zwiększyć efekt. Zrobiła głęboki wdech, próbując poczuć zapach brata. Ale wychwyciła tu tylko wspomnienie płynu po goleniu i wszechobecny w Hamrze odór stęchliżny. Pomieszczenie było małe, schludne i uporządkowane. Wyobraziała sobie, że pokój Edwina wygląda zupełnie inaczej – niechlujny, studencki chlew z ubraniami na podłodze i porozrzucanymi wszędzie petami.

W szafie znalazła kolekcję płóciennych koszul, przeważnie różowych lub niebieskich. Wisiało tu też kilka par gotowych do akcji drelichowych bojówek, wszystkie poplamione i wystrzępione po włóczęgach w zbyt wielu strefach działań wojennych. Przypomniała sobie małego Danny'ego w szortach, które zawsze sprawiały wrażenie za dużych.

W łazience szczotka i pasta do zębów, kilka nitek dentystrycznych, brzytwa, pianka do golenia, w połowie pusta butelka płynu po goleniu Marc Jacobs i trzy dezodoranty – wszystko starannie ustawione obok umywalki.

Wróciła i zobaczyła fotografię zatkniętą za ramę lustra nad podwójnym łóżkiem. Danny sprzed kilku lat, na jakiejś wojnie z Edwinem, Becky, Kapsem i Rachel. Trzymają się za ramiona. Danny niechlujnie nieogolony, rozczochrany, ze sterczącymi małymi kępkami. Uśmiecha się, zęby błyszczą bielą. Jest oświetlony łagodnym słońcem, przystojny i zadowolony.

Camille poczuła lekką zazdrość. Na zdjęciu przy łóżku Danny powinien być ze swoją prawdziwą rodziną, a nie tą

zastępczą. Ona, jego jedyna siostra, nic nie znaczyła w jego życiu. Ale mogła mieć pretensje tylko do samej siebie.

Na stoliku leżała wielka książka w twardej oprawie: *Historia królów Mezopotamii*, z zakładką w trzech czwartych tomu. Otworzyła ją i z dziwnym uczuciem, że jest nim, spojrzała na ostatnie słowa, które czytał. Mocno przełknęła ślinę.

Z drugiej strony pokoju Munro kręcił się koło biurka. Tam najwyraźniej Danny pisał i stamtąd wysyłał swoje materiały. Telefon satelitarny był nastawiony, laptop podłączony, a kabel od ładowarki komórki wił się na dywanie. Na blacie piętrzyły się sterty notatek o Iraku, informacje od ludzi z takich instytucji jak UNHCR czy Międzynarodowa Komisja Kryzysowa. Leżał na nich bilet powrotny na samolot do Londynu.

– Chyba znalazłem jego pamiętnik – powiedział Munro.

Już jako chłopiec Danny prowadził dziennik. Właśnie wtedy zaczął pisać na serio.

– Czułbym się niezręcznie, czytając go, ale pani jako rodzina... i w ogóle...

Hipokryta, pomyślała Camille. Nie masz oporów przed grzebaniem w cudzych rzeczach, ale kiedy trzeba czytać pamiętnik, chcesz, żeby ktoś odwalił brudną robotę za ciebie.

Przypomniała sobie, kiedy znalazła pierwsze notatki brata. Miał wtedy z siedem lat. Załedwie kilka stron w zeszycie, a na początku napis: „Prywatne – nie czytać”. Urocze. Uśmiechnęła się. Tak bardzo chciał być dorosły. Kiedy miał szesnaście lat, popełniła błąd, znajdując kolejny jego dziennik, wepchnięty na dno szafy. Ten był pełen młodzieńczego jadu i potępień jej zdrady. „Moja siostra suka”, pisał, a potem nagle: „jeżeli w ogóle jest moją siostrą”. Camille długo potem płakała.

Trzydzieści lat później znowu otwierała jego pamiętnik. Ostrożnie, jakby była w nim mina pułapka. Na pierwszej stronie widniało tylko kilka słów, napisanych ekstrawagancką kaligrafią XIX-wiecznego powieściopisarza, pełną zawija-

sów i ozdobników, wychodzących spod jakiegoś doskonałego wiecznego pióra:

„Daniel. L. Lowenstein. Pamiętniki. Tom czwarty”.

Mimo górnolotnego tytułu tekst okazał się w dużej mierze tylko zbiorem przypadkowych, codziennych myśli, czekających na przetworzenie w autobiografię. Na kartkach bez linijek Danny zapisał zdania idealnie prosto. Żadne nie biegło w dół ani w górę. Stłoczone litery, upchnięte tak ściśle i gęsto, że prawie nie było wokół nich pustego miejsca. Przypominało to czytanie książki, prawie bez skreśleń i poprawek – pisał tak, jak mówił, bez wahania czy błędów.

Camille przebiegała wzrokiem strony, trochę z nadzieją, a trochę z obawą, że gdzieś zobaczy swoje imię. Absurdalny pomysł – brat już dawno temu wymazał ją ze swojego życia. Potem szukała wzmianek o przyjaciółach, przegrzebywała muł, wypatrując nawet najmniejszych grudek złota. Z rozczarowaniem znalazła jedynie górnolotne notatki o wyjazdach do Ramadi, Kirkuku i Basry, oraz relację z właściwie nieciekawego pobytu z wojskiem w okolicach Tikritu.

Zaczęła od poprzedzającego zasadzkę pierwszego sierpnia i przeglądała stronicę wstecz. Już zaczynała się czuć zmęczona jego codziennymi dywagacjami, kiedy natknęła się na wpis z czternastego lipca:

„ZNOWU Bagdad! Koszmarny lot z Angolami z Kuwejtu przez Basrę. Nie mogę uwierzyć, że tak szybko jestem z powrotem. Może na jakiś czas po raz ostatni? Inszallah! Koszmarny upał. Nie do zniesienia. Dałem M prezenty, zaprosił mnie na barbecue do siebie do domu. Masgouf. Cudowne dzieciaki. Prawdziwy Irak. Reszta w starej kochanej Hamrze: R, B, K i E. Miło widzieć ich znowu, ale jedzenie jak zawsze do niczego. Biedny E jeszcze bardziej zmarnowany niż zwykle. Taki popieprzony i wciąż mnie nienawidzi. Nadal nie może przeboleć mnie i Amry”.

– Jest tam coś przydatnego? – zapytał Munro.

Londyn, 1994

Londyński deszcz był kiepską namiastką sarajewskiego śniegu – raczej nudny niż dramatyczny, zwykła siąpiąca niedogodność. Na ten wieczór Bessie zastąpiły dwie czarne taksówki, które powiozły ich po Park Lane zamiast aleją Snajperów.

Przed Hiltonem powitał ich portier w cylindrze i we fraku. Goście już napływali – panowie w smokingach i muszkach przypominali maszerującą kolonię pingwinów; panie włożyły powłóczyste suknie. Niebezpiecznie wysokie obcasy stąpały po czerwonym dywanie, miękkim jak gnieciony welur, a potem po polerowanej mnóstwo razy marmurowej posadzce. Mogła to być niemal gala oscarowa, ale wielkie, złote litery obwieszczały skromniejszą imprezę: „Witamy na International Press Awards 1994”. Ćpuny wojny przybyły, aby odebrać nagrody i to, co im się słusznie należało. Wchodząc do sali balowej, spoglądali na siebie w lśniących, sięgających podłogi lustrach, pławiąc się w ich odbitej chwale.

Becky już po tygodniu miała dosyć wózka inwalidzkiego. Dla każdego kto ją znał, niezwykle było nie to, że weteranka wśród fotoreporterów wojennych podpiera się laską, ale że miała na sobie białą, jedwabną suknię. Jej krwistoczerwone loki spływały kaskadą na dekolt. Nikt w sali nie wyglądał tak niesamowicie jak ona.

– Powodzenia – powiedziała Rachel. – Wiem, że wygrasz!

– Nie powinnam się tym przejmować, a jednak. Przypuszczam, że to australijski duch współzawodnictwa. Zaczyna się od dorocznych zawodów pływackich w szkole, a kończy na tych głupich nagrodach prasowych.

Danny, Kaps i Rachel znaleźli swoje wizytówki na tym samym stole, jednym z trzydziestu upchniętych z okazji uroczystości w sali balowej. Danny pochylił się nad nimi.

– Nienawidzę tego przyznawać, ale fotografia snajpera rozstrzygnęła sprawę. Oczywiście jest moralnie podejrzana, ale mimo wszystko zostanie zdjęciem roku.

Becky uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. W muszce i smokingu wyglądał jak idol popołudniówek.

– To miłe z twojej strony, ale doskonale wiesz, że jesteś tu jedyną osobą, która ma nagrodę w kieszeni. Musiałeś tylko się zgłosić.

Kaps żartobliwie odepchnął ich od siebie.

– Och, błagam. Co to takiego, Towarzystwo Wzajemnej Adoracji?

Krył się w tym bolesny dla niego podtekst. Był zwykłym korespondentem, co zazwyczaj oznaczało rozczarującą anonimowość. Nawet kiedy jego materiały zamieszczano w gazetach, bezduszni redaktorzy zastępowali jego nazwisko zwrotem „od naszego korespondenta zagranicznego”. Nagrody zazwyczaj zdobywał Danny, ale w tym roku Kaps sądził, że może w końcu zdobędzie koronę Dziennikarza Roku. Jego relację z wędrówki do kotła pod Maglaj przedrukowano na całym świecie.

– Cóż, to niewiele znaczy, ale stawiam na ciebie wszystkie pieniądze, Kaps – powiedział Danny. – No i oczywiście na Rachel. Przypuszczam, że jesteś pewniakiem do nagrody Młodego Dziennikarza.

Była zaskoczona – człowiek, który tak lekceważąco odniósł się do niej i jej marzeń, teraz ją chwalił. Podziękowała mu, ale ostrożnie i z podejrzliwością. Nie mogła uwierzyć, że w ogóle została nominowana do nagrody Młodego Dziennikarza Roku i przeszła do finału, a tym bardziej w sugestię Danny’ego. Miała szczęście, że dzięki jakiemuś nieprawdopodobnemu przypadkowi teksty z samego początku stycznia też się kwalifikowały. Becky namówiła ją, żeby przesłała relację z dnia, które spędziły z Draganem, i dorzuciła do tego kontrowersyjną charakterystykę Karadżicia. Rachel wyśmiała pomysł: „Ale to przecież

take aroganckie. Kandydować do nagrody pierwszym artykułem...” Becky powiedziała, żeby nie była głupia. „W tym interesie nikt nie da ci nagrody, jeżeli się o nią nie postarasz. A jeżeli chodzi o arogancję... cóż, wszyscy dziennikarze cierpią na tę przypadłość, więc niby dlaczego ty miałabyś się okazać na nią odporna?”

Z ich grupki tylko Edwin nie dostał nominacji. Jury uznało jego cykl artykułów *Wojna jednej kobiety* za zbyt sentymentalny.

Armia kelnerów i kelnerek przeciskała się przez wąskie luki między stolikami, najpierw serwując hurtową liczbę warzywnych tartinek, potem medaliony jagnięce z kartoflami sauté i brokułami. Edwin nadzorował zaopatrzenie w szampana. Dbał, by towarzystwo miało zawsze pełne kieliszki. Do połowy głównego dania zdążyli w piątkę opróżnić cztery butelki.

– Kelner, proszę więcej waszych najlepszych bąbelków!
– zawołał Edwin.

Konferansjerka wstała, by zabrać głos – wytworna prezenterka telewizyjna, która nigdy nie postawiła stopy w strefie działań wojennych, ale za solidne honorarium miała czytać z telepromptera tak uroczyście, jak tylko mogła.

– Po raz kolejny dziennikarze na całym świecie wykazali się wytrwałością i odwagą, relacjonując toczące się wojny, duże i małe. Dziś wieczorem część z nich otrzyma ze wszechmiar zasłużone nagrody. Najpierw jednak przypomnijmy tych, którzy zapłacili najwyższą cenę.

Światła przygasły i na wielkim ekranie pojawiały się i zniknęły nazwiska pracowników mediów, zabitych w różnych międzynarodowych konfliktach. Apel poległych z Afryki, Azji, Ameryki Południowej i z Bałkanów. Panowała cisza zakłócana jedynie przez personel proponujący kolejne tartinki i szampana.

– Dziękuję – odezwała się prezenterka, kiedy znów zapaliły się światła. Czowała ulgę, że ma już za sobą ten makabrycz-

ny fragment programu. – A teraz przejdźmy do dzisiejszych nagród.

Kaps zacisnął palce pod stołem i poczuł, jak napinają mu się mięśnie brzucha. To mogła być jedyna szansa na wielką nagrodę w całej jego karierze. Wiedział, że to absurdalne tak się tym podniecać; większość ludzi na ulicy nigdy nawet nie słyszała o International Press Awards. Ale teraz nagrody znały dla niego wszystko – uznanie ze strony równych sobie, że przynajmniej chwilowo jest nie tylko dobry, ale najlepszy.

– Wojna w Bośni zdominowała doniesienia prasowe tego roku – mówiła dalej prezenterka. – I chociaż kilku wybitnych dziennikarzy okazało ogromną odwagę, przekazując nam informacje z linii frontu, jury postanowiło wyróżnić kogoś, kto zadał sobie niezwykle dużo trudu, aby ustalić prawdę...

Kaps był pewien, że właśnie o nim mowa. Marsz do Maglaj zajął mu dwa długie dni i dwie równie długie noce. Jaki trud mógłby być bardziej niezwykły? Ludzie ostrzegali go, że to niebezpieczne, a wręcz samobójcze przedsięwzięcie, ale on musiał udowodnić sobie, że chociaż jest mężem i ojcem, może postawić na szali swoje życie tak jak Danny. Problem w tym, że nie chodziło tu tylko o niego samego. W równym stopniu też o Judith, Charliego i Toma. Czasami chętnie wrzasnęłyby do nich: „Odczepcie się ode mnie! To moje życie i jeżeli chcę zaryzykować dla zakichanej statuetki i dyplomu, dlaczego miałbym tego nie zrobić?”

Teleprompter zatrzymał się na chwilę, bo prezenterka zrobiła pełną napięcia pauzę:

– ...i kto również po raz kolejny sięgnął poza batalistykę i ostrzały artyleryjskie, aby opowiedzieć o prawdziwych Bośniakach i obudzić sumienie świata. Człowieka, który wykazał się odwagą nie tylko w czynach, ale i w słowach.

Gdy Kaps usłyszał „po raz kolejny”, zabrakło mu oddechu. Jakby ta efekciarska kobieta z telewizji podeszła i walnęła go w żołądek.

– Nagrodę Międzynarodowego Dziennikarza Roku otrzymuje... Daniel L. Lowenstein z „New York Timesa”!

Sala balowa eksplodowała grzmiącymi oklaskami. Kiedy Danny z udawanym ociąganiem odsuwał krzesło, Becky pocałowała go w oba policzki, Edwin poklepał po ramieniu i nawet Rachel na chwilę dotknęła jego ręki. Kaps uściskał mu dłoń, zmuszając się do promiennego uśmiechu. Odnosił wrażenie, że cała sala go obserwuje, by się przekonać, czy z wdziękiem i w sportowym duchu zdoła przyznać, że zwyciężył lepszy. Czasami Kaps wcale nie uważał Lowensteina za lepszego – jego dziennikarstwo bywało łzawe, z nadmiarem zbędnych emocji – prawdę mówiąc, z nadmiarem pierdół. Najczęściej jednak musiał przyznać, że sukinsyn stanowił klasę samą dla siebie. Poza tym podobno był jego przyjacielem.

Danny lawirował między stolikami, aż wreszcie dotarł do sceny. Nie potrzebował kartki ani telepromptera.

– Dziękuję państwu w swoim imieniu i kolegów pracujących w Bośni – powiedział, gdy w sali jeszcze odbijały się echem ostatnie oklaski. – Chciałbym uznać to za nagrodę nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich dziennikarzy, którzy usiłują otworzyć oczy świata na tragedię na Bałkanach, a szczególnie dla obecnych tu moich przyjaciół. Panie i panowie, przepraszam, że przeszkadzam wam w bankiecie, ale kiedy siedzimy wśród tych wspaniałości, trudno sobie wyobrazić, że nie tak daleko nienarodzone dzieci są wycinane z łona matek, ojcom trzymanym pod lufami karabinów każe się gwałcić własne córki i przybija się ludzi do drzwi miejscowych meczetów. Zaledwie parę dni temu przeprowadziłem wywiad z człowiekiem, który uszedł z życiem z obozu Omarska. Opowiedział mi, jak Serbowie kazali mu odgryźć jądra innym więźniom, a potem wykopać dla ofiar płytki grób. Gdyby odmówił, zostałby zastrzelony. Chcę oświadczyć dziś państwu, że jeżeli Auschwitz był złem, jest nim też Omarska. Jeżeli Hitler był zły, źli są Karadzić i Mladić. Gdyby mieli komory gazowe, na pewno by ich użyli.

Panie i panowie, czy rzeczywiście coś takiego może dziać się ponownie, pod koniec XX wieku? Może i dzieje się. Czy możemy przypatrywać się beczynnemu, kiedy na naszym kontynencie rozgrywają się takie rzeczy? Możemy i robimy to. Pozwólcie, że na zakończenie podzielę się z wami jedną myślą: spośród wielu zbrodni, jakich byłem świadkiem w ubiegłym roku, nie ma większej niż beczynność świata, jego nieustanna, tchórzliwa umiejętność odwracania wzroku. Gdzie nasze sumienie? Jeżeli nie odnajdziemy go szybko, w moim odczuciu nie będziemy tylko świadkami, ale współsprawcami tej tragedii.

– Cały problem w tym, że to nie jego kontynent ani nie mój – szepnęła Becky przy stoliku.

– Mój też nie – stwierdziła Rachel.

– Ani mój – dodał Kaps.

Przy sąsiednim stoliku, gdzie kazanie Danny'ego przyjmowano z zasłużoną, pełną szacunku powagą, ich chichoty skwitowano oburzonymi spojrzeniami. Kiedy skończył, całe towarzystwo jak jeden mąż wstało, by obdarzyć go brawami; nawet gwizdano z podziwem. Zawstydzając swoich słuchaczy, Danny zdołał sprawić, że poczuli się zaskakująco dobrze. To samo robił każdego dnia ze swoimi czytelnikami. Zszedł ze sceny, ściskając statuetkę wręczoną mu przez prezenterkę i od czasu do czasu podnosząc ją wysoko.

Kiedy wreszcie już wszystkie plecy zostały dawno poklepane, Danny i jego przyjaciele usiedli razem i znowu pili szampana. Przypominało to bardzo wieczory w Holiday Inn, z tą tylko różnicą, że na tę jedną noc zamienili ponury chłód na krzykliwy blichtr Hiltona. W barze na dwudziestym piątym piętrze spoglądali na rozciągającą się przed nimi okazałość Londynu i rzeczywiście czuli się w siódmym niebie. Rachel z trudem mogła uwierzyć, że podobnie jak Danny i Becky, przesuwając palcami po złotej statuetce. To najcenniejsza rzecz jaką trzymała w ręku. Jurorzy podkreślali „imponującą siłę

oddziaływania jej prozy” oraz „błyskotliwą oryginalność ujęcia tematu”. Wyróżnili artykuł o snajperze, wskazując na wyjątkową umiejętność Rachel „przedstawienia najmroczniejszych zakamarków serbskiej mentalności zwięzłym, niemal brutalnie prostym stylem”.

Danny na chwilę przysiadł obok niej na aksamitnej kanapie.

– Hej, supergwiazdo, dobra robota.

Tego baśniowego wieczoru ten moment był dla niej najbardziej surrealistyczny.

– Dziękuję. Ty też się postarałeś.

– Tak naprawdę chciałbym przeprosić. Za to, że cię oceniałem, kiedy nie powinienem. No wiesz, za tę sprawę z Karadżiciem. I za wszystko co powiedziałem, kiedy byłem wkurzony. Szczerze, nawet tego nie pamiętam, ale na pewno nie zachowałem się miło. Za bardzo się wściekam, to moja najgorsza wada, ale nie daje mi żadnego prawa, żeby...

Mówił dalej, zapewne oczekując, że Rachel zacznie mu wylewnie przebaczać. Kiedyś tak by zrobiła, ale dziś wydorosłała. Niczego nie zawdzięczała Danny’emu Lowensteinowi. Była oszałamiająca i oryginalna. Najlepsza na świecie spośród młodych dziennikarzy, przynajmniej na ten rok, ale przecież dopiero zaczyna. Świat może leżał u stóp Danny’ego, ale teraz u jej również.

– Dzięki, Danny, przyjmuję przeprosiny. A teraz wybacz, muszę iść do łazienki.

Najlepszy szampan Hiltona płynął na równi z wojennymi opowieściami. Potem były margarity, pina colady, poncze na rumie i coś zupełnie morderczego o nazwie Oscar Wilde. Wszyscy znaleźli się w stanie sympatycznego upojenia, ciesząc się świadomością, że żadna poranna masakra nie przeszkodzi im w odsypianiu kaca. Minęła już druga, kiedy Edwin bez dawno zdjętej marynarki smokingu, z rozwiązaną muszką na szyi odprowadził Danny’ego na bok.

– Danny, mogę cię o coś zapytać? – wybełkotał ledwie zrozumiale. – Pamiętasz, rozmawialiśmy wcześniej o tobie i Amrze...

Danny był jeszcze bardziej pijany. Przed przemówieniem strasznie się denerwował – nikt nawet nie podejrzewał jak okropnie – i próbował uspokoić się szybkimi kolejkami szampana. Potem ulga sprawiła, że pił dalej. Alkohol wlewany od sześciu godzin zrobił swoje, wszelkie zahamowania poleciały w przestrzeń miasta na dole.

– O tak, Amra. Urocza Amra. Odwała tam kawał wspaniałej roboty.

– A więc ją znasz?

– Pisałeś o niej, prawda? I ciągle o niej gadasz. Wciąż mówisz i mówisz. Można by pomyśleć, że jesteś cholernie pewien, że ją wszyscy znamy.

– Ale rzeczywiście poznaliście się wcześniej? O to mi chodzi.

Danny przymknął oczy, senny, ale lekko podniecony. Była w jego pokoju w Holiday Inn, nagie plecy Amry wyginały się nad nim z bezbronną, wyuzdaną rozkoszą; skrzypienie łóżka wtórowało jej jękom.

Uśmiechnął się krzywo do swojego kieliszka.

– No, pieprzyliśmy się.

To zdanie walnęło Edwina jak autobus pijaka. W jednej chwili zniszczyło cały jego świat, ale mimo wszystko szok i alkohol na jakiś czas znieczuliły ból. Próbował wmówić sobie, że to żart, że Danny jak zwykle tylko się wygłupia. Ale dobrze wiedział, co właśnie usłyszał.

Do nikogo ze świętujących na najwyższym piętrze hotelu Park Lane Hilton, u szczytu swoich karier, nie dotarły słowa Danny'ego. I nikt się nie zorientował, że przyjaźń między nim a Edwinem już nigdy nie będzie taka sama.

Część 2

12

Irak po wyzwoleniu, sierpień 2004

Cela Danny'ego ma rozmiary przeciętnej komórki ogrodowej. Według jego obliczeń, jeżeli leży na betonowej podłodze, mogłyby się koło niego wyciągnąć tylko cztery osoby, wypełniając każdy centymetr kwadratowy powierzchni. Światło jest skąpe, ale wystarczające, by mógł zobaczyć ściany. Kiedyś, dawno temu, zadano sobie trud pomalowania ich na niebiesko, ale teraz farba jest popękana, pełna pęcherzy, a na dużych przestrzeniach w ogóle zniknęła. Te nagie plamy szarości przypominają mu lądy między morzami i oceanami świata.

Pod sufitem jest dziura o średnicy pięciu centymetrów. Pozwala wślizgnąć się przepraszająco pojedynczemu snopowi światła słonecznego i Danny zaczął już na nim polegać. Dzięki dziurze jest na bieżąco z rytmem dnia – rankami, południami, zmierzchami i nocami. Na betonie widnieje plama światła, idealny krąg. W celi nie ma niczego, więc jasny punkt światła stanowi część umeblowania i w nim skupił całą motywację, by się trzymać – swoją karierę, przyszłość, przyjaciół – wszystko co jego zdaniem może przynieść mu nadzieję. W najmroczniejszym kącie złożył powody przemawiające za tym, że powinien się załamać – przerażenie, samotność, ponury nastrój.

Dają mu tylko jeden posiłek dziennie, zazwyczaj o świcie. Talerz ryżu, czerstwy chleb i kawałek mięsa; tylko raz zastygły barani gulasz, po którym się rozchorował. Jest też duży kubek wody – ma wystarczyć na cały dzień. Każdego ranka ostrożnie wypija ćwierć zawartości i zachowuje resztę na później.

Na podłodze leży cienki, poplamiony materac, ale Danny nie może długo spać, bo łańcuchy na przegubach i kostkach nóg są założone tak ściśle, że wrzynają się w skórę przy każdym ruchu. Jediną wygodę zapewnia koc. Zaskakująco miękkie. Czasami Danny przyciska go mocno do siebie.

Jest w tym samym ubraniu, które włożył tamtego ranka po prysznicu w hotelu – lnianej koszuli i spodniach khaki. Są bardzo podarte i niemal czarne od brudu i potu. Zabrali mu jego szczęśliwe buty. I zostawili go na bosaka.

Ubikacja jest piętnaście metrów dalej w głębi korytarza, ale jeżeli chce z niej skorzystać, musi krzyczeć, żeby wartownik go tam zaprowadził. To tradycyjne arabskie rozwiązanie – porcelanowa dziura w podłodze z oparciem na stopy po obu stronach. Cała trudność polega na tym, by nad nią kucnąć. Ubikacja jest częściowo zatkana i podłoga wokół niej pokryta białymi kafelkami stała się płytkim jeziorem moczu z pływającymi drobnymi kawałkami kału, którego smród przyprawia o mdłości. Kiedy stare siki obmywają otarcia na jego kostkach, martwi się, że rany zostaną zainfekowane.

Od czasu do czasu słyszy szczekające na zewnątrz psy, a nawet bawiące się dzieci. Dobiegają go zawodzenia z miejscowego meczetu i niekiedy salwy wystrzałów.

Za każdym razem kiedy pisał o porwaniach innych osób – w Libanie i Ameryce Południowej – zastanawiał się, jak dawały sobie radę z nadmiarem czasu. Ale teraz przekonał się, że nigdy się nie nudzi – nuda byłaby luksusem, którym mógłby się rozkoszować. Zamiast tego jest nieustannie przerażony, wciąż czeka, że drzwi celi się otworzą i zostanie ogłoszona jego egzekucja. Kiedy kochanki pytały go, o czym myśli, śmiał

się w duchu, bo wszystko co miał w głowie, potrafiłby sprowadzić do dwóch szeroko pojętych tematów – seksu i reportaży, reportaży i seksu. Teraz ma wrażenie, że zostały one wycięte z jego mózgu jak dwa guzy rakowe i zastąpione jednym nowym – strachem. Niekiedy to jest tępy ucisk, czasami przeszywający ból, ale dominuje nad każdą chwilą jego istnienia.

Według jego obliczeń jest dzień dziewiąty. Były to długie dni niczego, ale w trosce o swoje zdrowie psychiczne Danny liczył je, zdecydowany nie pozwolić, by czas mijał mu w niekontrolowany sposób.

Wartownik otwiera drzwi i przekręca włącznik na korytarzu. Do środka wdziera się ostre sztuczne światło. Danny czeka, aż wzrok przyzwyczai się do blasku, i widzi, że wartownik przyniósł mu śmiesznie małą dzienną porcję jedzenia: chleb, ryż i nóżkę kurczaka. Tego wartownika nazywa Blizną, bo facet ma czoło oszpecone szramą, lekko wypukłym i pomarszczonym paskiem różowej skóry. Właśnie Blizna wyciągnął go z samochodu. Jest wysoki i barczysty, wypełnia swoją potężną postacią małą celę i musi trochę się pochylać. Stawia naczynie ostrożnie jak kelner. Spokojnym, wyważonym tonem na nowo podejmuje przesłuchanie, które – jak Danny dobrze pamięta – zaczęło się w dniu czwartym.

– Dla kogo szpiegujesz, proszę? Dla CIA?

– Nie, dla nikogo. Nie bądź śmieszny. Już ci mówiłem, mówiłem mnóstwo razy, jestem dziennikarzem.

– Znaleźliśmy mapy w twoim samochodzie. Trzy mapy. Amerykańskie mapy.

Danny przypomina sobie amerykańskie mapy wojskowe w schowku na rękawiczki. Popełnił błąd, że wziął je ze sobą. „Nie zabieraj map”, powiedziano mu kiedyś w Walsingham Manor.

– Zrozum wreszcie! – krzyczy Danny. – W Iraku nie można ot, tak sobie pójść i kupić map. To że je mam, nie znaczy, że jestem szpiegiem.

Danny od wielu dni nie słyszał swojego głosu. Dobrze znowu móc rozmawiać, nawet jeżeli jedyne konwersacje to przesłuchania. „Mów do nich”, powtarzali instruktorzy w Walsingham. „Gadaj, co tylko ci przyjdzie do głowy – nawet udawaj, że masz żonę i dzieci. Mów o wszystkim, co sprawi, że trudniej będzie im cię zabić”.

– Może dla Mossadu?

– Słucham?

– CIA czy Mossad? Żyd, tak? Syjonista? Lowenstein.

Blizna wciąż mówi spokojnie, co dodaje Danny’emu nieco pewności siebie.

– Nie! Ależ skąd. Jestem Amerykaninem niemieckiego pochodzenia, a nie Żydem. To nazwa miasta w Niemczech, z którego pochodzą moi rodzice. Niedaleko Stuttgartu. Sprawdź. Słuchaj, popierałem Palestyńczyków. Przeczytaj moje artykuły o Gazie i Zachodnim...

– Chcesz coś?

– Tak. Żebyście mnie uwolnili. Siedzę tu już ponad tydzień.

Blizna śmieje się, jakby tygodnie w pełnej udręki historii jego kraju były zaledwie sekundami.

– Okej, jeżeli nie, to trochę porządnego jedzenia i wody. Ubrania, książki, radio, chcę... papierosa.

Blizna wyjmuje paczkę tanich irackich papierosów. Danny bierze jednego łapczywie i wciska go między popękane wargi, czekając na płomień zapalniczki wyjętej przez Bliznę. „Dobrze” – niemal słyszy, jak mówią w Walsingham. Skromne początki, Danny, skromne początki.

– Chcę, chcę, chcę! – wrzeszczy nagle Blizna. – A wiesz, czego my chcemy? Żeby Amerykanie wynieśli się do domu. Chcemy z powrotem nasz kraj. Śmierć USA, śmierć szpiegom, tego chcemy.

Danny czuje, jak but miażdży mu jądra. Początkowo ból się spóźnia, aż w końcu rzuca się na niego, przyprawiając

o mdłości swoją intensywnością. W półmroku celi spadają na niego kolejne ciosy, silne i dotkliwe. Pięści i stopy uderzają znikąd, zewsząd, wszędzie. Nie może już dłużej patrzeć, zaciśnięta powieki, ale nadal słyszy: stęknienia i ciężki oddech Blizny. Takie odgłosy mógłby wydawać mężczyzna zapamiętałe uprawiający seks.

Po kilku minutach Danny zaczyna sobie wyobrażać, że to Mohammed bije go i kopie. „Jak mogłeś pozwolić mi umrzeć? Jak mogłeś zostawić moją żonę bez męża, moje cudowne dzieci bez ojca?” Po chwili przyłączają się Sabeen i mała Farrah. Jej ciosy są najłabsze, ale zarazem najboleśniejsze.

– Teraz sobie zapal. – Blizna znów wyciąga paczkę i uspokaja oddech.

Danny jest stertą poobijanego mięsa. Ale z Walsingham wciąż mówią do niego: „Nie jest za późno, nigdy nie jest za późno. Ustanów więź, jakkolwiek trudne to się wydaje”. Wyciąga obolałą rękę po drugiego papierosa, a kiedy go wysuwa, Blizna łapie jego nadgarstek i pstryka pod spodem zapalniczką. Więzień wydaje zwierzęcy ryk, kiedy liżący płomień topi skórę na kłykciach. Blizna starannie przemieszcza ogień z lewej do prawej i zapalniczka staje się lampą lutowniczą. Może usiłuje odtworzyć własne oszpecenie. Odrzuca Danny’ego na podłogę, gdzie ten wije się, ściskając dłoń.

Przesłuchanie trwa nadal, jakby nic się nie stało.

– A więc kim byli ludzie w drugim samochodzie?

– Nie wiem...

Kolejny kopniak, tym razem od tyłu, prosto w kość ogonową.

– Więcej „dziennikarzy”? Więcej szpiegów?

– Na litość boską, błagam, nie mam pojęcia.

– Ty myśl, przypomnij sobie. Później wrócę i porozmawiam z tobą trochę więcej.

Blizna zatrzaskuje drzwi, zostawiając więźnia skulonego i plującego krwią. Danny stara się mieć oczy otwarte. Boi się

tego, co zobaczy, kiedy je zamknie. Jego umysł ciągle przewija do tyłu wspomnienia, z powrotem do chwil tuż przed schwytaniem go w Al-Talsze, do lat wędrówki, aż do hrabstwa Allegheny, do Pittsburgha.

Dla Danny'ego niedziela stała się nie dniem wypoczynku, ale dniem rodzinnych kryzysów. Cały tydzień trwało nerwowe odliczanie przed tą chwilą.

Kiedyś siadałby w pokoju starszej siostry, rozmawiał o szkole i przyjaciółach, czytał książki, puszczał właśnie kupione przez nią płyty: Janis Joplin, Dylana, Rolling Stoneów. Ale potem wszystko się zmieniło. Camille zawsze była w pokoju sama i starała się nie słuchać odgłosów dobiegających korytarzem. Obsesyjnie wciąż układała stos albumów pod ścianą – według artystów, potem alfabetycznie, chronologiczne – gdy w tym czasie jej ojciec i brat znowu toczyli bitwy.

Niekiedy Lukas tylko krzyczał na Danny'ego:

– Już nawet cię nie znam!

Czasami go policzkował:

– Zmuszasz mnie do tego!

Albo próbował wywlec syna z pokoju, skręcając mu skórę na przegubie.

– Zaciągnę cię tam siłą, jeżeli będę musiał!

– A cóż to za kościół, do którego wyznawców trzeba brutalnie zaganiać? – odszczekiwał się zadowolony z riposty Danny. Szydził z Lukasa. Patrzył, jak oczy ojca się rozszerzają. Teraz, gdy widział je znowu, wydawały się identyczne z oczami Blizny.

Kiedy Danny przestał być chłopcem i stał się mężczyzną, mógł odpowiadać atakiem na atak. Jako piętnastolatek miał już szczecinę na podbródku i był o pięć centymetrów wyższy od ojca. Nie bronił się jednak, bo uważał, że odniósł moralne zwycięstwo, i wiedział, że za jakiś czas zdoła jeszcze skutecz-

niej zranić ojca. Nie zaakceptuje życia, jakie zaplanował dla niego Lukas Lowenstein.

Bunt przeciwko Kościołowi stanowił jedynie odskocznię. Potem Danny zaczął kwestionować wszystko, co Ameryka robiła na świecie, a zwłaszcza w Wietnamie. Czytał i oglądał każdy materiał o wojnie i czuł wstyd. Nauczył się gardzić swoim krajem w takim samym stopniu, jak ojcem.

Wkrótce doprowadził do mistrzostwa inne formy nieposłuszeństwa i już nie tylko w niedziele ogłaszał swój sprzeciw. Do późna pozostawał poza domem i imprezował, umawiał się z dziewczynami i pieprzył z nimi, brał narkotyki, kiedy tylko zdobył na nie pieniądze. Podwędzał je rodzicom albo kradł w sklepach. Była to część jego krucjaty przeciwko kapitalizmowi.

Zaczął mówić o ojcu „Lukas”, a nie tato i jeszcze bardziej odsuwał się od niego. Nie zwracał uwagi na głos, który mu podpowiadał, że tak naprawdę chciałby być z nim bliżej, tak jak kiedyś, tak jak teraz Camille. Danny wmawiał sobie, że w jego duszy nie ma miejsca na uzalanie się nad sobą – musi być silny, z zahartowaną zewnętrzną skorupą, chroniącą go przed bólem.

– Dlaczego nie możesz być taki, jak twoja siostra? – zapytał Lukas pewnej niedzieli.

– I co, wtedy bardziej byś mnie kochał?

– Daj mi powód, żebym cię kochał, Danielu. Nigdy tego nie zrobiłeś.

W takich momentach Camille siedziała w swoim pokoju i nastawiała kolejną płytę, zazwyczaj Janis Joplin. Danny podejrzewał, że siostra lubiła ją tylko dlatego, że była głośna i zagłuszała wszystkie hałasy.

Bośnia, 1994

Po powrocie z Hiltona Edwin z wielką radością zamienił powierzchniowe rozkosze na bardziej swojskie trudy – na chłód i głód na linii frontu. Kiedy żołnierze BiH, bośniackiej armii, śpiewali przy ognisku pieśni o ojczyźnie, wtulał się w śpiwór. Grunt był kamienisty, nierówny i Edwin spał niespokojnie. Czasami leżał przez wiele godzin, wciąż myśląc o niej.

Oddział, do którego się przyłączył, usiłował przemycić broń i amunicję do Srebrenicy, jednej z wyznaczonych „stref bezpieczeństwa” dla oblężonych muzułmanów. Tak bezpiecznej, że w następnym roku zmasakrowano w niej prawie osiem tysięcy nieuzbrojonych mężczyzn i chłopców. Niektórych zastrzelono w czasie próby ucieczki, innych zmuszono, by wykopali masowe groby, gdzie następnie pogrzebano ich żywcem. Towarzyszył naprawdę silnym żołnierzom i nie miał nic przeciwko ich pieśniom. Wkrótce i tak wielu z nich zginie. Kiedy wyśpiewywali na całe gardło swoje hymny, po raz kolejny sięgnął po koszulkę Pink Floyd upchniętą w bocznej kieszeni plecaka. To była jego relikwia. Czasami, w chwilach takich jak ta, wyciągał ją i wachał tani, syntetyczny materiał tak mocno i głęboko jak mógł, wdychając zapach Amry. Oczywiście brał narkotyki – teraz nie tylko marihuanę, ale też kokainę – jednak ten skrawek tkaniny stał się dla niego najlepszą używką i od niego najbardziej się uzależnił.

Pewnej nocy, w swojej małej sypialni Amra ściągnęła i podała mu koszulkę. „Weź ją – powiedziała. – Pamiętaj o mnie, kiedy wyjeżdżasz”. Stała w czarnym staniku, bardziej kobieta niż lekarka. Podszedł, by jej dotknąć. Pozwoliła mu przesuwając palcami po liniach jej wychudzonego ciała: po kręgosłupie, łopatkach, mostku. Kołysała głową z boku na bok w rozkoszy. Czuł, że jest

zbyt krucha na seks, nie chciał jej namawiać, by się kochali. Poczekaj, aż będzie gotowa, aż sama tego zażąda. Zwlekanie uczyni to wszystko jeszcze bardziej niezwykłym. Mieli mnóstwo czasu, bo ich miłość była specjalna, odmienna, czysta. Sarajewska.

Teraz widział tę miłość inaczej. Raczej jako toksyczną. Skazoną hipokryzją. Całowaliśmy się, ale z Dannym... cóż, pieprzyliście się, prawda, Amro?

O świcie obudził się w połowie innego snu o Amrze. Leżała spleciona z nim w śpiworze, śmiała się i go całowała. Inna Amra, jej wyidealizowana wersja, zakochana tylko w nim, nieskalana. Próbował znowu zasnąć, ale ptaki za bardzo hałasowały, a światło było zbyt jasne. Kolejna najlepsza deska ratunku to kokaina – po Hiltonie kupił jej od cholery. Osobisty diler Edwina zachwalał, że jest „pełnotłusta” o wiele lepsza od zwykłej „półtłustej”. Teraz, wewnątrz śpiwora, tak by nie zobaczyli żołnierze, usypał kilka linijek na okładce notesu i wciągnął je nosem przez jedną z różowych słomek, które wszędzie ze sobą nosił. Wkrótce zawładnęły nim zmysły i znów przysunął się do niej, ocierał o jej chude ciało. Oboje nadzy i wreszcie gotowi, by się kochać. Nagle był już w niej i po chwili wytrysnął tam, gdzie Danny.

Poczuł lepką maź na podszewce śpiwora i się rozplakał.

Nad doliną wisiały chmury, kiedy Edwin i żołnierze szykowali się do czekającego ich dnia. Gdy oni gotowali jakieś śniadanie na obozowych ogniskach, Edwin ogolił sobie głowę i wymasował kremem nawilżającym. Bez niego skóra by wysychała i się kurczyła. Ten zabieg codziennie wywoływał rozbawienie wśród kompanów, z którymi wędrował, ale lubił, jak się śmieją, nawet jeżeli jego kosztem. Kto wiedział, kiedy znowu będą mogli się śmiać.

Kiedy skończył, stanął nad rzeką płynącą przez las, trzymając w ręku koszulkę Amry. Nagle podniósł ją nad świeżo ogoloną głowę, jakby chciał rzucić w pędzący nurt. To byłaby

dla Amry kara, mimo że nie wiedziałyby o niej, podobnie jak o swojej rzekomej zbrodni. Tylko on przegra.

Upadł na kolana na kanciaste kamienie, które nie pozwalały mu spać dłużej niż kilka minut, nie zważając na przeżywający ból. Skulony i rozdygotany znowu się rozplakał, tym razem z nieutulonym żalem. Ludzie wokół właściwie nie zwracali na niego uwagi. Na tej wojnie każdy musiał radzić sobie z własnym gównem.

Edwin starał się usunąć Amrę ze swoich myśli dokładnie tak samo, jak Serbowie próbowali unicestwić swoimi czystkami etnicznymi muzułmanów – systematycznie i metodycznie. Kiedy jego życie było najbardziej zagrożone, niemal mu się udawało. O wiele częściej jednak ponosił klęskę i ostatecznie kończyło się to wachaniem koszulki, a potem wciąganiem kolejnej porcji „pełnotłustej” koki.

Wiedział, że przypisywanie jej winy jest niesprawiedliwe i to wcale nie tak, że nie chciał znowu znaleźć się przy niej blisko. Po prostu fizycznie nie mógł tego zrobić, nawet jeżeli to miała być tragedia jego życia i może również Amry.

Podobnie nie potrafił znieść towarzystwa Danny’ego. Nie rozmawiali od tamtej nocy w Londynie i Edwin nie miał pojęcia, czy Lowenstein w ogóle pamięta swoje pijackie wyznanie, a tym bardziej czy go żałuje. Edwin dręczył się dodatkowymi pytaniami, które chciałby zadać. Kiedy i jak się to zaczęło? Czy cię kochała? Czy jest bardzo dobra? Dlaczego mi nie powiedziała? Dlaczego ty nie powiedziałaś?

Edwin nie był w stanie wrócić do Sarajewa, chociaż w tym mieście zostało jego serce. Redakcja zaczęła się denerwować, że jego tam nie ma, i kiedy w najsamotniejszym pokoju hotelu Tuzla zadzwonił telefon satelitarny, Edwin wiedział, że to rozkaz powrotu do domu. Znajomy, łagodny szept Jake’a popłynął łączem z Londynu.

– Zastanawiamy się znowu nad Sarajewem, drogi chłopcze.

– Tak? Wiecie co, dość dobrze się tu usadowiłem. Wiercie mi, Srebrenica stworzy historię tej wojny.

Jake usiłował być taktowny.

– Może kiedy indziej. Po prostu mamy wrażenie, że trochę zaniedbujemy Sarajewo. Przecież co wieczór mowa o nim w tej cholernej telewizji i siedzi tam cała konkurencja. Agencyjne kawałki na jakiś czas są w porządku, ale sam rozumiesz, że to nie to samo co solidny materiał. Poza tym, co się z tobą dzieje? Najpierw z trudem cię stamtąd wyciągnęliśmy, a teraz nie możemy cię zmusić do powrotu.

Niechętnie, dąsając się, Edwin pogodził się z porażką. Jak dowódca pokonanej armii zaplanował swój odwrót do Sarajewa.

Dziewczyny grały w jadalni w Travel Scrabble, kiedy wszedł do środka – powracający syn marnotrawny. Wysuszone resztki niedojedzonych sadzonych jajek zastygały na ich talerzach pod krzepnącą warstewką tłuszczu. Na obrusie walały się nadgryzione kawałki czerstwego chleba, a ciesząca się jedynie miernym zapotrzebowaniem kawa była już wystygła. Nie miało to jednak znaczenia. W Holiday Inn śniadania były raczej okazją do spotkań niż posiłkiem.

– Ach, moje uroczę wiedźmy.

– Edwin! – wrzasnęły jednocześnie Becky i Rachel.

– Gdzie się podziewałeś? – domagała się wyjaśnień Becky.

– Brakowało nam ciebie. – Na dowód tego zerwała się i uściśnęła go z całej siły.

Po raz pierwszy pożałował swojej nieobecności. On też za nimi się stęsknił. Zauważył, że nawet po kilku tygodniach, od kiedy widział je po raz ostatni w Londynie, zmieniły się, zwłaszcza Rachel. Debiutantka w strefie działań wojennych wyglądała, jakby siedziała tu całe życie. Postarała się o pełny sarajewski uniform – wełnianą czapkę, obszerną kurtkę Goreteksu, taką samą jaką miała Becky, buty Timberland. Jej

promienne oczy wydawały się bardziej zmęczone – zaczęła pozbywać się swojej naiwności jak wąż skóry.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie widziałyśmy cię od Hiltona – powiedziała Rachel z wyrzutem. – Mój Boże, to była rozpušta! – W każdym razie, niewiele straciłeś. Wciąż to samo – dodała uspokajająco.

Najgorsza masakra w Sarajewie – kiedy na miejskim bazarze zginie sześćdziesiąt osiem osób – miała nastąpić dopiero za kilka dni. Rzeź kolejki po chleb była tylko próbą generalną.

– Dobrze cię widzieć, Edwinie. Cholernie, cholernie dobrze. – Becky znów go uścisnęła.

Tym razem – ku jej zdumieniu – obejmował ją tak mocno, że nie mogła się uwolnić.

14

Irak po wyzwoleniu, sierpień 2004

Danny pielęgnuje poparzoną rękę i poprzez ból myśli o ludziach, których skrzywdził w różny sposób, umyślnie bądź przypadkiem. Zmusza się do zastanawiania nad wszystkimi swoimi ofiarami. Są jak jego skóra, w pęcherzach i ropie; są raną, na którą wolałby nie patrzeć, ale czuje, że powinien.

Biedna Amra. Wciąż pamięta, kiedy się w nim zakochała. Poszedł do kostnicy Koseva na pierwsze ze swoich makabrycznych podsumowań liczby zabitych. To były początkowe miesiące wojny w 1992 roku. Dopiero zaczęła operować. Była zszokowana i bezbronna. Danny zaproponował jej whisky i może trochę marychy w Holiday Inn. „Wierz mi, musisz się trochę wyluzować”.

Najpierw marihuana – dostarczona, o ironio, przez Edwina – po której tylko chichotała. Usiedli razem na łóżku w pokoju 339 i rechotali, potem położyli się i ostatecznie, tuż przed północą zaczęli się kochać. Dla Amry to była droga ucieczki przed otaczającym ją bólem, przebłysk innego świata, gdzie wciąż istniała przyjemność dla przyjemności.

Pieprzył ją, kiedy ledwo wiedziała, co się dzieje. W czasie kilku następnych tygodni spał z Amrą jeszcze kilka razy. A potem ją rzucił. W recepcji Holiday Inn przyzwyczajono się do młodej, ładnej lekarki. Przychodziła co drugi dzień i zostawiała liściki. Pisała, że jest w nim beznadziejnie zakochana. Małe karteczki układały się w stosy. „Proszę, czy moglibyśmy się spotkać, choćby jedynie na gęstą, aromatyczną kawę po turecku i burek*”. „Proszę”, czy mogłaby tylko z nim porozmawiać? Nie odpowiedział na żaden list. Recepcjonistki tylko kręciły głową, widząc, jakie to smutne.

Dlaczego więc nie potrafił ponownie jej zignorować, kiedy dwa lata później zaczęła spotykać się z Edwinem? Dlaczego nie cieszył się szczęściem ich obojga? Jaki perwersyjny instynkt kazał mu zapragnąć jej znowu, jakby stała się inną, nagle bardziej atrakcyjną kobietą? Edwin. Dobry, cudowny Edwin. Dlaczego Danny musiał próbować odbić mu Amrę, jak rywal z romansu? I co ostatecznie zyskał, poza całkowicie czczą satysfakcją – nie była to nawet kolejna błyskotka z Hiltonu, po prostu kolejne ciupcianie.

Oparzona przez Bliznę dłoń znowu go boli i przychodzi kolejna fala nudności. Czy może to być gorszy ból niż tamto cierpienie Amry? Czy może być większy niż Edwina?

* Cieniutkie ciasto przekładane farszem mięsny lub warzywnym (przyp. tłum.).

Sarajewo, 1994

Edwin skrzętnie unikał szpitala Kosevo, tak jak poprzednio unikał samego miasta. Trudniej było nie zwracać uwagi na Danny'ego, ale udawało mu się ograniczać kontakty z nim do minimum; od czasu do czasu mruknąć „cześć” lub niechętnie kiwnąć głową, kiedy mijali się w korytarzach hotelowych lub restauracji. Pozostali nie rozumieli, dlaczego Edwin traktuje go tak chłodno.

Sarajewo też się zmienio. Następną masakra, w której zginęło na bazarze sześćdziesiąt osiem osób, stała się punktem zwrotnym. NATO w końcu zrobiło to, czego domagał się Danny, i zagroziło nalotami, a Serbowie z ociąganiem wycofali ciężką broń. Najpierw jednak przypuścili kolejny atak. Nie potrafili się powstrzymać.

W dniu, kiedy to się stało, niebo było zachwycająco błękitne, a powietrze przejrzyste, jak się zdarza w górach. Dziennikarze przyszli na „głupoty o piątej” ubrani w swoje pancerze. Wyglądali niczym pluton wojska, kiedy wbiegali w obłożone workami z piaskiem i oplecione drutem żyłkowym wejście do obozu ONZ, by znaleźć w nim schronienie. Nawet układny Alessandro Mendini sprawiał wrażenie wstrząśniętego, kiedy próbował przedstawić im najnowsze posunięcia dyplomatyczne, a jego meldunki o systematycznych postępach co i raz przerywał budzący scepocytyzm huk.

Godzinę później, kiedy się ewakuowali z konferencji prasowej, Kaps usłyszał, jak kilku oenzetowskich żołnierzy w niebieskich hełmach rozmawia o Kosevie. Przyszła wiadomość, że szpital został trafiony pociskiem. Kaps przekazał ją Becky, która powiedziała Rachel, a ta poinformowała wszystkich pozostałych. Edwin dowiedział się ostatni. Zatrzymał się, aby porozmawiać z Mendinim poza protokołem.

– Ed, słyszałeś? Trafili w Kosevo! – zawołała Becky, gdy wyszedł z sali. – Powinniśmy tam podskoczyć. Jeżeli to prawda, fatalnie dla Serbów.

Edwin już przepchnął się przez tłumek, wymijając zwłaszcza Danny’ego Lowensteina, wskoczył do Bessie i pojechał do szpitala szybciej, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się w Sarajewie.

Wiedział już wszystko, gdy znalazł się w odległości kilku przecznic. Z daleka widział dym. Podjechał bliżej i zobaczył przed sobą scenę absolutnego szaleństwa. Oszołomieni, ocalali ludzie błakali się chwiejnym krokiem, a ci, którzy musieli udzielać pomocy, aż zbyt łatwo weszli w znane role sanitariuszy i kierowców karetek. Ale dokąd zawozić ofiary, skoro sam szpital leży w gruzach? Gdzie znaleźć pielęgniarki i lekarzy?

Kiedy przedzierał się przez stosy wciąż dymiących gruzów, narastało w nim złe przeczucie – że gdzieś w tych ruinach leży jego święta.

Tylko nie moja Amra.

Tylko nie zanim wyjaśnię, dlaczego wyjechałem i nie wróciłem.

Zanim nie pocałuję jej jeszcze raz.

Zanim nie będę się z nią kochał. Jak kiedyś Danny.

Kobieta – pielęgniarka albo matka pacjenta – zawodziła i biła się w piersi. Edwin miał ochotę robić to samo, ale doszedł w nim do głosu brytyjski oficer. Przyłączył się więc do kilkunastu Bośniaków przekopujących zwały gruzów, by dotrzeć do sutereny. Poszukiwania ocalałych dały Edwinowi, podobnie jak im, niemal nadludzką siłę. Wyszarpywał palcami całe bryły rozbitej ściany. Dłonie mu krwawiły.

– Amra? Amra Ismić? – zapytał brodatego ochotnika, równie zapamiętałe ryjącego w gruzach. Mężczyzna miał twarz i ręce białe od wapiennego pyłu, jakby ktoś wysypał na niego worek mąki. Wzruszył ramionami: życie to życie, nieważne nazwisko.

Po dwudziestu pięciu minutach przebili się do fragmentu korytarza odciętego zwałami betonu. Wszyscy kaszleli od wdychanego dymu i kurzu, ale nic nie mogło powstrzymać rozpaczliwych krzyków Edwina:

– Amra! Amra!

Wszedł za innymi ratownikami w gęsty mrok i znalazł grupkę uwięzionych ludzi – pacjentów i personel medyczny. Niektórzy cudem nie odnieśli żadnych obrażeń, inni byli koszmarnie poranieni.

– Amra!

Nigdzie jej nie było. Może miała dzień wolny. Nie, durniu! Amra nie miała dni wolnych.

– Amraaa! – Tym razem już nie krzyczał jak ratownik czekający na odzew, ale wył.

Znalazł ją dopiero po następnym kwadransie. Błądząc w ciemnościach jak ślepy, całkiem się z nią minął. Już została wyniesiona z ruin ukochanego szpitala i leżała ledwo przytomna na tyłach budynku, blisko miejsca, z którego nosiła wodę. Jedyne widoczne ślady obrażeń to krew kapiąca z uszu. Podziękował Bogu, ale dwie minuty później zaczął go przeklinać. Wewnętrzne obrażenia, oczywiście – Amra skrywała swoje rany przed światem.

Powtarzał jej imię raz za razem, jak zaklęcie.

– Czemu tak długo? – szepnęła, kiedy rozpoznała, kto stoi nad nią z brudną twarzą.

Ukląkł i ujął jej delikatną i chudą rękę, ściskając bardzo mocno, jakby chciał ją zgnieść.

– Och, moja Amro, tak bardzo cię przepraszam.

– Przepraszasz? Za co? – Zamrugęła. Kurz drażnił oczy.

Zamiast odpowiedzieć Edwin krzyczał, wzywając lekarzy. Żaden inny poszkodowany nie mógł być ważniejszy od Amry.

– Daj spokój. Już im powiedziałam, że mam niski priorytet. Zobacz. Nie jestem ranna.

– Ale Amro, ty...

Pokręciła głową. Wiedział, że nie ma sensu z nią dyskutować. Jak często w szpitalu Kosevo, tak i teraz dokonała selekcji i zdecydowała, kto powinien żyć, a kto umrzeć. Wybór wydawał się prostszy niż zazwyczaj, bo tym razem to ona była pechową przegraną, a nie jakieś biedne, oszołomione dziecko. Przynajmniej uniknie rozdzierającej serce rozmowy z krewnym i mdlącego poczucia winy. Niemal czuła ulgę.

– Amro, pozwól, że cię stąd zabiorę. Mogę cię zawieźć do ONZ. Mają tam paru naprawdę świetnych lekarzy.

– My też mamy tutaj naprawdę świetnych lekarzy – wymamrotała ze zmęczonym uśmiechem. – Najlepszych.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, tuląc w ramionach głowę Amry, obsesyjnie gładząc jej włosy w nadziei, że już samo to może ją jakoś uleczyć. I nawet wśród duszącego kurzu wychwycił jej zapach, narkotyk, którym żył od tak dawna.

Wciąż wpatrywał się w oczy ukochanej, pilnując, czy się nie zamykają. Odpędził już od siebie wszelkie myśli o zbrodni i karze, i bez zakłopotania obnażał swoją miłość do Amry. Powinien to zrobić dawno temu. Czy nie powtarzał sobie, że trzeba łapać każdą chwilę? Czy nie ostrzegał sam siebie, że w tym przeklętym miejscu nie ma czasu na zabawę w zaloty?

Amra patrzyła mu prosto w oczy i też niczego nie udawała. Dziwne, pomyślała. Dawno temu nawet chętnie porzuciłaby to wszystko, chaos i jatki, ale teraz kiedy spotkała tego Anglika, takiego łysego, ale zarazem przystojnego i łagodnego, chciała zostać. Odnalazła go i powoli się w nim zakochała. Ich oboje absorbowowała śmierć i pragnęli wyrwać się spod jej władzy. Pomagało, kiedy mogli o tym pogadać.

W Dannym się zadurzyła, uczucie do Edwina było inne – nie tak obsesyjne, raczej delikatne, dyskretne. Ale wtedy on zniknął bez słowa wyjaśnienia. Nawet nie napisał żadnego listu. Oczywiście to wszystko przez nią, zawsze ona była winna.

Brakowało jej Edwina ponad wszelkie wyobrażenie i zdawała sobie sprawę, jak bardzo potrzebuje ich rozmów pod

koniec każdego dnia koszmarów. Uspakajał ją, pomagał jej dalej funkcjonować. Odszedł, ale teraz wreszcie wrócił i chciałaby... chciałyby...

Zgodnie z muzułmańskim zwyczajem pogrzeb Amry odbył się w nocy. Na Cmentarzu Lwów, niedaleko jej domu, w miejscu, gdzie jak zawsze uważała, zostanie pochowana. Ćpuny wojny zebrały się wokół grobu. Przyszli, bo pamiętali, co doktor Ismić zrobiła dla Becky, a przede wszystkim chcieli wesprzeć Edwina. Nie mogli zostawić go samego. Już wcześniej zdarzało im się opłakiwać przyjaciół, ale nigdy nie widzieli, by któregoś z nich żal tak załamał.

Kobiety nie miały prawa uczestniczyć w muzułmańskim pogrzebie, ale nikt nie powstrzymał Becky i Rachel. Jako osoby z zewnątrz, najwyraźniej się nie liczyły. Obejmowały Edwina za ramiona, obawiały się, że w przeciwnym razie upadnie do otwartego grobu. Przy akompaniamencie odległego dudnienia artylerii imam wyśpiewywał modlitwy. Edwin pomyślał, czy nie dołączyć do niego ze swoimi modłami, ale nagle znienawidził Boga, tak samo jak Danny. Cała jego wiara umarła wraz z Amrą.

Kiedyś Cmentarz Lwów był parkiem zaledwie z paroma mogiłami, ale teraz i on został zmobilizowany. Kraj go potrzebował, tak jak młodych ludzi z miasta. Ziemię bezustannie przekopywano, aż wkrótce zaczął przypominać zaorane pole. Problem polegał na tym, że cmentarz z rozrastającymi się zagonami sześciokątnych drewnianych kolumnienek upamiętniających muzułmańskich zmarłych znajdował się na otwartej przestrzeni. Żołobnicy często musieli kryć się za świeżo usypanymi stertami ziemi albo nawet wskakiwać do wykopanych dołów. Na pogrzeb Amry ćpuny wojny założyły hełmy i kamizelki kuloodporne. Stali na poświęconej, ale śmiertelnie niebezpiecznej ziemi. Nawet tutaj Amra Ismić nie mogła znaleźć schronienia przed Serbami. Nie było to miejsce, gdzie się spoczywa w pokoju.

Na ziemi leżał kawałek drewna, który miał ją upamiętnić. Wypisano na nim piórem jedynie: „Amra Ismić, 1972–1994”. Była owinięta w białe prześcieradło i gdy zaczęły spadać na nią łopaty wilgotnej ziemi, każda gruda uderzała z głuchym łupnięciem. Żałobnicy modlitewnie spleli dłonie. Edwin zerknął do tyłu. Danny stał z zakłopotaniem za ich plecami, nie wiedząc, gdzie skierować swoje spojrzenie winowajcy i czy w ogóle powinien tu przychodzić. Przeszłoby z nogi na nogę jak tamtego dnia w szpitalu.

Ojciec i przyjaciele Amry skupili się wokół Edwina, jakby był – on, który ledwie ją znał – pogrążonym w smutku i potrzebującym pociechy mężem. Ze względu na nich starał się być opanowany. Ale kiedy do dołu spadły ostatnie garście ziemi, gdy położono na grobie kwiaty, nastąpił moment, w którym należało wbić deszczuikę z nazwiskiem. Każde uderzenie młotka odbijało się echem od wzgórz jak trzask wystrzału snajpera i tego Edwin już nie wytrzymał. Upadł na kolana, wcisnął pięść do ust i przygryzł jak knebel. Ale nawet to nie zdołało powstrzymać jego krzyku. Straszliwe, przenikliwe wycie słychać było na całym cmentarzu i dużo dalej.

Przez moment wydawało się jedynym dźwiękiem w Sarajewie. Odgłosem, który na chwilę zatrzymał wojnę, a wszyscy słuchali tego cierpienia.

16

Irak po wyzwoleniu, sierpień 2004

Blizna wchodzi do celi z workiem przewieszonym przez ramię. Danny zastanawia się, czy jest w środku jakieś średniowieczne narzędzie tortur, ale facet wyciąga pomarańczowy kombinezon.

Ma ze sobą dwóch oprychów – jeden porusza się energicznie, drugi jest smętny, spogląda szklanym wzrokiem. To chyba Abu Hamid i Abu Ibrahim, ale dla wygody – w dziwnym świecie skołowanego mózgu – Danny nazywa ich Szybki i Wolny. Razem z Blizną wciskają go w kombinezon. Danny jęczy, kiedy zamek błyskawiczny zahacza o papkowatą tkanę oparzenia. Wielka kopuła pęcherza pękła. Teraz rana jest żółta i ropieje.

– Zamknij się, Amerykaninie! – krzyczy Blizna.

Jego akolici podchwytyują motyw:

– „Śmierć Ame-ryy-kanom. Śmierć Ame-ryy-kanom!” – Po kolei pluja Danny’emu w oczy, potem nakładają mu ten sam śmierdzący kaptur, w którym został przywieziony. W końcu wyprowadzają więźnia z celi, idą z nim korytarzem. Potyka się jak ślepiec, zdezorientowany, bez poczucia równowagi.

Kiedy zrywają kaptur, znajduje się w innym pokoju, większym i jaśniejszym od celi. Dostrzega kamerę wideo na czarnym statywie. Na ścianie wisi liliowa płachta z arabskim napisem, zapewne jakimś sloganem. Jest tu czterech innych bandziorów. Zaciskają pięści i z podnieceniem machają kałasznikowami. Na twarzach mają maski narciarskie lub kominiarki. Stoją przy krześle, na którym – jak przypuszcza Danny – każą mu usiąść.

Przebiega wzrokiem pokój, szukając jakiegoś miecza czy noża, główki, której się boi. Może Blizna w decydującym momencie wydobędzie ją teatralnym gestem, bo na pewno to on zostanie wyznaczony na kata. Nikt inny nie dostanie tej fuchy.

Danny jakąś cząstką siebie odnosi wrażenie, że już przeżył swoją śmierć, przy blokadzie na drodze. Nie możecie mnie zabić, bo umarłem wcześniej. Jestem trupem. Dłonie drżą mu gwałtownie. Ma nadzieję, że do tej pory wyczerpał swoje zasoby lęku, ale się myli – są nadal. Podejrzewa, że zawsze były.

Blizna popycha go na krzesło. Danny wciąż czeka, kiedy pierwszy błysk stali przykuje jego wzrok.

– Ty mów do kamery – żąda Blizna. – Że traktujemy cię dobrze. Że Amerykanie muszą wyjść z Iraku, Bush musi ocalić twoje życie. Bez sztuczek, bez szyfrów. Bez tajnych wiadomości dla CIA i Izraela. Okej?

– Okej, Okej, co tylko chcesz. – Danny’ego ogarnia ulga. Jednak nie zamierzają go zabić, w każdym razie nie teraz. Jego śmierć nadal może być nieunikniona, została jedynie odroczone. Zadziwiające, jak niewielkie tryumfy czasami świętują ludzie.

Z entuzjazmem wypełnia każde polecenie. Nawet próbuje się uśmiechać do Blizny, ale w odpowiedzi widzi tylko gniewny grymas. Jeden z pomagierów włącza małą, zadziwiająco nowoczesną, srebrną kamerę Sony. Danny zastanawia się, zupełnie bez sensu, gdzie ją kupili i za ile.

Dokonuje rytualnego oskarżenia swojego kraju, jego głos przedostaje się przez tunel brakujących zębów i pokrytych zakrzepniętą krwią warg. Mimo to wygłasza tekst z wielkim przekonaniem, zupełnie jakby rzeczywiście mogli ocalić mu życie, a prezydent istotnie był w stanie wycofać wojska z Iraku – tylko dlatego, że ten konkretny zakładnik powiedział, żeby tak zrobić.

Danny oczyma wyobraźni widzi swoich rodziców oglądających go w wieczornym dzienniku telewizyjnym. Co pomyśli ojciec? Czy będzie mu przynajmniej przykro? A co z Camille, czy pożałuje ich lat przeżywanych osobno?

Wyobraża sobie resztę dziennikarzy: patrzą na film w Bagdadzie i zastanawiają się, czy pewnego dnia im też się to przydarzy. Rachel, Becky, Kaps – czy będą go opłakiwać przez jakiś czas, a potem zapomną z nieprzyzwoitym pośpiechem? A Edwin, który ma tak doskonały powód, by go nienawidzić – czy uśmiechnie się do siebie z cichą satysfakcją?

Potem Sabeen i jej dzieci. Pewnie powie im: „On nadal żyje. Nie jak mój biedny Mohammed, wasz biedny ojciec”.

Danny kończy mówić, co chcieli. Wciąż nie jest pewien, czy zbiry nie rzucą się na niego i nie złożą krwawej ofiary Allahowi. Jednak tylko wyłączają kamerę, znów nakładają mu

kaptur i odprowadzają do nory. Nogi prawie odmawiają mu posłuszeństwa, więc wartownicy wloką go przez ostatnich kilka metrów.

Kiedy z powrotem znajduje się w celi, wie, że dzień dobiegł końca – mała plama światła zniknęła.

W apartamencie prezydenckim rozległa się upiornie radosna *Dancing Queen*. Na ekranie telefonu Becky pojawił się napis: „Adi”.

– Hej Becky! Jak się macie?

Właśnie wróciła z łazienki, gdzie połknęła kolejną garść pigułek. Nigdy nie była mniej usposobiona do prowadzenia pogawędki.

– W porządku, dzięki. Jakieś wieści?

– Tak i chyba dobre.

Wyprostowała się gwałtownie. Czemu od razu nie przeszedł do rzeczy? Niemal czuła w słuchawce jego cuchnący oddech i odór ciała. Była wdzięczna, że przynajmniej zadzwonił, a nie przyszedł. Boże, ale obrzydliwy facet.

– Kochanie, mamy pewne sygnały świadczące, że Danny żyje – oznajmił po dramatycznej pauzie. – CIA uważa, że Al-Dżazira dostała nagranie wideo. Podobno jest na nim Danny błagający o życie.

Kochanie? Jakim prawem nazywa ją „kochanie”? To wstrętne, że gość wykorzystał wagę tej informacji, by się do niej umizgać. Postanowiła, że na razie tego nie skomentuje, ale po wszystkim rzuci mu prosto w twarz, że jest pierdolonym dupkiem.

– Słuchajcie – ogłosiła Becky. – Wygląda na to, że Danny żyje!

Zerwali się i zaczęli obejmować, ściskając się z całej siły. Danny powstał z martwych. Odroczenie mogło być chwilowe, porywacze gdy tylko zapragną, wykonają pokazową egzekucję, ale teraz przynajmniej istniała szansa. Niewielka, ale jednak.

– Może ucieknie. – Rachel wskoczyła na niski stolik i usłyszała, jak przydymione szkło trzasnęło pod jej ciężarem. – Albo wyślemy Delta Force i go uratujemy. Albo wykupimy. Jezu, wpakowaliśmy już biliony dolarów w tę katastrofę, kilka więcej nie robi różnicy.

Przez parę oszałamiających minut wszystko wydawało się możliwe. Po tak wielkiej rozpaczynie tylko nadzieja miała sens.

Telewizor w apartamencie prezydenckim odbierał koszmarne i widzieli na ekranie rozmazany, podwójny obraz. Pojawił się Danny w otoczeniu zbirów w maskach – dwóch z nich niepotrzebnie celowało z broni w jego głowę. Za nimi znajdował się czarny transparent, na którym – jak się później dowiedzieli – napisano „Miecze Allacha”. Cholera, nazywali się, jakby byli jakąś rockową kapelą. Danny sprawiał wrażenie mniejszego, niż go pamiętali. Miał już brodę, a w ustach ziejącą dziurę po kilku zębach. Najbardziej wstrząsnął nimi widok pomarańczowego kombinezonu. W każdym innym otoczeniu wyglądałoby to niemal jak komiczne przeistoczenie Danny’ego w dziwaczny zamiatacz ulic albo mechanika samochodowego. Tutaj jednak taki ubiór, swoim gniewnym nawiązaniem do Guantamo, typował go na śmierć. Rodość ćpunów wojny okazała się więc przedwczesna, bo koniec Danny’ego został jedynie opóźniony. Ale nikt by tego nie przyznał. Jak mógłby?

– Och, nasz kochany Danny. – Rachel się rozplakała.

– Poczekaj... cii! – odezwał się Edwin. – Zaczyna coś mówić.

I usłyszeli ten pewny siebie głos z wymową ze Wschodniego Wybrzeża, choć teraz lekko sepleniący.

Przyszło im na myśl, że część tej antyzachodniej propagandy, którą kazano mu wyrecytować, niewiele różniła się od tego, w co rzeczywiście wierzył – potępienie amerykańskiej i brytyjskiej okupacji, spis zbrodni popełnionych w Iraku i wezwanie do natychmiastowego wycofania wojsk. Pojawiły się też konkretne żądania, w tym wypuszczenia z irackich

więzień wszystkich „pięciuset więźniów politycznych”. I coś o wiele bardziej mrozącego krew w żyłach.

– „To dziesiąty dzień mojego uwięzienia. Chciałbym wyznać, że jestem szpiegiem. Pracuję dla rządów Izraela i Ameryki. Moi porywacze powiedzieli, że jeżeli ich żądania nie będą spełnione do końca miesiąca, czyli do trzydziestego pierwszego sierpnia, zostanę stracony”.

– Och, nie! – krzyknęła Rachel. – Boże, błagam, nie!

– Poczekaj, jeszcze coś – przerwał jej Edwin.

Danny zakończył słowami, które wreszcie nie brzmiały jak wyuczona formuła. Głos mu się łamał.

– „Jestem zmęczony, ale traktują mnie dobrze. Do mojej rodziny, jeżeli nigdy już jej nie zobaczę: żegnajcie. Do moich przyjaciół: wybaczcie te wszystkie chwile, kiedy zawiodłem. Szczerze przepraszam. Do prezydenta mojego kraju: proszę mnie wysłuchać. Proszę zrobić, czego żądają ci ludzie, i wy dostać mnie stąd. Proszę, panie prezydencie, proszę. Ma pan dwadzieścia jeden dni”.

Stojący obok zbir wyrwał mu mikrofon jak pijany śpiewak na wieczorze karaoke i ryknął: „Allah akbar!”, a jego towarzysze bronni, nie chcąc być gorsi, przyłączyli się do niego. Czas Danny’ego dobiegł końca i ekran eksplodował zamiecią zakłóceń. Potem Al-Dżazira znowu przełączyła się na prezentera, który sprawiał wrażenie zaniepokojonego, ale szybko przeszedł do innych wiadomości.

– O mój Boże, oni rzeczywiście zamierzają to zrobić, prawda? – Rachel opadła na sfatygowane sprężyny sofy.

Becky, Edwin i Kaps trzymali się za ręce. Ten wariacki wrzask porywaczy uświadomił im, że nie będzie cudu wy-negocjowanego uwolnienia albo ratunku. Ci mordercy uznają podejrzenie Danny’emu gardła za łaskę od Boga.

Wszystko się zmieniło i zarazem nic. Miał trzy tygodnie życia, ale co mogli zrobić? Czasu było tak mało, a mimo to odnosili wrażenie, że ciągnie się przed nimi w nieskończoność.

Camille wciąż patrzyła w ekran, chociaż twarz brata dawno zniknęła.

„Do moich przyjaciół... wybaczcie te wszystkie chwile, kiedy zawiodłem”.

W Stanach oficjalnie rozpoczęto kampanię „Uwolnić Danny’ego”. Gazeta pomogła zorganizować wiec w Nowym Jorku, a przed redakcją rozwinięto siedmioipółmetrowy plakat z Danym i elektronicznym licznikiem pokazującym, ile jeszcze dni mu zostało. Organizowano czuwania przy świecach w jego liceum i w Yale. Ludzie nosili plakietki, wystawiali portrety Danny’ego w oknach od ulicy i wszędzie przywiązywali żółte wstążeczki – wydawało się, że powiewają na każdym drzewie w Pittsburgu. Kobieta z Arizony zaoferowała się, że pojedzie do Iraku i proponuje, że zostanie zakładniczką zamiast Lowensteina. Oświadczyła, że zawsze podziwiała jego dziennikarstwo i że on bardziej przyda się światu, niż ona kiedykolwiek będzie w stanie.

Rodziców Danny’ego zasypano lawiną kart pocztowych, dzwonili wszyscy, łącznie z prezydentem, który zapewnił, że o nich myśli. FBI zasugerowało, że nakręci film wzywający do uwolnienia Danny’ego. Pewien ekspert radził, niech Eliza Lowenstein wygłosi łzawy apel, błagając o oszczędzenie życia jej chłopcu. Inni twierdzili, że to Lukas powinien przemówić tak twardo, jak uzna to za stosowne, żądając uwolnienia syna, a nie pokornie prosząc. Zawsze lepiej okazywać siłę, a nie słabość.

Codziennie w południe czasu wschodnioamerykańskiego i o ósmej wieczorem bagdadzkiego zwoływano konferencję, aby FBI i CIA mogły weryfikować dane z Grupą Kryzysową do spraw zakładników ambasady w Iraku, wywiadem wojskowym Stanów Zjednoczonych, Adim, Turnerem i Munrem – oraz oczywiście Camille. Przyłączała się do telekonferencji z apartamentu prezydenckiego w obecności zgromadzonych wokół niej ópunów wojny. Osoby postronne już zaczęły nazywać ich Zespołem Danny.

Londyn, lipiec 1994

Lotnisko Heathrow, gdzie każda przygoda – jak się zdaje – zaczyna się i kończy.

Becky i Rachel czuły się jak oszustki, dołączając do kolejki rozgadanych turystów czekających na odprawę do Nairobi. Inni pasażerowie w nałożonych przedwcześnie słomkowych kapełuszach, podkoszulkach i okularach przeciwsłonecznych już myśleli o swoich wakacjach życia – plażach z białym piaskiem i egzotycznej przyrodzie. Ćpuny wojny myślały o ludobójstwie.

– Ale jesteś pewna, że to materiał dla nas? – zapytała Rachel Becky, kiedy przesuwwały odrobinę swój wózek.

Czy mają porzucić bezpieczne prawdy Sarajewa? A zamiast tego rozpocząć podróż do Afryki, której żadne z nich – z wyjątkiem Kapsa – jeszcze na oczy nie widziało? Oczywiście, że nie była pewna.

– Jasne, że tak. – Becky nadal powłóczyła zranioną nogą. Niczym weteran wojenny roztaczała wokół siebie specyficzną aurę. Każdy widział, że w poszukiwaniu tematu posunie się o krok dalej. – Wiem, że mówiliśmy o ludobójstwie w Bośni, przynajmniej Danny mówił, ale tak naprawdę jest trochę inaczej. To jego wyolbrzymione pieprzenie w bambus. Trafia się na masowy grób albo obóz koncentracyjny, jeżeli ma się szczęście. Ale tam... jest jak cholerna, słownikowa definicja. Zupełnie dosłowne mordowanie narodu. Prawie milion osób, Rach, holokaust w naszym pokoleniu. Musimy tam być.

I tak już się spóźniły, co zapewne martwiło je równie mocno jak zabójstwa.

Kiedy rozpoczęły się w kwietniu, globalna wioska zupełnie straciła zainteresowanie Bośnią i skierowała swój kapryśny wzrok na Ruandę. Ćpuny wojny wciąż tkwiły w Sarajewie.

Niechciani i nieczytani. Siedzieli przy odbiornikach radiowych, które z sykiem i trzaskiem przekazywały sensacyjne informacje z Kigali – że ostrzelany został samolot prezydenta i jacyś ludzie, Hutu, zabrali się do realizacji własnego Ostatecznego Rozwiązania. Ich ofiarami, wyjaśniano starannie, byli Tutsi – ruandyjska mniejszość, na swoje nieszczęście łatwa do rozpoznania ze względu na wyższy wzrost, węższe nosy i jaśniejszą skórę. Jak się okazało, Tutsi zgrzeszyli tym, że swego czasu belgijscy koloniści potraktowali ich jako miejscową arystokrację. Zapierające dech w piersi biuletyny opisywały zabójstwa na skalę przemysłową – dawni przyjaciele i sąsiedzi w jeden dzień mordowali niekiedy setki tysięcy osób. Używano maczet, maczug, pałek, noży, nawet śrubokrętów.

– To wygląda jak Bośnia na przyspieszonych obrotach – stwierdził Edwin.

Niemal z dnia na dzień sprawa Sarajewa stała się tak niepożądana, jak kłopotliwa była kochanka. Większość dziennikarzy z radością porzuciła konflikt w Bośni na rzecz łatwych łupów dostarczanych przez afrykańską rzeź. Hol Holiday Inn kipiał od ludzi szykujących się do wyjazdu. Shark przenosił swoje srebrne skrzynki, Spinoza ciągnął po podłodze kufer.

Edwin bardzo chciał dołączyć do exodusu – po śmierci Amry musiał stąd wyjechać. W Sarajewie wszystko mu ją przypominało, zwłaszcza Danny. Próbował zagłuszyć myśli większymi porcjami narkotyków, ale nigdy nie miał ich wystarczająco dużo. Inni też odczuwali taką pokusę: Kaps – ponieważ to był jego kontynent, a Becky – ponieważ pragnęła być wszędzie gdzie on – bez względu na to, czy jest tam ludobójstwo, czy go nie ma. Nawet Rachel, która zaczynała robić postępy, zastanawiała się nad wyruszeniem na nową przygodę. Tylko Danny twierdził, że powinni oprzeć się pokusie dziennikarskiego cudzołóstwa i pozostać wierni Sarajewu.

– Nie rozumiecie, że to tylko polowanie na trofea? – powiedział w pewien kwietniowy wieczór, kiedy siedzieli

bezczylnie w pokoju Becky. Wszyscy pozostali desantują się gdzieś i zaraz ewakuują. Piękni ludzie z telewizji, znacie te typki: przylatują w poniedziałek w kamizelkach przeciwodłamkowych, poprawiają makijaż we wtorek, odbębniają swój kawałek w środę, a potem pakują się i zmykają do domu we czwartek. Po to by zdążyć na piątkowe imprezy, gdzie mogą opowiedzieć kumplom niesamowite historie z linii frontu. Jesteśmy inni, nie udajemy, że wyczerpaliśmy temat, kiedy tego nie zrobiliśmy. Nigdy nie byłem w Afryce, a co dopiero w Ruandzie. Powinniśmy trzymać się tego, na czym się znamy, a znamy się na Bośni, bo tym żyjemy, bo to nasza wojna.

– Nie, to ich wojna. – Edwin miał powyżej uszu kazań Danny’ego. – Ja na przykład nudzę się, siedząc tutaj i trzymając się kurczowo tematu, który wszyscy olewają. Zajmujemy się wiadomościami. A newsy, jeżeli przypadkiem nie zdajesz sobie z tego sprawy, to coś, co musi być nowe i nieważne, gdzie się dzieje. Bośnia jest przebrzmiałą pieśnią, a Ruanda nowiutkim horrorem.

– A co stanie się z ludźmi w tutejszym horrorze? Po prostu o nich zapomnimy? Pozwolimy światu jeszcze bardziej odwrócić się od ich niedoli? Tylko dlatego, że się „nudzimy”, że dzieci chcą mieć nową zabawkę? „Zmęczenie Bośnią”. Boże, sam ten zwrot jest żałosny. Czy uważacie, że ktoś kiedykolwiek „zmęczył się II wojną światową”?

Edwin wstał i wyszedł, ale Rachel poczuła się skarcona i wzruszona słowami Danny’ego. Może ją upokorzył, może był najbardziej nadętym, zadufanym w sobie człowiekiem, jakiego znała, ale nikt nie zaprzeczyłby, że Bośnia bardzo go obchodziła. Utkwiła mu głęboko w duszy. Rachel najpierw go podziwiała, potem nie cierpiała, a teraz osiągnęła stan gdzieś pomiędzy tymi dwoma uczuciami. W każdym razie postanowiła zostać. Zbyt wiele czasu czekała, by dostać się do Bośni, i nie mogłaby tak po prostu stąd wyjechać. Z kolei Becky i Kaps nie dawali jednoznacznej odpowiedzi. Kiedy ostatecz-

nie zadzwonili do swoich wydawców i zaproponowali usługi, okazało się, że wysłano już innych, bardziej zdecydowanych ochotników.

W następnych dniach każde nadchodzące wiadomości z Ruandy dołowały ich jeszcze bardziej. W miarę jak temat z minuty na minutę stawał się coraz ważniejszy, bardziej uświadamiali sobie, jak wielki popełnili błąd. Stali się zapomnianą placówką swoich redakcji. Telefony do działów informacyjnych pozostawały bez odpowiedzi, pomysły ignorowano, zdjęć nie wykorzystywano, artykuły odkładano do szuflad. Zaczęli nawet myśleć, że nie ma sensu czegokolwiek wysyłać. Ich niegdyś niewzruszona pewność siebie rozsypała się jak zamek z piasku uderzony falą. Nie załapali się na temat roku, a może nawet dekady i teraz snuli się z nieszczęśliwymi mianami, nie wiedząc, czym wypełnić dni.

– Nie ma nic gorszego niż znaleźć się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie – poskarżył się Kaps, kiedy pewnego wieczoru leżeli z Becky w łóżku. Pieścił jej udo, a potem pośladki, ale z roztargnieniem, tym razem nie zwracając uwagi na ponętne ciało. – I nic gorszego niż ryzykować życie, kiedy nikogo to nie obchodzi. – Nie mógł tkwić tu dłużej. Coraz trudniej przychodziło mu tłumaczenie Judith, dlaczego powinien zostać w Bośni, skoro jedynym istotnym powodem było to, że zakochał się w innej kobiecie.

Bezwzględna profesjonalistka Becky pragnęła lecieć do Afryki, ale Becky kobieta i kochanka nie posiadała się ze szczęścia, leżąc w objęciach Kapsa w spokojny, wiosenny wieczór, kiedy snajperzy poszli odpocząć. Po raz pierwszy w życiu nie czuła się samotna, a seks stał się cudowną rutyną. Tematy mogły pojawiać się i zniknąć jak odgłosy wojny w Sarajewie, ale ten romans, który rozwinął się tak zaskakująco, tak rozkosznie gwałtownie, nie dałby się powtórzyć. Nie chciała nigdzie wyruszać bez Kapsa.

Dopiero w późniejszym okresie tego krwawego roku ćpuny wojny dostrzegły drugą szansę. Ostatecznie zbuntowana armia Tutsich, RPF, przejęła władzę w Ruandzie i Hutu w obawie przed represjami uciekli z ojczyzny na pustkowia przy granicy między Ruandą a Zairem, gdzie liczba zgonów sięgała dziesiątków tysięcy. Tym razem mordercą nie był człowiek, ale cholera. Boża sprawiedliwość, mówili niektórzy. Stało się to oficjalnie kolejnym megatematem.

– Cóż, lepiej późno niż wcale – stwierdziła Rachel, posuwając się krok za krokiem w kolejce do odprawy na nocny rejs do Nairobi.

Becky wlokła się za nią i po raz ostatni przeczesywała wzrokiem tłum pasażerów, sprawdzając, czy pojawił się Kaps. Chciała, żeby do nich dołączył. Nie wiedziała, czy sama zdoła być świadkiem cierpień Afryki. Zgodnie ze swoim przesądnym rytuałem wszędzie po drodze dotykała różnych przedmiotów – barierek, walizek, tabliczek informacyjnych – przyciągając zdziwione spojrzenia mijających ją ludzi.

Początkowo bardzo mu zależało na wyjeździe – tylko dlatego zabukowała sobie miejsce na ten sam rejs co Rachel. Potem powiedział, że jego naczelny z Reutersa nie jest przekonany o konieczności pobytu w Afryce. Zadawała sobie pytanie, czy to naprawdę szef, czy raczej Judith? Nie mogła się z nim porozumieć, bo był „w domu”, w tym innym wszechświecie, o którym wiedziała tak mało.

– Zobacz, tam jest! – zawołała Rachel i natychmiast tego pożałowała. O wiele za późno spostrzegła, że Kaps przykładnie żegna się z rodziną. – O kurwa. Przepraszam, Becky.

– Nie ma sprawy. Wiem, że istnieją.

Ale nigdy ich nie spotkała i w tym tkwił cały problem.

Wzruszająca scena. Kaps nieświadomy, że go obserwują, trzymał na rękach obu bliźniaków. Wyglądał inaczej niż zazwyczaj w drodze – dokładnie ogolony, z włosami tak mocno zaczesanymi do tyłu i związanymi w kucyk, że widziany z przodu

sprawiał wrażenie bardzo krótko ostrzyżonego. Długo całował Judith. Wstrząśnięta Becky cofnęła się o krok. Próbowwała patrzeć w inną stronę, ale jej głowa sama odwracała się w tym kierunku jak ciekawskiego gapia przechodzącego obok wypadku. Bliźniaki były piękne i nic dziwnego, że je uwielbiał. Ale to Judith przyciągnęła jej uwagę. Zaskakująco ładna, przyznała wspaniałomyślnie Becky. Szczuplejsza od niej, z lepszymi nogami i zdecydowanie zgrabniejszym tyłkiem. Krótko obcięte włosy, ubrana w jakiś funkcjonalny polar i workowate dzinsy. Wyglądała na zmęczoną. Czy bliźniaki nie dawały jej w nocy zasnąć? Czy mąż? Czy się z nim kłóciła, czy kochała? Becky wyobraziła sobie jego penisa w Judith i zrobiło się jej niedobrze.

– No dalej, ruszaj się. – Rachel pociągnęła przyjaciółkę za rękaw.

– Nie, chciałabym... – Twarz Judith ją poraziła. Becky nie wiedziała absolutnie nic o tej kobiecie; do tej pory znała tylko jej imię. Kaps nigdy nie mówił o żonie, to był temat tabu.

Czy pracuje? Jeżeli nie, co robi cały dzień? Jak poznała tego fascynującego mężczyznę? Czy nadal się z nim pieprzy? Jak często? W jakich pozycjach i gdzie? Jak bardzo by się załamała, gdyby ją rzucił? Becky przyszło do głowy, że mogłaby tu i teraz przejść przez terminal, przez kłębiący się tłum i kilkoma słowami zniszczyć fałsz jego podwójnego życia. „Cześć, Judith, miło cię poznać. Nie wiem, czy ktoś ci powiedział, ale ciupciam się z twoim mężem. Prawdę mówiąc, nie tylko ja, ale jestem w nim zakochana po uszy, a on we mnie. A dziś wieczorem, kiedy tylko skończycie czułe pożegnania, odlatujemy razem w afrykański zachód słońca”.

– Beck, nie wyjdzie ci to na dobre. – Rachel zachęcała ją, by szła do przodu.

– Okej, jestem kulawa, ale jeszcze nie całkiem do kitu, bardzo ci dziękuję.

Rachel przypomniała sobie swój pierwszy przylot do Bośni, kiedy to Becky stała się jej kompasem. Teraz ona ją

prowadziła, kolejnego ópuna wojny, którego zdmuchnęło z kursu.

Kaps wciąż usiłował oderwać się od swojej rodziny, kiedy pojawił się Edwin i dołączył do kolejki. Miała to być jego druga podróż do Afryki. Becky i Rachel objęły go i przeżyły szok, czując, jak bardzo jest wychudzony – kusa kamizelka i obcisłe džinsy wisiały na sterczących kościach, a oczy spoglądały z ciemnych jam oczodołów. Po śmierci Amry szukał pocieszenia w kokainie, mnożąc wciągane kreski. Uszkodził sobie śluzówki, więc ciekło mu z nosa i nieustannie kichał.

– Jest nawalony – szepnęła Becky do Rachel. – Ktoś naprawdę musi mu pomóc, sama rozumiesz.

Edwin był na zawstydzającym, irytującym haju. Zaliczył dawkę w toalecie terminalu.

– Ma pan jakiś bagaż? – zapytała miła hostessa przy stanowisku odpraw, nosząca jaskrawy uniform i służbowy uśmiech.

– Tylko zawiedzionych przeze mnie ludzi: młodego żołnierza na pustyni i cudowną kochankę, która nie zasłużyła, by umrzeć. Czy to według pani za dużo? Nadbagaż? Czy powinienem któreś z nich zostawić?

Becky przewróciła oczami, ale hostessa uśmiechnęła się nieco protekcyjnie, z cierpliwą wyrozumiałością. Słyszała to już miliony razy. Kolejka ciągnęła się aż do drzwi terminalu hali, a tu jeszcze trafił się dowcipkujący palant. Ale Edwin był przekonany, że każdy chce go słuchać.

Rachel i Becky podały swoje nowe karty stałych klientów. Hostessa zapytała Edwina, czy on też taką ma, i przygotowała się na najgorsze.

– Coś pani powiem, madam. Pogardzę waszą nic nieznaczącą hierarchią niebieskich kart, potem srebrnych, złotych i w końcu... ale tylko kiedy jesteś naprawdę dobry, platynowych. Wtedy, co za radość, masz prawo udać się do saloniku

wypoczynkowego, gdzie jest prysznic. Tyle tylko, że nie możesz z niego skorzystać, bo zanim go znajdziesz i odszukasz kartę pokładową, minie twoje dziesięć minut do odlotu. Poza tym ręczniki masz w walizce, którą właśnie oddałeś.

– Akurat ręczniki zapewniamy, proszę pana – oświadczyła hostessa spokojnie, żeby postawić na swoim.

Ale Edwin już się rozkręcił, rozwścieczony na świat, wszystkie jego wojny, ale też błahostki. Uwielbiał tę zdobytą nagle swobodę, dzięki której mógł mówić – nagle i niespodziewanie słowa płynęły z jego ust z taką samą łatwością, jak u Danny'ego.

– Identycznie jest z tymi kartami premiovymi w supermarkecie – ciągnął. – Całe życie zbierasz miliard punktów. Obsesyjnie liczysz, o ile więcej ich dostaniesz, jeżeli kupisz keczup zamiast octu winnego. Na łożu śmierci natomiast dowiadujesz się, że zaoszczędziłeś oszałamiającą kwotę trzech funtów sześćdziesięciu pensów. A i tak już za późno, żebyś je wydał.

– Życzy pan sobie miejsce przy oknie?

Rachel i Becky spojrzały na niego, na rozplływający się cień człowieka i przeklinały dzień, w którym spotkał doktor Amrę Ismić.

Godzinę później posuwali się przejściem między fotelami, wciągając brzuchy, by precyzyjnie przycisnąć się obok grubych turystów wkładających torby do pojemników nad siedzeniami. Becky wciąż myślała o pożegnaniu Kapsa z rodziną.

– Dobrze się czujesz? – Rachel usiadła na swoim miejscu i wsunęła do torby przed sobą butelkę wody, nową książkę i gazety.

Obie kupiły najnowsze numery „Hello!” i „Okej!” – plotkarskich magazynów o celebrytach. Poczytają sobie, kiedy afrykański kataklizm je zdołuje.

– Tak, świetnie. Ładnie wyglądała, prawda? Wszyscy... fajnie wyglądali.

– Nie mam ochoty gadać o tych pierdołach. Słowo daję.

– Jak myślisz, widział mnie?

– Nie, na pewno nie.

– Leci tym samolotem?

– Cholera, oczywiście. Cała pieprzona dziennikarska banda nim leci. A właściwie ta mała garstka, która jeszcze nie dotarła na miejsce. Tam jest materiał na odjazdowy bestseller.

– W takim razie, dlaczego nie powiedział mi, że jedzie? Dlaczego się nie skontaktował?

Rachel zaczynała tracić do niej cierpliwość. Kochała Becky, ale ta czasami potrafiła obsesyjnie myśleć wyłącznie o sobie.

– A dlaczego pieprzy się z tobą, skoro ma szczęśliwą rodzinę? I dlaczego ty się z nim pieprzysz?

Becky była zaskoczona, ale fakt – kiedy zaczniesz zadawać sobie takie pytania, nie możesz ich zatrzymać, jak upływu krwi z ciągle odnawiającej się rany.

– Nie wiem, czy to dłużej zniosę.

– Więc z tym skończ. Nikt cię nie zmusza, żebyś z nim była. Nie uszczęśliwiasz ani siebie, ani jego.

– Mam uczucie, jakbym się nim dzieliła, jakbym miała tylko połowę mężczyzny.

– Może powinnaś być wdzięczna. Lepsza połowa niż nic.

Becky spojrzała na nią – dziewczynę, którą spotkała zaledwie siedem miesięcy temu, przyjaciółkę poznaną tak dobrze, a właściwie wcale – i przyszło jej do głowy, że Rachel też jest samotna. Zawstydziała się, że nie pomyślała o tym wcześniej – pewnie dlatego, że Rachel była ładniejsza i zgrabniejsza – ale jednocześnie przez chwilę poczuła się lepiej.

Miejsce Kapsa znajdowało się jakieś dwadzieścia rzędów za nimi, w tyle samolotu, ale zamienił się z pewną damą, która utkwiała między Edwinem a Becky i miała dosyć prowadzonych poprzez nią rozmów. Poza tym nie podobał jej się wygląd Edwina. Kaps z wdzięcznością wśliznął się na fotel starszej kobiety, wracając do dawnego życia. Teraz cała czwór-

ka siedziała razem. Kaps i Becky pośrodku, trzymając się za ręce – jakby Judith i bliźniaki nigdy tak naprawdę nie istnieli – a Edwin i Rachel po ich bokach, milczący współwinowajcy cudzołóstwa, udawali, że nic nie widzą.

Dochodziła pierwsza w nocy, kiedy pojawiło się jedzenie. Podano je o tak niedorzecznej porze, bo opóźnił się start. Według menu dostali lasagne z wołowiną.

– Kiedy wylądujemy, czeka nas klęska głodu – stwierdził Edwin. – Ale na razie mamy tylko obżarstwo. – Kupił osiem miniaterek moët chandon, po dwie dla każdego, i zaczął śpiewać: – Osiem zielonych butelek stoi na murze...

Rachel z przyjemnością się napiła. Kiedyś pilnie zajęłaby się swoimi wycinkami prasowymi, ale teraz tylko zerknęła na nie, nałożyła słuchawki i pogrążyła się w plastikowej muzyce pop, pozwalając kochankom swobodnie rozmawiać.

– Nie masz pojęcia, jak cudownie być znowu razem – odezwał się niepewnie Kaps.

– Nie rozumiem. Dlaczego nie powiedziałeś mi, że też jedziesz?

– Nie byłem pewien aż do tego popołudnia. Absurdalnie późno zadzwonili z redakcji zagranicznej.

Becky się wahała: wierzyć mu czy nie? Nie mówił prawdy Judith, dlaczego więc nie mógłby i jej okłamywać?

Nie chciała mu mówić o scenie na lotnisku – zdawała sobie sprawę, że byłoby to małostkowe i niegodne – ale i tak jej się wyrwało:

– Widziałam cię. Jak żegnasz się z rodziną.

Wzdrygnął się i odwrócił wzrok. Twarz mu płonęła.

– Och. Naprawdę? Przepraszam. Gdybym wiedział...

– To co? Nie pozwoliłbyś im przyjść na lotnisko? Albo pojawiłbyś się w przebraniu?

– Dobra, nie róbmy tego, proszę, Becky. – Martwił się, że Becky po moët chandon mówi coraz głośniej i pasażerowie w ich sąsiedztwie mogą usłyszeć. Niesamowite, bardziej

przejmował się tym, co pomyślał sobie ci obcy ludzie, których nigdy więcej już nie spotka, niż tym co czuje kobieta, którą kocha.

– Czego mamy nie robić?

– Dręczyć się nawzajem.

– To znaczy mnie. Ja zostałam zraniona. Nie twoja Judith, bo nie ma o niczym pojęcia, i nie ty, ponieważ bierzesz wszystko co najlepsze z obu swoich światów, prawda? Uroczą żonę i dzieciaki, kiedy wracasz do domu, miły skok w bok, gdy wyjeżdżasz.

– To nie tak, dobrze wiesz, że nie tak.

– Naprawdę? To ją rzuć.

Nigdy dotąd nie mówiła mu nic takiego, nawet nie robiła aluzji. Nie odpowiedział przerażony, że może źle się wyrazić i złożyć pochopne obietnice, a później zostanie wezwany do ich zrealizowania niczym jakiś zakłamany polityk.

– No, powiedz coś.

– Nie sugerowałaś, że...

– Kochamy się, prawda? Więc chyba powinniśmy być razem.

– Jesteśmy razem.

– Tak, razem patrzemy, jak umierają ludzie. Nie miałabym nic przeciwko czemuś normalniejszemu, o to mi chodzi. Trochę bardziej kurewsko prozaicznemu. Na przykład chodzeniu razem do kina, na koncert albo do teatru? A co powiedziałbyś na sympatyczną, staroświecką kolację w restauracji od czasu do czasu? Może jednak wymagam zbyt wiele?

Inni pasażerowie spoglądali na nich ciekawie. Ściszył głos prawie do szeptu w nadziei, że Becky zrobi to samo.

– Proszę. Czy moglibyśmy nie prowadzić tej rozmowy w jumbo jecie pełnym ludzi?

Odwróciła się od niego. Łzy padały z łagodną obfitością niczym późnopaździernikowe liście. Kaps próbował objąć ją ramieniem, niepewnie, spodziewając się, że zostanie odtrącony.

Ale ona jednak chwyciła jego rękę jak linę ratownika i płakała mu w rękaw lnianej koszuli. Materiał pociemniał od wilgoci.

Wkrótce zasnęła, a Kaps drzemał niespokojnie, wspominając kilka ostatnich dni w domu. Ciągnęły się zbyt wolno. Chciał jedynie ruszyć w drogę, położyć twarz na białych zboczach piersi Becky, usłyszeć jej szelmowski śmiech i zobaczyć roześmiane oczy.

Wyjście na proszony obiad było zupełnym nieporozumieniem. Judith suszyła mu głowę od samego rana.

– Wcale nie chcesz iść, co?

– Jestem po prostu zmęczony, to wszystko.

– Zabawne, że zawsze jesteś zmęczony w domu, a nie na tych swoich wyprawach.

– Nieprawda.

– Uważasz, że nasi przyjaciele nie są tak ekscytujący, jak twoi kumple w Sarajewie.

– Niczego takiego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś. Myślisz, że są nudni, prawda? Tylko dlatego, że nie wyruszają nigdzie, by dawać do siebie strzelać.

– Judith, to obłąd.

– Powiem ci, co jest obłądem. Wyjeżdżać co miesiąc gdzieś, gdzie możesz zostać zabity i nasze dzieci zostaną bez ojca, a ja bez męża. To nie tylko szaleństwo, ale perwersja.

W kabinie zrobiło się chłodno. Kaps wyciągnął z opakowania cienki koc linii lotniczych i okrył nim siebie i Becky. A więc był zboczeńcem strefy działań wojennych.

Sam obiad okazał się jeszcze większą katastrofą. Edwar diański dom w Brighton, w którym pogardzał wszystkim – pożerającym benzynę range roverem na żwirowym podjeździe, snobistyczną tabliczką „Domokrążcom dziękujemy”, tiulowymi firankami, kandelabrami i posępnymi szkockimi krajobrazami na ścianach. Gospodarzy – rodziców dziecka z przedszkola Charliego i Toma – prawie nie znał. On pracował

w jakiejś prawnej korporacji – Kaps nie zamierzał dowiadywać się w jakiej. Ona miała na imię Angela, Andrea czy jakoś tak. W czasie obiadu siedziała koło niego. Kiedy poobgryzali już chude kości podmiejskiej konwersacji – pośrednik w handlu nieruchomościami przyszedł, żeby wycenić nasz dom; najwyraźniej włamano się do samochodu biednej Susan; mówią, że w nowej szkole tereny sportowe są bardzo dobre – Angela lub Andrea w końcu zadała pytanie, którego zawsze się obawiał: „A więc, czym się pan zajmuje?” Pragnął móc powiedzieć „bankowością” albo „budowlanką”. Dzięki temu szybko przestałaby się nim interesować i zajęła kimś innym, ale uznał, że w jego życiu jest już wystarczająco dużo kłamstw. Kiedy odpowiedział, jej wąskie oczy rozszerzyły się i błysnęły.

– Ależ to ciekawe. A jak pan daje sobie radę, widząc te wszystkie upiorne rzeczy?

Szczerze mówiąc, chciałbym widzieć ich jak najwięcej, bo są wspaniałym materiałem i kto wie, może któryś z nich nawet zapewni mi nagrodę.

– Ale to przecież musi jakoś wpływać na pana? Przypuszczam, że w nocy dręczą pana koszmary?

Tylko takie, że zawałiłem termin. Albo że ktoś opublikował materiał wcześniej niż ja. Albo że Danny zabrał mi sprzed nosa wszystkie nagrody.

– A więc jak tam jest naprawdę, w tej Bośni?

Och wie pani, trochę jak w Brighton, z tymi wszystkimi włamywaczami i złodziejami sklepowymi.

Miał ochotę wpełznąć pod stół i uciec od niej, ponieważ kryła się w tym kolejna perwersja. W artykule chętnie odpowiedziałaby na takie pytania swoich czytelników – ludzi, których nigdy nie poznał. Ale nie potrafił niczego wyjaśnić komuś, kto siedział obok niego, czyjego imienia nawet nie zadał sobie trudu zapamiętać, żywemu czytelnikowi z krwi i kości, chętnemu do wysłuchania anegdotek z innego świata. Dlaczego nie mógł być gawędziarzem, jakiego oczekiwała? Wtedy

wykorzystałaby jego wojenne opowieści i opchnęła jak używane ubrania na następnym proszonym obiedzie.

18

Afryka, lipiec 1994

Wreszcie Afryka, ale na lotnisku imienia Jomo Kenyatty padała zimna mżawka, w niczym nieustępująca tej, którą zostawili na Heathrow. Na pasie startowym utworzyły się małe kałuże. Nadzieje na wielkie, idealne słońce wiszące na niebie okazały się złudne – zdeorientowanych podróżnych witała ponura szarość.

Sześciu potencjalnych tragarzy, kłócąc się między sobą, oferowało swoje usługi. Przyjezdnych atakował ostry odór starego potu. Edwin, chociaż był tu już wcześniej w tym roku, nie udzielał się; Rachel i Becky miały kaca. Przywództwo przejął więc Kaps. Dzięki stu dziewięćdziesięciu centymetrom wzrostu o dwie głowy górował nad kotłowaniną.

Rachel, wciąż otumaniona szampanem, przyglądała się Kapsowi. Południowoafrykańczyk i Australijka bardzo różnili się od siebie. Jego naturalnie muśnięta słońcem skóra i jej – kredowobiała; on smukły i muskularny, ona raczej pulchna. Odmieni, a jednak tacy sami. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego Becky go kocha, ale on potrzebował jej w równym stopniu. Należeli do siebie i Rachel z zaskoczeniem zorientowała się, jak tu, daleko od Anglii, wszyscy niby przypadkiem zapomnieli, że Kaps jest żonaty i dzieciaty. Całe towarzystwo żyło w kłamstwie jako współnicy tolerujący tę sytuację. A Kaps, żeby uwiarygodnić oszustwo, rozpuścił włosy – w Londynie tak brutalnie zaczesane do tyłu, teraz opadały

luźno w dzikim nieładzie. Zwykły nocny lot do Nairobi przemienił go w kawalera.

Rachel podziwiała skuteczność, z jaką przejął dowodzenie. Wybrał dwóch tragarzy i przegonił resztę, wymienił pieniądze, przeprowadził pertraktacje z celnikami i w końcu załatwił dwie kenijskie czarne taksówki Hackney – kolejne przypomnienie pozostawionego daleko Londynu. Kaps uosabiał cechę, którą Rachel w przyszłości miała zacząć uwielbiać w wędrownym cyrku korespondentów zagranicznych – zdolność łatwej adaptacji na każdym kontynencie.

Podziwiała go tak jak Danny’ego w czasie pierwszego spotkania w Sarajewie. W tych miejscach obaj czuli się jak ryba w wodzie. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek ktoś na nią spojrzy i pomyśli: to jej bajka albo nawet jej kraj.

Drzemali, jadąc do Wilson, satelitarnego lotniska Nairobi. Kiedy Rachel się obudziła, zobaczyła mały czarterowy samolot, który miał ich zawieźć dalej, w głąb Afryki.

– Ale maleńki. Wygląda jak samochodzik ze skrzydłami.

– A czego się spodziewałaś? – odparł Kaps. – Żadna normalna linia lotnicza nie zawiozłaby cię na wojnę domową.

– Chyba dlatego to takie fajne – stwierdziła Rachel. – Latać tam, skąd inni wylatują. Dzięki temu czuję się... sama nie wiem... odmienna.

Kaps uśmiechnął się do niej.

– Uwierz mi, w świecie, w którym żyje sześć miliardów ludzi, całkiem miło czuć się kimś odmiennym.

Stali na pasie startowym obok bezładnej sterty bagaży, czekając, aż pojawi się pilot. Wreszcie przyszedł – żyłasty Jemeńczyk w oślepiająco białej, świeżo wyprasowanej koszuli z imponującymi czarnymi naramiennikami z żółtymi belkami i tak lustrzanych okularach przeciwsłonecznych, że wszyscy mogli zobaczyć odbicia swoich piegowatych twarzy.

– Cześć, jestem Amen, wasz kapitan na dzisiaj. Polecę z wami do Gomy.

Do Gomy. Powiedział to tak radośnie, jakby mówił o Ibisie albo Korfu, a przecież to miasto stało się synonimem śmierci, jak poprzednio Korem albo Baidoa.

– Nazywasz się Amen? – zapytała Becky.

– Tak jest. Jak w modlitwie, z tą różnicą, że dzisiaj ona nie będzie wam potrzebna. Zła pogoda minęła, a więc jeżeli chcecie załadować swoje rzeczy, zatankuję i możemy ruszać.

Utworzyli łańcuch. Dziennikarze stali się bagażowymi, pospiesznie podawali sobie plecaki, telefony satelitarne, laptopy, aparaty fotograficzne i skrzynki z wodą oraz prowiantem, by w końcu wepchnąć je do ładowni, niewiele większej niż szafa.

– Mam nadzieję, że to... bezpieczne? – odezwała się Rachel.

– Spokojnie. – Kaps sprawiał wrażenie pewnego siebie. – Latałem nimi mnóstwo razy w Afryce Południowej. Jedyne problem, że kiedy są turbulencje, rzuca samolotem jak piórkami. Mimo to jestem pewien, że ma wspaniały silnik.

– Wspaniały silnik? Tylko jeden?

Poczuła nagłą nostalgię za wyprawami po alei Snajperów. A pozostali, jakby chcąc jeszcze bardziej popsuć jej nastrój, szeptali hasła reklamowe.

– Air Amen – zaproponował Edwin. – Najmniej lubiane linie lotnicze świata.

– Nie, nie – wtrąciła się Becky. – Air Amen: odpowiedź na twoje modły.

Pilot zachichotał.

– Nie martwcie się. Latałem pięć lat w jemeńskim lotnictwie wojskowym. Tylko raz mnie zestrzelili.

– Naprawdę? I co? – zapytała Becky.

– Wskoczyłem. Oczywiście ze spadochronem.

– Jasne – mruknęła Becky. – Następnym razem będziemy pamiętali. Sprawdźmy: aparaty fotograficzne, filmy, laptop, sprej przeciw moskitom... spadochron.

Amen roześmiał się znowu i wziął gotówkę, po pięćset dolarów od każdego. Zaczął przeliczać pieniądze podczas pobieżnej kontroli urządzeń pokładowych.

– Wszyscy zginiemy – szepnęła Rachel do ucha Becky. – Ale przynajmniej dostał godziwą zapłatę.

Amen wcisnął plik banknotów do sakiewki przy pasie, włączył silnik, potem odwrócił się do pasażerów, żeby przekazać im własną i niepowtarzalną wersję zasad bezpieczeństwa.

– Okej. Jesteście dużymi chłopakami i dziewczynami. Jeżeli chcecie, zapnijcie pasy. Szczerze mówiąc, mam to gdzieś; ale żadnych papierosów, bo inaczej wszyscy ulecimy z dymkiem. A teraz, może ktoś nas zamknie, żebym mógł wystartować?

Kaps zatrzasnął drzwi, jakby wsiadał do samochodu.

Wkrótce oglądali już w dole żyrafy i zebry na falującej równinie, a po jakimś czasie pojawiło się Jezioro Wiktorii. Amen pilotował spokojnie. Jedną ręką trzymał drążek sterowy, drugą powieść Toma Clancy'ego. Od czasu do czasu podnosił znad grubej książki wzrok. Pewnie żeby sprawdzić, czy jakiś 747 nie leci w naszą stronę, mruknęła Becky.

Lot przebiegał dość łagodnie i co jakiś czas zapadali w drzemkę. Do momentu, kiedy trafili na turbulencję, przed którą przestrzegał Kaps. Nie było chropawego głosu kapitana ostrzegającego pasażerów przed tym, co zaraz nastąpi, żadnego: „Panie i panowie, przez jakiś czas może trochę trząść”. Samolot zakołysał się gwałtownie i po prostu runął w dół, a ich żołądki przykleiły się do sufitu. Rachel przypomniała sobie swój pierwszy lot do Sarajewa, ale tym razem spadali jak kamień przez eksplodującą piorunami chmurę deszczową. Sytuacja okazała się na tyle poważna, że Amen odłożył lekturę. Wściekły deszcz smagał przednią szybę, potoki wody biły o szkło.

Nerwowo spojrzeli na zieloną plamę ekranu radarowego, modląc się, by dobrze działał. Widzialność była bliska zeru.

– Z tyłu wszyscy w porządku?! – krzyknął Amen.

– Oczywiście – odparł Kaps. – Słyszałeś kiedyś o korespondentach wojennych, którzy baliby się latać?

Kiedy przebili się na drugą stronę chmury, wszystko się zmieniło – pogoda, krajobraz, kraj. Chwilowy napad złości niebios dobiegł końca. Znowu zrobiło się jasno i spokojnie, jakby krótka awantura nigdy się nie wydarzyła. W dole zamiast jeziora widniały falujące wzgórza Ruandy, pokryte niezwykle zieloną i bujną roślinnością. Słynne Mille Collines, tysiąc wzgórz będących świadkami miliona morderstw.

– Popatrzcie na pola śmierci – powiedział Amen.

Przycisnęli twarze do podrapanego plastiku iluminatorów. Łatwo było dostrzec drogi, którym ruandyjska ziemia nadała krwawoczerwoną barwę. Przecinały roślinność jak okrutne cięcia nagą skórę. Wyobrazili sobie działających tam w dole Interahamwe, ruandyjską wersję esesmanów, zabijających z takim samym metodycznym szaleństwem, ale maczetami, a nie w komorach gazowych. Dołączyli do nich zwyczajni Hutu, matki, a nawet babcie. Ich dążenie do rasowej czystości podsycaly radiowe wezwania, aby iść i „zabijać karaluchy”, „zebrać żniwo”. Ćpuny wojny widziały z powietrza maleńkie jak zabawki chaty w miasteczkach, kościoły, szkoły, więzienia i zastanawiały się, ile leży tam jeszcze niezebrałych, rozkładających się ciał.

Pogoda zmieniła się znowu, gdy dotarli do jeziora Kiwu na granicy Ruandy z Zairem. Kiedy Amen podchodził do lądowania w Gomie, wreszcie zobaczyli dzień jak na pocztówkach z Afryki – z napęczniałym, równikowym słońcem na bezchmurnym niebie. Teraz pojawił się inny problem. Na pasie znajdowało się ze dwieście dzieci, bosych, ale ubranych w tęczę jaskrawych kolorów. Maluchy poszukiwały resztek pomocy, przypadkowo zgubionego worka ziarna czy ryżu. Niezrażony tym Amen przygotował się do lądowania – w końcu trzymał obie dłonie na drążku sterowym i tuż przed przyziemieniem

wyrównał maszynę. Była to wojna nerwów: kto mrugnie pierwszy. Przegrały dzieciaki, w ostatnim momencie zbiegły z pasa.

Wśród podekscytowanych czarnych twarzączek jaśniała jedna biała. Danny szedł w stronę samolotu, pragnąc przyłączyć się do swojego plemienia. Rachel nie wiedziała, czy zdoła znieść jego towarzystwo. Czuła ulgę, kiedy jakiś czas go nie było.

Po kolei schodzili niepewnie po chwiejnych stopniach. Mrugając, oślepieni światłem, szukali okularów przeciwsłonecznych. Edwin zdjął z szyi czarno-białą kefiję i okrył nią głowę, chroniąc się przed poparzeniem. Jak cała reszta, miał na sobie podkoszulkę, szorty i sandały. Zniknęły puchowe kurtki, polary i wełniane czapki z Bośni.

Uderzyła w nich cudowna fala upału. Czuli się jak badacze niezwyklej krainy z bajki, Afryki Środkowej, urzeczeni egzotycznymi zapachami i dźwiękami.

Otaczały ich dzieciaki Hutu, głodne i spragnione, ale niemal oszalałe z podniecenia. Wykrzykiwały natrętne powitanie: *Jambo, jambo!* Nie miały pojęcia, kim są ćpuny wojny, ale wystarczało im, że podróżni wysiedli z magicznej maszyny, która nadleciała z nieba: byli połączonymi w jedno przybyszami z Zachodu, VIP-ami, członkami rodziny królewskiej, białymi bogami.

– Widzicie, już was kochają. – Danny uśmiechnął się, błyskając w słońcu lśniąco białymi zębami.

Tubylcy wyraźnie mieli na niego energetyzujący wpływ, choć połowa z nich umierała. Ćpuny też czuły ten podniecający zastrzyk nowości – nowe miejsce, nowi ludzie, nowe materiały, newsy. Taki był ich styl życia, namiętne poszukiwanie świeżych przygód. Nigdy więcej nie pozwolą się ograniczyć do monogamicznego związku z Bośnią.

– Witajcie w Gomie. Udało mi się załatwić wam cztery ostatnie pokoje w mieście i parę kółek.

– Najpierw przekonywałeś nas, żebyśmy nie przyjeżdżali – odezwał się Kaps. – I nagle, czary-mary, jesteś tu przed nami. – Wyglądało to tak, jakby kapitan, stojąc w obliczu buntu, zwał

ze statku i objął dowództwo nad innymi. Kaps się zdenerwował. To był jego kontynent, a mimo wszystko Danny przybył pierwszy. Pocięszał się tylko tym, że inaczej niż w Jugosławii, Lowenstein nie zna tak dobrze sytuacji i jeżeli są tu jakieś nagrody do zdobycia, przynajmniej teraz mieli równe szanse w grze.

Dwaj wynajęci przez Danny'ego kierowcy, Innocent i Boniface, ładowali bagaże. W czasie krótkiego przejazdu do hotelu Grands Lacs Rachel złościła się, że jedyne miejsce, jakie mógł zająć Danny, znajdowało się obok niej, na tylnym siedzeniu. Z jednej strony niemal przywalona plecakami i kartonami z wodą musiała się do niego przyciskać. Oboje mieli na sobie szorty i Rachel czuła jego spocone prawe udo przylepione do jej uda, zupełnie jakby byli bliźniętami syjamskimi połączonymi biodrami. W Sarajewie, po katastrofalnym początku ich znajomości, nigdy nie wyszli poza chłodną uprzejmość. Mimo jego przeprosin historia z Karadżiciem i snajperem wisiała nad nimi jak deszczowe chmury, których nie rozwiewał żaden wiatr. Dla obojga – na różny sposób – wciąż była przyczyną wstydu. Rachel usiłowała cofnąć nogę.

Becky siedziała z przodu, żeby robić zdjęcia w czasie jazdy. Nic, z czym zetknęli się w Bośni, nie przygotowało ich na to, co zobaczyli ze skórzanych siedzeń swoich samochodów. Wzdłuż całej drogi, jak okiem sięgnąć leżały zwinięte kawałki mat, całe setki zawiniątek. Odnosiło się wrażenie, że handlarz dywanów starannie wystawił na pokaz swój towar.

– Najnowsze pokłóse trupów – wyjaśnił Danny. – Zaspiają na matach, a jeżeli już się nie budzą, zwłoki po prostu się w nie zawija. Ekipy telewizyjne uwielbiają to ujęcie. Mogą pokazywać zmarłych, nie denerwując widzów.

Powiedział im, że wśród miliona uciekinierów, którzy tu dotarli, cholera zabija do ośmiu tysięcy dziennie. Przekleństwem okazało się to, że znaleźli się w księżycowym krajobrazie czarnych wulkanicznych skał, na których zbudowano Gome. Uciekinierzy nie mogli wykopać w nich ani latryn, ani grobów.

– Witajcie w Obozie Cholera. Jest źle, a z każdą godziną robi się coraz gorzej.

Becky i Rachel pokręciły głowami, ale obie poczuły obrzydliwą ulgę. Na pewno nie chciałyby usłyszeć, że w chwili gdy przybyły, kryzys zaczął mijać. Danny odczytał ich myśli.

– Mimo wszystko dla nas zła sytuacja to dobra sytuacja, a im gorzej, tym lepiej.

– Ale niektóre z tych zawiniątek są takie maleńkie.

Pomiędzy zwłokami okręconymi matami i dywanami Becky dostrzegła mnóstwo maleńkich, o długości zaledwie od sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu centymetrów. I nagle ujrzała pod drzewem przytulone do siebie, całkowicie nieruchome postacie: matkę i dziecko.

– Dlaczego ich nie zawinięto?

– Pewnie nie są jeszcze zupełnie martwi.

– Zatrzymajmy się na chwilę, dobrze? Tylko pstryknę zdjęcie.

– Nigdzie stąd nie odejdą, Becky, chyba że na drugą stronę. Zakwaterujmy się, a potem wrócisz i nakarmisz obiektyw.

Becky nie zwróciła na niego uwagi. Kiedy zobaczyła dobry obrazek, nic nie mogło jej powstrzymać. Była jak w transie.

– Kierowco, stań tu na moment. Światło jest niesamowite. – Samochód jeszcze zwalniał, kiedy otworzyła drzwi i wyskoczyła. Musiała podbiec kilka kroków, żeby nie upaść. Danny westchnął.

– Jest jak stary rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu, najpierw strzela, a potem zadaje pytania.

Becky trzaskała migawką; matka i jej maleńki synek lekko uchyliłi powieki gasnących oczu, by ze zmęczeniem spojrzeć na jej wielkiego, czarnego canona.

– Bardzo dziękuję – powiedziała uprzejmie Becky, zupełnie jakby mogli się zgodzić lub nie, aby fotografowano ostatnie chwile ich życia.

Hotel Grands Lacs znajdował się kilkaset metrów od umiarkowanych, za wysokimi, bielonymi murami – zatrzymywały niepożądane osoby i odór śmierci. Na parkingu stała cała kolekcja eleganckich, wypasionych land-roverów kolumny transportowej organizacji humanitarnej. Lśniły bielą i sterczały nad nimi cały las anten. Za czarną, żelazną bramą widniała ścieżka obsadzona drzewami cytrynowymi i bugenwillami. Trawniki były tak wypielegnowane, że przypominały Rachel teren przy jej domu w Arlingtonie, z tą tylko różnicą, że tutaj rosły kwiaty tropikalne o niezwykłych kolorach i zapachach. Ścieżka prowadziła do restauracyjnego ogródka, gdzie właśnie podawano lunch na świeżym powietrzu. Mała grupka wolontariuszy jadła przy stolikach nakrytych obrusami w czerwono-białą kratkę, posługując się nienagannie wypolerowanymi sztućcami. Kiloro z nich wybrało krewetki, większość jednak zamówiła steki z frytkami i popijała je czerwonym winem albo piwem Primus w dużych butelkach. Potem przyszła kolej na cappuccino z bitą śmietanką.

– Krępująco wygodnie – rzucił Danny, kiedy szli pomiędzy stolikami.

Becky zniknęła w toalecie. Rachel i Lowenstein stali w recepcji Grands Lacs. Leniwie podpisali się na formularzach meldunkowych i czekali na klucze do pokoi. Zawieszony pod sufitem drewniany wentylator wolno miewał powietrze. Minęło wiele czasu od chwili, kiedy byli tylko we dwoje.

Danny patrzył na nią zupełnie inaczej. Jak na kobietę, a nie głupiutką dziewczynę z Sarajewa. Wykorzystywał każdą chwilę, kiedy Rachel spoglądała w inną stronę, aby się jej przyglądać.

– Chyba trochę lepiej niż w Holiday Inn? – zapytał.

– Raczej tak, jeżeli jest elektryczność, ciepła woda i bar.

– I co, dobrze wy dostać się z Bośni?

Rachel zaskoczyło to pytanie. Zastanawiała się, czy nie odejść od Lowensteina przynajmniej do powrotu Becky.

– Tak, zdecydowanie. Trochę mi jej brakuje, ale już dojrzałam, żeby spróbować czegoś innego.

– Zgadzasz się. Wiesz, że nie chciałem tu przyjeżdżać, sprzeciwiałem się temu, ale teraz czuję się wyzwolony.

– Mój Boże, przecież tu jest zupełny koszmar.

Od razu się zorientowała, że wygłosiła banalne stwierdzenie oczywistej prawdy. Mógłby to podchwycić i napiętnować, ale był czymś zaaferowany. Nawet jej nie słuchał.

– Rachel, muszę ci coś powiedzieć. – Rozejrzała się po holu, udając głuchą. – Pamiętasz, jak w Hiltonie przeprosiłem cię za historię z Karadżiciem i za swoje słowa na przyjęciu? Chcę, abyś wiedziała, że mówiłem szczerze.

Wpatrywał się w nią z napięciem, jakiego jeszcze u niego nie widziała. Znowu odwróciła wzrok.

– Naprawdę, przestań ciągle przeproszać. Minęło wiele miesięcy i już o wszystkim zapomniałam.

– Cóż, zapomniałaś czy nie, proponuję, żebyśmy zaczęli od nowa. Co ty na to?

– Jasne, oczywiście, że możemy, ale szczerze mówiąc, nie widziałam żadnego wielkiego problemu.

– Dobrze. Cieszę się, że załatwiliśmy sprawę. Przyjaciele?

– Przyjaciele.

Becky wyszła z damskiej toalety i ze zdziwieniem pomyślała: Czemu, u licha, Danny i Rachel podają sobie rękę?

19

Irak po wyzwoleniu, sierpień 2004

Czternasty dzień niewoli, jeszcze szesnaście do śmierci. W kącie celi pojawia się kolejny szczur, a może ten sam co po-

przednio. Zaaferowany kręci się wokół jego stóp, obwąchując brudne palce. Danny nie widzi tego, bo myśli o Rachel.

Była wtedy taka młoda, zdeterminowana... tak podobna do niego. Przypomina sobie pierwsze spotkanie, kiedy wioził ją aleją Snajperów. Przyjemnie patrzyło się na jej zadziwienie – w każdym razie powinno być przyjemnie, ponieważ wtedy pozwolił sobie z tego szydzić. Uważał się za kogoś lepszego.

Jego umysł przewija taśmy pamięci tam i z powrotem, wspomnienia przekształcają się w sen i nagle Rachel siedzi w jego toyocie ze ślicznym noskiem przyklepionym do przedniej szyby. Pozostali przyjaciele tłoczą się obok niej – Becky, Edwin i Kaps – i po kolei zamieniają się miejscami, by patrzeć na zewnątrz. Z tą tylko różnicą, że nie są „przyjaciółmi” – czemu upiera się przy tej bzdurnej fikcji? Zazdrosny Kaps, zdradzony Edwin, rozwścieczona Becky. Rachel... cóż, przynajmniej ona go kochała. Na pewno?

Kiedy pyta, czy bezpiecznie jechać dalej, cała czwórka przytakuje głowami. Najpierw delikatnie, potem bardziej zdecydowanie, aż wreszcie ich głowy gwałtownie się kiwają, usta otwierają szeroko. Mieli smutne miny, ale teraz się śmieją, że wysłali go na śmierć, chichoczą i rechoczą. Jedź dalej, Danny, nie bój się! W końcu jesteś dzielniejszy od nas, prawda? Jesteś kimś lepszym!

Budzi się zlany potem i dyszy ciężko. Koszmary szaleją w jego snach i chciałby w ogóle nie spać. Teraz obudziły go szaleńcze szczekanie dzikich psów na zewnątrz celi i nieustanna strzelanina. Znajome dźwięki – tak właśnie spędzał noce w Holiday Inn, wsłuchując się w strzały na żydowskim cmentarzu.

Wartownicy krzyczą do siebie, w ich głosach słychać nuty paniki. Wyobraża sobie biednego Wolnego: na pewno jest zdezorientowany i czeka na rozkazy.

W oddali pulsujący warkot śmigłowców? Widział ich wiele w Iraku – apache, cobry, chinooki. Czuł chłopięce podniecenie,

siedząc w ich otwartych drzwiach. Balsamiczne powietrze nadymało mu policzki, gdy piloci nurkowali nisko i szybko nad dachami Bagdadu, Faludży czy Ramadi, dbając, by żaden powstaniec nie mógł wziąć ich na cel. Przeloty przypominały upajające czasy w Wietnamie – to nie była jego wojna, ale chciał stać się jej częścią.

Śmigłowce zbliżają się, są niemal tuż nad celą. Łopot śmigieł jest tak głośny, jakby maszyny lądowały na dachu. Czy to inny sen? Żeby to sprawdzić, dotyka zainfekowanej rany po oparzeniu i się krzywi. Puls przyspiesza. Na chwilę Danny wyobraża sobie komiksowy ratunek, w którym dobrzy faceci wpadają do środka, a potem witają go uściskiem dłoni i żartem: „Pan Lowenstein, zgadza się?”

Ale warkot śmigłowców powoli cichnie i nie słychać już trzasku wystrzałów.

20

Goma, 1994

Grands Lacs stanowił bazę, z której dojeżdżali na miejsca katastrofy. Najczęściej wyruszali w kierunku Mugungi. Jej księżycowy krajobraz rozciągał się jakieś piętnaście kilometrów na północ. Dziesiątki tysięcy umęczonych uciekinierów docierało tam po tygodniach marszu. Hutu sądzili, że Mugunga będzie dla nich sanktuarium, w którym schronią się przed nacierającą armią Tutsich, ale zamiast tego stała się „Doliną Śmierci”, jak zaczęły nazywać ją gazety.

Nad Mugungą ciągle wisiała mgielka dymów z ognisk obozowych, mieszająca się z popiołami i pyłem z ponurego wulkanu Nyiragongo. Wieloosobowe rodziny tłoczyły się

w prowizorycznych budach, skleconych byle jak z kawałków oenzetowskich plastikowych opakowań i obciętych maczetami gałęzi. Z drzew już dawno temu zostały tylko pieńki.

Cholera kosiła ich tak szybko, że nawet nie nadążali owijać zwłok w maty czy płachty. Martwi leżeli obok żywych, jakby spali – obok mężczyzn rąbiących drewno, kobiet gotujących fasolę i publicznie załatwiających się dzieci. Leżeli tam i na wpół martwi, wijący się w ostatnich, delirycznych stadiach cholery. W powietrzu unosił się obrzydliwy smród rozkładających się ciał, potu, dymów ognisk i kału walającego się po ospowatej powierzchni zastygłej lawy. Ćpuny wojny odniosły wrażenie, że Mugunga to najbardziej zapomniane przez Boga miejsce na planecie. Nie potrafili trzymać się od niej z daleka.

– Najbardziej poraża mnie to, że tak po prostu siedzą tu i czekają. – W czwartym dniu pobytu Rachel szukała drogi między martwymi a umierającymi. – Na co właściwie?

– Na pomoc albo na koniec – odparł rzeczowo Danny. Szedł razem z nią, podczas gdy Becky pracowała z drugiej strony obozu, koło kępy bananowców. – Może uważają to za karę boską. Naturalna sprawiedliwość, pomsta za wszystko co robili Tutsim.

– Ale popatrz na te dzieci. Chyba nie powiesz, że są winne jakiejś zbrodni. Nie wiedzą nawet, czym się różni Hutu od Tutsi.

– Nie założyłbym się. Uczą się tego od urodzenia. Jak muzułmanie i Serbowie w Bośni. Albo protestanci i katolicy w Belfaście. Poza tym, dzięki Bogu za etniczną nienawiść. Bez niej bylibyśmy bezrobotni.

Nie wiedziała, co myśleć o tanim cynizmie Danny'ego – tak odmiennym od moralnej pasji jego tekstów. Niekiedy miała wrażenie, że istnieje dwóch całkowicie różnych od siebie Lowensteinów – Danny i Daniel. Dlaczego czasami chce sprawiać wrażenie tak bezdusznego? Zastanawiała się, czy to tylko ochronny pancerz, czy też rzeczywiście tak myśli – że nie powinien się tym wszystkim przejmować.

Jednocześnie cieszyła się z jego obecności. Gdyby była uczciwa wobec samej siebie, mogłaby zacząć poszukać jego towarzystwa, nawet jeżeli musiałyby chodzić między trupami w Mugundze. Tak sobie początkowo wyobrażała ich relacje, z tą jednak różnicą, że z przymilającej się wielbicielki stała się zdystansowanym rywalem. Gdy zdobyła nagrodę, zaczął traktować ją z szacunkiem, do którego – jak uważała – miała pełne prawo. Jej najnowsze reportaże z Sarajewa, a także kilka z Gomy publikowano w całych Stanach. Trzy trafiły do „Los Angeles Timesa”, dwa do „Washington Post”, a jeden – choć sama nie mogła w to uwierzyć – nawet do „New York Timesa”.

Może Afryka odmieniła Danny’ego, wzmocniła. Rachel przyglądała mu się, jak uważnie słuchał młodego lekarza z organizacji Lekarze bez Granic. Zwróciła uwagę, że jest bardzo opalony. Na Bałkanach był ziemisto blady, tutaj jednak promieniał blaskiem, a przyciemniona skóra wokół oczu podkreślała ich wyraz.

Becky przyłączyła się do innych fotoreporterów, którzy chcieli maksymalnie wyeksploatować Mugungę – Lacroix z AFP, Spinozy z AP, Dirka z Gammy i Jasona Krontza z „Times Magazine”; z tą grupą Rachel po raz pierwszy widziała ją w Splicie. Becky kuśtykała za nimi jak ranne zwierzę usiłujące dotrzymać kroku stadu. Przeklinała drobniutki pył wulkaniczny wciskający się do aparatu, ale znowu rozplywała się nad delikatnym porannym światłem Afryki. Przypominało jej australijskie świty i zmierzchy z czasów, kiedy uczyła się rzemiosła.

Kadr: sześciolatek niesie na plecach maleńką siostrę, jego boscie stopy krwawią, poranione ostrymi jak brzytwy krawędziami kamieni. Pstryk.

Kolejny kadr: zbliżenie twarzy siostrzyczki, jej szklistych oczu. Pstryk, pstryk. Brat pewnie niesie ją gdzieś, żeby tam umarła. W ciszy, aby nikt nie zakłócał jej odejścia. Pstryk, pstryk, pstryk.

Becky wytarła rękawem pot z czoła. Nie była zadowolona.

– To właściwie aż za dużo. Zbyt ponure, zbyt epickie. – Od przybycia do Gomy bezskutecznie szukała zdjęcia, które stanowiłoby kwintesencję katastrofy. Maleńka dziewczynka na plecach brata była dobra, ale niewystarczająco dobra. – Za bardzo... sama nie wiem, na jedno kopyto.

– Taka jest śmierć – stwierdził filozoficznie Krontz. – W ostatecznym rozrachunku dla wszystkich identyczna. Na jedno pieprzone kopyto.

Niemal stracili już nadzieję, kiedy Spinoza dostrzegł coś w rzadko spotykanym i bezcennym cieniu pod zadaszeniem. Pracownica organizacji humanitarnej – chyba Austriaczka z Czerwonego Krzyża – siedziała na kępie wyschniętej trawy z wątłym niemowlakiem w ramionach. Miała na sobie elegancją, świeżo wyprasowaną lnianą koszulę. Rozpięła trzy guziki i wyjęła lewą pierś, odsłaniając zdumiewające, białe ciało przed całą Mugungą. Niemowlę zaczęło ją ssać; drobniutka klatka piersiowa unosiła się i opadała, czarna skóra przyciskała się łapczywie do białej. Muchy zbierały się koło ciekącego noska i zaropiałych oczu malucha. Nieopodal na kamieniu siedziała matka dziecka. Też miała odsłonięte piersi, ale wyschnięte i bezużyteczne. Niemal namacalnie czuło się jej wstyd.

Becky się cofnęła.

– Chłopaki, nie możemy. To byłoby zbyt... natrętne.

Ale Dirk i Krontz, idąc za przykładem Spinozy, już wyjęli aparaty. Po chwili dołączył do nich Lacroix. Jeżeli któryś z nich w ogóle słyszał, co mówiła, nie zwrócił na to uwagi. Fotoreporterzy nie mieli czasu na dylematy – mogli albo wykorzystać okazję, albo ją stracić. Becky też zaczęła fotografować. Kiedy zobaczyła obraz na matówce, wiedziała, że to jest to – chudziutki afrykański niemowlak przyciśnięty do obfitej, pełnej piersi Europejki, niemal nią przyduszony. Żadne z nich nie odważyło się zapytać kobiety o zgodę, by ją fotografować.

Ryzykowałiby, że odmówi albo – co gorsza – odwróci się do nich plecami. Fakt, że nie zrobiła tego, uznali za milczące przyzwolenie. Pierwsze strony gazet i okładki magazynów przyzywały.

– Niezwykłe – stwierdził Krontz, gdy skończyli. Nie mógł uwierzyć w ich szczęście. – Pod każdym względem przebija masowe groby.

Kiedy Becky znalazła Danny’ego i Rachel, opowiedziała im o tym wydarzeniu, aby mogli je opisać. Oni również potrzebowali takiej kwintesencji i orientowali się, że scena z pracownicą Czerwonego Krzyża była, jak to określił Krontz, „dwudziestoczerokaratowym złotem”. Danny zaczął gryzmolić notatki do pierwszego akapitu, zanim jeszcze zobaczył scenę. Napisał: „Mleko ludzkiej dobroci”.

Becky doprowadziła ich na miejsce, ale zażenowana Austriaczka – całkiem rozsądnie – zniknęła.

– O kurwa – zaklęli niemal jednocześnie Danny i Rachel.

– Cóż, łatwo przyszło, łatwo poszło – odparła nie bez zadowolenia Becky.

Wracali smutni do Gomy. Nyiragongo piętrzył się nad nimi jak dyskretna groźba despoty, mruczącego po cichu pogroźki, że pewnego dnia to miejsce może mieć problem nie tylko z cholerą.

Na drodze z Mugungi – coraz bardziej stromej i krętej – dogonili ciężarówkę z trudem pełznącą pod górę. Dopiero po kilku sekundach zdali sobie sprawę, co wiezie. Najnowszą dostawę zwłok z Mugungi. Ciała leżały w zwężającej się ku górze stercie, a jedno z nich – dziewczynka w ładnej, różowej sukience – tkwiło niepewnie na samym szczycie. Kiedy ciężarówka jechała po wybojach, dziewczynka jakby ożywała na chwilę, podskakiwała kilka centymetrów i opadała z powrotem na zmarłych.

Samochód ćpunów wojny trzymał się kilka metrów z tyłu, próbując wyprzedzić zawalidrogę. Przez otwarte okna wpadł pierwszy powiew powietrza cuchnącego rozkładającymi się ciałami. Rachel zaczęła się krztusić. Odór – obrzydliwie słodkawym – nie przypominał niczego, z czym kiedykolwiek miała do czynienia, był najgorszym z możliwych smrodów świata. Przycisnęła do nosa i ust chustę zawiązaną na szyi, ale to niewiele pomogło. Jej wzrok zatrzymał się na haśle reklamowym na tylnej klapie skrzyni ładunkowej: „Guinness dobrze smakuje”.

Ciężarówka trafiła na kolejny wybój i wszystkie zwłoki jednocześnie podskoczyły jak na trampolinie. Dziewczynka w różowym odbiła się najwyżej, a kiedy znów spadła, ześliznęła się po stromym zboczu sterty trupów i runęła na drogę jak popsuta lalka tuż przed maską samochodu ćpunów. Innocent, kierowca, mocno wdepnął hamulec i skręcił, żeby ją ominąć.

Rachel zamknęła oczy.

Ciężarówka popęzła dalej, zostawiając małą na drodze.

– Co robimy? Weźmiemy ją i dogonimy ich? – zapytał Danny.

– Nie bądź śmieszny – zaprotestowała Becky. – Pełno na niej zarazków.

Objechali zwłoki, pocieszając się, że środek drogi jako miejsce ostatniego spoczynku jest lepszy niż masowy grób.

– Ale jedźmy za ciężarówką – powiedział Danny. – To dobry koloryt lokalny.

Wszyscy wiedzieli, do czego dąży. Klasyczny przykład techniki Lowensteina. Rozpracuje temat dziewczynki w różowym. Skoro nie mógł wykorzystać historii z karmiącą piersią pracownicą Czerwonego Krzyża, zastąpi ją martwe dziecko. Niewinność skazana na zagładę, nigdy nie miał tego dość. W tekście maksymalnie przybliży czytelnikom losy dziewczynki. Poczują, jakby ją znali. Aby uzyskać pełny, emocjonalny wstrząs, musiał jednak zobaczyć, gdzie zostałaby pochowana. Dlatego dwadzieścia minut później znaleźli się przy Rowie Dziewiątym.

Po otwarciu drzwi samochodu odór stał się porażający. Rachel pomyślała o mikrobach, które wciągnęła nosem; żołądek podszedł jej do gardła i z ust trysnęła strużka śliny przemieszanej z wymiocinami. W Bośni Danny przewróciłby oczami, ale teraz na chwilę objął ją i zapytał, czy nie wolałaby zostać w samochodzie.

– Dam radę – odparła. – Przepraszam.

– Nie masz za co. To naturalna reakcja.

Pomyślała o pierwszej masakrze, którą widziała – tej w Sarajewie. Przez sześć miesięcy przebyła długą drogę – zdobyła nagrodę, na litość boską – ale jeszcze nie uodporniła się na horrory jak Becky i Danny.

Podał jej tubkę maści mentolowej.

– Rozsmaruj pod nosem. Stłumi odór.

– Dzięki.

– Zawodowy trik.

Odwrócili się, by obserwować, jak hałaśliwe siłowniki hydrauliczne unoszą platformę ciężarówki i zwłoki, wymachując rękami i nogami, zaczynają spadać do świeżo wykopanego rowu. Kilka pierwszych trupów robiło to niechętnie, pojedynczo, a potem runęła cała masa, wielka, zespolona kotłownicą ciał. Cały proces nadzorowali ludzie w maskach i żółtych rękawicach ochronnych, beznamiętni i znudzeni jak pracownicy masarni. Nadjechał spychacz, by wyrównać anonimowe zwłoki, upchać je tak, żeby żadne nie miały więcej przestrzeni niż to konieczne. Przesuwał je tam i z powrotem, aby nie zmarnował się ani centymetr. Oczekiwano kolejnej dostawy. Byłoby niesprawiedliwie, gdyby tamci się nie zmieścili.

Między ramionami lemiesza spychacza znalazła się głowa kobiety. Miażdżyły ją powoli, aż przemieszany z krwią mózg trysnął jak sok z przejrziałego pomidora. Rachel uznała, że dziewczynka w różowym miała mimo wszystko szczęście. Przynajmniej to zostało jej oszczędzone.

Danny zapisywał w policyjnym notesiku szczegóły, realia, czas, liczby. Im gorzej, tym lepiej. Rachel też nagryzmoła kilka linijek, a wysunięta przed ich Becky pracowała nad zmarłymi ze swoim aparatem. Po kilku minutach Rachel zaczęła się niecierpliwić.

– No dobra, wystarczy. Możemy się stąd wynieść?

– Jasne, przepraszam – odparła Becky. – Tylko sekundeczkę. Trzeba trochę czasu, jeżeli się chce, żeby góra trupów ładnie wyglądała. Muszę skadrować ją tak, aby nie uraziła przeciętnego Amerykanina. Jeżeli zdarzy się cud i przeciętny Amerykanin w ogóle to zobaczy.

Po kilku minutach skończyła i wrócili do samochodu.

– Ciebie żaden koszmar nigdy nie rusza? – spytała Rachel.

Becky nie opowiedziała, jak wahała się, czy przeszkadzać pracownicy Czerwonego Krzyża karmiącej dziecko. Musiała dbać o swoją reputację – bezwzględnej i absurdalnie odważnej fotoreporterki.

– Chronią mnie moje kochane obiektywy; fajne grube szkło, które nie pozwoli mnie zranić. Nie jest kuloodporne, ale z całą pewnością bóloodporne.

Nawet mówiąc te słowa, Becky zastanawiała się, w jaki inny sposób ból może ją dopaść.

Tego wieczoru jak zwykle spotkali się koło ósmej przy kolacji na tarasie. Po wysłaniu materiałów każdy wziął prysznic, umył głowę, wyciągnął brud z paznokci i mocno wyszorował skórę na całym ciele, zakładając, że mogła być skażona.

Kelnerzy w Grands Lacs byli uprzejmi, ale hotel szybko się wypełniał i przepracowani uwijali się wśród coraz liczniejszej klienteli, ocierając pot z czoła i znad górnej wargi. Do Grands Lacs zjechało jeszcze więcej przedstawicieli światowych mediów w poszukiwaniu nowych sensacji. Spóźnialscy musieli biwakować na lotnisku, w miasteczku namiotowym pełnym

talerzy anten telewizji satelitarnej, kamer i kabli. Inni ulokowali się w kilku pozostałych hotelach Gomy, ale Grands Lacs był „hotelem prasowym”. Tu należało się znaleźć, dziennikarze więc tłoczyli się w nim, niekiedy po trzech lub czterech w jednym pokoju. Coraz dłużej trwało złożenie zamówienia, a tym bardziej oczekiwanie na posiłek.

Przy stole Danny i Rachel znaleźli się obok siebie. Zaledwie parę tygodni wcześniej ze wszystkich sił starała się, by ich drogi nie skrzyżowały się tak jak obecnie. Ignorowanie go stało się jej obsesją. Teraz – czy to przypadkiem, czy to umyślnie – wciąż siedzieli obok siebie. Irytowała się sama na siebie, że zerka na niego i podobają się jej różne związane z nim drobiazgi – małe niedoskonałości, takie jak te jego głupie buty, wiecznie cieknące pióro wieczne, którym robił notatki, czy stara dziura w bojówkach. Rachel nie miała ochoty polubić Lowensteina. Już raz zmieniła zdanie o Dannym i powtarzanie tej operacji w momencie, kiedy nauczyła się go nienawidzić, wydawało się zbyt skomplikowane.

– Dobrze, że globalna wioska w końcu zaczęła dostrzegać, co się tu dzieje – oznajmił Danny. Wypił duszkiem dwie butelki piwa Primus.

Rachel sęczyła dużą porcję białego, południowoafrykańskiego wina. Było ciepłe i lepkie, ale go potrzebowała. Jej poczucie winy zaczynało słabnąć. Im intensywniej pracowali i z gorszymi rzeczami się stykali, tym mniej się przejmowali, że jedzą kolację niedaleko umierających.

– Nie cierpię tych masowych przyjazdów, zupełnie jakby to były jakieś zorganizowane wycieczki – perorował Danny. – Spójrzcie. Oto chłopaki z wielkiej amerykańskiej sieci telewizyjnej. A tam macie Todda Diamonda z CBS. „Todd Diamond”... co to za imię i nazwisko? Założę się, że nie są prawdziwe, jak ta jego czupryna.

Zobaczyła mężczyznę około sześćdziesiątki; brylował dokładnie tak, jak lubił to robić Danny. Był słynnym dziennika-

rzem wielkiej sieci. Mocno zaczesane na łysinę kosmyki cienkich, szorstkich włosów przypominały sfatygowaną szczotkę do szorowania sanitariatów.

– To najbardziej nieudana próba ukrycia rzeczywistości od czasów Watergate – stwierdziła Rachel.

Danny pękał ze śmiechu. Po raz pierwszy go rozśmieszyła.

– Totalny dupek – stwierdził Danny. – Pewnego dnia widziałem, jak nie wiadomo po co pryska je sprejem. Ale nie uwierzycie, co było później. Wiatr poniósł tę chmurę prosto na stojących za nim uciekinierów. I co wy na to? Przeżyć cholerę i udusić się pieprzonym lakierem do włosów Todda Diamonda.

– Czy nie był kiedyś w ogniu walki?

– Tak, krótko.

– W Wietnamie, prawda?

– I jak Boga kocham, nie wiem, czy kiedyś pozwoli nam o tym zapomnieć. Zawsze gędzi: że Wiet to, Wiet tamto. Słowo daję, kogo to, do kurwy nędzy, obchodzi?

– Ale sam bardzo byś chciał się tam znaleźć, co? Miałbyś używanie. – Rachel czuła się wystarczająco pewnie, żeby go drażnić. – Poza tym w jego wieku też zaczniesz gędzić o Bośni, że Boz to, Boz tamto. A dwadzieścia lat młodszy od ciebie facet powie: „Ale kogo to jeszcze obchodzi?”

Zaskoczyło ją, że Danny znowu się roześmiał. Najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, że przytarła mu nosa. Nawet nieźle się tym bawił.

Byli tak stłoczeni przy kruchym plastikowym stoliku, że jego prawe udo ocierało się o jej lewe. Przypominało to jazdę z lotniska, ale tym razem dotyk nie drażnił Rachel. Danny niemal natychmiast cofnął nogę, mamrocząc przeprosiny, ale kiedy zdarzyło się to po raz drugi, o ułamek sekundy przedłużył kontakt i była to raczej aluzja niż deklaracja.

Po kolacji Rachel i Becky poszły na spacer do hotelowego ogrodu, starając się nie myśleć o umierających na zewnątrz ludziach. Od czasu do czasu Rachel czuła przynoszony wieczornym wiatrem odór martwych ciał, ale postanowiła traktować to jako wytwór swojej wyobraźni albo zapach jakiejś niedokładnie wyszorowanej części ciała. Usiadły na doskonale utrzymanym trawniku, grubym i elastycznym, niemal jak sztucznym. Spryskiwacze nawilżały go co kilka godzin, gdy tymczasem uciekinierzy musieli iść wiele kilometrów, by zdobyć wodę. Leżąc na wznak, spoglądały na niebo usiane gwiazdami. Stykały się głowami, a nogi miały wyciągnięte w różnych kierunkach. Kryjące się wszędzie wokół cykady nieustannie wydawały przenikliwe dźwięki.

– Och, Afryka – westchnęła Rachel. – Chyba mogłabym się w niej zakochać.

– Cóż, znamy kogoś, kto zakochał się w tobie, młoda damo.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Ale serce zabiło jej mocniej.

– Wariuje za tobą i dobrze wiesz, kto taki.

– Nie bądź śmieszna.

– A ty nie zachowuj się tak wstydliwie. Wszyscy to widzą. Po prostu aż trudno uwierzyć po tych skurwysyńskich tekstach na twój temat w Sarajewie. Mężczyźni! Przysięgłabym, że hipokryzję mają zapisaną w genach.

– Po pierwsze, z całą pewnością się we mnie nie kocha. A po drugie, wybaczyłam mu tamtą akcję. Teraz nawet go lubię.

– Pamiętaj tylko, co ci mówiłam, kiedy się poznałyśmy. Dziewczyny go uwielbiają. Czasami ma nad nimi ogromną władzę i nie sądzę, że to zawsze jest zdrowe.

Rachel sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

– Nie rozumiem...

Becky wciąż nie była pewna, czy powinna jej powiedzieć: mogło to popsuć ich przyjaźń. Przewróciła się na brzuch i ukryła twarz w szerokich źdźbłach jaskrawozielonej trawy.

– Danny i ja, my...

– O kurwa.

– Dawno temu, jeszcze w dziewięćdziesiątym drugim, kiedy w Bośni dopiero się zaczynało. To trwało tylko kilka tygodni. Ale Danny podrywa kobiety i... No cóż, po prostu nie chcę, żeby cię zranił.

– Ostrzegasz mnie przed nim?

– Nie, przestrzegam. Tam skąd pochodzę, mają takie określenie: przelecieć i rzucić. Danny kocha kobiety. Ale czy je lubi? Wątpię.

Rachel zastanawiała się nad tym. Miała złe przeczucie, że w słowach Becky może się kryć jakaś doza prawdy. Nie była jednak pewna, czy to zdoła ją powstrzymać.

Becky znów przewróciła się na wznak. Powiedziała swoje i teraz mogła spokojnie spojrzeć Rachel w oczy.

– Nie pozwólmy, żeby kiedykolwiek nas poróżnił.

– Oczywiście – odparła Rachel. – Dlaczego miałyby do tego dojść?

Przez kilka minut leżały na plecach, podziwiając oszalałymi wszechświat.

– Skończyłaś z nim? – spytała Rachel.

– Na litość boską, tak.

– Oczywiście. Teraz masz swojego księcia. Żonatego księcia.

– Ten taki jasny to Saturn?

– Nie waż się zmieniać tematu.

– Jeżeli musisz wiedzieć, dobrze nam się układa. Naprawdę świetnie.

– Słyszę to każdej nocy.

– Przepraszam.

– Moja wina, mam sąsiedni pokój. Posłuchaj, ja też nie chcę, żebyś została skrzywdzona, a obawiam się, że cię on wykorzystuje.

– W jaki sposób?

– Zabawa w podróży, szczęśliwa rodzina po powrocie do domu.

– niesprawiedliwie go oceniasz. W każdym razie, jeżeli mogę przeżyć w strefie wojny, zdołam też przeżyć cholerny romans. Z Danny'ym jakiś sobie poradziłam, prawda?

Naprawdę sobie poradziłaś? – chciała spytać Rachel.

– Ale jak to się skończy, Beck? Odejdzie od Judith i dzieciaków czy też... przeleci cię i rzuci?

– Wiem tylko, że go kocham, a on mnie. To mi wystarczy. Na razie. Może został mi tylko wypożyczony.

– Dziwna pożyczka. Nawet niestosowna.

– Jasne, źle postępuję. No dobrze, niestosownie. Dorastałam, patrząc, jak moi starzy rozszarpują się na kawałki, i nie chcę, żeby jego dzieciaki przeżywały to samo. Ale nigdy nikt go tak bardzo nie kochałam. Strasznie go pragnę. Już od pięciu lat pętam się po świecie, z jednego pola bitwy na drugie: Pustynna Burza, Gruzja, Nagorno Karabach, Chorwacja, Bośnia... do wyboru, do koloru. Z mojej garderoby wysypują się tylko pieprzone podkoszulki. I wiesz co? W każdej z nich byłam samotna. Nie jestem ładna; do tego te dziwaczne czerwone włosy i wielka dupa. A ty, Rachel, nawet nie musisz się starać.

– To po prostu nie...

– Przestań, proszę. Poza tym, że w ogóle nie masz cycków, w porównaniu ze mną wyglądasz jak modelka z wybiegu. To obiektywny fakt; faceci tacy jak Danny pragną cię, po prostu.

– Ciebie też pragnął.

– Nie na długo i tylko dlatego, że w mieście nie było nikogo innego. A teraz jeszcze, do kurwy nędzy, utykam. Cholerna kulawa Becky. No i jestem tu w Gomie i wciąż robię zdjęcia niemowlakom, które już sama powinnam mieć. W każdym razie rzecz w tym, że mężczyźni zawsze mijali mnie obojętnie. Aż do Kapsa. Jakimś niezwykłym cudem uważa mnie za piękną. Sprawia, że czuję się, jakbym do niego należała. Bóg raczy wiedzieć, co we mnie widzi, ale równie dobrze może okazać

się jedynym facetem na świecie, który naprawdę mnie kocha i pragnie. A największym kurewstwem jest to, że nie sądzę, abym kiedykolwiek zdołała uczynić go moim.

– Tak mi przykro.

– Prawdę mówiąc, zazdroszczę ci, Rachel. Może jakaś częśćka mnie nawet cię nienawidzi, bo ostatecznie dopadniesz faceta.

– Danny’ego?

– Którego tylko zechcesz.

Rachel objęła ją i przytuliła mocno.

– Och, dobrze wiem, o ile gorsze bywa życie – powiedziała Becky. – Pewnie jeszcze dziś w nocy znalazłabym kogoś, kto umarłby przede mną i poprawił mi nastrój.

– Rób, co chcesz, Beck. Cokolwiek cię uszczęśliwi. Żadnych więcej kazań, umoralniających gadek.

– Ale jednak uważasz, że to „niestosowne”.

– Wiesz co? Nie jestem pewna, czy miłość kiedykolwiek może być niestosowna.

Jeżeli rzeczywiście jestem ładniejsza, pomyślała Rachel, jeżeli mężczyźni na mnie bardziej zwracają uwagę, w takim razie jak to się stało, że nigdy tak siebie nie postrzegałam? A jeżeli chodzi o seks, to czemu nie miałam go niemal od roku... od tej kłopotliwej, nieudanej przygody z wykładowcą w Wirginii. Takiej niestosownej.

– Jak myślisz, kiedy sobie odpuścimy z tym wszystkim? – spytała Becky.

– Z czym?

– Włóceniem się po świecie. Oglądaniem tego gówna. Opowiadaniem o nim ludziom.

– Jezu, dopiero zaczęłaś. Chyba aż się zestarzejemy i posiwiejemy. Martha Gellhorn* była po osiemdziesiątce, kiedy

* Towarzyszka wypraw E. Hemingwaya na front w Hiszpanii, w latach 1937–1938; później jego żona. Korespondentka „Collier’s Weekly” (przyp. red.).

ostatecznie się wycofała. Co nam daje przynajmniej pół wieku w terenie. W każdym razie zostanę zasuszoną ciotką z kilkoma aparatami na chudej szyi, wciąż radośnie pstrykając różne szamba na świecie, a ty będziesz moją jedyną rodziną.

Rachel chciała zapytać, dlaczego więc Becky nie wróci do Australii, nie spotka jakiegoś faceta i się nie ustatkuje. Miała wrażenie, że przyjaciółka jest uzależniona od takiego życia, a jednocześnie chce innego. Zastanawiała się, czy szybko stanie się taka sama.

Odplywały z powrotem w gwiazdy i towarzyszące im czarne dziury, ale już bez słów. Tylko myślały o tym, kim są i czego potrzebują, aby się spełnić.

Kiedy Becky wśliznęła się do swojego pokoju, zastała w łóżku Kapsa – spał nago z włosami rozrzuconymi na poduszce. Moskitiera, którą próbował umocować pod sufitem, spadła i teraz przykrywała jego długi, brązowy grzbiet i jaśniejsze poślądki.

– Czujesz się jak w domu, co?

Budził się powoli i po omacku szukał zegarka.

– Jest druga w nocy!

– Rozmawiałam z Rachel.

Rozbierała się, a on wyciągnął do niej rękę. Rozpięła stanik i wysunęły się z niego jej duże piersi. Przyglądał się swojej kochance, już rozbudzony i podniecony. Wystarczało, że chociaż chwilę widział skrawek ciała Becky. Czym była władza, którą nad nim miała? Nie powinien jej ulegać, ale pocieszał się, powtarzając sobie, że nie ma wyboru.

– Prawdę mówiąc, lepiej żebyśmy nie uprawiali tu seksu – oświadczyła, odwracając się od niego skromnie. – Rachel w sąsiednim pokoju wszystko słyszy.

– Więc nie krzycz tak głośno.

– Cha, cha, cha. To łóżko skrzypi.

– Chodzi o coś jeszcze.

– Rachel udzielała mi rad.

– Nie kończ. Jestem czarną owcą, parchatą i cuchnącą. Pora wygonić mnie ze stada, tak?

Pociągnął ją na łóżko i ujął w dłonie białe piersi. Tu właśnie cały czas pragnął się znaleźć – między nimi i jej nogami. To była żądza, ale też coś więcej: miał całkowitą pewność, że ciało Becky jest jego miejscem.

Becky sprawiała wrażenie zmęczonej i niezainteresowanej pieszczotami.

– Powiedziała, że mnie wykorzystujesz. Że lubisz podwójne życie: szczęśliwą rodzinę w domu, fajne ciupcianie się w drodze. Cóż, mam dosyć bycia kochanką. Nienawidzę tego scenariusza. Nie cierpię swojej w nim roli.

Nie chciał prowadzić teraz tej rozmowy. Czemu nie mogliby pomówić o tym później... za tydzień, za miesiąc, za rok?

– Mówiłem, kocham cię. Całkowicie, bez reszty.

– To już nie wystarcza, musisz dowieść tej miłości.

– Jak, porzucając rodzinę?

– Wybieraj. Nie możesz tego wiecznie odkładać. Pragnę cię mieć w domu, a nie tylko w hotelu. I nie zamierzam być cholerną Marthą Gellhorn.

– Co takiego?

– Wciąż pętać się po wojnie, z osiemdziesiątką na karku i zwiotczoną szyją.

– Masz wspaniałą szyję Becky. – Kaps zaczął ją całować.

Miał nadzieję, że znów rozpali pożądanie Becky i spopieli wątpliwości, przynajmniej na tę jedną noc. Nie potrafił jej porzucić, ale też nie był w stanie zrezygnować ze swoich chłopców; te dwie prawdy miażdżyły go jak imadło. Zastanawiał się, czy istnieje jakiś sposób, by zmierzyć jego miłość, dzięki czemu dokonałby wyboru tak, jak tego zażądała. Ale nigdy nie czuł, że jego miłość do Becky i synów wzajemnie się wyklucza – tylko Judith tu nie pasowała. Czasami przychodził

mu do głowy niesamowity pomysł, tak groteskowy, że nawet się go wstydził. W takim dniu czarna chmura zniknęłaby z jego życia. Wypadek samochodowy, zabłąkany pocisk karabinowy albo moździerzowy czy choćby atak serca unicestwiłby Danny'ego Lowensteina. I Judith.

– Jeżeli nie idziesz łowić... – tłumaczył im Danny podczas śniadania.

– Wiemy, wiemy – odparł Edwin, który niewiele spał tej nocy. – Nie przynosisz ryb. Oszczędź nam kazań, jest zbyt wcześnie rano.

W rzeczywistości wcale tak wcześnie nie było. Minęła już dziesiąta, a ćpuny wojny siedziały nad gotowanymi jajkami i kawą. Ci sami kelnerzy, którzy obsługiwali do północy, znowu na posterunku, karmili i poili dziennikarzy. Poranna konferencja prasowa – przeprowadzona dla wygody korespondentów na tarasie – właśnie się skończyła. Rzecznicy i pracownicy rywalizujących organizacji charytatywnych kłócili się, jaki jest prawdziwy poziom niedożywienia, podczas gdy dziennikarze siedzieli odrętwiali. W dziesiątym dniu pobytu mieli już dosyć oglądania, słuchania i wąchania umierających. Początkowo jak wygłodniaли rzucili się na tę katastrofę, ale teraz już się napaśli, zawarli więc cichą umowę: czas odpuścić sobie jeden dzień.

– Zapisz cytaty z konferencji – zaproponował Edwin. – Dorzuć ostatnią liczbę zgonów, dodaj jakiś niewykorzystany koloryt z wczorajszej nasiadówki i, hokus-pokus, masz receptę na łatwy artykuł.

– Słuchaj, z tego co im wczoraj wysłałem, wydrukowali dwieście słów, czyli dokładnie dziesięć procent. Wiesz, co mi powiedział jakiś pryszczaty redaktor? Że ludzie chyba nie są już w stanie o tym czytać. Palant.

– Ma trochę racji. Właściwie nie wypadamy z grafików, ale wylatujemy z nich na załamane karku.

– W takim razie wciśnijmy się do nich z powrotem! – zawołał Danny z zapałem neofity. – Wybieram się na jazdę po mieście.

– Stary, pozwól, że zgadnę! Proszę, tylko mi nie mów! – wtrąciła się Becky. – Dla odmiany, Mugunga. Och, cóż za radość! Słowo daję, czysta, żywa rozkosz.

– Nie ma czegoś takiego jak zmęczony materiał. Są tylko zmęczone oczy.

– A dziś rano moje oczy są rzeczywiście diabelnie zmęczone – oświadczył Edwin. – Wracam do łóżka.

– Proszę bardzo. Ktoś się ze mną zabierze?

Nikt nie zareagował.

– No to pieprzę was wszystkich – rzucił radośnie i ruszył do pokoju po torbę. Był równie zadowolony, kiedy pracował sam.

– Poczekaj, Danny. Jadę z tobą! – krzyknął Kaps.

Tego ranka, chociaż widział w Becky niezwykłą piękność, z którą nie udało mu się przespać, i pomimo niespełnionego pożądanego, wybrał okropieństwa Mugungi. Musiał na jakiś czas zapomnieć o ultimatum kochanki, poza tym wołał nie spuszczać Danny'ego z oczu. Miał się na baczności przed energią starego przyjaciela, niesłabnącą bez względu na to, czy pracowali w terenie pierwszy czy dziesiąty dzień. Jak to się dzieje, że nawet na kontynencie, na którym nigdy nie działał, Lowenstein już wie o wiele więcej niż ktokolwiek inny? Czemu jego punkt widzenia jest zawsze świeższy, cytaty są bardziej dobitne, analizy głębsze? Kaps przyglądał się, jak Danny idzie przez taras, rzuca jowialnie *bonjour* dawnemu znajomemu z „Le Monde”, i nie mógł nie podziwiać sposobu bycia, jaki Lowenstein prezentował, od kiedy po raz pierwszy spotkali się w 1991 w Vukovarze.

Dwadzieścia cztery godziny później miał nim gardzić.

Bagdad po wyzwoleniu, sierpień 2004

W korytarzu rozległ się stukot kroków. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do apartamentu prezydenckiego wpadła Melissa, młoda, energiczna producentka z NBC.

– Właśnie dowiedziałam się od naszych ludzi z DC: Biały Dom przedstawia oświadczenie w sprawie Danny’ego.

Kaps włączył zakurzony, psujący się telewizor w samą porę, aby usłyszeć prezydenckiego rzecznika.

– „Prezydent pragnąłby ponownie zaapelować do porywaczy naszego obywatela Daniela Lowensteina, aby postąpili właściwie, uwolnili go od razu, jeszcze dzisiaj. Jak mówiliśmy wcześniej, wstrząsnęła nami wiadomość o jego porwaniu i o warunkach, w jakich jest przetrzymywany. Przekazane nam żądania i wyznaczony termin są oburzające. Stawiamy sprawę jasno. Stany Zjednoczone nie pertraktują, nie pertraktowały i nie zaczną pertraktować z terrorystami. Nie będzie rozmów, targów, płacenia okupu. Porywaczom mówimy raz jeszcze: Daniel Lowenstein jest jednym z najwybitniejszych amerykańskich dziennikarzy i reprezentuje wszystko co najlepsze w naszej wolnej prasie: dociekliwość, ambicję, współczucie. Nikt bardziej niż on nie angażuje się w sprawy Iraku. Jest wspaniałym człowiekiem, wielkim Amerykaninem i chcemy, aby wrócił do domu”.

Telewizja zaczęła puszczać zdjęcia Danny’ego w kombinie. Ćpuny wojny przerzucały programy – wszędzie pokazywano jego poobijaną twarz. Cierpienia Danny’ego przekształcono w informacyjny towar opuszczający linię produkcyjną razem z innymi tematami dnia – cięcia federalnych stóp procentowych, kolejny katastrofalny cyklon w Bangladeszu, skandal seksualny, który wstrząsnął rządem brytyjskim.

Być może dzieliło go zaledwie kilka dni od potwornej śmierci, ale wciąż musiał czekać na swoją kolejkę w światowym porządku informacyjnym.

– Wielki Amerykanin! – odezwała się Rachel. – Danny byłby zachwycony. To nic, że nienawidził wszystkiego, co Ameryka kiedykolwiek zrobiła, a zwłaszcza jej administracji. Jeżeli wyjdzie z tego cało, oprawi sobie ten tekst w złote ramki.

„Jeżeli wyjdzie z tego cało”. Te słowa znów zwróciły ich uwagę na tani, czerwony zegar, który wisiał lekko przekrzywiony na ścianie w kuchence. Plastikowe wskazówki nieustannie odliczały czas do świata bez Danny’ego.

– Takiemu przemądrzałemu dupkowi w Białym Domu łatwo grać twardziela. – Edwin przedrzeźniał napuszoną pewnością siebie rzecznika. – „Nie będzie rozmów, targów, płacenia okupu”. Ciekawe, czy gadałby równie stanowczo, gdyby to jego piękna główka leżała na pieńku. Poza tym, co złego w układach? Włosi ciągle negocjują z terrorystami.

– I Francuzi. I Niemcy – dodała Rachel. – My natomiast mówimy: jest „wielkim Amerykaninem” i zostawiamy go na lodzie.

Dzień po pojawieniu się śmigłowców jest najgorszy, od kiedy poparzone mu rękę.

Wstaje świt, kiedy Blizna wpada do celi z wrzaskiem *Allah akbar!* Towarzyszą mu Szybki i Wolny. Zdejmują więźniowi łańcuchy, ale krępują taśmą klejącą ręce i nogi, potem zawiązują oczy. Jego i tak już mroczny świat znowu staje się czarny. Danny zostaje wyprowadzony na dwór i wepchnięty do jakiejś skrzyni. Czuje zapach drewna. Może to jego trumna.

Kiedy wieko zostaje zatrzaśnięte, ogarnia go potworna klaustrofobia. Tu jest bardzo ograniczona ilość tlenu, myśli, wkrótce zużyje go całkowicie. Spanikowany ustami i nosem gwałtownie wciąga duszne powietrze. Wije się, jakby w jakiś sposób był w stanie się uwolnić z więzów krępujących ruchy.

Po każdym bezsensownym szarpnięciu coraz bardziej się poci i trudniej mu oddychać. Wie, że właśnie tak czuje się ktoś żywcem pogrzebany. Chciałby wrócić do celi. Wreszcie potrafi docenić jej luksusy – powietrze, przestrzeń i małą plamę światła. Nawet szczur był jakim takim towarzystwem.

Strażnicy podnoszą skrzynię. Słyszy, jak przeklinają jej ciężar; upuszczają ją na coś, co dźwięczy jak metal. Z warkotem rusza silnik – jest w pojeździe, ciężarówce lub furgonetce. Zaczyna się podróż; na każdym wyboju na drodze głowa obija się o drewno. Ale ból przynajmniej odwraca uwagę od klaustrofobii.

Danny wmawia sobie, że właśnie na tej drodze wpadł w zasadzkę. Wyboje wydają się identyczne. Tutaj są pies, którego przejechali, i pasterz na wzgórzu. A także toyota z zaprzyjaźnioną osobą w środku. Ale mogłaby to być każda z tych postaci, jakie występują w jego snach, śmiejąc się z niego i żyjąc mu śmierci.

Po półgodzinie silnik milknie. Danny słyszy, jak podnoszą wieko skrzyni; zostaje z niej wyciągnięty. Opaska na oczach przesuwana się nieco i przedostaje się pod nią trochę słonecznego światła. Po raz pierwszy od pojmania Lowenstein czuje świeże powietrze, sugestię nadciągającego wiatru – ciepłego i aromatycznego – i zapach eukaliptusa.

– Gdzie jestem? – pyta cicho, ale nikt nie odpowiada

Do zapowiedzianej egzekucji Danny'ego zostały niecałe dwa tygodnie i ćpuny wojny jak nigdy dotąd nie miały ochoty na pracę, ale nie mogły tak po prostu nic nie robić – dni ciągnęłyby się zbyt wolno. Poza tym trzeba wysyłać materiały, zapisywać kolejne strony. W sierpniu, kiedy zazwyczaj z nowościami było kiepsko, redaktorzy liczyli na takie miejsca jak Bagdad. Tu, dzięki Bogu, wciąż coś się działo, nawet w sezonie ogórkowym.

Wykonywali swoje zadania jak lunatycy. Rachel pracowała nad artykułem o zaopatrzeniu w energię slumsów Sadr City,

a raczej o braku takiego zaopatrzenia. Kaps wyprawił się na dwie doby poza Bagdad razem z Pierwszą Dywizją Kawalerii; „Paris Match” poprosił Becky, żeby zrobiła zdjęcia irackiego policjanta, który nie rzucił pracy, chociaż z tego powodu zamordowano mu żonę. Edwin dostał zlecenie na dwukolumnową charakterystykę Muktady al-Sadry, bo świat akurat zaczął się przejmować tym szyickim duchownym.

Camille została w apartamencie prezydenckim i czekała na wieczorną telekonferencję. Wprawdzie Džamail przewidywająco dał jej klucz, ale wcześniej nigdy nie była tu sama. Zawsze towarzyszyła jej pozostała czwórka – siedzieli jak kupki nieszczęścia na fotelach i sofach, spacerowali po pokoju, stali na balkonie, zabijali czas gotowaniem, jedzeniem, pićciem, paleniem, rozmowami. Teraz miała wrażenie, że jest w domu, z którego wyprowadziła się rodzina – cichym, pustym, ponurym. Zajęła sofę, miejsce Becky i Rachel, i myślała sobie, jakie to dziwne, że jej brakuje tych ćpunów wojny.

– Jest tu ktoś?

Zostawiła drzwi uchylone w nadziei, że wkrótce przyjdą, ale zamiast któregoś z nich do środka wsunął głowę młody, sympatycznie wyglądający Anglik. Powiedział, że ma na imię Jonathan, jest z „Independent” i szuka Edwina. Przyniósł dla niego paczkę – dużą, brązowa koperta wystawała mu z kieszeni jak prezent sterczący z bożonarodzeniowej skarpety.

– Nie zastałem go w pokoju, ale poradzono mi, że bym zajrzał tutaj.

Camille zaproponowała, żeby poczekał, aż Edwin się pojawi. Albo niech zostawi paczkę. To wprawiło go w rozterkę.

– Chętnie bym tak zrobił, ale rzecz w tym, że tu jest gotówka. I to niemała. Jego redakcja w Londynie prosiła, że bym mu ją przywiózł. Poza tym pani na pewno ma dość własnych zmartwień.

Natychmiast zorientował się, że rozmawia z siostrą Danny’ego Lowensteina, i było mu przykro, że się narzuca.

– Nie, naprawdę to żaden problem. Dopilnuję, żeby Edwin dostał przesyłkę. Zobaczę się z nim dziś wieczorem, a najpóźniej jutro rano.

Jonathan uśmiechnął się z wdzięcznością, czując ulgę, że pozbył się kłopotu.

– Podobno jest tu dwadzieścia patyków, ale nie liczyłem. Proszę mu przekazać, żeby w razie czego się ze mną skontaktował. Och, a przy okazji, wierzę, że wkrótce pojawią się jakieś dobre wiadomości.

Camille przypuszczała, że dziennikarze zawsze przewożą duże sumy w gotówce – bądź co bądź w Bagdadzie trudno wyskoczyć do banku przy głównej ulicy. W tym momencie to wcale nie wydawało się jej dziwne.

Jeszcze drzemała, kiedy rankiem rozległo się gniewne łomotanie pięścią w drzwi. Jak rzadko, udało jej się zasnąć i fakt, że ktoś mąci spokój, doprowadził Camille do furii. Otworzyła w szlafroku, bez okularów, z opuchniętymi oczami. Za progiem stał Edwin wściekły, w ponurym nastroju. Przez chwilę pomyślała, że przyniósł złe wiadomości o Dannym.

– Przypuszczam, że masz moje pieniądze. Wolałbym, żebyś mi je przekazała wczoraj wieczorem.

Camille się zmieszła.

– Och, bardzo przepraszam, nie sądziłam, że to pilne. Przypuszczałam, że przyjdiesz do apartamentu.

Edwin oświadczył, że miał inne sprawy na głowie, i Camille już chciała odpowiedzieć, że ona również, na przykład: jej brat może wkrótce umrzeć. Ale machnęła na to ręką, jak zawsze.

– No dobra, a czy teraz mógłbym je dostać? – rzucił opryskliwie Edwin i kiedy podała mu pakiet, nie podziękował i prawie truchtem zniknął w głębi korytarza.

Pomysł, żeby pójść za nim, był absurdalny. Szybko jednak podjęła decyzję, jedną z tych wielu ostatnich – jak prze-

de wszystkim przyjazd do Bagdadu – które ją zaskakiwały, a okazywały się słuszne i nieuniknione. Podejrzewała, że pewnie wróciłyby do łóżka, gdyby nie nietypowy dla Edwina zły humor i gdyby nie telefon od Ramireza. Na dodatek w zachowaniu przyjaciół Danny’ego coś nie pasowało do sytuacji. W tych okolicznościach nie wahała się ani chwili.

Włożyła na siebie leżące w poręcznej stercie na podłodze ubrania z poprzedniego dnia i zeszła do holu w samą porę, by zobaczyć całą czwórkę wychodzącą z hotelu energicznym, pewnym krokiem – Edwina, Becky, Kapsa i Rachel. Oślepiające światło słoneczne uderzyło w nią, gdy tylko wyszła na zewnątrz. Nie miała czasu szukać ciemnych okularów.

Po kilku minutach dotarli do położonej nieopodal herbariarni, przed którą czekał na nich Džamail. Bez żadnego powitania wśliznęli się do lokalu.

Camille dotarła aż tutaj, ale nie wiedziała, co robić dalej. Innego dnia dałaby sobie spokój i weszła, żeby przyłączyć się do nich i wspólnie wypić upragnioną poranną herbatę. Ale tym razem dokonała kolejnego, dziwnie irracjonalnego wyboru – popatrzyła przez brudne okno i przyjrzała się im uważnie.

Od rozpoczęcia wojny chyba ani razu nie myto szyb, ale zdołała dostrzec włączony telewizor i około czterdziestu mężczyzn, którzy zupełnie nie zwracali na niego uwagi. W większości byli w średnim wieku albo starsi i mieli na sobie koszule z rozpiętymi kołnierzykami. Siedzieli w małych grupkach na wyściełanych ławach, wygodnie rozparci i zajęci plotkowaniem; popijali słodką herbatę, palili fajki wodne i grali w tryktraka. Na ścianach za nimi wisiały widoki starego Bagdadu, zegary, miedziane garnki i dzbany.

Dyskretnie wyszukała wzrokiem Becky i Rachel – siedziały na jednej z ław. Wyglądały tu dziwnie, jak kobiety, które weszły do staroświeckiego klubu dla dżentelmenów, łamiąc tym samym regulamin. Kaps stał obok nich, wysoki i silny,

szturchając palcem drobniejszego Dżamaila. Nie słyszała ani słowa, ale od razu się zorientowała, że krzyczą na siebie. Wyglądali jak postaci z niemego filmu. W końcu interweniował Edwin – oparł facetom dłonie o piersi i odpychał ich od siebie.

To co zobaczyła później, zdziwiło ją: Edwin wyciągnął z kieszeni kopertę – o ile dobrze widziała, tę samą, którą niedawno mu przekazała – i teatralnie okazując gniew, podał ją Dżamailowi.

Danny siedzi po turecku na zielonym dywanie – niewątpliwie tanim i jaskrawym. Ale dla niego ma wewnętrzne piękno, zastępuje bowiem betonową podłogę celi. Danny lubi przesuwać palcami tam i z powrotem po atlasowej miękkiej tkaninie. W tym nowym pomieszczeniu też jest ciemno, ale tylko dlatego, że zasłony są stale zaciągnięte. Siedzące niedaleko na sofie kobieta z córką oglądają telewizyjne kreskówki: *Tom i Jerry*, *Scooby-Do* i inne klasyki z czasów jego dzieciństwa w Pittsburghu.

Danny bardzo próbuje się uśmiechnąć, ale go ignorują. Oczekuje się, że będzie siedział razem z nimi, nie odzywał się i nie ruszał. Umowę zawarto bez słów – może korzystać z luksusu, jakim jest gruby dywan, dopóki nie będzie sprawiał kłopotów. Czuje się jak pies przyproszony z budy do salonu, pod warunkiem że nie narobi bałaganu.

Dziewczynka ma jakieś sześć lat; chyba słyszał jej imię: Aisza. Wydaje się, że teraz więźniem zajmuje się jej ojciec, mężczyzna z długą jak u mudżahedina brodą. Większość czasu rozmawia nie z żoną i córką, ale z grupą innych facetów. Nazywają go Abu Omar. Zawsze chodzą wokół domu z karabinami i kablami, a raz mają na sobie kurtki, które makabrycznie przypominają kamizelki samobójców – dom rodzinny stał się wytwórnią bomb. Danny zastanawia się, co biedna Aisza i jej matka rozumieją z tego wszystkiego.

Najczęściej siedzi z wzrokiem wbitym w podłogę, uważając, że bezpieczniej nie widzieć ich twarzy, ale wydaje się, że im wszystko jedno. Jeżeli spoglądają na niego, to z cichą pogardą, ale bez groźby przemocy. Zupełnie jakby go tutaj nie było. Danny'emu się to podoba. Niewidzialność.

Nie ma pojęcia, dlaczego został przekazany innym strażnikom. Może go sprzedano albo po prostu teraz nastąpiła ich kolej. Jest jak krewny niezbyt mile widziany przez wszystkich, ale każdy musi go u siebie przyjąć. Danny wie jedynie, że Bliźna, Szybki i Wolny zniknęli z jego życia, a obecne miejsce pobytu jest w porównaniu z dawną celą zakątkiem rajy. Może po jakimś czasie, za dobre sprawowanie uzyska nowe przywileje – pozwolą mu usiąść na sofie obok Aiszy i jej matki, a w końcu, po wielomiesięcznej nudzie powiedzą mu, że jedzie do domu. Nastąpi pewne poczucie zawodu, przytłaczające wrażenie straty czasu, ale nic gorszego. Po raz ostatni obejrzy *Toma i Jerry'ego* i odejdzie na zawsze.

Rankiem, kiedy Aiszy i kobiety nie ma w pokoju, Abu Omar wciska kasetę do odtwarzacza i każe Danny'emu patrzeć. Tym razem na ekranie nie pojawiają się kreskówki, ale wybuchające przy akompaniamencie dziarskiej muzyki amerykańskie pojazdy wojskowe, a od czasu do czasu tańczący powstańcy. Abu Omar pokazuje palcem telewizor i ryczy ze śmiechu. Potem wrzuca kolejną kasetę. Taśma jest trochę uszkodzona i zniekształcone obrazy się trzęsą, ale widać, jak ubrany w kombinezon Danny błaga o życie. Pewnie tylko on jeden na świecie jeszcze tego nie oglądał. Abu Omar znowu się śmieje i jak dziecko pokazuje palcem najpierw telewizor, potem Danny'ego. Szybko przewija taśmę do momentu, kiedy ukazuje się leciwa para siedząca obok siebie w domu w Pittsburghu. Mówi tylko Eliza Lowenstein. Na jej słowa nałożono tekst mówiony głośno i agresywnie po arabsku, ale w przerwach w tłumaczeniu Danny słyszy, jak matka błaga o uwolnienie syna. Ojciec stoi obok i milczy. Jest o wiele bardziej

siwy, niż Danny pamięta, a także niższy, mocno przygarbiony i pomarszczony. W jakiś sposób bardziej żałosny, jakby również przygotowywał się na śmierć.

Później Danny próbuje nie wracać do tego wspomnienia, ale na pustyni samotności nie ma niczego, co odwróciłoby jego uwagę.

Właśnie powiedział rodzicom o Sophie Heller, jego ładnej dziewczynie z liceum, jak on piętnastoletniej i z charakterem. Ojciec Sophie był jednym z przyjaciół Lukasa w biznesowym Pittsburghu i East Allegheny Rotary Club, dlatego Lowenstein senior może by i zaakceptował tę znajomość, gdyby Danny nie wrócił do domu i przy obiedzie nie oświadczył, że Sophie zaszła z nim w ciążę.

Danny'ego mdliło ze wstydu, ale zdołał przekonać sam siebie, że wreszcie skutecznie zaprotestuje przeciwko wszystkiemu, co reprezentowali rodzice. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej uświadamiał sobie, że to bardziej radykalny akt niż odmowa pójścia do kościoła czy wzięcie udziału w marszu protestacyjnym przeciwko wojnie w Wietnamie. To był prawdziwy bunt przeciwko *ancien régime*.

– Ona urodzi to dziecko.

– Nie bądź śmieszny. – Lukas Lowenstein wiedział, że zagrożone jest wszystko, co osiągnął w tym mieście: jego firma, przyjaciele, reputacja, pozycja w kościele. Jak mogliby go znowu poprosić, żeby czytał Ewangelię? Demoralizacja syna, tak rozmyślna i rozważna, budziła w nim obrzydzenie.

– Co takiego właściwie ci zrobiłem?

– Nic. Dokładnie to.

Ale Lukas tylko pokręcił głową. Jeżeli nawet rzeczywiście przedkładał Camille nad Daniela, to z całą pewnością ta sprawa była udowodniona, że postępował słusznie. Jak miałby nie wybrać uroczej, pracowitej, bogobojnej córki, tylko tego... cóż, syna kanalię? Jak mógłby udawać, że są sobie równi?

Danny odszedł od stołu i jak często wycofał się do swojego pokoju. Camille i rodzice dokończyli posiłek w milczeniu. Słysząc było jedynie brzęk sztućców o zastawę – zgrzytliwe, fałszywie brzmiące dźwięki rozchodzące się echem po domu.

Lukas już układał plan działania. Zorganizuje partię golfa z ojcem Sophie Heller i bardzo szybko dojdą do porozumienia. Nie wolno zwlekać, bo ludzie w hrabstwie Allegheny zaczną gadać, a to zaszkodzi im obu. Sophie zostanie natychmiast wysłana do szpitala. Danny dowie się o wszystkim dopiero po fakcie.

22

Goma, lipiec 1994

Innocent woził Kapsa i Danny'ego, ale podróżowali bez celu, motywowani tylko nadzieją, że natkną się na temat. Nawet Danny musiał przyznać, że rozkaszlane, rzygające, umierające pustkowia Mugungi przestaje być atrakcyjne. Spróbowali więc szczęścia w położonym kilka kilometrów dalej obozie Kibumby.

Najpierw zobaczyli dobrze znane szeregi uciekinierów, którzy z żółtymi pojemnikami na głowach wędrowali kilometrami w poszukiwaniu wody. Potem, jakby bóg newsów postanowił wynagrodzić ich upór, grupa pięćdziesięciu uchodźców zaczęła kotłować się na ziemi, bijąc się i kopiąc.

– Walczą o prowiant! – Danny wyczuł poszukiwane przez cały dzień nowe ujęcie tematu i zaczął szybko notować.

„Chmury kurzu. Poszarpane ubrania. Poszarpana skóra”.

„Deptane małe dzieci. Przez starsze”.

Kaps z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Naturalna selekcja. Na własne oczy widzimy darwinowską teorię ewolucji.

Danny przytaknął i zapisał:

„Przetrwanie najsilniejszych”.

Materiał nabierał kształtu, ale do ideału brakowało ilustrującego zdjęcia. Gdzie jest Becky Cooper, kiedy najbardziej jej potrzebują? W tym momencie Kaps spostrzegł ekipę włoskiej telewizji.

– No nie, nie wierzę. Ona rzuca im cukierki. Ta głupia dziwka naprawdę rzuca dzieciakom słodycze.

Dziennikarka była piękna i szykowna. Z wiszącej na ramieniu torby na sprzęt fotograficzny wyjmowała – jak za sprawą magii – karmelki w różnych smakach i kolorach. Kiedy każda garść eksplodowała nad uciekinierami jak rakietka, dzieci walczyły o zdobycz i nieważne, że niektóre nic nie dostały. Jedna kobieta – intruzka z Włoch – zdołała przekształcić pełną godności nędzę Kibumby w anarchię i oczywiście jej kamerzysta wszystko filmował.

– Chyba się porzygam – powiedział Kaps.

– Te dzieciaki też. Wyobrażasz sobie, jak zareagują ich żółdki?

Danny i Kaps krzyknęli do kobiety, żeby przestała, ale jej spojrzenie wyraźnie mówiło: Kim, u diabła, jesteście i jakim prawem mi mówicie, co mam robić?

– Och, wynośmy się stąd – rzucił zde gustowany Danny.

Kiedy wracali, podszedł do auta Włochów, eleganckiego, z napędem na cztery koła, bardzo podobnego do ich samochodu. Kierowca wyszedł na chwilę, aby obejrzeć spektakl. Danny wsunął rękę przez uchylone okno, wyciągnął kluczyki ze stacyjki i cisnął je na odległość dwudziestu metrów na jałową, pokrytą kurzem ziemię.

– Chryste, Danny! – zawołał Kaps, widząc w nim jakieś szaleństwo. – Trochę przesadziłeś.

– Po prostu nienawidzę ludzi, którzy twierdzą, że się przejmują, a tak naprawdę mają wszystko w dupie.

Innocent zawiózł ich z powrotem do Gomy i znowu krążyli po mieście, nie chcąc wrócić do hotelu z pustymi rękami. Na podjeździe zabitej deskami stacji benzynowej Kaps dostrzegł matkę z dwoma chłopczykami – po trzy, cztery latka każdy. Siedzieli w kucki na ziemi bez żadnej ochrony przed słońcem. Cała trójka sprawiała wrażenie, jakby właśnie zamierzała spokojnie, bez zamieszania poddać się cholercze.

Nie mógł nie przypomnieć sobie Judith, Charliego i Toma i żądania Becky, by porzucił rodzinę. Z ziemi spoglądały na nich trzy pary bezradnych oczu. Jak możecie? – mówiły do przejeżdżających obok dziennikarzy.

Wczesnym popołudniem przeprowadzili wywiad z jakimś bardzo zaangażowanymi irlandzkimi pracownikami organizacji humanitarnej.

– Jeżeli jest gorsze miejsce na ziemi, to jeszcze go nie widziałem – oznajmił jeden z nich ze śpiewną, dublińską wymową. – Żaden człowiek nie powinien tak umierać.

Kaps i Danny byli zadowoleni – cytaty wzbogacały niepokojąco skąpy materiał.

Znowu mijali stację benzynową.

Kaps zwrócił uwagę, że matka i jej synowie upadli. Leżeli w miękkim wulkanicznym pyle, patrząc na drogę w nadziei na pomoc, choć wiedzieli, że najprędzej to śmierć po nich przyjdzie.

Samochód przejechał już kilkaset metrów dalej, kiedy Kaps odezwał się cicho, ale stanowczo:

– Chcę wrócić i pomóc tym dzieciakom na stacji. Musimy zawrócić.

– Jakim dzieciakom? – Danny nawet ich nie zauważył i zawsze z podejrzliwością traktował sytuacje, w których dziennikarz używał słowa „pomóc”.

– Przejeżdżaliśmy już obok nich dwa razy. Jest z nimi coraz gorzej.

– Tak jak ze wszystkimi, jeżeli jeszcze nie zauważyłeś. Nie powinniśmy się rozpraszać. Nie zebraliśmy dosyć materiałów.

– Posłuchaj, daj mi pięć minut, dobrze? Po prostu nie mogę ich zostawić ot, tak sobie.

Danny uniósł brwi. Kaps był w błędzie, tak jak tamta Włoszka. Oni po prostu nic nie rozumieją.

– Daj spokój, nie jesteśmy z instytucji charytatywnej. Jeżeli zaczniemy zajmować się biedakami z ulicy, nigdy nie zbierzemy materiałów.

Kaps czuł wzbierający w nim gniew; gorąca krew pulsowała mu w mózgu. Dlaczego Danny musi o wszystko się sprzeczać? Dlaczego zawsze upiera się, że ma rację?

– Okej, ale jesteśmy ludźmi. Proszę tylko o pięć minut.

– Wiesz, że tu przebywa z milion uciekinierów? Ilu z nich postanowiłeś dzisiaj pomóc?

Kaps nie zamierzał dać się przekonać. Teraz chodziło już o zasady. Nie mógł pozwolić, aby Danny nim dyrygował, a potem zdobywał wszelkie nagrody. Źle zrobił, że z nim pojechał, ale nie było odwrotu.

– A pamiętasz, jak Edwin pomógł tej kobiecie w Sarajewie? Chociaż raz w swoim popierdolonym życiu postąpił właściwie.

Danny westchnął głośno i polecił Innocentowi zawrócić. Gdy dotarli do stacji benzynowej, Kaps podszedł do trójki uciekinierów. Matka leżała nieprzytomna, a oczy jej synów były dłużej zamknięte niż otwarte. Poruszały się ospale, błagalnie.

Kaps próbował obrócić matkę na bok. Powinien już na samym początku się upewnić, że nie zadławiła się językiem. W Walsingham uczono ich układać poszkodowanego w pozycji bezpiecznej, ale kobieta leżała w dwóch kałużach wodnistych wymiocin i kału. Zrobiło mu się niedobrze.

– Na litość boską, człowieku, ona ma cholere! – Danny nawet nie wysiadł z samochodu, ale krzyczał przez otwarte okno. – Już nic nie zdołamy dla niej zrobić.

Kaps poczuł kolejny przyływ wściekłości. Chciał wrzasnąć: Zamknij się choć raz w życiu!

Spojrzał na niewidzące oczy i zdał sobie sprawę, że życie wypłynęło z niej razem z płynami ustrojowymi. Prawdopodobnie stało się to w czasie ostatniej godziny, kiedy jeździli po okolicy, szukając dalszych wiadomości. Chłopcy byli w niewiele lepszym stanie.

– Dla niej nie, ale wciąż możemy uratować dzieciaki.

Uratować. Dla Danny'ego to kolejne słowo z tej samej kategorii co „pomóc” – dziennikarze nie powinni go używać w odniesieniu do samych siebie. Obserwowali, pisali, prowadzili nawet kampanie i agitowali, ale nie pomagali i nie ratowali. Tutaj chodziło tylko o ego reportera, dziennikarstwo oparte na gestach. Znając Kapsa, podejrzewał, iż wynikało to z jego poczucia winy, że wykorzystuje uchodźców, by zdobyć materiał. Albo że pieprzy Becky.

Kaps zaniósł chłopców do samochodu, jednego po drugim. Nic nie ważyli, ich chude, patykowate ręce i nogi zwisały bezładnie, a kiedy kładł ich na tylnym siedzeniu, wydało mu się, iż mogą połamać się jak gałązki. Spoglądały na niego dwie twarzyczki, zdezorientowane, ale piękne, okolone gęstymi, czarnymi loczkami, z jaskrawobiałymi zębami i białkami oczu, płaskimi nosami charakterystycznymi dla Hutu.

– Wspaniale – mruknął Danny. – Naprawdę nie wierzę, że wykręciłeś taki numer. I co teraz zrobisz? Umieścisz ich w dwójce w Grands Lacs?

– Nie bądź fiutem, Danny. Biorę ich do francuskiego szpitala wojskowego przy lotnisku.

Dwaj żołnierze przy bramie mieli berety nałożone pod idealnym kątem. Dumne francuskie *tricolore*s ozdabiały ich ramiona.

– *Ce n'est pas possible** – oznajmił jeden z nich.

– *Nous sommes désolés*** – dodał drugi i zabrzmiało to, jakby rzeczywiście było mu przykro. Istnieją procedury przyjmowania pacjentów do ich szpitala polowego, a żołnierze, tak samo jak Danny, postrzegali stojącego przed nimi niechlujnego, zaniedbanego Południowoafrykańczyka raczej jako kłopotliwego natręta, który wtrąca się do ich codziennej pracy.

Kaps wydobył z pamięci resztki kiepskiej, szkolnej francuszczyzny, by nadal ich błagać.

– *Mais ils vont mourir!****

Żołnierze kręcą głowami i machają rękami, pokazując w górę. Kaps w końcu zrozumiał: chcą, żeby kazał chłopcom wstać, to miał być test pozwalający sprawdzić, czy są naprawdę tak chorzy, jak twierdzi.

– Niewiarygodne, po prostu niewiarygodne – mówi, ale nie ma innego wyjścia, więc wyciąga ich na zewnątrz i przytrzymuje pod ramiona. I po kolei przewracają się jak nowo narodzone źrebaki, które próbują chodzić i nie dają sobie z tym rady.

Żołnierze wzruszają ramionami. Trzeba czegoś więcej, żeby ich przekonać.

Zdesperowany Kaps grzebie w różnych kieszeniach i notesach i znajduje w swoim paszporcie pogniecioną wizytówkę jednego z tutejszych lekarzy, z którym przeprowadził wywiad – Jeanem-Michelem Maillardem. Na takich drobiazgach, myśli, wiszą cieniutkie niteczki ludzkiego życia.

Dzieci przyjęto po kilku minutach i natychmiast uznano za przypadki priorytetowe. Pielęgniarki zaniósły chłopców na rękach do namiotu intensywnej opieki; do ich ust, nosów i rąk niezwłocznie podczepiono oszałamiający zestaw rurek i kroplówek; lekarze gorączkowo uwijali się przy małych pacjentach.

* *Ce n'est pas possible* – Niemożliwe.

** *Nous sommes désolés* – Przykro nam.

*** *Mais ils vont mourir!* – Ale oni umrą.

Stan ostrożnego braku zainteresowania minął i teraz naród francuski zrobiłby wszystko dla tych dwóch kruchych Hutu.

Jeszcze nic nie wiadomo, wyjaśnia pielęgniarz Kapsowi poważnym tonem. *Peut-être oui, peut-être non**. Wydaje się przejęta ich losem podobnie jak on i bliska płaczu. Nawet Danny się zaangażował i już nie krytykuje Kapsa ani nie chce wracać do Mugungi. Kaps jak zaniepokojony ojciec postanowił zostać przy chłopcach, dopóki nie wydobrzeją albo nie odejdą. To są Charlie i Tom. Kiedy otwierają oczy, ich wzrok błaga go o ochronę przed apokalipsą ludobójstwa, choroby i rozwodu. Pomóż nam. Daj czystej wody, lekarstw i kochającego ojca.

Doktor Maillard przegląda jakieś wykresy. Dobrze mówi po angielsku, ale bardzo szybko i z taką dziwną wymową, że muszą mocno się starać, by go zrozumieć.

– U obu przestały funkcjonować nerki. Są też w szoku i zupełnie odwodnieni. Tak się dzieje w ciężkich przypadkach cholery.

– Więc uważa pan, że umrą? – pyta Kaps.

– Oczywiście mam nadzieję, że nie, ale to możliwe. Nawadniamy ich kroplówkami i podajemy antybiotyki przeciwko biegunce. Dzieciom powinno się dawać erytromycynę, ale mamy tylko tetracyklinę. Zasadniczo jest dla dorosłych, ale musi wystarczyć. Jutro samolot dostarczy nowy transport leków, ale nie możemy czekać.

Ponad dwie godziny siedzą obaj na dwóch stołkach w rogu namiotu pełnego kurzu i hałasu. Postawiono go tuż koło jedynego pasa lotniska w Gomie, skąd ryczące silniki samolotów z pomocą ogłaszają, że świat dostrzegł kolejną afrykańską katastrofę, ale za późno, o wiele za późno.

Kaps i Danny patrzą, jak chłopcy się wiją; ich chude ciała wykręcają się jak u akrobatów, bolesne skurcze szarpia ich

* *Peut-être oui, peut-être non* (fr.) – Może tak, może nie.

brzuchy i uda. Kaps pochyła się nad maluchami i po kolei przykłada grzbiet dłoni do czoła każdego z nich. Nieprawdopodobne że w namiocie, w którym panuje ogłupiający upał, mogą być tak lodowato zimne.

– Popatrz na ich skórę – mówi do Danny’ego. – Ziemisto-szara, nie czarna. A twarze... przypominają maski pośmiertne.

Kilka pielęgniarek sprawdza kroplówki i usiłuje usunąć kał i wymiociny, te jednak płyną nieustannie. Ciała dzieci są tak wysuszone, że trudno pojąć, skąd biorą się te płyny.

Kaps – jak Danny – zatwardziały ateista modli się w milczeniu. Pora na wiarę, a nie sceptycyzm, ale kilka minut później zastanawia się, co właściwie robi, błagając o cud. Może Danny miał rację; to wszystko wydaje się absurdalne, a nawet samolubne. Może nie chodzi o tych dwóch chłopców, ale o niego. Ale nie odejdzie, nie porzuci ich teraz, i jest wdzięczny Danny’emu przynajmniej za to, że tego nie proponuje.

Przez chwilę Kaps myśli, że chłopcy już umarli, ale tylko zasnęli wyczerpani walką o życie. Patrzy na ich piersi na wypadek, gdyby słabe, ledwo zauważalne unoszenie się i opadanie ustało. Wspomina czasy, kiedy czytał Charliemu i Tomowi bajki na dobranoc i obserwował, jak cudownie zapadają w sen. A potem sumuje chwile, gdy był od nich daleko – wychodzą mu dwa lata z ich pięciu lat życia. A teraz Becky proponuje, żeby ich całkiem porzucił, żeby dorastali z samotną matką i nauczyli się gardzić ojcem.

Kwadrans później jeden z chłopców, trochę chudszy i słabszy od brata, budzi się z atakiem kaszlu – równie anemicznego jak on sam. Dźwięki stają się coraz głośniejsze, dłuższe i ochrypłe, aż Kaps odnosi wrażenie, że zaraz rozerwą małe gardelko. Z ust sączy się krew. Kaps zrywa się, by biec po pomoc.

– Dławi się na śmierć! – krzyczy do znajdującej się w pobliżu pielęgniarki. Przykłada rękę do szyi w razie, gdyby nie zrozumiała.

Kobiecie udaje się uspokoić chłopca; przekręca go na bok i suchy kaszel stopniowo przechodzi w łagodniejszy charkot. Pielęgniarka spogląda na dziennikarza ze smutkiem, jakby chciała powiedzieć, że niewiele można zrobić i powinien przygotować się na najgorsze.

Kaps siada, by znowu pełnić dyżur. Danny od czasu do czasu zapisuje coś w notesie, ale obaj nie odzywają się do siebie. Kaps nie jest w nastroju na czcze pogawędki ani na typowy dla ćpunów wojny wisielczy humor. Prawdę mówiąc, w ogóle nie ma ochoty na rozmowę z Dannym.

Milczące czuwanie kończy się, gdy wraca doktor Maillard, aby znów zbadać pacjentów. Przykłada stetoskop do kruchych klatek piersiowych i gdy ogłasza werdykt, dziennikarze i pielęgniarki wsłuchują się w każde jego słowo.

– *Je crois qu'ils vont vivre**.

Kaps go obejmuje. Ma ochotę paść na kolana i dziękować Bogu, w którego na ten dzień uwierzył.

Następnego ranka Danny spóźnił się na śniadanie; na codzienną konferencję prasową w ogóle nie przyszedł.

– Rany, to naprawdę mocny kawałek. – Michel z UNHCR wymachiwał zwiniętym faksem. – Przysłali mi to kumple z Nowego Jorku. Nieźle ich wzięło.

Danny uśmiechnął się z wdzięcznością, ale skupił się na soleniu gotowanego jajka.

– Co to takiego? – spytała Rachel.

– Och, taki drobny artykulik, który popełniłem tej nocy.

– Oto on, jeżeli chcecie zerknąć – oznajmił usłużnie Michel.

Danny sprawiał wrażenie skrępowanego.

Rachel zaczęła czytać na głos z dwóch cienkich, lśniących kartek papieru do faksów. Tusz wydruku był lekko rozmazany.

* *Je crois qu'ils vont vivre* (fr.) – Wierzę, że będą żyć (przyp. red.).

Becky, Edwin i Kaps nie mieli nic lepszego do roboty, więc stłoczyli się przy Rachel.

„Nadzieja i miłość w czasach cholery

Daniel L. Lowenstein, Goma

Ich czarna jak węgiel skóra stała się ziemistoszara, twarze przypominały pośmiertne maski. Francuscy lekarze wojskowi nie znali imion tych dwóch chłopców, których znaleźliśmy na ulicach Gomy, ale nazywali ich: Nadzieja i Miłość. W mieście zmarło wczoraj trzy tysiące uchodźców, ale przynajmniej te dwa młode istnienia zostały oszczędzone i lekarze powiedzieli, że to znak, iż pomoc międzynarodowa może się przyczynić do zmniejszenia okrutnego żniwa śmierci.

Natknęliśmy się na chłopców na stacji benzynowej. Matka dzieci zmarła; leżąca we własnych wymiocinach – kolejna ofiara cholery i dyzenterii, która w ciągu dwóch tygodni zabiła około trzydziestu pięciu tysięcy osób. Chłopcy już byli sierotami i jak wielu innych wkrótce staliby się kolejnymi zwłokami. Po zawiezieniu ich do francuskiej wojskowej jednostki medycznej czekałem i patrzyłem, jak walczą o życie...”

Kaps usłyszał już dosyć.

– „Czekałem i patrzyłem”? Przepraszam, Danny, ale skąd właściwie wzięłeś to „ja”?

Danny niby przypadkiem był pogrążony w rozmowie z Michelelem i udał, że tego nie usłyszał, więc Kaps, zaskakując sam siebie, wrzasnął na niego.

– Hej, Danielu L. pierdolony Lowensteinie, mówię do ciebie!
– Dojrzewająca w nim zazdrość wreszcie znalazła upust. Wtrącenie „pierdolony” do pretensjonalnego podpisu Danny’ego wydawało się cudownie obrazoburcze niczym ciśnięcie cegłą w witraż. Śniadanie w Grands Lacs nagle zmieniło się w żywy obraz. – Ty nie chciałeś mieć z nimi nic wspólnego. „Nie jesteśmy z instytucji charytatywnej”, oświadczyłeś. Ty pozwoliłbyś tym dzieciakom umrzeć na poboczu razem z matką.

– Uspokój się, dobrze? To nic wielkiego.

Kaps cały się trząsał. Inni spoglądali na niego z niepokojem. Nigdy dotąd nie widzieli go w takim stanie.

– Oczywiście, że to coś wielkiego. Pieprzony hipokryta. A w ogóle, od kiedy zacząłeś kraść innym materiały?

– Nie bądź takim cholernym świętoszkiem. Sam mogłeś to napisać, nikt cię nie powstrzymywał. Owszem, ty wpadłeś na pomysł, żeby zawieźć ich do szpitala, dlatego napisałem „my”.

– Napisałeś też „ja”. I posłuchaj tego: „Ich czarna jak węgiel skóra stała się ziemistoszara, twarze przypominały pośmiertne maski”. Rany, ależ to poetyckie, cóż za chwytliwy początek, ale zastanawiam się, dlaczego brzmi znajomo. Jezu, mógłbym cię oskarżyć o plagiat.

Danny doskonale wiedział, że plagiat jest jednym pasującym do tego określeniem, a kradzież drugim, ale padła o jedna obelga za dużo. Nie widział powodu, dla którego musiałby znosić bluzganie Kapsa, którego zawsze traktował jak swojego ucznia, w pewnym sensie protegowanego. Pomagał mu w Chorwacji w 1991, kiedy Kaps był początkującym korespondentem wojennym, nikogo nie znał i słabo się we wszystkim orientował. Teraz Danny dostrzegł Rachel – kolejną nowicjuszkę – i zobaczył zmieszanie na jej ładnej buzi. Usiłowała podjąć decyzję, kto ma rację, a kto nie, i to sprawiało mu ból. Musiał się bronić.

– Słuchaj, Kaps, mówisz, że pozwoliłbym dzieciakom umrzeć. Ale ty sam nie masz problemu z tym, że każdego dnia setki innych umierają w obozach. Może więc zorganizujesz wahadłowe transporty, żeby przewieźć całą tę zgraję do szpitala? Dlaczego nie jesteś teraz tam, tylko na śniadaniu? No, czemu pomogłeś właśnie tym dwóm chłopcom i nikomu innemu?

Kaps mógłby odpowiedzieć: „Ponieważ to byli moi synowie”. Zamiast tego podszedł blisko Danny’ego, jakby zamierzał go uderzyć.

– Dobra, w takim razie mam do ciebie pytanie. Dlaczego w ogóle o nich napisałeś, skoro zajmowanie się pojedynczymi osobami jest takie niesłuszne? Czemu wybrałeś Nadzieję i... jak tam szło? Aha, Nadzieję i Miłość. Urocze imiona, jak mogłem zapomnieć? Zabawne jednak, nie pamiętam, żeby wtedy ktokolwiek je wymieniał. Co za idiota ze mnie, przegapiłem ceremonię chrztu. Albo może ten drobiazg też zmyśliłeś? Miłość, nieźle. Świetnie współgra z „w czasach cholery”* . Trochę jak z książki, co? Pasuje jak ulał na zajebisty tytuł. Ktoś mógłby pomyśleć, że tak to sobie zaplanowali. Albo że ty zaplanowałeś.

Rachel bała się, że zaczną się bić. Byłoby to szalenie nieprzyzwoite – dwaj przedstawiciele dziennikarskiej elity tarzają się po ziemi w samym środku afrykańskiej katastrofy i kłócą jak rozpuszczone dzieciaki, gdy tymczasem niedaleko stąd umierają ludzie. Na wszelki wypadek objęła Kapsa ramieniem.

– No już, chłopaki, uspokójcie się, dobrze? Chyba to jakieś nieporozumienie.

– Owszem – odparł Kaps. – Nieporozumienie co do znaczenia słowa „prawda”.

Płonęło w nim święte oburzenie, podsycane zakłopotaniem i upałem rozpoczynającego się dnia. Nie miał ochoty dalej się sprzeczać. Wiedział, że Danny jest na tyle sprytny, że zdoła obrócić sytuację na swoją korzyść. Dlatego teatralnie cisnął faks na podłogę, przydepnął go, zostawiając na pierwszej stronie odcisk podeszwy sandała, i energicznym krokiem ruszył do pokoju.

Michel podniósł faks, otrzepał z kurzu i znów przeczytał tekst, który wywołał tyle zamieszania – najpierw w Nowym Jorku, a teraz w hotelu Grands Lacs. Bez względu na związane z nim aspekty moralne – czy niemoralne – artykuł był poruszający.

* Nawiązanie do powieści G. Márqueza *Miłość w czasach zarazy* (przyp. red.).

Kaps przeszedł już kilka kroków, kiedy postanowił przypuścić ostatni atak. Nie mógł się pohamować. Zatrzymał się i wrócił do Danny'ego.

– Wiesz co? Wykorzystujesz ludzi.

– Chyba zauważyłeś, że wszyscy to robimy. Przy każdym temacie, którym się zajmujemy.

– Może i tak, ale coś ci powiem, Danny: jeżeli chodzi o wykorzystywanie ludzi, jesteś pieprzoną klasą samą dla siebie. Już nigdy ci nie zaufam. Absolutnie w niczym.

Danny wzruszył ramionami. Ćpuny wojny były jego przyjaciółmi, trzymał się z nimi w podróży i od czasu do czasu ich dymał: nigdy zbyt nie zastanawiał czy go lubią. Najważniejsze, by okazywali mu szacunek. Kapsowi minie. Zawsze mijało.

– Wyluzuj, dobra?

– Chcesz wiedzieć, Danny, czego najbardziej nienawidzę? Ludzi, którzy mówią, że się przejmują, a tak naprawdę wszystko mają w dupie.

Tego wieczoru w zatłoczonym barze nie podjęto oficjalnej decyzji, by ignorować Danny'ego, ale nikt nie przejawiał też specjalnej ochoty, by z nim rozmawiać. W jednym końcu sali Kaps siedział przy stoliku z Edwinem, Becky, Spinozą i Krontzem. Pili dżin z tonikiem i starannie unikali spoglądania w kierunku Danny'ego. On zaś tkwił po przeciwnej stronie zatopiony w rozmowie z jakimiś ludźmi z holenderskiej telewizji, którymi kiedy indziej nie zawracałby sobie głowy.

Kaps czekał cały dzień, aby ochłonąć. Przyznawał, że w jakiejś mierze złościł się na samego siebie. Danny miał rację, Kaps też mógł napisać ten artykuł. Był mistrzem w niewykorzystywaniu nadarzających się okazji, opuszczaniu jakiegoś miejsca za wcześnie lub docieraniu tam za późno i wiecznym wmawianiu sobie, że następnym razem się uda. Danny wyróżniał się doskonałym instynktem i większym uporem. Nic dziwnego, że zawsze zdobywał nagrody.

Kaps był górą jedynie w swojej wyobraźni – „reportażach fantastycznych”, jak je nazywał. Tworzył własną wojnę lub kryzys w mitycznej krainie, w której jakimś cudem okazywał się jedynym dziennikarzem, i cały świat rzucał się na każde jego słowo. Kiedy wracał do domu, czytelnicy i koledzy witali go owacyjnie jak bohatera, ustawiały się kolejki, aby podpisać z nim umowę na książkę, dostawał mnóstwo nagród. Przygotowywał nawet odpowiednie przemówienie. Czasami pod prysznicem albo w kąpieli uświadamiał sobie, że je wygłasza, i się uśmiechał. Najlepszą rzeczą w tych reportażach fantastycznych była pewna nieobecność. Danny w nich nawet nie istniał.

Kaps siedział jak w transie. Rozrywał pustą paczkę po papierosach Edwina i nerwowo układał kawałki tektury na stole – w trójkąty, kwadraty, krzyże – a potem zaczynał od nowa. Jego obramowana włosami twarz zmarszczyła się w skupieniu, kiedy zastanawiał się, jak bardzo kocha i nienawidzi Lowensteina. Danny okazał się szarlatanem i oszustem, a Kaps pozwolił „przyjacielowi” się wykorzystać. Może dlatego Danny trzymał się niego tak blisko, żeby móc kraść tematy.

Rachel zdążyła już wysłać materiał i zadzwonić do domu, do ojca i teraz przyszła ze swojego pokoju. Zauważyła przy barze samotnego i odtrąconego Danny’ego. Nigdy nie myślała, że kiedykolwiek zrobi się jej żal Lowensteina, ale przynajmniej w jakimś stopniu tak się stało. Triumf w Hiltonie dał jej nową wiarę w zdolność oceny i postanowiła wyłamać się ze zbiorowego bojkotu. Według niej nie miało większego znaczenia, kto wpadł na pomysł, by uratować życie chłopcom. Kłótnię przy śniadaniu uważała za niestosowną, ważniejsze wydawało się jej to, że tekst Danny’ego mógł – po raz kolejny – wyrwać świat z samozadowolenia. Artykuł był przejmujący i na pewno by go chwaliła, choć wcale nie po to, by sprawić Danny’emu przyjemność. Reputacja Lowensteina już jej nie fascynowała ani nie ośmielała. Podeszła do niego, a Danny od

razu przestał interesować się ludźmi z holenderskiej telewizji. Już ich nie potrzebował.

– Zupełnie mnie nie obchodzi, co mówi Kaps – oświadczyła. – Napisałeś dobry kawałek.

– Bardzo szlachetnie z twojej strony, ale Kaps ma rację. Wykorzystałem sytuację.

– Wścieka się, bo sam zawalił sprawę. Poza tym, jeżeli ktoś tu jest oszustem, to właśnie on. Okłamuje własną rodzinę.

Natychmiast pożałowała swoich słów. Nie miała prawa moralizować, a tym bardziej zdradzać przyjaciela.

– Na swój sposób wszyscy jesteśmy oszustami – stwierdził Danny. – No wiesz, popijamy tu dżin z tonikiem, a niedawno nas dla ludzi nastąpił koniec świata.

Dziś wieczorem widziała go w innym świetle. W Sarajewie nie potrafiła oddzielić jego wyglądu od arogancji. I jedno, i drugie było zbyt dobre. Teraz w izolacji – w tak szczególnym odtrąceniu – wydawał się bezbronny i piękno w jakimś stopniu wróciło.

– Napijesz się? – zapytał.

– Jasne.

W parną noc piło się dobrze. Gawędzili swobodnie, rzucając wyzwanie otaczającej ich wrogości. Kiedy pod wpływem alkoholu już się wyluzowała, poczuła nieodpartą potrzebę, żeby przeanalizować go dokładniej: zbyt długo znała i zarazem nie znała Danny'ego.

– Wiesz, Danielu L. Lowensteinie, zastanawiałam się, kim jesteś. Kiedyś czytałam tyle twoich rzeczy, aż w końcu uznałam cię za swojego przyjaciela, jeszcze zanim się poznaliśmy. Zupełne szaleństwo. Ale potem, po tej akcji w Sarajewie, miałam wrażenie, że jesteś kimś zupełnie innym

– Już cię przeprosiłem za Karadżicia.

– A ja doceniłam twój żal za grzechy. To już przeszłość. Prehistoria. Ale chcę się dowiedzieć, co powoduje, że bywasz tak pewny siebie.

Wpatrywał się w szklaneczkę, mieszając drinka z zakłopotaniem. Przypuszczał, że od dziecka zawsze był pewien siebie. Zbyt pewien.

– Nie najlepiej idzie ci autoanaliza, co? – zapytała, podpuszczając go trochę.

– Wolę raczej analizować świat. Za to mi płacą.

– Stajesz się kimś innym, kiedy już zsiądziesz z tego swojego wysokiego konia.

– No tak, ale tyle czasu trzeba z niego złązić.

Zaskoczyło ją, że Danny żartuje sam z siebie, i roześmiała się głośno.

– Interesuje mnie twoja pasja. „Dziennikarstwo zaangażowane”, czy nie tak nazywasz je w swojej książce? Zawsze chcesz stawać po stronie dobra przeciwko złu.

– Uważasz, że powinienem wystąpić po stronie zła?

– Czasem czytelnicy mogliby sami wyciągać wnioski. Na przykład masowe groby mówią same za siebie.

– Może. Ale „z jednej strony to”, „z drugiej strony tamto” jest takie mdłe. Jeżeli masz być oczami czytelnika, powinnaś mu mówić, co widzisz, a nie udawać ślepego.

– Oczywiście, to co widzisz, ale nie zawsze co myślisz. Nie zrozum mnie źle, uwielbiam twoje teksty. I twój zapał. Wczoraj na przykład po prostu nie odpuściłeś. Nie zrobiłeś sobie przerwy.

– I widzisz, do czego mnie to doprowadziło.

– Ale z czego to się bierze? Jesteś taki... niepoahamowany.

– Pochodzę z najbardziej aroganckiej rodziny w Ameryce, a jak wiesz, to kraj bardzo aroganckich rodzin. Mój tatuś był typowym przedstawicielem korporacyjnych Stanów, a siostra nie mogła się doczekać chwili, kiedy też znajdzie się w tym świecie. Cała familia z ryjami w korycie, wyobraź to sobie. Bardzo się zgorszyli, kiedy zostałem dziennikarzem. Nie chodziło o zarobki, po prostu nie widzieli sensu.

– Ale to, co osiągnąłeś, musi im sprawiać przyjemność.

– Nie wiem. W ogóle z nimi nie rozmawiam.

Zamierzała pytać dalej, ale zauważyła, że właśnie odsto-
niła otwartą ranę.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

– A co z tobą, Rachel Kelly? Czy ja też mogę ci zadać parę
pytań?

Rachel spodobało się, że zwrócił się do niej imieniem
i nazwiskiem, tak jak ona do niego. To sugerowało, że powstał
między nimi nowy rodzaj zażyłości. Chwilę bawiła się bran-
soletką i mieszała dżin z tonikiem.

– Moja rodzina również nie jest zbyt zadowolona, że wy-
brałam dziennikarstwo. Czyli mój ojciec, właściwie mam tyl-
ko jego. Nienawidzi samego pomysłu, że będę podróżować,
przebywać gdzieś poza domem.

– Zmieniłaś się, wiesz? Od chwili kiedy zjawiłaś się w Sa-
rajewie.

– Irytowałam cię, prawda?

Danny pamiętał, jak gardził jej naiwnością. Chyba widział
w Rachel wszelkie grzechy Zachodu – z radością dała się wy-
prowadzać w pole Serbom, Karadżiciowi, omamić pocałun-
kiem, spotkaniem ze snajperem w Grbavicy. Wtedy uosabiała
w jego oczach NATO i ONZ, i wszystkich słabiutkich polity-
ków świata.

– Byłem za bardzo pochłonięty tą sprawą. Uważałem, że
to mój temat i nikt nie może o nim pisać, a zwłaszcza...

– ...nowicjuszka Rachel, która o niczym nie ma pojęcia?
– dokończyła.

– Coś w tym rodzaju.

– Założę się, że kiedy tam przyjechałeś, sam nie bardzo
się orientowałeś w sytuacji.

– Pewnie tak. No cóż, bardzo się rozwinęłaś w te pół roku.
Nie chcę traktować cię protekcjonalnie, ale jak Boga kocham,
jesteś najbardziej utalentowaną dziennikarką, jaką czytałem
w gazecie. Urodziłaś się, by pisać.

Rachel niemal parsknęła drinkiem. Nie wiedziała, czy Danny komplementuje ją w jakimś celu, ale czuła, że policzki palą ją tak jak zawsze, gdy ludzie mówią o niej miłe rzeczy.

– A przy okazji – ciągnął. – Nie mam w zwyczaju chwalić rywali.

Kiedy Danny się zastanawiał, jak i gdzie dokładnie zaczęło się jego zauroczenie, doszedł do wniosku, że w Sarajewie, tego dnia, kiedy Becky została ranna. Gdy zobaczył, jak Rachel nurkuje do rowu z hełmem przekrzywionym na bakier, uświadomił sobie z zaskoczeniem, że pragnie ją chronić. Potem usiłował jakoś do niej dotrzeć, ale go ignorowała – ze zrozumiałych względów, musiał przyznać. W Gomie czekał na ćpunów wojny w nadziei, że Rachel też przyleci, i kiedy rzeczywiście ją zobaczył – Alleluja! – udało mu się usiąść koło niej w samochodzie w czasie jazdy z lotniska, a potem przy posiłku. Było w tym coś niedorzecznego – miał prawie czterdzieści lat, ona niewiele ponad dwadzieścia – ale też cudownego. Stracił kontrolę nad emocjami i podobał mu się wywoływany nimi zawrót głowy.

– A więc jestem rywalem? – zapytała Rachel.

– Oczywiście, ale liczę na to, że również przyjaciółką.

Wkrótce rozmawiali na ulubiony temat Rachel: jej plany zawodowe. Danny występował w roli mądrego doradcy, a pan-na Kelly gorliwej uczennicy. Lowenstein był teraz całkowicie nią zafascynowany; poza Rachel nie widział niczego innego w barze, w całej Afryce. Natomiast ona czuła ulgę – tak właśnie powinno być od samego początku. Zupełnie jakby spotkała kogoś innego, nowego Danny'ego – takiego, jakiego sobie wyobrażała. Rywala i przyjaciela.

W drugim końcu baru Edwin zniknął, aby razem ze Spinozą i Krontzem wciągnąć trochę koki. Becky i Kaps nie mieli nastroju, aby im towarzyszyć. Siedzieli trochę skrępowani.

– Te dzieciaki naprawdę cię poruszyły, co? – zapytała Becky.

- Oni po prostu... och, to bez znaczenia.
- Mów. Przypuszczam, że to jednak ważne.

Wiedział, że wszystko co powie, zabrzmie beznadziejnie irracjonalnie. Jak mógłby choć zacząć tłumaczyć, że dwaj afrykańscy chłopcy, których nigdy wcześniej nie widział na oczy, spowodowali, iż postanowił bardziej kochać swoje dzieci?

– Posłuchaj, jeżeli chcesz wiedzieć, przypomnieli mi Charliego i Toma. Siedzieli tacy bezbronni tam na drodze, zwłaszcza kiedy zorientowałem się, że ich matka nie żyje. Nie mogłem ich tak zostawić

– To rozumiałe. I chwalebne.

– Nie, niezupełnie. Poczułem się niesamowicie, jakby byli naprawdę moimi synami i potrzebowali pomocy. Nie mam pojęcia dlaczego. – Kaps wpatrywał się w grubą, brązową szyjkę butelki piwa Primus, jak gdyby gdzieś w niej kryła się odpowiedź. Kręciło mu się w głowie od Danny’ego i Becky, Becky i Danny’ego. Musiał się ich pozbyć na jakiś czas. Musiał być razem ze swoimi chłopcami.

– I? – odezwała się Becky.

– I co?

– Odnoszę wrażenie, że chcesz mi powiedzieć coś jeszcze.

Kaps nie miał pojęcia, jak zacząć albo skończyć, i ostatecznie wyrzucił z siebie wszystko. To było jak zabijanie kogoś – najlepiej załatwić sprawę szybko.

– Uświadomiłem sobie, że nigdy nie zdołam ich zostawić. Nie mogę. Przez tę historię zrozumiałem, jak wiele z tego co się z nimi wiąże, uważałem za oczywistość. Uznałem, że muszę coś dla nich poświęcić.

– Czyli co? – Głos Becky załamał się, bo zadając pytanie, już znała odpowiedź.

Kaps patrzył na swoje nogi zwisające z barowego stołka. Wiedział, że nie starczy mu odwagi, żeby spojrzeć na Becky.

– Moje szczęście. Nasze szczęście.

Obserwowała, jak Kaps odwraca wzrok, zdeglustowana jego tchórzostwem. Jak może jej to robić? Całe życie, o którym tak głupio, tak przedwcześnie marzyła, przyszłość, która przenosiła ich w odległe mgły starości – wszystko umierało w tej jednej sekundzie, a ona przyglądała się agonii.

– Chrzanienie.

– Chciałbym, żeby tak było.

– Co takiego, do kurwy nędzy, się stało? Miałeś objawienie na poboczu? Jakieś przesłanie od bogów, że nie powinien się pieprzyć na boku?

– Tak mi przykro, Becky.

– A kto mnie uratuje z pobocza? Czy jestem tylko jedną z tych tysięcy, które po prostu się mijają?

Chciał położyć dłoń na jej dłoni, ale cofnęła rękę.

– Nie waż się. – Gwałtownie odsunęła swój stołek i wybiegła z baru, zanim Kaps mógł zobaczyć jej łzy. Nikt inny nie chciał jej tak jak on. I chociaż spędzili ze sobą tak niewiele czasu, była przekonana, że nikt nie troszczyłby się o nią tak jak Kaps. Mieli być dla siebie i nie mieli, i to stało się przekleństwem życia ich obojga.

W tej chwili Becky nienawidziła wszystkich: Kapsa, jego żony, synów i dwóch uratowanych chłopców Hutu. Nienawidziła Nadziei i z całą pewnością nienawidziła Miłości.

Kiedy przeciskała się przez hałaśliwy tłum klientów, zobaczyła patrzących na siebie Danny'ego i Rachel. Ich też nienawidziła.

Dochodziła już pierwsza, kiedy Rachel stwierdziła, że jest zmęczona i musi się trochę przespać. „Ja też”, oznajmił Danny. Wyszli razem z baru, nie mówiąc dobranoc maruderom. Wracali do pokojów wąską ścieżką, wijącą się wśród egzotycznych kwiatów. Przecinała trawnik, na którym Rachel leżała razem z Becky, szukając swoich gwiazd. Wychwyciła drobne ukłucie wstydu, ale dżin zadbał, by nie przerodziło się w nic więcej.

W barze rozmawiali swobodnie, ale teraz, kiedy zbliżali się do pokojów i nieuniknionego wyboru, Rachel niezdarnie usiłowała coś powiedzieć.

– Zdziwiająca niebo.

– Tak, niezwykle.

Szybko, za szybko, dotarli do korytarza na parterze, gdzie znajdował się jej pokój. Jego był dwa piętra wyżej.

– A więc dobranoc, Rachel Kelly.

Poczuła narastające między nimi napięcie i oszałamiającą lekkość w głowie.

– Dobranoc, Danny Lowensteinie.

Stali w milczącym niezdecydowaniu, wiedząc, że za kilka sekund przyzwoitość każe któremuś z nich odwrócić się z beztroskim: „Śpij dobrze, do zobaczenia rano”. Rachel myślała o różnych rzeczach: o swojej zaskakującej hipokryzji, przemożnej potrzebie znalezienia się w objęciach Danny’ego bez względu na to co zrobił, ostrzeżeniu Becky przekazanym w ogrodzie i wreszcie o tym, że jest razem z nim.

Twarz Lowensteina nie wyglądała uprzejmie ani szczególnie przyjaźnie, ale Rachel nie widziała w niej niczego złego czy okrutnego. Stwierdziła, że dostrzega nawet pewną bezradność. Jakby nagle zniknęła jego moc. Nagle Rachel zapragnęła go jeszcze bardziej.

Potem nigdy nie była pewna, co sprawiło, że zrobiła ten jeden krok w jego stronę – dżin, gorąca afrykańska noc? A może po prostu chciała wykonać pierwszy ruch.

Ich wargi zetknęły się, a języki splotły. Wtedy pomyślała, że cała sytuacja jest absurdalna, że przecież całuje Danny’ego Lowensteina. Ale była zbyt zmęczona, by teraz ponownie analizować ich skomplikowaną historię. I zbyt podniecona.

– Wejdiesz?

Kiedy znaleźli się za drzwiami, z zażenowaniem zobaczyła porzucaną wszędzie odzież i bieliznę, na krześle, na łóżku, na podłodze. Dla Rachel cała przyjemność mieszkania

w hotelu zawsze polegała na tym, że nikt jej nie kazał utrzymywać porządku. Nawet nowy kochanek.

– Czy potrzebujemy więcej paluszków rybnych?

Kaps usłyszał swoje pytanie odbijające się echem w przejściu między szafami chłodniczymi i uznał, że zabrzmiało niedorzecznie. Mieli już całą zamrażarkę jedzenia i wszelkich dóbr.

Minęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy z ponurą miną opuścił Grands Lacs i wrócił do domu. Londyn powiadomił go, że temat już ich męczy, i nie zawracał sobie głowy dyskusją. Kaps oświadczył natomiast, że źle się czuje, chociaż tak naprawdę dolegał mu tylko Danny, i żał, że zranił Becky. Musiał wyjechać.

Równie dobrze mógłby wskoczyć do wehikułu czasu, a nie do odrzutowca British Airways – teraz otaczali go rumiani konsumenci wędrujący z wyładowanymi po brzegi wózkami przez najbliższy supermarket Sainsbury's. Dzieci krzyczały jak w Gomie, ale dlatego, że domagały się cukierków i lodów, a nie dlatego, że powoli zabijała je cholera. Cóż, one niczemu nie zawiniły, ale czuł wobec nich irracjonalną pogardę. Jego dusza potrzebowała więcej czasu, żeby się przystosować.

– Tak, i weź trochę burgerów, dobrze? – powiedziała Judith.

Wyjął kilka paczek z zamrażarki i zimne powietrze uderzyło go w twarz. Uświadomił sobie, jak bardzo mu brakuje afrykańskiego upału. Nie myśl o tym, upomniał siebie; nawet nie dopuszczaj szalonego pomysłu, że wolałbyś być tam, gdzie otacza cię tylko śmierć, niż tu, gdzie jest wszystko. I nic.

Przez następnych kilka minut robił zakupy niczym we śnie. W dziecinny sposób rozmyślał, jak mógłby się zemścić na Danym, jak już brakuje mu Becky i jak bardzo chciałby się znaleźć z nią w łóżku, z wirującym wentylatorem nad głową i moskitierą chroniącą ich przed światem pełnym dezaprobaty.

Z Grands Lacs gwałtownie wyrwał go przenikliwy pisk rozbawionej trzylatki o imieniu – chyba – Jenny.

– Jennyyyy! – matka krzyczała na córkę, stojąc przy dziale z wędlinami.

Dziewczynka miotała się w hysterii po podłodze. Drobne piąstki tłukły wściekle w lśniące kafelki supermarketu, jakby to one były winne całemu złu jej małego świątka. Wrzaski matki i Jenny tworzyły kakofonię atakującą uszy Kapsa. Półki za nimi stanowiły niewyraźną mieszaninę kolorów i nazw. Tysiące konkurencyjnych produktów walczyły o uwagę. Upchane ściśle, wysoko i szeroko w niekończących się korytarzach – labirynt, w którym skromny gość z Afryki zdołał się zgubić.

Zdaniem Kapsa, matka była niemal otyła – typowy dla Zachodu przykład pobłażania sobie. Złapała Jenny za rękę i nie mogąc podnieść córki, powlokła ją za sobą po podłodze. Dziecko wyglądało jak walizka ciągnięta przez grubego babsztyla. Krzyki Jenny osiągnęły szczytowe natężenie i rozszarpywały Kapsa na strzępy do momentu, kiedy usłyszał trzeci głos.

– Na litość boską, niech ją pani zostawi w spokoju.

Kobieta puściła rękę dziewczynki i gapiła się na niego, usiłując pojąć cały ogrom jego bezczelności.

– Co takiego?

– Wykręca jej pani rękę.

– Może zająłbyś się własnymi pieprzonymi sprawami, głupi fiucie. – A potem zawołała: – Daaaveee!

Dave pojawił się po kilku sekundach, rycerz w lśniącej zbroi pokrytej tatuażami, z kolczykami w obu uszach i – podobnie jak jego partnerka – z nadwagą.

Kiedy matka Jenny wyjaśniła Dave’owi sytuację, ten przysunął nabrzmiałą twarz do Kapsa.

– Słuchaj, chuju, masz pięć sekund na przeprosiny albo ci rozkwaszę mordę.

Niedbale rzucona groźba przemocy sprawiła, że Kaps się cofnął. Przywykł, że boi się w Bośni, ale nie na zielonej i uroczej angielskiej ziemi, a tym bardziej nie w Sainsbury’s. To był inny rodzaj strachu, bardziej instynktowny.

– Zły pan – powiedział Charlie gdzieś na wysokości talii ojca.

Kaps nie wiedział, czy synek ma na myśli swojego tatusia czy tłustego, potencjalnego napastnika. Pojawiła się Judith.

– Już idziemy kochanie, prawda? – Mocno wzięła Kapsa za rękę.

– Nigdzie sukinsyn nie pójdzie, dopóki nie przeprosi. – Wytatuowany facet zacisnął pięść i cofnął ją jak pocisk gotowy do wystrzelenia.

– Jeżeli dotkniesz mojego męża choć palcem – oznajmiła z lodowatą stanowczością Judith – wezwę policję, a potem opiekę społeczną i wierz mi, że nigdy więcej nie zobaczysz swojej córki.

Rodzice Jenny przez sekundę rozważali opcje.

– Pierdol się. – Dave splunął w kierunku Judith, ale bez nadziejnie chybił. Rozluźnił pięść i odszedł pokonany.

Kaps spojrział na żonę.

– Przepraszam – szepnął.

Za to wszystko. Za Becky. Przepraszam, że wciąż chcę się z nią kochać. Że od kiedy wróciłem do domu, prawie cię nie dotknąłem. Przepraszam, że zawsze zostawiam cię samą. Że zapomniałem, jaką jesteś niezwykłą kobietą. Przepraszam, że chciałem, abyś zniknęła.

Tego wieczoru czytał synom w ich pokoju. Cała trójka siedziała na dole piętrowego łóżka, u Charliego. Książka nosiła tytuł *Engelbert, czarodziejski słoń*. Kiedy skończył, błagali, żeby opowiedział im też jedną z wymyślonych przez siebie historii, bo bardziej im się podobały. Zaczął mówić coś o statku zaatakowanym przez piratów z szablami i sztyletami i o tym, że ocalał tylko pasażer na gapę, mały chłopiec taki jak oni. Kaps opisywał właśnie, jak dziecko biega z jednej kabiny do drugiej, kryjąc się przed piratami, kiedy zaniepokojone oczy Charliego i Toma uświadomiły mu, że historia jest zbyt prze-

rażająca. Szybko więc dotarł do finału, tłumacząc, że bohater uciekł i popłynął łódką na bezludną wyspę, spędził na niej kilka dni jak Robinson Crusoe, został uratowany i żył długo i szczęśliwie.

– Tatusiu, czy ty umrzesz? – zapytał Charlie, kiedy ojciec pocałował ich na dobranoc i gasił światło.

Kaps znowu pożałował, że początek jego opowieści był taki mroczny.

– Cóż, wszyscy kiedyś umrzemy. Ale dopiero około setki.

– Chodzi mi o to, czy umrzesz?

– Oczywiście, że nie. Nie bądź niemądry.

– Przecież jeździsz na wojnę – wtrącił się Tom. – Żołnierze umierają, a ty jesteś jak żołnierz.

Kaps zastanawiał się, czy zaplanowali to razem i obaj postanowili, że nadszedł dobry moment, by omówić z ojcem ważną możliwość jego nagłej i gwałtownej śmierci.

– Posłuchaj, kochany. Nie jestem żołnierzem, tylko dziennikarzem. Żołnierze umierają, bo ze sobą walczą, ale dziennikarze... no cóż, my tylko się przyglądamy. To wszystko.

„Tylko się przyglądamy”. To smutne, ale prawdziwe podsumowanie życia w roli korespondenta wojennego. A Charlie i Tomowi wydało się sensownym wyjaśnieniem, w jaki sposób tatuś zarabia na życie.

– Możemy spać razem? – zapytał Tom.

Kaps się zgodził, ale był tym zaniepokojony. Chcieli spać w jednym łóżku, kiedy się bali, zazwyczaj w czasie burzy. Położył się razem z synami. Było strasznie ciasno na wąskim łóżku, ale ich objął i przytulił tak mocno, aż się bał, że robi im krzywdę.

Kiedy Judith zobaczyła, że śpią razem, uśmiechnęła się lekko. Była szczęśliwa, że Kaps do nich wrócił. Stała, przyglądając się synom i mężowi, i uznała, że może jednak wszystko się ułoży. Już ona się o to postara. Kaps się pogubił – oczywiście

– i odchodził od niej na tak wiele sposobów, ale teraz musiała mieć go z powrotem, choćby tylko ze względu na chłopców.

– Chodź już do łóżka, kochanie – powiedziała cicho, budząc go najłagodniej jak potrafiła. Pomogła mu wydostać się spomiędzy chłopców.

Kapsowi zrobiło się głupio i przeproszał, że zasnął. Z zakłopotaniem poszedł za nią do podwójnego łóżka, w którym zbyt wiele nocy pragnął, by to Becky je z nim dzieliła. Kiedy Judith zdjęła bieliznę, uświadomił sobie, że od dawna nie czuł się z nią blisko. Dojrzał w jej twarzy coś, co świadczyło, że mu przebaczyła, przynajmniej na tę noc. Była jego żoną, matką Charliego i Toma i zasługiwała na o wiele więcej, niż otrzymywała.

Wciąż na wpół senny, też się rozebrał i w półmroku sypialni wyciągnął do niej rękę. Ku jego zdumieniu chwyciła ją i zaczęła całować zapamiętane, jakby czekała na niego całe życie. Położył się na Judith i zaczął ją pieścić. W końcu w nią wszedł i posłusznie jęknął, ale w rzeczywistości czuł rozczarowanie zamiast podniecenia, obcość zamiast intymności. Chciał przeprosić Judith za wszystkie zdrady, kiedy jednak osiągnął orgazm, widział tylko Becky i uświadomił sobie, że to ją zdradza.

23

Irak po wyzwoleniu, sierpień 2004

Kilka dni po obejrzeniu na wideo Lukasa i Elizy Danny nieoczekiwanie dostaje szansę.

Toaleta już nie śmierdzi moczem. To zwykła łazienka, ciasna i brudna, ale jednak łazienka. Są w niej nawet papier

toaletowy i ręcznik. Dla Danny'ego to jak pięciogwiazdkowy hotel. Jeden z braci Abu Omara prowadzi go tam i jak zwykle czeka na zewnątrz. Danny oddaje mocz i myje ręce najwolniej jak potrafi, bo lubi odwiedziny w łazience: może to dziwne w przypadku zakładnika, ale uważa za ważne, by mieć trochę czasu dla siebie.

Ochlapuje twarz wodą i czuje się dobrze, a kiedy łagodnie wyciera ją ręcznikiem, sprawia mu to równie dużą przyjemność. Spogląda w małe lusterko na drzwiach szafki. Z trudem rozpoznaje innego Danny'ego – brodatego, bezzębnego i złamanego. Czyli takiego, jakiego chcieli widzieć Lukas i Blizna.

Przyciska kławkę i wychodzi.

Strażnik zniknął.

Danny rozgląda się po korytarzu. Z jednego końca, z kuchni, dobiegają go głosy podniesione w jakimś sporze. W drugim końcu są na wpół otwarte drzwi frontowe. Wdzierają się przez nie promienie słoneczne i tworzą na dywanie jasny trójkąt. Światło go przyzywa. Czy to sen, cud, czy też wartownicy spieprzyli sprawę? Serce Danny'ego łomocze straszliwie. Z całą pewnością zostanie zatrzymany, zanim tam dotrze albo przejdzie kilka metrów dalej. Ale co się stanie, jeżeli porywcze się nie zjawią i będzie mógł iść dalej i dalej? Co jeśli przewęduje aż do Hamry i w ramiona Rachel? Wszystko dzieje się zbyt szybko i niespodziewanie – jak może podjąć sensowną decyzję?

Idź, mówi sobie. Przełknij mocno ślinę i oddychaj głęboko, tak jak zawsze robiłeś w dniu, kiedy ruszałeś w drogę. Bądź co bądź, tak jest zawsze, przypadkowa szansa pojawia się znie-nacka, żąda, by ją wykorzystać, domaga się odwagi.

Danny ostrożnie skrada się po korytarzu, centymetr po centymetrze, aż niemal czuje delikatne światło na twarzy i zapach czystego, świeżego powietrza z innego świata na zewnątrz.

Pojawia się znikąd, staje przed nim w drzwiach. Mała Aisza w ładnej białej sukience, z kokardą w talii i przeszywającymi

oczami, które wydają się bardzo stare. To dziecko mogłoby zostać bohaterem jednej z jego bardziej wstrząsających historii, ale teraz zagradza mu drogę, kolejny strażnik więzienny. Danny próbuje się do niej uśmiechnąć, ale Aisza spogląda na niego z taką samą pogardą jak wszyscy dorośli w tym domu.

Jest wczesny wieczór, kiedy Danny słyszy przekrzykujące się gniewne głosy. Abu Omar wchodzi do pokoju, gdzie Danny siedzi po turecku na dywanie i ogląda niezrozumiałą iracką telewizję.

– Wracasz teraz. Przykro.

Danny jest oszołomiony, nie tylko dlatego, że tamten po raz pierwszy przemówił po angielsku, ale że go przeprosza.

– Wracam dokąd? Do domu? Do domu?

Kręci mu się w głowie z radości, ale kiedy za Abu Omarem do pokoju wchodzi Blizna, rozumie, jak bardzo się pomylił.

Tym razem jazda w skrzyni nie jest taka zła. Danny'ego nie ogarnia już panika. Po godzinie trafia z powrotem do dawnej celi. Leży na tym samym cienkim materacu, przyglądając się tej samej plamce światła szykującej się na śmierć razem z nadejściem zmierzchu. Zielony dywan, sofa, telewizor – nawet mała Aisza zagradzająca mu drogę – wszystko to wydaje się chorą imaginacją. Teraz jest Blizna. Stoi przed nim i trzyma nóż o lekko zakrzywionej główce, długiej na dwadzieścia pięć centymetrów. Stal odbija gasnące światło, już bardzo słabe, więc metal ma matowy szary odcień, a wywoływane nim przerażenie jest czymś prawie zwyczajnym.

– Dlaczego... go przyniosłeś?

– Jeszcze siedem dni. Tego właśnie użyję.

Danny'emu wysycha w gardle, przebiega go dreszcz. Niemal widzi pierwszy ruch noża – przecina cienką skórę na grdyce, zostawia chirurgicznie precyzyjną cienką kreskę krwi. A potem pracowite piłowanie przez chrząstki, kość i mięśnie

karku. Nowicjusze wśród katów mogą być zaskoczeni stopniem trudności zadania, mimo to będą wykonywać je z radością, ciesząc się, że wypełniają wolę Boga i zadają śmierć Amerykaninowi, niewiernemu. Każdy domaga się udziału. Każdy chce, aby trysnęła na niego krew Danny'ego. A potem to Kaps trzyma nóż. Tnie nim przez jakiś czas, później pozwala zastąpić się Edwinowi, Becky i w końcu Rachel. Wszyscy uśmiechają się zadowoleni i usatysfakcjonowani swoim dziełem.

– Nie nożem – mówi do Blizny. Z trudem może uwierzyć, że zebrze o zmianę narzędzia kaźni, ale myśl o nim staje się obsesją. – Proszę, błagam, tylko nie nożem.

Na pustyni znowu jest jak w saunie. Kapitan Jim Kolowski i żołnierze kompanii B zrobili sobie przerwę na MRE*. Zatrzymali humvee i wozy bojowe piechoty Bradley, zjedli wołowy gulasz i krakersy z masłem orzechowym, a następnie wyrzucili opakowania z brązowego plastiku do tego, co Kolowski nazywał irackim śmietnikiem.

Posiłki Gotowe do Spożycia – Żołnierze Gotowi do Umierania.

W czasie piętnastomiesięcznego okresu służby Kolowskiemu wielokrotnie przychodziła do głowy myśl, że taki lunch może być jego ostatnim, a od następnej zasadzki czy bomby na poboczu dzielą go zaledwie minuty. Improwizowane Urządzenie Wybuchowe uważał za szczególnie skurwysyńską broń – nie walczysz z wrogiem twarzą w twarz, ale zostajesz przez niego wysadzony w powietrze – anonimowo i z oddali. IED** mogło być ukryte pod kamieniem na drodze, w martwym zwierzęciu albo nawet w jakimś pomysłowo wykorzystanym amerykańskim wojskowym śmieciu. IED w MRE było

* MRE – Meal-Ready to Eat: Posiłek gotowy do spożycia. Racje polowe.

** IED – Improvised Explosive Device: Improwizowane Urządzenie Wybuchowe.

pomysłem, którym Kolowski nie zamierzał zawracać sobie zmęczonej, zakurzonej i spoconej głowy. Oczyma wyobraźni widział, jak jego żona dostaje wiadomość z Pentagonu. Stoi na ganku ich domku w Idaho i trzyma na rękach córeczkę, której jeszcze nie widział. „Przypuszczamy, że to było IED”, oświadczą w nadziei, że zredukowanie straty do trzech liter zmniejszy także jej ból.

Dlatego właśnie kiedy tylko kapitan Kolowski zobaczył na drodze przed sobą pomarańczowy obiekt, natychmiast zaczął podejrzewać, że to pułapka. Zatrzymał konwój w odległości stu metrów od tajemniczego wybrzuszenia i wyciągnął lornetkę. Zobaczył, że to zwłoki ubrane w pomarańczowy kombinezon. Naokoło głowy rozlewała się kałuża krwi. Kłębiły się nad nią muchy, pokrywając czerwień czernią. Niżej, przy kroczu, też widniała plama krwi, kolejne żerowisko much.

Kolowski nie zamierzał zbliżyć się do zwłok bardziej niż na dwadzieścia metrów.

– Ma pan wrażliwy żołądek, sir? – zapytał jego kierowca Hamilton.

– Owszem, ale nie dlatego się zatrzymujemy.

– Taaa?

– Myślę o tych, którzy go zabili. Mogli nafaszerować tego biednego dupka materiałami wybuchowymi jak wielkiego, tłustego indyka na Święto Dziękczynienia.

W kilka minut radiooperator kompanii B skontaktował się z dowództwem dywizji, które z kolei porozumiało się z kwaterą główną w Bagdadzie, a ta z Adim z ambasady Stanów Zjednoczonych.

– Z przykrością przekazuję złe wiadomości – oznajmił młody pułkownik przez zabezpieczoną linię telefoniczną Adiego. – Wygląda na to, że znaleźliśmy tego dziennikarza. Ma pomarańczowy kombinezon. Cholera, nawet nie poczekał, aż minie termin.

Adi zastanawiał się, jak przekazać informację Becky i jak ta sprawa wpłynie na szansę jego dalszego awansu.

– Co mu zrobili? – zapytał pułkownika.

– Strzelili w głowę. Ale potraktowali go też nożem, sir. Obcięli... genitalia. Zwierzaki, pierdolone zwierzaki.

Adi postanowił na jakiś czas wstrzymać się z telefonem do Becky. Może powinien osobiście udać się do hotelu i zaproponować, że ją pocieszy.

Dotarli do szpitalnej kostnicy. Adi, Munro i Harper już na nich czekali. Potrzebowali krewnego, który pomógłby w identyfikacji, a ponieważ Camille była w Iraku jedynym członkiem rodziny Danny'ego, nie miała wyboru. Ćpuny wojny z poczucia solidarności zaoferowały swoje towarzystwo. Czekają ich koszarne przeżycie, ale przynajmniej zobaczą Danny'ego po raz ostatni. Mieli wrażenie, że to ważne, by się z nim pożegnać.

Śmierdziało jak diabli. Nawet z odległości kilkuset metrów smród dławił w gardle; to były wszystkie kręgi bagdadzkiego piekła zebrane w jedno. Miejsce przypominało Rachel Gome sprzed dziesięciu lat – mnóstwo zwłok i potworny upał.

Przez pręty ogrodzenia spoglądali krewni, którzy także chcieli zidentyfikować najbliższych – rozpaczali, kiedy ich znajdowali; rozpaczali, jeżeli nie znajdowali. Po wiele zwłok nikt się nie zgłosił. Po niedługim czasie zostaną zawinięte, ponumerowane i złożone w masowym grobie.

Podzielono je na cztery kategorie.

Nieliczne uprzywilejowane, niczym pasażerowie pierwszej klasy, zamknięte w lodówkach.

Te, które musiały zadowolić się betonową podłogą, ale nakryte płachtą pozwalającą zachować godność.

Niczym nieprzykryte, leżące z szeroko otwartymi oczami tam, gdzie je rzucono.

I wreszcie nadwyżka, dla której nie było miejsca wewnątrz. Układano je na podwórzu, pod bezlitośnie palącym irackim słońcem. Piasek wchłaniał krew.

Pracownice kostnicy, Raja i Nada – dwie korpulentne, dostojne kobiety – ignorowały wszystko co je otacza, rozmawiając o wnukach, kosztach utrzymania czy też ciągłych przerwach w dostawie prądu. Na dłoniach miały rękawice, a na nogach gumowe buty, żeby przechodzić przez płytkie strumyki krwi. Czekał je kolejny pracowity dzień. Niecały kilometr dalej zamachowiec-samobójca wysadził się w powietrze w środku kolejki policyjnych rekrutów.

Główne zadanie Rai i Nady polegało na liczeniu nowo przybyłych, ale Nada zgubiła pióro w panującym chaosie i teraz musiały prowadzić spis tylko jednym długopisem.

Zwłoki często docierały tu całymi partiami – po zamachach bombowych, strzelaninach albo najnowszej masakrze urządzonej przez terrorystyczne plutony śmierci. Ofiary tych grasujących po okolicy katów były w najgorszym stanie – tak przynajmniej twierdziły Raja i Nada. Segregowały martwych niczym para inspektorów kontroli jakości. Zabity miał zazwyczaj ręce i nogi związane plastikową taśmą, obcięte penisa, język i uszy, wydlubane oczy. Często zwłoki, które długo leżały na słońcu lub zostały wyciągnięte z trzciny nad Tygrysem, były napęczniałe jak tuczone świnie.

Danny spędzał w takich kostnicach jak ta aż za wiele czasu. Jako samozwańczy reprezentant bagdadzkich zabitych uparł się, żeby liczyć ich osobiście, a nie polegać tylko na danych od Rai i Nady. Publikował swoje ponure statystyki albo żeby zadać kłam ludziom twierdzącym, że przemoc ustępuje, albo żeby przypomnieć czytelnikom, że w Iraku giną nie tylko amerykańscy żołnierze.

Raja i Nada wprowadzały znamienitych gości do komnaty koszmarów. Przypominało to kondukt pogrzebowy: najpierw szedł Adi, za nim Camille z Harperem i Munro, potem Edwin

i Kapsa, a na końcu Rachel i Becky, które dyskretnie trzymały się oddzielnie. Wszyscy ledwo się pomieścili.

Raja przekręciła klucz w zamku lodówki numer 17 – zamkniętej jakby ktoś zamierzał ukraść jej zawartość. Otworzyła na oścież grube stalowe drzwi i wysunęła stół sekcyjny. Kondukt zatrzymał się i żałobnicy ustawili się półkolem. Ociekający potem Adi wyciągnął rękę do Becky. Była to rozpaczliwa chęć wykorzystania okazji, budząca niesmak próba uwodzenia – akurat w kostnicy! Pozbawiona wsparcia Kapsa, który już od dawna wiedział, że powinien zachowywać dystans – Becky chwyciła dłoń Adiego i ścisnęła ją tak mocno, że musiało mu przyjść do głowy, czy przypadkiem mimo wszystko może sobie robić pewne nadzieje. Paznokcie fotoreporterki wbijały się w jego wilgotną skórę. Następnym etapem będzie pogrzeb, pomyślał, szansa na dalsze małe kroki, a potem jeszcze nabożeństwo żałobne.

Uderzyła w nich fala zimnego powietrza. W innym miejscu przyniosłaby ulgę, ale tutaj, cuchnąca wzbudziła obrzydzenie.

Nada, stojąca przy nogach trupa, uniosła rąbek białej płachty tuż nad dwoma wypukłościami stóp. Nieczęsto miała taką szacowną widownię i chciała zaprezentować się jak najlepiej, zdejmując nakrycie wolno, jak magik, który potęguje napięcie, rozbudza ciekawość zgromadzonych w nadziei na przynoszące satysfakcję, pełne zdziwienia westchnienie.

Zamiast tego rozległ się tryumfalny okrzyk Rachel:

– Nie, nie! To nie on! To nie Danny!

Wszyscy spojrzeli na nią z zaskoczeniem. Jak ona się zorientowała? Odstonięta płachta nakrywała tylko nogi i krwawą ranę między nimi.

– Nie widzicie? Jest w adidasach! Danny zawsze nosi buty. Swoje szczęśliwe buty! Codziennie, wszędzie. Wiesz o tym, Becky, prawda?! – krzyczała w nadziei, że im jej słowa będą głośniejsze, tym prawdziwsze się staną.

Wszyscy tkwili bez ruchu, oszołomieni. Kręciło im się w głowach od zapachu formaliny. Najpierw uznali, że Rachel po prostu neguje rzeczywistość, ale potem stwierdzili, że może mieć rację. Żadne nie przypominało sobie, by Danny kiedykolwiek nosił adidas.

– W takim razie kto, do cholery? – odezwał się Edwin.

Raja i Nada ściągnęły do końca płachtę tak teatralnie, że wzbiła się jak balon i odfrunęła.

Becky zaczęły drżeć kolana, najpierw raniona noga, później również ta zdrowa. Stopniowo załamywały się pod nią obie, aż w końcu złożyła się niczym turystyczne krzeselko i jej mocne ciało osunęło się na zimną podłogę, na której spoczywało tak wiele bagdadzkich zwłok. Adi puścił jej rękę. To kwintesencja mojego szczęścia u mężczyzn, pomyślała potem. Nawet ten spocony gad, rzekomy „przyjaciel”. Zostawił ją w chwili, kiedy go potrzebowała.

Rachel uklękła przy Becky, a Edwin wyciągnął chusteczkę i ocierał jej czoło.

– Co te dwie więdźmy wyprawiają? – zapytał. – Czy naprawdę muszą robić z tego taki cyrk?

Pochylili głowy, okazując szacunek anonimowej ofierze, którą pospiesznie znowu przykryto i wsunięto do lodówki – nadal niezidentyfikowaną i niechcianą. Jej krótki występ w świetle reflektorów dobiegł końca.

Kiedy zawieźli Becky z powrotem do Hamry, zmusili ją, żeby na chwilę położyła się w małej bocznej sypialni, gdzie zapewne sypiałyby dzieci prezydenta. Edwin położył jej na czole mokry ręcznik i dał proszek nasenny.

– Nie powinniśmy pozwolić Becky jechać. Nie czuje się dobrze.

– Właściwie... co jej jest? – spytała Camille.

– Wstrząs pourazowy – wyjaśniła Rachel. – Najczęściej daje sobie radę, ale czasami wracają wspomnienia, pojawiają

się koszmary, halucynacje. Pewnego razu chodziła po Regent's Park i nagle wydało jej się, że znalazła się na polu minowym.

Camille wyglądała na dezorientowaną.

– W takim razie co, na litość boską, robi w Bagdadzie? To na pewno ostatnie miejsce na świecie na jej rekonwalescencję.

– Nie miała specjalnego wyboru – stwierdziła Rachel. – Proponowali jej Wystawę Kwiatów w Chelsea, festiwal filmowy w Cannes i inne pierdoły. Tematy takie jak Irak, to jest jej życie. Musi tu być, razem ze swoimi przyjaciółmi.

– Nie rozmawiajmy o niej, kiedy śpi – poprosił opiekuńczo Kaps, ale Rachel go zignorowała.

– To co jej się stało, mogło się przydarzyć każdemu z nas. Wszyscy jesteśmy jak palacz, który uważa, że nie dostanie raka płuc. A potem dopada cię jedno wydarzenie, jedna trauma, jeden obraz. Można mieć najlepszy pancerz pod słońcem, ale wystarczy maleńka szczelinka i strzała cię trafia... a wtedy człowiek jest już załatwiony.

– Kiedy? – spytała Camille.

– Co kiedy?

– Kiedy to się stało? Kiedy trafiła ją strzała?

Rachel milczała przez chwilę. Ledwo zdołała się zmusić, by to powiedzieć.

– W dziewięćdziesiątym czwartym. Rok najlepszy, rok najgorszy. Tak, w dziewięćdziesiątym czwartym, w którym innym? No w każdym razie parę dni w tę lub w tamtą. Nasz Rok Niebezpiecznego Życia.

Becky wyłoniła się z sypialni, sunąc jak we śnie. Miała na sobie tylko figi i obszerną podkoszulkę. Jej blada skóra była bielsza niż kiedykolwiek, włosy tworzyły splątana, nierozczesana po śnie masę. Przesunęła przez nie palcami, odsłaniając na chwilę kilka siwych pasm, zaczynających plamić ich czerwień.

– O czym rozmawiacie? – wymamrotała sennie.

– O niczym. Wracaj do łóżka – rozkazała Rachel.

Ale Becky słyszała i już wspominała, jak się zaczął najgorszy dzień w jej życiu.

24

Czeczenia, 1994

Pada śnieg, więc to naprawdę Boże Narodzenie! – zawołała Rachel, kiedy zimne powietrze uderzyło ją w twarz. Wysunęła głowę z przerdzewiałej łady i pierwsze płatki śniegu ostrożnie lądowały na jej włosach. – Boże, jak fajnie być tutaj.

I Bóg z całą pewnością miał w tym swój udział, pomyślał Danny. Siedział na tylnym siedzeniu, trzymając ją za rękę. W Bośni zaczął grzęznąć. Chciał być na wojnie, gdzie nie musiałby poświęcać wielu dni na zdobywanie zezwolenia na dwugodzinną wyprawę do okopów.

– Z tego co słyszałem, jedyne ograniczenia zależą tylko od ciebie i twojej odwagi – oznajmił Rachel, zanim opuścili Sarajewo i rozpoczęli długą pogmatwaną podróż przez Split, Wiedeń i Moskwę.

Trochę nerwowo skinęła głową i zastanawiała się – kiedy to już do niej dotarło – jakie mogą być jej własne ograniczenia. Musiała je dopiero odkryć. Miała nadzieję, że odważy się zrobić wszystko co Danny albo nawet więcej. Kto powiedział, że kochankowie nie mogą być rywalami?

Czeczenia leżała ponad półtora tysiąca kilometrów na południe od Moskwy, wtulona między łańcuchy górskie Kaukazu. Większość ludzi na ziemi, łącznie z Rachel, w ogóle nie słyszała o takim miejscu, ale teraz ten kraj znalazł się na pierwszych stronach gazet – świat oficjalnie martwił się jej

problemem. A jeżeli chodzi o korespondentów wojennych, aktualnie nigdzie nie działo się nic ciekawego w ten Nowy Rok.

Kędzierzawy dagestański taksówkarz zgodził się zawieźć Rachel i Daniela do Groznego za wygórowaną opłatą pięciuset dolarów. Kiedy dojeżdżali do granicy, wskazał pole, na którym dostrzegli rozległy rosyjski obóz wojskowy. Młodzi poborowi włóczyli się bez celu po śniegu, czołgi stały wśród pobielających namiotów i drzew. Paru nastoletnich żołnierzy, jeden z całą twarzą pokrytą piegami, zatrzymało ich, by sprawdzić paszporty. Zaczęli wertować dokument Danny'ego – gruby i sfatygowany. Chociaż nie przyznałiby się do tego, ciekawił ich świat wyczarowany przez egzotyczne wizy i stemple potwierdzenia wjazdu. Dla odmiany Rachel miała paszport cieniutki i mniej więcej czysty. Był jak jej dawna dziewiczość – wprawiał ją w zakłopotanie i przypominał, jak wiele jeszcze powinna zdziałać w życiu.

Wartownicy z ponurym pomrukiem dali znak, by dziennikarze jechali dalej. Wkrótce te niedożywione wyrostki miały zmierzyć się z dzikimi, brodatymi czeczeńskimi wojownikami – ludźmi z kałasznikowami, szablami, sztyletami i nienawiścią do Moskwy zapisaną we krwi od pokoleń. Czeczenia walczyła z carami przez większą część XIX wieku, na długo zanim Stalin próbował wymazać ją z mapy, pakując pół miliona Czeczenów do bydłowych wagonów i wysyłając ich na pustkowia Syberii i Azji Środkowej. Teraz, w chaosie post-sowieckiej, postkomunistycznej Rosji, po raz kolejny próbowali zdobyć wolność, a Kreml jak zawsze zamierzał ich zdusić. Prezydent Borys Nikołajewicz Jelcyn mógł być oczkiem w głowie Zachodu dzięki swoim wolnorynkowym reformom, ale kiedy chodziło o Czeczenię, okazał się kolejnym rosyjskim carem.

– Ci żołnierze to dzieciaki – stwierdziła Rachel. – Powinni być w domu, z rodzinami.

Pomyślała o swojej rodzinie. Oczywiście, słusznie zrobiła, uciekając przed zaborczą miłością Billy'ego Kelly'ego, i była dumna ze wszystkiego, co osiągnęła po opuszczeniu Arlingtonu. Ale miała poczucie winy, kiedy wyobrażała sobie, jak ojciec po raz pierwszy samotnie spędza Boże Narodzenie. Dla Billy'ego ta pora roku zawsze wiązała się z rodziną Kellych. – Kiedyś ze wspólnym rozkoszowaniem się pieczoną przez niego gęsią i ciastem z dyni. A teraz tylko z bólem samotności, dniami tęsknoty za żoną i córką oraz bolesnym pragnieniem, żeby mogły być razem z nim.

Rachel próbowała odgonić od siebie obraz ojca siedzącego w pustym domu przy upieczonej przez siebie gęsi. Skupiła się na krajobrazie. Mijane ponure, zdewastowane wioski wkrótce staną się świadkami walk i okrucieństwa. Dagestański kierowca nie korzystał z mapy. Było mnóstwo drogowskazów i – zdało się – tylko jedna droga do miasta.

– Grozny – powiedział Danny. – Wiesz, co to znaczy po rosyjsku?

Rachel pokręciła głową.

– Groźny.

Ich nowy dom znajdował się na przedmieściach, niedaleko opuszczonej fabryki. Kiedy do niego dotarli, już zmierchało, a śnieg padał coraz gęściej – wielkie kłębki waty leciały ukośnie unoszone wiatrem. Becky wyszła im na spotkanie. Kulała, rana z Bośni nadal jej dokuczała. Zimowy chłód tylko pogarszał sprawę.

– Co to za miejsce? – zapytał Danny. – Wygląda jak szkoła.

– Ale to burdel – odparła Becky.

– Jaja sobie robisz!

– Nic podobnego. Alfonsi i prostytutki usłyszeli, że może być wojna, i spieprzyli stąd w podskokach.

Znów spojrzał na budynek z czerwonej cegły. Uśmiechnął się cierpko i od razu zapisał w pamięci tę informację, aby po-

tem ją wykorzystać w anegdotach i być może w kilku liniijkach pamiętnika, dla nadania kolorytu.

Becky wprowadziła ich do środka. Elektryczność wysiadła, włączyli więc latarki umocowane na czołach. Był to niezmiernie ważny element wyposażenia, którego nie wzięła do Sarajewa, ale już niemal dwanaście miesięcy później nigdzie bez niego nie wyjeżdżała. Kiedy wędrowali ciemnymi korytarzami, cała trójka przypominała górników w kopalni. Promienie światła krzyżowały się ze sobą, gdy zaglądali do kolejnych licznych pokoi wyposażonych standardowo w podwójne łóżko i wielkie lustro. Rachel czuła wszędzie odór środków odkażających oraz przelotny zapach prezerwatyw i zastałego seksu. A może to tylko jej wyobraźnia.

– Jedna grupa dziwek wyjechała, druga przyjechała – oznajmiła Becky i na jej twarzy pojawił się znajomy, szeroki uśmiech.

Danny zajął się podłączaniem telefonu satelitarnego, a Becky zaprowadziła Rachel do kuchni i napełniała poczerniały imbryk. Sprawiał wrażenie zrobionego jeszcze za cara.

– Kto jeszcze tu jest? – Rachel bardzo chciała spotkać wszystkich. Jak matka, która liczy na to, że cała rodzina przybędzie do domu na Boże Narodzenie. Jak Billy żyjący nadzieją na powrót córki.

Od wyjazdu z Gomy ich piątka nie pracowała razem. Ani Kaps, ani Edwin nie mieli już ochoty spędzać czasu z Dannym. Becky i Kaps natomiast pogodzili się z faktem, że powinni być osobno, choćby tylko po to, by zachować zdrowe zmysły. Ale żaden z ćpunów wojny nie mógł oprzeć się pokusie Czeczenii, od lat potencjalnie najgwałtowniejszej i najbardziej dostępnej wojny. Burdel się zapełniał.

– Większość bandy – odparła Becky. – Spinoza, Krontz i Dirk. Pojawiała się też ta kobieta z MSF, którą poznałyśmy w Gomie. Mariana czy jakoś tak. Edwin też gdzieś tu jest. Razem z biednym starym Aliją. Chciał tu przyjechać ćwiczyć

swój rosyjski. Wyobraź sobie, że to jego chyba z piętnasty język. W każdym razie Edwin potrzebuje kogoś, kto by trzymał go za rękę.

Becky zaczęła się martwić o Edwina po tym, jak zauważyła, że przerzucił się z koki na crack.

– Nie wiem, czy powinien nadal przebywać w takich miejscach. Podejmuje wariackie ryzyko, zupełnie jakby nie zależało mu na życiu.

Rachel nie przejęła się zbytnio diagnozą Becky. Za bardzo cieszyła się tą nową strefą działań wojennych – i swoim nowym romanssem. Nie chciała, żeby cokolwiek zepsuło jej przyjemność: ani samotny ojciec, ani Edwin.

– Och, dobra, jakoś poprawimy mu nastrój. I kto jeszcze?

Becky powiedziała, że Kaps zostawił wiadomość: może przyjedzie w sylwestra.

– Oczywiście między nami wszystko skończone, więc właściwie zupełnie mnie to nie obchodzi. – Z miną zagubionego dziecka spuściła wzrok. Był jej kolejną raną, którą wciąż usiłowała zaleczyć. – Jest razem z żoną i dziećmi i to chyba dobrze. Na pewno dobrze.

– Przykro mi, Becky.

– Niepotrzebnie. Pamiętasz, jak tłumaczyłaś mi, że to błąd? Zawsze wiedziałam, że będę musiała za niego zapłacić... cóż, i teraz płacę. Brakuje mi Kapsa każdego dnia, w każdej godzinie. W każdej pierdolonej minucie. Ale założę się, że jest szczęśliwszy. Nie dręczą go żadne dylematy, nie musi dokonywać wyboru.

– Kochał cię, Beck, nigdy o tym nie zapominaj.

– Teraz go bronisz?

– Bronię tego, co macie wspólne, pamięci.

– Nie można przytulić pamięci, prawda? Ani pocałować czy się z nią pieprzyć.

Po godzinie wrócił Danny. Już wysłał barwny kawałek o jeździe do Groznego i bladych żołnierzach na granicy. Nie

była to klasyka, ale potwierdzenie, że jest na miejscu przed większością rywali. Niedbale objął Rachel, która jeszcze nawet nie pomyślała o pisaniu. Teraz rozpromieniła się, niemal oświetlając podejrzane ciemności burdelu. Becky ukryła się za zawadiacką, wesołą maską. Zawsze miała ją na podorzędziu. Zmusiła się do uśmiechu, ale mogła myśleć jedynie o tej nocy w Gomie, kiedy Rachel zdobyła kochanka w chwili, podczas gdy ona traciła swojego.

– Och, tak na marginesie, mamy gospodynię. Nazywa się Rosa – wyjaśniła Becky. – Madam tego przybytku, że tak powiem, ale teraz zarabia na pismakach, a nie na dziwkach. Niewielka różnica, jak się nad tym zastanowić. W każdym razie Rosa mówi, że obowiązuje tylko jedna zasada: chłopcy i dziewczyny w oddzielnych pokojach. Jest bardzo stanowcza w tej kwestii. Bardzo moralna.

Danny sprawiał wrażenie rozczarowanego.

– Wspaniale. Ale nam się poszczęściło. Trafiliśmy na jedyną pruderyjną burdelmamę na południe od Moskwy.

– Mimo wszystko, co za cudowne miejsce na spędzenie Bożego Narodzenia – oznajmiła Rachel. – Kocham Boże Narodzenie, a wy?

Danny zdecydowanie nie lubił i udał, że nie słyszy pytania.

Ponieważ nienawidził ojca, nienawidził religii, a z tego powodu z kolei nienawidził Bożego Narodzenia. A że wyrzuciono go z domu w Boże Narodzenie, miał kolejny dobry powód do nienawiści. Boże Narodzenie jest do kitu, Boże Narodzenie to żenada. Kiedy nadchodził okres świąt, Danny zawsze lubił znaleźć się w strefie działań wojennych, gdzie ludzie mieli ważniejsze sprawy na głowie.

Kiedy studiował w Yale – prymus, kampusowy obiekt westchnień – starał się nie wracać do Pittsburgha na ferie. Lukas, Eliza i Camille na swój sposób też czuli ulgę, jeżeli nie

przyjeżdżał. Tylko znowu by ich dołował. Ale kiedy nadchodziło Boże Narodzenie, kiedy migotały światełka na choinkach i śpiewano kolędy, cała rodzina – która nie była rodziną – musiała być razem.

W Boże Narodzenie przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami Danny'ego Lukas miał mu coś do powiedzenia. Eliza błagała męża, żeby „począł z tym przynajmniej do Nowego Roku”, ale zdaniem Lukasa sprawa nie cierpiała zwłoki. Chodziło o to, że przygotowywał dla Danny'ego posadę w Lowenstein Steel. Oczywiście, zdawały się między nimi nieporozumienia, ale chciał, żeby syn pracował w rodzinnej firmie; potrzebował go tam. Nadeszła pora, by zapomnieć o różnicach zdań i działać razem. Posada uplasowałaby Danny'ego na pierwszym szczeblu, Camille była już na drugim i cała trójka stworzyłaby dynastię.

Lukas zdawał sobie sprawę, że miłość między nim a synem dawno temu wygasła, ale każdy ojciec ma prawo do marzeń. Lowenstein senior marzył zaś, by wprowadzić dwoje dzieci do interesów, aby kontynuowały dzieło jego życia – a potem ich dzieci i dzieci ich dzieci. Pewnego dnia mogliby zdominować miasto – nieśmiertelni Lowensteinowie, Lowensteinowie z Pittsburgha. Cóż więc z tego, że borykają się ze swoimi problemami – która wielka amerykańska rodzina ich nie ma?

Danny starał się nie roześmiać, a udzielona odpowiedź sprawiła mu sadystyczną przyjemność.

– Ja w Lowenstein Steel? Chyba zwariowałeś! Ty rzeczywiście zupełnie mnie nie rozumiesz. Nie zamierzam być żadnym biznesmenem. Nie interesuje mnie robienie pieniędzy i w ogóle robienie czegokolwiek. Nic nie wiem o stali i, szczerze mówiąc, nic mnie ona nie obchodzi. A co do dynastii... niech Camille sama ją stworzy, jeżeli jest taką cholernie cudowną córeczką. Och, a przy okazji, i tylko do twojej wiadomości, zostanę dziennikarzem.

Lukas powinien się tego spodziewać – i gdyby był lepszym ojcem, pewnie by się spodziewał – ale odebrał to jako ostateczny atak na jego wartości i wszystko co kochał.

– Dziennikarzem? – Zupełnie tego nie rozumiał.

– Tak, dziennikarzem. Reporterem. Chcę informować. Pisać. Jeździć w różne miejsca i opowiadać, jak tam jest.

– Dobry żart, młody człowieku. Naprawdę śmieszny. Chyba zdajesz sobie sprawę, że zawsze będziesz biedny.

– Wolę być biedny, jeżeli jesteś przykładem tego, co pieniądze robią z człowiekiem.

Lukasa zamurowało. Zrobił krok do przodu, żeby spoliczkować krnąbrnego syna, ale nagle pomysł wydał mu się absurdalny. Przecież Danny był już mężczyzną. Przez chwilę cała furia ojca Lukasa została zablokowana, nie mogła znaleźć ujścia. Kiedy Danny zobaczył go w takim stanie – czerwonego, z wytrzeszczonymi oczami, zrozumiał, skąd pochodzi jego własna wściekłość, i nienawidził siebie niemal tak samo jak ojca.

– Cóż, w takim razie nie będziesz więcej potrzebował moich pieniędzy, prawda?

Tymi słowami Lowenstein senior wydziedziczył syna. Na dodatek zażądał, aby ten natychmiast opuścił dom rodzinny, zanim zdoła zrobić coś jeszcze, by „popsuć rodzinie Boże Narodzenie”.

Danny, zupełnie zszokowany, w końcu wziął się w garść, zanim jego odrętwienie stało się widoczne. Nie mógł okazać, co czuje. Doskonale, odpowiedział. Jest bardzo szczęśliwy, że sobie pójdzie, i ani mu się śni wracać. Nie potrzebuje też obrzydliwych pieniędzy ojca. Stypendium wystarczy na skończenie studiów. Władze uczelni zawsze ze współczuciem traktowały studentów z rozbitych rodzin.

Kiedy tego wieczoru schodził po schodach ze wszystkimi rzeczami upchniętymi w dwóch walizkach, nikt nie zaproponował, że mu pomoże. Zamiast tego Lukas krzyknął za nim:

– Jeżeli nawet zostaniesz dziennikarzem, Danielu, nigdy nie odniesiesz sukcesu! Zawsze będziesz nieudacznikiem. Widziałem już takich jak ty. Niepowodzenie masz wypisane na twarzy. Cuchniesz nim.

Danny podejrzewał, że może to i racja. Niewykluczone, że właśnie dlatego ugięły się pod nim nogi, a dłonie zaczęły mu drżeć. Napłynęły też łzy, ale powstrzymał je i przekonał sam siebie, że czuje się doskonale, opuszczając dom – od wielu lat swoje więzienie.

Matka płakała przy choince, natomiast Camille stała bezczynnie jak zawsze. Nie starała się przekonać Lukasa, nie błagała go, żeby zmienił zdanie. Danny przypuszczał, że dawno temu podjęła decyzję, iż lepiej zdradzić brata niż ojca.

Nie podniosła głowy, gdy Danny zamykał drzwi i ruszył w mroźny mrok bożonarodzeniowej Pensylwanii do taksówki, która czekała, aby zawieźć go w inne życie. Nawet się z nim nie pożegnała.

Tuż po tym, jak na ponurym czeczeńskim niebie pojawił się pierwszy blask świtu, Rachel obudziło pianie koguta. Obok niej chrapał Danny. Złamali zakaz Rose i spali razem na zapadniętym w środku łóżku. Rachel wyobraziła sobie tłustych mężczyzn, bzykających się na nim ze zmęczonymi dziewczynkami. Nie zadbano o prześcieradła czy koce, więc wcisnęli się oboje do jednego śpiwora. Początkowo było to niezwykle zmysłowe wrażenie – przyciskać się do jego nagiego ciała, czuć jej drobne piersi na szorstkim trójkącie włosów na torsie – ale śpiwór stał się właściwie kaftanem bezpieczeństwa i zmarzli aż do bólu. Dlatego ubrali się i niezbyt romantycznie spali w oddzielnych śpiworach.

Mała łazienka cuchnęła moczem. Rachel wysiusiała się szybko i odkręciła kran, aby umyć twarz i ręce. Rura tylko zacharczała jak chore dziecko. Wracając korytarzem do pokoju, Rachel postanowiła, że obudzi Danny'ego i będzie znowu się

z nim kochać tylko dlatego, że może to robić. Nagle jednak usłyszała głos dobiegający z innego pokoju – chyba Edwina. Otworzyła do końca już uchylone drzwi.

– Ooo, witaj Rachel.

Mruczał do siebie pod nosem i nabijał fajkę. Po chwili uświadomiła sobie, że to crack – reszta małych kawałków tkwiła w leżącej obok niego przezroczystej, plastikowej torebce. Przypominały jej waniliowe krówki, które kupowała w sklepie ze słodyczami w Arlingtonie. Żeby nie poparzyć sobie palców, owijał fajkę do cracku pudełkiem po papierosach.

– Cześć, Ed. Co ty, do kurwy nędzy, wyrabiasz?

– Mam wrażenie, że to dość oczywiste. Wejdz i przyłącz się, jeżeli dla ciebie nie jest za wcześnie. Po prostu potraktuj to jako śniadanie.

Wyciągnął zapalniczkę i zaczął podgrzewać crack, obracając fajkę.

– Nie uważasz, że jest trochę... mocny? – spytała bez przekonania. Kilka razy paliła razem z nim marychę i wahała kokę, więc nie bardzo miała prawo moralizować.

– Oczywiście, cholernie mocny. Dlatego tak bardzo go lubię.

– A ja myślałam, że z ciebie dobry katolicki chłopiec.

– Jestem tu raczej ofiarą niż winowajcą. Mniej więcej za dziesięć sekund walnie w mój centralny układ nerwowy i przeżyję coś lepszego niż orgazm. Elixir życia. Upewnij się, żeby mi go dali na łożu śmierci.

Przypomniała sobie, jak w Sarajewie żuł marihuanę w damskiej toalecie, i chciała, żeby na tym poprzestał. Gdyby nie skazana na klęskę miłość do Amry, może by tak było. Teraz siedział przed nią wrak człowieka. Trafiony, zatopiony. Odwróciła się i wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Nie mogła dłużej znieść jego widoku.

Dni między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem przypominały nasilający się wiatr, który zapowiada burzę. Rosyjski minister obrony przechwalał się, że wystarczy dywizja spadochroniarzy, żeby w jeden dzień poskromić Grozny. Porzućcie sny o niepodległości, nakazywał Kreml, poddajcie się! Danny stwierdził, że prędzej Borys będzie trzeźwy, niż Czeczeni złożą broń. Poza tym tutaj nie robią białych flag, dodał, Czeczeni niewiele różnią się od Bośniaków. Walczą o swoją ojczyznę i wolność.

– O Boże, Danny, czy dla ciebie zawsze musi być jakaś sprawa, kolejna pieprzona krucjata? – zapytała go któregoś wieczoru Becky. – Nie możesz po prostu napisać artykułu?

Danny się uśmiechnął. Przeczytał od deski do deski dwa długie teksty o Czeczenach i kipiał świętym oburzeniem na zbrodnie popełniane na nich przez Rosjan.

– Wiesz, w pewnym okresie Stalin deportował stąd osiemdziesiąt tysięcy ludzi dziennie – powiedział. – Osiemdziesiąt tysięcy. To dopiero czystka etniczna. Serbowie przy tym to przyszcz. Ale Czeczeni zawsze nienawidzili Rosjan. Czytałem o oblężeniu w tysiąc osiemset trzydziestym którymś. Matki zabijały rodzone dzieci gołymi rękami, byle tylko nie dostały się w ręce Rosjan.

Becky usiłowała wyobrazić sobie Danny'ego opisującego taką makabrę. To by sobie použíwał. Widziała, że Czeczenia ma wszystkie typowe elementy materiału Lowensteina – skomplikowaną historię, słabszego, którego należało bronić, agresora do potępiania i obojętny świat do oskarżania. Pewnie siedziałby tu miesiącami.

W sylwestrowy ranek dziennikarze w Groznych szykowali się do najnowszego uderzenia Rosjan na maleńką, przysparzającą kłopotów republikę. Stali na dawnym sowieckim placu Minutka, czekając na rozpoczęcie bitwy, przekonani, że tej nocy pokaz sztucznych ogni będzie bardziej widowiskowy niż

w Sydney, Paryżu czy Nowym Jorku. Powietrze rozjarzy się pociskami świetlnymi, raketami z wyrzutni Grad i Katiusza. Całe dzielnice zapłoną pomarańczową poświatą. Samoloty szturmowe Suchoj już przelatywały szybko i nisko.

– Dobrzy ludzie z Groznego, wszystkiego najlepszego w Nowym Roku! – ogłosił Danny, zabawnie naśladując rosyjską wymowę. Obserwował, jak rosyjskie samoloty przystępują do dzieła. – Obywatele, uwolnimy was od tych terrorystycznych awanturników. Przynosimy wam wolność, przynosimy bomby!

Rachel roześmiała się razem z Dannym. W błogiej nieświadomości tego, co może ich spotkać, świetnie się bawili.

Eksplodowała rafineria ropy naftowej i czarna chmura zawisała nad miastem. Dzień szybko przeszedł w noc. Danny i Rachel na zmianę patrzyli przez lornetkę i zapełniali kartki notesów.

Podeszła do nich obwieszona aparatami fotograficznymi Becky, kulejąc w rozmiękłym, brudnym śniegu. Znowu niepokoiła się o Edwina. Paru innych fotoreporterów powiedziało jej, że chciał zostać na noc w Pałacu Prezydenckim. Zdobył fenomenalne materiały, ale Rosjanie usiłowali zmienić gmach w kupę gruzów. A kiedy elitarne oddziały Specnazu uderzą, aby oczyścić ruiny z ocalałych, nie będą bawili się w odróżnianie buntowników od dziennikarzy.

– Jest ryzyko i jest wariackie ryzyko – stwierdziła Becky.

Lowenstein wzruszył ramionami. Jeżeli Edwin ma ochotę grać w pokera o własne życie, jego sprawa. Danny sam nie życzył sobie, żeby ktoś trzymał go za rękę, i nie zamierzał robić tego w stosunku do innych. Ta praca wiązała się z ryzykiem, była ryzykiem, a oni uczestniczyli w wojnie, na której nikt nie zawraca sobie głowy zakazami i zezwoleniami. Trzeba sameму dokonywać wyborów, sameму rzucać kośćmi.

– Jest już dużym chłopcem – oznajmił. – Może sam zdecydować.

- W tym właśnie problem. Nie wiem, czy może.
- Jezu, przecież to dorosły facet.
- I twój przyjaciel! Nie pomyślałaś o tym?

Prawdę mówiąc, nie. Danny bardziej martwił się, czy Edwin go zakasuje swoim noclegiem w budynku, który Armia Czerwona próbowała zmieść z powierzchni ziemi. Gdyby przeżył, byłby to niesamowity materiał, ale Danny'emu nie bardzo podobało się to „jeżeli”. Uważał się za dzielniejszego niż większość kolegów dziennikarzy, ale nie za kamikaze. Odwaga a szaleństwo to istotna różnica. Kamikaze zazwyczaj kończyli w trumnach, jeżeli nie na tej wojnie, to na następnej. Miesiące na kokainie i cracku zmieniły Edwina w szaleńca i Danny nie mógł już z nim współzawodniczyć. Przypominałoby to rywalizację ze sportowcem na dopingu. Z drugiej strony, wątpił, by Edwin był wystarczająco dobry, aby w pełni wykorzystać materiał. Anglik pisał ciężkim stylem, bez polotu – cholernie przeciętnie. Danny nigdy nie obawiał się go jako rywala, nie bardziej niż biednego starego Kapsa.

Danny, Rachel i Becky przytupywali, by się rozgrzać, kiedy z za rogu wyjechały trzy samochody: dwie rozsypujące się wołgi i ciężarówka. Z poślizgiem stanęły przed nimi. Tłoczyli się w nich buntownicy – niektórzy w rosyjskich mundurach polowych, kupionych lub ukradzionych – malowniczo obwieszeni taśmami amunicyjnymi. Inni byli po prostu w dżinsach i półkożuszkach, z zielonymi chustkami zawiązanymi na głowach jak bandaże. Większość miała czarne brody różnej długości i wszyscy odznaczyli się zawadiacką butą. Zamierzali dziś dobrze się zabawić – walczyć o niepodległość, a w razie konieczności zginąć. Jeżeli kamikaze byli na końcu skali Danny'ego, ci ludzie daleko za nią wyszli.

– Chcecie z nami jechać do Pałacu? – Propozycję złożył ich dowódca Rusłan. Powiedział, że może ich tam zabrać na

spotkanie z Dżoharem Dudajewem, byłym oficerem sowieckiego lotnictwa, a obecnie dowódcą powstania. Zrobią z nim wywiad na zasadzie wyłączności i za godzinę odwiezie ich z powrotem. – Bezpiecznie – dodał. – Żaden problem. – Brzmiało to, jakby proponował krótki wypad do sklepu.

Oferta była kusząca; dziennikarze takie uwielbiają i jednocześnie nienawidzą. Gwarantowała materiał i kontrolowany odjazd, ale jednak wiązały się z nią niebezpieczeństwa. Można je roztrząsać albo udawać, że ich nie ma. Rachel i Becky popatrzyły po sobie i czekały, aż zadecyduje ktoś inny. Zrobił to Danny.

– Oczywiście, pewnie, że chcemy! Co wy na to, moje panie? Macie ochotę na szybki numer? Tylko godzina. Jeżeli Rosjanie ruszą dziś w nocy, drugiej szansy może nie być.

Lubił okazywać luzacką odwagę, nawet kiedy targały nim wątpliwości. W taki sposób się nakręcał. Skoro był odważny w słowach, działania powinny im dorównywać – musiał sprostać własnej brawurze.

Rachel nie miała wątpliwości, że bez względu na sytuację zostanie razem z Dannym. Byli partnerami w łóżku i na polu bitwy. Natomiast Becky, co dziwne, wahała się. Kaps tak wytrącił ją z kursu, że straciła dawną, zawadiacką pewność siebie, dzięki której robiła różne szalone rzeczy.

– Sama nie wiem. Nie podoba mi się to.

– Daj spokój – odezwał się Danny.

– Muszę chwilę pomyśleć.

– Tchórz cię obleciał?

Rzuciła mu długie mordercze spojrzenie, które zazwyczaj rezerwowała dla Kapsa, kiedy była na niego wściekła. Momentami czuła do Danny'ego wyłącznie szacunek, ale równie często gardziła wszystkim, co sobą przedstawiał.

– Nie podpuszczaj mnie, Danielu Lowensteinie. Nie wąż się – oznajmiła, biorąc hełm.

Pięć minut później kawalkada samochodów mknęła podziemnym wyjazdem z Minutki. Rozradowani powstańcy wychylali się z okien, krzycząc na całe gardło jak mali chłopcy, którzy właśnie dostali nowe karabiny-zabawki. Becky jechała w jednym samochodzie – cały czas poprawiała pasek hełmu, rzepy kamizelki kuloodpornej i sprawdzała aparaty fotograficzne. Danny i Rachel siedzieli w drugim, trzymając się za ręce. Rachel przyglądała się ściśniętym obok niej i na przednim siedzeniu krzepkim wojownikom. Śmiali się, żartowali, poklepywali po plecach. Żaden nie miał hełmu ani kamizelki kuloodpornej, a nawet gdyby mieli, nie włożyliby. Nie mogła powstrzymać się przed porównaniem ich z nerwowymi, niedożywionymi poborowymi na granicy. Było zaledwie kilkuset powstańców przeciwko tysiącom Rosjan, dysponujących czołgami, samolotami i śmigłowcami, ale wiedziała, kto wygra.

Z tunelu wydostał się na szeroki, opustoszały bulwar. Po bombardowaniach zostały na nim gruzy, powalone drzewa, połamane gałęzie, zerwane druty linii trolejbusowej. Z przedziurawionej rury gazowej tryskał równy płomień. Jezdnię zaściewały martwe psy i koty. Świnia, która jakoś dotarła do miasta, obwąchiwała dwa ludzkie trupy leżące przy bloku mieszkalnym. Niedaleko, obok sterty gruzów – swojego dawnego domu – siedziała na ulicy stara kobieta. Liczyła garnki i patelnie – jej jedyny ocalały dobytek. W porównaniu z tym, aleja Snajperów wyglądała niemal sielsko.

Pałac Prezydencki był typową sowiecką architektoniczną ohydą. Wyglądem zaprzeczał wspaniałej nazwie i bardziej przypominał ponury biurowiec niż okazałą budowlę. Nie pożył długo na tym świecie, ale raczej nikt za nim nie zapłaci. Kiedy Danny, Rachel i Becky przyjechali, w budynku tłoczyli się powstańcy. Uśmiechali się do dziennikarzy na powitanie i gestami zapraszali do środka. Ćpuny wojny podeszły ostrożnie. Poza bojownikami zgromadzili się tu też leciwi mężczyź-

ni w futrzanych czapach i kożuchach oraz kobiety – wyjmowały połcie mięsa i słoje z marynatami. Przygotowywali się na obłężenie jak na przyjęcie. Zdawało się, że wszyscy mówią: Przybywajcie, przybywajcie na wielką czeczeńską przygodę. Walczcie z nami, umrzyjcie z nami!

Część Pałacu już leżała w gruzach. Okna wyleciały, marmurowe posadzki były zimne jak lodowiec, ale pod ziemią serce czeczeńskiego powstania wciąż biło mocno. Labirynt pomieszczeń w piwnicach stał się kwaterą główną generała Dudajewa. Rusłan prowadził onieśmielonych ćpunów coraz głębiej w betonowe podziemia. Zobaczyli kolejnych ochotników układających nie tylko stosy jedzenia, ale też medykamentów. Becky od czasu do czasu dotykała różnych fragmentów ściany.

– Nie ugrzęźnijmy tu – mruknęła, zaczynając robić zdjęcia. – Nie zapominajcie, że na zewnątrz są wojska supermoocarstwa i trzymają nas na celowniku.

– Jesteśmy w centrum historii – stwierdził Danny.

– Nie, na pierdolonej linii ognia.

Becky odeszła na bok, by sfotografować nierówny szereg Czeczenów obładowanych malowniczym zestawem rakietowych granatników przeciwpancernych i zapasowych pocisków, z rodowymi szablami i kindżałami. Odłożyli broń i zaczęli *zikr* – tradycyjny religijny taniec. Z zapałem klaskali i tupali, coraz szybciej poruszając się po kręgu. To byli *smiertniki*, bojownicy-samobójcy, gotowi na męczeństwo za Czeczenie i Allacha. Za ich plecami w obiektywie Becky niczym duch pojawił się Edwin – łysy, chudy, o wielkich oczach. Obok niego stanął Alija, starając się wytrzeć pył bitewny ze swojej profesorskiej bródki i okularów. W ręku trzymał tom Prousta, oczywiście po francusku.

– Cieszę się, że was widzę! – powiedział Edwin. – Moglibyście zabrać mój artykuł? Zdobyłem materiały życia, ale nigdzie nie ma pieprzonego telefonu.

– Chyba nie zamierzasz tu zostać? – zapytała Becky. – To śmiertelna pułapka. Poza tym... – przyciszyła głos, żeby Alija nie usłyszał – nie jestem pewna, czy dobrze się czujesz.

– Nigdy nie czułem się lepiej, dziewczyno. – Skwitował jej niepokój machnięciem kościstej dłoni i oczy rozszerzyły mu się szaleńczo. – Poczekaj, aż przeczytasz mój artykuł. Mówię ci, niezły czad!

Zorientowała się, że jest naprany. Widziała człowieka, który spaceruje nad krawędzią przepaści. Jakaś siła nieodparcie ciągnęła go na dno. Becky musi go zatrzymać.

– Posłuchaj, Ed, teraz to najniebezpieczniejsze miejsce na ziemi. Oczko wyżej niż Sarajewo. Właściwie kilka oczek. Nie możesz tak jechać po bandzie i przeżyć. Prawda, Alija? Powiedz mu, że mam rację.

Alija, niezmiennie wierny sługa, nie odezwał się.

– Wręcz przeciwnie. Nie można przeżyć, nie jadąc po bandzie – odparował Edwin.

Wcisnął jej w rękę notes z nazwiskiem i numerem telefonu Jake'a na okładce.

– Wysłanie zajmie ci maks dziesięć minut. I powtórz im, że muszą to dać na pierwszą stronę. Albo odejdę!

– Sam im powiedz. Pojedź z nami i wyślij.

– Nie mogę. – Edwin coraz bardziej się rozkręcał. Nabierał rozpędu jak *zikr*, któremu się przyglądał. – Zostanę tu na wielkiej drace. To będzie epopeja. Pieprzyć nagrody i wyróżnienia, ale za ten kawałek dorwę wszystkie. Ubrany na pingwina będę odbierał jeden medal za drugim, sama się przekonasz. Danny, biedaczysko, tym razem się nie załapie. Puść ten kawałek do Londynu, to najlepsze co kiedykolwiek mogłabyś dla mnie zrobić. Materiał mojego życia, już ci mówiłem? Cholera, ale jazda. Złapałem fazę.

Becky przewróciła oczami.

– I jeszcze jedno. Weźcie ze sobą Aliję, dobra?

Nie wiedziała, jak Edwin da sobie radę bez tłumacza, ale jeżeli nie miała szansy uratować ich obydwu, to przynajmniej ocali jednego. Szkoda gadać. Przytuliła Edwina jak dziecko i pocałowała w policzki; jego nowi czeczeńscy przyjaciele czekali cierpliwie. Becky zastanawiała się, ilu z nich dożyje do Nowego Roku i czy wśród nich znajdzie się Edwin.

– Kocham cię, ty świrze. Tylko mi nie umrzyj, słyszysz?

Wzruszył ramionami.

– Tobie naprawdę nie zależy, co? – zapytała. – Z powodu Amry? Chcesz do niej dołączyć?

– Może. Jeśli tak zdecyduje los.

– Tak zdecyduje, jeżeli mu na to pozwolisz.

Edwin patrzył, jak Becky odchodzi z Dannym i Rachel. Pomyślał o tym, że kiedyś się z nimi przyjaźnił. I o tym, jak oddalił się od nich, zanurzył we własnym świecie w ciągu tych kilku ostatnich miesięcy. Oczywiście, Danny'emu nigdy nie wybaczy, ale nawet Becky i Rachel były już jak postacie z całkiem innego okresu jego życia. Miał wrażenie, że odpływa od tej trójki; widzi ich głowy – kołyszą się na powierzchni wody, stają się coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu prawie znikają.

Ledwo zdążyli wycofać się do bezpiecznej przystani Minutki, kiedy Grozny eksplodował przed ich oczami. Wszystko stało się celem: blok mieszkalny i powstańczy bunkier, miejscowi Rosjanie i Czeczeni. Moskwa wydawała się gotowa zabijać własnych pobratymców.

W Pałacu Edwin mógłby równie dobrze wziąć kałasznikowa i owiązać głowę islamską zieloną chustą powstańca. Pragnął, aby ludzie, którym towarzyszy, wygrali. Jadł, spał i tylko nie walczył razem z nimi. Paradoksalnie, bez tłumaczeń Aliji, ich więzy się zacieśniły. Chichotał, podobnie jak oni, kiedy nie udawało im się zrozumieć gestykulacji. Jeden z Czeczenów też

miął ogoloną głowę. On i Edwin pokazali na siebie nawzajem i ryknęli śmiechem.

Powstańcy jedli chleb – dla niektórych ostatnia wieczerza – natomiast Edwin kucnął za stertą gruzów i wyciągnął paczkę z crakiem. Zrobił to dyskretnie, na wypadek gdyby tego nie pochwalali. W Bośni usypałby kilka kresek na notesie i wciągnął je przez różową słomkę, ale teraz koka już mu nie wystarczała. Plastikowa oprawka długopisu była jego fajką; zaciągnął się przez nią słodkimi oparami. Przynajmniej przez chwilę siedział na szczycie świata.

Pięć minut, a może pięć godzin później – w ogóle się nie orientował – nadeszła wiadomość, że pierwsze rosyjskie czołgi pełzną w kierunku Pałacu. Gdyby zdołał o tym pomyśleć, pewnie doszedłby do wniosku, że to nieodpowiednia pora, aby zafundować sobie najlepszy odlot w życiu. Z drugiej jednak strony, może wręcz przeciwnie: moment był idealny.

Czeczeni bez chwili wahania pobiegli w ciemność na spotkanie z przeznaczeniem. Edwin usiłował dotrzymać im kroku. Od czasu do czasu, kiedy wznosili okrzyki bojowe, wrzeszczał razem z nimi – stał się niemal jednym z nich, buntownikiem walczącym o wolną Czeczenię. Wreszcie o coś realnego, a nie jak na pustyni, kiedy wojna toczyła się tylko o ropę i Amerykę.

Żarłocznie zużywał dopaminę przepływającą przez mózg. Później przypominał sobie to wszystko tak, jakby miał włączony na pełen regulator telewizor – z pełnym kolorem, kontrastem i poziomem jasności. Grozny był bombardowany, ale zmysły Edwina również. Co jakiś czas próbował coś zapisać, ale słowa przypominały dziecięce bazgroły i cieszyło go tylko to, że przeżywa tę noc.

– Gdzie teraz jesteś, Danny Lowensteinie?! – krzyknął w mrok.

Czeczeni rozproszyli się, wbiegając w boczne uliczki i zaułki w nadziei, że uda im się przedostać na tyły nacierających

T-72. Bardzo niesportowe zachowanie, pomyślał tkwiący w Edwinie absolwent prywatnej szkoły. To jak wbicie komuś noża w plecy.

Salam, ich przywódca, miał złote zęby, bandanę z wypisanym wersem z Koranu i kieszenie wypchane granatami, jakby wcisnął tam jabłka zerwane przed chwilą w ogrodzie. Ciągłe manipulował przy opartym o ramię granatniku przeciwpancernym, aż w końcu odpalił go i szarpnięty podmuchem zniknął w obłoku dymu. Edwin odwrócił się, by spojrzeć na czołg. Żelazne monstrum ogarniały już płomienie. Nagle amunicja we wnętrzu pojazdu eksplodowała niczym sztuczne ognie w ognisku. Załoga wyskakiwała, każdy z czołgistów przypominał kłębek ognia; młode ciała topiły się przed jego oczami. Widział załogę własnego czołgu na pustyni, a potem Irakijczyków, których spopielili – poczerniałe szkielety na wpół zasypiane wędrującymi piaskami na granicy z Kuwejtem.

Jeszcze więcej bezsensownej śmierci. Świat nigdy się nie nauczy. Kolejne brutalnie przerwane istnienia. Jak Amry. Czasem zastanawiał się, czy i on nie powinien zginąć.

Pałące się dzieci Kremla nie musiały cierpieć zbyt długo. Wkrótce ludzie Salama wyskoczyli z kryjówek, litościwie kosząc ich seriami z broni maszynowej.

Transporter opancerzony idiotycznie pełził śladem zniszczonego czołgu. Z zimnej nicości nocy wypadła horda Czeczenów i rozwalila drzwi przedziału desantowego pociskiem raketowego granatnika przeciwpancernego. Z transportera znów wyskoczyli nastolatki. Ci nie płonęli, ale usiłovali się przedostać do bram i klatek schodowych obcego miasta. Czeczeni, którzy w przeciwieństwie do rekrutów znali Grozny od urodzenia, polowali na nich po kolei. Przemykali się piwnicami, uliczkami, nawet kanałami.

Jakiś Czeczen o posturze zapaśnika wymachiwał szablą. Po cracku Edwin miał wrażenie, że cofa się w czasie – wiruje, wiruje, wiruje – aż wreszcie zobaczył przed sobą czeczeńskiego

jeźdźca atakującego carskiego żołnierza. Ranny rosyjski rekrut próbował uciec z kryjówki za ścianą. Buntownik machnął szablą i ściął go pierwszym uderzeniem.

Czołgi i transportery pełzały we wszystkich kierunkach jak dezorientowani Dalekowie; zderzały się ze sobą, aż w końcu stawały w ogniu nieprzyjaciela. To był pogrom. Edwin nigdy dotąd nie słyszał głośniejszych huków ani nie widział jaskrawszych błysków; swąd kordytu wypełniał mu nozdrza. Nienawidził wojny, nienawidził tego, co zrobiła z Amrą, ale tej nocy wydawało mu się, że znów się w niej zakochuje.

Wiedział, że to przez crack. Pamiętał, kiedy po raz pierwszy pieprzył się po kokainie i uznał, że od tej chwili seks bez niej nigdy nie będzie taki sam. Przypuszczał, że z wojną jest podobnie – nigdy nie zdoła jej oglądać bez jakiegoś narkotyku we krwi.

Ostatecznie nadszedł nieunikniony kryzys. Ręce i nogi zrobiły się ciężkie, zaczęły go boleć mięśnie i kości. Bardzo starał się to ukryć przed Salamem i jego czeczeńską grupką braci, ale wiedział, że musi wrócić do burdelu wystać materiał i znów się nawalić. Jeszcze tylko nie zdecydował w jakiej kolejności.

Dochodziła północ, kiedy zeszywniały z zimna Edwin dotarł do przybytku *madam* Rose. Jakoś udało mu się przebrnąć przez miasto bez draśnięcia, chociaż wokół niego ginęli Rosjanie i powstańcy. Czuł się jak wybraniec losu, choć wcale nie był pewien, czy jest mu za to wdzięczny.

Zdołał przekazać pięćset słów tekstu, uzupełniając materiał przekazany w jego imieniu przez Becky. Nie spisał swojej historii, więc wymyślał kolejne zdania, dyktując je stenografistce w Londynie. Nie wiedział, czy mają jakiś sens. W ogóle nie komentowała, tylko zapytała – irytująco – jak się pisze „Grozny”, a nawet „Czeczenia”. Tego, cholera, się nie spodziewał.

Kiedy tylko odłożył słuchawkę, sięgnął do swoich zapasów, a potem, odświeżony, wszedł po drabinie na dach Rosy, gdzie wszyscy pozostali szykowali się na powitanie Nowego Roku. Wśród wirującego śniegu i odległych pocisków świetlnych pili taniego rosyjskiego szampana i tańczyli w płaszczach i futrzanych czapkach przy muzyce odtwarzacza Becky. Znowu puszczali *Crazy*. Do burdelu Rosy dotarli inni dziennikarze. W sumie kilkunastu zebrało się na dachu, martwiąc się trochę, że może się pod nimi załamać.

Wśród nich bawił się też Kaps. Samolot Aerofłotu z Moskwy miał osiemnaście godzin opóźnienia i Kaps był pewien, że w Grozным już po wszystkim, ale Rachel podzieliła się z nim materiałem, łącznie z cytatami i kolorytem lokalnym z wizyty w Pałacu. Przez godzinę zdołał wysmażyć z tego zaskakująco przekonujący tekst na pierwszą stronę, a potem przyłączył się do towarzystwa.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy znowu razem i to dokładnie w Nowy Rok – powiedziała Rachel, tuląc się do Danny’ego, by się ogrzać. – To musi być omen. Słuchajcie, kto ma dokładny czas? Ale co do sekundy.

Wskazówki ich zegarków, podobnie jak artykuły, mówiły co innego. Rachel poszła więc po radio. Przez cały rok poważny głos z Bush House* był jej ratunkiem i tej ostatniej nocy również. Trzymała sfatygowany odbiornik pod różnymi kątami, obracała go, poruszała poklejoną taśmą anteną, aż w końcu znaleźli podnoszącą na duchu melodię *Lily Bolero***. Podgłościli, by rozlegała się nad Grozным.

W czasie krótkiej ciszy przed pierwszym uderzeniem zegara o północy zamyślili się nad rokiem, który właśnie odchodził, i nad rodzącym się nowym i nagle spontanicznie zaczęli

* Siedziba BBC World Service (przyp. tłum.).

** Satyryczna piosenka XVII-wiecznych protestanckich osadników w Irlandii; sygnał dźwiękowy sieci (przyp. tłum.).

bić brawo. Na dobrą sprawę nie wiedzieli, co właściwie oklaskują.

– *S Nowym Godom*. – Kaps znał tylko ten jeden rosyjski zwrot. Szczęśliwego Nowego Roku. Był zadowolony, że stary się kończy. Prawdę mówiąc, od chwili przyjazdu czuł się nie-swojo. Rana po przyjaźni z Dannym zerwanej przed kilkoma miesiącami jeszcze się nie zabiłżniła. Nie miał tu pojęcia, co powiedzieć Becky. Mógł tylko zakładać, że go nienawidzi.

Wszyscy całowali się i obejmowali, ale po podaniu dłoni Edwinowi i uściskaniu Rachel Kaps wycofał się w róg dachu, by uniknąć kontaktu z dawnym przyjacielem i byłą kochanką. Myślał o znalezieniu sobie innego miejsca zakwaterowania, ale w głębi duszy wiedział od początku, że musi zamieszkać w burdelu. Kiedy wybierał się na wojnę, nie chodziło tylko o materiał, ale o poczucie koleżeństwa. Bez względu na to, jak źle układało się między nim a Becky i Dannym, nie wyobrażał sobie, że mógłby być sam w takim miejscu jak Grozny. Również pod względem zawodowym musiał przebywać tam, gdzie jak na giełdzie wymieniano informacje jawne i poufne, analizy czy plotki. Nie wspominając o tym, że tutaj miał dostęp do różnych rzeczy, do transportu i alkoholu.

Gawędził ze Spinozą i Marianą. Tylko raz czy dwa razy zaryzykował i ponad zebrany na dachu tłumem zerknął ukradkiem na Becky. Nie musiał nawet patrzeć, by dostrzec rozpromienioną twarz albo usłyszeć śmiech kobiety, z którą powinien teraz być. W końcu połączenie piosenki Seala i kiepskiego szampana skłoniło go, by do niej podejść. Choć zachowywała się z nonszalancką, jakby na niczym już jej nie zależało, nikt, a zwłaszcza on nie dał się nabrać.

Wziął ją za rękę i pocałował w oba policzki, zanim zdążyła się odwrócić.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Beck.
- Och. Cześć. Tobie również.
- Wszystko w porządku?

– Niezupełnie – odpowiedziała cicho, rozglądając się, czy nikt nie słucha. – A u ciebie?

– Nie.

– Totalne gówno, co?

– Tak, ale wyjdzie nam na dobre.

Kiwnęła głową i przypomniała sobie orwellowskie hasło Danny'ego z Gomy. Im gorzej, tym lepiej. Teraz miała własne: Najlepsze jest najgorsze.

– Słuchaj, tak mi przykro, że... – Chociaż powtarzał sobie tę kwestię z milion razy, nie miał pojęcia, jak ją zakończyć.

Becky i tak mu przerwała.

– Daj spokój. Podjąłeś dobrą decyzję. – Pochyliła głowę, zanim łzy zdradzą ją jak wredni kapusie.

– Dobrą dla moich dzieciaków, niedobrą dla ciebie i dla mnie.

Wbijając wzrok w mocno udeptany śnieg na dachu Rosy. Kolejna gigantyczna eksplozja wstrząsnęła Groznym.

– Mam wrażenie, że jesteśmy w środku burzy bez deszczu – stwierdziła dość poetycko, ale zaabsorbowany swoimi myślami Kaps puścił tę refleksję mimo uszu.

– Życie bez ciebie mnie zabija – powiedział.

– I dobrze. Jestem zadowolona.

Dotknął jej ramienia.

– Nie, Kaps. Proszę, po prostu... nie.

– Brakuje mi ciebie. Twojego uśmiechu. Twoich włosów. Kulawej, kuśtykającej nogi.

– Cóż, wielkie dzięki. – Roześmiała się perliście i uświadomił sobie, że to kolejna rzecz, której mu brakuje.

Podeszła Rachel i chwyciła ich oboje za dłonie. Chciała, żeby wszyscy wzięli się za ręce i zaśpiewali *Auld Lang Syne*, albo przynajmniej tyle, ile sobie przypomną. Jeszcze tego nie zrobili, a było już dziesięć minut po północy. Każdy się przyłączył, nawet Alija, który na tę noc wyjątkowo dał Proustowi wolne. Cała ich szóstka, różni spóźnialscy, fotoreporterzy,

pracownicy organizacji charytatywnych utworzyli krąg i poruszali się coraz szybciej, tworząc rozpędzony wir.

– Słuchajcie, robimy *zirk*! – wrzasnęła Rachel.

Ona i Becky odrzuciły głowy do tyłu jak dzieci w wesołym miasteczku, a Krontz i Spinoza dopingowali je z zapalem. Znow nabuzowany Edwin śmiał się jak wariat, którym się stawał, i wszyscy zapomnieli o panującej naokoło rzezi. Kiedy krąg w końcu się rozpadł, Becky poszukała wzrokiem Kapsa. Siedział schowany w kącie, obawiając się, że jeżeli ponownie ją pocałuje, już nigdy nie przestanie. W odległości kilku metrów od siebie zobaczyła Rachel i Danny'ego. Tańczyli ze sobą, Rachel wtulona w jego pierś. Becky chciała by znaleźć się w jej sytuacji, w objęciach ukochanego mężczyzny.

– Żegnaj dziewięćdziesiąty czwarty! – wołała pijana Rachel tak głośno, że wszyscy na dachu ją słyszeli. – Ciekawe, co szykuje nam następny?

Kiedy nowy rok miał już dwie godziny, rosyjski szampan i czeczeńska brandy zbiły ich z nóg. Zeszli ze swojego parkietu na dachu i wylądowali w jednym z największych pokoi burdelu. Becky padła w poprzek wielkiego łóżka obok Danny'ego, a nieprzytomni Rachel i Kaps leżeli na podłodze, chrapiąc od czasu do czasu. Sprawiali wrażenie, jakby mogli przespać cały 1995 rok.

– Aż tak strasznie to się nie urzęłam od... od kiedy po raz ostatni strasznie się urzęłam – wybełkotała Becky. Kiedy przyglądała się śpiącemu Kapsowi, doszła do wniosku, że dobrze znowu patrzeć na jego idealną twarz, chociaż ten widok sprawiał jej wielki ból. Zaledwie przed sześcioma miesiącami kochała się z nim dwa, trzy razy dziennie, a teraz nie mogła go nawet dotknąć. Jego obecność powodowała równie wiele cierpienia jak nieobecność, ale przynajmniej alkohol działał znieczulająco. – Ten facet, który tam leży... uwielbiam go. Nadal.

– Wiem. – Teraz, kiedy Rachel odleciała na dobre, Danny stał się powiernikiem Becky.

Nieoczekiwanie objął ją i równie niespodziewanie Becky chwyciła jego rękę i położyła na swoim brzuchu. Dobrze być pocieszaną, czuć zapach i siłę męskości, a ponieważ Kaps został tak okrutnie usunięty z jej życia, niech Danny odegra jego rolę. Wyobrażała sobie, że jest Kapssem. Zaczęła czuć się trochę lepiej.

Danny zaczął przesuwając palcem wskazującym wzdłuż linii jej szczęki. To też było przyjemne, jak masaż: zmysłowe i monotonne. Zamknęła oczy i marzyła o Kapsie, a kiedy znów otworzyła, zaskoczyło ją, jak Danny na nią patrzy. Powinna uśmiechnąć się, podziękować mu, nawet zażartować o dawnych czasach, a potem powiedzieć dobranoc i odwrócić się plecami. Ale z drugiej strony, pomyślała, powinnam zrobić tyle innych rzeczy.

Kiedy Danny dotknął wargami jej ust, nie opierała się. Czuła smak dymu i toksycznego alkoholu, ale i przyjemność: ciepłe, wilgotne wargi Danny'ego, dokładnie takie, jakie zapamiętała z czasów, kiedy byli kochankami. Tłumaczyła sobie, że to głupi, pijacki dowcip między starymi kumplami, ale wyczuła twardniejącą męskość Danny'ego. W jasny, spokojny dzień szampan i brandy wywołały tsunami, które zmiatało nie tylko zahamowania, ale też sumienie i lojalność, wszystko co dobre i słuszne.

Patrzyła, jak Danny zerka na Rachel leżącą na podłodze. Sprawdzał, czy wciąż śpi, ale chodziło mu o coś jeszcze, bo doskonale wiedział, że jest zbyt nieprzytomna, żeby się poruszyć. Dopiero kiedy zorientował się, że Becky dostrzegła jego spojrzenie, zrozumiała: fakt, że Rachel jest w tym samym pokoju, podnieca go, dodaje dreszczyku ryzyka i perwersji. Rozpiął jej dżinsy i ściągnął swoje. Becky czuła obrzydzenie i rozkosz, kiedy się w nią wcisnął straszliwie podniecony. Zamknęła oczy i wmawiała sobie, że jest w niej Kaps, kocha się

z nią tak jak w Afryce, uprawia z nią najpiękniejszy seks, jaki kiedykolwiek przeżywała.

Po paru pełnych zapamiętania minutach było po wszystkim. Ostatnie, odbierające oddech pchnięcie. Głuchy pomruk Danny'ego, stłumiony jęk Becky. W końcu opadł na nią, zasnął i kurczył się w jej wnętrzu równie gwałtownie, jak rósł.

Spojrzała na Rachel, tak piękną we śnie, niemal jak dziecko. Czasem przeklinała tę dziewczynę, ale teraz chciała ją obudzić i powiedzieć, że bardzo przeprasza, że nie wie, co jej przyszło do głowy i że na zawsze pozostaną przyjaciółkami. Czy do tego sprowadza się moje życie? – zastanawiała się Becky, do kradzieży mężczyzn innym kobietom, choćby na kilka minut? Wyobraziła sobie, jak Rachel budzi się i z niedowierzaniem przeciera zaspane oczy: „Jak mogłaś?” A potem patrzy na nią Judith: „Ty dziwko! Nic dziwnego, że zamieszkałaś u Rosy, to twoje miejsce!”

Becky miała wrażenie, że jest pustym, wypatroszonym truchłem. A Danny – już niechciany – wciąż przygniatał ją bezwładnym ciężarem, którego nie mogła z siebie zepchnąć.

Biorąc pod uwagę szeroki wachlarz przesądów Becky, nie było niczym zaskakującym, że to co zdarzyło się w następną sobotę, uznała za wróżbę na następny rok. W ten styczniowy weekend ciężkie szare chmury wisiały nabrzmiąle spóźniającym się śniegiem.

Tego ranka Danny, Rachel i Becky wzięli ze sobą Aliję. Edwin, zupełnie niezdolny do pracy, zgodził się pożyczyć im samochód na kilka godzin. Alija przygnębiony, że jego pracodawca coraz bardziej przypomina zombie, chętnie z nimi poszedł.

Jechali do Jażdnowskiej, wioski będącej bastionem buntowników i siedliskiem szczególnie dzikiego czeczeńskiego klanu. Leżała na wschód od Groznego, na skraju płaskiej rów-

niny zamkniętej zalesionym pogórzem przechodzącym w piętrzące się wysoko, zaśnieżone góry. Jażdnowska wydawała się równie dobrym miejscem jak każde inne, by dokonać oceny nastrojów powstańców.

Na miejscu zastali dziesiątki buntowników kręcących się wokół budynków gospodarczych razem z kurczakami, owcami i bydłem. Wyglądało to tak, jakby zwierzęta też dołączyły do powstania. Ćpuny wojny dygotały z zimna i patrzyły na białe chmury oddechów wydobywające się z ich ust z każdym wypowiedzianym słowem. Jakiś leciwy mężczyzna z kędzierzawą, siwą brodą zaprosił ich do domu na posiłek. Z wdzięcznością pomyśleli o ogrzewanym pomieszczeniu. Do jedzenia było ledwo ugotowane jagnię, ale bardziej obchodziło ich ciepło bijące od pieca na drewno. Bez skrępowania stanęli wokół niego, wyciągając dłonie i rozczapierzając palce.

Kiedy inni rozmawiali i jedli, Alija jak zawsze czytał. Zamienił dyscyplinę intelektualną Prousta na miękki rytm Audena i co chwila się uśmiechał.

– To takie zabawne? – zainteresowała się Becky, która od szkoły nie przeczytała ani jednego wiersza.

– Zabawne? Nie, raczej nie. Rozważałem, jak to jest, że ktoś taki jak Auden tworzy coś tak cudownego, a inni, ci ludzie wokół, zajmują się tylko niszczeniem.

– Tak... oczywiście, intrygujące. – Becky czasami zastanawiała się, co Alija robi razem z nimi. Powinien siedzieć w czytelni wiekowego uniwersytetu, a nie na kolejnej linii frontu.

– Właśnie. Alija ma rację – wtrącił się Danny. – Jesteśmy zdolni robić wielkie rzeczy, rozwijać naukę, poezję, sztukę, ale wciąż walczymy jak dzikusy. Weźcie tych zwariowanych Czeczenów i Rosjan. Mogliby być jaskiniowcami, gdyby się ich...

Przerwało mu wycie pierwszego pocisku katuszy. Trafił w wioskę, gdzieś za nimi, pewnie w oborę albo stóg siana.

Wszystko jedno, Rosjanie chcieli tylko zmusić Czeczenów do ucieczki. Ale instynktowna reakcja powstańców w Jażdnowskiej była inna – zostać na miejscu i walczyć. Jak jaskiniowcy.

Alija ostrożnie zamknął książkę wciągnięty z powrotem w hałaśliwe niedogodności kolejnej wojny. Nadleciał nowy pocisk, potem spadły dwa kolejne, jeden po drugim i bliżej. Rosjanie podciągnęli wieloprowadnicowe wyrzutnie pocisków raketowych. Nikt nie miał wątpliwości, co oznacza nawała artyleryjska – zakrojony na pełną skalę atak, po którym niewielu pozostanie przy życiu.

– Czy mogę zaproponować, żebyśmy stąd spierdalali i to szybko? – odezwał się Danny.

Porzucili sędziwego gospodarza i wypadli za drzwi. Biegli przez podwórka wioski. Pokryte śniegiem błoto i nawóz chlupały pod ich timberlandami i pryskały na dżinsy. Przeskoczyli niski płotek. Alija pierwszy pokazał, że łatwo sforsować tę przeszkodę. Zazwyczaj szedł za ćpunami wojny, ociągał się, gładził brodę, zagubiony w innych światach i wiekach. Najwyraźniej uważał, że wysiłek fizyczny jest niegodnym go zajęciem. Dzisiaj jednak spokojne zamiłowanie do książek zastąpił niezwykły duch sportowy i Alija biegł przodem. Od samochodu dzieliły ich już tylko dwa pola.

Z tyłu przez zimowe powietrze dobiegły niezrozumiałe czeczeńskie okrzyki.

– Te zwariowane sukinsyny wołają, że powinniśmy z nimi zostać! – rzucił Danny, niemal się śmiejąc. – Chyba nigdy nie rozumieją, że wolelibyśmy ujść z życiem.

– Nie, nie. Czekać. – Alija zatrzymał się trzydzieści metrów przed dziennikarzami. – To coś innego. Miny. Tak, o to chodzi. Mówią, że jesteśmy na polu minowym. Pewnie postawili je, by zatrzymać Rosjan.

– O ja pierdolę – jęknęła Becky.
Stanęli nieruchomo jak posągi.

Do dźwięków katusz doszły paraliżujące trzaski wystrzałów strzelców wyborowych, jakby perkusja włączyła się do rytmu orkiestry.

– Kurwa, i jeszcze snajperzy. – Podniecenie Danny’ego zastąpił strach.

– Co robimy? – zapytała Rachel. – Idziemy dalej czy wracamy do zagrody?

– Wracamy – oznajmiła zdecydowanie Becky. – Schowamy się w szopie, dopóki sytuacja się nie uspokoi.

– Ale jeżeli to jest pole minowe?

– I tak nie możemy tu stać. Snajper wytlucze nas po kolei.

W ułamku sekundy dopadły ich wojna i wszystkie jej zabójcze wybory. Co robić? Gdzie zginą, a gdzie ocaleją?

– Ruszajmy! – krzyknął Danny. Ktoś musiał podjąć decyzję, dobrą lub złą. Ostrożnie wycofywali się w stronę szopy. W Walshingham instruktorzy pokazywali im, jak uciec z pola minowego. Trzeba aż do bólu dokładnie sondować nożem albo nawet piórem każdy centymetr kwadratowy terenu. „Nie spieszcie się za nic w świecie”, powtarzali. Dziwne, ale w ich scenariuszu nie było ani katuszy, ani snajpera, ani nawet obezwładniającego zimna. Ćpunom wojny nie pozostało nic innego, jak tylko biec do szopy i mieć nadzieję, że się uda. Cztery ściany – częściowo z cegieł, częściowo z desek i blachy falistej – dawały słabe, bo słabe, ale jednak schronienie. Pozwalały stworzyć plan.

Biegli z opuszczonymi głowami. Starali się stąpać jak najdelikatniej, zupełnie jakby to miało im pomóc, gdyby nadeptnęli na minę. Przeklinali kleiste błoto, oblepiające wielkimi grudami buty, obciążające je ponad miarę. Tym razem Danny, dowódca, pierwszy przeskoczył niski płotek, tuż za nim Rachel, a potem Becky, której straszliwie przeszkadzała niesprawna noga. Alija najdalej odbiegł od wioski, więc teraz wracał ostatni.

Jeszcze tylko kilka metrów do szopy. Wpadną przez drzwi, zatrzasną je i odetchną. Potem obmyślą inny plan, a może się pomodlą.

Huk, inny w swojej fakturze od trzasku wystrzałów snajperów i wycia katusz. Zupełnie jakby rozrywał powietrze na strzępy. Nisko nad ziemią rozeszły się fale uderzeniowe. Dopiero gdy zdyszani i spoceni dotarli pod wątpliwą osłonę szopy, uświadomili sobie, że nie ma wśród nich Aliji, że zgnieciona kupka na polu to właśnie on; wił się jak zwierzak złapany w potrzask.

Mina przeciwpiechotna była mała, ale wystarczająco silna, by go okaleczyć. Krew sączyła się na śnieg z jego prawej stopy, otoczonej już czerwoną plamą. Na tym polegała podstępna zasada działania tej broni – nie zabić, ale zranić i zważyć innych.

Alija jest zaledwie dwadzieścia metrów od płotu. Becky bez słowa zdejmuje aparaty fotograficzne, kładzie je na podłodze i zaczyna biec tam, skąd przed chwilą uciekła.

Trzy świsty nad jej głową – pociski mózdzierzowe lecą przez zimne, cuchnące powietrze.

Pada w brunatnobiałą maź tuż przed drzwiami, obsypana wyrzuconymi przez eksplozje grudami ziemi. Mają ją na celownikach. Myśli o Draganie w Sarajewie. Czy ten rodzaj sportu bawi ich tak samo jak jego? A może tylko wykonują rozkazy – te powołane do wojska dzieciaki, śmiertelnie przeżarte, ściągnięte do Czeczenii i pragnące jedynie wydostać się z niej jak najszybciej.

Powoli wstaje. Ale czyjeś muskularne ramię obejmuje ją w pasie, przyciska z powrotem do ziemi i wtedy Becky uświadamia sobie, że nie może się ruszyć. Jak postać z kreskówki wciąż przebiera nogami, ale nigdzie nie idzie. Danny wciąga ją do szopy.

– Danny, zabieraj ode mnie swoje pieprzone łapy! Musimy go wydostać!

– Tam są moździerze, snajperzy i miny! – wrzasnął w odpowiedzi. – Jeszcze stąd się wychylisz i też będziesz martwa.

– On nie jest martwy, tylko ranny. Popatrz! O tam! Wciąż się rusza, nie widzisz?

– Pierwsza zasada na polu minowym: nie wracasz ratować rannych. Jeżeli wyszłaś z pułapki, zostajesz, gdzie jesteś.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Co? To nie jakieś cholerne ćwiczenia poligonowe, nie pracujemy z instrukcją w rękę. Jeżeli tego nie zauważyłeś, tam leży nasz przyjaciel, facet z którym spędziliśmy ostatnie dwa lata naszego durnego życia!

– Przykro mi, Becky. Chcesz, żebyśmy wszyscy tu zginęli? Nie ma wyboru.

– Oczywiście, że jest. Zawsze jest. Między odwagą a...

– No, powiedz to, śmiało! – Jego twarz przy jej twarzy, nabrzmiała i wrzeszcząca.

Rachel z kąta szopy przygląda się, jak dwoje ludzi, których kocha najbardziej na świecie, rozszarpuje się na strzępy.

– Dobra. Między odwagą a tchórzostwem.

– Nie, tak naprawdę to między życiem a śmiercią.

– A co byś zrobił, gdybym to ja tam leżała albo Rachel? Co wtedy?

– Ja... Nie bądź głupia, to nie pora na hipotezy.

– Fakt, nie pora.

Becky walczy, aby się od niego uwolnić, ale bieg zupełnie ją wykończył. Jest zmarznięta i przerażona, a on zbyt silny. Trzyma ją za przeguby tak mocno, boleśnie, jakby je przypalał, ale później przez miesiące, a nawet lata wyrzutów sumienia często będzie się zastanawiała, czy coś jeszcze powstrzymało ją przed pójściem Aliji z pomocą.

Z pola dobiega długi, zawodzący jęk, niczym rodzącej kobiety. Wzmaga się i cichnie w lodowatym wietrze. Potem dobiegają pierwsze słowa:

– Moja noga! Ratunku, moja noga!

Biel spowija Becky jak welon.

Kolejny krzyk Aliji, tym razem bardziej rozpaczliwy.

– Pomocy! Krwawię. Bardzo krwawię.

Becky znów patrzy na Danny'ego. Nie ma już sił, by z nim walczyć czy biec. Może tylko błagać tak, jak wyobraża sobie, że błagają ją oczy Aliji.

– Proszę cię, Danny. Proszę. Nie mogę go zostawić, żeby umierał tam jak pies na drodze. Nie będę udawać, że go nie słyszę. Nie dam rady z tym żyć. Na rany Chrystusa, jest jednym z nas.

A wtedy on mówi z zimną, kliniczną brutalnością:

– Nie, nie jest. Oczywiście, że nie jest jednym z nas.

Becky zamurówuje. Patrzy na niego z niedowierzaniem, a potem z miażdżącą pogardą. I nienawidzi go niemal tak bardzo jak siebie za to, że się z nim pieprzyła.

Danny puszcza jej ręce. Becky może już biec i ocalić Aliję, ale odnosi wrażenie, że stopy ma przybite do połupanej drewnianej podłogi. Nie chcą się poruszyć: rozkazuje im, ale uparcie odmawiają posłuszeństwa. To ich wina! Wina Danny'ego! Wina wszystkich, tylko nie moja!

Za pierwszym razem odruchowo zdecydowała, by iść na ratunek. Nawet nie pomyślała, żeby tego nie robić, ale teraz Danny nafaszerował jej głowę wątpliwościami. Becky zaczyna wszędzie widzieć ukryte miny, rekiny w morzu, gotowe pożreć łatwy kąsek – jej kulawą nogę. Tak, na zewnątrz szopy czyha niebezpieczeństwo.

Kolejny żałosny krzyk Aliji:

– Wykrwawiam się! Musicie... mi pomóc.

W jej głowie kłębią się rozgorączkowane myśli. Czas pozostały na decyzję kurczy się dramatycznie szybko. Odwaga czy tchórzostwo.

– Potrzebujemy planu pola minowego! – krzyczy do Aliji. Jej słowa brzmią słabiutko, niemal biurokratycznie. Oczywiście, ocalimy ci życie, ale najpierw trzeba wykonać określone

procedury, należy skonsultować się z gazetami, przeprowadzić narady.

– Becky, na litość boską, błagam. Wykrwawiam się.

Dlaczego użył jej imienia? Dlaczego nie wezwał Rachel czy Danny’ego? I „na litość boską”? Czy musi popisywać się znajomością idiomów?

Becky wyobraża sobie, jak jego niezwykły mózg zostaje pozabawiony dopływu krwi, ten kawałek tkanek i komórek, który opanował sztukę porozumiewania się czterema językami i zawiera niezliczoną ilość informacji. Jak biblioteka z półkami pełnymi zakurzonych tomów – od Cyserona i Arystotelesa, przez Chaucera i Szekspira, po Byrona, Keatsa, Steinbecka i Hemingwaya. Czy naprawdę tak po prostu się wyłączy?

Becky przypomina sobie sylwestra i to, jacy byli wtedy szczęśliwi. Pamięta, jak Alija porzucił książki, żeby przyłączyć się do tańca o północy, tego wspólnego, głupiego *zigr*. Czemu nie mogliby się znaleźć tam znowu, podejmować inne decyzje i układać inne plany?

Wszystko leży w gruzach jak podczas karambolu w uroczym popołudnie, kiedy codzienność zmienia się w katastrofę. Stopa postawiona na niewłaściwym skrawku ziemi. Za duży nacisk. Źli przyjaciele, dokonujący niewłaściwych wyborów.

Alija cichnie, pojękuje tylko. Teraz końcowe sekundy wloką się niemiłosiernie, Becky tkwi w więzieniu poplątanych myśli. Zamknął ją tam ktoś inny, ale kiedy ucieczka jest już możliwa, Becky zdaje sobie sprawę, że po prostu nie pragnie tego wystarczająco mocno.

Gdzieś z wioski wyłania się dwóch krępych, brodatych Czeczenów w śnieżnobiałych kombinezonach maskujących. Rozmawiają ze sobą, przechodząc tuż obok szopy. Nawet nie biegną. Jeżeli pocisk snajpera przebije im czaszki na wylot, cóż, taka wola Boga. Zginą w imię wolnej, niepodległej Czeczenii. *Smiertniki*. Nie ma w nich ani cienia wątpliwości dręczących Becky.

Idą przed siebie do płotu, naprzód czeczeńscy żołnierze*, poruszają się śmiało, lekko. Żadnych strzałów czy huku moździerzy. Dlaczego?! – krzyczy w duchu Becky. Dlaczego wstrzymano ogień właśnie teraz?

Czeczeni przeskakują płotek i ruszają na pole. Wydaje się, że nie zwracają uwagi, gdzie stawiają stopy. Odwaga czy tchórzostwo? W ich przypadku odwaga, żywiołowa i czysta. Przecież nawet nie znali Aliji.

Jeden z nich podnosi rannego mężczyznę, tak jak ona sama pragnęła zrobić, jak powinna zrobić, mogłaby zrobić, gdyby Danny jej nie zatrzymał swoją zasadą absolutnej nieinterwencji. Czeczen przerzuca sobie Aliję przez ramię i niesie do wioski jak worek kartofli. Krew z rozerwanej nogi spływa po plecach kombinezonu, plamiąc śnieżną biel smugami czerwieni przypominającymi maźnięcia graficiarza.

Becky obserwuje. Może zasnął. Albo jest nieprzytomny i kiedy zabandażują mu nogę i uniosą, życiodajna krew powróci. Tak jak wtedy, kiedy Edwin uratował ciężarną kobietę w Sarajewie. Jak wtedy, gdy Kaps ocalił dzieciaki w Gomie. Kolejny cud dla ćpunów wojny. Boże, proszę, jeszcze tylko jeden, błagam, a nie będziemy Cię już o nic więcej prosić.

Alija leży na podłodze szopy – tu, gdzie powinien się znaleźć już dwadzieścia minut temu. Czeczeni rwą białe kombinezony i zakładają krępulec na poranioną nogę. Rozmawiają ze sobą szybko, pewni siebie i zdecydowani. Becky podziwia ich biegłość. Czuje, że równie sprawnie ratują i odbierają życie. Dokonają cudu. Jeden klęka i przykłada usta do ust Aliji. Becky przypomina sobie, jak zawsze trudno jej szło z plastikowymi manekinami na zajęciach z pierwszej pomocy w Walsingham. Alija jest w lepszych rękach niż jej. Czeczen zajmuje się ofiarą wypadku, ich brody płaczą się ze sobą.

* Aluzja do pieśni ze słowami Sabine Baring-Gould *Onward Christian Soldiers* – *Naprzód żołnierze Chrystusa* (przyp. tłum.).

Becky wypatruje, czy drobny tors unosi się i opada, i jest już pewna, że widzi – płytko jak niemowlę, strasznie płytko, ale Alija oddycha. Te słabiutkie białe chmurki w lodowatym powietrzu to chyba jego oddech? Och, dzięki Ci, Boże.

– Patrzcie, żyje!

Rachel chwyta Becky za rękę. Przyjaciółka, którą zdradziła, pieprząc się w jej obecności.

– Becky, on już...

– Nie, zobacz. Oddycha.

Wyobraża sobie. Natarcie osłabnie i zawiozą go do szpitala w Groznm. Zapracowani lekarze uczynią wszystko co w ich mocy, ale zapewne Alija straci stopę. Zacznie z nim żartować: teraz oboje będziemy kuśtykać! Kiedy nabierze sił, przetransportują go samolotem do Moskwy, potem lotem medycznym do Wielkiej Brytanii. Stary, dobry „Telegraph” spisie się na medal. Alija wróci do Bośni, gdy wojna się skończy. Oczywiście bez stopy. No cóż, stwierdzi z filozoficznym spokojem, mogło być gorzej; przynajmniej nie straciłem obu. I zawsze zostaną mi moje książki!

Jeden z Czeczenów znajduje w rogu szopy zatłuszczony koc i nakrywa nim Aliję z możliwie największym namaszczeniem.

– Co ty, do kurwy nędzy, robisz?! – wrzeszczy Becky. – Udusisz go. Zakryłeś mu całą twarz!

Rachel próbuje ją objąć, ale Becky odpycha przyjaciółkę i znów na nich krzyczy:

– Mówiłam wam, on wciąż oddycha! Spójrzcie! – Klęka i przykłada ucho do jego piersi. – Tak, tak, oddycha.

Czeczeni kręcą głowami, a ich wielkie, brązowe melancholijne oczy mówią: Przykro nam z powodu waszej straty. Są wystarczająco mądrzy, by wiedzieć, że dla ludzi innych niż oni, nie dla *smiertników*, śmierć może być prawie nie do zaakceptowania.

Danny podejrzewa, że gorączkę powoduje czerwotka pełzakowa. Miał ją już kiedyś na Sumatrze. Lekarz opowiedział mu o tej chorobie z barwnymi szczegółami i oświadczył z wyraźnym zadowoleniem: „W pana wnętrzościach, panie Lowenstein, uwiła sobie mieszkanko ameba”. Teraz też zginają go skurcze żołądka, biegunka jest krwawa i sączy się z niego bez przerwy. Danny ma wrażenie, że widzi, jak jego ciało się kurczy. Koło miejsca, gdzie napiętnował go Blizna, zaczyna ją sterczeć kości nadgarstka. Pragnie wrócić do Abu Omara i jego szalonych bombardierów, do telewizora pokazującego rodziców i dywanu, który pozwala mu myśleć, że wciąż jest człowiekiem.

Nie ma apetytu, za to straszliwie chce mu się pić. Wolny przychodzi z codziennym posiłkiem, ale bez dzbanka. Kiedyś Danny pogodziłby się z tym, dzisiaj jednak ogarnia go oburzenie.

– Gdzie, do cholery, moja woda?

Gniew jest dobrym uczuciem, przynosi ulgę.

Wolny człapie ciężko, żeby się dowiedzieć. Pięć minut później zjawia się Blizna i wnosi do celi żółte wiadro. Woda rozrzutnie przelewa się przez krawędzie i Danny pożądliwie gapi się niemal na każdą kropkę. Mógłby wypić całą zawartość wiadra za jednym zamachem albo zanurzyć w nim głowę. To najpiękniejsza rzecz jaką widział.

– *Szukran* – bezgłośnie porusza ustami. Dziękuję.

Blizna uprzejmie kiwa głową. Danny dochodzi do wniosku, że czują szacunek do siły.

– Posłuchaj, jestem chory. Potrzebuję lekarza. – Wskazuje na brzuch.

Blizna znowu kiwa głową, ale nie odpowiada.

– Powiedziałem, że potrzebuję pierdolonego lekarza. Dopadła mnie poważna choroba. Nie widzisz?

Blizna podchodzi do niego. Jedno ramię ma opuszczone pod niesionym ciężarem, całe ciało przechylone na bok. Stawia wiadro i Danny szykuje się, by zanurzyć wysuszoną, obolałą twarz w zimnej, cudownej wodzie i spłukać wszystko – brud, pragnienie, ból. Wspomnienia i sny. Przeszłość.

W ostatniej chwili Blizna wyrywa mu kubek, unosi wysoko i oblewa sobie głowę. Potrząsa nią jak pies; mokre włosy opryskują Danny'ego drobnymi kropelkami. Śmieje się. To dla niego najzabawniejsza rzecz na świecie, świetny uczniacki dowcip. Potem sprawdza, że wiadro jest puste, i ciska nim w Danny'ego tak gwałtownie, że metalowe ucho przecina skórę tuż nad brwią. Strumień krwi spływa po twarzy i szybko łączy się ze łzami.

Od kiedy jest znowu z Blizną, złe sny są częstsze. Co wieczór czeka, aż zaatakują go znienacka, i boi się zasnąć.

Znowu jest w toyocie pod Al-Talhą, ale tym razem to nie przyjaciele przyciskają twarze do przedniej szyby i naśmiewają się z niego, ale umarli. Mohammed siedzi za kierownicą, dziury po pociskach w piersi wciąż krwawią, choć minęło tyle czasu. Obok jest Amra pokryta pyłem z ruin szpitala. I jeszcze Alija. Opiera poszarpaną nogę o deskę rozdzielczą, krew tryska ze stopy. Macha do Danny'ego: „Jedź dalej! Nie bój się! Dołącz do martwych! Może nie byłem jednym z was, ale teraz z całą pewnością ty możesz być jednym z nas”.

„Tak, chodź Danny – mówią inni. – Wykaż się odwagą. Tak jak my”.

Camille także śniła. Łóżko w Hamrze miała dość wygodne, ale z powodu duchoty, podobnie jak Danny, spała niespokojnie. Mokre od potu prześcieradło owinęło się jej wokół nóg.

Dałaby wszystko za klimę ze swojego eleganckiego apartamentu w Dubaju, tak hojnie dostarczającej chłodny tlen.

Całą noc starała się zobaczyć twarz Danny'ego. Była uwięziona w najdziwniejszym ze snów – widziała oczy, usta, włosy brata, ale za każdym razem, kiedy usiłowała złożyć je w całość, ulatywały.

Minęło dwanaście lat, od kiedy przestali spotykać się od czasu do czasu na lunchach czy kawie i męczyli się, prowadząc koślawe rozmowy międzynarodowe czy międzymiastowe. Po raz ostatni słyszała jego głos w słuchawce w 1992 roku. Danny był w Sarajewie – jak zawsze. Zaczęło się nawet dość przyjemnie. Powiedziała, że martwi się o niego. Wciąż widzi w telewizji koszmarne relacje z Sarajewa. Czy jest bezpieczny? Czy nie brakuje mu jedzenia? Odparł, że czuje się świetnie, a w mediach wszystko wygląda gorzej niż w rzeczywistości. „Mam nadzieję”, opowiedziała. Ale kiedy – po raz kolejny – wysunęła pomysł rodzinnego pojednania, wywiązała się dyskusja, która alarmująco szybko wymknęła się spod kontroli.

– Nic dla mnie nie zrobiłaś, Camille. Wiesz dlaczego? Bo zawsze wolałaś być jego córką niż moją siostrą.

Poczuła ulgę, kiedy obudziło ją wezwanie do modlitwy. Przypomniało jej bicie kościelnego dzwonu w niedzielę w Pittsburghu, zapowiedź kolejnej rundy w długiej walce między Dannym i Lukaszem Lowensteinami. Religia, pomyślała, budzi mnie przez całe życie.

Leżała jakiś czas, aż pojawiło się światło poranka. Nałożyła okulary, podeszła nago do okna i rozsunęła tiulowe firanki, które tylko częściowo nie dopuszczają bagdadzkiego świtu. Gigantyczne słońce podzieliło się na warstwy – intensywnie pomarańczowy pas u góry, a pod nim coraz bledsze odcienie żółci. Śmigłowce przelatywały przez nie tam i z powrotem – okupanci już ciężko pracowali. Chaotycznie rozplanowany Bagdad budził się na następny dzień koszmarów. Widziała

zbiorowisko beżowych, pudełkowatych budynków; okna czasami błyskały, odbijając światło wczesnego poranka. Patrzyła też na coraz bardziej rozbudowywane fortyfikacje hotelu – więzienia o łagodnym reżymie z murkami przeciwpodmuchowymi, drutem kolczastym i budkami wartowniczymi, w których stali kontraktowi ochroniarze Hamry z kałasznikowami trzymanymi na wysokości brzuchów. Ten widok sprawił, że zaczęła się zastanawiać, gdzie może być więziony Danny i co robi. Czy spał równie źle? Czy ma takie same problemy z przypomnieniem sobie jej twarzy? Czy w ogóle próbuje?

Wyjęła z torebki małą fotografię brata i wpatrywała się w szczegóły, starając się nauczyć ich jak pracy domowej. Kiedy znów spojrzała za okno, kątem oka dostrzegła na dziedzińcu niewyraźną postać. Wytężyła wzrok – znajomy łuk pleców okryty luźno zwisającą, białą, świeżą diszdaszą. Dżamail był przy budynku gospodarczym. Otworzył kłódkę i wsunął się w szczelinę między podwójnymi drzwiami. Już wcześniej widywała go, jak się tam kręci, ale zainteresowało ją to, co nastąpiło później. Zjawili się Edwin i Kaps. Sprawiali wrażenie jeszcze bardziej zaniepokojonych niż w herbaciarni. Po chwili zniknęli za otwartymi przez Dżamaila drzwiami.

Camille wzięła prysznic, ubrała się i włączyła telewizor. Żadnych wiadomości o Dannym, nawet wzmianki. Zeszła do recepcji i zobaczyła Dżamaila pogrążonego w rozmowie przez telefon. Mijając go, poruszyła ustami w bezgłośnym, przelotnym pozdrowieniu. W odpowiedzi z roztargnieniem lekko uniósł dłoń.

Głównymi schodami ruszyła na dziedziniec i skierowała się w stronę budynku gospodarczego. Na podwójnych drzwiach znowu wisiała kłódkę. Czuła się dość śmiesznie, zaglądając przez szparę. Kiedy oczy przywykły do ciemności, zobaczyła kilka niewyraźnych kształtów – trzy samochody. Widziała coraz lepiej i zorientowała się, że to dwa GMC i jakiś

sedan dokładnie owinięty brązowym brezentem. Wielkie rzeczy, pomyślała. Zwykły garaż.

Najczęściej Camille przyłączała się do ćpunów wojny w kawiarni, podczas śniadania, ale tego ranka zastała ich przy stoliku dla czterech osób. Niezdecydowanie kręciła się w pobliżu, aż wreszcie Edwin zaprosił ją, żeby wcisnęła się między nich – trochę późno, pomyślała, i bez szczególnego entuzjazmu. Musiała pójść po talerz, serwetkę i sztucce. Nie skomentowała tego ani słowem, mimo wszystko zastanawiała się, dlaczego nie wybrali większego stolika. Przecież wiedzieli, że lubi siadać z nimi i omawiać plany na rozpoczynający się dzień.

Edwin nalał wszystkim paskudnej, rozpuszczalnej kawy – ledwo letniej i bez smaku. Czerstwe bułki kruszyły się, a w garnuszku z dżemem tkwiły kawałki masła zostawione wcześniej przez noże innych ludzi. Kiedy wreszcie przyniesiono omlety, trzeba było użyć papierowych serwetek, by osuszyć je z oliwy. Wszystko to przypominało ćpunom śniadania w Holiday Inn i rozmaitych nędznych hotelach, w których się zatrzymywali.

– Wyglądacie, jakby lepiej się wam spało – zauważyła Camille.

Becky skinęła głową, ale twarz miała zmęczoną jak zawsze.

Do stolika zbliżyło się paru dziennikarzy z „Baltimore Sun” i „Timesa”, żeby zapytać, czy są jakieś nowe wiadomości. Pozostali trzymali się jednak na dystans w obawie, że sprawią niepotrzebną przykrość, zadając pytania, na które nie było odpowiedzi. Za to Dżamail bez skrępowań podszedł do nich i rytualnie wyraził niepokój o Danny’ego. Wszyscy rozmawiali z nim uprzejmie. Wrogość, jaką Camille widziała dzień wcześniej, zniknęła bez śladu. Najwyraźniej cały incydent w herbarciarni został zapomniany. Przypuszczała, że chodziło o nieporozumienie związane z rachunkiem.

– Pójdę umyć zęby – oznajmiła. – Zobaczymy się później.

- Wiesz co, wyjeżdżamy na cały dzień – wyjaśnił Kaps.
- Och, naprawdę? Coś się dzieje?

Camille pomyślała, że wyruszają opisać jakąś kolejną masakrę.

- Nie, nic takiego. Po prostu mamy coś do zrobienia.

Domyśliła się, że nie chcą poruszać przy niej tego tematu, i poczuła się odrzucona. Pewnie dlatego wybrali stolik na cztery, a nie pięć osób.

Obijała się cały dzień. Próbowwała czytać powieść Henry'ego Jamesa, która leżała w apartamencie, ale po kilku akapitach zrezygnowała. W ogóle nie mogła się skupić. Dzwoniła do Munra, Harpera i Adiego. Porozmawiamy dziś wieczorem na telekonferencji, oznajmili. Innymi słowy, nie ma żadnych wiadomości. Ostatecznie postanowiła rozładować frustrację pływaniem. O dziwo, winda działała i w chwili gdy drzwi się zamykały, do środka wpadła Melissa, pełna entuzjazmu producentka z NBC.

– Cześć, jak się masz? – Camille ucieszyła się, że ma do kogo się odezwać, w czasie tej krótkiej jazdy na parter.

– W porządku. – Melissa czuła wyrzuty sumienia. Termin ultimatum upływał za tydzień, a ona zajmowała się przygotowaniem materiału na dzień śmierci Danny'ego. Nowy Jork oznajmił, że „pójdą na całego” z trzema reportażami i paroma przeprowadzonymi na żywo wywiadami z korespondentami. Poświęcą temu połowę *Wiadomości wieczoru*, a może nawet zrobią bezpośredni przekaz z Bagdadu. – Wierz mi, wszyscy jesteśmy myślami razem z tobą.

- Dzięki.

Potem Melissa oświadczyła, że jeżeli może coś zrobić – cokolwiek – Camille musi jej dać znać.

– Co za koszmar – powiedziała młoda producentka. – Ten rano, kiedy się dowiedzieliśmy... Boże, nigdy tego nie zapomnę.

- Ja też.
- Biedna Rachel płakała. Biegła przez jadalnię i szlochała, szlochała, szlochała.

Ćpuny wojny wróciły dopiero po zapadnięciu ciemności. Camille przeprowadziła wieczorną telekonferencję bez nich, ale Edwin zaproponował, że przygotowuje na wspólną kolację *ratatouille*. Płynęło wino, potem whisky, a wreszcie pojawiła się marihuana. Edwin zaskoczył Camille, wyciągając pakiecik z marychą. Po raz pierwszy ktokolwiek z nich brał w jej obecności narkotyki. Wyglądało to tak, jakby teraz – po wcześniejszym wykluczeniu – przyjmowali ją do swojego kręgu. Dziwne, ale poczuła się zaszczycona.

– Mielicie dobry dzień? – To było dyskretne zaproszenie do wyjaśnienia, czym się zajmowali.

Wymigali się jednak od odpowiedzi.

– Tak, w porządku, dzięki. A ty? – spytał Kaps.

– Uhm. Nie najgorszy.

Camille postanowiła być bardziej bezpośrednia.

– A więc co robiliście?

– Och, to i owo – odparł Edwin.

– Słucham?

– Naprawdę, nic wielkiego. Sama wiesz, mamy swoje zajęcia, pracodawców. Biuro, którym trzeba się zajmować, kontakty do podtrzymywania. Nie możemy snuć się tu cały czas.

– Wysyłaliście materiały? – naciskała.

– Niezupełnie.

– W takim razie co?

– Camille, wyluzuj – wtrąciła się Rachel. – To bez znaczenia. Jesteśmy dziennikarzami. Życie toczy się dalej nawet bez Danny'ego.

Edwin przyszykował skręta z taką samą pedantyczną precyzją, z jaką gotował. Camille podziwiała, jak zręcznie zwinął

papier i mieszał tytoń ze splątanymi włóknami marihuany. Mógłby to robić z jedną ręką przywiązaną za plecami i zamkniętymi oczami. Podał jej skręta jako pierwszej. Może uważał, że Camille musi się rozluźnić i przestać zadawać tak wiele pytań.

Wzięła jointa i zaciągnęła się mocniej, niż zamierzała. Przez kilka sekund nic się nie wydarzyło. Zastanawiała się, czy na człowieka w pewnym wieku chemikalia przestają działać czy powoduje to menopauza. Już miała zrezygnować, kiedy marycha mocno uderzyła jej do głowy, wypełniając każdy zakątek mózgu. Camille przeżywała najlepszą chwilę w całym dniu, bo tylko to jej się dziś przydarzyło. Parę razy przedryfowała przez pokój i uświadomiła sobie, że wpływa do świata Edwina.

Danny kuca w toalecie i patrzy na sufit. Zwisają z niego dwa czarne przewody po urwanej lampie. Widział je już wiele razy – teraz spogląda na nie zupełnie inaczej. Są skręcone, ale gdyby je rozwinął i związał ich końce razem, mogłyby okazać się dość długie. W kącie stoi zardzewiała beczka; chyba dałby radę ją przesunąć i na niej stanąć. Miałby dosyć czasu, żeby to zrobić, ale tylko gdyby służbę pełnił Wolny. Biedaczysko nie lubi zaglądać do toalety, jeżeli jest w niej Danny.

Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia. Dawniej Danny z zapalem opowiadał o swoim bogatym, intensywnym życiu, a teraz się zastanawia, jak je skończyć. Ale jest w tym logika. Czy nie okazałoby się to o wiele lepsze niż nóż? Łagodne, spokojne odejście, bez przerażających wrzasków – ich lub jego. Czemu nie ułatwić sobie sprawy? I czy mimo wszystko nie zasługuje na taką formę śmierci? Czy nie zsyłał jej na wielu innych, tych biednych nieszczęśników w jego snach?

Wyobraża sobie, jak Wolny odnajduje lekko kołyszące się zwłoki. Zawoła Bliznę, a ten przybiegnie, przeklinając, że pozbawiono go cudownej chwili z nożem.

Nie licząc ocalenia, to jedyny sposób, w jaki Danny mógłby go pokonać.

26

1995–2004

Alija zawsze mówił, że nie chce być pochowany w Bośni. „Zbyt hałaśliwie”, powtarzał z błyskiem w oku. Wolałby cmentarz Highgate; wtedy znalazłby się blisko George’a Eliota i oczywiście Karola Marksa.

– Tam właśnie kładą wszystkich ciekawych ludzi – powiedział.

– Niesamowite – odparł Edwin. – Bo ja chciałbym być pochowany w Sarajewie. Może się zamienimy.

Dzięki pewnej pomocy ze strony „Telegraphu” Becky wszystko zorganizowała: napisała nekrolog, który redakcja wydrukowała bez poprawek, razem z wielkim zdjęciem Aliji i Edwina w Tuzli. Załatwiła sprowadzenie ciała do Londynu. Zamówiła przedsiębiorstwo pogrzebowe, uroczystość pożegnalną, zaproszenia, kwiaty i chór. Grano jego ulubionego Bacha, czytano teksty – bardziej literackie niż religijne. Spośród wszystkich książek Alija nie tknął chyba tylko Biblii i Koranu. Jego przyjaciele recytowali wiersze, eklektyczną mieszankę Sassoona, Keatsa i Goethego. Wyobrażali sobie, jak leży w grobie, ze starrannie wypielęgnowaną bródką, czołem zmarszczonym nad okularami i słucha z zadowoleniem. Pojawił się wydawca „Telegraph”, wielu innych korespondentów zagranicznych, a nawet członek parlamentu, dla którego Alija tłumaczył w Sarajewie.

„Widzisz – miała ochotę powiedzieć Danny’emu Becky – jednak był jednym z nas”.

Ale Danny nie pojawił się na pogrzebie. Przesłał wieniec i wiadomość, że jest chory.

Po Czeczenii nic nie było takie jak dawniej. Rozdzieliła ich śmierć Aliji i przynajmniej chwilowo nie mogli znieść myśli o kolejnej wojnie. W każdym razie wiedzieli, że rok 1994 już się nie powtórzy.

Kiedy pogrzeb się skończył i Becky już niczego nie musiała organizować, zaczęła się rozsypywać. Najpierw pojawiły się senne koszmary, po nich bezsenność i brak apetytu. Jej stan stopniowo się pogarszał, miała skurcze nóg i napady niepokoju, kiedy słyszała donośne odgłosy albo nagły hałas. Szefowie z Sigmy zapłacili za jej wizytę u psychiatry z Harley Street, który stwierdził pourazowe zaburzenia psychosomatyczne. Powiedział to, co doradziłby każdy rozsądny człowiek – powinna trzymać się z daleka od działań wojennych. Próbowwała robić zdjęcia rzeczy, które nie miały nic wspólnego ze śmiercią i przemocą, ale zupełnie nie budziły jej zainteresowania. Widziała swoje przyszłe życie jako jedną wielką ruinę – bez kariery zawodowej, bez kochanka.

Rachel zasugerowała, że Becky powinna pogadać z Danym. „Jesteście tak dobrymi przyjaciółmi, że możecie być wobec siebie całkiem szczerzy. Sądzę, że miałyby to terapeutyczny wpływ na was oboje”. Becky odpowiedziała, że wcale nie jest pewna, czy są dobrymi przyjaciółmi, i jeszcze nie może na niego patrzeć. Nie po tym, co zrobił w Jażdnowskiej.

– Ale przecież niczego nie zrobił – broniła go Rachel. – Nie oskarżaj Danny’ego. Dobry Boże, przecież to nie on zabił Aliję.

– Nie?

Becky chętnie posunęłaby się dalej. Powiedziałyby: „A co z tobą Rachel? Czy ty również nie jesteś winna? Dobra, nie powstrzymywałaś mnie, ale też nie wykazywałaś się bohaterstwem, prawda? Kryłaś się w rogu szopy w nadziei, że nikt cię nie zobaczy”.

Jednak sobie darowała, ale na myśl, że pieprzyła się z Danym w obecności Rachel, nie czuła się już aż tak źle.

Przez resztę lat dziewięćdziesiątych Kaps próbował ułożyć swoje sprawy z Judith; w chwilach słabości wysyłał Becky teksty i maile. Czasami je wyrzucała, kiedy indziej okazywała uprzejmość: „Dzięki, radzę sobie o wiele lepiej. Nie sądzę, że nasze spotkanie to dobry pomysł”. A kiedy naciskał, odpisywała zdecydowanie. „Proszę, Kaps, ty masz swoje życie, a ja mam swoje”. Sama się dziwiła własną siłą, ale tak naprawdę to był tylko instynkt samozachowawczy.

Z jednej strony kochał Becky i chciał, aby znalazła sobie innego mężczyznę. Z drugiej – wciąż jej pożądał i zżarłaby go zazdrość, gdyby tak się stało. Kiedy był w Brighton i przytulał chłopców na dobranoc, czuł, że ofiara jest tego warta, ale gdy szedł do łóżka z Judith i gasił światło, tęsknił do Becky, wspamiętałości jej ciała, pełni uśmiechu i życia.

Zobaczyli się dopiero dwa lata po pogrzebie Aliji i nie w jakimś udręczonym kraju, ale w Londynie, po zwycięstwie wyborczym Partii Pracy w 1997 roku. Pracował całą noc i ledwo się trzymał na nogach. Becky robiła zdjęcia zwycięskiego młodego przywódcy, szczerzącego się przed Festival Hall, a Kaps pisał tekst dla Reutersa. Już prawie świtało, kiedy nowy premier przybył, aby podziękować swoim lojalnym partyjnym współpracownikom. Mimo oślepiających świateł telewizyjnych lamp i błysków fleszy Kaps jakoś odnalazł ją wzrokiem w rozgorączkowanym dziennikarskim tłumie. Dreptała naokoło, by zdobyć jak najlepsze ujęcie. Nigdy nie wydawała mu się równie piękna.

Dla obojga ta chwila była niezwykle doniosła, jakby to oni powinni stać się tematem dnia, a nie początek działalności nowego rządu. Ale kiedy poranek rozświetlił Tamizę, dawni kochankowie jedynie ślizgali się po powierzchni, żadne nie odważyło się zanurzyć głębiej.

- Jest dobry, co? Robi wrażenie.
 - Jak zawsze, poza tym świetnie wychodzi na zdjęciach
- odpowiedziała Becky.

– Niezła noc.

– Tak. Naprawdę cieszę się, że tu przyszedłam. Jak widać, historia to nie tylko wojny.

Rozmawiali o drobiazgach, aż wreszcie, niczym zdenerwowany nastolatek, Kaps zdołał wykrztusić zaproszenie:

– Eee, posłuchaj, tak sobie myślałem... miałabyś ochotę na jakieś śniadanie? Znam taką kawiarnię za rogiem. Najlepsze w mieście bułki z jajkiem na bekonie.

Nie bardzo kwalifikowało się to jako randka, ale równie dobrze mógłby zaproponować kolację przy świecach w restauracji.

Nie zacznę z tobą wszystkiego od nowa, Kaps. To by mnie zabiło, pomyślała.

– Lepiej nie – odparła. – Muszę podrzucić fotki do redakcji. Wiesz, jak jest.

– Jasne – mruknął przybity. Znowu pojawiła się w jego życiu i natychmiast je opuściła, a on nie mógł pozbyć się myśli, że widzi ją po raz ostatni.

– Wyślę ci maila.

– Oczywiście. Będziemy w kontakcie. No to cześć.

– Cześć.

Wymienili bezpieczne pocałunki, krótkie, suche cmoknięcia w policzek, które bardziej sygnalizowały koniec czegoś niż początek. Oboje bardzo uważali, żeby trzymać się daleko od ust. Potem odwróciła się i ruszyła w stronę parlamentu i stacji metra. Każdy jej krok wydawał się walką z siłą ciężenia. Wcale nie chciała iść do metra ani nawet do małej kawiarni. Miała ochotę pobiec z nim do jakiegoś taniego hotelu, gdzie mógłby ją obejmować jak dawniej i kochaliby się szaleńczo przez resztę tego nowego dnia, nowej ery czy nowego czegokolwiek.

W miarę jak dekada zbliżała się do końca, uzależnienie Edwina stało się w „Telegraphie” tajemnicą poliszynela. W gazecie pojawiła się nowa rasa liczykrupów, którzy dali mu już oficjalne ostrzeżenie, a teraz byli zdecydowani pozbyć się kłopotliwego pracownika. Nazwisko Edwina wciąż pojawiała się na naradach zarządu, ale za każdym razem Jake lojalnie go bronił.

– Po prostu jesteśmy to winni temu biednemu dupkowi – szeptał, a siedzący wokół stołu bezlitośni młodoturkowie kręcili z niedowierzaniem głowami: pieprzeni dziennikarze; dlaczego zawsze muszą trzymać się razem?

Jake starał się trzymać Edwina na uboczu. Wysyłał go do najdalszych zakątków świata – Somalii, Burundi, a nawet do Erytrei. Ale kiedy nie miał dokąd jechać, błąkał się po redakcji albo gnił w swoim mieszkaniu przy Kilburn High Road. Było zapuszczone, pełne świadectw jego najrozmaitszych złych nawyków. Brudne talerze piętrzyły w zlewie, na stole leżała kupiona wieczorem i zjedzona do połowy porcja ryby z frytkami – teraz już zimna i nieapetyczna, a śmieci wysypywały się z kosza.

Związek z kimś mógłby go uratować przed nim samym, ale Edwin wątpił, by po Amrze oddał komuś swoje serce. Najbardziej zbliżył się do Mimi, swojej dilerki, uzależnionej od cracku i hery, która zawędrowała już daleko drogą prowadzącą do zagłady. Edwin spotykał się z nią pod łukami wiaduktu kolejowego na King's Cross. To był jego nowy świat deszczowych londyńskich nocy, w otoczeniu prostytutek, sutenerów, handlarzy narkotyków i włóczęgów. Pewnej nocy, kiedy brał towar, Mimi chwyciła go za rękę i przyciągnęła jego mokrą od deszczu twarz do swojej. Całował ją, ale nie czuł nic poza niewyraźną nadzieją, że coś dobrego z tego wyniknie. Jeżeli nie może bzykać się ze świętą, spróbuje z grzesznicą. Kiedy przyszli do jego mieszkania i rozebrał Mimi, uświadomił sobie, że jest równie chuda jak on. Śnieżnobiała skóra mocno opinała

kości. Pieprzyli się jeszcze kilka razy, przede wszystkim aby przekonać się, że nadal żyją – zazwyczaj u Edwina, ale raz zdarzyło się że też pod łukami wiaduktu, tam gdzie spali włóczędzy, a dziwki obsługiwały klientów. Jej ciało zupełnie do niego nie przemawiało – z jednym tylko wyjątkiem. Mówiło mu to, co już wiedział, że najczystsza przyjemność w życiu została zaprawiona cierpieniem.

Edwin nie miał wiadomości od Danny'ego, ale nie próbował się z nim skontaktować. Czasami spotykał się z Becky na drinka – w Covent Garden albo Camden Town. Możliwie jak najmilej wyznawali sobie, że wyglądają paskudnie, a potem rozmawiali o dobrych dawnych dziejach.

Niekiedy widywał się też z Kapssem. Pewnego razu gdy siedzieli w barze przy Dean Street, Edwin zapytał starego kumpla, czy jego zdaniem tak może wyglądać śmierć – nie jako nagły, dramatyczny koniec, ale stopniowe osuwanie się w nicłość.

Wiek zbliżał się ociężale do wymęczonego końca i tylko Rachel i Danny mogliby powiedzieć, że są szczęśliwi, chociaż nawet u nich zdarzały się kryzysy. Za dużo się sprzecjali, dwa razy rozstawali się i umawiali z kimś innym, ale potem znów razem wędrowali po świecie, szukając wojen, które coraz trudniej było znaleźć.

Kiedy „New York Times” stracił zastępcę naczelnego i głównego felietonistę, ludzie zaczęli mówić o Danny'm jako jego następcy. Kpił z tego pomysłu – jak mógłby choć pomyśleć o rezygnacji z pracy w terenie – ale Rachel przekonała go, że to jest wyraz uznania i nowy teren do rozwoju talentu. Dowód uwielbienia jego sposobu pisania. Nie musiał już w artykułach przemycać ukradkiem swoich poglądów, teraz ich oczekiwano. Co więcej, był czytany i szanowany w Białym Domu i na całym świecie. Rozpoczęło się nowe tysiąclecie: wszystko wydawało się możliwe i Danny dał się uwieść.

Rachel zapytała „Washington Post”, czy ona też mogłaby wrócić. Mieli dla niej jedynie stanowisko młodszego reportera na Kapitolu, ale przyjęła je, bo chciała być z Dannym. Rezygnowała ze swojego marzenia, choć po głębszym namyśle uznała, że to marzenie już się przeżyło. Po pięciu latach w terenie czuła się, jakby miała pięćdziesiątkę, i myślała o rodzinie.

Razem wprowadzili się do eleganckiego mieszkania w Georgetown i po połowie płacili czynsz. Z dnia na dzień życie Danny’ego zaczęło toczyć się w labiryncie korytarzy, a nie w okopach; na odprawach, nie zaś na polu walki. Każdego ranka o tej samej porze – dziesięć po ósmej – zapinał kołnierzyk i wiązał krawat. Jego ciało pozbawione dopływu adrenaliny zaczęło zdradzać objawy głodu. Dlaczego pozwolił się uwięzić na przedmieściach? Dlaczego dał się przekonać Rachel, że powinien przestać pracować w terenie, skoro był tam tak szczęśliwy? Danny zaczął obwiniać i obrażać Rachel. Mówił, że ona jednak nie jest prawdziwym ćpunem wojny, tylko się podszywa, jak podejrzewał od pierwszego spotkania w Sarajewie. Okazała się zwykłą oportunistką.

Ich wzajemne relacje psuły się coraz bardziej, aż do pewnego jesiennego wieczoru 2001 roku. Mohammed Atta i jego przyjaciele zaistnieli i zniknęli, Ameryka natomiast szykowała się do zemsty na talibach w Afganistanie. Danny czytał materiał przesłany z linii frontu pod Kabulem przez Kapsa i Edwina. Czekali na zdobycie miasta, na chwilę, gdy okryją się chwałą, a Danny cierpiał, że jego tam nie ma. Po jedenastym wrześniu świat był urządzany na nowo, a Danny znalazł się na marginesie. Wszystko działo się bez niego, musiał więc znaleźć się gdzieś indziej, gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Brnął do domu przez wirujący śnieg, który przypominał mu Bośnię i Czeczenię. Zamiast siedzieć w okopie i patrzeć na amerykańskie bombowce na niebie, cały dzień oglądał w in-

stytucie nauk politycznych multimedialną prezentację prawdopodobnego stanowiska Stanów Zjednoczonych w czasie następnej rundy handlowych pertraktacji w ramach GATT. Pomyślał o lekcjach fizyki w liceum i uznał, że dzisiaj było jeszcze gorzej. Wszedł do mieszkania zmęczony, w paskudnym nastroju i gotowy wyładować się na pierwszej napotkanej osobie. Oczywiście, na Rachel.

Wyjął z lodówki puszkę budweisera, rzucił się na skórzaną sofę, którą razem wybrali do nowego domu, i włączył kosztowny plazmowy ekran, dominujący w całym salonie. Nawet ten zakup wywołał kłótnię. Powiedziała, że taki kolos jest „wulgarny”. W duchu przyznawał jej rację, ale chciał postawić na swoim, więc go kupił, a potem cały czas przerzucał kanały. Nie bardzo mógł określić, co zamierzał w ten sposób udowodnić, ale poczuł się cholernie dobrze.

Rachel rozłożyła się obok niego, kiedy oglądał wieczorne wiadomości. Puścili niezwykle mocny reportaż starego pozera Todda Diamonda, wciąż z włosami jak szczotka do szorowania kibli i w swoim – jak nazywał Danny – „wdzianku palanta”, wzorowanym na wojskowej, pełnej kieszonek kamizelce khaki. Diamond razem z kamerzystą znalazł się w krzyżowym ogniu między Sojuszem Północnym a talibami. „Od trzydziestu lat robię reportaże z wojen”, mówił do kamery zadyszany Diamond”, i muszę przyznać, że od Wietnamu nigdy nie widziałem takiego ostrzału.

– No taak – warknął Danny. – Dalej, nie krępuj się i przypomnij nam, jak to było w starym dobrym Wiet. Opowiedz kolejny raz o dniach chwały!

Aby udowodnić, że nie przesadza, Diamond – co dla niego nietypowe – przez kilka sekund milczał, aby widzowie usłyszeli odgłos pocisków przelatujących koło kamery. Mikrofon wyłapywał ich wysoki świst, odrażający, ale też upajający i w mózgu Danny’ego coś się obudziło.

– Tak, tam właśnie chciałbym być.

Powiedział to głośno i sprawiło mu to przyjemność. Wypił łyk zimnego piwa i jeszcze bardziej rozwalił się na sofie. Początkowo Rachel nie zwracała na niego uwagi – to najlepszy sposób postępowania, kiedy był w złym nastroju – ale Danny bardzo chciał sprowokować awanturę. Nie mógł pozwolić się ugłaskać. Przypominał kraj, który usiłuje narzucić spokojnemu sąsiadowi wojnę.

– Totalny fiut z tego faceta.

– No, ale znalazł się tam, gdzie jest temat – stwierdziła Rachel. – Dlatego, jak sądzę, warto go posłuchać.

– Właśnie. Ja też tam powinienem być.

Takiej szczeniackiej odzywki nie mogła puścić mimo uszu.

– Po co? Uważasz, że bez ciebie świat nie pozna tych informacji? Myślisz, że masz jakieś dane od Boga prawo znajdować się w centrum każdego wydarzenia? Zdobyłeś więcej nagród, niż zdołałbyś policzyć, i wciąż musisz udowadniać swoją wartość?

– Dziennikarz jest taki dobry, jak jego ostatni materiał.

– Błagam, tylko mi nie mów, że aż tak brakuje ci pewności siebie.

Obejrzał reportaż do końca, plując wściekłością na wszystkie strony. Identycznie czuł się w domu w Pittsburghu, kiedy sprzeciwiał się religii, partii republikańskiej i pogłębiającej się globalnej nierówności społecznej. Teraz nienawidził Todda Diamonda, powierzchowności informacji telewizyjnych, własnej słabości, że w ogóle posłuchał Rachel, i spokojnych uroków Georgetown.

– Wygląda cholernie niebezpiecznie, ale z całą pewnością bije na głowę to tutejsze życie.

– Co znaczy „to tutejsze życie”?

– Szare, wyblakłe, nijakie. Pomyśl o czerwieni krwi, fioletach odwagi, żółci tchórzostwa, czerni śmierci, bieli kapitulacji. Widzieliśmy wszystkie kolory świata.

Rachel odpuściłaby, ale Danny zaatakował życie, które próbowali tu zbudować – zaatakował jej marzenia.

– To najżałośniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam.

– Tak uważam. Co rano wychodzimy do pracy o tej samej porze, po drodze do tego samego biurka mówimy cześć tym samym ludziom i jemy te same cholerne kanapki na lunch. Jedynym niebezpieczeństwem jest przejście przez ulicę. Och i może poślizgnięcie się na śniegu.

– Wiesz co? Są osoby... oczywiście całkowicie porąbane świry i cudaki pilnie potrzebujące pomocy psychiatry, które uważają, że to zupełnie dobre.

– Więc muszę być jakoś inaczej skonstruowany, bo już dłużej nie mogę tkwić w tym gównie.

– To nie gówno. Zgodnie z moim najwyraźniej spaczonym widzeniem świata, to szczęście. Okej, kłócimy się, ale co z tego? Jesteśmy razem, przez większość czasu szczęśliwi. Albo się myślę. Może jesteś innego zdania.

– Byliśmy razem w Gomie i Groznm; oba te miejsca stawiam wyżej niż Georgetown. A teraz zdecydowanie wolałbym Kabul.

Nadciągała decydująca bitwa. Obie armie zebrały siły.

– Masz wszystko: świetną pracę, wspaniałą kobietę, jeżeli wolno mi tak powiedzieć, piękne mieszkanie, a ty wolisz siedzieć w jakimś zafajdanym hotelu bez elektryczności, bez ogrzewania i bez szyb w pieprzonych oknach?

– Tam jest jak w niebie. Nigdzie nie czułem się bardziej żywy niż w takich miejscach.

– A teraz jak się czujesz? Martwy?!

Krzyczała na niego, ale on potrafił krzyczeć głośnie. Zupełnie jak kiedyś darł się na Lukasa, a Camille zasłaniała uszy. Wrzask przynosił mu taką samą ulgę jak wtedy, pozwalał uwolnić się od bulgocącej w nim wściekłości.

– Tego właśnie kiedyś chciałaś, rozpaczliwie pragnęłaś! Już zapomniałaś? Posłuchaj, nie chodzi o to, że życie redakcyjne to

nuda, że każdy może je prowadzić. Jest zwykłe. Ale my... my byliśmy inni. Niezwykli. Nie rozumiesz?

Oczywiście rozumiała, ale jednocześnie uważała, że posiadanie rodziny też byłoby niezwykle, i tym się różnili. Danny przypominał małego chłopca, który chciał wiecznie bawić się w wojenkę i nigdy nie wydorosnąć. Pierdolony Piotruś Pan.

– Tak, zależało mi na tamtym życiu! – wrzasnęła. – I tak, wprost je uwielbiałam. Ale teraz zmieniłam się i mam dom.

– Cóż, może ja do niego nie pasuję.

Gdy to powiedział, miała ochotę się rozplakać, on zaś pragnął ją przytulić i przyznać, że niechcący wymknęło mu się kilka słów za dużo. Gdyby w tej chwili wyciągnął do niej rękę, wybaczyłaby i pewnie wylądowałiby w łóżku, a ich spór skończyłby się tak, jak często bywało. Kłótnie i pieprzenie się – ich wspólne życie ułożyło się według tego niebezpiecznego wzoru. On jednak odwrócił się plecami, prowokując ją do odwetu.

– Tak, Danny, może ty do niego nie pasujesz. Proszę, jedź, znajdź sobie kolejną zasraną wojnę. – I wtedy użyła najbardziej niszczycielskiej broni w swoim arsenale, po którą nie sięgała nawet w ich najgorszych momentach. – A jak ci się uda, to jeszcze ktoś przez ciebie zginie.

Powoli, niczym zranione zwierzę, odwrócił głowę i popatrzył na Rachel przymrużonymi oczami, jakby nie do końca zrozumiał, co powiedziała. Miał ochotę ją walnąć, ale nigdy nikogo nie uderzył, nawet ojca w czasie najpaskudniejszych sprzeczek. Postanowił zadać mocniejszy cios.

Tego wieczoru zniknął z jej świata.

Danny odszedł, ale w tych latach pustki wciąż wszędzie dawał o sobie znać. Żeby zobaczyć jego straszną, cudowną twarz musiała tylko, tak jak w Arlingtonie, podnieść gazety z wycieraczki, przeczytać artykuł i wpatrzeć się w zamieszczone obok zdjęcie.

Próbowała spotykać się z innymi mężczyznami z DC: dziennikarzami, politycznymi pracownikami, a nawet walczącym o uznanie aktorem, który – jak odkryła z zaskoczeniem – miał wprawdzie mieszaną orientację, ale mimo wszystko głównie był gejem. Bez entuzjazmu całowała się z nimi wszystkimi, ale zawsze czuła, że to nie to. Byli albo zbyt sprytni, albo zbyt głupi, ich podbródki za bardzo drapały albo aż raziły gładkością, używali za dużo płynu po goleniu albo za mało. Znikali jeden po drugim i za każdym razem przyjmowała to z ulgą, nie rozczarowaniem. Umawiała się, żeby się umawiać. Oczywiście, chciała założyć rodzinę, ale nie z pierwszym lepszym.

Czasami wspominała dni, kiedy go nienawidziła – od pocałunku Karadžicia po oświadczenie, że nie może dłużej dzielić z nią życia. Częściej jednak rozpamiętywała dobre momenty, gdy kochała go bezwarunkowo i z pełną świadomością jego licznych grzechów. Arogancja, pompatyczność, egocentryzm – akceptowała je wszystkie, bo dla niej były tylko drobnymi mankamentami najcudowniejszego uzależniającego mężczyzny, jakiego знаła. W świecie po jedenastym września, po Danym pragnęła go tak, jak przez większą część życia. Zastanawiała się, czy pragnęła Danny'ego także, zanim jeszcze się spotkali.

Zobaczyła go dopiero osiemnaście miesięcy później – dwudziestego trzeciego marca 2003 roku. Ameryka miała właśnie zasypać bombami Bagdad i Danny uznał, że bardzo chciałby znaleźć się w strefie ognia. Od tego zależała umowa na nową książkę. Afganistan, a teraz Irak; nie załapał się na jedną wojnę, ale dostał drugą szansę, bo prezydent w swojej hojności toczył wojny parami. Becky, Edwin i Kaps też tam byli – żaden szanujący się korespondent wojenny nie mógł przegapić takiej okazji. Kiedy więc „Washington Post” zaczął gwałtownie szukać ochotników, nawet Rachel uznała, że musi się zgłosić. Wmawiała sobie, że to temat życia, niepowtarzalna okazja, ale

w głębi duszy wiedziała, że częścią tego zadania jest poszukiwanie zaginionego kochanka. Niebezpieczny powód, by wracać na wojnę.

Przybyła do Bagdadu dziesięć dni przed rozpoczęciem bombardowań. Po raz pierwszy znalazła się w Iraku i prawie oczekiwała, że Becky zaproponuje jej butelkę ballantine'a i grzałkę do wody. Wszyscy tłoczyli się w hotelu Palestine, tuż nad Tygrysem. Postacie z jej dawnego życia, szkolni koledzy na zjeździe: Shark, Spinoza, Lacroix, Dirk i Krantz, a nawet Todd Diamond we własnej osobie – perorował z dachu co godzinę. Przynajmniej na kilka tygodni Palestine stał się drugim Holiday Inn, centrum wszechświata.

Rachel poczuła ulgę, widząc całe towarzystwo. Becky sprawiała wrażenie przekonanej, że urazy psychiczne ma już za sobą i że wybaczyła Rachel zdarzenie w szopie. Edwin przysięgał, że najwyżej pali trawkę. Kaps promieniał szczęściem, bo znowu znalazł się w terenie. Nawet Judith musiała przyznać, że ataku na Irak nie można przegapić i powinien się tam znaleźć.

Stany Zjednoczone zasypały Bagdad bombami i pociskami samosterującymi. W operacji „Szok i Przerażenie” cudowne było to, że dawała dawną intensywność przeżyć z Sarajewa. Po raz pierwszy od 1994 roku bali się o swoje życie i to uczucie uznali za wspaniałe. Pomagało leczyć rany. Becky chyba przeboleła – albo zapomniała – to co zdarzyło się w Jażdnowskiej, a do Kapsa odnosiła się uprzejmie. Niemal wszyscy rozmawiali z Dannym. Cokolwiek zrobił lub czegokolwiek zaniechał, stało się już historią starożytną.

Pewnej nocy, kiedy bombowce przerwały atak, zebrali się na siódmym piętrze, w półmroku pokoju Spinozy i śmiali się najgłośniej od czasu sylwestra w Grozonym. Znowu byli ćpunami wojny. Becky zastąpiła swój magnetofon iPodem, ale utwory pozostały te same – *Pieśni Sarajewa*. Nawet *Crazy Sea* la nabrało nowego wymiaru i tańczyli, aż padli ze zmęczenia.

Ich małostkowe rywalizacje i natrętne zazdrości rozplynęły się we mgle najnowszej wojny.

Kiedy wszyscy inni albo zasnęli, albo zataczając się, poszli do łóżek, na miejscu zostali tylko Rachel i Danny. Rachel, do tej pory w radosnym nastroju, poczuła się skrępowana. Kusiło ją, by udać, że śpi, albo wstać i wynieść się jak cała reszta. Nie byli razem sami od dnia, kiedy odszedł od niej w Georgetown. W Bagdadzie prowadzili jedynie zdawkowe rozmowy – ot, krótkie wymiany zdań między kolegami dziennikarzami, a nie głębokie dyskusje mężczyzny i kobiety, którzy chcą wrócić do siebie. Jakie to dziwne, znała każdy intymny szczegół Danny'ego – znamię na lewym pośladku, kształt i smak jego penisa – a mimo to nie wiedziała, jak nawiązać rozmowę. Danny natomiast, który bez trudu mógł wyobrazić sobie jej drobne piersi, jedną trochę mniejszą od drugiej – jeszcze bardziej nie miał pojęcia co powiedzieć.

– Ja... cieszę się, że przyjechałaś.

Udawała, że go nie słyszy; z trudem przełknęła ślinę, całą siłą woli powstrzymując się od płaczu. Spojrzała w inną stronę, w ciemność.

– Posłuchaj, jest mi przykro. I brakowało mi ciebie.

– Rzuciłeś mnie.

Poszedł i ukląkł przed Rachel, zmuszając ją, by na niego spojrzała.

– Ty i ja, Rach, należymy do siebie. Teraz o tym wiem.

– Nie zadzwoniłeś, nigdy nie napisałeś.

– Przepraszam. Czy moglibyśmy...

– Co? Spróbować od nowa? Skąd pewność, że nie jestem z kimś związana? Albo zamężna?

– A jesteś?

Przekartkowała gruby katalog nieudanych randek oraz romansów.

– Nie, ale mogę być. Nie podoba mi się, że z góry coś zakładasz.

– Rach, wypełniasz pokój, kiedy do niego wchodzisz. Sta-
je się pusty, kiedy cię w nim nie ma. Z czasem to sobie uświa-
domiłem.

– Pieprzysz. Po prostu musisz mieć kogoś w terenie. Kto
dotrzymywałby ci towarzystwa, sprawdzał twoje teksty, kogo...
– Zamierzała dodać: „mógłbyś przelecieć i rzucić”, ale na tyle
dobrze znała jego twarz, że dostrzegła szpecącą ją samotność.
Odnosiła wrażenie, że spogląda w lustro. – Potrzebuję trochę
czasu – oznajmiła w końcu. – Potrzebujemy czasu.

W miarę jak Irak szedł w rozsypkę, oboje zdawali sobie
sprawę, że wracają do siebie, i kilka dni po tym, gdy prezy-
dent ogłosił oficjalne zakończenie głównych działań wojen-
nych, byli już w jednym łóżku. Rachel i wojna, wojna i Ra-
chel: Danny miał wszystko, czego pragnął.

Dni zlewały się w tygodnie, tygodnie w miesiące. Tacy jak
Todd Diamond wycofali się wkrótce po obaleniu Saddama
i jego posągu, ale Danny uparcie twierdził, że historia o wiele
dłużej będzie zajmowała się tym, co nastąpi później. Przecz-
wał, że prawdziwa wojna dopiero się zaczyna. On i Rachel
zbadali się nawzajem równie dobrze jak każdy zakątek Iraku
– od Basry do Kirkuku, od Nadżafu do Ramadi – obserwując
implozję kraju. Od samego początku Danny ostrzegał przed
chaosem, jaki zostanie spowodowany najazdem. Szczególnie
jeden artykuł: *Irak – rzeź, którą wywołamy*, był ostro skryty-
kowany przez neokonserwatystów z Białego Domu, ale teraz
wydawał się upiornie proroczy. Sunnickie powstanie, szyicki
ekstremizm, sekciarskie zabójstwa, irańska ingerencja, roz-
pad kraju na trzy części – Danny to wszystko przewidział.
Dziekan korpusu dziennikarskiego z Bośni stał się dziekanem
w Bagdadzie.

Kiedy nie mieli nic do roboty, w sobotnie szaleli na im-
prezach w Hamrze urządzanych przy basenie przez Marłę,
żywiolową pracownicę organizacji charytatywnej. Pili aż do

świt i często kończyli zabawę w wodzie – całkowicie ubrani albo zupełnie nagi.

Danny na tyle wyluzował, że spędzał długie przerwy w pracy w domu w Georgetown, którego wcześniej tak nie cierpiał. Z obszernie wielką pizzą byczył się przed plazmowym telewizorem, a jeżeli Rachel tuliła się do niego, tym lepiej. Wspólnie oglądali koszmarnie seriale i teleturnieje; wyprawiali się na spacer nad Potomakiem, zdziwieni, że w tym równoległym wszechświecie mogą chodzić gdzie chcą, nie myśląc nawet o sprawach bezpieczeństwa.

Nadal się kłócili. Nie byliby Dannym i Rachel, gdyby tego nie robili, ale w sprzeczkach nie przekraczali ściśle określonych granic.

Nigdy nie wspominała o małżeństwie ani tym bardziej o dzieciach. Dobrze wiedziała, że to są dla niego tematy wyklęte, drzwi do więzienia. Kiedyś Danny może zmieni zdanie, ale wtedy raczej będzie już za późno. Miała sporo po trzydziestce i nawet dla złodziejki piasku czas się kończył.

Kiedy więc zdarzył się wypadek – pewnego wieczoru kochali się na dywanie między rozrzuconymi wokół pudełkami po pizzy i pod wielkim telewizorem z wyłączonym głosem – Rachel wydawało się, że to najlepszy, najcudowniejszy wypadek na świecie. Była nawet pewna daty – czternasty czerwieca 2004 roku.

27

Irak po wyzwoleniu, sierpień 2004

Będziesz miała z nim dziecko? – zapytała Becky. – Czemu, do diabła, nie powiedziałaś nam wcześniej?

Przed hotelem, na sąsiedniej ulicy, zawodziły syreny. W Bagdadzie, gdzie z założenia większość działa się nagle, to wycie wtapiało się w ogólny hałas.

– Chciałam, słowo daję. Ale przez to wszystko...

– Och Rachel, co ty narobiłaś?

Becky czuła w ustach paskudny posmak zazdrości. Kochanek – co prawda porwany, czekający na śmierć – i jeszcze dziecko. Ona nie miała ani jednego, ani drugiego.

– Cóż, chyba powinienem ci pogratulować – oznajmił Edwin. – Czy on wie? To znaczy, powiedziałaś mu zanim...?

– Oczywiście, że tak.

– No, no. Kolejny Lowenstein biegający po świecie. Nie wiem, czy planeta jest wystarczająco duża dla nich dwóch.

Żart zawisł bezwładnie w powietrzu i w pokoju znowu zapadła cisza. Chociaż wypukłość brzucha była ledwo dostrzegalna, Camille nie mogła oderwać od niej oczu. Brat zostanie ojcem, ona ciotką, a rodzice po raz pierwszy dziadkami. Pomysłała o marzeniu Lukasa, by stworzyć dynastię Lowenstein Steel i niemal się roześmiała, ale dziecko mogło stać się spoiwem, którego rodzina potrzebowała. Nagle poczuła przypływ opiekuńczości wobec nienarodzonego maleństwa, bratanka lub bratanicy.

– Nie może dorastać bez ojca – oznajmiła, jakby decydując, że tak ma być.

Jest przeddzień jego egzekucji.

Danny myśli o swojej karierze. Co właściwie osiągnął? Opublikował trochę artykułów – owszem, wywołały poruszenie przez dzień lub dwa, ale potem pogrzebano je na cmentarzu pożółkłych archiwalnych numerów, z pozawijanymi rogami. Zdobył kilka nagród – wkrótce wszyscy o nich zapomną. Efemerydy. Fast food dla żarłocznego ego. Książka o Jugosławii za długa i napisana zbyt pośpiesznie, by – jak twierdził – mogła być ostatecznym słowem. Tom wspomnień, których już

nie dokończy. I może lepiej, bo szczerze mówiąc – a czyż jest lepsza pora na szczerotę – świat spokojnie obejdzie się bez kolejnych czterystu czy pięciuset stron trywialnej autokreacji. Wszystko co było dla niego ważne – warte wykorzystywania i tracenia przyjaciół – nagle staje się bezwartościowe, a jego duma ustępuje miejsca wstydowi.

Myśli o Becky, Kapsie, Edwinie i pragnie, żeby się z nim pożegnali.

Myśli o Rachel i jej nierównych, drobnych piersiach, chłopięcej pupie, piegowatym nosie. Pamięta jej żywiołowy entuzjazm – naiwny, ale piękny, pierwszy rozkwit talentu – i jak barbarzyńsko usiłował go zniszczyć. Kiedy błaga, by ból odszedł, gorączka ustępuje, a sranie i krwawienie – proszę, proszę – ustaje. Przyciska do siebie koc, jakby tulił Rachel, jakby oplatała go długimi nogami, dotykała delikatnymi rękami posiniaczonych pleców, jej chłodna skóra przynosiła ukojenie, wargi dotykały jego ust tak, jak tamtej pierwszej nocy w Grands Lacs.

Myśli nawet o prezydencie. Jest w Gabinetcie Owalnym i rozważa, czy zwolnić więźniów i ocalić mu życie? A może gra w golfa?

Myśli o swoim ojcu, o tym, jak na filmie wideo stoi nieruchomo, bez słowa. Czemu w ogóle się nie odezwał? Dlaczego nie powiedział, że mu przykro, tak aby Danny dowiedział się o tym, zanim umrze?

„Daj mi powód, żebym cię kochał, Danielu”.

Ilu powodów potrzebował? Był jego synem, na litość boską. No cóż, był?

Teraz Danny widzi w swojej celi brata ciotecznego Jacksona, tak wyraźnie, jakby siedział przykuty obok niego. Wielka strzecha włosów jedenastolatka, aparat na zębach, pewny siebie, zawadiacki krok. Jackson, jedyny syn brata Elizy, uwielbiał zaskakiwać ludzi różnymi informacjami. Czasem Danny’emu wydawało się, że w innym życiu z chłopaka wyrósłby dobry

dziennikarz. To, o czym chciał Jackson powiedzieć podczas weekendu spędzanego w hrabstwie Allegheny, było tak sensacyjne, tak niezwykle, że ledwo mógł się powstrzymać. Martwił się tylko, jak znaleźć najlepszy moment, by odpalić bombę. Nie mógł wypalić tak po prostu, musiał osnuć całą rozmowę wokół tej straszliwej tajemnicy, pozwolić, żeby sączyła się po kropelce w łagodnym świetle letniego dnia.

Wrócili z wycieczki rowerowej wokół East Commons i łączyli się pod sękatą jabłonią – najważniejszym elementem ogrodu Elizy. Danny i Jackson mieli tyle samo lat. Właściwie nie przyjaźnili się, ale relacje między nimi jako braćmi ciotecznymi były zupełnie niezłe. Wokół nich w wysokiej, niekoszonej trawie leżały jabłka, niektóre dojrzałe i soczyste – gryźli je, leniwie wyciągnięci w słońcu. W innych, już podgniłych, brunatnych i miękkich, osy drążyły tunele.

Rozmowa zeszała na rodziców, bo tak właśnie pokierował nią Jackson.

– Kiedyś słyszałem, jak moi starzy opowiadają dziwne pierdoły.

Jackson przeklinał często, Danny prawie wcale. To co usłyszał, wystarczyło, żeby go zaniepokoić.

– Tak?

– Gadali w kuchni, a ja podsłuchiwałem.

– O czym?

– O twojej mamie.

Danny'ego od razu ogarnęły złe przeczucia. Nie miał pojęcia, co nastąpi, ale czuł, że nie chce tego wiedzieć. Nie mógł jednak po prostu uciec albo zakryć uszu. Chociaż wtedy Jackson pewne by się ucieszył.

– Aha. No i co?

– Mówili o czasach, zanim cię urodziła. O innym facecie z którym była, kiedy na jakiś czas odeszła od twojego taty.

Zmieszany Danny przymrużył oczy. „Z którym była”? Co to znaczy? Nie mógł zapytać, bo musiał udawać, że nowiny

Jacksona zupełnie go nie obchodzą, że i tak już dobrze zna tę historię. Leżał na boku, żując źdźbło trawy i przyglądając się osom pozerającym przegniły miąższ owocu. Myślał, że głowa zaraz mu eksploduje.

– Przepraszam, Dan. Może nie wiedziałeś?

– Oczywiście, że wiedziałem. To nic ważnego.

– Ach tak. Oczywiście. I jak się z tym czujesz? Że nie jesteś dzieckiem swojego taty i tak dalej? To chyba dość niesamowite wrażenie, co? Jasne, wychowuje cię jak własnego syna, ale czy w ogóle się tym nie przejmujesz?

Danny zapamiętał na całe życie, jak mocno wgryzł się w jabłko, kiedy Jackson mu to mówił. Zęby oderwały kawał owocu i wbiły mu się w język aż do krwi. Ból przyniósł ulgę, bo odwrócił uwagę od sensacji przekazanej przez Jacksona. Ależ jakiej znowu sensacji? Danny uparcie twierdził, że to dla niego nie nowina.

Nikt więcej nie poruszał tego tematu, ani Jackson, ani Danny, ani jego rodzice. Danny powtarzał sobie setki tysięcy razy, że pewnie nie ma w tym nawet krzty prawdy, że to jedynie intrygancka bzdura wrednego kuzyna. Jackson bez trudu mógł wymyślić tę przeklętą bajeczkę, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę. Ale długie lata, kiedy Lukas okazywał Camille miłość bardziej niż synowi, świadczyły o czymś innym. Zgarbiony Danny siedzi oparty o ścianę i patrzy na małą plamę światła. Chce jeszcze raz ugryźć się w język i tym razem zapłakać z bólu.

Tej nocy w toalecie udało mu się przetoczyć zardzewiałą beczkę tuż pod dwa zwinięte pod sufitem kawałki przewodu. Wolny stał przed ubikacją, ale nie zaglądał do środka. Dlaczego miałby podejrzewać, że więzień zadaje sobie tyle trudu, by się zabić, skoro oni wkrótce go w tym wyręcą?

Danny musi tylko rozwinąć przewody, związać ich końce i zrobić pętlę. Ćwiczył to w myślach wiele razy, ale kiedy

zabiera się do pracy, ręce mu się trzęsą i proste zadanie staje się trudniejsze, niż sobie wyobrażał. Ostatecznie wszystko jest już gotowe, pętla zawiązana – wystarczająco duża, by wsunąć w nią głowę. Na zewnątrz rozlega się hałas – Wolny chodzi tam i z powrotem po korytarzu. Danny wsadza głowę w pętlę, najpierw czubek, potem resztę. Zupełnie jak dziecko wyłaniające się z łona, myśli. Z tą różnicą, że ta epicka podróż odbywa się w przeciwnym kierunku.

Kiedy lśniący czarny przewód już oplata gardło, Danny zastanawia się, czy udusiłby się bez wykonania skoku. Chwieje się na brzegu beczki, poczerwiałe palce stóp zaciskają się na skorodowanej krawędzi. Skok z beczki wystarczy, żeby umrzeć. Nie jest wysoko, ale równie dobrze mógłby stać na urwisku.

Bardzo chciałby zostawić list. Gdyby tylko dostał pióro i papier, napisałby do przyjaciół i rodziny. Pojawiają się pomysły, co by im powiedział, ale uznaje, że jedno zdanie powinno wystarczyć: „Nie byłem tym, kim myślałem, że jestem”.

Za późno. Już tego nie robi. Tak jak nie uciekł, nawet kiedy miał przed sobą uchylone drzwi i tylko małą dziewczynkę na drodze. Całe życie upajał się swoją rolą dziennikarza bohatera. Ludzie zachwycali się odwagą reportera, który pod ogniem przekazuje informacje światu żadnemu wieści. Oddawano hołd jego brawurze na ceremoniach przyznania nagród i w recenzjach książek. W jednej z nich wielbiciel napisał: „Gdyby dziennikarzy odznaczano Fioletowym Sercem*, z całą pewnością powinien otrzymać je Lowenstein”. Danny promieniał, ale odrzucał pochwały z obowiązkową skromnością: „Ja dzielny? Ależ skąd! Straszny ze mnie tchórz”. A teraz w końcu mógł się upewnić, że rzeczywiście jest tchórzem. Dlatego nie uratował Aliji ani nie pozwolił Becky, żeby to zrobiła.

* Amerykańskie odznaczenie wojskowe nadawane w imieniu prezydenta Stanów Zjednoczonych członkom sił zbrojnych poległym lub rannym w walce przeciwko wrogom USA (przyp. tłum.).

Nie ma nawet odwagi się zabić.
Mimo wszystko musi to zrobić Blizna.

Kiedy przychodzą, żeby wyprowadzić go z celi, orientuje się, że już jest świt – blade światło sączy się z maleńkiego otworu wysoko pod sufitem. Blizna jest na przodzie, w prawej ręce trzyma długi, zakrzywiony nóż. Wziął go z kuchni czy też służy wyłącznie do rytualnego uboju kóz i owiec? Pozostali – w ostatnich kilku dniach tak ponurzy – zaczynają wymachiwać kałasznikowami i wrzeszczeć *Allah akbar!*, jak w dniu zasadzki. Kolejny przeciwiczony show. Zupełnie niepotrzebnie mocno zawiązują mu opaskę na oczach. Stawiają go na bose stopy i wloką korytarzem. Palec trafia na coś ostrego – gwóźdź albo odłamek szkła – i Danny kwiczy jak świnia prowadzona na rzeź.

Po schodach w górę, obijając się o ściany, potykając na stopniach. Przez drzwi. Przez kolejne drzwi.

Głos. Oczywiście Blizny:

– To twoja ostatnia podróż.

Otwiera się wieko bagażnika i zostaje wepchnięty do środka.

28

Irak, sierpień 2004

Siedzieli w chińskiej restauracji Hamry, kiedy podszedł do nich Dżamail.

– Dobry wieczór, jak się macie?

Przyjaciele Danny'ego nie zareagowali. Camille uznała, że zachowują się dziwnie i nieuprzejmie, więc odezwała się w ich imieniu:

– Dziękujemy, dobrze. A co u ciebie, Dżamail?

– Mógłbym z wami porozmawiać, zanim przyniosą jedzenie? – Lekkim ruchem głowy poprosił czwórkę dziennikarzy, aby wyszli z nim z sali.

Camille uświadomiła sobie, że po raz kolejny nie została uwzględniona.

Becky, Kaps, Rachel i Edwin wymienili spojrzenia, porozumiewając się w swoim własnym języku, i Camille ze zdziwieniem zobaczyła, że odsunęli krzesła. Przed chwilą nie mieli ochoty choćby przywitać Dżamaila, a teraz wychodzą za nim z restauracji, jakby był jakimś Szczurołapem z Bagdadu, a oni dziećmi podążającymi ku swej zgubie.

– Wracamy za sekundkę – powiedział Kaps. – Jeżeli podążają, zaczynaj bez nas.

Zebrali się w jego biurze, małym, pełnym papierzysk po-koiku za recepcją. Na ścianach wisiały sfatygowane fotografie – Dżamail wiele lat wcześniej jako żołnierz; Dżamail w garniturze, uśmiechnięty, ściska dłoń Tarika Aziza, wytwornego paladyna Saddama. Zdjęcie zajmowało honorowe miejsce – chociaż minął już cały rok od wyzwolenia, osobiste uznanie przedstawiciela dawnego reżymu najwyraźniej nadal było powodem do dumy. Irakijczyk usiadł za biurkiem w eleganckim fotelu z czerwonej skóry i mahoni, zakręcił się, a ćpuny tłoczyły się przed nim.

– Przepraszam, że przeszkodziłem w posiłku.

– Do rzeczy – warknął Kaps. – Czego jeszcze chcesz, do kurwy nędzy?

– Chcę? Chcę? Nie, nic nie chcę. Mam uprzejmą prośbę.

– No dobra, więc o co prosisz? – Ale Kaps i pozostali już się domyślali. Ich apetyt szybko zniknął.

– O uczciwą zapłatę.

Edwin podszedł do niego jak wtedy, w herbaciarni i tym razem wszyscy sądzili, że zdzieli faceta.

– Dostałeś swoją cholerną uczciwą zapłatę. Bardziej niż uczciwą.

– Słuchaj, wczoraj się umówiliśmy – wtrącił bardziej pojednawczym tonem Kaps. – Zająłeś się samochodem i dostałeś pieniądze. Sam mówiłeś: „Ani centa więcej”. Obiecałeś.

– Ale zacząłem się zastanawiać, panie Kaps. Może to nie była uczciwa cena. Dziesięć tysięcy więcej, a wtedy jestem szczęśliwy i nic nikomu ani słowa. Nigdy.

Edwin złapał go za diszdaszę na piersi i podniósł tak, że stopy Dżamaila prawie nie dotykały podłogi.

– Powiedziałeś: „ani centa więcej”, i wierz mi, że to się nie zmieni.

Becky i Rachel miały wielką ochotę, żeby Edwin stłukł kanałię na miazgę, ale jednocześnie chciały spełnić żądanie i zakończyć sprawę, bez względu na koszty.

– Dobra – odezwała się Becky. – Dosyć. Zapłacimy. Ale jeszcze jeden taki numer i idziemy na policję, do Amerykanów, a wtedy będziesz miał przesrane do końca życia.

– Pani też, panno Becky. A może nie.

Edwin pchnął drania na biurko, aż papiery rozleciały się na wszystkie strony, a szeroki tyłek Irakijczyka tylko o włos minął kolec do nadziewania dokumentów. Dżamail był przerażony, ale kiedy uświadomił sobie, że nie czekają go żadne dalsze rękoczynny, uśmiechnął się głupkowato.

– Na tym polega problem z szantażystami – stwierdził Edwin. – Nie wiedzą, kiedy przestać.

Dżamail otrzepał się, obciągnął diszdaszę, jakby miał na sobie garnitur z Sawille Row. Edwin starał się oddychać głęboko, by się uspokoić. Wziął z biurka pudełko zapalek i starannie zapalił papierosa.

– Cóż, tym razem przegiąłeś.

Odwrócił się i wyszedł z biura, zaciągając się mocno. Początkowo pozostała trójka była zdezorientowana, aż nagle,

niemal jednocześnie domyślili się, co Edwin zamierza zrobić. Wszystkie lata jego cierpienie do tego prowadziły.

– Ed! – krzyknęła za nim Becky. – Wracaj!

– Porozmawiajmy o tym! – zawołała Rachel. – Dojdziemy do kompromisu.

Nie słuchał.

Przez godzinę, może dłużej, Danny obija się w bagażniku. Czuje, jakby miał złamany kręgosłup. Dokąd jada? Na północ, południe, wschód, zachód. A może tylko krąży, żeby już całkiem zniszczyć psychikę więźnia?

Samochód staje. Znowu różne głosy, ale nie Blizny. Drzwi otwierają się, a potem zamykają z trzaskiem. Zgrzytnięcie unoszonej klapy bagażnika. Światło przesącza się przez opaskę na oczach. Powietrze, Bogu dzięki, trochę powietrza. Potem inne dźwięki, jakich nie słyszał od chwili porwania – ruch uliczny, klaksony. Chwytają go czyjeś ręce, wyciągają jak worek ryżu, kołyszą nim tam i z powrotem dwa lub trzy razy, potem puszczają. Leci kilka metrów i boleśnie ląduje na czymś, co przypomina nierówny ugór. Przetacza się kawałek i w końcu zatrzymuje. W jakimś rowie, a może wykopie?

Zbliżające się kroki. Ktoś mówi po arabsku. Czy okażą łaskę i strzelą w głowę? Tak, proszę, niech to będzie kula, nie nóż. Ale zróbcie to teraz, błagam. Teraz! Zamiast tego kolejny kopniak, znów w jądra. Ból przeszywa go na wskroś. Biały. Elektryczny.

Rozwiązują mu ręce. Kroki, ale coraz cichsze, oddalają się. Głosy i śmiechy cichną jak łagodnie wybrzmiewający koniec płyty. Drzwi samochodu otwierają się i zamykają, silnik zaczyna warczeć. Gwałtownie zwiększane obroty, ostentacyjny pisk opon, popis szczeniackiego kierowcy.

Cisza.

Pojechali.

Boże, czy naprawdę już po wszystkim?

Nie, Danielu, nie waż się nawet o tym myśleć.

Wciąż cisza.

Czy to wyrafinowana sztuczka, żeby udupić go na dobre? Może zostali i chichoczą w duchu, gestami nakazując sobie milczenie? Czy patrzą na niego ze znaczącymi uśmieszkami, gotowi wreszcie go wykończyć?

Jak długo tu leży? Żadnych dźwięków, tylko odległy pomruk ruchu ulicznego. Czy podjąć ryzyko i sprowokować ich, zrywając opaskę z oczu? Obolałe krocze nie zniesie już dalszego bicia. Z drugiej strony, jeżeli go tu porzucili i odjechali, powinien zwiewać, zanim zmienią zdanie i wrócą. Znowu nasłuchuje, stara się wyłowić warkot ich samochodu, głosy. Nic. Nikogo.

Liczy. Dziesięć... dziewięć... osiem...

Zrywa z ust taśmę i nabiera wielki haust powietrza. Potem zdejmuje opaskę z oczu, ostrożnie, jakby odklejał bandaż z bolesnej rany. A teraz spokojnie i delikatnie. Podpuchnięte oczy przez kilka sekund przyzwyczajają się do światła. Mru-ga, widząc okrutne, bezlitosne słońce – wspanialsze niż kiedykolwiek; niebo wydaje się bardziej niebieskie i o wiele, wiele większe niż pamiętał. Nikogo przy nim nie ma. Jest gdziekolwiek, w Iraku. Może w Iskandariji, może w Bagdadzie, ale wolny, słodki Jezu, wolny! Tylko dokąd iść? Kogo zapytać? A jeżeli ktoś znów go porwie? Albo dostarczy z powrotem do Blizny?

Drogą idzie kilka kobiet i dzieci. Dostrzegają go, ale szybko odwracają wzrok. Człowiek z Zachodu z dziwną, rozczochraną brodą, w pomarańczowym kombinezonie leży rozciągnięty na ziemi i bardzo krwawi – w Iraku trzeba trzymać się z daleka od takich rzeczy. Najlepiej się nie wtrącać. Udawać, że widziało się tylko ducha. Kto wie, może rzeczywiście nim był.

Edwin wszedł zamaszystym krokiem do chińskiej restauracji, niemal strącając z haka krzykliwy obraz: *Arab na koniu*. Podniósł Camille z krzesła i poprowadził ją schodami na górę, do apartamentu prezydenckiego.

– Jak rozumiem, kolacja odwołana? – spytała zdeprymowana.

– Załóżmy. Camille, musisz coś usłyszeć. – Edwin nawiązał bez przerwy, jakby obawiał się, że zmieni zdanie, jeżeli szybko nie wyrzuci z siebie tych słów. – Coś, co powinienem powiedzieć ci na samym początku.

– Nie! – zawołała Becky zadyszana po pościgu. Oparła dłoń o pierś Edwina, starając się go powstrzymać. Odtrącił ją i ciągnął dalej:

– Źle się zachowaliśmy i uznałem, że masz prawo wiedzieć.

Becky, Rachel i Kaps patrzyli na niego z nadzieją, że się wycofa.

– Co mam prawo wiedzieć? – wymamrotała Camille.

– Zanim ktoś inny ci o tym powie, chcę, żebyś zrozumiała, że to byłem ja.

– No nie, zwariowałaś. – Rachel usiłowała krzyknąć, ale jej głos okazał się za słaby. – Proszę, nie mów nic więcej. Ani słowa. I Camille, błagam, nie słuchaj Edwina. On bredzi, znowu nawalił się trawką. I koką.

Edwin był jednak opanowany jak rzadko. Ćpuny gapiły się na niego, potem na nią i znowu na niego. Zachowywali się jak dezorientowani gapie, którzy widzą, jak wszystko zmierza do straszliwego wypadku i nie mogą temu zapobiec.

Camille marszczyła brwi. Lekko poprawiła okulary i łagodnym ruchem głowy zachęciła Edwina, by kontynuował.

– Co znaczy, że to byłeś ty?

– Ja, w tym drugim samochodzie.

– Natychmiast przestań! – zawołała Rachel nadal zduszonym, żałośnie nieskutecznym głosem. – Zamknij się, do kurwy nędzy. Jesteś naprany jak cholera.

– To ja wpuściłem go w zasadzkę. Zostaliśmy ostrzelani, dokładnie tak jak ten pastuch opowiedział Amerykanom. Jakimś cudem udało się nam zawrócić i spierdoliliśmy stamtąd. Wtedy właśnie zobaczyliśmy Danny'ego. Mogłem go zatrzy-

mać, powinienem. Musiałem tylko coś powiedzieć, cokolwiek. Ja... nadal nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tego nie zrobiłem. Ten jego uśmiech... triumfalny, cwaniacki, cholernie wyzywający. Znow jechał zdobyć materiał na wyłączność. Uch, cholera! Nawet nie zapytał, czy potrzebujemy pomocy. Dla niego liczyło się tylko, czy ma bezpieczną drogę. Przepraszam, wiem, że to okropne słyszeć takie rzeczy o własnym bracie, ale to prawda. Zawsze myślał tylko o sobie.

Camille oparła się o stół i pokręciła głową. Dzień po dniu siedziała tu razem z Edwinem, słuchała o jego cierpieniach, jadła jego curry, czuła zapach jego marlboro i nawet paliła jego trawkę.

– Nie wierzę ci! – wyszeptała.

Ćpuny wojny wyszły na balkon, na wiejący zbyt słaby letni wietrzyk. Pora na ostatnie spojrzenie na Bagdad, zanim zapadnie zasłona ciemności. Para śmigłowców Apache leciała na północ, wzdłuż koryta Tygrysu. Charakterystyczny odgłos łopat wirników przecinał ciszę. Odpalały białe flary, aby zmylić pociski na podczerwień. W domu nieopodal kobieta nawet nie podniosła wzroku. Z namaszczeniem rozwieszała pranie, a jej dzieci bawiły się na podwórku w klasy. I ona, i one dzielnie próbowały udawać, że Irak jest czymś lepszym niż codziennym cierpieniem.

Koniec był bliski. Wkrótce stracą wszystko – karierę, reputację i kochanka.

Ćpuny wojny wróciły do apartamentu. Camille właśnie zniknęła w korytarzu, biegnąc w kierunku biura NBC.

– Posłuchaj, Melisso, muszę natychmiast obejrzeć taśmę – wysapała zaczerwieniona Camille.

Młoda producentka montowała wstawkę do wieczornych wiadomości. Odparła, że bardzo jej przykro, ale postara się znaleźć ten materiał, bo już i tak przekroczyła termin.

– Proszę. To ważne – nalegała Camille.

Melissa miała westchnąć z irytacją, ale powstrzymała się w samą porę. Jeżeli ktoś zasługiwał na spełnianie zachcianek, to z całą pewnością nieszczęsna siostra Danny’ego Lowensteina.

– Oczywiście. Montaż może poczekać parę minut.

Spojrzała na półkę i szybko znalazła taśmę. Camille zastanawiała się, dlaczego – skoro to było takie łatwe – dziewczyna nie zrobiła tego od razu.

Melissa wyjęła z pudełka małą kasetę Betacamu i wsunęła do odtwarzacza. Na dwóch maleńkich monitorach ożył obraz. Obwieszony medalami generał wygłaszał jakąś przemowę, pod nim migały białe cyferki kodu czasu. Melissa zaczęła przewijać film do tyłu i generał zmienił się w rozmazaną plamę. W tej samej chwili do pokoju weszli bez zaproszenia Becky, Kaps Edwin i Rachel, aby zobaczyć, co się dzieje.

– Och, cześć – powitała ich radośnie Melissa. – Właśnie pomagam Camille.

Wszyscy patrzyli na miniaturowe ekrany.

– Chcesz usłyszeć go od początku?

– Prawdę mówiąc, on wcale mnie nie interesuje.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i na jej twarzy pojawił się wyraz bolesnej dezorientacji.

– Nie bardzo...

– Muszę zobaczyć dziennikarzy. Tych, do których mówi.

– Aha. Naprawdę? Hm. W porządku.

Teraz zaczęła przewijać do przodu, aż stało się jasne, że kamerzysta znudził się filmowaniem gadającej głowy. Przeszedł za podium i zaczął robić panoramiczne ujęcia zebranych dziennikarzy, „zrzuty” do montażu. Na widowni siedziało około trzydziestu słuchających uważnie – lub udających – reporterów oraz kilku kamerzystów i fotoreporterów.

– O, jest! – zawołała triumfalnie Camille. – Zastopuj, proszę.

Melissa wcisnęła klawisz i Camille pochyliła się, aby przestudiować zastygły obraz. Producentka zaproponowała, że przerzuci go na większy monitor, i połączyła parę przewodów. Trzydzieści sekund później obraz pojawił się na takim ekranie jak w zwykłym telewizorze. Wszyscy zobaczyli na nim Becky – siedzi w kucki na podłodze centrum informacyjnego, przy niej leżą aparaty. Sprawia wrażenie znudzonej. Tuż za nią, w drugim rzędzie Kaps i Edwin z notesami na kolanach. Krzesło obok nich stoi puste. Jakby zajęli je dla kogoś, kto nie przyszł.

Camille lekko drżącym palcem wybrała numer Adiego.

– Cześć, Adi. Muszę tylko coś sprawdzić.

– Proszę.

– O której godzinie zadzwoniłeś do przyjaciół Danny’ego, żeby powiedzieć, co się stało?

Zastanawiał się długą chwilę. Pewnie starał się wykombinować, dlaczego Camille chce to wiedzieć.

– Chyba około pierwszej trzydzieści. Akurat skończyłem lunch.

– Lunch? Nie zaraz po śniadaniu? Jesteś pewien?

– Oczywiście. Jak mógłbym zapomnieć?

Po powrocie do apartamentu Rachel próbowała ocenić, co jej pozostało. Miała nadzieję, że lojalni przyjaciele. Becky, Kaps i Edwin, który już zrobił dla niej tak wiele i tak bardzo kłamał. Jej dziecko. I wreszcie uwolni się tego gada Džamaila.

– Biedny, kochany Edwin nie skrzywdziłby muchy – powiedziała. – Jest aż za miły. Do ostatka oficer i dżentelmen.

– A więc co się tam stało? – zażądała Camille. – Co takiego zrobiłaś?

– Zrobiłam? To nie była kwestia robienia czegokolwiek.

Otworzyła puszkę soku ananasowego i usadowiła się na sofie. Becky objęła ją ramieniem. Teraz, kiedy Rachel pozbyła

się swojego brzemienia, wyglądała lepiej. Camille nie miała już przed sobą kobiety o wymizerowanej twarzy z zapadniętymi policzkami, jaką widziała przez kilka ostatnich dni, ale ładną, nad wiek rozwiniętą dwudziestotrzylatkę, która przybyła do Splitu z plecakiem pełnym marzeń.

29

Historia Rachel

Postanowiłam mu powiedzieć, kiedy położymy się do łóżka. Aż kipiałam z podniecenia; nie mam pojęcia, jak udało mi się zachować sekret tak długo.

W nocy jak zawsze panował upał i żadne z nas nie mogło zasnąć. Oboje wiedzieliśmy, że rano się nie wyśpimy, Danny musi wcześniej wstać. Bez przerwy mówił o spotkaniu z Abu Muchtarem, pracował nad nim od wielu dni.

Zapytałam, czy nie obawia się, że to pułapka.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział. – Asmat to załatwił, on mnie tam wprowadzi i przedstawi. Nigdy dotąd nie zawiódł. Nie martw się.

Pocałował mój brzuch. Był tak blisko naszego dziecka, zaledwie parę centymetrów od niego. Rozwahałam wszelkie za i przeciw, czy powiedzieć mu, czy nie, ale ostatecznie stwierdziłam, że ma prawo wiedzieć. Właściwie nie planowaliśmy trzyosobowej rodziny, cudownego trójkąta miłości. Ale tak się stało, a Danny może być, musi być, idealnym tatą. Owszem, w zaawansowanym wieku, ale też mądrzejszym. Wyobrażałam sobie, jak nosi niemowlę na rękach, kołysze malucha na huśtawce i pomaga kilkulatekowi odrabiać prace domowe. Dzieci będzie więcej – przynajmniej dwoje, troje.

– Jestem w ciąży, Danny – oświadczyłam. Cudowne uczucie, po raz pierwszy móc powiedzieć te słowa na głos.

Oczy miał zamknięte, jakby wreszcie zasnął.

– Co? – zapytał sennie.

– Będziemy mieli dziecko. Małego Daniela Lowensteina. A może Daniellę.

Żadnej reakcji. Ani słowa, ani ruchu. Zupełnie jakby po sparaliżowało.

– Śpisz? – zapytałam. – Słyszałeś, co powiedziałam?

– Tak, niestety słyszałem.

– Co to znaczy „niestety”?

– A jak myślisz? – odparł. – Niestety to szkoda, prawda? Niestety, nie omówiłaś tego ze mną. Niestety, nie zadałaś sobie trudu zapytać, czy chcę dzieci, a niestety nie chcę.

Czułam, jak moja miłość do niego zamienia się w nienawiść, nie po raz pierwszy.

– Ty gnoju – wykrztusiłam.

Wstałam, włożyłam podkoszulkę i majtki. Nie mogłam kłócić się z nim nago. Został w łóżku, już całkowicie rozbudzony. Leżał z głową opartą o ścianę.

– Dlaczego tak mówisz? Bo nie chcę dzieci? – Nagle strasznie się wściekł. Oświadczył, że rozmawialiśmy o tym w Georgetown, i wyjaśnił mi wtedy, że nie może się wiązać i nigdy nie zamierzał zakładać rodziny. Zachowywał się cholernie protekcyjnie, zupełnie jakby musiał w kółko powtarzać to samo tępemu człowiekowi, który nie potrafi go zrozumieć.

– Cóż, masz pecha – wypaliłam. – Obojętne, planowałeś być ojcem czy nie, teraz nim jesteś.

Spojrzał na mnie jak na obcą osobę i całkiem spokojnie rzucił:

– Pozbądź się tego.

Początkowo nie wiedziałam, czy dobrze usłyszałam, ale on już miał plan. To dopiero pierwsze tygodnie ciąży i nic jeszcze nie widać, oświadczył. Powinnam polecieć do Waszyngtonu

i załatwić sobie miejsce w klinice. Zapłaci za wszystko, jeżeli się tym martwię. Jak mógł?

Usiadłam przy biurku, kręcąc głową.

– Wiesz, jaki największy błąd popełniłam? – spytałam. – Taki, że kiedykolwiek myślałam, że naprawdę się znamy. Robisz świat w konia, prawda, Danny? Na zewnątrz tyle współczucia, a wewnątrz jesteś... potworem.

Złapałam brulion z jego notatkami do książki. Był wielkości albumu fotograficznego i zaskakująco ciężki. Cisnęłam w Danny'ego i trafiłam w bok głowy. Tuż pod uchem. A potem, chociaż tak bardzo starałam się być silna, zaczęłam płakać. Pamiętam, jak patrzyłam w lustro i widziałam tusz spływający mi po policzkach.

Wciąż nagi wstał z łóżka, podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu.

– Posłuchaj, to moja wina. Powinienem od początku postawić sprawę jasno. Weź na przykład jutrzejszy dzień. Wszystko wskazuje, że będzie świetnie, ale istnieje prawdopodobieństwo, że nie. Jak mógłbym podejmować ryzyko, gdybym miał rodzinę, o którą muszę się troszczyć?

– Trudno mi uwierzyć, że tak bardzo się boisz – powiedziałam.

Roześmiał się.

– Boję się? – parsknął. – Boję się cholernego Abu Muchtara?

– Nie, ty fiucie. Boisz się stabilizacji. – Wtedy naprawdę go dopadłam. – Słuchaj, mam wiadomość, panie Lowenstein, prawdziwego newsa: szybkim krokiem zbliżasz się do pięćdziesiątki. Te siwe włosy koło uszu... Oczywiście, wyglądają nobliwie, ale też w ten sposób natura szepcze cichutko, że się starzejesz. Już pora, Danny. Czas na dom. Nie kwaterę, nie tylko mieszkanie. Na prawdziwy dom, ze schodami i ogrodem. I tak, na dzieci. Zmieniasz się. Widzę to w twoich oczach, ruchach. Czujesz się zmęczony. Nawet wyczerpany. Byłeś wszę-

dzie, opisywałaś każdą wojnę, zdobyłaś wszystkie możliwe nagrody, ale czy jesteś szczęśliwy? Albo inaczej: czy masz już dość? Czy uważasz, że wystarczająco dużo już zrobiłaś i wdziałaś?

Ale wiedziałam, że kiedy patrzy na mnie, spogląda też na inne życie, które go czeka, gdyby się ze mną zgodził – powrót do pracy za biurkiem w DC, więcej artykułów, więcej analiz. Ułożeni przyjaciele na kolacjach. Niemowlęta, butelki i pieluchy. Odwożenie dzieci do szkoły. Spłacanie hipoteki i plan emerytalny. Nie będzie ćpunów wojny, z którymi się pije i bierze narkotyki. Koniec z wskakiwaniem do zbombardowanych piwnic albo biegiem po wąziutkiej granicy dzielącej życie od śmierci. Kim ona jest, myślał sobie, żeby pozbawiać go tego wszystkiego, żeby kraść mu duszę?

Spojrzał na mnie lodowato jak nigdy dotąd. Oczy miał puste.

– Nie chcę być niczym ojcem – oznajmił. – Powiedziałem ci: pozbądź się tego.

Zaledwie cztery godziny później wziął prysznic, kiedy jeszcze spałam. Zaczynał się najbardziej przeklęty dzień w życiu nas dwojga. Wytarł się, ubrał i usiłował wymknąć z pokoju jak najciszej. Pewnie bym się nie obudziła, ale zapomniał, że drzwi głośno skrzypią. Przypuszczam, że nasza przyszłość mogłaby wyglądać zupełnie inaczej, gdyby ktoś je naoliwił.

Rankiem jego słowa wydawały się jeszcze okrutniejsze. Jak śmiał? Doprowadzał mnie do szału mnóstwo razy, ale teraz czułam, że w tym gniewie jest coś mrocznego. Zagroził mojemu dziecku i musiałam je chronić.

Zerwałam się z łóżka i narzuciłam ubranie. Wciąż leżało tam, gdzie je ze mnie ściągnął. Na biurku znalazłam brulion, którym w niego cisnęłam. Zadbał, by odłożyć notatnik na swoje miejsce – bardziej przejmował się pierdolonymi pamiętnikami niż naszym dzieckiem. Pomyślałam, żeby porwać

kartki na strzępy, nawet spalić, ale to byłoby zbyt małostkowe i przewidywalne. Potrzebowałam czegoś więcej.

Po drugiej stronie biurka znalazłam jego mały, dziennikarski notes z nabazgranymi notatkami. „Asmat Mahmoud/Abu Muchtar. Most Al-Suqlahat, Al-Talha. Piętnaście kilometrów od Iskandariji, ósma rano”. Niżej dopisał wielkimi literami: „Wyłączność!”, i narysował wokół tego słowa kilka gryzmołów.

– Duppek – powiedziałam na głos.

Spojrzałam na zegarek. Dopiero dochodziła siódma. Miałam czas. Mogłabym dostać się nieproszone na jego spotkanie i ukraść mu materiał, tak jak on ukradł Kapsowi w Gomie.

Mam go w dupie, pomyślałam. Pieprzę go i tę protekcyjną gadkę, że zapłaci za klinikę. Pierdolę jego szczeniackie przechwałki „wyłącznością”.

Ja mu pokażę. A potem go rzucę.

Chwyciłam notes i zbiegłam na dół. Widziałam Danny’ego przelotnie – wchodził z Mohammedem do hotelowej restauracji na wczesne śniadanie. Chyba się śmiał. Co, do kurwy nędzy, było śmiesznego w zabiciu naszego dziecka?

Odwróciłam się i poszłam do recepcji, gdzie Dżamail siedział zgarbiony nad jakimiś papierami. Znałam go dobrze – pracował dla mnie jako kierowca. Potem został zatrudniony w hotelu na stanowisku dyżurnego kierownika. W każdym razie kiedyś oboje jeździliśmy po Bagdadzie sfatygowaną czerwoną toyotą Dżamaila i wyszukiwaliśmy materiały. O wiele bardziej wolałam jego samochód od bajeranckiego wozu z napędem na cztery koła. Ostatecznie rozstaliśmy się z powodu pieniędzy, chciał wyższego wynagrodzenia, a mnie nie było na to stać.

– Dzień dobry, panno Rachel – przywitał się. – Wcześniej pani wstała.

Powiedziałam mu, że muszę natychmiast pojechać do Iskandariji, a Zaid, mój nowy kierowca, jeszcze się nie zjawił. Uśmiechnął się.

– Może poprowadzi pani sama? – zaproponował.

Zwariowany pomysł, zupełnie szalony. Czułam, że powinnam zrezygnować, wrócić do łóżka i przespać problem, ale tak się nakręciłam, że nie potrafiłam odpuścić.

– Dżamail. Zrób mi wielką przysługę. Przez pamięć o dawnych czasach. Zawieź mnie tam, dobrze?

Roześmiał się tak głośno, że omal nie obudził całego hotelu. Poprosiłam, żeby podał cenę.

– Nie chodzi o pieniądze – odparł. – Iskandarija bardzo niebezpieczna. Za bardzo.

Nawet mu nie wspomniałam, że spotkamy się z powstańcami.

– Nie jedziemy do samej Iskandariji, tylko do Al-Talhy, małej wioski po drodze. Do Asmata Mahmouda, pamiętasz go? Parę razy robiliśmy z nim wywiad.

– Tysiąc dolarów – rzucił.

Oświadczyłam, że to rozbój, pięć razy więcej niż obowiązująca stawka.

– Jak pani chce – mruknął i jak sklepikarz na bazarze znowu zajął się swoimi rzeczami, udając, że nic go nie obchodzi.

Odwróciłam się; czekałam, aż zaproponuje niższą cenę. Nic z tego. Nie miałam czasu się targować. Danny mógł zaraz skończyć śniadanie i ruszyć w drogę.

– No dobrze – poddałam się. – Zgoda.

Poszłam za Dżamailem do garażu hotelowego. Otworzył kłódkę na podwójnych drzwiach i ściągał pokrowiec ze starej toyoty. Samochód Mohammeda już stał na zewnątrz, ale gdybyśmy wyjechali natychmiast, dotarlibyśmy na miejsce pierwsi. I kiedy Danny zjawiłby się na moście, ja już bym tam była z Abu Muchtarem. Szlag by go trafił.

Opuściliśmy Bagdad. Stary sedan Dżamaila wydawał cudowny, gardłowy ryk. Abu Muchtar mógł nie wiedzieć, że nadjeżdżamy, ale z całą pewnością by nas usłyszał.

Byłam nabuzowana.

– No dalej – powtarzałam Dżamailowi. – Szybciej. Dostajesz tysiąc zielonych, więc dodaj trochę gazu.

Siedziałam koło kierowcy; od czasu do czasu przysypiałam, po chwili obudziłam się i trochę popłakałam, wspominając słowa Danny'ego. Ich brutalność znajdowała odbicie w mijanych po drodze wypalonych wrakach samochodów i niekończących się kolumnach amerykańskich wozów pancernych sunących do najnowszego punktu zapalnego. Na mijanym murze wymalowano „Śmierć USA”, a nieco dalej „Zabić Busha, zabić Blaira”. Wszyscy chcą kogoś zabić, pomyślałam.

Wcześniej mimo wszystko zawsze sądziłam, że Danny'emu i mnie się uda, a Becky i Kapsowi nie. Ich miłość miała wrodzoną wadę, była skażona. Nazwałam ją nawet „niestosowną”. Teraz zauważyłam, że właściwie to nasza jest całkowicie popieprzona. Danny gardził mną od samego początku. Nasze relacje powinny zostać zakończone tam i wtedy.

Pędziliśmy w kierunku Iskandariji. Tak wcześnie rano, przy małym ruchu, szybko przepuszczano nas przez kolejne punkty kontrolne. Dżamail chciał tylko jak najprędzej skończyć ten wypad i wrócić do domu z grubym plikiem zielonych w tylnej kieszeni spodni. Już na miejscu zauważył między palmami daktyłowymi kilka kobiet w abajach prowadzących krowę. Zapytał je o drogę do mostu Saklahat.

– *Al-Sahafi* – wyjaśnił im, wskazując mnie głową. Dziennikarze.

– *Ahlan wa ahlan* – powiedziały. Witajcie.

– *Ahlan bekum* – odpowiedziałam.

Przejechaliśmy z półtora kilometra i zobaczyłam młodego pastucha na wzgórzu. Miał najwyżej dwanaście, trzynaście lat. Na widok ciekawskiego nastolatka pomyślałam o własnym dziecku. Wyobraziłam sobie, jak dorasta do tego wieku, przybiega ze szkoły, ugania się za piłką po boisku z przyjaciółmi. Żądanie Danny'ego, abym pozbyła się naszego mał-

go chłopca, brzmiało jak wezwanie do morderstwa. Chciałam mu powiedzieć, że właśnie „pozbył się” wszystkiego, co nas kiedykolwiek łączyło.

– Most jest tam – oznajmił Dżamail. Z nas dwojga tylko on był zdenerwowany. Słyszałam to w jego głosie. – Już blisko – dodał. – Bardzo blisko.

Spojrzałam na zegarek. Mieliśmy dobry czas, ale Danny i Mohammed musieli być niedaleko, dzieliło nas zaledwie dziesięć, dwadzieścia minut.

Z perspektywy czasu wiem, że moje wyobrażenie o tym, jak cała akcja się rozwinie, było koszmarnie proste – nie widziałam możliwości, by to potoczyło się inaczej. Abu Muchtar ucieszy się, że na wywiad z nim przyjechała młoda kobieta, Danny’emu zrzędnie mina, kiedy zobaczy, jak robię notatki. „Cześć, Danny, powitałabym go. Nie byłam pewna, czy tu dotrzesz. Ale skoro już jesteś, podzielimy się materiałem pół na pół”.

Wciąż marząc na jawie, usłyszałam krzyki. Na moście przed sobą zobaczyłam uzbrojonych ludzi, z twarzami zasłoniętymi grubymi okularami przeciwsłonecznymi i różnokolorowymi kafijami. Niektórzy wymachiwali nad głową kałasznikowami, inni celowali do nas. Otworzyłam szybę i wysunęłam rękę z laminowaną legitymacją prasową. Kiedy w powietrzu gwizdnął pierwszy pocisk, po prostu ją upuściłam. Odruchowo rzuciłam się na podłogę toyoty i poczułam, jak żołądek wyskakuje mi z brzucha, kiedy Dżamail zakręcił ostro. Wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni; usłyszeliśmy drugi wystrzał. Dżamail depnął sandałem pedał gazu i, zygzakując, pomknęliśmy z powrotem. Po paru minutach, kiedy ośmieliłam się podnieść głowę i znów wyrzeć przez okno, zobaczyłam na wzgórzu tego samego pastucha. Wciąż tam stał i obserwował. Zapytałam Dżamaila, czemu się zatrzymaliśmy.

– Koło, panno Rachel – wyjaśnił. – Kula trafiła koło.

– Cholera, dasz radę to naprawić? – zapytałam. Przeprosiłam też, że wplątałam go w tę aferę.

– Wszystko okej – odparł. – Chcieli tylko przestraszyć. Gdyby zamierzali zabić, mogliby, żaden problem.

Wysiadł i zaczął zmieniać przednie lewe koło. Odkręcał śruby i ustawiał podnośnik. Wyglądał zupełnie jak facet z pit-stopu. Kazał mi zostać w wozie.

Kiedy Danny i Mohammed podjechali do nas, wiedziałam, że natychmiast poznali toyotę. Danny opuścił szybę, ja też. To wszystko nie tak miało wyglądać. Pragnęłam, żeby zobaczył triumfalny uśmiech na mojej twarzy, a nie łzy. Pokręcił głową.

– Nie wierzę własnym oczom. Jaki masz pierdolony problem, Rachel? Nie potrafisz znaleźć własnego tematu?

Nie widziałam go tak wściekłego od czasu, kiedy odszedł ode mnie w Waszyngtonie. Według niego podstępnie zaszłam w ciążę, a teraz, równie chytrze, wcisnęłam się do jego materiału na wyłączność.

– Ja... Danny, słuchaj... nie możesz jechać...

– Grzebałaś w moich rzeczach, co?! – wrzasnęła. – Znalazłaś notes i stwierdziłaś, że pojedziesz pierwsza i się obsłużysz. Jak nisko można upaść?

– Posłuchaj mnie przez...

– I natychmiast przestań ryczeć, dobra? Nie chcę tego pieprzonego dzieciaka, rozumiesz? Niech to do ciebie dotrze.

– Ty skurwysynu!

Patrzyliśmy na siebie przez zabójczy ułamek sekundy, tonąc we wzajemnej nienawiści. Nie zapytał, czy spotkałam się już z Abu Muchtarem. Nie sprawiłby mi tej satysfakcji.

– W każdym razie jadę – oznajmił już spokojniej. Rozejrzał się, zastanawiając, co jeszcze dodać. Było tak wiele do przedyskutowania, a tak mało mieliśmy sobie do powiedzenia. – Jak jest dalej? Okej? – spytał od niechcienia, jakby uznał mnie za zwykłego przechodnia.

Siedziałam oszołomiona. Widział, że płakałam, dlaczego nie wysiadł, żeby nam pomóc? Jasne, nie chciał dziecka, ale czy nie mógłby chociaż mnie pocieszyć, kobietę, którą rzekomo kochał?

Gdybym zamierzała go zatrzymać, to był właściwy moment. Wystarczyłoby cokolwiek. Mogłam w milczeniu pokręcić głową, krzyknąć na całe gardło lub wyskoczyć z samochodu i rzucić się przed maskę jego wozu. Albo, oczywiście, po prostu odpowiedzieć „nie, tam wcale nie jest okej”.

Ale nie zrobiłam nic. Ani się nie poruszyłam, ani nie odezwałam.

Poza tym chcieli tylko straszyć ludzi, tak przecież mówił Dżamail. A jeżeli ktoś powinien być nastraszone, to na pewno Danny. Gdyby wyrwali go z tego egoistycznego samozadowolenia, może pomyślałby o innych. O mnie. O naszym dziecku.

W ułamku sekundy Danny dał się przekonać mojemu milczeniu. Kazał Mohammedowi ruszać. Kiedy Dżamail skończył zmieniać koło i wsiadł do samochodu, nie wierzył, że ich nie zatrzymałam. Wciąż widzę jego oczy, rozszerzone lękiem i niepokojem.

- Panno Rachel, czemu nie...
- Wracajmy do domu – poleciłam.
- Ale nie możemy tak...
- Zrób, co mówię. Do domu.

30

Bagdad po wyzwoleniu, sierpień 2004

Camille wiedziała, że wszyscy ją obserwują, by sprawdzić, jak zareaguje. Przypuszczała, że powinna krzyczeć, obrzucając wyzwiskami potencjalną zabójczynię brata, i zaprzysiąc zemstę w imieniu wdowy po Mohammedzie, ale to byłby nieszczery gniew. Ogarnęła ją fala współczucia i ciekawości.

- Co się stało?

– Z czym? – wymamrotała Rachel.

– Z uroczą dziewczyną, która przyleciała do Sarajewa. Nie rozumiem, co on z tobą zrobił.

– Sama to ze sobą zrobiłam.

Rachel siedziała na sofie z głową opartą na dłoniach. Edwin nalał jej dużą porcję szkockiej niczym lekarz szykujący lekarstwo. Potem z pomocą Kapsa i Becky podniósł ją, a kiedy stanęła, cała czwórka się objęła. Camille podziwiała ich solidarność. Bez względu na to, przez co przeszli, ich więź wydawała się niezniszczalna. Ale jednocześnie działali w zмовie i oszukiwali. Camille czuła, że zrobili z niej durnia, i tylko to doprowadzało ją do pasji: została upokorzona.

– Wszyscy wiedzieliście, prawda? Od samego początku?

– No, prawie – przyznała Becky. – Przepraszam, nie byliśmy wobec ciebie uczciwi.

– Fakt.

– Musieliśmy ją chronić.

– Mataczyliście.

– Pomagaliśmy przyjaciółce, to wszystko.

– Okłamując mnie? – Pytanie Camille zawisło bez odpowiedzi w paralizującym upale. Pokojówka odkurzała na korytarzu i kiedy nikt się nie odzywał, buczenie drażniło słuch. Wreszcie urwało się gwałtowne i pokojówka zapukała. Zmiana pościeli. Edwin otworzył.

– Dziękujemy bardzo, ale czy zechciałaby pani być absolutnym aniołem i spierdalać stąd w podskokach?

Camille nie mogła powstrzymać uśmiechu, choć przelotnego. Zastanawiała się, czy chroniłaby Rachel przed burzą tak jak oni. Pomyślała o swoich przyjaciółkach w Dubaju, a właściwie tak ważnych przyjaciółkach – bankierach, dyplomatach, inżynierach budowlanych i ich znudzonych żonach. Żadne z nich nie zrobiłoby tego dla niej.

– Kim więc jest Saddoun? – spytała, ale już znała odpowiedź.

– Wytworem bujnej wyobraźni Dżamaila – odparł Kaps.
– Chciał, żebyś trochę wiedziała, ale nie za dużo. Żebyś podejrzewała, że jedno z nas tam było. Poza tym zamierzał nas przestraszyć i zmusić do płacenia. Co, ze wstydem stwierdzam, zrobiliśmy. Rozegrał to przepięknie.

– Wredny mały skurwysynek – dodała Becky. – Oświadczył, że Rachel popełniła zbrodnię i jeżeli mu nie damy kasy, opowie ci o wszystkim.

Edwin siedział na kuchennym krześle, głęboko zaciągając się kolejnym marlboro i układając usta w idealne „O”, by pozwoli wydmuchnąć idealne kółko niebieskawego dymu.

– Rachel wystarczająco katowała samą siebie i już nikt inny nie musiał. Nie widzieliśmy sensu, by dowiedział się o tym cały Bagdad. Wszystko znalazłoby się w gazetach, wałkowano by sprawę w telewizji i Internecie. Wyobraź sobie nagłówki: „Kochanka słynnego dziennikarza wysyła go w łapy porywaczy”. Od razu by ją ukrzyżowali. Sama popatrz, jak ona wygląda. Nie wiem, czyby to przeżyła. Ale masz rację, okłamywaliśmy cię i jest nam z tego powodu szczerze przykro.

Camille nie zależało na ich przeprosinach. Z trudem układała poszczególne elementy w całość. Czuła się zawiedziona. Zdezorientowana. Głupia.

– Chcę wiedzieć wszystko! – krzyknęła, zaskakując ich wybuchem emocji. – Żadnych więcej kłamstw, tajemnic i ma-tactw. Zanim mój brat się tu pojawi, muszę znać prawdę i tylko prawdę.

Edwin wyjaśnił, że zapłacili Dżamailowi pięć tysięcy, a ten zażądał jeszcze dwudziestu. Kłócili się o to w herbaciarni, w końcu dali mu tę forszę. On jednak wciąż nie miał dosyć i zaczęli podejrzewać, że nigdy się nie odczepi.

Camille wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

– Lista obecności na odprawie. Podrobiłeś jej podpis? Zadałeś sobie tyle trudu?

– Wydawało mi się, że to sensowny środek ostrożności
– stwierdził Edwin.

Zacząła skupiać uwagę na rzeczach, które wcześniej zobaczyła, ale wtedy nic dla niej nie znaczyły.

– Garaż. Widziałam, jak kręciliście się wokół niego z Dżamailem.

Edwin zdał sobie sprawę, że Camille ich obserwowała i od jakiegoś czasu coś podejrzewała.

– Naprawdę? Cóż, tam trzymał samochód. Z dziurą po pocisku. „To mój dowód”, oświadczył. Groził, że jeżeli nie zapłacimy, pokaże swoją bezcenną toyotę komu trzeba. Kiedy daliśmy mu dwadzieścia kawałków, kazaliśmy mu pozbyć się wozu.

– I co?

– Pytałaś wtedy, czym się zajmowaliśmy. Otóż pojechaliśmy z nim na drugi koniec Bagdadu. Podpalił toyotę. Stwierdził, że i tak nie była warta nawet dinara. Ale to go nie powstrzymało przed następnym żądaniem.

Camille zmrużyła oczy i wycierała okulary – idealnie czyste. Myślała intensywnie jak dziecko, które niemal skończyło już układankę, ale nie bardzo mogło dopasować kilku ostatnich kawałków.

– Kaps, w Al-Talsze widziałam, że coś podniosłeś. Zawsze dręczyło mnie pytanie, co?

– Legitymację prasową – wyjaśnił. – Nie mogliśmy ryzykować, że ktoś ją znajdzie.

Camille pokręciła głową. Zacząła dostrzegać chirurgiczną precyzję, z jaką zacierali ślady pozostawione przez Rachel.

– Jest coś jeszcze, prawda?

– Nie, Camille. Wiesz wszystko. – Kiedy spowiedź już się skończyła, Edwin wyraźnie się rozluźnił.

– Chodzi mi o inny powód, dla którego ją chroniliście.

– Nie jestem pewien, czy...

– Nie chodziło tylko o to, że było wam jej żal. Mogliście sobie wyobrazić, że zrobilibyście to samo, prawda? Nienawidzi-

liście Danny'ego tak bardzo, że spokojnie pozwolilibyście mu wpaść prosto w ręce zabójców. Solidaryzowaliście się z Rachel.

Becky wzruszyła ramionami.

– Trudno przewidzieć, co ktoś zrobi, jeżeli się ostro wścieknie.

– Problem w tym, że wszyscy go kochaliśmy i nienawidziliśmy – powiedziała Rachel. – W czasie mojego pierwszego tygodnia w terenie wdeptał mnie w ziemię za spotkanie z Karadżićiem. Wtedy po raz pierwszy poczułam do niego nienawiść.

Oczywiście to Adi Duval zadzwonił do nich z wiadomością. Ludzie z wojskowej misji łącznikowej dostali informację od szefa irackiej policji w bagdadzkiej dzielnicy Doura, bastionie sunnitów. Wyrzucono tam z samochodu białego mężczyznę. Poobijanego, posiniaczonego i zdezorientowanego, ale żywego.

– Czekamy na potwierdzenie. Wszystko jednak wskazuje, że to Danny – oznajmiła Camille.

– O mój...

– Posłuchaj, właściwie nie ma stuprocentowej...

– Ale dlaczego tak po prostu by go wypuścili?

– Munro i Harper przecież prowadzili rozmowy ze starszą plemienną. Mieliśmy informacje, że robią postępy. Chyba te grube ryby były trochę zakłopotane, że Danny'ego zaproszono tylko po to, aby go porwać.

Camille zdała sobie sprawę, że źle oceniła Munra, tak jak źle oceniła wszystkich innych – Dżamaila, ćpunów i niewątpliwie też Danny'ego. Munro, choć ponury i opryskliwy, ciężko pracował za kulisami, aby uwolnić jej brata. Zadzwoniła do rodziców, ale uprzedziła ich, żeby na razie nie mieli zbyt wielkich nadziei. Powtórzyła, co mówił Adi – że coś się ruszyło, ale trzeba czekać na potwierdzenie. Była spokojniejsza, niż się spodziewała.

Patrzyła jak czworo ćpunów znowu stanęło w kręgu. Tym razem trzymali się za ręce; zamknęli oczy. Jeszcze nie

świętowali – skoro człowiek w kostnicy okazał się kimś innym, historia mogła się powtórzyć. Przekazywali sobie nawzajem siłę.

Niecałe pół godziny później telefon znowu zadzwonił. Odezwał się Adi – najwyraźniej szczęśliwy, że znajduje się w centrum międzynarodowego dramatu, w którym coraz bliżej do ostatniej sceny. To biło na głowę prace nad programem odbudowy infrastruktury.

– Dotarł do ambasady – oznajmił. – To z całą pewnością Danny. Jest już w domu!

Tym razem wszyscy zaczęli wiwatować. Kaps podniósł zaciśniętą pięść.

– Tak! – krzyknął. Rzucił się do zepsutej lodówki i wyciągnął trzymaną na tę właśnie okazję butelkę ciepłego szampana. Ogarnęła go ulga, ale część jego radosnych występów była na pokaz, jak wtedy w Hiltonie. Uczucie urazy pozostało. Danny jak zwykle wykręcił się sianem. Cierpienia wyniosą sukinsyna na nowe szczyty sławy. Nie będzie już tylko wielkim dziennikarzem, ale także legendą. Zaczną się wywiady, powstanie książka, może nawet film.

Część Kapsa – ta, którą się brzydził i usiłował ją ukryć nawet przed samym sobą – wciąż pragnęła, aby Danny’emu nie udało się ująć z życiem. Sam uważał te myśli za obsceniczne, podobne do ohydnej perwersji seksualnej, ale w żaden sposób nie mógł ich powstrzymać. Potrząsnął butelką i strzelił korkiem w sufit. Strugi białej piany przeleciały przez pokój.

Rachel podskoczyła na sofie, na której tak długo siedziała skulona. Sprężyny aż zgrzytnęły w proteście. Jej dziecko nadal będzie miało ojca, Camille brata, rodzice syna. Trudno zgadnąć, co ona będzie miała – czy w ogóle zechce z nią rozmawiać? Kolana Rachel zaczęły się uginać, kiedy wyobraziła sobie, jak znowu staje z nim twarzą w twarz. Pomyślała o ostatnim sekrecie, który wciąż przyciskała do swojego łona. Wkrótce będzie musiała go ujawnić. A wtedy z całą pewnością

cią Becky, Kaps i Edwin zaczną się zastanawiać, po co zadali sobie tyle kłopotu, by chronić Rachel. Oskarżą ją – i tak powinni zrobić na samym początku.

Adi przyjechał zawieźć Camille do ambasady, by mogła natychmiast spotkać się z Dannym. Przyjaciele będą musieli trochę poczekać. Danny przechodzi wstępne badania i lekarze jeszcze muszą podać mu proteiny – oznajmił. Biedak jest wymizerowany. Uwierzcie mi, potrzebuje wszystkiego, od dentystry po nowe ubranie. I możecie sobie wyobrazić, że wszyscy chcą kawałka jego dupy: ambasador, generał, wywiad, Grupa Kryzysowa, nawet prezydent. To najlepsze, co przydarzyło mu się od jakiegoś czasu. Och, i oczywiście wasi kumple z serwisów informacyjnych.

Zaplanowano konferencję prasową, ponieważ – według Adiego – „Danny chciałby coś powiedzieć”. Dopiero potem spotka się z nimi. Rachel wymieniła z Edwinem spojrzenia: nadszedł dzień sądu. Edwin wycofał się do kuchni, gdzie przygotował dla nich tyle posiłków. Zapalił kolejnego marlboro, osłaniając zapalkę dłońmi, jakby stał na wietrze i musiał chronić niepewny płomień. Włączył wiadomości. U dołu ekranu już biegł jaskrawoczerwony pasek z napisem: „Z ostatniej chwili. Amerykański zakładnik Lowenstein uwolniony”. Edwin skakał po kanałach angielskojęzycznych i arabskich. Wszędzie widniało zdjęcie Danny’ego niczym jakiegoś orwellowskiego dyktatora.

Adi wiózł Camille za Tygrys, ale na moście, którym mieli dotrzeć do Zielonej Strefy i Danny’ego, utknęli w korku. Gdzieś przed nimi ostrzelano z okna amerykański patrol. Żołnierze zablokowali ulicę rzędem humvee. Biegali gorączkowo, wskakiwali do bram i wypadali z nich, krzyczeli na sklepikarzy i przechodniów, wymachiwali karabinami, kierując je w stronę najbliższych znajdujących się osób, nawet kobiet i dzieci. W Iraku każdy mógł być wrogiem. Po zaczerwienionych twarzach

żołnierzy spływał pot. Odliczali czas do powrotu do domu, a to był kolejny przerażający bagdadzki dzień, z którym trzeba się uporać i zostawić go za sobą.

– Cholera! – powiedziała Camille. – Niech to szlag. Jak nic się spóźnimy. Właśnie w ten dzień. – Miała jednak więcej czasu na zastanowienie. Czy kiedy wejdzie do środka, Danny w ogóle ją pozna? A jeżeli ktoś będzie musiał go poinformować przyciszonym, zażenowanym głosem, że stoi przed nim odtrącona siostra? A jeśli w ostatniej chwili postanowi, że nie chce z nią rozmawiać? A jeżeli zaczną rozmawiać, jak to się skończy? Czy będą się nawzajem błagali o wybaczenie, czy też uprzejmie wymienią kilka banalnych zdań i czym prędzej wrócą do swoich oddzielnych światów?

Godzinę później przepętlili przez blokady i kontrole bezpieczeństwa przed Zieloną Strefą. W końcu znaleźli się wśród fałszywego splendoru saddamowskiego Pałacu Republiki, a obecnie najbardziej ufortyfikowanej ambasady amerykańskiej na świecie. Camille przechodziła przez imponujące podwójne drzwi, między meblami, obok posągów i dzieł sztuki, które wyglądałyby zupełnie dobrze nawet w Wersalu. Teraz leniuchowali tu wśród nich dyplomaci – nowa odmiana rodziny panującej. Chlebodawcy obiecali im możliwość wyboru dowolnej placówki na świecie, pod warunkiem że przez krótki czas popracują w Bagdadzie.

Adi wprowadził ją do sali specjalnie zorganizowanej na spotkanie.

– Podobno stary lubił tu przesiadywać – powiedział. Na ścianach wisiały naprzeciwko siebie dwa długie lustra w połączonych ramach, a między nimi znajdował się kominek. Gzymsy pokrywały sztuczne kwiaty; ani trochę nie przypominały żywych. Pośrodku pomieszczenia stał podłużny mahoniowy stół – prezydent pewnie korzystał z niego podczas rozmów z odwiedzającymi go dyplomatami, biznesmenami i handlarzami bronią. Może właśnie tutaj kupował broń masowego rażenia, której – jak się okazało – nie posiadał.

Z każdą minutą oczekiwania Camille denerwowała się coraz bardziej, skubiąc zębami kawałek skórki przy paznokciu. Usłyszała hałas za drzwiami, zobaczyła, że złota klamka porusza się, i wiedziała, że to w końcu on. Kiedy ujrzała Danny'ego, zaczęła zastanawiać się, dlaczego była taka przerażona – straszliwie wąty, krzywiący się z bólu mężczyzna przesuwiał stopy po kilka centymetrów. Niczym pacjent z oddziału geriatrycznego podpierał się na ramieniu pielęgniarki z medycznej obsługi ambasady. Camille pomyślała, żeby podbiec i objąć brata, ale zrezygnowała, bojąc się, że przysporzy mu więcej cierpienia. A może to tylko wymówka.

W supernowoczesnym szpitalu Zielonej Strefy, w Ibn Sienie, opatrzyli mu zainfekowane oparzenie na dłoni i zawiesili rękę na temblaku. Na czole przylepili wąskimi plastrami dwa jaskrawobiałe opatrunki z gazy. W miejscu przednich zębów wciąż widniała czarna dziura, a szczecina widoczna na ostatnim nagraniu porywaczy zmieniła się w brodę. Albo nie chciał jej zgolić, albo nie starczyło na to czasu. W każdym razie z zarostem przetykanym siwizną wyglądał zupełnie inaczej. Teraz nie czuła wyrzutów sumienia, że nie potrafiła go sobie wyobrazić. Domyślała się, że gdyby spojrział w lustro, na pewno z trudem poznałby sam siebie.

Wziął prysznic – włosy miał wilgotne i uczesane – a ludzie Adiego znaleźli mu ubranie: piżamowatą koszulę w paski i dżinsy zdecydowanie za duże w pasie. Danny zawsze dbał o swój wygląd, teraz jednak nie zwracał na to uwagi. Wszystko lepsze od pomarańczowego kombinezonu.

Adi i pielęgniarka posadzili go na krześle z wysokim oparciem i wyszli z pokoju. Camille spostrzegła, że Danny wpatruje się w nią uważnie i stara się odnaleźć znajome rysy w twarzy, której nie widział tak wiele lat. Poczowała suchość w ustach. Miała nadzieję, że gdy się odezwie, głos się jej nie załamie.

– Witaj z powrotem, Danny. Dobrze cię widzieć. Jak się miewasz?

Bezsensowne pytanie. Wyglądał jak facet, który zderzył się z pociągiem. Na filmie widziała człowieka zdruzgotanego. Teraz był w jeszcze gorszym stanie – zmiażdżony, rozbity na tysiąc kawałków.

– Bywało lepiej. – Wyschnięte, pokryte strupami wargi prawie się nie rozchyłały. – Dziękuję, że przyjechałaś.

– Przynajmniej tyle... to znaczy, chciałam być tutaj.

Zdawała sobie sprawę, że to walcząca o życie rozmowa między dwiema obcymi osobami. Obawiała się, że lada chwila wątle słowa zamigoczą i zgasną, rozpaczliwie szukała więc czegoś, co mogłaby powiedzieć – czegokolwiek. Miała tyle czasu na przygotowanie, a jednak zabrakło jej jakiejś gotowej myśli czy zdania. Potem zrozumiała, że nie musi się martwić – w czasie kilku minionych tygodni przywykł do milczenia – i panująca cisza przestała być kłopotliwa. Prawdę mówiąc, uspokajała, dawała czas, aby przyzwyczaić się do wzajemnej obecności i przebywania w tej samej przestrzeni.

– Mama i tata są bardzo szczęśliwi, że jesteś wolny – odezwała się w końcu.

– Nie ma ich tutaj z tobą?

Roześmiała się nerwowo.

– Dobry Boże, nie. Ale możemy do nich zadzwonić, kiedy będziesz gotów.

Sądziła, że Danny, choć w żałosnym stanie, oburzy się na tę propozycję. Ale kiwnął głową.

– Bardzo chętnie.

– Myślę, że czas na to. Dla nas wszystkich.

– Wiem.

Wyzywająca arogancja, lowensteinowska buta zniknęła całkowicie. Camille przyjrzała się twarzy brata – zmienionej, częściowo pozbawionej wyrazu, ale wciąż z ukrytymi głęboko rysami chłopczyka, z którym kiedyś się bawiła. Pragnęła, aby Lukas mógł kochać syna takim, jakim był; cieszyć się inteligencją Danny'ego i nawet podziwiać jego gniew na cały świat. Pragnęła, aby ona również potrafiła.

Podeszła do krzesła przypominającego tron i uklękła. Znowu chciała objąć Danny'ego i przytulić głowę do kościstego torsu, ale wciąż nie ośmielała się go dotknąć. Popłynęły długo powstrzymywane łzy; najpierw po kropelce, potem strumieniami. Płakała jak Rachel i Becky i to przynosiło cudowne uczucie ulgi. Dziękowała za nie; tak rolnik w czasie suszy dziękuje za deszcz. Danny przyglądał się drżącym plecocom siostry i słyszał tłumiony, pełen cierpienia szloch. Już nic go nie dziwiło.

– Powinnam o czymś wspomnieć, zanim zobaczysz się z kimkolwiek – powiedziała, kiedy spazmy łkania zaczęły zamierać. Do spoconej twarzy miała przyklepiona kosmyki włosów. – Wiem o Rachel. Tylko ja i jej przyjaciele. Muszę cię zapytać... zamierzasz o tym powiedzieć wszystkim?

W imponującym, wysokim pokoju, gdzie miała odbyć się konferencja, panował tłok. Becky wyczuła niepokój przyjaciółki i zamiast po prostu trzymać jej rękę, ścisnęła ją mocno, tak jak kiedyś, na Heathrow, zrobiła to Rachel.

Wepchnęły się z tyłu, wywołując kilka zgorszonych cmoknięć osób, które zajęły sobie miejsca dawno temu. Czuli się dziwnie, przychodząc na konferencję prasową po to, żeby słuchać, a nie pracować. Z trudem wcisnęły się między stanowiska BBC, CNN i Al-Dżaziry; mnóstwo kamer miało na żywo pokazywać zafascynowanemu światu twarz Danny'ego Lowensteina. Jeden z kamerzystów – tyczkowaty Teksasczyk – rozmawiał z kolegą.

– Nieczęsto nadajemy stąd materiał z dobrymi wiadomościami. „Przetrzymywany jako zakładnik amerykański obywatel przeżył, by opowiedzieć swoją historię”. To powinno dziś wieczorem wejść do czołówki, co?

– Biję na głowę kolejną bombę w samochodzie – odparł kolega. – Jeden żywy jankes jest wart przynajmniej stu martwych Irakijczyków; dwustu, jeżeli to jankes z Pulitzerem!

Niski pomruk rozmów dziennikarzy urwał się gwałtownie, jakby ktoś przekręcił wyłącznik. Zastąpiła go pełna szacunku,

pogrzebowa cisza. Danny wchodził do sali i nikt nie mógł oderwać od niego wzroku. Myśl o porwaniu prześladowała każdego korespondenta w Iraku, a oto ucieleśnienie ich koszmaru. Nie był to już więzień w pomarańczowym stroju oglądany tysiące razy na ekranie, ale zmartwychwstały człowiek, którego mogliby dotknąć.

– Dzień dobry. Dziękuję wszystkim za przybycie – odezwał się w końcu Adi. – I witam w domu Danny’ego Lowensteina.

Tłum reporterów nieprofesjonalnie zareagował żywiołowymi brawami. Dreszcz przebiegał im po plecach; czuli się doskonale, będąc tu razem z ocalałym kolegą po fachu. Trzymająca się z tyłu, ukryta za kamerami i statywami Rachel słabiotko uderzała dłonią w dłoń.

Danny zdołał wykrzesać z siebie zmęczony uśmiech wdzięczności i dziesiątki fleszy błysnęło jednocześnie, gdy fotoreporterzy robili swoje cenne zdjęcia. Danny uderzony falą białego światła zamrugał. Rozejrzał się, czy jego koledzy ćpuny wojny są gdzieś tutaj. Becky i Kaps pomachali do niego, ale nie zauważył ich oszołomiony i oślepiiony reflektorami.

Zaczęła się nawała pytań – o jedzenie, strach, strażników. Czy rzeczywiście myślał, że może umrzeć? Dlaczego został zwolniony? Czy zapłacono okup? Ludzie pewnie już nie przestaną zadawać mu tych pytań. Jak było? Jak było? Jak było...? I tak bez końca. A jemu nigdy nie uda się ostatecznie na to odpowiedzieć. Zniknie „nagradzany dziennikarz Danny Lowenstein”, pojawi się „dawny zakładnik Danny Lowenstein”.

Wcześniej rozkoszowałby się tą sytuacją i raczył świat oszałamiającymi opowieściami o swojej niewoli. Przecież oglądają go w Białym Domu, na Downing Street, w Pałacu Elizejskim i milionach domów na całym świecie. Kiedyś opowiedziałby o wszystkim. Teraz chciał mieć to już za sobą. Nie był dumny z niczego, co o nim właśnie myślano i czego kiedykolwiek dokonał.

– Właściwie nie wiem, co powiedzieć – wymamrotał cicho, ledwie słyszalnie. – Jak mógłbym opisać przejście przez

bramę piekieł z myślą, że już przez nią nie wrócę? – Ani śladu głębokiego głosu i wymowy ze Wschodniego Wybrzeża, tylko ochryply szept, któremu towarzyszy świst wydobywający się przez dziurę po wybitych przednich zębach. Brzmiało to tak, jakby gawędziarz, mistrz retoryki, zagorzały bojownik o lepszy świat miał wadę wymowy.

Pytania padały łatwo, ale nie odpowiedzi, i po niecałych dziesięciu minutach Adi oświadczył, że Danny musi trochę odpocząć.

– Przepraszam państwa, sami widzicie, jak jest zmęczony. Obiecuję, że w najbliższych dniach jeszcze z nim porozmawiacie, ale na razie proszę o jedno, ostatnie pytanie.

Zadała je ta sama francuska dziennikarka, która wprowadziła w zakłopotanie Camille na zakończenie konferencji prasowej w Hamrze.

– Panie Lowenstein, krążyły plotki, że w chwili pańskiego porwania był tam inny dziennikarz. Podobno siedział w drugim samochodzie, a potem odjechał. Niewykluczone, że to ktoś, kogo pan znał. Może nam pan coś powiedzieć na ten temat?

Rachel zakręciło się w głowie. Tak, Danny chciałby coś powiedzieć.

– Błagam, nie – szepnęła cichutko. – Boże, błagam, nie teraz, nie w obecności tych wszystkich ludzi.

Becky odruchowo położyła dłoń na jej kolanie. Ćpuny wojny wpatrywały się w poobijaną, połataną twarz, starając się dostrzec jakąś wskazówkę, co Danny zamierza odpowiedzieć. Mógł jednym zdaniem wyrządzić tyle szkód. Nieznośna chwila milczenia... ale ostatecznie pokręcił głową, tak jak Rachel powinna zrobić tamtego dnia.

– Bardzo mi przykro – odparł zdecydowanie i głośniejszym głosem niż do tej pory. – Naprawdę nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

Spotkali się z nim w sali, gdzie wcześniej siedział z siostrą. Kaps pierwszy go objął. Nie miał jak Camille oporów przed

fizycznym kontaktem i uścisnął go mocno. Danny skrzywił się z bólu.

Już nie wyglądał jak rywal, ale jak wyschnięty na wiór cień dawnego Danny'ego. Wieloletnia zazdrość nagle wydała się Kapsowi dziecinna i śmieszna. Jego podejrzenia, że Danny może skorzystać na swoich cierpieniach, były równie absurdalne. Teraz, kiedy dotknął wycieńczonego ciała, instynktownie wiedział, że Lowenstein nigdy nie wróci do dziennikarstwa. Podejrzewał, że on sam również, bo nikt nie dostarczy mu bodźca. Ta myśl sprawiła Kapsowi ulgę. Mógł odzyskać przyjaciela z przeszłości, spróbować pokochać Danny'ego od nowa.

Potem objęli go Edwin i Becky. Oni też nieśli brzemień winy tego, co myśleli o Dannym przez kilka ostatnich tygodni, ciężar toksycznych wspomnień. Becky obsypała wymizerowane policzki pocałunkami i zastanawiała się, czy Danny już wie, jak zdradziecko spiskowali, by ukryć prawdę o tym, co się z nim stało.

Rachel podeszła ostatnia, prawie tak samo wychudzona jak on. Ośmieliła się tylko stanąć przed nim.

– Och, Danny. Żyjesz – powiedziała. – Dzięki Ci, Boże, dzięki, dzięki.

– A ja myślałem, że jesteś ateistką – roześmiał się Edwin, który właśnie zdjął nakrętkę piersiówki whisky i szukał kieliszków.

Wszyscy uśmiechnęli się w nadziei, że Danny się do nich przyłączy. Udawaliby, że nic się nie zmieniło, i wrócili do dawnych dobrych czasów w Sarajewie. Nie musieliby o niczym mówić. Ale śmiech jeszcze nie wrócił do życia maltretowanego człowieka. Danny siedział przed nimi w nietypowej dla siebie pozie, wyprostowany, ze złączonymi kolanami i pił prosto z piersiówki Edwina. Sprawiał wrażenie, że popija herbatkę z obcymi ludźmi.

Rachel tak bardzo pragnęła usiąść koło niego i położyć rękę na jego dłoni, ale nie zniosłaby, gdyby ją odtrącił. Nie miała pojęcia, co dalej robić, więc wycofała się na drugi ko-

niec pomieszczenia. Jakby uciekała przed nim i jego niewypowiedzianymi oskarżeniami.

Wtedy Danny zaczął mówić – najlepiej jak potrafił z czterema brakującymi zębami.

– Musiałem was zobaczyć. – Mówił już głośniej, whisky dodawała mu sił. – Chcę poznać parę odpowiedzi.

Rachel bez pytania wzięła papierosa z leżącej na stole paczki Edwina i wsunęła go do ust. Dla dobra dziecka jednak nie zapaliła.

– Oczywiście – odparł Kaps. – Ale jest mnóstwo czasu. Najpierw powinieneś się trochę... odprężyć.

Danny nie słuchał. Przygotował przemówienie na wypadek, gdyby odzyskał wolność, i nikt nie mógł go teraz powstrzymać przed wygłaszaniem tego tekstu.

Każde z nich wiedziało, ile te słowa będą znaczyły dla Rachel. Próbowali nie patrzeć na nią, tak jak ludzie w sali sądowej starają się nie gapić na oskarżonego, ale nie zdołali odwrócić wzroku.

– Człowiek dzień i noc skuty w celi dużo rozmyśla. Wszyscy bywaliśmy w niebezpiecznych sytuacjach, o włos od śmierci. Lubiliśmy się nimi chwalić... przypuszczam, że wy też. Bez tego nie można być prawdziwym korespondentem wojennym. Ale teraz to co innego. Nie chodziło o obawę, że umrę, skoro byłem absolutnie pewien, że tak się stanie. Czy to ma jakiś sens?

– Oczywiście – stwierdziła Becky. Wcześniej uważała, że jeżeli kiedykolwiek Danny do nich wróci, to będzie taki, jakiego zawsze znali: kipiący z oburzenia i pragnący stworzyć materiał swojego życia. Ten tutaj wydawał się kimś, kto podszysza się pod Danny'ego.

– Cóż, kiedy tak czekałem, zacząłem myśleć...

Przez chwilę się nie odzywał. Znowu znalazł się w celi Blizny i w domu Abu Omara.

– No i? – zachęcił go Edwin. – O czym?

– O tym, co Rachel zrobiła na drodze.

Znowu kręciło jej się w głowie. Zamknęła oczy; strasznie chciała zaciągnąć się papierosem Edwina. Myślała, że bez tego nie wytrzyma.

– Och, Danny, tak mi przykro. Będę cię przeproszała do końca życia i wciąż to nie wystarczy. – Pragnęła podbiec i oddać się na jego łaskę, obsypać pokaleczone wargi pocałunkami, aby nie pozwolić mu dalej mówić. Coś ją jednak powstrzymało. Miał wokół siebie jakieś pole siłowe i to ją przerażało.

Becky opiekuńczo objęła Rachel ramieniem i wystąpiła w jej obronie – świadek przedstawiający okoliczności łagodzące.

– Posłuchaj, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaka była załamana, kiedy to się stało. Absolutnie zdruzgotana. Nie mogła przeboleć, że...

– Że nie zrobiłam nic, żeby cię zatrzymać – dodała Rachel.

– Tak to zapamiętałaś? – rzucił szybko Danny obojętnym, beznamiętnym głosem, który zaczynał ich irytować. – Że nic nie zrobiłaś?

– Ja... no tak.

– Jesteś pewna? – Wpatrywał się w nią przekrwionymi oczami, nie dostrzegając nikogo innego. Saddam we własnej osobie mógłby wejść i zasiąść w swoim fotelu, a Danny nie spojrzełby w jego stronę. – Chyba jednak było coś odrobinę więcej niż nic, prawda?

To tajemnica, którą ukrywała przed wszystkimi, nawet przed Becky, a może nawet przed samą sobą.

A więc widział. Zapamiętał. Oczywiście, że tak, idiotko. W najdzikszych fantazjach nie miała prawa się łudzić, że Danny zapomni. Wiedział i zamierzał to ujawnić, ale nawet teraz nie mogła znieść myśli, że ktokolwiek o tym usłyszy.

– Chyba nie wiem, o co...

– Powiedz im, Rachel. Proszę, powiedz, co zrobiłaś.

Nawet gdyby chciała, zdrętwiałe usta nie pozwalały wydobyc się słowom i trzymana w objęciach przez Becky tylko kręciła głową. Ale spojrzenie Danny'ego spoczywało na niej jak promień reflektora.

– Kiedy zapytałem cię, czy droga przede mną jest w porządku, jak zareagowałaś?

– Ja...

Rachel czuła łomotanie krwi w głowie; spojrzała na Becky w poszukiwaniu podpowiedzi. Nie znalazła. Bo niby jak?

– Ja... nic nie zrobiłam. Wiem, powinnam, ale nic...

– Nie, wcale nie nic. Nie pamiętasz? Kiedy zapytałem, czy tam jest bezpiecznie, kiwnęłaś głową, czyż nie? Dałaś mi zielone światło. Chciałaś, żebym...

– Nie mów tego! – Rachel zakryła uszy dłońmi. Była pewna, że zdoła zaprzeczyć prawdzie, jeżeli tylko ta nie zostanie wypowiedziana na głos. „Kiwnęłaś”: takie proste, niewinne słowo. „Kiwnęłaś głową”. Może nie usłyszeli go dokładnie albo nie zrozumieli jego znaczenia. Zamknęła oczy, nie mogła patrzeć na zszokowane twarze Becky, Kapsa i Edwina, kochanych przyjaciół, którzy trzymali ją za rękę, kłamali dla niej i płacili szantażyście.

Danny wypił jeszcze trochę whisky. Paliła jak kula ognia w jego skurczonym żołądku. Rozmyślał, bardziej zainteresowany ustaleniem kim się stał niż robieniem wyrzutów. Przedstawił zbrodnię Rachel, ale nie po to, by ją ukarano. Nawet nie zamierzał więcej o tym mówić.

– Kiedyś pisałem o zakładniku, którego uwolniono. Gdy facet wrócił do rodziny, w kółko powtarzał jedno: „Jestem taki sam. Jestem taki sam. Jestem taki sam”. Przypuszczam, że pragnął ich uspokoić. Cóż, w tym rzecz. Ja nie jestem taki sam. Zmieniłem się.

– Jasne, to rozumiałe – powiedziała Becky. – Nieuniknione.

– A wiecie, o czym rozmyślałem tam najczęściej? Jak ktoś, kogo tak bardzo kochałem, mógł znienawidzić mnie do tego stopnia, żeby życzyć mi śmierci.

Czekali, żeby skończył oskarżać Rachel, ale on chciał oskarżyć sam siebie.

Rachel się uspokajała. Burza minęła. Wreszcie zmusiła się, by patrzeć i słuchać.

– I co? Jaką znalazłeś odpowiedź? – mówiła równie cicho jak on.

Podniósł się ciężko z krzesła i szurając nogami, podszedł do niej – bolesny krok po kroku. Bez pytania ujął jej drobną dłoń. Po raz pierwszy dotykali się od czasu, kiedy kochali się w noc przed Al-Talhą, w noc, której żadne z nich nie powinno przerywać.

– Wspominałem wszystko, co robiliśmy razem, co mówiliśmy. Uświadomiłem sobie, że zachowałeś się źle, ale dlatego, że ja zachowałem się jeszcze...

– Nie, nie mogłeś.

Bądź co bądź to nie on doprowadził do śmierci jednego człowieka i nieomal też drugiego. Dlatego teraz musiała z tym żyć, bez względu na to, czy świat o tym wie, czy nie. To brzemień winy będzie dźwigała aż do grobu.

– Zabiłam Mohammeda. Głupia, histeryczna awantura i... przeze mnie zginął.

– Nie – upierał się Danny. – Jeżeli ktoś jest winien jego śmierci, to ja. Bał się, ale kazałem mu jechać. Nie interesowało mnie jego zdanie. Chciałem tylko zdobyć materiał. Jak zawsze.

Może właśnie taki czeka nas los, pomyślała. Dzielić te wyrzuty sumienia i przez to czynić je bardziej znośnymi. To będzie ich układ. Przybliżyła zaczerwienioną twarz do jego – pokaleczonej i brodatej, ale żadne z nich nie dążyło do pocałunku, jeszcze nie.

– Co teraz zrobimy, Danny? Co nam pozostało?

Spojrzała w te same oczy, w które wpatrywała się przez lata. Od chwili, kiedy wiozł ją pierwszego dnia w Sarajewie, nigdy nie była pewna, co wyrażają. Aż do teraz. W końcu wiedziała – to były dobre oczy, nie bezwzględne i cyniczne. Wszystko co złe zmyły łzy z ostatnich kilku tygodni. Widziały tak wiele – zbyt wiele – a jednak wróciła do nich dawna niewinność.

Kiedy opuścili Pałac i rozkosze klimatyzacji, spadł na nich bezlitosny bagdadzki upał. Niektórzy z dziennikarzy wciąż

się kręcili w pobliżu ciekawi, co Lowenstein powiedział przyjaciołom na prywatnym spotkaniu i jak, ich zdaniem, zniósł męczarnie. Odpowiedzieli, że Danny jest ich bohaterem i są z niego dumni. Potrzebuje trochę odpoczynku, wyjaśnili, ale oczywiście wróci do pracy w terenie. Dziennikarze wydawali się dość zadowoleni, cytaty – serdeczne i optymistyczne – będą dobrze wyglądały w artykułach. Czytelnicy uwielbiają tragedie, ale kochają też szczęśliwe zakończenia.

Kiedy ćpuny wojny skończyły rozmawiać z prasą, pielęgniarka wyprowadziła Danny'ego do karetki. Adi i Camille szli tuż za nimi. Rachel miała nadzieję, że Danny podniesie głowę i pomacha do niej, ale patrzył w ziemię zagłębiany w oceanie myśli.

– Powinnam z nim zostać? – zwróciła się do Becky.

– Daj mu trochę czasu.

Zamiast Danny'ego pomachał Adi – rzecz jasna do Becky. W odpowiedzi uśmiechnęła się do niego po raz ostatni.

– Pieprz się, kutasie – mruknęła pod nosem.

Przyglądali się, jak sanitariusze otwierają drzwi i szykują się do odwiezienia pacjenta z powrotem do Ibn Siny.

– Dla naszego Danny'ego tylko to, co najlepsze – oświadczył Kaps. – Tam właśnie leczyle Udaja, kiedy został postrzelony w próbie zamachu.

Rachel się wzdrygnęła. Czy to, co zrobiła, też można uznać za próbę zamachu? Znowu pomyślała, jak potworną zbrodnię popełniła. Nie zwracając uwagi na radę Becky, zaczęła iść, a potem biec w stronę karetki i nagle stanęła przed Dannym. Ale nie wiedziała, co powiedzieć, i to on odezwał się, unosząc ku słońcu wymizerowaną twarz:

– Wiesz, teraz je uwielbiam, jego żar, moc. Siedząc w celi, myślałem, że nigdy go już nie zobaczę.

– Możesz teraz korzystać ze słońca, ile chcesz. Spędzić resztę życia na plaży, wysmarować się kremem, rozkoszować promieniami.

– Tego ranka, kiedy mnie schwytali, nienawidziłem słońca, przeklinałem, że czuję się przez nie tak cholernie zmęczony i lepki. Uważałem je za oczywistość. Dasz wiarę? Najlepsza rzecz na świecie, najpotrzebniejsza, a ja uważałem ją za coś oczywistego.

Mógłby stać tak cały dzień, napawając się światłem, ale Adi i pielęgniarka znowu ujęli go pod rękę i poprowadzili do ambulansu. Kilku fotoreporterów robiło dodatkowe zdjęcia; wyskakiwali przed Danny’ego, wtykali mu obiektywy przed nos, wiedząc, że nie może ich powstrzymać.

Przez jakiś czas kilku dziennikarzy z konferencji prasowej pętało się przed Pałacem, w zielonym, przyjemnym otoczeniu. Nie chciało im się opuszczać tego fałszywego Bagdadu i wracać do prawdziwego. Ćpuny wojny też się tu kręciły. Nie mieli nic do roboty. Nie widzieli sensu pisać o uwolnieniu Danny’ego, bo i tak nie mogli powiedzieć prawdy. I dokąd by pojechali poza Hamrą? Byliby szczęśliwi, gdyby nigdy więcej nie znaleźli się w apartamencie prezydenckim – przez miniony miesiąc stał się ich własną celą.

Dwadzieścia minut później odgłos odległej eksplozji zawirował delikatnie w ich uszach. Popatrzyli ponad wierzchołki palm i wkrótce dostrzegli charakterystyczny słup dymu, ponury znak dla miasta, że zaczął się kolejny dzień męczeństwa.

– Kurwa, to niedaleko – powiedział Edwin zmęczonym głosem, a nie podnieconym jak dawniej. Mimo wszystko przypuszczał, że znowu mają temat: krwawe fale Czerwonej Strefy rozbijały się coraz bliżej idyllicznych brzegów Zielonej.

Becky zbladła. Kaps, nie zważając na to, kto im się przygląda, wziął ją za rękę.

– Powinniśmy pojechać i sprawdzić? – zapytał.

– Na pewno nie ja, dziękuję – oświadczyła Rachel. – Już nigdy więcej. – Pamiętała, jak dziesięć lat wcześniej na łeb na

szyję gnała do swojej pierwszej masakry w Sarajewie. Teraz obserwowała rwące do przodu nowe pokolenie naśladowców ćpunów wojny. Czy też miewają kaca? Czy muszą pożyczać hełm od przyjaciela, który staje się wrogiem i kochankiem?

Becky się uśmiechnęła. Też przypomniała sobie tamte dni.

– Wiesz, jak mówią: zawsze jest kolejny materiał. A jakaś dziewczina w strefie wojny przyjeżdża i to opisuje. Głosuję za tym, żeby posłać tam ochotników z promiennymi oczami i napalonych jak ty, Rach, kiedy cię poznałam.

Ekipy telewizyjne i grupki fotoreporterów pędziły do samochodów i ruszały na miejsce zdarzenia. A Rachel miała ochotę znaleźć się wśród ludzi uciekających stamtąd.

– Pieprzyć to, wracajmy do hotelu i popływajmy.

Ćpuny wojny ospale wsiadły do samochodu, ale Rachel przez chwilę stała przy uchylonych drzwiach z twarzą wznieścioną ku słońcu tak jak przed kilkoma minutami Danny. Zmusiła się, by patrzeć na nie przez przymrużone oczy, i podobało jej się, jak skóra mrowi ją od upału.

Tej nocy w korytarzu rozległ się krzyk. Z pokoju Becky; Kaps pobiegł tam, chociaż było już dobrze po północy i nogi miał jak z ołowiu. Otworzył drzwi. Becky siedziała na łóżku z szeroko otwartymi oczami, próbując złapać oddech. Położył szeroką dłoń na jej czole.

– Dobrze, już dobrze. Nie bój się, to tylko zły, bardzo zły sen.

Wpatrywała się w białą ścianę przed sobą.

– Przepraszam, znowu to widziałam. Pociski, rakiety... I słyszałam jego krzyki... takie głośne.

Głaskał ją po rozpalonych policzkach.

– A potem stał na urwisku, wzywał pomocy. Próbowałam dotrzeć do niego, ale ktoś mnie związał...

– Ciii, już po wszystkim.

Cudowne uczucie, znów się o nią troszczyć, tak jak w szpitalu Kosevo, kiedy pocisk mózdzierzowy poszarpał jej nogę. Pierwszy pocałunek przy łóżku...

Zamknęła oczy, dając znać, że koszmar, atak paniki czy jakkolwiek by to określili psychiatrzy już minął.

– Minęło prawie dziesięć lat. Dlaczego to jeszcze daje mi w kość?

– Masz uraz, Becky. To wszystko cię okaleczyło. Kto wie, może ja też.

Spojrzała na niego i uświadomiła sobie, że nic się nie zmieniło – wciąż nie widziała i nie zobaczy piękniejszego mężczyzny. Nie wiedziała, czy zdoła dłużej znosić tę koszmarną namiętność.

Kaps też patrzył na nią, taką bezbronną, potrzebującą opieki i dostrzegał tylko lata, które zmarnował. Cofnął dłoń z jej czoła i dotknął go wargami. A kiedy westchnęła, zaczął przesuwając ją w dół, między gęstymi brwiami, wzdłuż grzbietu nosa, aż dotarły do ust. Pocałował ją jak zawsze i wsunął się pod prześcieradło. Miał na sobie tylko szorty i podkoszulkę, Becky leżała nago. Zrzucił z siebie ubranie i stopił się z jej rozgrzanym ciałem. Znów stanowili jedność, była mokra i śliska od potu jak wtedy, gdy tańczyli w Sarajewie. Przez chwilę wyobrażał sobie, że znowu tam jest, dziesięć lat młodszy, a miłość ich życia dopiero się zaczyna. Prawie nie mrugali, wpatrując się w siebie, wciąż całując i zastanawiając, czy nie jest za późno.

– Powiedz mi, Kaps, czy kiedyś będziemy razem? Tak naprawdę. Po prostu muszę to wiedzieć. Mam przeczucie, że pewnego dnia jakoś się nam ułoży. Całkowicie zwariowana mrzonka, ale nie jestem pewna, czy przeżyję, jeśli jakaś mała częśćka mnie nie będzie w to wierzyć.

On też pozwalał sobie na tę mrzonkę wiele razy i jego również trzymała przy życiu. Ale nawet teraz nie mógł wymówić tych słów. Pocałował ją znowu i odpowiedział tą samą ciszą, której słuchała przez lata.

Londyn i Sarajewo, październik 2004

Ironia, powtarzał zawsze Danny, jest jednym z najbardziej wyeksploatowanych pomysłów w dziennikarstwie. Na przykład powiedzenie: „Co za ironia losu, że tego człowieka obrabowano w dniu urodzin”, bo w rzeczywistości to nie była żadna ironia, ale pechowy zbieg okoliczności. Cuda to kolejna plaga. Danny twierdził, że powinny pozostać na kartach Biblii, jednej wielkiej bajki. Mimo wszystko ludzie z uporem nazywali jego uwolnienie „cudem” i nawet Danny musiał przyznać, że to „ironia losu”, iż zaledwie dwa miesiące po tym, jak ćpuny wojny czekały na jego śmierć, ta odwiedziła ich w zupełnie innej postaci.

Znaleźli go wietrznym, deszczowym londyńskim rankiem, kiedy wszyscy, którzy zdecydowali się wyjść na dwór, kryli się pod parasolami i starali się utrzymać je w dłoniach. On nie rzucił wyzwania żywiołom – nawet nie wstał z łóżka. Jego najnowsza z przygodnych przyjaciółek oprzytomniała na tyle, że zadzwoniła po pogotowie. Kiedy pojawili się sanitariusze, nadal był nagi. Kałuża zaschniętych wymiocin otaczała jego głowę jak aureola; leżał na wznak na prześcieradle z rozrzuconymi rękami i nogami.

– Cholera, wygląda jak Chrystus na krzyżu – powiedział jeden z sanitariuszy. Oczyszczili mu drogi oddechowe i próbowali go reanimować za pomocą defibrylatora. Oddychał, ale nie odzyskał przytomności. – Kolejny dzień, kolejny ćpun.

Kiedy dostarczyli go do Szpitala St. Mary's, lekarze oświadczyli, że przyczyną tego stanu nie są narkotyki, ale przedawkowanie przepisanych na receptę leków. Nie potrafili ustalić, czy to przypadek, czy świadome działanie, ale połączenie dużej ilości środków przeciwbólowych i nasennych pokonało organizm.

Jego przyjaciele, emocjonalnie wyczerpani przedwcześnie żałobą po Dannym, znowu musieli sięgnąć po ostatnie rezerwy sił. Stracili wiele bliskich osób – Amrę, Aliję, Mohammeda – ale teraz, jak powiedziałby kiedyś Danny, to był jeden z nich. Zebrali się w St. Mary's, w scenerii, która wydawała im się całkowicie nieodpowiednia dla takiego dramatu. Gdzie zamieć śnieżna? Gdzie chaotycznie przybywający ranni żołnierze i cywile, kakofonia ostrzału artyleryjskiego? Zamiast tego zastali narzekających staruszków w zielonych piżamach i przerażającą ciszę oddziały intensywnej terapii. Edwin leżał oplątany spaghetti rurek umocowanych do jego znikającego ciała.

Głowę miał przechyloną na bok, oczy zamknięte; z otwartych ust sączyła się ślina, jak leciwemu człowiekowi co zasnął w fotelu. I ten charakterystyczny połysk skóry, wyraźna zapowiedź śmierci, która go fascynowała od tak dawna.

Danny chciał być przy nim, chociaż sam ciągle dochodził do zdrowia i, jak wszyscy zgodnie uznali, był cieniem dawnego siebie. Cała czwórka czuwała u boku Edwina według ustalonego porządku, żeby przynajmniej jedno z nich zawsze znajdowało się na miejscu. Bo kto inny by przyszedł? Jego rodzice nie żyli, rodzeństwa nie miał, a kilku dalekich krewnych nie interesowało, czy tego konkretnego ópuna da się uratować. Bądź co bądź, czy on sam przez całe swoje porąbane życie kiedykolwiek interesował się nimi?

Lekarze czekali trzy dni, zanim ustalili podczas porannej narady, że nic dla niego nie mogą już zrobić.

– Obawiam się, że według naszych kryteriów aktywności mózgowej nie ma żadnej nadziei – oświadczył jeden z nich Rachel i Kapsowi. Młody, uprzejmy, mówił głębokim głosem z arystokratyczną wymową. Może kończył tę samą prywatną szkołę, do której chodził Edwin, pomyślała Rachel. – Innymi słowy, jego mózg jest martwy. Przy życiu utrzymuje go tylko respirator i jesteśmy przekonani, że wszelka dalsza kuracja nic nie da. Będziemy prosili najbliższą rodzinę o zgodę na od-

łączenie aparatury, ale chcieliśmy się skonsultować również z państwem. Poznać państwa opinię.

Rachel popatrzyła na Kapsa opuchniętymi, zażawionymi oczami, pytając spojrzeniem, jak do tego doszło, że człowiek, który spędzał życie na wojnie i przeżył wszystko, teraz ma umrzeć za zgodą swoich najbliższych przyjaciół.

– Czy powinniśmy wezwać kogoś, aby udzielił mu ostatniego namaszczenia? – Becky patrzyła przez brudne okno na kolejny dzień wichury i ulewnego deszczu.

Żadne z nich nie pomyślało dotąd o księdzu i odruchowo spojrzeli na Danny'ego, oczekując specjalnej dyspensy ateisty.

– Oczywiście – przytaknął. – Jeżeli uważamy, że tego by chciał.

Rachel pogłaskała Edwina po głowie, czując pod palcami drapiącą szczecinę, która wreszcie miała szansę wyrosnąć, kiedy on tak marudził ze śmiercią.

– W pewnym sensie zrezygnował z Boga po Amrze – powiedziała. – Ale z drugiej strony, nie przypuszczam, by to zaszkodziło.

Sługa Boży przybył w osobie młodego człowieka o imieniu Liam. Przyjechał na skuterze całkowicie przemoczony przez jakże niestosowną londyńską ulewę. Miał nie więcej niż trzydzieści lat i kiedy mokry szedł z kaskiem pod pachą, przyjaciele Edwina ze zdziwieniem odkryli, że wygląda tak, jak powinna wyglądać Śmierć – o wiele młodsza od nich, o chłopięcej, przyjaznej twarzy. Ojciec Liam przez chwilę swobodnie rozmawiał z nimi z kojącym irlandzkim zaśpiewem w głosie, potem wyjął małą srebrną ampułkę z olejem chorych i zaczął robić swoje. Zanurzył palec w gęstej cieczy i nakreślił na czole Edwina znak krzyża.

– Pan, który odpuszcza ci grzechy, niech cię wybawi i łaskawie podźwignie.

Becky mówiła potem, że niemal widziała, jak dusza Edwina unosi się z jego ciała przypominającego szkielet, i to właśnie uznali za ostatnią chwilę, a nie odłączenie aparatury, co nastąpiło kilka minut później – dziwnie mechaniczna czynność jak wyłączenie światła lub komputera przed wyjściem z pokoju. Mogli sobie wyobrazić różne przyczyny śmierci Edwina – kula, eksplozja pocisku, nawet wypadek samochodowy w strefie wojny – ale nie coś takiego.

Kiedy ojciec Liam wypowiedział słowa „i łaskawie podźwignie”, bardzo starali się nie rozplakać, nie wydać żadnego dźwięku. Zwłaszcza Danny walczył ze łzami. Pociągał nosem, starając się je powstrzymać, bo uważał, że są nie na miejscu, zwłaszcza gdy chodzi o niego. Ale po jakiejś minucie nie wytrzymał i rzucił się na pierś Edwina. Objął przyjaciela ramionami, przytulił twarz do jego sterczących żeber, pocałował go i wybuchnął płaczem. Miał głębokie przekonanie, że umiera niewłaściwy człowiek.

Alija chciał być pochowany w Londynie, Edwin natomiast musiał wrócić do domu, do Sarajewa. Niektórzy uważali to za dziwactwo, nawet coś upiornego, przewozić zwłoki z Heathrow do jednej z byłych stref wojennych. I z tym transportem wiązało się mnóstwo problemów biurokratycznych i logistycznych. Ale które miejsce Edwin mógł tak naprawdę uznać za swoje? Na pewno nie Anglię.

Tym razem przyjaciele nie lecieli herculesem odpalającym flary chroniące go przed pociskami raketowymi, ale airbusem British Airways z gorącymi ręcznikami i smacznymi przekąskami. Lotnisko w Bośni nie było już polem bitwy. Szczyciło się nowym, lśniącym terminalem, wybudowanym za worki euro Unii Europejskiej. Nie potrzebowali też Bessie. Mercedes taksówka wiozł ich aleją Snajperów, na której musieli zatrzymać się na światłach i gdzie grasowali strażnicy miejscy, pilnując, żeby samochody prawidłowo parkowały. Znaki pro-

jektantów ozdabiały witryny sklepowe, a zamożni sarajewianie w eleganckich ubraniach i okularach przeciwsłonecznych siedzieli w ogródkach kawiarnianych, rozmawiali ze sobą albo pracowali na laptopach.

Ale wciąż to było ich Sarajewo. Jego Sarajewo. Cała czwórka trzymała się za ręce, patrzyła z mercedesa na miasto i myślała o czasie spędzonym tu z Edwinem. Znowu chichotali, przypominając sobie, jak opancerzony land-rover wpadł w poślizg i wylądował w saloniku starszej pani. I przeklinali, wspominając jego słowa: „Powtarzamy sobie, że nam się uda, że jesteśmy chronionym gatunkiem”.

Rachel spojrzała do góry, kiedy mijali Holiday Inn, odbudowany w całej swojej paskudnej, żółtej wspaniałości. Nie myślała już o Edwinie, ale o upajającym dreszczu emocji, który przeżyła, wjeżdżając na przypominający bunkier parking i odbierając klucze do pokoju. Chyba powinna pragnąć, aby to nigdy się nie zdarzyło, żeby nie spotkała Edwina, Danny’ego, Becky ani Kapsa. Sprowadzili na nią koszmary, ale z drugiej strony, sama wtedy tego pragnęła. Wypełnili też jej życie miłością, wypełnili po brzegi i bez nich minione lata byłyby pustką. Czuła lekkie kopnięcia w brzuchu i zastanawiała się, czy on lub ona zechce kiedyś zostać korespondentem wojennym. Mimo całej nostalgii myśl o jej dziecku, które znajduje się w podobnych sytuacjach, igra z losem, rzuca śmierci wyzwanie, by odważyła się przyjść, nagle wydała się odrażająca. Billy miał rację, gdy próbował ją powstrzymać. Była straszliwie samolubna, opuszczając ojca. Maluch kopnął znowu i opiekuńczo położyła dłonie na łagodnych zaokrągleniach coraz większego brzucha.

Danny siedział obok i też przyciskał twarz do szyby. Obserwował mijane, rozmazane ruchem wzgórze, czerwone dachy, minarety i widział miasto, którego nigdy nie chciał opuścić. Powinien wyrzec się pokus Afryki i Czeczenii. Bośnia to jedyne miejsce, do którego należał, i kiedy stąd wyjechał, czuł tylko ból.

Ludzie mówili mu, że lada dzień, wkrótce, wróci do pracy w terenie, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że wszystko się skończyło. Nie tylko nigdy więcej nie będzie mógł patrzeć na wojnę, ale nawet opracować jakiegoś innego tematu czy napisać choć słowa. Rzeczy dawniej dla niego tak ważne, pilne, nic nie znaczyły – stanowiły tło dźwiękowe świata, ale nie wiedział, czy ma prawo być jego częścią.

Kiedy dotarli do cmentarza, wydało im się dziwne, że po prostu stoją i nie zastanawiają się, do którego grobu wskoczą, jeżeli będą musieli kryć się przed ogniem.

Pamiętali cmentarz jako miejsce pełne krzątany, błotniste i prowizoryczne, gdzie każdego ranka pojawiały się nowe pagórki grobów, jak leje po pociskach na polu bitwy. Teraz wyrosła tu trawa, leżały kwiaty i postawiono prawdziwe nagrobki zamiast deszczułek z plastikowymi literami albo nawet z nagryzmonym piórem nazwiskiem zmarłej lub poległej osoby.

Z ulgą przekonali się, że koło Amry jest dość miejsca dla Edwina. Apostata katolik obok apostatki muzułmanki – była w tym pewna symetria. Za ledwie parę centymetrów od jej nazwiska i dat wypisano jego: „Edwin Christopher Garland, 1966–2004”. Wyobrazili sobie, jak wyciąga pod ziemią rękę i trzyma jej dłoń – ostrożnie, bez natręctwa.

Rachel objęła Danny’ego, a on chwycił się jej jak tonący. Becky oparła głowę na ramieniu Kapsa i pragnęła, by to trwało wiecznie.

Wszyscy czworo wspominali pełen cierpienia krzyk Edwina rozlegający się w tym samym miejscu. Przez chwilę brzmiał im w głowach, ale potem ucichł, a na Cmentarzu Lwów słyszeć było tylko kosy i szeleszczące na wietrze uschnięte liście, urocze „nic” pokoju.

Zupełnie jakby historia nigdy się nie zdarzyła.

Od Autora

Powieść osadzona jest w realiach najnowszych wydarzeń historycznych. Byłem w tych samych miejscach co ópyny i mieszkałem we wszystkich tych zafajdanych hotelach. Postacie natomiast są wytworem mojej wyobraźni i niektóre opisane wydarzenia również są fikcyjne – na przykład pierwsza masakra, którą Rachel opisuje w Sarajewie. Inne niewielkie miejscowości, takie jak al Talha czy Jażdnowska także są wymyślone. Tam, gdzie opisuję rzeczywiste wydarzenia historyczne – w roku 1994 i 2004 – starałem się być równie dokładny, jak każdy sumienny dziennikarz BBC. Jestem ogromnie wdzięczny za pomoc w tym przedsięwzięciu, a zwłaszcza za znajomość tematu i wspomnienia następującym osobom: Jonowi Jonesowi, wspomniałemu fotoreporterowi wojennemu, weteranowi z Bagdadu Kimowi Sengupcie z Independenta i mojej pierwszej producentce w Sarajewie, Madeleine Lewis. Oczywiście wszystkie błędy są moje, nie ich.

Dziękuję także wszystkim, którzy czytali wczesne wersje Złodziei piasku: Laurze Heberton, Nancy Miller, Fehminie Ahmed, Alanowi Lewensovi, Joannie Gosling i Emily Maitlis. Na różny sposób pomogli mi nadać kształt tej powieści. Mam także ogromny dług wdzięczności wobec mojego agenta Davida Millera za to, że tak bardzo we mnie wierzył, a także wobec Arabelli Pike i Anne O'Brien z HarperCollins za ich zrozumienie i cierpliwość.

Na koniec chcę wyrazić nieustanną miłość i wdzięczność mojej ukochanej żonie Geraldine, która twierdziła uparcie, że jest to książka, którą powinienem napisać, Elli, Grace i Gabrielowi, że pozwolili mi okupować rodzinny komputer, mojej matce Sheili za zachętę i wsparcie, a także zmarłemu ojcu Antony'emu Brownowi, który zachęcał mnie do pisania i nadal mnie inspiruje. Brakuje mi go każdego dnia.